



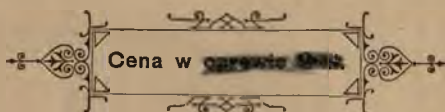




Dr. HUGO ZATHEY.

# ANTOLOGIA GRECKA.

INSTYTUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN  
BIBLIOTEKA,  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 75  
Tel. 26-68-63



WE LWOWIE.

NAKŁADEM ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OESOLINSKICH.

1895.  
<http://rcin.org.pl>

BAZAR LITERACKI  
Wydawnictwo Literackie  
ul. Krakowska 100 | 31-054

F- 23.645

---

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

POD ZARZĄDEM JULIUSZA BIRKENMAIERA

<http://rcin.org.pl>

# SPIS RZECZY.

---

Stronica

3

Wstęp . . . . .

## a) POEZYZA.

<b>I. Epos. Homeros.</b> Początki poezyi. Pieśni ludowe. Poezya epicka przed Homerem. Homeros (Homer) . . . . .	6
<b>ILIADA</b> (Ilias). Pieśń V i VI (w skróceniu). Streścił Hugo Zathey. Tekst tłóm. Aug. Szmurło . . . . .	14
<b>ODYSSEA.</b> Streścił Hugo Zathey. Tekst tłóm. Lucyan Siemieński . . . . .	70
<b>II. Hesiodos i poezya dydaktyczna</b> . . . . .	109
<b>PRACE I DNI.</b> Pieśń pierwsza. Pieśń druga (w skróceniu). Tłóm. Felicjan Faleński . . . . .	112
<b>III. Poezya liryczna. I. Elegia.</b> Kallinos. Tyrtaios. Mimnermos. Solon. Teognis . . . . .	126
<b>II. Jamo i Choljamb.</b> Archilochos. Simonides z Amorgos. Hipponax . . . . .	128
<b>III. Melos</b> (Pieśń). Terpandros. Alkman. Stesichoros. Ibykos. Arion. Alkaios. Sapfo. Anakreon . . . . .	129
<b>IV. Pieśń chórowa i dythyrambos.</b> Simonides z Keos. Bakchylides. Pindaros . . . . .	133

Z poezji lirycznych. Tłóm. Jan Kochanowski,  
Szymon Szymonowicz, Jan Czubek,  
Józef Szujski:

I. <i>Elegicy.</i>	Kallinos z Efezu . . . . .	136
	Tyrtaios . . . . .	137
	Mimnermos . . . . .	139
	Solon . . . . .	140
	Teognis z Megary . . . . .	142
II. <i>Jambografowie.</i>	Archilochos . . . . .	146
	Simonides z Amorgos . . . . .	—
III. <i>Melicy.</i>	Alkman . . . . .	147
	Alkaios . . . . .	—
	Sapfo (Sappho) . . . . .	149
	Erinna . . . . .	150
	Praxilla . . . . .	151
	Anakreon . . . . .	—
IV. <i>Pieśń chórowa i dytyramb.</i>	Simonides z Keos . . . . .	153
	Bakchylides . . . . .	156
	Pindaros . . . . .	157
<b>IV. Poezja dramatyczna. a) Tragedya</b>		161
	Aischylos (Teatr starożytny) . . . . .	162
	Sofokles . . . . .	166
	Euripides . . . . .	168
	I. Z tragedyi Aischylosa »PROMETEUSZ W OKOWACH«. Streścił i tłómaczył Józef Szujski . . . . .	173
	II. ANTYGONA (ANTIGONE). Tragedya Sofoklesa (z bardzo nieznacznemi opuszczeniami). Tłóm. Kazimierz Kaszewski . . . . .	182
	III. Z tragedyi Eurypidesa »IFIGENIA W TAURYDZIE«. Tłóm. Zygmunt Węclewski . . . . .	225
<b>V. Poezja dramatyczna. b) Komedyja</b>		243
	Aristofanes . . . . .	244
	c) Mimos . . . . .	247
	Z komedyi Arystofanesa »RYCERZE«. Streścił i tłómaczył Józef Szujski . . . . .	248
<b>VI. Idylla (Eidylion).</b>	Teokritos. Bion. Moschos . . . . .	255
	»SYRAKUZANKI«. Sielanka Teokryta. Tłóm. Lucyan Siemieński . . . . .	257



## b) PROZA.

Stronica

<b>VII. a) Dziejopisarstwo.</b> Początki prozy. Herodotos. Ktesias.	
Thukidydes. Xenofon . . . . .	263
I. <i>Z dziejów Herodota.</i> Tłóm. A. Bronikowski i W. K.	
Obyczaje Persów . . . . .	270
Budowa piramid . . . . .	271
Bitwa pod Maratonem . . . . .	273
Most na Helesponcie . . . . .	275
Adrastos . . . . .	277
Alkmeonidzi . . . . .	279
Rozmowa Xerxesa z Demaratem . . . . .	281
II. <i>Z dziejów Tukidydesa.</i> Tłóm. A. M. Kurpiel i Br. Kaśsinowski.	
Mowa Peryklesa na cześć poległych . . . . .	284
Zaraza w Atenach . . . . .	291
Rozmowa Melijczyków z Ateńczykami . . . . .	295
List Nikiasa do Ateńczyków . . . . .	302
Odwrót z pod Syrakuz . . . . .	306
III. <i>Z ANABASIS Xenofonta.</i> Tłóm. Stanisław Zathej.	
I. Bitwa pod Kunaksą. Śmierć Cyrusa. II. Zdrada.	
III. Wybór nowych wodzów. IV. Narady.	
V. Droga przez śniegi. VI. Zdobycie przełęczcy. VII. Pochód przez góry Armenii.	
VIII. Xenofon przed sądem . . . . .	312
<b>VIII. b) Wymowa.</b> Perikles . . . . .	334
Kleon . . . . .	—
Alkibiades . . . . .	—
Andokides . . . . .	335
Isokrates . . . . .	—
Lysias . . . . .	—
Isaios . . . . .	336
Demosthenes . . . . .	—
Aischines . . . . .	338
Hypereides . . . . .	339
<i>Z mów Demostenesa.</i> Tłóm. Stan. Dobrzycki.	
I. Druga mowa olintyjska . . . . .	340
II. Trzecia mowa przeciw Filipowi . . . . .	345

<b>IX. c) Filozofia</b>	355
I. <i>Początki</i> . Thales	—
Pythagoras	—
Eleaci (Xenophanes)	—
Parmenides	—
Zenon	—
Melissos	—
Herakleitos	356
Empedokles	—
Leukippos	—
Demokritos	—
Anaxagoras	—
II. <i>Sofiści i retorowie</i>	357
Protagoras	358
Stesimbrotos	—
Prodikos	—
Hippias	—
Empedokles	—
Gorgias	—
III. Sokrates	359
IV. Platon	360
V. Aristoteles	362
VI. <i>Następcy</i>	363
a) Cynicy (Antisthenes — Diogenes)	—
b) Hedonicy (Aristippos)	—
c) Epikurejczycy (Epikur)	364
d) Megarejczycy (Eukleides)	—
e) Skeptycy (Pyrrhon)	—
<i>Z dzieł Platona:</i> I. Obrona Sokratesa (Apologia).	
Tłóm. Adam Maszewski	365
II. Kryton (Kriton). Tłóm. Stan. Siedlecki	392
III. Fedon (Phaidon). Tłóm. T. Kozłowski	404
 C) SŁOWNICZEK	 449



## Pomyłki druku,

które należy sprostować przed użyciem książki.

str.	6	w tytule przed	Epos. Homeros literę <i>a</i> )	przekreślić,	dodać I. na początku.
"	7	w. 2	z góry: zam.	zwierzęta	ma być zwierzęta.
"	8	" 5	" "	opowiadających	" opowiadających.
"	16	" 12	z dołu: "	słuchaczów	" słuchaczów.
"	24	" 2	z góry: "	jeśli	" jeśli.
"	25	" 9	" "	szkłydlaty	" szkłydlaty.
"	"	" 10	" "	strzałem	" strzałą.
"	"	" 18	" "	nadaremnie	" nadaremnie.
"	29	" 3	z dołu: "	ostremi	" ostrymi.
"	31	" 8	" "	Zebym	" Żebym.
"	40	" 12	z góry: "	latarośl	" latorośl.
"	69	" 19	z dołu: "	Siplin	" Sipyłu.
"	73	" 4	" "	nie doznawali	" nie doznali.
"	74	" 3	z góry: "	Gdy się posilicie	" Gdy się już posilicie.
"	74	" 5	z dołu: "	rzucili	" rzucili.
"	76	" 20	z góry: "	zamieszkujących	" zamieszkujących.
"	77	" 3	" "	I wykąpać go w rzece	" I wykąpać go trzeba w rzece.
"	78	" 17	" "	Dwór mego ojca	" Dwór mego ojca.
"	78	" 34	" "	By Odyss	" By zaś Odyss.
"	79	" 19	" "	meża	" meża.
"	82	" 14	z dołu: "	Wsiadłszy	" Wysiadłszy.
"	89	" 1	z góry: "	Dalej	" Dalej.
"	90	" 1	" "	nie mógł ust zanurzyć	" nie mógł ust swych zanurzyć.
"	91	" 14	z dołu: "	utracić	" utracić.
"	92	" 12	z góry: "	każdego	" każda.
"	109	" 1	" "	dodać II. na początku.	
"	126	" 1	" "	III. " "	
"	"	" 3	" "	wykreślić I.	
"	132	" 17	z dołu: "	Musopolos	" Musopolis.
"	146	przed tytułem	Jambografowie	ma być: II.	
"	153	Przed	»Simonides z Keos«	ma być: IV. Twórcy pieśni chórowej i dytyrambu.	
"	155	w. 6	z dołu: zam.	porazili	ma być porazili.
"	161	" 1	z góry: przed	tytułem Poezya dramatyczna	ma być IV.
"	162	" 3	z dołu: zam.	dionizyów	ma być dionizyów.

## VIII

str. 203	w. 21	z góry:	zam.	nieomylny	ma być	niemylny.
„ 243	„ 1	„	przed	tytułem Poezya dramatyczna	ma być	V.
„ 255	„ 1	„	„	„ Idylla	ma być	VI.
„ 262	„ 2	z dołu:	zam.	jeżeli	ma być	jeśli.
„ 263	„ 2	z góry:	przed	a) ma być		VII.
„ 280	„ 10	z dołu:	zam.	spekrewniony	„	spokrewniony.
„ 284	„ 4	„	„	zwoki	„	zwłoki.
„ 312	„ 10	„	„	inym	„	innym.
„ 312	„ 16	„	„	Arajos	„	Ariajos.
„ 314	„ 1	„	„	Enniala	„	Enyalia.
„ 317	„ 3	z dołu:	„	Mitrydates	„	Mitradates.
„ 320	„ 5	„	„	Timariosa	„	Timaziosa.
„ 320	„ 3	„	„	Fibeziosa	„	Fileziosa.
„ 328	„ 12	„	„	jeiden	„	jeden.
„ 328	„ 11	„	„	nle	„	nie.
„ 328	„ 10	„	„	pynęła	„	plynęła.
„ 330	„ 15	„	„	Zykiosa	„	Lykiosa.
„ 334	„ 1	z góry:	przed	tytułem Wymowa	ma być	VIII.
„ 354	„ 18	z dołu:	zam.	Chersonesu	ma być	Chersonezu.
„ 355	„ 2	z góry:	przed	c) ma być		IX.
„ 372	„ 20	z dołu:	zam.	Aniytos	„	Anytos.



# LITERATURA GRECKA

---



# LITERATURA GRECKA.

## W S T E P.

Literatura grecka jest nietylko bezwzględnie piękną i bogatą, ale jest ona matką i mistrzynią wszystkich innych, a przedewszystkiem rzymskiej, a temsamem opiera się na niej — i w niej ma swoje źródło oświata i cywilizacya całej Europy. Była ona od początku w ścisłej łączności i związku z życiem i charakterem ludu; z jego piersi i głowy wychodziła i do serca wracała, ożywiała je i podnosiła. Doskonała harmonia i wykończenie — oto jej główne niedoścignione niemal przymioty, polegające na harmonii życia, opartego na miłości ojczyzny i na wierze w bogów. Niewielkie jest koło, w którym obraca się Grek i w którym swobodnym się czuje. Stosunki rodzinne, miasto ojczyste, i dobytek własny — oto granice, po za które nie lubi wybiegać. Najważniejszą dla niego rzeczą jest zachowanie miary, umiarkowanie, chroniące świetną i bogatą wyobraźnię od niebezpiecznej, a właściwej ludom wschodnim przesady i wypaczenia. To było przyczyną, że kto miał zdolność twórczą, (a tylko ten, kto ją miał, porywał się do wstąpienia na pole literatury i sztuki) starał się przedewszystkiem zbadać i poznać jej rodzaj i kierunek, a potem bystrem okiem wytykał sobie cel, do którego dążył wszystkimi siłami. Dlatego każdy prawdziwy Grek zmierza na swoim polu do możliwej doskonałości — a każdy następca opiera się na barkach i na zdobyczach swego poprzednika — kształci się na jego dziełach, uczy się od niego tajemnic sztuki.

Tym sposobem doskonalili się wszystkie jej rodzaje, a osoby twórców ustępowały na drugi plan, albo zupełnie znikwały. Uganiania się za fałszywą oryginalnością nie znali Grecy, to też dalekie od nich były sztuczki i dyletantyzm artystyczny. Byli oni realistami

w całym tego słowa znaczeniu, tylko że dla nich przedewszystkiem realną, rzeczywistą była każda piękność, wzniosłość, szlachetność, a brzydkie rzeczy pozostawiali z małymi wyjątkami po za granicami sztuki. Dokuczały one w życiu nieraz, więc nie chciał ich widzieć Greczyn przynajmniej tam, gdzie szukał tylko kwiatów, tylko zdrowego ziarna, mającego krzepić jego siły moralne i umysłowe, mającego umacniać go w dążeniu do wzniosłych celów życia, lub osłodzić to życie.

Tym sposobem wydoskonalily się pojedyncze rodzaje tak, że służyły całemu światu za typowe pierwowzory i przedstawiały wzór jednolitości i wykończenia. Jedne po drugich rozwijały się kolejno w szybkich odstępach.

Gdy usychał kwiat jeden, zakwitał drugi.

Literaturę grecką podzielić można z tego względu na trzy okresy, z których tylko dwa pierwsze zajmować nas będą, jako klasyczne greckie we właściwym znaczeniu; dzieła (niezliczone) trzeciego najdłuższego okresu są przeważnie tylko przeżuwaniem bogactw dawniejszych i należą już do świata t. z. pan- (wszech)-helleńskiego.

**Okres I. epicki albo mniejszo-azyatycki.** W Azji i na wyspach jońskich kwitnie naprzód epos (epopeja) z arcymistrzem Homerem na czele. Do niego przyłącza się elegia, a Lezbijczyk Terpander jest pierwszym twórcą lirycznej poezji artystycznej. I początki prozy do Azji odnieść należy. Kończy się ten okres w czasie tyranii Pejzystratydów.

**Okres II. retoryczny albo attycki.** Sofiści kształcą język i prozę, która rozwija się najświetniej w Atenach. Wymowę Demostenes, retoryczne dziejopisarstwo Tukidydes i Xenofon, filozofią Platon do wysokiej doprowadzają doskonałości. Przy pomocy wymowy powstaje w Atenach dramat. Pindar i Symonides są mistrzami liryki. Twórczość na polu epopei zamarła.

**Okres III.** Wojna peloponeska wstrząsła narodem do głębi. Nieustanne waśnie i walki polityczne, zawieranie coraz nowych przymierzy, ubieganie się o łaskę króla perskiego, podkopały narodowość i godność narodową; zapanowała z jednej strony chłodna i jałowa trzeźwość, z drugiej chciwy cudów zabobon. Liczba pisarzyów wzrasta niezmiernie i ciągle. Niegdyś Sokrates mówił, że cnoty nauczyć się można. Teraz sądzili ludzie, że poezji, wymowy i stylu wyuczyć się można. Powstawały więc uczone wiersze, prze-



rabiano stare tematy na coraz nowe sposoby, albo krytykowano dawne utwory, rewidowano ich tekst, pisano studia literackie i gramatyczne, układano różne słowniki (lexykony), ogłaszano wydania zbiorowe. Za ledwo od czasu do czasu pojawił się jakiś dowcipny epigram, zgrabna piosenka, albo zajmujący poemat epicki. Były to rzadkie błyski wśród szarej pomroki. Ale też trudno, żeby co chwila rodził się geniusz. Ci, których Grecya w dwóch pierwszych okresach wydała, dawali i dają światło nie tylko Grekom, ale wszystkim cywilizowanym narodom aż po dzień dzisiejszy, a byłoby początkiem barbarzyństwa i znamieniem upadku, gdyby się świat od nich odwrócił, na nich nie kształcił, o nich zapomniał. Pierwsze między nimi miejsce zajmuje największy z poetów, jakich ludzkość wydała — nieśmiertelny H o m e r.

---

## a) P O E Z Y A

### a) Epos. Homeros.

I. Początki poezji. Pieśni ludowe. Pieśń podobnie jak u wielu innych narodów, zwłaszcza słowiańskich (a z tych przedewszystkiem u ruskiego) towarzyszyła Grekowi od kolebki aż do grobu. Nie ulega wątpliwości, że pieśń ludowa udzieliła literaturze niemało soków żywotnych. Opiekunem muzyki i poezji już w najdawniejszych czasach był bóg słońca Foibos Apollon, więc na cześć jego powstały pierwsze hymny, a przybywało ich później coraz więcej, zwłaszcza w Delfach i w Delos. Dwa główne rodzaje tych pieśni apollinowych były: poważny nomos i żywy, raźny, wesoły pean (pajan). Kallimach powiada\*), że nawet lament Tetydy milknie i Niobe zamieniona w skałę przestaje płakać, gdy zabrzmie głos: iē pajan, iē pajan! Delficka wyrocznia kazała śpiewać peany na powitanie wiosny, dla objawienia radości ludzi z powodu przebudzenia się natury do nowego życia. W zimie natomiast nie słychać było peanu. Rozumie się, że później układano hymny na cześć wszystkich innych możniejszych bóstw. Starali się o to kapłani, pod których ręką przybierały te pieśni znamię religijno-kościelne. Sławiły one bóstwa, dodając im różne imiona i przymiotniki (i dlatego nazywają się bogowie wieloimiennymi), uwielbiały ich dobroczynne rządy i czyny, a przy końcu zawierały prośbę o spełnienie życzeń osobistych i o chleb powszedni. U stóp Olimpu, na którego wyżynach mieszkały Muzy, w szczęśliwej Pieryi, powstawały na cześć ich pobożne pieśni — których twórców nazywamy Trakami. Największym z wszystkich pieśniarzy najdawniejszej doby był sławiony po wszystkie czasy Orfeusz (Orfeus), który był dla Greków uoso-

\*) Hymn 2. 20.

bieniem, ideałem, patryarchą pieśni. Gdy on śpiewa, poruszają się kamienie i skały, ruszają się drzewa, zwierzęta słuchają w niemem milczeniu. Śpiew jego czaruje w najwyższym tego słowa znaczeniu i pokonywa nawet nieprzyjazne barbarzyńców porywy.

Pieśni żałobne najmniej uprawiano. Wystarczał im krótki głos żalu (tren); pogodny umysł Greka nie lubił przypominać sobie często i rozpamiętywać długo znikomość uciech i piękności. Do oplakiwani zmarłych najmowano płaczki obcego pochodzenia (najczęściej z Karyi), które, z towarzyszeniem karyjskiego fletu, zawodziły głośne lamenta. W długich żalach rozkoszowały się przeciwnie zmysłowe wschodnie narody i stamtąd naniesiono je do Grecyi. Z Syryi n. p. pochodzą żale nad zgonem pięknego młodziana Adonisa (to znaczy »pana«) którego w kwiecie wieku psy rozszarpały. Wpływ Wschodu na poezję grecką był niewielki, bo fantazyja grecka była bardzo bogata i obcej pomocy nie potrzebowała, a twórczość grecka prześcignęła rychło twórczość ludów wschodnich i wyzwoliwszy się z jednostronnego liryzmu, zdobyła sobie szeroką i trwałą podstawę w poezyi epickiej.

**II. Poezyja epicka przed Homerem.** Pieśń sama nie może wystarczyć potrzebom umysłowym człowieka. Już w starodawnej Grecyi opowiadano śliczne bajki i baśnie z życia bogów, ludzi i zwierząt. Do własnych przyłączały się i wschodnie. Niewolnice z Azyi przynosiły niejedną bajeczkę; wszak Azya, a głównie Indye, są niewątpliwie jej kolebką. Ale najważniejsze znaczenie miał w historii bajki Ezop (Aisopos). Miał to być nadworny trefniś bogatego Krezusa. Pewnego razu — tak mówi podanie — posłał go pan do Delf, żeby w jego imieniu złożył bogu greckiemu ofiarę. Ezop przybył na miejsce, ale gdy zamiast spodziewanej świętości zastał w tem świętem miejscu większe niż gdzieindziej zepsucie, nie złożył kapłanom przywiezionych darów, za co go zabito, a Krezusowi kazano powiedzieć, że może się sam zgłosić po okup.

Ze skróconych bajek powstawały liczne przysłowia, których i tak nagromadził się spory zasób. Zdanie rozumne lub zręcznie, szczęśliwie powiedziane, które trafiało do przekonania ogółu, bo na doświadczeniu było oparte i łatwo dało się spamiętać, przechodziło z osady do osady, z pokolenia na pokolenie — i tym sposobem, stosując doświadczenie przeszłości do zdarzeń teraźniejszych, łączyło przeszłość z teraźniejszością, było niejako pierwszym związkiem poezyi epickiej, lubiącej opowiadać przeszłe zdarzenia lu-

dziom żyjącym i przekazywać je nawet najpóźniejszej potomności. »Im dalej w las, tem więcej drzew« mówi nasze przysłowie. Im więcej było do opowiadania, im ważniejsze w dziejach osad i krajów zachodziły zdarzenia, tem więcej też opowiadano. Wśród opowiadających byli oczywiście tacy, którzy lepiej i piękniej od innych opowiadali, a między tymi znowu pojawił się niejeden, z większym talentem, umiejący zdarzenie w piękniejszą i poetyczną oblec szatę. Tak powstałi pierwsi z zawodu poeci epiccy, pierwsi twórcy pieśni epickich, czyli pierwsi pieśniarze, a oïdoi zwani. Gdy Grecya z pomroku wystąpiła na widownię dziejową, gdy zaszły pierwsze historyczne zdarzenia, rozszerzył się zakres i wzrosła doniosłość opowiadającej, albo lepiej, powieściowej poezyi. Szczególnie wojna trojańska dostarczyła mnóstwa tematów. O każdym ważniejszym wypadku tej długiej wyprawy, o losach najstłynniejszych bohaterów, o dziwnych nieraz przygodach powracających do domu, tworzono niezliczone krótsze lub dłuższe rapsodye. Krótsze miały rytm lżejszy, jambiczny lub trocheiczny, dłuższe poważniejsze już wcześniej obrały sobie wiersz sześciomiarowy (hexameter) jako najodpowiedniejszy dla tego rodzaju poezyi, łączy bowiem w sposób najszcześliwszy potrzebną w powieści żywość z konieczną z powodu licznych zbroceń (opisów i epizodów) powolnością. Z początku te powieściowe pieśni czyli poetyczne powieści miały charakter poezyi ludowej, ale z czasem a oïdowie prześcigając się nawzajem nie poprzestawali na prostem opowiadaniu faktów, lecz zaczęli tworzyć artystycznie, i wtedy dano im nazwę twórców czyli poetów (poïetes). Pracą kilku wieków zebrały się całe gromady (cykle) takich utworów, u Greków zarówno, jak później u Słowian, mianowicie u Serbów. Na tem się też u Słowian i innych ludów kończyło, bo i największy mistrz nie potrafiłby z tych pieśni utworzyć jednolitej artystycznej całości. Możliwy je co najwięcej połączyć mechanicznie, grupując około jednej opiewanej osoby lub pewnego zdarzenia.

Tak powstały w Hiszpanii *Poema del Cid* i *Cronica rimada del Cid* z dawniejszego zbioru pieśni *Romancero del Cid*.

Byłby to zatem kronikarski zbiór opowiadań, nie byłoby eposu jednolitego, logicznie obmyślanego i artystycznie zbudowanego, nie byłaby to kompozycja. Można z małych kamyczków ułożyć mozaikę, ale nie można z kilkuset mozaik utworzyć jednej wielkiej — jak nie można z kilkudziesięciu małych obrazków zlepić jednego wielkiego

obrazu, choćby każdy z nich przedstawiał epizody życia tego samego człowieka. Twórca epopei czyli eposu nie może opowiadać żywota obranego bohatera od kolebki do grobu, albo dziejów całej wojny i jej przyczyn, przebiegu i skutków. On musi genialnym wzrokiem pochwyć i przedstawić jeden moment, jedną chwilę, w której bohater jego stoi u szczytu znaczenia i działania, w której wojna dochodzi do stanowczego przesilenia i zwrotu. Tak tworzył, takim pierwszym wielkim twórcą, kompozytorem był Homer, który swoją drogą wykarmił się »mlekiem dum« i powieści dawniejszych, kształcił się na nich i opierał.

III. **Homeros.** Ponieważ Homer żył w czasach, kiedy pisma w Grecyi jeszcze nie znano, i nikt nie opisał jego żywota, przeto wiadomości, jakie doszły późniejszych pokoleń przez ustne podania, były szczupłe, niedostateczne i niepewne. Wyobrażano go sobie starcem gęślarzem, pozbawionym wzroku, zapewne na tej podstawie, że takiego spiewaka wprowadza sam Homer na dwór króla Feaków w Odyssei.

Muzy kochanek dobrem i złem obdarzony,  
Bo mu wzrok, wzięwszy, dała spiew pieszczony.

Takim też przedstawiali go późniejsi greccy rzeźbiarze.

Pytanie, gdzie się urodził największy z poetów, jakich ludzkość wydała, już w starożytności żywo zajmowało wszystkich. Siedm miast spierało się o zaszczyt, że były kolebką Homera — powiada znany dwuwiersz grecki — Smyrna, Rodos, Kolofon, Salamina (na Cyprze), Ios, Argos, Ateny — ale w istocie było ich więcej, bo w różnych odmianach owego dwuwiersza znajdujemy jeszcze Kyme, Chios, Pylos, tudzież Itakę. Cesarz Hadryan zapłonął taką w tej sprawie ciekawością, że kazał o to pytać wyroczeni delfickiej, która oświadczyła się za Itakę. Najnowsi badacze uważają Chios (niektórzy Smyrnę) za najprawdopodobniejsze miejsce urodzenia Homera, a to na tej podstawie, że na Chios miały powstać obydwie wielkie epopeje — i że tam najpierwej i najgorliwiej zajmowano się niemi.

Oczywiście nikt tego już nie dojdzie; to tylko pewna, że Homer należał do szczepu jońskiego i znał Azyę Mniejszą i sąsiednie wyspy dokładnie, a więc przepędzić tam musiał większą część życia. Musiał także przebywać dłuższy czas na Itace; wolno tak sądzić z miłości, z jaką tę wyspę opisał.

Równie nieznan jest rok, a nawet niepewny wiek urodzenia poety, zgadzają się jednak wszyscy, że żył między wiekiem dzie-

wiątym a siódmym przed Chrystusem; Herodot twierdzi, że czterysta lat przed nim t. j. około r. 800. Pojawiło się nadto mniemanie, że było dwóch Homerów, przedzielonych mniej więcej jednym stuleciem, z których pierwszy utworzył Iliadę, drugi Odyseję. Zdanie to jednak tak zwanych Chorydzontów, to znaczy dzielących, (rozdzielających), nie znalazło w starożytności żadnego oddźwięku i uznania i największy krytyk grecki Aristarchos pominął je milczeniem; dopiero w naszym wieku przyjęła je większość uczonych.

Co więcej, za przykładem kilku zagranicznych poprzedników w wieku XVIII., który usiłował zerwać z wiekową tradycją na wszystkich polach działalności ludzkiej i obalić dawne świętości, (w r. 1795) profesor niemiecki Fr. Aug. Wolff ogłosił światu rzecz nową, o której przez półtrzecia tysiąca lat nikomu się nie śniło, że żadnego Homera nie było, że były tylko luźne pieśni, odnoszące się do jednego i tego samego przedmiotu, a dopiero jakiś składacz, zbieracz\*) staraniem Pejzystrata powiązał je, czy pozszywał, w dwie wielkie całości, z których jedna nazywa się »Ilias« a druga »Odyseisia«.

Inny uczyony niemiecki, Lachmann poszedł dalej; rozbił Iliadę na pojedyncze pieśni. Kirchof uczynił to samo z Odyseją. Wywołało to spory po dziś dzień trwające i wielką liczbę książek i rozpraw. Ale co nasunęło uczonym takie przypuszczenia? Sprzeczności, powtarzania się, niedokładności zdarzają się nawet w drukowanych, a więc kilka razy przez autora przeglądanych dziełach, więc byłyby bardzo kruchą podstawą. Przyczyną główną było prawdopodobnie to, że każda niemal pieśń jest pewną zaokrągloną całością, która osobno może być czytana i z zadowoleniem słuchana, jak można osobno czytać jedną lub drugą księgę Eneidy, Boskiej komedyi lub Pana Tadeusza. Wygłaszali je też lub śpiewali osobno starożytni rapsodowie, których odróżniać potrzeba od aoidów, samodzielnych pieśniarzy. Na wyspie Chios zawiązali czciciele (może pierwotnie spadkobiercy, krewni i wielbiciele) Homera niejako bractwo śpiewacze i nazwali się Homerydami t. j. jakby synami Homera — a słusznie powiedział wielki Goethe, że Homerydą być, choćby jednym z ostatnich, jest pięknie.

---

\*) To bowiem oznacza nazwisko Homera rozłożone na *h o m u* (razem) i *a r* (*a r o*, zbieram).

Z czasem obok miłośników czyli amatorów utworzył się niejako fachowy stan rapsodów, roznoszących nieśmiertelne utwory Homera po całej Grecyi i po wszystkich krańcach świata, gdzie mieszkali Grecy, a gdzie ich nie było? Jak przed Homerem, tak i po nim nie było uczty, zebrania, święta, na których najważniejszą częścią zabawy nie byłby występ pieśniarza. Czytamy w *Odyssei*:

Gdzie tylko ludzie zamieszkują,  
Pieśniarzy cześć otacza, wszyscy ich miłują,  
Bo to Muzy uczniowie i jej ulubieńcy.

Wszędzie zatem spiewak taki znalazł chętne przyjęcie i kawałek chleba. Byli to ludzie różnych usposobień i różnych zdolności. Niejeden chciał się popisać własnym talentem, niejednemu niedopisała pamięć; inny znowu dodał coś dla przypodobania się domowi, który go ugaszcział — i tak powstawały ustępy, mniej lub więcej zgrabnie do pierwotnego tekstu przyczepione.

Podczas uroczystości religijnych rzecz była łatwiejsza; spiewak rozpoczynał hymnem na cześć odnośnego boga; na zebraniach prywatnych wyrывая z całości jedną lub kilka pieśni, komponował jakiś mały wstęp i na zakończenie dla zaokrąglenia także coś dodał. Tak z czasem psuł się i rozszerzał pierwotny utwór — i dlatego rozporządził Solon (według innych Pejzystratos), że rapsodom tylko z napisanego egzemplarza pieśni Homera wygłaszać wolno.

Ponieważ rapsodowie przeważnie pojedyncze pieśni wygłaszali i mieli spisane, groziło rozbicie wielkim utworom i dlatego Pejzystratos albo syn jego Hipparchos kazał gronu znawców odtworzyć o ile można najumiejtniej pierwotną całość i sporządzić urzędowe autentyczne wydanie, z którego jedynie wolno było robić odpisy.

Perykles zaś nakazał wygłaszać na uroczystościach religijnych i narodowych całe utwory, a ponieważ jeden człowiek nie mógł temu podołać, przeto rapsodowie zmieniać się mieli kolejno.

Homer doznawał u starożytnych niezmiernej czci; w niektórych miejscowościach, mianowicie w Smyrnie, Chios, Argos i Alexandryi oddawano mu cześć boską i stawiano ołtarze. Wizerunek odbijano na monetach, rzeźbiono biusty i posągi. Dzieła jego zapełniały, rzecz można, całe życie Greków, były podstawą całego wychowania i nauki młodzieży, były jakby biblią narodową Greków, którą nawet chrześcijańscy pisarze nazwali ludzką przedmową do boskiej Ewangelii. »On całą Helladę wykształcił« mówi Platon; od Homera

uczyli się wszyscy, powiada Xenophanes. Cesarz Justynian w Instytucjach tj. prawach (1, 2, 2) tytuł poety nad poetami (kat'exochen) uczynił prawnie obowiązującym. Z Homera uczyli się Rzymianie po grecku, od czytania słabego łacińskiego przekładu rozpoczynała się w Rzymie szkolna nauka. Od niego, jak śpiewa Owidyusz, żywe źródło bito dla wieszczów. Wszyscy późniejsi poeci, nietylko epiccy ale liryczni i dramatyczni, tworzyli pod przemożnym wpływem Homera. Platon nazwał go mistrzem i wodzem wszystkich tragiców, Aristoteles widział w jego epopiejach zarodki dramatycznej poezji, a twórca greckiej tragedyi Aischylos wyznawał skromnie i pięknie, że zbierał tylko okruchy z pod stołu Homera. Niemniejszym uwielbieniem otaczali go najwięksi poeci średniowieczni i nowocześni; przytoczymy tylko Dantego, który cenił go nawet wyżej niż swego ukochanego Wergilego, nazywając «księciem» wzniosłej pieśni, unoszącym się jak orzeł ponad innymi (Inf. 4. 88. nast. 94. nast.). Niemniejszy wpływ wywierał on na prozaików wszelkiego rodzaju. Herodot starał się przejąć właściwość języka i stylu Homera a nawet o Tukidydesie twierdził to samo jego biograf (Roscher). Pisarz ten zresztą sam uważał wielkie epeje za ważne źródło dziejowe, z którego czerpie historyk wiadomości o dawnych zdarzeniach, a filozof podstawne zdania mądrości. Sofiści w liceach (lykeion) wykładali o nim, mowcy głosili jego chwałę, pisarze uwielbiali, nazywając go źródłem wszelkich umiejętności i polihistorem. Najznakomitsi krytycy badali dzieła Homera, rewidowali tekst, objaśniali, wykazywali piękności. Na czele ich stoi Aristarchos z Samothrake (między Ol. 142 i 160, 210 — 140 przed Chr.), bibliotekarz aleksandryjski. Używał największej sławy, tak, że nazwisko jego weszło w przysłowie i dotychczas Arystarchem nazywamy każdego sumiennego i poważnego krytyka. Na odwrót złośliwych a płytkich nazywamy Zoilami, na pamiątkę starożytnego retora Zoila (Zoilos) z Amfipolis, który szukał plam na słońcu t. j. szukał słabych stron w poezji Homera.

Zaledwo wspominać potrzeba, że objaśniaczy (komentatorów), wydawców, tłumaczy, układaczy tak zwanych scholiów, glossariów t. j. słowników tłumaczących rzadsze i trudniejsze wyrazy, było po wszystkie czasy mnóstwo niezliczone. Również naturalną rzeczą było, że niektórzy dowcipnisie w okresie upadku układali parodye t. j. przedrzeźniające utwory.

Do takich należy mylnie i fałszywie przypisywana Homerowi *Batrachomyomachia* t. j. wojna żab z myszami, która po-



mimo słabego pomysłu i wykonania, miała w różnych czasach wielu zwolenników. Na wzór jej powstawały potem różne inne »machie«. Mylnie przypisywano także Homerowi inne utwory jak »Margites«, hymny, epigramy i t. d.

Na polski język tłómaczyli: a) Iliadę: Fr. Dmochowski (r. 1800), Jacek Przybylski (1814), St. Staszic (1815), Jan Zborowski (1866), Paweł Popiel (1880), Augustyn Szmurło (1887). Mają być jeszcze tłómaczenia niewydane i ogłoszono kilka przekładów pojedynczych pieśni (między innymi świetny ale wolny przekład J. Słowackiego). b) Odyseję: Przybylski (1815), Klemens Żukowski (prozą, 1846), Ant. Bronikowski (1859), L. Siemieński (1874).

---

# ILIADA.

**Pieśń I. (Mór. Gniewy. 611 wierszy).** Poeta wzywa Muzę, żeby opiewała gniew Achillesa, syna Peleusa, gniew, który tyle dusz wtrącił do Hadesu, tyle nieszczęść sprowadził. Sprawił to Apollon, syn Latony i Zeusa, i srogą zarazą tępił wojska greckie, zagniewany na Agamemnona z następującej przyczyny. W pochodzie oblęgli byli Grecy Tebę, zburzyli do szczytu i zabrali wszystko, poczem podzielili się niewolnikami i łupem. Naczelnemu wodzowi Agamemnonowi przypadła w udziale branka Chryzeida, córka kapłana Chryzesa. Nieszczęśliwy ojciec, pragnąc wyzwolić ukochaną córkę, ofiarował bogaty okup i gorąco błagał, żeby mu dziecię oddano. Wszystkich wzruszyła prośba, wszyscy byli za tem, żeby jej zadość uczynić — jeden tylko Agamemnon okazał się niewzruszonym. Odprawiony kapłan odszedł w głębokiem milczeniu i w drodze gorąco prosił Apollona o ukaranie Danaów\*). Wystuchał bóg prośby starca i przez dziewięć dni raził strzałami zastępy greckie, tak że ustawicznie płonęły stosy pogrzebu. Dziesiątego dnia zwołał zastępy Achilles na naradę i kazał wieszczkowi Kalchasowi, zapewniwszy mu wolność słowa, powiedzieć, co uważa za przyczynę takich nieszczęść i takiego gniewu boga. Kalchas oznajmił, że sprawiła to zniewaga, jaką wyrządzono kapłanowi, nie wypuściwszy jego córki na wolność. Agamemnon rozgniewany na kapłana, któremu zarzuca, że zawsze tylko nieszczęście mu wróży, oświadcza jednak, że odesła córę Chryzesa, ale za to żąda innego daru. Achilles zarzuca mu chciwość niepomierną, ponieważ on i tak zabrał najwięcej, i z tego powodu powstaje pomiędzy nimi ostry spór, kończący się tem, że Achilles grozi wycofaniem się z walki, Agamemnon zaś zapowiada, że w zamian za córkę Chryzesa zabierze jego brankę, Bryzeidę. Achilles oburzony zamierza rzucić się na Agamemnona, lecz powstrzymała go Atena przysłana przez Herę, która obydwóch miłowała zarówno. Spór stara się ułagodzić sędziwy Nestor, słynny z wymowy »słodszej od miodu«. Achilles oświadcza wreszcie, że o dziewicę nie będzie się potykał w ręcznej rozprawie i na tem wiec zakończono. Aga-

---

\*) Homer nazywa Greków prawie zawsze Danaami albo Achiwami (Achajami) lub Argiwami.

memnon natychmiast polecił Odysseusowi odwieźć Chryzeidę ojcu i złożyć bogate ofiary — a zarazem wyprawił dwóch keryksów (heroldów), Taltybiosą i Eurybata, po córę Bryzesa. Poszli niechętnie, a gdy przybyli do namiotu Achillesa, »stali czcigłęboką ku królowi przejęci i nic mu oznajmić i o nic go pytać nie śmieli«.

Ale on w duszy zmiarkował i do nich w te słowa przemówił:  
Jak się miewacie, heroldzi, Kroniona zwiastuny i ludzi!  
Zbliźcie się! wy mi wcale nie winni, lecz król Agamemnon.  
Nuż Patroklu, Zeusowy potomku, wyprowadź dziewicę  
I uprowadzić im pozwól.

Spokój ten był jednak tylko pozorny. Poszedł na brzeg morza i gorzko płakał, skarżąc się matce Tetydzie. Usłyszała to bogini czci-godna, wychyliła się z morza, jakby mgławica,

I przed obliczem zasiada synowi we łzach tonącemu,  
Ręką go z lekka pogłaszcze i w takie doń ozwie się słowa:  
Czegoż to płaczesz me dziecię! i jaka Ci boleść dojeła?  
Zwierz mi się, w sercu nie skrywaj; niech wiemy to przecie oboje.

Achilles opowiedział wszystko i prosi matki, żeby wstawiła się za nim u Zeusa, który nie odmówi jej pewnie pomocy, pomny wielkiej przysługi, jaką mu niegdyś wyrządziła. (Raz gdy zbuntowani bogowie, a mianowicie Hera, Pozejdon i Pallas Atena skępowali Zeusa, Tetys uwolniła go z więzów, przyzwawszy na Olimp sturamiennego Bryareja, przez ludzi Egeonem zwanego). Użaliła się matka serdecznie nad synem, któremu krótki żywot był przeznaczony, a do tego pełen smutków i cierpień; obiecała wstawić się u Ojca bogów, ale niestety nie zaraz, ponieważ on teraz udał się z innymi bogami do Etiopów na ucztę i dopiero za dwanaście dni miał powrócić na Olimp.

Gdy się to stało, udała się na Olimp we mgle porannej i objawwszy kolana Zeusa, prosiła gorąco, żeby pomagał Trojanom i tym sposobem poskramiał Agamemnona tak długo, dopóki syna jej nie uczci i nie przeprosi za wyrządzoną zniewagę. Zeus zamyślił się i długo siedział w milczeniu, obawiał się bowiem rozterki z małżonką swą Herą, jeżeli Trojanom pomoże, ale wreszcie ulegając ponownej gorącej prośbie bogini, skinieniem głowy (co było u niego największym przyrzeczeniem) obiecał jej wysłuchać. Hera podpatrzyła jednak bytność Tetydy i koniecznie starała się wybadać Zeusa, jaki był cel tych odwiedzin — bo domyslała się, o co chodzi. Ale Zeus odmówił i wielce zasmucił małżonkę.

Nie myśl też sobie, o Hero, ażeby me wszystkie zamiary

Były ci znane: nad twoje to siły, choć jesteś małżonką.

Wprawdzie, co tylko wysłuchać przystoi ci, o tem na przyszłość

Nikt się uprzednio nie dowie z niebianów, jak równie też z ludzi.

Jednak, co uznam za dobre z osobna od bogów przedsięwziąć,

O to ty mnie nie wypytuj po szczegółóle ani też badaj —

Jeżeli nie chcesz, bym na ciebie rękę podniósł straszliwą.

Hefajstos pociesza matkę i radzi jej nie wszczynać sporów z ojcem-niebian i ludzi, który potężniejszy jest od wszystkich i z tronów po-

strącać ich może, czego na sobie najlepiej doświadczył, gdy niegdyś stanął w obronie matki, za co go Zeus rzucił w przepaść za nogę schwycawszy. Cały dzień leciał, aż spadł ledwo żywy na Lemnos. Hefajstos zachęca do uczty, przy której sam usługuje, ze stągwi nektar nalewając słodki. Rozweselili się bogowie, Apollon przygrywał na precudnej cytarze, a Muzy spiewały wdzięcznymi głosami. Potem każdy udał się do swojej komnaty przez Hefajsta wspaniale zbudowanej.

**Pieśń II. (Senne widzenie. Wykaz okrętów 877 w.).** Zeus udał się na spoczynek, ale nie mógł zasnąć i rozważał troskliwie, co zrobić wypada, ażeby stało się zadość prośbie Tetydy. Wysła więc Sen bałamutny do Agamemnona i każe mu uzbroić Achiwów do boju, bo teraz za zgodą bogów będzie mógł nareszcie po dziewięcioletnich trudach pokonać Trojan. Sen przybrawszy postać sędziwego Nestora, wykonał polecenie. Agamemnon zwołał najstarszych wodzów na poufną naradę i opowiedziawszy im, co mu się śniło, zachęca do boju, nie przeczuwając, że z woli bogów poniesie klęskę po klęsce — a zarazem oznajmia zamiar doświadczenia i wypróbowania wojsk pozornem zachęceniem do powrotu. Zwołano więc i Agamemnon wręcz oświadczył, że chociaż dziewięć lat trudy ponoszą, sprawa, o którą chodzi, nie zbliża się do końca. a tymczasem liny i belki okrętów już popróchniały, przeto potrzeba uchodzić do lubej ojczystej krainy, gdzie po nich już tak długo tęsknią żony i dzieci. Wezwanie to bardzo przypadło do przekonania znużonym zastępom — i byłoby przyszło do odwrotu, ale inna była wola bogów, a zwłaszcza nieubłaganej Trojan nieprzyjaciółki, małżonki Zeusa, Hery. Wysła więc wierną i stałą sojuszniczkę swoją Pallas Atenę do obozu, ażeby »grzeczniemi słowami« powstrzymywała wojowników i nie dopuściła spuszczenia okrętów na morze. Atena udaje się naprzód do najmądrzejszego z Achiwów, do Odysseusa, »równego Zeusowi rozumem«. Odysseus zapalony zwolennik wojny aż do skutku, puszcza się pędem po obozie i możliwych grzecznie, pospółstwo surowo, upomina, żeby zostali, a najbardziej przekonywa ich argumentem, że niewiadomo właściwie, co myśli Atryda, i może ich tylko doświadcza, a potem udreńczy. Wszyscy cofnęli się od okrętów i wrócili na pole; jeden tylko niesforny Tersytes mruczał i podnosił bunt, gardłując bez miary. Miał on serce pochopne do swarów, zwłaszcza z królami, i wymyślał im nawet, gdy nie miał słuszności, używając bardzo rubasznych wyrazów dla rozśmieszenia słuchaczy. Najbrzydszy był przytem ze wszystkich, koślawy, garbaty, na jedną nogę utykał, głowę miał spiczastą, wełnistym włosem tylko miejscami pokrytą. I teraz wrzeszczał piskliwie, miotając obelgi na Agamemnona: »Małoż to masz zdobyczy i łupów za naszym staraniem, pragniesz jeszcze więcej? Zaprawdę, nie godzi się dla samolubnych celów na dalsze klęski narażać Achiwów! O! niewieściuchy, baby, nie mężczyźni, wracajmy, a on niech sobie tu sam trawi podarki, które mu daliście, ażeby nareszcie zrozumiał, czy może na nas liczyć. Ot i teraz naprzykład skrzywdził srodze Achilla, lepszego od siebie rycerza, osobiście zabrawszy mu zdobycz. Dobroduszny ten Achilles chyba żółci nie ma w sobie, bo- byś zaprawdę, Atrydo, ostatni raz dzisiaj urągał!«

Za te słowa zuchwałę zgromił go straszliwie Odysseus i zagroził obiciem, a na zadatek ugodził berłem w kark i ramiona, tak że we dwoje się zwinął i zapłakał. Gmin przywiązany do królów pochwalił to poskromienie zuchwalca. Do zgromadzonej rzeszy przemawia świetnie i zręcznie Odysseus. Atena w postaci herolda zaleca ludowi milczenie, żeby i najdalsi dobrze słyszeć mogli mowę wytrawnego i doświadczonego męża. »Teraz królu Atrydo, Achiwi zrobić cię chcą największym ze wszystkich śmiertelnych nędznikiem i nie spełniają przyrzeczeń, że nie powrócą do domu, dopóki nie zburzą warowni Ilionu. Jak dziatwa drobniutka albo owdowiałe niewiasty boleją nad sobą i kwilą o powrót do domu. Nie mam im tego za złe, — ale zanadto brzydko po długim pobycie z próżnemi powracać rękami. O! przyjaciele, przycierpcie, zostańcie do czasu, by poznać, czy prawdziwa była wróżba Kalchasa. Wszak pamiętacie i byliście świadkami: Pod Aulidą składaliśmy bogom przedwieczne ofiary w cieniu młodego jaworu, z kąd piękne źródło tryskało. W tem smok, purpurowy na grzbiecie, wypełził z pod stopni ołtarza i pomknął się w stronę jawora, na którego szczycie, pod liści gęstwiną stulone siedziało w gnieździe ośm ptaszek a matka dziewiąta. Tam świegocące biedaczki okrutnie on pożarł, a matka w koło gniazdeczka latała, nad dziećmi drogiemi bolejąc. Okrutnik pożarł pisklęta i matkę\*) — i za to Bóg, co go zesłał, widocznie dla nas na znamię, zamienił go w kamień — a wszyscy patrzali zdumieni. Wtedy Kalchas odstonił nam niebieskie wyroki: Tak jak tamten pożarł ośmiro a matkę dziewiątą — tak też i my przez lat dziewięć zwodzimy zapasy, a dziesiątego zdobędziem warownię szerokorozsiadłą«. Mowa ta wielkie wywarła wrażenie.

Zapał podniecał jeszcze rycerski starzec z Gerenii Nestor, poparł on poprzedniego mowcę dobitnie, z przymieszką gorzkiej ironii: »Na cóż spieramy się słowami — prowadź nas Atrydo do boju — ci zaś, czy jeden, czy dwóch, co za plecyma toczą narady i drą się do domu — niech marnieją; a z pewnością spotka ich w drodze śmierć przed innymi«. — Mowa ta wielce zadowoliła Atrydę. »Zaprawdę, gdybym tylko dziesięciu posiadał doradców takich jak ty, Nestorze, i gdyby między nami panowała jedność i zgoda, prędko runęłaby warownia moczarza Pryama. Niestety nie ma jedności, ja sam ją podkopałem zadzierając z Achillesem Teraz idźcie wieczerać, a potem opatrzcie zbroję, wozy i konie, ażeby walczyć dzień cały«. Do tego dodał groźbę: »Jeśliby kto stronił od bitwy, nie wymknie się przed psami i ptaactwem drapieżnym«. Achiwi głośno krzyknęli i wieczerali składając ofiary odwiecznym niebianom. Agamemnon zaprosił książąt naczelnych t. j. oprócz wspomnianych (Nestora i Odysseusa) obydwóch Ajasów, Idomenea i dzielnego syna Tydeusa (Tydydę) Dyomedesa; Menelaus przybył z własnej ochoty. Składając Zeusowi w ofierze wołu tucznego, pięcioletniego, modlił się Agamemnon gorąco; Zeus przyjął ofiarę, ale trudu ciężkiego przysporzył — dodaje tu poeta, przygotowując nas na krwawe zdarzenia. Następnie za radą Nestora każe wódz naczelny heroldom zwoływać ludy, które

\*) Porównaj Tren I. Jana Kochanowskiego.

zbierają się bardzo skwapliwie, a modrooka bogini Atena, dzierząca przesławną egidę, podnieca w każdym wojenny zapał tak, że wkrótce wojna wydawała im się słodsza, niż powrót do lubej ojczystej zagrody. Agamemnon odbywa przegląd licznych zastępów. Teraz zwraca się poeta do Muz o pomoc w ich wyliczeniu, bo one, jako córki Pamięci (Mnemozyny) wiedzą wszystko, do ludzi zaś dochodzą zaledwo niedokładne pogłoski.

(Tu następuje — od wiersza 494 do 877 t. j. do końca szczegółowy wykaz wodzów, plemion i okrętów. Krytyka uznała cały ten katalog za podrobiony i dodany w czasach późniejszych).

**Pieśń III. (Przysięgi. Przegląd z murów. Pojedynek Alexandra z Menelausem, 461 w.).** Wojska wyruszają ku sobie pospiesznie, Trojanie z hałasem, Achiwi w milczeniu. Na czele pierwszych szedł Alexander (Parys) i wyzywał najlepszych z pomiędzy Argiwów do orężnej rozprawy — ale skoro wysunął się naprzód Menelaus, nagła ogarnęła go trwoga i cofnął się. Ostro za to złajany przez Hektora, oświadcza gotowość do pojedynku z Menelausem i sam podaje warunki: Kto z wycięży, ten weźmie, względnie zatrzyma Helenę i jej skarby. Hektor oznajmia ten wniosek Achiwom — uradowali się wszyscy — potem posyła po Pryama i każe sprowadzić z miasta jagnięta. Ag. posyła także po jagnięta; Irys przybrawszy postać bratowej, Laodyki, poleca Helenie, żeby się udała na Skajską strażnicę dla przypatrzenia się walce. Helena posłuchała, uczuwszy słodką tęsknotę do męża dawnego, do ojczyzny i rodziny. Towarzyszą jej starce, najpoważniejsi w narodzie, a między nimi Antenor. Pryam zaprasza Helenę, żeby usiadła obok niego i wskazała mu przedniejszych Achiwów. Widok ich napełnia ją żalem i skruczą. »Obym była wybrała najsroźszą śmierć wprzód, nim tu przybyłam, rzuciwszy swe gniazdo i krewnych, czule kochaną dziecinę i grono serdeczne rówieśnic!« Uspokoiwszy się, wskazuje Pryamowi przedniejszych wodzów greckich i kreśli ich główne przymioty. Tymczasem nadchodzi posłaniec Hektora. Pryam udaje się za miasto na równinę — i obie strony zaprzysięgają uroczyste wspomnianą umowę, ofiarując jagnięta. Z wszystkich ust wznosi się gorąca modlitwa do Zeusa i innych bogów. Rozmierzone plac, a potem Hektor wstrząsał w miedzianym szyszaku losy, któremu z obydwóch zapaśników naprzód wypadnie wypuścić kopię miedzią okutą. Wypadł los Alexandra. Wojska siadają w szeregach, zapaśnicy zbroją się.

Naprzód wokoło goleni on kładzie ochronne okucie  
Piękne i szczelnie na kostkach srebrnemi opięte sprzączkami,  
Piersi następnie uzbraja dokoła miedzianym pancerzem;  
Bułat z kolei na plecy zarzuca srebrnogwoździsty,  
Z miedzi wykuty, a potem paizę niezłomną i wielką.  
Głowę potężną pokrywa mu szyszak, misternie zrobiony  
Włosem jeżący się końskim, a kita spływała straszliwie.

Pomodiwszy się rzuca Menelaus kopię z straszliwym zamachem; przeszła powęzę, przedarła się przez pancerz, rozcięta pod spodem

odzienie, nie dotarła jednak do ciała. Potem mieczem ciał z całej siły w grzebień szyszaka, ale miecz prysnął w kawały i wymknął się z dłoni. Menelaus nie dał za wygraną, rzucił się naprzód, a ujawszy kitę szyszaka ciągnął Parysa ku wojskom Achiwów i byłby go niechybnie udusił rzemieniem podpiętym pod szyję, lecz Afrodyta, stała opiekunka Parysa, przerwała rzemień. Teraz rzucił się Menelaus na nowo w szalonym zapędzie, by zabić przeciwnika włócznią miedzianą, lecz Afrodyta okryła go gęstym obłokiem i przeniosła do Troi. Napróżno szukano go — napróżno przebiegał zastępy Menelaus — zwycięstwo jednak było jawne. Ogłosił to Agamemnon i oznajmił Trojanom.

Wy więc Helenę Argiwską i wszystkie dostatki z nią razem  
Macie nam wydać i karę zapłacić, jak słuszość wymaga,  
Taką, by pamięć jej trwała i między najdalszem potomstwem.

#### **Pieśń IV. (Złamanie przysięgi. Przegląd wojsk. Bitwa, 544 w.).**

Bogowie zasiedli do rady w złocistej komnacie; Hebe czcigodna nalewa im nektar do złotych puharów, ale jakoś humoru nie było — a co gorsza, przysłał Zeusowi pokusa słowami drwiącemi podrażnić zawziętą małżonkę. Rzekł więc z przekąsem: Mamy tedy dwie Menelaja patronki w orszaku niebianek, Herę i Atenę, ale one siedzą sobie zdaleka i tylko widokiem się pasą, kiedy Parysowi uśmiechnięta Kipryda (Afrodyta) stale pospiesza z ratunkiem. Zwyciężył zaiste Menelaj; zastanówmy się przeto, jak mamy załatwić tę sprawę: czy na nowo wzniecić walkę morderczą, czy natchnąć przyjaźnią obydwu narody. Ot niechby gród Pryama ostał się w swoich posiadach, a Menelaus niechby zabrał sobie Helenę. Zachmurzyła się na te słowa Atena, ale i słowa jednego rzecz ojcu nie śmiała; zato Hera gniewem wybuchła i stanowczo dopomina się zniszczenia Troi. Napróżno łłomaczy jej Zeus, że ze wszystkich grodów na ziemi najmiłszy mu Ilion i że Pryama i lud jego nadzwyczaj poważa — nieubłagana Hera powiada: I ja mam grody najmiłsze dla mnie, Argos, Myceny i Spartę — ale możesz je zniszczyć, nie będę ci przeszkadzać, byle moja praca nie ztarniała, byle zginęła i Troja. Musimy sobie zrobić wzajemne ustępstwa. Rozkaż więc Atenie, by udała się na pole walki i pobudziła Trojan do złamania przysięgi. Zgodził się Zeus — nie było rady. — Atena biegnie i wyszukawszy syna Likaona Pandara, namawia go, by wypuścił grot na Menelaja; Pandar jej posłuchał i wymierzył celną strzałę. Daremnie odganiała ją od Menelaja Atene »zupełnie jak matka muchę od synka odpędza, gdy ten słodko zasypia« — strzała bowiem przesywszy pancierz, pas i opaskę, zadrasnęła ciało tak, że krew purpurowa z rany bryznęła. Kość niezgody rzucono. Wzdrygnął się Agamemnon i gorzkie czynił sobie samemu wyrzuty wobec brata także przejętego zgrozą: »Na zgubę twoją, bracie kochany, zawarłem przymierze! Otóż zranili cię wrogowie i świętą zdeptali umowę! Lecz nie zmarnieje przysięga i drogo to kiedyś przypłacą«.

»Przyjdzie dzień, jestem tego pewny, w którym zginie Ilion i Pryam i lud Pryama! O gdybyś zginął tu, i gdyby wrogowie miały deptać twoją mogiłę — to niech pochłonie mię ziemia!«

Menelaj pociesza starszego brata, że rana nie jest ciężka. Agamemnon posyła natychmiast po doświadczonego lekarza Machaona; ten przybył rychło, ranę obejrzał, krew wyssał i zręcznie przyłożył gojącą maść, którą ojciec jego Asklepios otrzymał w spuszczźnie od Chirona.

Wtedy Agamemnon z wielką energią zaczyna obchodzić zastępy i do nowej pobudzać je walki, chwając jednych, drugich strofując. Prześliczne światło rzucił tu poeta na serce i charakter Dyomedesa, wspaniałego bohatera pieśni następnej. Strofujące uwagi Agamemnona przyjął Dyomedes w milczeniu, ze skromnością słuchając, ale towarzysz jego Stenelos, syn Kapanea, oburzył się srodze i w ostrej odpowiedzi nazwał mowę Atrydy przewrotną. Wtedy uspokaja go jeszcze waleczny Dyomedes: »Siedź, ojezulku spokojnie, nie gniewaj się. Ja do Agamemnona nie żywię urazy za to, że budzi odwagę Achiwów. Prawda, że w razie zwycięstwa jemu największa dostanie się sława, ale też w razie pogromu największa zgryzota! Więc dalej do dzieła. pomyślmy o dzielnym odporze!\* Rzekł i z rydwanu na ziemię zeskoczył w zupełnym rynsztunku

Chrzęstem straszliwym ozwała się zbroja na piersiach mocarza,  
Kiedy się rzucił; męznego podówczas ogarnąłby przestрах.

Na wszystkich punktach wszczyna się bitwa zawzięta.

A skoro się na Marsa polu wojska znidą,  
Wnet się z puklerzem puklerz, dzida mięsza z dzidą,  
Siła walczy na siłę, tarcza trze się z tarczą,  
Zgiełk się szerzy, pociski na powietrzu warczą,  
Krzyczą zwycięzcy, smutnie wyją zwyciężeni,  
Ziemia płynie od krwawych rozmiękła strumieni.  
Jak z hojnych krynic wyszły dwa bystre potoki  
Spadając po urwiskach wyniosłej epoki:  
Szum straszny się rozlega po całej krainie,  
Nim nurty w przepaścistej połączą dolmie,  
A pasterz zdała słucha, co znaczy ta flaga;  
Tak, gdy ci z sobą walczą, strach i krzyk się wzmaga.

(Przekład Franciszka Dmochowskiego).

Z pomiędzy poległych poeta widocznie żałuje najwięcej Simoejzja, syna Antemia, dlatego, że w kwiecie lat powalił się w proch jak topola i »długu za wychowanie nie spłacił rodzicom«. Gdy Trojanie zaczęli się cofać, dodał im odwagi Apollon: »Bacność. dotrzymać mi kroku synom Argosu! Ich skóra nie kamień ani żelazo, i przecież nie walczy Achilles, lecz przy łodziach przetrawia gnębiącą mu serce zawziętość!«



# ILIADA.

Pieśń piąta\*).

## ŚWIETNE CZYNY DYOMEDESA.

Wtedy to znów Dyomeda Tydydę Pallada Atena  
Siłą i męstwem obdarza, by między wszystkimi Argiwy  
Stał się prześwietnym, i sławę wspaniałą też sobie pozyskał.  
Blask mu niegasły zapala na tarczy, jak również szyszaku,  
Gwieździe jesiennej zupełnie podobny, co wówczas najbardziej  
Jasność roztacza dokoła, gdy z fal Oceanu wystąpi.  
Taki mu ogień zapala na głowie, jak również ramionach,  
Zwraca następnie w tę stronę, gdzie wrzała potyczka wśród tłumu.

Między Trojany był sobie tam Dares, ofiarnik Hefesta;  
Możny i zacny, którego dwóch synów stawało do boju,  
Fegeus i Idej, obyci z wszelkiego rodzaju potyczką.  
Oni zosobna od swoich na jego spotkanie ruszyli;  
Obaj z rydwanu waleczyli, ten pieszo wystąpił na wrogów.  
Ci, kiedy blisko już byli, zdążając ku sobie nawzajem,  
Fegeus kopiję, ścielącą cień długi, najpierwszy wypuścił;  
Ona jednakże przebiegła nad lewym ramieniem Tydydy,  
Mimo, nie tknąwszy samego; z orężem nastaje z kolei  
Syn Tydeusza, i z ręki mu pocisk nie wypadł daremnie:  
W pierś go pomiędzy brodawki ugodził, i z wozu powalił.  
Idej zeskoczył na ziemię, rzuciwszy swój rydwan misterny,  
I nie odważył się na to, by brata, co ginął, zasłonić;  
Nie był by bowiem i sam się wybiegał przed Kerą posępną,  
Lecz go wydzwignął Hefestos, i, zmrokiem okrywszy, ocalił,  
Żeby mu starzec nie uległ zupełnie pod ciężkiem strapieniem.  
Konie więc teraz zajmwszy, ów syn dostojnego Tydea  
Dał towarzyszom, ażeby je pognać do łodzi wypukłych.

\*) W skróceniu. W oryginale wiersz 909.

Skoro waleczni Trojanie ujrzeli, jak z synów Daresa  
Jeden z potyczki umykał, a drugi jak leżał przy wozie,  
Serce im drgnęło. Wszelako Atena o groźnem spojrzaniu  
Tak zaczepnego Aresa zagadnie, za rękę go wzięwszy:

Mordem śmiertelnych zbuczony Aresie, warowni zdobywco,  
Może pozwolim już samym Trojanom się mierzyć z Achiwi,  
Którym z nich sławy wojennej użyczy Wszechrodzie Kronida;  
My zaś oboje ustąpić, i gniewu się Zeusa uchronim?

Rzekła, i wraz zaczepnego Aresa za potrzeby wywodzi.  
Tego następnie sadowi na brzegu wzgórzystym Skamandra.  
Trojan ścisnęli Achiwi, i każdy dowódca położył  
Męża jednego. Najpierwej naczelny król Agamemnon  
Zmiotł Halizonów dowódcę, Hodięgo, na ziemię z rydwanu;  
Kiedy się bowiem odwracał, kopija mu w plecach utkwiała,  
W środku łopatek, że ostrze się nawskróś przez piersi przedarło.  
Runął z łoskotem, i chrzęstem się na nim ozwała zbroica.

Znów Idomeneus powalił tam syna Borosa z Meonii,  
Festa, co przyszedł był z Tarny, żyznemi cieszącej się łany.  
On już dopadał rumaków, gdy wtem go kopiją sterczącą  
Żgnął Idomeneus, wstawiony oszczepem, przy prawem ramieniu.  
Z wozu się stacza, i wnet nienawistna go ciemność ogarnia,  
Zbroje zaś z niego złupili druhowie Idomenea.

Syna Strofiosa, Skamandrja, biegłego myśliwca, następnie  
Włócznią o ostrzu spiczastem Atryda Menelaj powalił,  
Strzelca setnego; albowiem go sama uczyła Artemis  
Razić wszelaką zwierzynę, co lasy ją żywią na górach.  
Lecz nie pomogła mu wtedy Artemis, ochocza pociskom,  
Ani też sztuka rozgłośna miotania pocisków niechybnych;  
Syn go albowiem Atreusa, wstawiony oszczepem Menelaj,  
W grzbiet, gdy się przed nim wymykał, ugodził toczonym dziirytem  
W środku pomiędzy barkami, że piersi mu przeszył naprzestrzał.  
Padł na oblicze, i chrzęstem się na nim ozwała zbroica.

Także Meryon położył Ferekla, Tektona latorośl,  
Wnuka Harmona, co umiał rękoma kunsztowne roboty  
Tworzyć; nadzwyczaj go bowiem lubiła Pallada Atena.  
On Parysowi też równoważące się łodzie zbudował,  
Pierwsze nieszczęścia przyczyny, co wyszły na zgubę Trojanom,  
Również i jemu; gdyż nie znał wyroczeni, przez bogów natchnionej.  
Tego Meryon, jak tylko doścignął w zawziętej pogoni,  
W prawe go łędźwie ugodził, i ostrze przeszło na wylot,  
Padł na kolana, jęknąwszy, a śmierć osłoniła go czarna.

Z rąk Eurypyla też, Euajmonidy, tam poległ Hysenor,  
Syn Dolopiona wielkiego na duchu, co właśnie Skamandra  
Był ofiarnikiem, i czci pośród ludu, jak bóstwo, używał.  
Tego - to wówczas Eurypyl, prześwietny syn Euajmona,  
Wstecz chroniącego się przed nim, dopędził i w ramię ugodził,  
Z mieczem na niego natarłszy, i ciężką odrąbał mu rękę.

Ręka zboczona na ziemię upadła, tamtemu zaś oczy Śmierć purpurowa zakryła, od losu zesłana możnego.

Takie to oni mozoły znosili w zaciętej potyczce.

Ale nie odgadłbyś wówczas, w którego z obudwu narodów Walczy Tydyda zastępach, — Achiwów, czy Trojan jest wrogiem.

Miotał się bowiem po polu, do rzeki wezbranej podobny, Górskiej, co płynie burzliwie, i mosty rozmiata po drodze;

Ani jej izbie potężne przyczołki powstrzymać nie mogą,

Ani też winnie, krzewiących się bujnie, ochronne parkany,

Skoro znienna uderzy, Kroniona wezbrana ulewą;

Pod nią dokoła się ścielą ucieszne ziemianów mozoły:

Tak i przed synem Tydea tłumy się gęste falangi

Trojan, cofając się przed nim, jakkolwiek ilością poważne.

Ale jak tylko go ujrzał prześwieatny syn Likaona,

Jak po równinie się srożył, zmiatając przed sobą falangi,

Zwraca natychmiast swój łuk obłączysty na syna Tydea,

Wprost idącego na przebój, i w prawe dosięgnął go ramię,

W spójnię kirysu; a strzała spiczasta w burzliwym polocie

Ramię mu nawskróś przeszyla, i krwią obryzguje się pancerz.

Wielkim więc głosem zawołał prześwieatny syn Likaona:

Naprzód, waleczni Trojanie, co konie spinacie ostrogą!

Wszak postrzelony najlepszy z Achiwów, i, myślę, niedługo

Pocisk potężny wytrzyma, jeżeli mię tylko w istocie

Mocarz, potomek Kroniona, prowadził, gdym z Likii wyruszał.

Tak się odezwał z przechwałką, a ten pod pociskiem nie uległ,

Ale się cofa i staje na przedzie rydwanów; następnie

Temi słowami zagadnie Stenela Kapaneidę:

Hej, Kapanea potomku kochany, a zesiądź też z wozu,

Żeby mi strzałę z ramienia wyciągnąć ostrokończatą.

Rzekł tak bohater; a Stenel zeskoczył z rydwanu na ziemię;

Staje tuż obok, i strzałę skrzydlatą z ramienia wyciąga:

Krew przez ogniwa kołczugi tryskała, misternie wykutej.

Wtedy wygłasza modlitwę donośny w potyczce Dyomed:

Usłysz mię, córo dziewicza Kroniona, władcy egidy,

Jeśliś mi kiedy i ojcu mojemu życzliwie pomogła

W srogiej rozprawie, to teraz mi łaskę znów wyświadc, Ateno:

Daj mi natrafić na męża, i zbliż go na polot dziirytu,

Tego, co pierwszy mię zranił, i chełpi się, twierdząc zuchwale,

Że już niedługo mi przyjdzie się rozstać z światłością słoneczną.

W takie on słowa się modlił; a prośb wystuchała Atena:

Członki zrobiła zwinnymi, tak ręce, jak nogi u góry,

Blisko też niego stanęła, i słowa skrzydlate przemówi:

Pień ufności obecnie ty walcz, Dyomedzie, z Trojany;

Piersi ci bowiem natchnęłam odwagą, po ojcu dziedzielną,

Mgłęć też z przed oczu rozwiałam, co dawniej pomroką je émiła,

Żebyś rozpoznał dowodnie i boga i męża ziemskiego.

Przeto też teraz, jeżeli by bóg, doświadczając cię, przybył,

Strzeż się do walki wychodzić przeciwko odwiecznym niebianom,  
Oprócz jednego; bo jeśli zrodzona z Kroniona Kipryda  
Stanie na placu, to możesz ją ostrym ugodzić oszczepem.

Tak powiedziawszy, Pallada Atena odchodzi w pospiechu;  
Syn zaś Tydea niezwłocznie w frontowych utonął szeregach.  
Chociaż i przedtem on pragnął gorąco z Trojany się mierzyć,  
Wtedy jednakże potrójnie rozgorzał, jak lew, co go pasterz,  
Który na polu swych gęstowęlnistych pilnuje owieczek,  
Draśnie, gdy parkan owczarni przesadza; wszelako nie zmoże;  
Owszem zaciekłość podnosi; oporu więc potem nie stawia,  
Tylko się kryje w koszarach, a te opuszczone pierzchają.  
Wkrótce też krwią obryzgane pokotem zalegną przy sobie,  
A rozwścieczony napastnik przesadza znów parkan wysoki:  
Tak natarczywie się spotkał z Trojany waleczny Dyomed.

On Antynoa tam zmiótł z Hypejronem, pasterzem narodów:  
Tego nad piersi brodawką ugodził okutym dziirytem:  
Mieczem zaś wielkim tamtego w obojczyk, przy samem ramieniu,  
Ciął, i odrąbał mu ramię od szyi, jak również od grzbietu.  
Rzucił ich, sam za Abantem, jak też Poliidem, się puścił,  
Eurydamanta synami, łómacza sennych widziadeł.  
Snów nie wyjaśnił im jednak staruszek, żegnając się z nimi;  
To też ich trupem położył i złupił waleczny Dyomed.  
Ścigał następnie Toona i Xanta, z Fajnopa obydwóch  
W późnym już wieku zrodzonych; ten smutną gnębiony starością  
Syna innego już nie miał, co mienie by ojca dziedziczył.  
Tamten z oręża ich złupił, wyzuwszy z słodkiego żywota  
Obu odrazu, a łkania i troski zjadliwe starcowi  
W dziale zostały; bo już nie uściskał przybyłych do domu  
Z placu potyczki, a mienie się dalszym dostało krewniakom.

Dwóch Dardanidy Pryama on synów tam także powalił,  
Chromia wraz z Echemmonem, na jednym jadących rydwanie.  
Jako gdy lew, co, na stado rzuciwszy się, kręgi gruchoce  
Ciołka lub krowy, gdy, pasąc się, chodzą po gęstych zaroślach:  
Tak też obudwóch ich syn Tydeusza potężny z rumaków  
Zwalił przemocą na zgubę, i złupił następnie ze zbroi;  
Konie zaś kazał natychmiast odstawić na łodzie wygięte.

Tego gdy ujrzał Eneasza, jak łamał zastępy wojaków;  
Szybko przebiega widownię zapasów i odinął oszczepów,  
Bogom równego szukając Pandara, czy gdzie go nie znajdzie.  
Likaonidę zacnego, dzielnego nareszcie znajduje;  
Stanął przed jego obliczem, i w te się odezwie doń słowa:

Gdzie jest twój łuk, o! Pandarze, i strzały skrzydlate i sława.  
Dalejże, ręce do Zeusa podniósłszy, wypuszczaj-że pocisk  
W tego, co bierze przewagę, i wiele już złego Trojanom  
Zrządził: gdyż z nóg już powalił nie mało walecznych wojaków!  
Chyba że bóg to jest jaki, co w gniewie się zawziął na Trojan,  
Sierząc się z ofiar powodu; bo srodzy są w gniewie niebianie.

Temu znów syn Likaona prześwietny w te słowa odpowie:  
O Eneaszu, szlachetny dowódcu Trojanów pancernych,  
Równym znajduję go wcale chrobremu synowi Tydea,  
Z twarzy miarkując, jak również z szyszaka z potężną przyłbicą,  
Patrząc na konie też; jednak, czy bóg to, napewno ja nie wiem.  
Jeśli to człowiek, jak twierdzą, waleczny syn Tydeusza,  
Nie bez pomocy on boga wyprawia te dziwy, lecz blisko  
Stoi ktokolwiek z niebianów, obłokiem na barkach odziany,  
Który i pocisk szkłydlaty odwrócił, co miał go dosięgnąć.  
Przecieżem strzałem na niego wypuścił i przeszył mu ramię,  
W miłej nadziei, że strącę go wreszcie do Hada przybytków,  
Jednak nie zmożłem go. Bóstwo to jakieś widocznie jest gniewne.  
Przytem też nie mam tu koni i wozów, ażeby ich dosięść.  
Jeśli więc kiedy powrócę i będę na oczy oglądał  
Swoję ojczyznę i żonę i dworzec o stropie wysokim;  
Wtedy niech głowę mi obcy wojownik natychmiast odetnie,  
Jeśli ja łuku owego nie cisnę na ogień płonący,  
W rękach skruszywszy; bo włóczę ze sobą ten grat nadaremnie.

Na to mu znowu Eneasze, dowódca Trojanów, odeprze:  
Nie praw też takich mi rzeczy! dopóty nie będzie inaczej,  
Póki my obaj z tym mężem, na wozie wojennym i z końmi,  
Śmiało do boju nie staniam, i z nim się orężnie nie zmierym.  
Dalejże, siadaj na moim rydwanie, byś poznał dowodnie,  
Jakie to konie trojańskie; jak one umieją po polu  
Tędy owędy harcować, w pogoni, jak również w odwrocie.  
Te nas do miasta zaniosą, jeżeliby znowu przypadkiem  
Zeus Dyomeda Tydydę miał uczcić zaszczytem zwycięstwa.  
Dalej do dzieła, natychmiast mi lejce wytworne wraz z biczem  
Ujmij, ja wozu dosiędę, by toczyć wojenną rozprawę,  
Albo też ty się z nim spotkaj, na głowie mej będą rumaki.

Na to następnie odrzecz mu syn Likaona prześwietny:  
Ty, Eneaszu, sam trzymaj swe lejce i swoje rumaki:  
Raźniej im będzie pod zwykłym woźnicą ten wóz obłączysty  
Unieść, gdy znów przed Tydydą nam z placu by cofać się przyszło.

Tak rozprawiali obadwaj, i, wsiadłszy na rydwan wzorzysty,  
Ręce rumaki zwracają z zapalem na syna Tydea.  
Tych wnet dostrzega Stenelos, prześwietny syn Kapanea;  
Zaraz też zwraca skrzydlate wyrazy do syna Tydea:

O! Dyomedzie Tydydo, ty sercu mojemu najmilszy,  
Dwóch dopatruję ja mężów, idących przebojem na ciebie,  
Obu siłaczów niezmiernych; ten z łukiem wybornie obyty,  
Pandar, przechwała się głośno, że ojcem jest jego Likaon;  
Drugi, Eneasze, znów głosi, że Anchiz go zrodził wspaniały,  
Matką zaś jego bogini Kipyda, z Kroniona zrodzona.  
Nuż, cofnijmy się, wsiadłszy na rydwan, i tak mi nie szalej  
Pośród walczących na czele, byś życia miłego nie stracił.

Nań spoglądając ponuro, przemówi waleczny Dyomed:  
Nic o ucieczce mi nie praw, bo do niej mnie, myślę, nie skłonisz,  
Nie jest mi bowiem wrodzone lęklawie potykać się w boju,  
Albo też chyłkiem umykać: nie tknięte są jeszcze me siły.  
Nie mam ochoty rydwanu dosiadać; ale, jak stoję,  
Na nich uderzę; Pallada Atena mi drżeć nie pozwala.

Takie-to oni rozmowy naprzemian ze sobą toczyli.  
Tamci zaś prędko zbliżyli się, pędząc ogniste rumaki.  
Pierwszy do niego zawołał prześwietny syn Likaona:

Synu niezłomny sławnego Tydea, wytrawny w potyczce,  
Pocisk zaprawdę dolotny nie zgnębił cię, strzała spiczasta!  
Teraz ja będę znów włócznią próbował, czy czasem nie trafię.

Rzekł, i z zamachem wypuszcza kopiję, ścielącą cień długi:  
W tarczę Tydydy ugodził, a tę mu na wylot przeszły  
Ostrze miedziane w polocie, i tuż do pancerza dotarło.

Wrzasnął więc głosem potężnym prześwietny syn Likaona:

Przecież cię w bok ugodziłem naprzestrzał: Co teraz, to, myślę,  
Ty nie pociągniesz już długo, i wielkiś mi zaszczyt zgotowa!

Na to mu, próżen obawy, odeprze waleczny Dyomed:  
Żle wymierzyłeś, chybiłeś! jednakże nie wprzód, jak myślę,  
Dacie wy sobie wytchnienie, aż jeden przynajmniej nie zginie!

Tak powiedziawszy, uderzył; Atena pociskiem kieruje.  
Runął z rydwanu, i chrzęstem się na nim ozwała zbroica,  
Ćmiąca swym blaskiem, dogodna; rumaki zaś w bok się rzuciły,  
Rącze, a tego wraz z siłą i dusza natychmiast odbiegła.

Wtedy Eneasza zeskoczył z paizą i długim oszczepem,  
Bojąc się, żeby Achiwi przypadkiem mu zwłok nie ściągnęli.  
Więc je dokoła obchodzi, jak lew, zaufany w swej sile;  
Włócznią on trzyma przed sobą, i tarczę, sklepioną kulisto,  
Gotów uśmiercić każdego, kto tylko do trupa się zbliży,  
Okrzyk straszliwy wydając; Tydyda zaś w rękę ujmuje  
Kamień polowy ogromny, co dwóch by go mężów nie dźwigiło  
Z tych, co są teraz śmiertelni, a on nim sam jeden wywijał.  
Tym Eneasza ugodził . . . . .

Byłby tam zginął niechybnie Eneasza, dowódca narodów;  
Lecz Afrodyta, Kroniona latorośl, czuwała troskliwie,  
Zatem otacza białemi ramiony swe dziecię kochane,  
Z przodu go płaszczka świetnego fałdami okrywa starannie,  
Tworząc przedmurze od grotów, by jaki z Danaów harcerzy  
Piersi mu miedzią nie przeszły, i życia drogiego nie wydarł.

Syna miłego uniosła więc ona, co prawda, z potyczki;  
Syn Kapanea jednakże nie puścił w niepamięć tych zleceń,  
Które mu spełnić poruczył donośny wśród bitwy Dyomed,  
I pięknogrzywych rumaków Enea dopada, by stamtąd  
Pognać je w stronę Achiwów o zbrojnych goleniach od Trojan.  
Własnych rumaków dosiadłszy, pochwyił za lejce misterne,  
I za Tydydą wnet twardokopytne wypuszcza bieguny

Syn zaś Tydea Afrodytę znów ściga ze srogim oszczepem ;  
Idzie na przebój, i ostrzem toczonem ugodził ją w rękę  
Miękką i pulchną, a włócznia natychmiast przedarła naskórek,  
Płaszcz ambrozyjski przesywszy, co same go tkwały Charyty,  
Zaraz przy dłoni osadzie, a krew nieśmiertelna trysnęła.

Głośno krzyknęła bogini, i syna swojego wypuszcza ;  
Tego na ręce porwawszy, ratuje Zdalekarazący  
W ciemnem obłoku, by jaki z Danaów polotnych harcerzy,  
W pierś ugodziwszy oszczepem, drogiego mu życia nie wydarł.  
Do niej więc wrzasnął potężnie donośny w potyczce Dyomed :

Ustąp, ty córo Kroniona, ze srogiej rozprawy wojennej !  
Wzdrygniesz się, myślę, przed wojną, gdy o niej i z boku usłyszysz.

Rzekł ; a bogini zmieszana odeszła, cierpienia ponosząc ;  
Irys ją wzięła, i z wiatru szybkością uniosła z rozruchu,  
Bolem okropnym trapioną, a piękna jej pleć aż zczerniała !  
Szybko do siedzib więc bogów na Olimp wysoki przybyły ;  
Matka niebiańska swą córę w otwarte przyjmuje ramiona,  
Ręką ją z lekka pogłaszcze i ozwie się do niej w te słowa :

Któż ci z niebianów zniewagę tę, drogie me dziecię, wyrządził ?  
Ranę mi zadał Tydyda, zuchwały bohater Dyomed,  
Za to, żem syna miłego, Enea, z potyczki wyniosła,  
Który ze wszystkich śmiertelnych jest sercu mojemu najmiłszy.  
Teraz to nie są li tylko zapasy Achiwów i Trojan,  
Lecz Danaowie już nawet z bogami wszczynają potyczkę.

Na to następnie odpowie Dyona przemożna bogini :  
Przycierp, me dziecię, i przyjdź-że do siebie, jakkolwiek dotknięta.  
Wielu z nas bowiem, co mamy Olimpu przybytki, cierpiało  
Z ludzi powodu, gotując dla siebie nawzajem strapienia.  
Lecz długowiecznym ten nie jest, co wchodzi w zapasy z bogami,  
Przeto też teraz Tydyda, jakkolwiek jest bardzo potężny,  
Niechaj się strzeże, by ktoś potężniejszy z nim boju nie stoczył ;

Rzekła, i krew nieśmiertelną oburącz obtarła jej z ręki ;  
Ręka się zaraz zgoiła, i ciężkie ustały boleści.

Widząc to Pallas Atena, jak również i Hera władczyni,  
Jeły Zeusowi Kronidzie szydersko docinać słowami.

Pierwsza z nich głos więc zabiera Atena o groźnem spojrzeniu :

Zeusie rodzicu, czy za to, co powiem, nie będziesz się gniewał ?

Widać, że jakąś z nadobnych Achajek skłoniła Kipryda  
Oddać się w ręce Trojanom, co teraz ich strasznie miłuje.

Z tych to Achajek, znać, jakąś po strojnem muskając ubraniu,  
Rączkę pieśczoną o złotą zapinkę niechęący drasnęła.

Rzekła : uśmiechnął się z lekka Wszechrodzie i bogów i ludzi ;  
Złotą do siebie przyzywa Kiprydę, i do niej przemówi :

Sprawy wojenne, me dziecię, nie tobie dostały się w dziale.

Zajmuj się raczej wyłącznie wdzięcznemi sprawami małżeństwa ;

Ares obrotny z Ateną niech sami się troszczą o tamte.

Takie-to oni rozmowy naprzemian toczyli ze sobą.  
Na Encasza zaś napadł donośny w potyczce Dyomed,  
Choć przeświadczony, że ręce samego Apolla go chronią;  
Jednak i boga wielkiego nie uląkł się, ale zaciekle  
Chciał Eneasza uśmiercić i złupić ze zbroi wspaniałej.  
Trzykroć z kolei napadał, koniecznie pognać go pragnąc,  
Ale mu trzykroć odtrącił promienną paizę Apollo.  
Kiedy zaś po raz już czwarty się rzucił, jak demon potężny,  
Okrzyk rozgłośny wydawszy, przemówił doń Fojbos Apollo.

Zmiarkuj się, synu Tydea, i ustąp mi. Nie chciej z bogami  
Stawiać się w myśli na równi; albowiem nie z rodu jednego  
Są nieśmiertelni bogowie i ludzie, chodzący po ziemi!

Bóg tak powiedział; a syn Tydeusza się cofa powoli,  
Gniewu Apolla, zdalekacelnego mocarza, się chroniąc.  
Jednak Enea umieścił Apollo opodał od tłumy,  
I gwałtownego Aresa zagadnie on słowy takimi:

Mordem śmiertelnych zbroczony Aresie, warowni zdobywco,  
Czy też, przybywszy, nie cofnął byś z walki owego wojaka,  
Syna Tydea, co z Zeusem rodzicem by stanął do boju?  
Ranę nasampród Kiprydzie zadaje on w rękę przy zgięciu;  
Potem i na mnie samego uderzył, jak demon zawzięty.

Tak powiedziawszy, usiada na świętych Pergamu wyżynach,  
Trojan szeregi zaś Ares zabójczy, przybywszy, zagrzewał.  
Teraz znów zaczął Sarpedon, i gromił Hektora boskiego:  
Gdzie się podziało twe męstwo, Hektorze, co miałeś je kiedyś?  
Mniemasz, że miasto utrzymasz bez wojska, a przytem związkowych,  
Sam przy pomocy swych szwagrów jedynie i braci rodzonych!  
Z tych tu żadnego obecnie nie mogę zobaczyć, ni dostrzedz,  
Takto my walkę dźwigamy, choć tylko jesteśmy związkowi.  
Wszakże ja sam, sprzymierzeńcem li będąc, zdaleka przybyłem,  
Z Likii, odległej krainy, z nad Xanta pełnego odmetów;  
Tam zostawiłem i żonę kochaną i syna niemowlę,  
Przecież zagrzewam ja Lików, a także i sam się nie lenię.

Rzekł tak Sarpedon; a słowo to duszę Hektora ubodło.  
Zaraz z rydwanu na ziemię zeskoczył w zupełnym rynsztunku.  
Dwiema ostremi włóczniami wstrząsając, po wojsku przebiegał,  
Serca do walki dodając, i wzbudził zaciętą potyczkę.  
Ci odwrócili się szybko, i wobec Achiwów stanęli.  
W zwartych czekali szeregach Argiwi, i ani nie drgnęli.  
Jako gdy plewy unoszą się z wiatrem po świętych klepiskach,  
Wówczas gdy wieją rolnicy, i kiedy to płowa Demetra  
Ziarno od łuski oddziela pod wiatru porywczym powiewem;  
Kupy też plew się bieleją z daleka: tak wtedy powierzechu  
I Achiwowie zbieleli od kurzu, co w górę po szykach  
Parł się, w niebiosa miedziane się wznosząc z pod kopyt rumaków,  
Znowu do boju pędzących; gdyż wozy zwrócili woźnice,



Wstępny też bojem kroczyli wojacy. Dokoła ciemnością  
Ares zaczępną osłonił potyczkę na korzyść Trojanów.

Sam Eneasza tymczasem z przybytku świątyni bogatej  
Wywiódł, i piersi pasterza narodów odwagą napełnił.  
Wśród towarzyszków zawitał Eneasza, a ci się radują,  
Kiedy ujrzeli, że żyje, i do nich bez szwanku powraca,  
Pełny niezłomnej odwagi; jednakże nie pytał go żaden;  
Inne im bowiem nie dało zajęcie, co Fojbos je zdarzył,  
Tudzież i Ares morderca, Niezgoda też, zwady niesyta.

Wtedy obadwaj Ajasi, Odysseus też wraz z Dyomedem  
Bodźca do walki dodają Danaom, jakkolwiek i sami  
Ani natarcia Trojanów nie zlekli się, ani też krzyków;  
Ale, jak wryci, czekali, podobni do chmur, co Kronion,  
Na niebotycznych gór szczytach je wieszka wśród ciszy powietrznej.  
Syn Atreusza przebiega szeregi, i często zaleca:

Bądźcie mężami, wiarusy, i serce dzielnością uzbrojcie!  
Jeden drugiego niech uczci wzajemnie wśród burzy wojennej!  
Z tych, co się wzajem szanują, poległych jest mniej, niżli żywych;  
Zbiegom zaś wcale ni sława nie znaczy się, ani ratunek!

Rzekł, i kopiję potężną wypuszcza, i w pierwszym szeregu  
Zmiotł Eneasza on druha, bitnego Deikoonta,  
Syna Pergasa, którego, narówni z synami Pryama,  
Czcili Trojanie, gdyż skory był walczyć w frontowych szeregach.  
Tego więc w tarczę ugodził oszczepem król Agamemnon;  
Ciosu nie zniosła paiza: naprzestrzał ją ostrze przeszyło,  
I zatopiło się w dolnym żywocie, przez pas się przedarłszy.  
Runął z łoskotem, i chrzęstem ozwała się na nim zbroica.

Teraz Eneasza położył najlepszych wojaków z Danaów,  
Syna Dyokla, mężnego Kretona, wraz z Orsilochem.  
W Ferze, warowni wspaniale wzniesionej, zamieszkał ich ojciec,  
W środku do życia zasobny, a ród od Alfea wywodził,  
Który swe prądy szeroko rozłącza w Pylosu krainie.  
Synem Alfea był władca nad wielu mężami Orsiloch;  
Znowu Orsiloch był ojcem Dyokla, wielkiego na duchu;  
A Dyoklowi w pałacu się dwaj urodzili bliźniacy,  
Kreton i boski Orsiloch, świadomi wszelakiej potyczki.  
Obaj, jak tylko dosięgli młodości, na czarnych okrętach  
Poszli z innymi Argiwy pod lilion, bogaty w rumaki,  
Sławy dla obu mocarzów, potomków Atrea, szukając  
W boju. Obudwóch tam los ostatecznej zagłady zagarnął.  
Jako dwa lwięta, co rosły na góry urwistej wierzchołku,  
W kniei zamierzełej dąbrowy, przez matkę troskliwie karmione;  
Oba już woły i tłuste barany chwytają przemocą,  
Ludzkie siedliska też niszczą ze szczętem, aż wreszcie i same  
Z ręki człowieka padają, rażone ostremi pociski:  
Taką to siłą zuchwali obadwaj z prawicy Enea  
Legli w kurzawie, do jodeł o szczytach wyniosłych podobni.

Losem poległych dotknięty waleczny bohater Menelaj,  
Miedzią promienną okryty, natychmiast przez pierwsze szeregi  
Zbliża się, włócznie wstrząsając; a serca mu Ares dodawał,  
Mając na myśli, by uległ pod ręką dzielnego Enea.  
Tego gdy ujrzał Antyloch, ów syn dostojnego Nestora,  
Poszedł przez pierwsze szeregi; gdyż zląkł się o ludów pasterza,  
Żeby nie uległ, i cała im praca na marne nie poszła.  
Obaj ci tedy trzymali ramiona i ostre oszczepy,  
Wzajem ku sobie zwrócone, pałając pragnieniem potyczki.  
Stanął nareszcie Antyloch przy boku pasterza narodów:  
W miejscu nie dotrwał Eneas, jakkolwiek był dzielnym wojakiem,  
Widząc, że dwaj ci mężowie odważnie mu czoło stawiają.

Ujrzał ich Hektor wśród szyków, i prosto też na nich uderza  
Z wielkim okrzykiem, a za nim ciągnęły Trojanów falangi  
Dzielne; na czele ich kroczy sam Ares i groźna Eno:  
Ona, rozruchem owiana wojennym i wrzawą okrutną;  
Ares zaś, w rękach straszliwym oszczepem szermując dokoła,  
Już to poprzedzał Hektora, już w ślady tamtego wstępował.

Wzdrygnął się, skoro go ujrzał, Dyomed donośny w potyczce.  
Jak gdy podróżny, przeszedłszy rozległe obszary, w zwątpieniu  
Staje nad rzeką, co prądy bystrymi podąża do morza,  
Widząc ze zgrozą, jak huczy spieniona, i wstecz też się zwraca:  
Tak też ustąpił napowrót Tydyda, i rzekł do drużyny:

Mili, i czegoż my tak podziwiamy boskiego Hektora,  
Że się i włócznie rozślawił, i chrobry jest z niego wojownik?  
Wszakże z nim zawsze ktoś kroczy z niebianów, i zgubę oddała!  
Teraz też przy nim jest Ares, jak człowiek śmiertelny z pozoru!  
Nuże, do Trojan statecznie zwracając oblicze, ku swoim  
Wstecz ustępować, i walki zuchwałej z bogami nie wszczynać!

Rzekł tak bohater; a blisko nadeszły już Trojan falangi.  
Hektor usmiercił tam dwóch doświadczonych w potyczce wojaków,  
Anchialosa, jak też Menestesa, na jednym rydwanie.

Losem poległych dotknięty olbrzymi ów syn Telamona  
Stanął bliżutko, podszedłszy, i cisnął błyszcącym oszczepem;  
W Amfia ugodził on, syna Selaga, co w grodzie Paizu  
Mieszkał zamożny i w pola bogaty; jednakże go dola  
Wiodła, dla dania pomocy, do króla Pryama i synów.  
Tego więc w pas ugodził ów Ajas, syn Telamona,  
Tak iż kopija, ścieląca cień długi, uwięzła mu w brzuchu.  
Z głuchym upada łoskotem. W tem Ajas prześwietny doń skoczył,  
Żeby ze zbroi go złupić; lecz chmurę oszczepów Trojanie  
Ostrych, błyszczących puścili, i wiele z nich w tarczy uwięzło.  
Zdjął go też strach osaczenia silnego przez Trojan wyniosłych,  
Którzy go liczni i dzielni opadli, wstrząsając włóczniami.

Takie-to oni w zaciętej potyczce znosili mozoły.  
Wtem Tlepolema, Herakla potomka, wielkiego, dzielnego

Los wszechpotężny na bogom równego gnał Sarpedona.

Ci, kiedy blisko już byli, zdążając ku sobie nawzajem,  
Syn, tudzież wnuk, owianego czarnymi chmurami Kroniona,  
Pierwszy Tlepołem przemówi do niego, i rzecze te słowa:

Lików dowódcu, czyż tobie potrzeba, o! cny Sarpedonie,  
Śtańc się tutaj lekliwie, gdyś mężem, co nie zna potyczki?  
W tobie snąć serce nikczemne, i wojska, co wieszysz, marnieją;  
To też, jak myślę, nie będziesz stanowił przedmurza dla Trojan,  
Z Likii przyszedłszy w te strony, choć mężnym byś nawet był bardzo;  
Ale, przezemnie zgębiony, do bram się Hadesa dostaniesz!

Temu znów boski Sarpedon, Likijski dowódca, odeprze:  
Tobie przeciwnie ja śmierć zapowiadam, i Kerę ponurą.

Tak-to powiedział Sarpedon; a wtem Tlepoemos bohater  
Wzniósł jesionową kopiję, i długie oszczepy obydwóch  
Z ręki współcześnie wypadły: Sarpedon wroga ugodził  
W szyję pośrodku, że ostrze się z tyłu nawyłot przedarło,  
Temu zaś oczy natychmiast okryła ponura pomroka.  
Ale przy lewem znów biodrze Tlepołem też żgnął Sarpedona  
Włócznią sterczącą, a ostrze burzliwe przedarło się nawskróś,  
Kości dotarłszy: zagładę mu jeszcze odwrócił Wszechrodziec.

Więc Sarpedona, boskiego wynieśli szlachetni druhowie  
A Tlepolema Achiwi o zbrojnych wspaniale goleniach.  
Spostrzegł to Odys szlachetny: do głębi więc duszy wzburzony  
Zaczął następnie rozważać w swem sercu, jak również w umyśle  
Czy za Kronidy, rozgłośnie grzmiącego, ma puścić się synem,  
Czyli też Lików liczniejszą gromadę pozbawić żywota.  
Lecz przeznaczenie nie chciało, ażeby wspaniały Odysseus  
Miedzią śpiczastą uśmiercił waleczną Zeusową latorośl;  
W Lików więc zastęp odwagę mu wtedy zwróciła Atena.  
Tam Alastora, Kojrana, jak również i Chromia powalił,  
I Haliosa z Alkandrem, jak też Neomena z Prytanim.  
Jeszcze by Lików był więcej natracił szlachetny Odysseus,  
Gdyby nie zważał był bacznie nań Hektor w buńczucznym szyszaku:  
Przebiegł frontowe szeregi, w promienną miedź uzbrojony,  
Postrach przynosząc Danaom; lecz z jego przybycia się cieszył  
Syn Kroniona, Sarpedon, i słowo mu skargi wypowie:

Synu Pryama, nie dopuść mi tutaj na pastwę Danaom  
Leżeć, i ratuj mię przecież. Niech wtedy me życie dobiegnie  
W waszej warowni; gdyż losy widocznie mi tego wzbraniają,  
Zebym, do domu wróciwszy, do lubej ojczystej krainy,  
Żonę kochaną i syna niemowlę radością napełnił.

Rzekł tak: a Hektor w buńczucznym szyszaku nic na to nie odrzekł;  
Ale go mija, gorejąc pragnieniem, ażeby coprędzej  
Odbić Argiwów, i wielu z nich życia miłego pozbawić.  
Więc Sarpedona, niebianom równego, szlachetni druhowie  
Kładą pod bukiem wspaniałym Kroniona, władcy egidy;  
Tam jesionową kopiję mu z biodra wyciąga na zewnątrz

Dzielny Pelagon, co był towarzyszem mu broni kochanym.  
Ranny odchodzi od zmysłów, i mgła mu na oczy spłynęła.  
Wkrótce jednakże odetchnął, a wiatru z północy powiewy  
Tehnieniem go krzepią ożywczem, zaledwie już dyszącego.

Parte przez boga Aresa i miedzią zbrojnego Hektora  
Wojsko Argiwów ku czarnym się łodziom nie bierze w odwrocie,  
Ani na przebój nie idzie do walki; bez przerwy li tylko  
Cofa się wstecz, gdy wiadomość ich doszła, że Ares wśród Trojan.

Kogo tam naprzód, a kogo na końcu pozbawił żywota  
Hektor, potomek Pryama, jak również i Ares miedziany?

Bogom równego Teutranta, a przytem woźnicę Oresta,  
I Ojnomada wraz z Trechem, walecznym Etolskim junakiem,  
I Ojnopidę Helena, i w pasie zwinnego Orezbia,  
Który siedlisko miał w Hyle, o mienie nadzwyczaj zabiegły,  
Nad Kefizydy jeziora brzegami; a przy niem w sąsiedztwie  
Inni Beoci mieszkali, żyznemi się ciesząc niwami.

Ale, jak tylko spostrzegła to Białoranienna bogini,  
Że wytępiają Argiwów Trojanie w zaciętej potyczce,  
Zaraz do Pallas Ateny przemówi te słowa skrzydlate:

Przebóg! ty córo dziewicza Kroniona, władyki egidy,  
Czcze przyrzeczenie zaprawdęśmy dały młodszemu Atrydzie,  
Że warownego Ilionu pogromcą do domu powróci,  
Gdy Aresowi zgubnemu pozwolim tak srożyć się w szale.  
Dalej do rzeczy, obiedwie pomyślm o dzielnym odporze.

Rzekła: a chętnie jej słucha Atena o groźnem spojrzeniu.

Tamta, zabrawszy się, konie z złotemi nagłówki zaprzęga,  
Hera naczelną bogini, zrodzona z wielkiego Kronosa;

Hebe natychmiast do wozu jej koła zakłada okrągłe,  
Z miedzi wykute, z sprychami ośmioma, na osie żelazne.

Wiecznie są trwałe ich dzwona złociste, a na nich po wierzchu  
Szczelnie okute są szyny miedziane, cudowne dla oka.

Piasty ze srebra jaśnieją, misternie wokoło toczone.

Spięte pasami ze złota i srebra siedzenie bujało.

Poręcz przesłiczna podwójna obiega dokoła rydwanu.

Dyszel ze srebra na przedzie wystaje; na jego zaś końcu  
Jarzmo wspaniałe ze złota przytwierdza, i przez nie przewleka

Szle złociste przesłiczne, a potem pod jarzmo wprowadza  
Hera polotne rumaki, potyczki i wrzawy spragniona.

Ale Atena, zrodzona z Kroniona. władyki egidy,

Zrucza w pałacu rodzica swą miękką szatę wzorzystą,

Co ją i sama utkała, i swemi wyszyła rękoma;

Chmurowładnego Kronidy następnie zbroićę przywdzawszy,

Na opłakaną wyprawę wojenną w rynsztunek się zbroi.

Patrz, na ramiona zarzuca kwastami ozdobną egidę,

Zgrozę budzącą, co postrach ją wieńcem otacza dokoła:

Jest tam i Kłótnia i dzielna Obrona i Pogoń okropna.

Jest tam prócz tego i głowa Gorgony, groźnego potwora,

Straszna, okropna, zjawisko, na postrach przez Zeusa zesłane.  
Szyszak włożyła z dwustronną przyłbicą, o czterech grzebieniach,  
Nogą stąpiła na rydwan promienny, i włócznie ujęła.  
Hera wraz biczem trąciła niezwłocznie do biegu rumaki;  
Wrota się same ze skrzypem otwały, co Hory ich strzegą,  
Których staraniu zleczone są wielkie niebiosa i Olimp,  
Czy-to odchylić chcą, czy też nasunąć cieniste obłoki.  
Tędy boginie kierują powolne ostrodze rumaki.

Syna Kronosa znalazły, jak zdala od innych niebianów  
Siedział na turni najwyższej Olimpu o wielu wierzchołkach.

Tam zatrzymały rumaki, a Białoramienna Bogini

Zeusa Wszechwładcę badawczo zagadnie w te słowa skrzydlate:

Zeusie rodzicu, czy za złe nie bierzesz tych gwałtów Aresa,  
Który wygubił tak wiele świetnego rycerstwa Achiwów  
Wcale niesłusznie? Mnie martwi to! Tamci tymczasem się cieszą,  
Wolni od troski, Kipryda i Zdalarazący Apollo,  
Tego szaleńca podszechuwszy, co nie zna słuszności bynajmniej!  
Ojczy, czy będziesz się na mnie więc gniewał, jeżeli Aresa  
Z pola orężnych zapasów wypędzę razami srogimi?

Na to odeprze jej Zeus, w piorunowych chmurach władzący:  
Żwawo więc, wzbudź przeciw niemu Atenę, zdobyczy dawczynią,  
Która ciężkimi ciosami dotykać go zwykła najwięcej!

Rzekł; a z rozkoszą usłucha go Białoramienna Bogini.

Biczem zacięła do biegu, a konie ochoczo leciały

W środku pomiędzy gwiazdzistym niebiosów sklepieniem i ziemią.

Ile w zamglonej oddali dopatrzy śmiertelnik oczyma,

Siedząc na szczycie strażnicy, i patrząc na morze ponure:

W takich poskokach też rżące rumaki niebianek sadyliły.

Ale, jak tylko przybyły nad rzeki, płynące pod Troją,

Tam gdzie swe prądy Simoejs łączy z prądami Skamandra,

Zaraz wstrzymała rumaki swe Białoramienna Bogini,

Z wozu wyprzągłszy, i obłok dokoła roztacza cienisty.

One tam szły, do pierzchliwych gołębic z chodu podobne,

Pragnąc gorąco udzielić pomocy Argiwskim junakom.

Ale, gdy tam już przybyły, gdzie w liczbie największej najlepsi

Stali przy synu Tydea, potężnym rumaków pogromcy,

W tłumnych zastępach, do lwów, swoją zdobycz szarpiących, podobni,

Albo do leśnych odyńców, co sił niezmożonych są pełne...

Tam zatrzymała się Białoramienna Bogini, i wrześnie,

Postać Stentora przybrawszy, mężnego, o głosie miedzianym,

Który gardłował tak głośno, jak innych śmiertelnych pięćdziesiąt.

Wstyd, Argiowowie, ohydni gnuśnicy, z pozoru wspaniali,

Pókiście jeszcze chodzili do boju z szlachetnym Achillem,

Póty za Troi bramami nie śmieli ni razu Trojanie

Wojować; drżeli albowiem przed włócznie potężną Achilla!

Teraz zaś zdala od miasta, przy łodziach wypukłych hulają!

Temi słowami roznieca we wszystkich odwagę i męstwo.  
Ale do syna Tydeusa pospiesza Pallada Atena ;  
Tego mocarza przy wozach i koniach znalazła bogini ,  
Właśnie gdy chłodził swą ranę , i tak się do niego odezwie :

Mało podobny do ojca jest syn odważnego Tydea !  
Drobny był wprawdzie postawy Tydeusz , a jaki wojownik !  
Nawet , pamiętam , gdym kiedyś do walki mu stawać wzbraniała ,  
I popisywać się męstwem , gdyż , posłem to Teb wyprawiony ,  
Poszedł bez pocztu Achiwów pomiędzy Kadmeów bez liku ;  
Rozkaz też dałam , by siedział spokojnie przy uczcie w komnatach .  
On tam jednakże dowodził burzliwej odwagi , jak dawniej :  
Młodych Kadmeów wyzywał i odniósł zupełne zwycięstwo  
Bez wysilenia ; tak dzielną dla niego jam była pomocą .  
Wprawdzie i tobie ja stoję przy boku , i czuвам nad tobą ,  
I do rozprawy ochotnej z Trojany ci serca dodaję ;  
Ale ci członki ustały , być może , z wysiłków nadmiernych .

Na to następnie odeprze jej mężny bohater Dyomed :  
Ja cię poznaję , bogini , ty córo władzyki egidy ,  
Prawdę ci przeto wypowiem otwarcie , bez wszelkiej obłudy .  
Ani mię strach nie krępuje bezduszny bynajmniej , ni gnuśność ;  
Ale danego mi przez cię zlecenia jam pomny dotychczas :  
Tyś mi szczęśliwych niebianów do boju wyzywać wzbroniła ,  
Wogóle innych ; lecz gdyby Kipryda , z Kroniona zrodzona ,  
Wyszła do walki , to miałem ugodzić ją miedzią spieczastą .  
Oto , dlaczego ja teraz się cofam , a nawet i innym  
Rady udzielam Argiwom , by wszyscy się tutaj zebali ;  
Gdyż rozpoznaję Aresa , co w bitwie sprawuje dowództwo .

Temu odparła następnie Atena o groźnem spojrzeniu :  
O ! Dyomedzie Tydydo , ty sercu mojemu najdroższy ,  
Nie bój się ani Aresa na przyszłość , ani też z innych  
Niebian nikogo : tak dzielną dla ciebie ja jestem pomocą !  
Dalejże , wprost na Aresa poganiaj tętniące rumaki !  
Ugódź go z blizka , i nie trwoż się wcale przed bogiem zaczepnym ,  
Przed tym szaleńcem , niedolą przez ludzi stworzoną , wietrznikiem ,  
Który mi temu niedawno i Herze swem słowem był przyrzekł  
Walczyć przeciwko Trojanom , Achiwom zaś spieszyć z pomocą ,  
Teraz tymczasem z Trojany przestaje , na tamtych niepomny !

Rzekła , i wraz Stenelosa zepchnęła z rydwanu na ziemię ,  
Ręką od tyłu ściągnąwszy , a tamten co prędzej odskoczył ;  
Sama następnie zajęła to miejsce przy boskim Tydydzie ,  
Bicz pochwyciła i lejce Pallada Atena , i zaraz  
Spiesz , i wprost na Aresa kieruje tętniące rumaki .  
Ten Peryfanta tam właśnie zabijał dzielnego młodziana .  
Ci kiedy blisko już byli , zdążając ku sobie nawzajem ,  
Ares morderca nad jarzmem i koni lejcami się wspina  
Z włócznią miedzianą , pałając pragnieniem zagarnąć mu duszę ;  
Ale Atena o groźnem spojrzeniu , chwyciwszy ją ręką ,

Precz od siedzenia odtrąca, że w marnym świstnęła polocie.  
Znowu z kolei uderzył donośny w potyczce Dyomed  
Włócznieą miedzianą; a tę utopiła Pallada Atena  
W dolnej połaci żywota i skórę mu piękną przecięła;  
Włócznieą następnie wyciąga. Zaryczał więc Ares miedziany,  
Jak jedenaście tysięcy zawrzeszczy, albo dwanaście  
Mężów na wojnie, gdy zwałę nieszczęsną wszczynają zawzięci.  
Dreszcz wraz z nienacka ogarnął Achiwów, zarówno jak Trojan,  
Strachem przejętych: tak ryknął ów Ares, potyczki niesyty.

Jakiem się zdaje powietrze, od czarnych chmur zasępione,  
Gdy zawierucha szalona po dziennym upale się zerwie;  
Takim się wydał synowi Tydea ów Ares miedziany,  
Kiedy, pospołu z chmurami, w szerokie się wznosił niebiosa.  
Szybko przybywa do bogów siedliska, stromego Olimpu;  
Siada przy Zeusie, potomku Kronosa, na duszy zbołały,  
I nieśmiertelną mu krew pokazuje, co z rany płynęła,  
A, wybuchając skargami, do ojca przemówi w te słowa:

Ojcze, czy za złe nie bierzesz tych gwałtów, na które spoglądasz?  
Zawsze zaprawdę bogowie najsrożej bywamy dotknięci,  
Skutkiem wzajemnych poduszczeń, gdy ludziom świadczymy przysługi.  
Ciebie my wszyscy winujem: tyś zrodził szaloną dziewicę,  
Ta Dyomeda, dumnego Tydydę, obecnie podszczuła,  
Żeby przeciwko odwiecznym niebianom swą srogość wywierał.  
Naprzód, napadłszy Kiprydę, kaleczy ją w rękę przy zgięciu,  
Potem zaś na mnie samego uderzył, jak demon potężny;  
Szybkie mnie nogi jednakże uniosły; w przeciwnym zaś razie  
Długo cierpienia bym znosił wśród trupów okropnej nawały,  
Albo też miedzi ciosami za życia bym z sił był wyzuty.

Nań spoglądając ponuro, przemówi tak Zeus chmurowładny:  
W swej przychylności niestały, nie zawódź mi wcale, tu siedząc.  
Tyś mi najbardziej jest wrogi z niebianów, mieszkańców Olimpu:  
Zawsze ci bowiem rozterka jest miła i wojna i bitwa.  
Matki jest w tobie gwałtowność nieznośna, do ustępstw niezdolna,  
Hery, co ja ją słowami poskrwiam częstokroć z trudnością. —  
Przeto, jak myślę i klęskę obecną jej radom zawdzięczasz;  
Ale zaiste nie ścierpię, by bole cię dłużej trapiły.

Zeus tak powiedział i kazał uleczyć go Pajeonowi.

— 100 —

# ILIADA.

Pieśń szósta\*).

## Pożegnanie Hektora z Andromachą.

Już osamotniał więc bój ów zacięty Trojanów z Achiwy ;  
Gęsto się jednak po polu miejscami srożyła potyczka ,  
Tych , co wzajemnie miotali na siebie miedziane oszczepy ,  
W środku , pomiędzy prądami dwóch rzek , Symoenta i Xanta .

Ajas najpierwszy , ów syn Telamona , przedmurze Achiwów ,  
Złamał Trojańską falangę , i światło swym ziomkom rozniecił ,  
Zmiółwszy wojaka , co był najdzielniejszy pomiędzy Trakami :  
Był - to Akamas , latorośl Eussora , potężny i rośły .

Zabił następnie Axyla donośny wśród bitwy Dyomed ,  
Syna Teutranta , co mieszkał w Aryzbie , wspaniale wzniesionej ,  
W środku do życia zasobny , i miłość u ludzi posiadał ;  
Wszystkich albowiem przyjmował w gościnę , mieszkając przy drodze  
Ale mu nikt z nich natenczas nieszczęsnej nie odparł zagłady .

Potem niebawem Adresta Menelaj , donośny w potyczce ,  
Pojmał żywego , gdyż konie spłoszone po polu go niosły ;  
Lecz w tamaryszka gęstwinie splątawszy się , dyszel giętego  
Wozu na przedzie złamały , a same się rwały na oslepe  
W stronę warowni , któredy i inne spłoszone pędziły .  
Tamten się stacza z pięknego siedzenia , i spada przy kole ,  
Wprost na oblicze , w kurzawę . Wtem tuż mu przy boku się zjawia  
Syn Atreusza , Menelaj , z kopiją , ścielącą cień długi .  
Więc też Adrestos , kolana ująwszy , pokornie go błaga :

Ocal mię , synu Atrea , i przyjmij stosowne wykupne .  
Wiele jest skarbów złożonych u mego możnego rodzica ,  
Miedzi i złota , a także żelaza , kutego wytwornie .

Rzekł tak Adrestos , i serce też w piersi nakłaniał tamtemu .  
Już go zamierzał niezwłocznie do szybkich okrętów Achiwów  
Przez służebnego swojego odstawić , gdy w tem Agamemnon  
Pędem do niego przybiega , i , gromiąc go , rzecze w te słowa :

\*) W skróceniu. W oryginale 529 wierszy.



O Menelaju, łaskawco, dlaczegoż się o nich tak bardzo troszczysz? Prześliczne zaiste w pałacu twym działy się rzeczy, Dzięki Trojanom! z nich żaden niech nagłej nie ujdzie zagłady. Plemię trojańskie niech zginie bez czci pogrzebowej i wzmianki.

Byliby znowu Trojanie przed Argów synami mężnymi W Ijum szukali schronienia, dla braku odwagi złamani, Gdyby, dopadłszy Hektora, jak też Eneasza, nie wyrzekł Był Pryamida Helenos, najpierwszy ze wszystkich wróżbitów:

Ty, Eneaszu, i ty, o! Hektorze, gdy na was spoczywa Praca naczelna, więc lud przed bramami pierzchliwy wstrzymujcie; Skoro zaś wszystkim falangom odwagi do bitwy dodacie, My z Danaami będziemy walczyli, na miejscu tu stojąc, Chociażby bardzo ścieśnieni, gdyż nagła konieczność zniewala; Ty zaś, Hektorze, do miasta się udaj i powiedz tam zaraz Swej rodzicielce i mojej: niech, zacne zebrawszy matrony, W górnej warowni, w świątyni Ateny o groźnem spojrzeniu, Kluczem podwoje świętego przybytku otworzy; następnie Szatę, co jej najstrojniejszą i oraz największą się wyda, Niech na kolanach Atenie przemożnej bogini ją złoży, Tudzież ślubuje dwanaście jałowic poświęcić w przybytku, Rocznych, co jarzma nie znają, jeżeli się tylko uzali Miasta i niewiast Trojańskich, jak również młodego potomstwa, I nie dopuści potomka Tydea do grodu świętego, Tego dzikiego wojaka, zwiastuna srogiego pogromu, Co najdzielniejszym go mienię z całego narodu Achiwów! Ani Achilla-śmy nigdy się tak nie lękali, hetmana, Który jak mówią, z bogini się rodzi! I jakże okropnie Tamten się sroży! W potędzie z nim zrównać się żaden nie zdoła!

Rzekł tak bohater; a Hektor powolny był brata wezwaniu. Glaukos znów, syn Hippolocha, obecnie z odważnym Tydydą W środek pomiędzy zastępy wychodzą, spragnieni potyczki. Ci, kiedy blisko już byli, zmierzając ku sobie nawzajem, Pierwszy do Glauka przemówi donośny w potyczce Dyomed:

Któż - to ty jesteś, junaku z śmiertelnych wielojęzycznych? Nigdy cię bowiem nie widział w zaszczytnej dla mężów potyczce Przedtem; a teraz toś znacznie się naprzód przed wszystkich wysunął, Tylko nieszczęsnych rodziców synowie z mem męstwem się mierzą! Jeśli zaś z grona niebianów, z Olimpu, zstąpiłeś na ziemię, To co innego: z bogami niebiany nie będę ja walczył, Wszak i Dryanta potomek, waleczny bohater Likurgos, Długo nie pożył, jak tylko się oparł niebieskim potęgom.

Na to następnie odeprze mu syn Hippolocha prześwietny: Synu Tydea wspaniały, dlaczegoż o ród się mój pytasz? Właśnie jak liście w dąbrowie, tak samo i ludzi jest plemię: Jedne z nich wiatr otrząsa na ziemię, a w miejsce ich inne Las znów wydaje kwitnący, gdy pora wiosenna nadchodzi. Jeśli zaś chcesz się i tego dowiedzieć, byś poznał dowodnie

Ród nasz, jakkolwiek on znany jest wielu śmiertelnym, to słuchaj: Mężny Hippoloch mym ojcem i jego ja synem się głoszę. Ten mię do Troi wyprawił, i bardzo troskliwie zalecał, Żebym był zawsze najpierwszym i starał się innych zaćmiewać, Żeby nie zhańbić swych przodków plemienia, które najpierwszych Mężów wydało w Efirze i w Likii, obszernej krainie.

Rzekł; a ucieszył się wielce donośny w potyczce Dyomed. W ziemi, obfitej żywności dawczyni, zatyka swój oszczep, I łagodnemi słowami przemawia do cnego młodzieńca:

Jesteś zaprawdę więc gościem mi starym, po ojcach dziedzicznym! Oni też jeden drugiemu wręczyli przesłiczne podarki: Więc gospodarzem uprzejmym ja teraz pośrodku Argosu Jestem dla ciebie, a w Likii ty dla mnie, gdy zjadę w te strony. Naszych oszczepów nawzajem się chrońmy wśród wrzawy wojennej! Wszak do zabicia mam licznych Trojanów i sławnych związkowych, Jeśli mi bóg kogo zdarzy, i jeśli me siły wystarczą; Tobie zaś nie brak Achiwów, by zgładzić ich, jeśli podołasz. My między sobą więc zbroje zamieńmy, żeby i innym Obcem nie było, że wzajem za gości po ojcach się mamy.

Tak powiedziawszy rzucili się z wozu natychmiast na ziemię. Wzięli się obaj wzajemnie za ręce, i przyjaźń przyrzekli. — Hektor tymczasem już dotarł do Skajskiej strażnicy i buku, I otoczyły go w koło Trojanów i żony i córki, Jedne o synów pytając, a inne o braci i krewnych, Inne o mężów. On kazał im wszystkim z kolei do bogów Modły zanosić; nad wielu jednakże już troski zawisły.

Skoro zaś stanął w przesłicznym pałacu Pryama mocarza, Który zdobyły podsienia ciosowe, a w jego obrębie Było pięćdziesiąt sypialnych pokoi z gładkiego marmuru, Tam dobrotliwą swą matkę spotyka bohater prześwietny; Ta go uściśnie za rękę, i w takie przemówi donń słowa:

Po cóż toś, synu, zawitał, rzuciwszy rozprawę zaciętą? Ciężko już, widać, nas gnębią okropni mężowi Achajscy, Ale poczekaj, aż wina słodkiego ci sama przyniosę, Żebyś go ulał nasamprzód w ofierze Zeusowi i innym Bogom, a przytem i sam się orzeźwił, napiwszy się nieco, Wszak strudzonemu mężowi skutecznym jest wino posiłkiem.

Na to następnie jej Hektor w buńczucznym szyszaku odpowie: Wina mi teraz słodkiego nie dawaj, o! matko czcigodna, Żebyś mi sił nie zwątlila, i żeby w obronie nie zgnuśniał. Rąk nie umywszy, Zeusowi iskrzące się wino wylewać Lękam się: krwią zmazanemu i kurzem nie godzi się wcale Do owianego czarnemi chmurami Kroniona się modlić. Ale ty wraz do świątyni Ateny, Zdobyczy dawczyni, Idź z kadzidłami, zebrawszy gromadnie szlachetne niewiasty; Szatę, co zdajeć się być najstrojniejszą, jak również największą W domu, i która ci przytem najbardziej przypada do myśli,

Tę pięknowłosej Atenie w offerze tam złóż na kolanach ;  
Ślubuj jej przytem dwanaście jałowic poświęcić w przybytku,  
Rocznych, co jarzma nie znają, jeżeli się teraz uzali  
Miasta i niewiast Trojańskich, jak również młodego potomstwa,  
I nie dopuści potomka Tydea do grodu świętego,  
Tego dzikiego wojaka, srogiego zwiastuna pogromu.  
Ja do Parysa się teraz udaję, ażeby go wezwać,  
Może też zechce mej mowy usłuchać. O! gdyby go ziemia  
Żywcem natychmiast pożarła! Wychował go Zeus na zatrąte  
Ludu Trojanów, Pryama samego i synów mocarza.

Rzekł tak bohater; Hekaba, poszedłszy do domu, wybrała  
Z szat najpiękniejszych i zaraz poniosła Atenie w offerze,  
Idzie skwapliwie, a za nią gromadnie zdążają matrony;  
Drzwi im rozwarła kapłanka Teano o pięknem obliczu.

Potem modliły się głośno; lecz prośb nie przyjęła Atena.  
Podczas gdy one się modlą do córki wielkiego Kronidy,  
Hektor kieruje swe kroki ku gmachom wspaniałym Parysa,  
Zastał tamtego w komnacie, jak piękną zajęty był zbroją,  
Tarczą, jak również pancierzem, i łuki zagięte oczyszczał.

Tego więc Hektor ujrawszy, takimi strofuje go słowy:  
Patrz wkoło miasta i muru stromeego niszczeją zastępy  
W walce; przez ciebie to przecie ta wrzawa bojowa i odmęt  
Wre wkoło miasta! Ty sam z oburzeniem byś gromił drugiego,  
Jeślibys kogo zobaczył, że wojny okropnej się chroni.  
Dalejże, wystąp, nim miasto zgorzeje od ognia wrogiego!

Doń Alexander następnie przemówił, do bogów podobny:  
Skoro mię słusznie, Hektorze, strofujesz, nie mimo słuszności,  
Przeto ci powiem, a ty mnie posłuchaj i chciej wyrozumieć.  
W domu siedziałem, bo chciałem się oddać zupełnie smutkowi:  
Teraz zaś żona, słowami miękkimi trafiwszy do serca,  
Skłania mię stanąć do boju, i mnie też, że lepiej to będzie,  
Zda się samemu; gdyż mężów kolejno zaszczyca zwycięstwo.  
Nuże, poczekaj, niech włożę na siebie przybory Aresa,  
Albo też idź, ja podążę za tobą, i, myślę, dopędzę.

Rzekł tak; a Hektor w buńczucznym szyszaku nie na to nie odparł;  
Ale Helena przemówi słowami, słodyczy pełnemi:

Szwagrze mój, złęgo sprawczyni, bezwstydney, złowrogiej niewiasty,  
Czemuż to mnie dnia owego, jak tylko mnie matka zrodziła,  
Zgubny powietrzny huragan nie porwał swoimi prądami,  
Żeby mię fala uniosła, nim takie się rzeczy spełniły!  
Ale też przecie zawitaj, i na tem tu krzesle odpocznij.

Na to odpowie jej Hektor olbrzymi w buńczucznym szyszaku:  
Nie prosź mię siedzieć, uprzejma Heleno: nie zdołasz mię skłonić.  
Nagli mnie bowiem już serce, by stanąć w obronie Trojanów,  
Wstąpić też muszę na chwilę do domu ażeby zobaczyć  
Swoich domowych i żonę kochaną i syna niemowlę;  
Komuż to bowiem wiadomo, czy jeszcze do swoich powrócę.

Tak powiedziawszy, oddała się Hektor w buńczuczny szyszaku. Rychło następnie przybywa do gmachów, wzniesionych starannie, Lecz Andromachy nadobnej nie zastał w obszernych komnatach, Razem albowiem z dziecięciem i strojnie przybraną piastunką Stała na szczycie strażnicy, szlochając i głośno biadając. Kiedy już Skajskiej strażnicy, przechodząc potężną warownię, Wreszcie dosięgnął — gdyż tędy zamierzał wydostać się w pole — Patrzaj, kochana małżonka wybiegła na jego spotkanie, Cna Andromacha, latorośl mężnego Eetiona, Eetiona, co mieszkał na Plaka podgórzu lesistem. Dziecię na łonie trzymając rozkoszne, szła z nią służebna, Drogą Hektora latorośl, do gwiazdy promiennej podobną! Hektor mu imię Skamandrya nadawał, a inni znów wszyscy Astyanakta, gdyż Hektor jedynym był Troi obrońcą. Patrz, oto ojciec z uśmiechem spogląda w milczeniu na dziecię, Przy nim zaś, łzy wylewając, stanęła cna Andromacha. Rękę mu czule uściśnie, i w te się doń słowa odezwie:

O! nieogłędny, twe męstwo cię zgubi! Więc ani ci syna Nie żał drobnego, ni żony nieszczęsnej, co wkrótce zostanie Wdową po tobie! bo prędko cię życia pozbawią Achiwi, Godząc na ciebie zawzięci. O! mnie najlepiejby było, Gdy cię utracę, położyć się w grobie; albowiem już innej Zgoła pociechy nie będzie, jak skoro się spełnią twe losy, Tylko cierpienie! Już nie mam ni ojca, ni matki czcigodnej! Braci też nie mam, bo wszystkich okrutny mi zgładził Achilles. Teraz tyś dla mnie, Hektorze, i ojcem i matką czcigodną, Tyś mi i bratem rodzonym, o! mój ty kwitnący małżonku! Ależ się zlituj obecnie, i tutaj na baszcie pozostań! Nie rób-że syna swojego sierotą, a żony twej wdową!

Na to następnie odpowie jej Hektor w buńczuczny szyszaku: Bardzo i mnie to obchodzi, niewiasto, jednakże to trudno, Żebym jak gnuśnik nizezemny, unikał zdaleka rozprawy, Przytem i serce mi wzbrania; przywykłem być bowiem odważnym, Sławy ojcowskiej rozgłośnej zarówno pilnując, jak swojej. Wprawdzie ja widzę to jasno oczyma rozumu i serca: Dzień ten nastanie, że zginie nareszcie nasz Ilion święty, Tudzież Pryamos i lud obytego z oszczepem Pryama. Jednak nie tyle mi chodzi o klęskę Trojanów w przyszłości, Ani też nawet Hekaby, jak również Pryama mocarza, Ani mych braci rodzonych, co chociaż tak liczni i dzielni Legną pokotem w kurzawie pod wrogów zaciętych przemocą, Ile o ciebie, gdy jaki z Achiwów, w pancerze zakutych, Łzami zalaną powlecze, wyzuwszy cię z błogiej swobody; Kiedy dla pani swej tkąć ci wypadnie w Argosie, lub z trudem Wodę im nosić ze źródła Messejdy lub też Hyperei Z wielką niechęcią; wszelako cię twarda zniewoli konieczność.

Kiedys też powie niejeden, ujrawszy cię łzami zalaną :  
Oto jest żona Hektora, co zawsze przodował w potyczkach  
Pośród rycerskich Trojanów, gdy bój koło Troi się toczył.  
Powie tak kiedys niejeden, na nowe dla ciebie zmartwienie,  
Budząc tęsknotę po mężu, co dzień by niewoli odwrócił!  
Lecz usypana mogiła niech wprzód mię zmarłego pokryje,  
Nim o twym krzyku rozpaczy i twojej niewoli usłyszę!

Rzekłszy to, Hektor prześwietny wyciągnął ramiona do syna,  
Ale napowrót na łono służebnej piastunki swej miłej  
Z krzykiem tuliło się dziecię, strwożone widokiem rodzica,  
Zląkłszy się miedzi, zarówno jak kity, strzępiącej się włosiem,  
Którą ze zgrozą ujrzało, jak z wierzchu szyszaka spływała.  
Ojciec z uśmiechem spogląda na dziecię, i czuła też matka ;  
Z głowy więc szyszak natychmiast zdejmuje bohater prześwietny,  
Tudzież na ziemi go składa, a blask się rozpacza dokoła.  
Potem, gdy synka drogiego uściskał, i ręką pogłaskał,  
Głośno zanosi modlitwę do Zeusa i innych niebianów :

Sprawcie, o! Zeusie i inni bogowie, by dziecię to moje  
Stało się, tak jak i ja, znakomitem pomiędzy Trojany,  
Niech się tak siłą odznacza, i dzielnie króluje w Ilionie!  
Niech o nim kiedys powiedzą: on ojca o wiele przewyższa!

Tak powiedziałwszy, małżonce kochanej on w ręce oddaje  
Syna drogiego a ta go na łono przyjmuje z uśmiechem,  
Łzami zaćmionym. Przejęty serdeczną żalnością małżonek  
Ręką ją czule pogłaskał, i w takie odezwie się słowa :

O! ty niebogo, tak srodze mi w sercu też nie martw się przecie!  
Nikt mię albowiem wbrew losom nie strąci do Hada przybytków.  
Nikt ze śmiertelnych jednakże, jak myślę, swej doli nie uszedł,  
Dzielny, zarówno jak gnuśny, jak skoro się na świat narodził.

Hektor prześwietny tak rzecze, i szyszak natychmiast podnosi  
Włosiem jeżący się. Wraca do domu kochana małżonka,  
Często się w tył oglądając, zalana łzami rzewnemi.

Parys też wcale nie zwlekał w swym dworcu o stropie wysokim ;  
Brata dopędził, Hektora boskiego, gdy z miasta wychodził.

Pierwszy do niego odezwał się Parys, do bogów podobny :  
Wybacz mi bracie, zaprawdę ja ciębie, choć spieszysz, wstrzymałem.

Na to następnie odpowie mu Hektor w buńczucznym szyszaku :  
Wierz mi, mój bracie, nie łatwoby człowiek, co prawdę miłuje,  
Zganił twe czyny wojenne ; bo jesteś walecznym człowiekiem ;  
Tylko ci brak wytrwałości i chęci, a serce me w łonie  
Trapi się, kiedy hańbiące cię mowy do uszu mi dojdą,  
Pośród Trojanów, co przez cię nie mało udręczeń ponoszą.  
Ale już chodźmy : załatwim to później, jeżeli nam kiedy  
Kronion pozwoli niebieskim potęgom bogów przedwiecznych  
Stągiew dziękczynną swobody postawić pośrodku pałacu,  
Kiedy już z Troi wypędzim Achiwów o zbrojnych goleniach.

VII. **Pojedynek Hektora z Ajasem. Pogrzebanie poległych,** w. 482. Ale zawiele już było nawet bogom tych walk, morderczych. Atena i Apollon zawierają umowę, żeby dla przerwania ich nakłonić Hektora do pojedynku — a wojska niech odpoczywają. Syn Pryama Helenos »zmiarkował w swej duszy« tę uchwałę niebian i namówił Hektora, który z radością wniosek przyjął i ogłosił Achiwom — podając tylko jeden warunek, że zwycięzca zabierze zbroję pokonanego, ale ciało odda rodakom jego, by uczyć je mogli przyzwoitym pogrzebem. W pierwszej chwili zapanowało milczenie; nikt z Achiwów nie zgłaszał się; wreszcie wystąpił Menelaos i zaczął się zbroić — ale powstrzymał go Agamemnon, przedstawiając mu, że byłoby z jego strony nierozwagą walczyć z mężem, z którym nawet Achilles spotkać się wahał. Nestor zaczyna lamentować nad upadkiem ducha rycerskiego w narodzie i żałuje, że mu wiek nie pozwala stanąć do rozprawy. W tem naraz powstało dziewięciu. Oczywiście musieli losować. Los padł na Ajasa, syna Telamona, władcę Mykeny. Pojedynek był zawzięty i długi, nikt nie odnosił stanowczej przewagi. Wtedy zawołał keryx Idajos:

Dosyć już, dzieci kochane, orężnej rozprawy i walki,  
Gdyż chmurowładny Kronida obydwu was wielce miłuje;  
Obaście mężni wojacy: widzieliśmy przecie to wszyscy.  
Noc też zapada, a dobra to rzecz jest i nocy posłuchać.

Bohaterowie uczcili się świetnymi darami, by powiedzieć mogli ludzie: »Oto ci walczyli ze sobą, a rozstali się na nowo przyjaźnią złączeni«. Hektor ofiarował miecz nabijany srebrnymi gwoździami wraz z pochwą, a wzajem otrzymał od Ajasa pas purpurowy. Agamemnon złożył ofiarę i wyprawił ucztę, podczas której zaproponował Nestor zawieszenie broni dla spalenia zwłok poległych (by można popioły każdego zawieść rodzinie, gdy do ojczyzny powrócą), i wzniesienie wspólnej mogiły zaraz przy zgłiszczu. Oprócz tego radzi wokoło mogiły wzniesć mur i wykopać rów, co będzie rodzajem warowni dla obrony floty.

U Trojan także odbywała się narada. Antenor nagle wystąpił z wnioskiem, żeby oddać Helenę i jej skarby — bo inaczej nie będzie końca tej sprawie. Parys oświadcza, że skarby odda i dołoży do nich ze swego, ale Heleny nie odda. Pryam wysyła Idajosa z oznajmieniem i wnioskiem. Achajowie skarbów bez Heleny nie chcą, na zawieszenie broni przystają, a poręcza to Agamemnon podnosząc berło ku niebu.

Obie strony w milczeniu, serdecznie bolejąc, palą umarłych na stosach. Achajczycy wnoszą mogiłę i warownię; oburzyło to Pozejdona, bo nie złożyli mu przy tem ofiary, jak byli powinni, ale pociesza go Zeus obietnicą, że po wojnie będzie mógł znieść, splukać do morza, te mury — tak że nie zostanie po nich i śladu. Po pogrzebie wieczerzano i witano nowo z Lemnosu przybyłe z żywnością i winem okręty. Euneos syn Jazona, przysłał dla Agamemnona tysiąc wiader przedniego wina, inni kupowali t. j. mieniali za miedź, za żelazo, skóry wołowe, woły, a na-

wet za jeńców wojennych. Chwilową swobodę zamącił jednak Zeus, grmiąc przeraźliwie, to też każdy, nim wypił, ułał z kielicha na cześć i przebłaganie ojca bogów i ludzi. Potem zażywali dobrodziejstwa snu.

**VIII. Bitwa przerwana 565. w.** Grecy ponoszą klęski przez cały dzień następny. Nic dziwnego, tak postanowił Zeus, pilnując, by spełniło się przeznaczenie. Skoro zabłyśła szafranowym płaszczem odziana Jutrzenka, zwołał bogów na najwyższą turnię Olimpu i z niezwykłą stanowczością zakazał im wszelkiego mieszania się do walki, grożąc straszliwymi karami, »Kogo dostrzegę, że żywiąc przeciwne zamiary, stanie po którejkolwiek stronie, ten haniebnymi razami obity na Olimp powróci, albo też strącę go w okropne Tartaru ciemności, który w takiej głębinie pod Hadesem, jak niebo nad ziemią się wznosi. Jeśli ochota, spróbujcie ze stropu niebios zwiesić łańcuch złocisty, i przyczepcie się do niego wszyscy bogowie i wszystkie bogini, a nie zdołacie mnie ściągnąć na ziemię — ale jeżelibym ja łańcuch pociągnąć zapragnął, podniósłbym was wszystkich wysoko razem z ziemią i z morzem — taka jest moja potęga!« Niezwykła ta mowa przejęła bogów zdumieniem; umilkli wszyscy, tylko ulubiona córka Zeusa, z głowy jego zrodzona, ośmieliła się prosić, żeby przynajmniej radą wesprzeć można Achiwów, na co otrzymała łaskawą, lecz wymijającą odpowiedź. Potem zaprząwszy rumaki ze złotymi grzywami, Zeus w złotej odzieży i z biczem złotym w rękę zasiada na swoim wspaniałym rydwanie i udaje się na Idę, gdzie był gaj i ołtarz czci jego poświęcony, ażeby się przypatrywać zapasom wojennym. Tymczasem walka wre, pomyslna dla Trojan. Nawet Dyomedes zagnany przez Nestora cofa się chwilowo — ale potem naciera tak zawzięcie, że niechybnie przyszłoby było do pogromu Trojan, gdyby Zeus nie uderzył piorunem wprost przed jego wozem i nie spłoszył dzielnych koni. Nestor uważając to za objaw woli boskiej i za złe znamię, nakłania Dyomeda do ucieczki, co pobudziło Hektora do przesadnej radości i przechwałki. Widząc to Hera i Atena bojąc się same złamać rozkazu, namawiają Pozejdona do buntu przeciw woli Zeusa, licząc na to, że jako brat jego więcej sobie pozwolić może. Pozejdon jednak, roztropny, nie miał zamiaru drażnić Zeusa, bo wiedział, że on potężniejszy od wszystkich.

Hektor napiera coraz bardziej, już dotarł do okrętów, już byłby je podpalił, gdyby Hera nie była natchnęła Atrydy nową odwagą, był już bowiem bliski rozpacz i nie już nie pragnął, tylko się wymknąć i ocalić od śmierci. Zlitował się nad tym upadkiem ducha nawet Zeus i dla otuchy wyprawił orła »ze wszystkich wróżb najcelniejszą«, który trzymał w szponach jelonka i upuścił go przy Zeusa ołtarzu. Pobudza więc Ag. wszystkich przedniejszych, a pierwszy staje do zapasów Dyomedes. Teukros, dzielny strzelec, wielkie szkody zadaje Trojanom; dziewięć celnych pocisków wypuścił; zawsze godził w Hektora i zawsze zabił kogo innego, a między innymi jednego z synów Pryama, Gorgitiona.

Jako gdy na bok swą głowę przechyla mak, co w ogrodzie  
Gnie się, ciężarny nasieniem i deszczów wiosennych nawałą,  
Tak też pod hełmu ciężarem i głowa tam jego się chyli.

Mimo to Trojanie mają stanowczą przewagę. Hera i Atena nie mogą się uspokoić, jeszcze raz próbują wmięszać się do walki, gdy jednak Zeus przez posłankę niebios, złotoskrzydłą Irydę ponownie straszna zagroził im karą, czułą prośbą zamierzają przebłagać Zeusa. — Ale ten, nieubłagany tym razem, zapowiada jeszcze większe klęski dla Greków na przyszłość, zwłaszcza gdy będą walczyć o ciało Patrokla, »bo tak przeznaczenie orzekło«. Bitwę przerywa zachodząca noc; Hektor każe rozpalić ogniska i czuwać — a pociesza się pewną nadzieją, że nazajutrz wyruguje z ojczyzny »te psy, które na okrętach przywiodły Kery, zawistne boginie\*).

**IX. Poselstwo do Achillesa w. 713.** Popłoch niezmierny ogarnął Achiwów i najmężniejszych szarpało nieznośne strapienie. Agamemnon stracił głowę zupełnie, zwołał więc i oświadczył krótko, że wobec widocznej nieprzychylności bogów potrzeba z okrętami coprędzej uchodzić do ojczyzny. Powstał przeciw temu stanowczo skromny Dyomedes. »Jeżeli nagli cię serce do powrotu, idź sobie, droga otwarta, ale zostaną tu inni Achiwi, póki nie zburzym Ilionu. A chociażby wszyscy uciekali, ja ze Stenelosem nie ruszę się stąd, bo z boskiej tu przybyliśmy woli«. Pochwalił go za to sędziwy Nestor: »Wiedziałem, żeś dzielny na wojnie — a teraz przekonywam się, że choć jesteś młodzieńcem i mógłbyś być moim synem i to najmłodszym, mówisz bardzo rozsądnie i do rzeczy, lecz mowie twej końca brakuje. Rodu swojego wyrzutkiem, zbrodniarzem, włóczęgą jest taki, który się kocha w domowych rozterkach, co zgrozą przejmują. Moja rada jest taka: wyprawmy oddziały na czaty, a ty Agamemnonie zaproś na biesiadę starszszynę, wszak stać cię na to, pełne masz wina namioty — a wtedy pogadamy mądre słowo«. Agamemnon chętnie usłuchał i wtedy Nestor ponownie zabrał głos i oświadczył, że jest jedna tylko rada: przeprosić, przebłagać Achillesa. »Wyrządziłeś mu obelgę, to zaprzeczyć się nie da, zabrałeś mu zdobycz, potrzeba go więc przejednać darami i słowami pełnymi słodyczy. Agamemnon przyjmuje uwagi i radę jak najżyczliwiej. »Prawdziwieś mi wytknął na oczy me winy. Popełniłem błąd, sam to przyznaję i chcę to naprawić«. Wylicza więc nadwyzczaj wspaniałe i hojne dary, które gotów natychmiast złożyć Achillesowi a nadto ofiaruje mu córkę ze znacznym posagiem. Na wniosek Nestora wybrane poselstwo (Fenix, stary opiekun Achillesa, Ajas i Odyseus) przybywa do namiotu obrażonego bohatera, którego zastali pocieszającego strapione serce dźwięczną cytrą, piękną, misternie zdziałaną, z szyjką ze srebra wykutą. Patroklos przy-

\*) W pieśni tej podnieść jeszcze należy czułą przemowę Hektora do koni, które nazywa po imieniu, wyruszając do walki. Przypomina im troskliwą nad nimi opiekę Andromachy. »Wprzód, nim mnie pokrzepiła, sypała wam do żłobu ożywczą pszenicę, nawet i z winem zmieszana«.



słuchiwał się grze w milczeniu. Przybycie posłów zrobiło wrażenie nie-małe. Powstał z miejsca Achilles: »Radość Wam! To mi to goście ko-chani! Musiało zajść coś nagłego. Ale choć gniewny jestem, wyście mi najmilsi z Achiwów«. Prosi ich, by usiedli, każe przynieść większą czaszę i tęższego wina, około sutego przyjęcia z Patroklem i Autome-donem się krząta. Postawiono na stolnicy czomber tuczonej kozy i owcy i udziec wieprza tuczonego; sam boski Achilles pokrajał, jak należy, i powdzwiał na rożny. Gdy płomień na ognisku, które tymczasem przy-jaciel rozniecił, przygasł, rozgarnął węgle żarzące i rożny wyciągnął nad nimi, »boską« posypał solą i ostrożnie ustawił na widłach. Gdy się mięsiwo upiekło, rozdzielił je sam gospodarz i z kolei chleb położył na stole w pięknie plecionych koszykach. Potem kazał druhowi złożyć ofiary niebianom; ten rzucił kadzidło w zarzewie i przystąpili do sma-cznego posiłku. Po uczcie napełnił Odysseus puhar i przypijał do Achillesa: »Wznoszę twe zdrowie Achillu! chociaż nie uczta teraz nam w głowie, lecz wielkie nieszczęście, bo chodzi o to, że stracimy okręty, jeśli ty nie wystąpisz do boju«. Potem obszernie przedstawił rzecz całą, upokorzenie i skrucę Agamemnona, tudzież hojne dary wyliczył. Achil-les cierpliwie wysłuchał — ale odpowiedź dał odmowną wręcz i otwar-cie. »Ten mi nienawistny najbardziej, kto inaczej w swem sercu zamysła, a mówi inaczej. Tak postąpił Atryda, więc nie dam mu wiary i nie skłoni mię nigdy do zgody — ani on sam, ani też inni Danaje. Każdy, kto prawosć i rozum posiada, kocha i ochrania troskliwie swoją małżonkę. Ja także tamtę serdecznie miłowałem, a on mi ją zabrał — niechże sam sobie radzi. Ja darów nie przyjmę, choćby dwadzieściakroć tyle mi ofiarował — i córki jego nie pojmę za żonę, choćby wdziękami ze złotą Kipyrdą o lepsze walczyła, a modrookiej Atenie w misternych zrównała robotach. Kto wie nawet, czy jutro nie odptynę z ludźmi moimi do domu«. Napróżno pocziwy Fenix, w długim i wymownem przemówieniu, powołując się na to, że Achillesa wychowywał z taką mi-łością i nawzajem od niego był kochany i przytaczając różne przykłady, napróżno się trudził. »Tatku sędziwy — odparł bohater — duszy mi w zamęt nie wprawiaj żałami swoimi i smutkiem«. Wtedy zabrał głos Ajas: »Ha, kiedy tak, to chodźmy, nie ma tu co robić. Srogi to człek, bez litości, uzbroidł się dzikością bezwzględną. Chyba, że się jeszcze na-myśli i łagodność wstąpi w jego serce. Mógłbyś, Achillu, uczcić własną zagrodę i gości, którzy pragną ci być droższymi od wszystkich Achajów«. Istotnie poruszyło się serce zawzięte. Oświadczył więc, że dopóki He-ktor do jego namiotów nie dotrze, on nie pomyśli o krwawych zapasach, ale sądzi, że Hektor nie odważy się zbliżyć do niego. Więc przecież ja-kąś furtkę nadziei otworzył. Gdy posłowie\*) wrócili i zdali sprawę, ubo-lewał Dyomedes, że prośbą tą Achillesa tylko w dumie utwierdzili, i ra-dził posilić się i spocząć, ażeby nazajutrz z tem większą siłą boje roz-począć. Wszyscy przyklasnęli tym słowom.

---

\*) Dwaj, bo Fenixa zatrzymał Achilles na noc u siebie.

**X. Czaty. Zgładzenie Dolona. w. 579.** Pokładli się spać, ale nie każdy mógł zasnąć, nie mógł przedewszystkiem Agamemnon, gdyż ciężko pasował się w duszy i z żalu wrywał sobie włosy. I na Menelaja powiekach nie powstał sen; gryzł się, że był powodem nieszczęsnej wyprawy. Gdy się obaj spotkali, postanawiają zwołać przedniejszych wodzów na nocną naradę — a gdy się zeszli, uchwalają na wniosek Nestora, że potrzeba wysłać kogoś do obozu nieprzyjacielskiego na zwiady. Może uda się kogo pochwyć i dowiedzieć, jakie są dalsze Trojan zamiary; czy po zwycięstwie powrócą do miasta, czy też przy okrętach zostaną. Ktoby się tego podjął, otrzymałby w darze od każdego czarną owieczkę z jagnięciem, z czem żaden nabytek porównać się nie da, zawsze też byłby proszony na uczty i święte biesiady. Dyomedes pierwszy jak zawsze, oświadcza gotowość do niebezpiecznej wyprawy:

Ale gdyby chciał ze mną pójść który z rycerzy,  
 Serce me więcej swojej śmiałości zawierzy,  
 Kiedy dwóch idzie, nic ich uwagi nie zmiejszy:  
 Co ten chybi, ten widzi; sam człek najbystrzejszy  
 Nigdy tyle baczości, tyle oka nie da.

(*Tłóm. Dmochowskiego*).

Prawie wszyscy oświadczają się z chęcią towarzyszenia mu, ale gdy mu pozwolono wybierać, wybrał Odysseusa, bo i serce ochocze statecznie i umysł stanowczy ma we wszelkiej potrzebie, gdyż kocha go Pallas Atena. Z nim wydobędziemy się nawet z płomieni. Odysseus odparł:

Ani mnie nie chwał zbytecznie, Tydydo, ani też nie gań;  
 Wszak do znających te rzeczy Argiwów ty zwracasz swą mowę.  
 Ale ruszajmy! bo noc już na schyłku i blisko Jutrzenka.

Skoro ruszyli, zbliżyła się do nich czapla, zesłana przez Atenę; nie mogli jej widzieć, ale szli za jej głosem. Idąc modlili się do opiekuńczej bogini. Tymczasem i Trojanie zrobili to samo; Hektor wysłał także szpiega, a był nim niejaki Dolon, młodzieniec, syn jedynak bogatych rodziców, pragnął bowiem gorąco posiąść wspaniałe rumaki Achillesa, a te mu Hektor obiecał w nagrodę. Niestety, nie miał już wrócić do swoich. Pochwycili go wnet Dyomedes i Odysseus, a dowiedziawszy się o wszystkim, co wiedzieć potrzebowali tj. że Trojanie czuwają — sprzymierzeńcy zaś, a między nimi świeżo przybyli Karowie spią na brzegu morza, zgładzili go, pomimo że gorąco błagał o życie, bogaty okup obiecując. Teraz przyszła im szalona myśl wpaść do obozu śpiących Traków. Wpadli, Dyomedes z zaciętą srogością sam zabił dwunastu, i trzynastego króla Traków Rezosa. Odysseus pochwycił precudne jego rumaki — i z takim tryumfem i zdobyczą wrócili szczęśliwie do swoich, wykąпали się w morzu a potem w wannach starannie gładzonych natarli się oliwą i zasiedli do uczty, wino >rzeźwiące na duszy< ofiarując Atenie.

**XI. Świetne czyny Agamemnona. w. 847.** Podniosła się z posłania Jutrzenka promienna, żeby światłością obdarzyć niebian i ludzi śmiertelnych, a równocześnie Kronion zesał Niezgodę na łodzie Achiwów, postrach okropny wojennej pożogi niosącą w swych rąku — i »wnet się każdemu wojna słońska wydała, niż powrót do miłej ojczystej zagrody«. Rozpoczyna się bitwa bardzo zacięta i krwawa. Tym razem sam Agamemnon przoduje i głów bohaterskich nie mało strąca w otchłanie Hadesa. Zmiatał kogo napotkał, psom i jastrzębiom na pastwę, i szalał oszczepem po polu szerokiem.

Tak jako lew niezaradne jelonki polotnej macierzy  
Łatwo z kolei gruchoce, ujawszy silnymi zębami,  
Gdy się do kniei dostanie, i życie im młode wydziera.  
Tamta jakkolwiek jest blisko, biedaczka nie może im pomódz,  
Gdyż i jej samej trzęsą się kolana od trwogi straszliwej!  
Mknie więc co siły, na oslep po lesie i gęstych zaroślach,  
Bez odpoczynku, wśród znoju, przed zwierza srogiego napadem:  
Tak też i tamtych zagłady odwrócić nie zdołał nikt z Trojan.

Między wielu innymi, syn Antenora Ifidam, bohater rośły i dzielny runął pod ciosem Atrydy i snem miedzianym zasypia, godny litości, zdaleka od żony dopiero poślubionej, w swych ziomeków obronie.

Gdy śmierć Ifidama zobaczył Koon, starszy syn Antenora, dzielnością wsławiony, w oczach mu się zamroczyło od gnębiącego strapienia po bracie rodzonym, stanął więc z boku z kopia i z nienacka ugodził Agamemnona w rękę pod łokciem, tak iż na wylot przedarło się ostrze. Wzdrygnął się szerokodzierzawny król Agamemnon, zabił i tego młodzińca, ale z pola walki ustąpić musiał.

Odtąd następuje zwrot pomyślny dla Trojan. Hektor szerzy spustoszenie. Najpierwsi bohaterowie greccy, Dyomedes, Odysseus, Eurypylos a nawet boski lekarz Machaon ranni cofnąć się musieli. Dyomedesa w prawą stopę trafił Alexander. Odgryzał się bohater łajac Parysa (»strzelcze, oszczerczo, zerkaczu, nie dbam o ten strzał — to tak jakby mnie dziewczę lub chłopię trafiło, bo niewieściucha, nicponia lekkuški zazwyczaj jest pocisk«) — ale mimo to czuł się zgnębnym, musiał powrócić. Odysseusa ranił Sokos i przyplącił to życiem, włócznią miedzianą nawyłot przeszyty. Ajasowi groziło największe niebezpieczeństwo; w jego obronie Eurypil raniony. »Tak to walczyli tam oni, jak ognia żywego płomienie«. Achilles stanął na sterze okrętu i przypatrywał się walce, spodziewając się »że teraz Achiwi u kolan mu staną z pokornymi prośbami, bo nagli potrzeba«. Ciekawy był, kogo Nestor rannego z bitwy uwozi, postął Patrokla i dowiedział się że był to Machaon. Tego przyjął Nestor gościnnie chlebem i długą gawędą, której sensem moralnym było to, co głównie miał teraz na sercu i myśli t. j. że Patroklos powinien namówić Achillesa do udziału w wojnie.

Przełoż to swemu dzielnemu druhowi: on może posłucha.

Przecie, przy bóstwa pomocy, kto wie, czy nie wrzusi mu serca

Twoja uwaga, bo dobra jest zawsze przyjazna przestroga.  
Jeśli zaś serce odstręcza mu jaka niebieska wyrocznia,  
I rodzicielka mu jaką wiadomość przyniosła od Zeusa;  
Ciebie przynajmniej niech puści, i wraz Mirmidonów zastępy  
Niechaj wyciągną; ty może się staniemś światłością Danaom.  
Niech ci też barki pozwoli uzbroić swym własnym rynsztunkiem;  
Może za niego Cię wzięwszy, powściągną się przeciw od walki  
Troj synowie, i mężni Achiwi po trudach odetchną  
W ciężkim ucisku jakkolwiek jest krótki wśród wojny spoczynek.

Rzekł tak bohater i serce tamtemu poruszył on w łonie. Wracając spotyka Patroklos Eurypyła, ciężko rannego i zgnębionego na duchu. Ujawszy go pod piersi prowadzi do namiotu, układa na skórze wołowej, wycina mu nożem strzałę, obmywa ranę letnią wodą, a następnie przykłada do rany korzeń gorzkawy, w rękę na proszek rozarty, kojący, co wszystkie cierpienia nagle poskramia.

**XII. Dobywanie warowni. w. 471.** Teraz chodziło Hektorowi głównie o to, żeby zrobić wyłom w warowni wbrew woli niebian wzniesionej, którą jak już wiemy, mieli bogowie (Pozejdon i Apollo) w przyszłości zmieść a raczej spłukać z powierzchni ziemi i dotrzeć do zasłoniętych przez nią okrętów. Natarcie było gwałtowne, ale i obrona nadspodziewanie dzielna. Nadto ukazał się w powietrzu orzeł niosący w szponach olbrzymiego węża, który orła kąsał, tak że go wreszcie musiał wypuścić. Wąż spadł wśród tłumy, a orzeł raniony poleciał z wiatrem. Uważając to za pomyślną dla Greków wróżbę, radzi Polidamas cofnąć się, Hektor jednak lekceważył takie zabobony. »Jeżeli ty naprawdę przywiązujesz do takich baśni znaczenie, to widać bogowie sami pozbawili cię zdrowego rozumu. Ja wierzę tylko w wyroki Zeusa i w nim jedynie położmy swą ufność. Zresztą

»Jedna jest tylko wróżba najlepsza : w obronie ojczyzny swej stawać«.

»Jeżeli mi będziesz ludzi od walki odwodził takimi uwagami, zginiiesz natychmiast z mojej ręki!« Tak powiedziawszy prowadzi do boju. Ze strony Greków obaj Ajasi, Menestej, Polipojt i Leontes, ze strony Trojan Sarpedon i Glaukos, dbali o sławę oręża Likijczyków, którymi dowodzą, tudzież Azyos i Eneas, walczą jak lwy, którym długi głód dokuczył.

Równoważyły się potęgi; stały jak waga, na której szalach prądka rzetelna równe złożyła ciężary i węgnę. Nareszcie przechylił szalę Hektor, którego Kronida postanowił dnia tego uczić przewagą. Porwał kamień leżący przed bramą, a tak wielki, że z dzisiejszych śmiertelnych (dodaje poeta) i dwóch najteższych siłaczy nie potrafiłoby go udźwignąć, cisnął w sam środek bramy broniącej do warowni przystępu. Zgruchotał wrzeciędzie, bramę rozstrzaskał, Trojanie cisną się gwałtem jedni przez bramę, inni na mury się drapią. Hektor wskoczył promienny, z twarzy do nocy przelotnej podobny, jaśniejąc zabójczej broni połyskiem. Nikt nie zdołałby go powstrzymać, chyba bogowie, gdy wpadał

do bramy z żarzącym się wzrokiem. Pierzchnęli na okręty Danaowie, a zgiełk i rozruch powstał straszliwy.

**XIII. (Bitwa przy okrętach. w. 835.).** Za wiele tego było Pozejdonowi. Długo przypatrywał się klęskom Greków nieczynnie, choć z żalem, posłuszny Zeusowi, na którego wielce się gniewał — ale nareszcie nie mógł wytrzymać i zstąpił między Achajów, cichaczem, w ludzkiej postaci, ażeby im w ostatniej rozpacz nową dodać odwagi. Przybiera więc różne postacie, raz Kalchasa, wróżbity, to znowu Toasa, przebiega szeregi, zagrzewa, zachęca, podnosi na duchu. »Wstyd to, achajska młodzieży! W was ufność jam przecież pokładał«. Zwarła się młodzież w porządną falangę i mężnie wstecz odtrącili Hektora, który:

Pędzi naprzebój zawzięcie, jak głaz druzgoczący ze skały,  
Co go na góry wierzchołku jesienna powódź podmulę,  
Spójnie straszniego urwiska zrywając nawałną ulewą.  
Spada on na dół z wysoka w podskokach, a las pod tym ciosem  
Trzeszczy; jednakże on wali się wciąż niewstrzymywany, aż stanie  
W polu otwartem: tu już się nie toczy, choć runął z zamachem.

Meryon, Idomeneus i Menelaos, dokazują cudów waleczności. Geście padają trupy. Giną Otryoneus, Azyos, Alkatoos, Askalafos, Helenos, Pejzandros. Jeden po drugim runęli na ziemię, jak kiedy powali się dąb lub topola, albo też jodła wysmukła, podcięte ostrym cieśli toporem. Szczególnie żałuje poeta Otryonea, co świeżo z Kabezu przybył w pogoni za sławą, gdyż o Kasandrę się starał, z Pryama cór najpiękniejszą, a wiana nie żądał, pragnąc świętymi czynami serce dziewicy i łaskę ojca pozyskać. I Alkatoja junaka żal mu serdecznie, a raczej młodej jego żony, córki Hippodameja, która wszystkie z nią razem kwitnące dziewice zaćmiewała pięknnością i serca zaletami i robót urokiem.

Bitwa ogólna wrzała bez litości i przerwy »jak gdy od wiatrów, przeciągle świszczących, zawieja się zrywa«. Nawet Eneasza, który stał w tyle, gdyż zawsze był z boskim Pryamem w rozterce, wmięszał się energicznie do boju. Zdawało się, że nienasyceni są walką; nasycamy się przecież, mówi poeta, wszystkiem i snem i śpiewem rozkosznym i płasów niewinną zabawą — a przecież są to rzeczy, co obudzają w nas silniejszą tęsknotę, niż krwawe zapasy. Hektor jest wszędzie, gdzie najgorętsza wre walka; wyzywa go wreszcie Ajas, syn Telamona. Wrzawa wzbija się w Zeusa promienne wyżyny.

**XIV. (Oszukanie Zeusa w. 522.).** Doszła też do uszu Nestora, który z ranionym Machaonem spokojnie popijał »iskrzące się wino«. Wyszedł, zobaczył, co się dzieje i rozważał staruszek w głębokiej serdecznej rozterce, czy wmięszać się w tłum, czy pójść do Atrydy. Właśnie na to nadeszli ranni wodzowie Dyomedes i Agamemnon, którego znowu zupełne ogarnęło zwątpienie. »Widocznie Hektor nie odejdzie od naszych okrętów, póki ich nie spali i wojska nie wytnie ze szczędem. Tak chce zawzięty syn Kronosa, który nas dawniej ochraniał. Wiecie co? Zepchnijmy z brzegu okręty i łodzie na morze, a w nocy uciekajmy: lepiej uciec od klęski niż uleść«. Ponuro nań spojrział Odysseus i rzekł:

Jakież to słowo, Atrydo, wymknęło się z zębów zagrody?  
 O! przeklęty, nad innym byś raczej niczemnym zastępem  
 Władzę piastował, nie nam tu królował, co przecie nam Kronion  
 Zaraz od dziecka poruczył do późnej starości ponosić  
 Twarde mozoły wojenne, aż każdy z nas legnie w mogile!  
 Milcz, żeby czasem kto inny z szlachetnych Achiwów nie słyszał  
 Mowy tej, co niepostałaby zgola na ustach człowieka,  
 Który posiada w swem sercu świadomość, jak mówić do rzeczy.  
 Teraz więc wręcz ja ci ganię twój pomysł... Toć przecie Achiwi  
 Nie podołają już wojnie, gdy spuszcza na morze okręty,  
 Ale lękliwie oglądać się będą i stronić od boju!

Agamemnon odparł: »Głęboko ubodłeś mi duszę wyrzutami twoimi.  
 Ja przecież nie każę, by Achiwi wbrew woli zrobili to, co mówiłem,  
 ale niech przyjdzie kto i lepszy poda nam wniosek«. Na to Dyomedes: »Mąż  
 taki jest blisko, co szukać go długo? Jeżeli zechcecie mej rady posłuchać  
 i nie wzgardzicie nią, dlatego że między wami jestem najmłodszy, to  
 powiem: Jakkolwiek ranieni, ruszajmy do walki, a choć sami osobi-  
 ście z powodu ran walczyć nie możemy, to innych zagrzejem«.

Rzekł tak bohater; ci pilnie słuchali i byli powolni. Poszli, a w tem  
 dziele ochoczo wspomagał ich trzęsący ładami Pozejdon; wydał okrzyk,  
 jakby z dwunastu tysięcy mężów piersi wychodził i na nowo rozniecił  
 odwagę Achiwów. Patrzała na to ze szczytów Olimpu Hera z wielkiem  
 zadowoleniem, rozmyślając równocześnie, jakby oszukać przezorność  
 dostojnego małżonka i ze swojej strony pomódz gnębionym achajskim za-  
 stępom. Wymyśliła plan dowcipny, który poeta z nadzwyczaj miłym opi-  
 suje humorem — pragnąc widocznie, żeby słuchacze odetchnęli swobo-  
 dniej po tylu krwawych powieściach. Bajeczka jest zresztą w ścisłym  
 związku z całością. Naprzód tedy udaje się do swojej komnaty, którą  
 zbudował syn jej kochany Hefajstos »z zamkiem tajemnym, co inny go  
 bóg nie otworzyłby wcale«, obmywa się ambrozyą wdzięczną, rozsyłającą  
 po niebie i ziemi wonie rokoszne, a następnie stroi się z wielką  
 starannością. Przywdziewa naprzód płaszcz, precudnie haftami przez  
 Atenę ozdobiony, spina go złotemi sprzączkami; w uszy przesłicnie  
 toczone wkłada koleczyki, bardzo misternej roboty, z trzema oczkami;  
 narzuca na nieśmiertelną głowę cudną, jak śnieg białutką, namiotkę, do  
 stóp świecących przesłicnie przywiązuje sandały — i tak, pełna uroku,  
 wychodzi z komnaty i spieszy do Afrodyty, którą takimi czułemi zaga-  
 dnie słowami: »Mam prośbę do ciebie, drogie moje dziecię, ale nie  
 wiem, czy ją spełnisz — wszak do przeciwnych należymy obozów«.  
 »O Hero! najwyższa bogini, powiedz o co idzie. Serce każe mi spełnić  
 Twoje życzenie, jeśli tylko zdołam rzecz wykonać i jeśli da się wykonać«.  
 Hera na to: »Daj mi twój urok i czar miłosnej tęsknoty, przez który  
 zniewalasz wszystkich niebian i ludzi, idę bowiem na krańce ziemi, by  
 odwiedzić Okeanosa i matkę Tetydę, którym, jak wiesz, tak wiele  
 zawdzięczam. Coś tam między nimi pozycie nieosobliwe, pragnę mał-  
 żeństwo pogodzić«. Na to słodko uśmiechnięta Afrodyta: »Słowu

twojemu nie można odmówić, nie godzi się przytem, wszakże jesteś wszechwładnego Zeusa małżonką«. Rzekała i z piersi odpięła przepaskę haftowaną, barwną, w której mieściły się wszystkie czarów uroki. Hera prędko schowała pasek i pospieszyła na wyspę Lemnos, gdzie przebywał Sen (Hypnos), syn nocy (Nyx) a rodzony brat (i to bliźni) Śmierci (Thanatos), który oddał jej już raz wielką usługę, pomagając jej zgnębić Heraklesa, za co byłaby spotkała go od Zeusa zguba niechybna, gdyby go nie ocaliła była matka Noc, której ustępują nawet bogowie. »Śnie, władco bogów i ludzi, uspij mi jeszcze raz Zeusa oczy promienne, a ja ci za to w podarunku dam prześliczne krzesło złote ze złotym podnóżkiem, syna mego Hefajsta roboty«. Sen na to: Za wiele żądasz, przemożna bogini! Każdego innego z bogów uspić mi łatwo, ale do Zeusa Kronidy ja wcalebym zbliżyć się nie śmiał, gdyby mi sam nie rozkazał. Już raz nauczyło mnie rozumu twoje zlecenie, o małym nie zginął bez wieści, gdy Zeus z eteru mię strącił do morza«. Hera ucieka się do ostatniego środka.

Śnie, i dlaczegoż to takie ci myśli do głowy przychodzą?  
Czyliż ty mniemasz, że Kronion opatrny za Trojan się ujmie,  
Tak jak się gniewem zapalił za syna swojego Herakla?  
Dalej - że idź - no mi! z Charyt ci młodszych jam jedną gotowa  
Oddać w małżeństwo, by żony twej lubej nosiła nazwisko,  
Tę Pazyteę, za którą statecznie cię trawi tęsknota.

To co innego, taki podarunek lepiej podobał się Hypnosowi. Przysięgnij — rzekł, że mi ją dasz. Przysięgła. Pospieszyli więc na Idę. Sen usiadł na olbrzymiej jodle w postaci ptaka, którego bogowie chalikidą zowią, a ludzie krogulcem; Herę przyjął Zeus bardzo serdecznie, zapominając, że była mu zawsze przekorną — takim urokiem otoczyła ją przepaska Afrodyty. Sen dokonał dzieła; — a potem, uspiwszy Zeusa pospieszył uwiadomić o tem Pozejdona, który teraz tem swobodniej uwiijać się począł na polu walki, sam objął dowództwo i doprowadził do tego, że Achiwi odżyli na nowo. Mocniejszy brał cięższą zbroję od słabszego \*); walczyli zawzięcie, szerząc śmierć (tym razem najwięcej Ajas drugi, syn Oileusa), a co najważniejsza, Ajas Telamończyk ugodził Hektora kamieniem w pierś, tuż koło szyi, tak że ciemność ponura powlokła mu oczy. Towarzysze zasłonili go tarczami i na pół żywego wynieśli z krwawej potrzeby.

**XV. (Odparcie od okrętów. w. 746.)** Zbudził się Zeus i ze zgrozą zobaczył, co się dzieje. Byłby straszliwym gniewem wybuchnął na Herę, ale ona zręcznie zepchnęła winę na Pozejdona. Każę jej pójść co rychło na Olimp i przywołać Apollina i Irydę. Ares dowiedziawszy się od Hery,

\*) Porównaj Mickiewicza :

I niech każdy, jak ów Greczyn, głosi dzielność swoją :  
»Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję!

że poległ syn jego Askalafos, wściekły zrywa się i zbroi, ażeby pójść na pole walki i pomścić tę stratę bolesną, ale uspokaja go Atena przedstawiając skutki takiego kroku nierozważnego. »Gniew Zeusa osiągnąłby nas wszystkich. Będzie porywał każdego, czy winny kto czy niewinny, i srogość na nim wywierał. Niejeden lepszy od twego syna zginął już w zapasach, a zresztą trudno wszystkich śmiertelnych od śmierci ratować.

Irys z polecenia Zeusa kazała Pozejdonowi ustąpić z pola walki; zżymał się srodze, ale ustąpił, gdy mu przedstawiła bogini, że starsi mają zawsze mściwe Erynie przy boku i że szlachetne umysły do ustępstw powinny być skłonne. Zastrzegł sobie tylko, że jeśli Zeus ostatecznie Troi zburzyć nie pozwoli, straszliwym gniewem wtedy wybuchnie. Apollon otrzymał rozkaz dźwignąć Hektora, uzdrowić go i do dalszej walki zdolnym uczynić. Wykonał to prędko i chętnie i sam wmięszal się do bitwy, wydając wstrząsające okrzyki. Zmienne są losy zawziętego boju — zdumiali się i przerażili Achaje, zobaczywszy znowu Hektora na czele walczących i przyszli do przekonania, iż boskiej ręki to dzieło, ale mimo to w zwartych szeregach stawili opór, śląc do niebian gorącą modlitwę. Nestor Gereński usilnie prosił wojowników, żeby wytrwali, prosił w imię rodziców i żon i dzieci. Widząc straszny ucisk swoich Patroklos, pilnujący rannego Eurypila, nie mógł dłużej wysiedzieć i poszedł do Achillesa, żeby do walki go skłonić przy boskiej pomocy. Teukros, znany nam już znakomity strzelec, zaczął się na Hektora i byłby go z pewnością życia pozbawił, ale w ostatniej chwili Zeus zerwał mu cięciwę na łuku — i ten z rąk mu się wymknął. Ocalał go Zeus, bo nie przyszła jeszcze nań chwila wyroków, ale dni żywota już tylko niewiele było mu przeznaczonych i dlatego czcił go i odznaczał. Zresztą musiało się spełnić przeznaczenie, które Zeus Herze objawił. Do boju wystąpi Patroklos, polegnie z ręki Hektora — a tego znowu zabije Achilles i będzie za krzywdę, której doznał, wynagrodzony i uwielbiony — tak musi się stać, bo o to prosiła bogini Tetyda, ujmując się za synem. Rozprawa coraz gorętsza, walczą już mąż z mężem, włóczyniami, toporami, siekierami. Hektor dotarł do łodzi, od których pożar odwrócił Ajas, zabijając niosących ogień pożerczy; dwunastu on zgładził na przodzie okrętów.

**XVI. Zgon Patroklosa w. 866.** Takto tam oni walczyli. Patroklos stanął przy boku Achillesa, pasterza narodów, łzy wylewając gorące. Popatrzył nań ze współczuciem Achilles i wyrzekł te słowa skrzydlate:

Czegóżes tak się zapłakał, Patroku, jak mała dziewczynka,  
Która za matką podąza i prosi się, żeby ją wzięła,  
Sukni się z tyłu czepiając, i zapęd spieszącej wstrzymuje,  
A splekanemi spogląda oczyma, aż wreszcie ją weźmie?  
Tak też i tobie, Patroku, wymyka się łezka wezbrana.

Więc powiedz szczerze, co leży ci na sercu, nie nie ukrywaj. abyśmy obaj wiedzieli. Na to mu z ciężkiem westchnieniem odzwał rycerski Patroklos: »Nie miej mi za złe, najpierwszy z bohaterów, ciężko zgnębiła Achiwów niedola; wszyscy najdzielniejsi ranni, niezdolni do



bitwy, a tyś nieugięty w uporze, tyś bez litości. Chyba zrodziło cię morze ciemne lub przepaścista skała, bo srogie jest serce w twem łonie! Jeśli zaś duszę odstępca ci jaka niebieska wyrocznia, to wypraw mnie przynajmniej i pozwól, bym się uzbroił w twoją własną zbroję. Łatwiej będzie nam świeżym odeprzeć wojowników znużonych».

Na to Achilles okrutnie zmartwiony odpowie: »Nie zważam na żadne wyroki, tylko mnie boleść okrutna dojmuje w umyśle i sercu, bo wydarto mi zdobycz niegodnie, jakby jakiemu nędzemu przybłądźcie.

Lęcz co się stało, przepaść! I wcale też nigdy nie było  
Moim zamiarem wciąż sierznić się; miałem ja tylko na myśli  
Gniew swój nie wprzódę uśmierzyć, aż wtedy, jak skoro nareszcie  
Rozruch i wrzawa wojenna dosięgną do naszych okrętów.  
Ty więc Patroklu, przyodziej swe barki w mą zbroję rozgłośną,  
Wiedz Mirmidonów mych bitne zastępy na pole zapasów....  
...Uderz potężnie na wrogów, by ogniem płonącym nam łodzi  
Nie popalili i tem nie odcięli błogiego powrotu....

»Lecz cofnij się, skoro odeprzesz Trojan od łodzi, nie wdawaj się w dalsze zapasy i do Ilionu nie prowadź zastępów, żeby się który z bogów nie wdał w sprawę, a ty wiesz, że ich miłuje Apollon«. Ajas broniący okrętów nie dotrwał na miejscu: wyparła go wrogów nawała, gdy Hektor stracił mu mieczem ostrze dzidy. Wtem ogień pożerczy rzucił ktoś z Trojan, jeden okręt zaczyna się palić. Achilles szykował i upominał swoich Mirmidonów. Było ich 2.500; po 50 przybyło na każdym z 50 Achillesa okrętów pod pięciu dowódcami — a Patroklos ubierał zbroję Achillesa, tylko dzidy ogromnej wziąć nie mógł, bo tą sam tylko właściciel potrafił wywijać i rzucać\*). Złożyli bogom ofiary i modlili się gorąco — a potem rzucili się Mirmidoni, do os przydrożnych podobni, kiedy swawolne chłopięta rozjątrza je swoim zwyczajem. Patroklos szerzył straszne, przerażające, spustoszenia, »rozprzągł kolana« (t. j. zabił) kilkudziesięciu wojowników; zginął nawet Sarpedon. Zeus chciał go ocalić, ale odwiodła go od tego Hera, mówiąc, że ostatecznie każdy umierać musi, a ocalenie tak niebezpiecznego męża za złe wezmą wszyscy bogowie. Wystarczy dla niego ocalenie zwłok i zaszczytny pogrzeb. Sarpedon zabił przed śmiercią Pedaza, przyprężnego rumaka przy wozie Patrokla; pękło jarzmo i niebezpieczeństwo było wielkie, ale przytomny towarzysz jego Automedon, powożący cudnymi końmi, odciął w czas zabitego. Konając wzywał Sarpedon Glauka, towarzysza serdecznego, żeby pomścił go, ale Glaukos raniony był strzałą straszego strzelca Teukrosa. Serce mu tłuło się w łonie z niemocy i żalu, więc modli się do Apollina o pomoc w ciężkiej potrzebie. Wystuchał go bóg, bole uśmierzył, ranę zagoił — a nadto sam znowu wniósł się do walki i Trojan do nowych trudów pobudził.

\*) Podobnie scyzorykiem klucznika w »Panu Tadeuszu« tylko jeden generał Kniaziewicz.

Przy ciele Sarpedona zacięta zawrzała bitwa, Glaukos świetnych dokonywał czynów. Zeus sprowadził na Hektora trwozę; pierzcha, a za nim wszyscy ścigani aż pod mury i byliby Grecy wzięli Troję niechybnie, gdyby nie przeszkodził Fojbos Apollon. Czterykroć na mury wdzierał się Patroklos, czterykroć odtrącony przez boga, który ostrzegł go, że nadaremnie się kusi, a potem nowy między Argiwami wzniecił popłoch i nową wlał odwagę w Hektora i jego zastępy. Stanąwszy z tyłu uderza Patrokla dłonią w plecy; strąca mu szyszak z głowy i rozprzęga mu pancerz. Zgroza ogarnęła serce bohatera, członki dorodne skostniały, w oczach ściemniało. Wtedy ugodził go w plecy oszczepem Euforbos, a Hektor, który nadbiegł, przeszył go na wskrós: runął z głuchym łoskotem. W przedśmiertnej niemocy zawołał do Hektora: »Zmógł mię syn Latony (Apollon) i los nienawistny — ale i ciebie śmierć bliska czeka, i, spełniając losu możnego wyroki, zmoże cię prawica Achilla Pelidy«. Skoro to wyrzekł, duch uleciał z ciała, skargi nad dolą swą szerząc, że rzucać musi siły i młodość. Potem rzucił się Hektor na Automedona, ale uniosły go nieśmiertelne rumaki.

Ciało Sarpedona na rozkaz Zeusa ocalił i wyniósł Apollon.

**XVII. Walka o ciało Patrokla w. 761.** Hektor zdarł z Patrokla zbroję i zaraz się w nią ubrał; o ciało wywiązała się walka zawzięta i długa. Euforbos wyzywał Menelaosa, który tam był nadbiegł, a gdy nie usłuchał przyjacielskiej rady, żeby się nie ważył wystąpić do boju, zginął z jego ręki. Świetny potomek Letosa, Pelazgijczyk Hippotoos, porwał ciało Patrokla za nogę, unieść je pragnąc, by przysłużyć się Hektorowi i Trojanom, ale rażony oszczepem Ajasa powalił się w kurzawę na głowę

Zdała od plennych Laryssy rozłogów i nawet rodzicom

Długu wdzięczności nie spłacił, gdyż prędko przemknęło mu życie.

Tak tam niejeden bohater padał na ziemię, z łoskotem i chrzęstem na nim odzywała się zbroja. Walczący szaleli jak ogień, znojem i potem oblani, i niktby nie orzekł, czy na niebiosach ostanie się słońce lub księżyc bez szwanku. Sroga to była rozprawa i łzami przesiąkła — a Zeus wstrząsał straszną egidą, Idę chmurami zakrył ciemnymi, błyskał i grzmiał przeraźliwie. Konie Achillesa, z którymi uchodził Automedon, nagle nawróciły i stanęły jak wryte, gorzko płacząc nad zgonem ukochanego Patrokla. Grzywy tarzały w kurzawie, a gorące łzy strapienia spływały z ich oczu. Użalił się nad nimi Zeus, z góry spojrzawszy i rzekł:

»Pocośmy dali was, o niebożęta! królowi Pelidzie,  
Co śmiertelnikiem jest, was nieśmiertelne i wiecznie młodzieńcze?  
Chyba dlatego, by zadać wam męki wśród ludzi nieszczęsnych!  
Nigdzie albowiem nie bardziej nędznego nie znajdziesz nad ludzi  
Z tego wszystkiego, co tylko się rusza i żyje na ziemi.

Konie bardzo się przydały, bo ostatecznie Menelaos i Meryon dźwignęli, porwali i uprowadzili ciało szlachetnego, godnego litości Pa-

trokla, a obaj Ajasi zasłaniali odwrót potężnie i odpierali orężną nawałę. Eneasz i Hektor ścigali uciekających w nieładzie, wiele oręża wypadło Argiwom w ucieczce, od walki nie było wytchnienia.

Poeta przygotowuje nas w tej pieśni na zgon Hektora. Gdy przemieniał rynsztunek, Zeus tak przemawiał do wzniesłego swego umysłu: O ty nieboże! na myśl nie przychodzi ci wcale zagłada, która tak blisko przy tobie!

Menelaos wśród walki wysłał Antylocha, syna Nestora, do Achilleasa, by mu zwiastował nieszczęsną nowinę.

**XVIII. Przygotowanie zbroi w. 617.** Achilles siedział w głębokiej zadumie z smutnemi przecuciami w duszy. Wtem wszedł łyzy wylewając gorące Antyloch i rzekł: «Biada mi, synu Peleja, okropną zaprawdę zwiastuję ci klęskę. Poległ Patroklos, o ciało zaś staczają walkę, o nagie ciało, bo zbroję zdarł z niego Hektor». Rzekł, a chmura posępna cierpieniem owiała Achilla i zawładnął nim smutek bez granic. Posypał głowę i szatę popiołem, tarzał się w prochu i szarpał włosy; Antyloch za ręce go trzymał, bojąc się, żeby na własne nie targnął się życie. Lament w namiocie powstał okropny. W sam czas nadbiegła matka, bogini, niespokojna o syna; zaszlochawszy ścisnęła syna za głowę: »Synu i czegoż mi płaczesz? Co smutkiem przejęło ci serce? Powiedz, nie ukrywaj! Wszakże Zeus spełnił wszystko, jak błagałeś. — »Ach! na cóż mi się to zdało, gdy poległ mój miły towarzyszu, którego kochałem jak siebie samego. I Twoję duszę ogarnie teraz strapienie bez końca, skoro syna utracisz, bo wcale już nie mam ochoty żyć, jeżeli mi Hektor za Patrokla nie zapłaci swem życiem! — »Niestety, wiem moje dziecię, że śmierć czeka cię rychła po zgonie Hektora, jak sam powiadasz, »On poległ matko, a mnie tam nie było, by zgubę przeklętą od niego odwrócić — ja gnuśniałem w namiocie, jak ziemi ciężar daremny. Oby na zawsze przepadła u bogów i ludzi niezgoda i gniew, co i rozsądnych do złych czynów wiedzie i słodszy od miodu rośnie w piersi człowieka jak dym! Teraz ja pójdę, by głowy kochanej zabójcę wyszukać, syna Pryama! Mejej śmierci zaś dolę poniosę, jeśli taka wola Zeusa i innych bogów przedwiecznych. Wszakże i potężny Herakles nie uszedł przed śmiercią; on, co był przecież najmilszy ojcu Zeusowi: przemogła go dola i Hery zawziętość gnębiąca. — »Wszystko słuszne, coś wyrzekł, synu kochany, godziwa rzecz towarzyszków gnębionych od zguby zasłaniać, ale piękna twa zbroja w ręku Hektora, i pyszni się nią, choć mu wcale nie wróżę, by się długo nią cieszył; lecz Ty nie puszczaj się w wir walki, póki mnie tu własnemi oczyma nie zobaczysz wchodzącej, przyniosę Ci bowiem nowy, wytworny rynsztunek od arcy-mistrza Hefajsta. To powiedziawszy pospiesza na Olimp (odesławszy do domu towarzyszki swe Nereidy, z którymi przybyła) do świetnego, gwiazdzistego dworca, zaćmiewającego innych bogów przybytki; Hefajstos go sam dla siebie z wielką sztuką zbudował. Zastała go bogini przy pracy; obłany potem przy miechach się zwijał i kończył właśnie robotę około dwudziestu trójnogów, na kółkach, na których z własnego popędu toczyły się do grona niebian — i znowu same wracały. Pierwsza zobaczyła Tetydę małżonka

Hefajsta, piękna Charyta (Charis) i powitała ją wielce uprzejmie: »O! czcigodna i droga, czemuż mamy zawdzięczać, że do nas przybywasz? — tak rzadkim jesteś gościem. Bliżej, prosimy!« To powiedziawszy prowadzi Tetydę i sadza ją na krzesło srebrnogwoździem, pięknem, misternie zrobionem, z przyprawną pod nogi ławeczką — a potem męża przyzywa: »Chodź tu Hafajście, przysłała Tetys, ma jakieś życzenia«. Ten ucieszył się bardzo. »Jakżebym pragnął usłużyć jej w czemkolwiek, tej czcigodnej bogini, której zawdzięczam ocalenie, gdy upadł z wysoka, z mej rodzicielki niedobrej wyroku, która chciała mię się pozbyć, dlatego żem chromał. Zaraz nadejdę«. To rzekłszy umył się i ubrał i szedł utykając z berłem w rękę, a wspierały go służebne, złote, podobne do żywych, umiejące nawet mówić i pracować. Uścisnął Tetydę za rękę; »Cóż to Cię do nas sprowadza, czcigodna i droga? Jak dotąd, tyś rzadkim nam gościem. Powiedz, czem mogę ci służyć. Czegokolwiek potrzebujesz, poleca mi serce wykonać, jeśli potrafię wykonać i jeśli to da się wykonać«. Gdy powiedziała, o co chodzi — rzekł bóg silnoraamienny, przesławny: »Nie troszcz się w duszy takimi rzeczami. Gdyby mi tak łatwo było od srogiego losu syna Twego ocalić, jak wygotować rynsztunek! Natychmiast wezmę się do roboty«. Zbroja była przesłiczna, wzbudzała podziwienie wszystkich śmiertelnych. Na tarczy przedwienne umieścił obrazki i sceny. Wystawił na niej ziemię, morze i niebo, słońce i księżyc i gwiazdy; dalej dwa miasta: w jednym odbywa się uczta weselna, koło drugiego stoją dwa zbrojne zastępy — dalej łąn i na nim pracujących oraczy; winnicę, w której młodzian spiewał pieśń o Linosie rozkoszną, stado wołów, pastwisko i wreszcie chorowód płasających młodzieńców i dziewic. Ukończywszy wspaniałe dzieło doręczył je Tetydzie, a ta z pospiechem szybuje ze szczytów Olimpu, by zanieść je synowi.

Tymczasem na polu walki znowu niepowodzić się zaczęło Achiwom. Ciało Patrokla w wielkim było niebezpieczeństwie. Trzykroć już chwycił je Hektor za nogi, trzykroć odtrącony potężnymi Ajaksów ramionami. Widząc to Hera, skrycie przed Zeusem i innymi bogami wysłała Irydę do Achillesa z wezwaniem, by nareszcie wystąpił z bezczynności, jeśli nie chce, by Hektor głowę przyjaciela zatknął na palu fortelnym. Achilles oznajmił Irydzie, że ruszyć się nie może, dopóki matka nie wróci ze zbroją — taki wyraźny jej rozkaz. »Wiemy o tem — odparła Iryda — ale idź tak, jak stoisz, nad rów i ukaż się Trojanom! Może to postrach obudzi i odetchną bitni Achiwi, jakkolwiek jest krótki śród wojny spoczynek«. To powiedziawszy odeszła, otoczywszy jego głowę blaskiem promiennym i roznieciła nad nią w około świecące płomienie. Poszedł na miejsce wskazane i krzyknął straszliwie; równocześnie Pallas Atene okrzyk podniosła. Wszystkim wzдрыnęło się serce, spłoszyły się konie, zaczęły wstecz ku murom uciekać; w popłochu, w natłoku, swoi swoich ranili i gnietli. Napróżno radził »rozsądny« Polidamas, żeby uciekać do miasta; Hektor oparł się stanowczo i powstrzymał Trojan. »Ja przed nim z bitwy straszliwej uciekać nie będę, lecz prosto w oczy mu stanę« — rzekł i głośno przyklasnęli mu wszyscy, »głupi! gdyż ro-

zum im odjęła Pallada«. Bitwę jednak przerwało z rozkazu Hery słońce, które zanurzyło się w nurtach oceanu t. j. zaszło prędzej niż było powinno. Achiwi unieśli z zamieszania ciało Patrokla i złożyli na łożu, łzy wylewając gorące.

**XIX. Pojednanie w. 424.** Skoro wstała jutrzienka z fal oceanu, by światłem obdarzyć niebian i ludzi śmiertelnych, przyniosła Tetys Achillesowi zbroję prześwietną, cudną, jakiej dotychczas nikt z ludzi nie nosił — a Patroklowi naląła ambrozyi i nektaru w nozdrza, ażeby ciało od psucia ochronić. Wtedy bohater wyszedł i wielkim krzykiem zwołał Achiwów na wiec; przybyli nawet ranni wodzowie. Oświadczył krótko i dobitnie: »Długo, jak myślę, ta nasza niezgoda, synu Atreusa, nie wyjdzie ludziom z pamięci. Lecz co się stało, przepadło! Stłummy niechęć wzajemną, ja wyrzekam się gniewu!« — Na to Agamemnon: »Często słyszałem wyrzuty, lecz wiercie, jam tu bynajmniej nie winien, tylko Zeus i Mojry i nocą chodzące Erynie, co zaśłepienie mi srogie rzuciły do serca. Sprawczynią wszystkiego jest Ate (wina), najstarsza córka Zeusowa, co wszystkich zaślepia, nawet ojca swego podeszła; nie dotyka ziemi leciuchnemi nogami, lecz mknie nad głowami śmiertelnych, do grzechu ich wiodąc. Chcę to teraz naprawić i zaraz doręczę ci dary, o których wczoraj ci mówił boski Odysseus«. Na to Achilles: »Doręcz podarki albo zatrzymaj; mniejsza o to, a my spieszmy co żywo do boju!« Zgadza ją się wszyscy, tylko doświadczony Odysseus radzi posilić się naprzód; naczecz niebezpiecznie bitwę zaczynać, bo choćby i zapal nie ustał, to członki ustana i zmoże ludzi głód i pragnienie. — »A ja sądzę, odparł Achilles, że lepiej naprzód zmyć zniewagę, a potem wyprowadzić biesiadę; mnie przynajmniej niechy nie przeszło przez gardło«. — »Pozwól, synu Peleusa, jesteś silniejszy i dzielniejszy daleko odemnie, jednak ja ciebie rozwąga podobno przeszedłbym znacznie, bo i wiekiem jam starszy i więcej widziałem. A więc jeść, a potem bić!« Posłuchano praktycznej rady, przyniesiono pojednawcze dary dla Achillesa, który mimo najgorętszych prośb nie tknął napoju ni jadła — ale Atena na rozkaz Zeusa wsączyła mu do piersi kroplami nektar i rozkoszną ambrozyę, ażeby mu głód nie dokuczył. Gdy się wojska posilały, Achilles siedział z zaproszoną starszyzną przy ciele Patrokla, wdychał i płakał. Opłakiwała go też zwrócona mu Bryzeida, bo niegdyś, gdy ją Achilles, zburzywszy jej miasto rodzinne, wziął do niewoli, pocieszał ją łagodny, zaeny Patroklos, że uczyni ją żoną prawowitą boskiego Achilla i gody małżeńskie uroczyste wyprawi. Jęczały też inne wzięte w niewolę niewiasty, po Patroklosie pozornie — smętnie nadmienia poeta — a w gruncie nad własną niedolą. Nareszcie ruszają do boju, Achilles w boskim rynsztunku, jaśniejac jak syn Hyperyona promienny, siadł z Automedonem na rydwan i tak zawołał na swoje rumaki :

Xancie i ty Balonie, teraz inaczej się weźcie i wracajcie ze mną do danajskich zastępów, jak tylko się bojem nasycim. Nie zostawiajcie mię, tak jak Patrokla, na polu zmarłego! Na to z pod jarzma odpowie Xantos, któremu Hera dała mowę na chwilę, a mówił schyliwszy głowę do ziemi :

— Owszem, my teraz cię jeszcze wyniesiem, o boski Achillu; Ale zagłady twej dzień niedaleki. Nie my temu wcale Winne jesteśmy, lecz bóstwo potężne i Dola przemożna.

Skoro to wyrzekł, Erynie zatrzymały mu głos, a zmartwiony odpowiedział Achilles:

»Xancie, dlaczegoż mi śmierć przepowiadasz? i cóż ci ztąd przyjdzie? Wiem ja to przecie sam dobrze, że zginąć tu moim udziałem, Zdala od ojca drogiego i matki; lecz mimo to nawet Nie wprzód ustanę, aż Trojan nasycę wojennym pogromem!« Rzekł i z okrzykiem skierował przed siebie tętniące rumaki.

**XX. Walka bogów w. 502.** Obawiając się zbytcej przewagi Achillesa t. j. żeby i miasta nie zdobył »wbrew losów wyrokom« zwołał Zeus bogów na walną naradę — a przybyli wszyscy z wyjątkiem Okeanosa; nawet wszystkie bóstwa rzek i Nimfy wszystkie, co w gajach uroczych mieszkają i w źródłach rzek i na łąkach bujnemi trawami pokrytych — i oznajmił im, że odtąd mogą wziąć udział w walce Achiwów z Trojanami, i pomagać, komu im się podoba. Wielce podobało się to bogom, zwłaszcza niektórym — i zaraz pospieszyli Hera, Atena, Pozejdon, Hermes i Hefajstos, by Grekom pomagać, Ares zaś, Apollon, Artemis, Afrodyta, Leto (Latona) i Xantos do Trojan. Przyłączyła się do nich Erys (Niezgoda), waśń i wojnę podniecająca. Na polu walki rozległy się straszne okrzyki Ateny i Aresa — grzmoty przeraźliwe huczały, a trzęsienie ziemi za sprawą Pozejdona było tak wielkie, że władca cieni Hades obawiał się, by mu ziemi nie rozdarło i nie odkryło oczom bogów i ludzi domów jego straszliwych, spleśniałych, co nawet nieśmiertelnych zgrozą przejmują. Bogowie występują przeciw sobie do walki, Apollo z Pozejdonem, Artemis z Herą, Hermes z Latoną, Xantos z Hefajstem, Atena z Enyaliosem (Aresem). Jedna i druga strona dość lekceważyły się nawzajem, każda siebie uważając za potężniejszą i mogącą lepszej pomocy udzielić walczącym. Ale Pozejdon wyłómaczył im, że przystojniej będzie bogom nie walczyć ze sobą, lecz usunąć się na bok i ręce założywszy czekać, a udział swój ograniczyć do tego, by nie dopuścić śmierci Achillesa, Hektora i Eneasza. Tak się też stało. Achilles byłby niechybnie zabił Eneasza, który śmiało i wyzywająco wystąpił do walki, ale w ostatniej chwili okrył Pozejdon mglistą pomroką oczy Achillesa, a tamtego dzwignąwszy wysoko rzucił wstecz do ostatnich szeregów, nie chciał bowiem, by bezpotomnie i bez śladu wygaśł ród Dardana, który miał jako ukochany syn Zeusa nad Troją po Pryamie panować. Tak samo ocalił Hektora Apollon, okrywszy go gęstym obłokiem, a znowu kopią, którą H. z wielkim zamachem rzucił poprzecznie na Achillesa, odtrąciła Atena, swoim tchnieniem lekko ją zdmuchnąwszy. Nie mogąc nasycić się krwią tych bohaterów — wynagrodził to sobie mąż ten »nie słodki w obejściu, nie miękkiego też serca, ale zawzięty«

na innych. Straszłą rzeź on wyprawił, brocząc w strumieniu krwi (kilkunastu zabił przedniejszych Trojan).

**XXI. Bitwa nad rzeką w. 609.** Trojanie rozbili się na dwie połowy, jedni uciekali ku miastu, drudzy, przyparci do rzeki Skamandru, rzucili się w nurty z głośnym krzykiem, a kto nie utonął, tego tam mieczem zabił Achilles. Straszliwą rzeź on wyprawił. Trupy zawałyły rzekę tak, że zatamowały odpływ do morza i woda krwią zarumieniona wystąpiła z brzegów, zalewając dolinę. Dwunastu młodzieńców wziął żywcem i odesłał do okrętów ze skrępowanemi rękami; nieszczęsna ich dola, przypłacić mieli, niewinni, za życie Patrokla. Nagle zobaczył Likaona, syna Pryama; zdumiał się, oczom nie wierzył. On go niedawno pojmał był w niewolę i sprzedać kazał na Lemnos za sto wołów — a on tu znowu?!

Przebóg! na wielkie zaprawdę ja dziwo spoglądam oczyma:  
Widać, że Troi szlachetni synowie, com z życia ich wyzuł,  
Znowu na ziemię powrócą z ponurych podziemia ciemności,  
Równie jak ten oto wrócił, co dnia okrutnego uszedłszy  
Do czcigodnego Lemnosa był sprzedan.....

Tak to on stojąc rozważał; wtem tamten struchlały się zbliża  
Pragnąc mu ująć kolana, serdecznie albowiem pożądał  
Jeszcze wybiegać się śmierci okrutnej i czarnej swej doli...  
Więc przemawiając pokornie wyrzecz te słowa skrzydlate:  
»Oszczędź mię przecie, Achillu, i użał się, błagam na klęczkach!  
....Wiele przeniosłem; obecnie znów w ręce mię twoje oddała  
Dola nieszczęsna! Jam, znać, nienawistny jest ojcu Zeusowi,  
Kiedy mię w moc Twą oddaje i krótkowiecznym mię matka  
Cna Laotoa zrodziła.... Już rodzonego zabiłeś mi brata (Polidora)  
Teraz z kolei i mnie to nieszczęście spotyka, gdyż mniemam,  
Ze nie wybiegam się z rąk twych, jak skoro mię demon nasunął«.

Tak to przemawiał do niego szlachetny Pryama potomek  
Słowy kornemi; wtem głos nie znający litości usłyszysz:

»Póki mój drogi Patroklos nie dożył do dnia fatalnego,  
Póty me serce skłonniejsze mi było oszczędzać Trojanów,  
To też dość wielu nabrałem ja żywcem a potem sprzedałem;  
Teraz zaś niema takiego, co uszedłby śmierci, gdy demon  
Tutaj pod Troi murami go odda w moc mojej prawicy.  
Umrzyj i ty więc! Dłaczego rozwodzisz swe żale płaczliwe?  
Umarł i Patrokl, a przecież nierównie był lepszy od ciebie....  
Także i do mnie nieszczęsna zagłada i dola przemożna  
Zbliży się, czy to o świcie czy w wieczór, czy wreszcie w południe,  
Skoro i mnie kto w wojennych zapasach pozbawi żywota«.

Tak on powiedział, a tego kolana i serce struchlały i za chwilę padł pod mieczem — rzucony potem do rzeki rybom na pastwę. Zaraz potem uderzył Achilles na innego młodziana (Asteropajosa), który nie uciekał, lecz odważnie stanął do boju, w obu rękach włócznie trzy-

mając, bo władał jednako obiema rękoma. »Cóż to za jeden ty jesteś, coś ważył się stawić mi czoło? Dzieci to nieszczęsnych, co w moje do-  
stają się ręce!« W odpowiedzi młodzian wymienił swój ród i nazwisko  
i zaraz cisnął włóczniami i jedna trafiła w tarczę, ale nie przeszła jej  
na wylot, gdyż boskiej była roboty, druga drasnęła Achillesa w łokieć  
prawej ręki i poleciała dalej, nie nasyciwszy pragnienia, by w ludzkim  
»uraczyć się ciele«. I tego bohatera uśmiercił potem nienasycony Achil-  
les, a potem zwrócił się do Peonów, co uciekali wzdłuż rzeki. Za wiele  
tego było już wreszcie bogu (rzece) Skamandrowi, zaczął więc szaleć  
wzdętymi falami, poległych wyrzucał na brzeg, żywych ukrywał przed okiem.

Groźnie opadła Achilla dokoła fala zmacona;  
Prze na powęzę walący się bałwan, że wcale na nogach  
Ustać nie może. Natenczas rękami za wiaz się uchwycił  
Wielki, dorodnie rozrosły; ten jednak runąwszy z korzenia  
Całe wybrzeże rozwała.... Bohater wyrwawszy się z wiru  
Spieszny przelotnie po polu szerokim nogami zwinnymi,  
Zdjęty przestraczem. Lecz bóstwo zacięte wciąż rzuca się za nim  
Falą czarniawą, żeby go wstrzymać w wojennym mozole,  
Cnego Pelidę, a straszną zagładę odwrócić od Trojan.

Achilles ucieka, lecz dopadała go ciągle rzeka szumiąca rozgłośnie,  
choć biegł szybko, ponieważ bogowie są silniejsi od ludzi. Jęknął  
więc głośno, na niebo szerokie spojrzawszy: Zeusie! Ojczy, czy nikt  
mnie z fal nie wybawi? Niechbym już potem cobądź wycierpiał. O! gdy-  
bym legł był od ręki Hektora, co wzrósł tu najlepszy. Wtedyby dzielny  
był zabił dzielnego i zbroję zeń złupił. Teraz zaś w dziale wypadło mi  
śmierci haniebnej tu uleż w pętach tej rzeki wzburzonej, jak pa-  
stuchowi biednemu, kiedy go potok pochłonie, przez który się w zi-  
mie przeprawia. Prośba do bogów nie była daremną. Pozejdon i Atena  
stają przy nim i dają mu zapewnienie, że w falach rzeki nie zginie,  
a zarazem każą walczyć tak długo, dopóki Trojanie do miasta nie  
umkną, a on nie zabije Hektora. Bogi dodały mu serca, z większą siłą  
walczył z falami. Ale i Skamander nie spoczywał i udał się o pomoc  
do Simoisa:

Drogi braciszku, tę przemoc wojaka my przytrzeć musimy....  
Więc mi dopomóż jak można najprędzej: wypełnij łożysko  
Wodą ze źródeł i wszystkie potoki rozkiełtnaj po jarach!  
Wzdymaj raz po raz bałwany i unos swą falą huczącą  
Kłody i głazy, ażeby dzikiego poskromić herosa,  
Który przewagę ma teraz i pragnie się zrównać z bogami.  
Na nie mu jednak się nie zda, jak mniemam, ni siła ni piękność,  
Ani też zbroi wspaniałość, gdy gdzieś tam na dnie oparzelisk  
Iłem pokryty zalegnie, a jego samego otoczę  
Piaskiem dokoła, spowiwszy w oponę ze żwiru i muszel  
Sutą, że nawet i kości zmarłego pozbierać się nie da



Synom Argosą, wśród mułu nawały: tak trupa przywałę!  
Tam się dlań znajdzie gotowa mogiła....

Rzekł, i wysoko się wzbiwszy, z góry uderzył na Achilla. Widząc to Hera głośno krzyknęła i woła na ratunek Hefajsta, który, czyniąc jej zadość, straszliwą urządził pożogę.

Naprzód na polu roznieca płomienie i zmarłych wypala,  
Którzy tam w wielkiej ilości leżeli, ofiary Achilla;  
Wyschła zarazem równina i woda wstrzymała swe pędy....  
W ogniu stanęły topole i wierzby i krzew tamaryszka,  
Stanął w płomieniu i lotos z sitowiem i trawa cypryjska....  
Giną z spiekoty w odmętach dokoła węgorze i ryby,  
Tchnieniem ognistem Hefajsta, płodnego w pomysły, znękanę.

Przerażony Xantos uznaje się pokonanym, zrzeka się niesienia dalszej pomocy Trojanom, pokornie prosi Hery o ratunek:

Dosyć (rzekła), mój synu Hefajście przesławny! Nie godzi się przecież  
Nad nieśmiertelnym tak pastwić się bogiem z powodu śmiertelnych!  
Tak powiedziała, a Hefajst zgasił straszliwą pożogę.

Tymczasem między bogami wybuchła sroga rozterka, tak że jęknęły ziemi obszary i jakby trąby zagrzmiały w powietrzu. Ares rozpoczął i pierwszy na Pallas - Atenę uderza: Po cóż ty, mucho bezwstydna, przywodzisz znów bogów do walki! Tyś podnieciła Dyomedesa, żeby mię zranił; zapłacisz mi za to! Rzekł i ugodził w paizę — lecz ona, nazwawszy go tępakiem, porwała kamień i silnem uderzeniem w szyję powaliła go na ziemię. Rozciągnął się jak długi i siedm zaległ peletrów olbrzymiem swem ciałem i ledwo odzyskał przytomność przy pomocy Kiprydy, za co ją w piersi uderzyła Atena. Apollon, któremu Pozejdon srogie czyni wyrzuty za to, że pomaga Trojanom, nie chce walczyć ze starszym a do tego bratem ojca. »Byłbym chyba niespełna rozumu, gdybym się z tobą potykał za ludzi śmiertelnych, nędznych, co podobni do liści na drzewie, niekiedy z zapalem krzątają się, owoce ziemi spożywając, to znowu bezdusznie marnieją. Niech własnymi walczą siłami«. Również i Hermes okazał się grzecznym dla bogiń.

Z tobą, Latono, ja walczyć bynajmniej nie będę, bo trudno  
Z chmur piorunowych władcy Kroniona żonami zadzierać.  
Przeto z zupełną swobodą w orszaku odwiecznych niebianów  
Głoś sobie z chlubą, żeś mię zwyciężyła swą siłą przemożną.

Gorzej obeszła się z przeciwniczką małżonka Kronidy, bo zbiła Artemidę własnymi jej strzałami po uszach tak, że uciekła na Olimp, tży wylewając, ażeby poskarżyć się ojcu.

»Któż to znieważył cię, drogie me dziecię, zapytał. »Małżonka Twa, ojcze, skrzywdziła mnie, białoramienna bogini«.

Sędziwy Pryam stojąc na strażnicy widział straszny pogrom. Kazał więc otworzyć bramy, ażeby ci, co uszli zagłady, w murach schronić się mogli. Apollo chcąc im to ułatwić, pobudził mężnego Agenora do walki z Achillesem. a potem, usunawszy go w miejsce bezpieczne, sam przybrał jego postać i dopóty pozwolił upędzać się ze sobą, dopóki Trojanie nie uciekli do miasta i bram nie zamknęli za sobą.

**XXII. Zgon Hektora w. 515.** Wszyscy schronili się za murami miasta, wszyscy oprócz Hektora. Tego zatrzymała jakaś siła fatalna. Darownie ojciec starsuszek i matka sędziwa błagali syna, żeby wracał; serce Hektora nie dało się skłonić i czekał, aż zbliży się do niego Achilles, uganiający, się za Agenorem, zapóźno pomyłkę poznawszy — i tak do swej wzniosłej odezwał się duszy: Biada mi! Jeżelibym teraz schronił się na mury, wnet Polidamas najpierwszy, a za nim inni obarczyliby mię wyrzutami, że z mojej winy tyle narodu zginęło. A możeby złożywszy zbroję samemu pospieszyć na spotkanie Achillesa i powiedzieć mu: Ot, weźcie sobie Helenę i wszystkie jej skarby i okup bogaty i dajcie nam spokój nareszcie, wracajcie do swojej ojczyzny! Ale dla czego mi serce taką myśl nasuwa? nie warto się płaszczyć, on się nie użali, nie uwzględni prośby i śmierć bezbronnemu zgotuje, jak jakiej niewieście! Nie! trudno z nim teraz gwarzyć, jak dziewczę gwarzy z młodzieńcem; raczej gotować się do ostatecznej rozprawy! Tak on rozważał w umyśle i sercu — i pozostał. Wtem Achilles zbliża się do niego, do Aresa podobny, świetny, wspaniały, wyniosły. Zadrżał Hektor, opanowała go trwoga nagła i dziwny lęk, zwiastujący ostatnią godzinę. Zaczął uciekać; gonił za nim Achilles, jak jastrząb ścigający gołębia; trzykroć tak obiegli Pryama warownię. Żal się zrobiło ojcu Zeusowi, chciał go ratować, ale sprzeciwiła się Atena, więc pozwolił jej działać podług własnej woli.

Patrz, oto ojciec podnosi wysoko szale złociste;  
Na nich dwa losy zagłady, ścielącej pokotem, umieszcza  
Jeden Achilla, a drugi Hektora, pogromcy rumaków.  
Waży, ujawszy pośrodku; a doła Hektora się chyli  
Ciężąc do Hada; opuścił go wtedy też Fojbos Apollo.

Do Achillesa przybyła w tej chwili Atena i kazała mu stanąć, a potem, podstępnie przybrawszy postać przyjaciela Deifoba, namówiła Hektora do walki. »O Deifobie kochany — odparł Hektor — i przedtem byłeś mi najmilszym z braci, ale teraz, gdyś sam jeden opuścił warownię, żeby być przy mnie, jeszcze droższy jesteś sercu mojemu!« Bohaterowie stają naprzeciw siebie, Hektor proponuje umowę, żeby ten, kto zwycięży, zabrał zbroję zabitego, ale ciało oddał swoim dla uczciwego pogrzebu«. Spojrzawszy nań z pod oka rzecze Achilles:

»Nie praw mi tu o żadnych umowach, Hektorze!  
Jak między ludźmi i lwami, trwałego nie bywa przymierza,

Ani jagnięta, ni wilki nie łączą się wzajem przyjaźnie,  
Ale złowrogie zamiary ich dzielą od siebie statecznie:  
Tak niepodobna mi z tobą się lubić, i żadne przymierze  
Nas nie skojarzy, dopóki z nas jeden na placu nie legnie.

Walka wrzała zacięta; wśród niej spostrzegł Hektor, że Deifobos znikł, że zwiodła go bogini, i uczuł, że teraz już ujść niepodobna, że dosięgła go Dola; istotnie, ugodzony włócznią w gardło, runął w kurzawę. Konając prosił Achilla (na jego kolana i życie i jego rodziców), by zwłok jego psom nie oddawał na pastwę, lecz odesłał je rodzicom. Ale i tej pociechy odmówił mu przeciwnik szorstko i twardo:

Gdyby cię nawet samego na złoto przeważył rozkazał  
Pryam, potomek Dardana, i tak ciebie matka czcigodna  
Płakać nie będzie, złożywszy na marach, ta co cię zrodziła;  
Ale cię psy, jakoteż ptaki drapieżne, ze szczętem rozszarpia! —  
Doń, umierając — odezwie się Hektor w buńczucznym szyszaku:  
Znam cię, niestety! dowodnie, i widzę, żem wcale cię nie miał  
Skłonić; z żelaza zaprawdę masz serce wykute w swem łonie.  
Pomyśl obecnie, bym gniewu boskiego na ciebie nie ściągnął  
Dnia owego, gdy Parys wraz z Fojbem zdaleka rażącym  
Zgładzą cię, chociaż dzielnego, przy skajskiej warownej strażnicy.  
Kiedy to właśnie wymówił, zagłada go śmierci okryta;  
Dusza zaś z członków pierzchnęła do ciemnych Aida przybytków,  
Płacząc na los swój, rzuciwszy i męskość w jej kwiecie i młodość.

Wtedy Achilles »niegodnych postępków« dokonał na boskim Hektorze, przedziurawił nogi, przewlókł przez otwory rzemienie i włókł go wracając do obozu, a głowa, tak wdzięczna i piękna niedawno, tarzała się w kurzawie. Kronion wydał ją wrogom na hańbę sromotną we własnej ojczystej krainie. Biedna matka na widok ten włosy wrywa, głośno zawodząc.

Jęczy żałością i ojciec stroskany, a ludy dokoła  
Lament ogarnął, i jęki boleści; po całej warowni  
Okrzyk rozpaczy rozbrzmiewa, zupełnie jak gdyby już cały  
Ilion, na wzgórzach rozsiadły, w perzynę się rozpadł ze szczętem.

Opisaniem rozpaczy i skarg nieszczęsnych rodziców i żony płaczącej nad mężem i pozostałym sierotką kończy poeta tę pieśń rozdzierającą serce.

**XXIII. Pogrzeb Patrokla. Igrzyska. w. 897.** Wróciwszy i oplakawszy jeszcze raz zgon przyjaciela, wyprawił Achilles dla wojska pogrzebową ucztę, a potem na brzegu morskiem na otwartem polu, gdzie fale plukskały o brzegi skaliste, ułożył się na spoczynek. We śnie pokazał mu się duch Patrokla i prosił o pogrzeb, by mógł przekroczyć nareszcie bramy Hadesu »dusze albowiem płoszą go, nie chcąc puścić do swego orszaku przez rzekę, więc błąkać się musi w ciężkiem strapieniu«. Prosi

także, by prochy jego w tej samej spoczęły urnie, w której kiedyś złożył prochy Achillesa. Życzeniu temu stało się zadość, a i bez tego byłoby się stało, bo Achilles przed wieczorem prosił Agamemnona, by nazajutrz o świcie drzewo z lasu na Idzie kazał sprowadzić. Ustawiono ogromny stos w czworobok (boki po 100 stóp długości) — na samym szczycie złożono zwłoki Patrokla, grubą warstwą tłuszczu zabitych baranów i wołów pokryte — a niżej ciała dwunastu zabitych młodzieńców trojańskich, cztery konie, dwa psy pokojowe i dzbany napełnione oliwą i miodem. Potem to wszystko podpalił Achilles i tak przemówił do zmarłego;

Bądź pozdrowiony, Patroku, i w ciemnych Aida przybytkach!  
Wszystkom ci teraz już spełnił, co tylko przyrzekłem ci kiedyś.  
Syna Pryama nie rzucę na ogień, lecz psom na pożarcie!

Tak się odgrażał, lecz inaczej zrządziły bóstwa; Afrodyta czuwała nad ciałem w dzień i w nocy, psy odpędzając i zwłoki namaściła balsamem z ambrozji, różą pachnącym, ażeby zabezpieczyć je od uszkodzenia, gdy Helios (słońce) przypiekać albo Achilles »postępujący niegodnie« pastwić się nad niem będzie, włócząc w kurzawie. Stos nie palił się płomieniem, więc Achilles wniósł do wiatrów (Boreasza i Zefira), gorącą modlitwę, by podmuchem swym prędej ogień wznieciły. Przyrzekł im świetne ofiary i ulał wina na cześć ich sownice. Irys polotna

Śluby życzliwie przyjęła i poszła w poselstwie do wiatrów.  
Ci przy wesołej biesiadzie siedzieli zebrani gromadnie  
W gmachu Zefira szumnego. Ujrzawszy wchodzącą boginią

wszyscy się z miejsc swych zerwali i każdy ją naprzemian zaprasza, by usiadła koło niego. Siadać nie pora, odpowiada bogini, i oznajmia, po co przyszła. Wiatry ruszyły natychmiast

Z szumem straszliwym i pędzą przed sobą obłoki cieniste.  
Wkrótce runęły na morze, by wzburzyć je; wały się piętrzą  
Pod przeraźliwym poświstem; wnet żyznej dosięgły też Troi.  
Wpadły na stos; wzbijają się z trzaskiem potężne płomienie.

Gdy nad ranem stos spopielał, polano zgłiszczą iskrzącem się winem i prochy Patrokla złożono w urnie złocistej, na podwójnej warstwie tłuszczu, a potem usypano mogiłę. Następnie Achilles na cześć Patrokla i dla roz pogodzenia zgnębionych umysłów wyprawia świetne igrzyska, które przypomniały im czasy pogodne i miłą ojczyznę. Były tam: 1) wyścigi na wozach, 2) walka na pięści, 3) zapasy siłaczów, 4) wyścigi piesze, 5) pojedynki zbrojne, 6) rzucanie kręgiem, 7) strzelanie do gołębi, 8) rzucanie włócznią. Nagrody wyznaczył Achilles rozmaite: 1) Jeńcy wojenni, 2) klacz sześciioletnia, która jeszcze jarzma nie znała, 3) kocioł prosto z pod młota, 4) dwa złote talenta, 5) dwojaki, od ognia nietknięte. Każdy z przedniejszych pozyskał jakąś nagrodę wysłu-

chawszy mądrych rad doświadczonego Nestora, który dowodził, że człowiek nie może być biegły we wszystkim zarówno i że:

Więcej rozważa, niż siłą, dokaże i drwał w swojej pracy.

Gdy Menelaus poddał w wątpliwość zwycięstwo Antylocha, który go wyprzedził, minawszy jego rydwan »podstępnie«, szlachetny młodzieńiec tak przemówił do niego:

Poskrom się teraz, wszak jestem ja młodszy od ciebie nierównie  
O, Menelaju, mocarzu: ty laty i męstwem przodujesz.

Przecież wiadomo, jak skory do zbrodni jest umyślony młodzieńczy.  
Myśl obcesowa jest wtedy, a za to też słaba rozważa.

Niech się twe serce przemoże! Ja klacz z przyjemnością ci oddam,  
Którą zdobyłem, a nawet i czego większego zażądaj

Z moich dostatków! Natychmiast jam gotów to złożyć ci w darze,  
Byłem ci tylko, potomku Kroniona, na czasy następne

Z serca nie wypadł i nie był grzesznikiem w obliczu niebianów.

Po tych pięknych słowach zawziętość Menelausa natychmiast ulotniła się »jak rosa poranna«, nagrody naturalnie nie przyjął, a młodzieńcowi dał tylko naukę, żeby lepszemu nigdy nie podchodził chytrą siłą.

**XXIV. Wyprawa po zwłoki Hektora. w. 804.** Apollo chronił ciało Hektora od wszelkiej skazy, a widząc, że Achilles pastwi się nad niem, włóczęąc je codzień naokoło mogiły Patrokla, przedstawił bogom ten dziki i niegodny czyn wyzutego z wszelkiej litości i zaciekłego w szale człowieka. Zeus, nie zważając na opozycję Hery, przyzwał do siebie Tezydę i kazał jej powiedzieć Achillesowi, że bogowie gniewają się na niego, a on z wszystkich najbardziej, powinien więc wydać zwłoki ojcu Hektora. Równocześnie daje polecenie Hermesowi, by przeprowadził Pryama bezpiecznie do namiotu Achillesa, tudzież Irydzie, by go do tej wyprawy namówiła i skłoniła. Mimo prośb i przedstawień Hekaby wybiera się tedy nieszczęsny starzec z jednym tylko towarzyszem i z wozem, naładowanym niezmiernym okupem. Ale nim wyruszył, ofiarował Zeusowi wino, umywszy ręce, i modlił się gorąco. Zeus wysłuchał modlitwy i zesłał mu orła, z wróżb najcelniejszą. Wyruszyli. Równocześnie Hermes

Prędko też przybył na Troi wyżyny i brzeg Helespontu;  
Wnet, do młodziana z królewskiej rodziny podobny, podąży,  
Pierwszym mszącego się puszkim, w uroczym młodości rozkwicie.

Tamci zaś, skoro minęli wyniosły grobowiec Ilosa,  
Obaj się nieco wstrzymali, by muły i konie napoić,  
Tuż ponad rzeką; ściemniało się bowiem już w koło po polach.  
Jednak, Hermesa ujrzawszy w pobliżu, szlachetny Idajos  
Zwrócił uwagę, i w te do Pryama odezwie się słowa:

Baczność! potomku Dardana; tu trzeba rozważy wytrawnej;  
Męża spostrzegam: on obu nas łatwo uśmiercić jest gotów.  
Dalejże! albo umknijmy na koniach, albo też wreszcie,  
Kolan dopadłszy, błagajmy, by miał miłosierdzie nad nami.

Rzekł tak Idajos; a starzec się zmieszał, strwożony okropnie;  
Stanął jak wryty. Wtem Dawca ratunku uprzejmie się zbliża,  
Starca za rękę ujmując i bada go, rzecz tak prowadząc:

Dokąd, ojezulku, tak tędy kierujesz i muły i konie  
W nocy ożywezej, gdy snu zażywają inni śmiertelni?  
Toś ty nie uląkł się tchnących odwagą junaków Achai,  
Którzy, zawzięci i wrodzy, w pobliżu czyhają na ciebie?  
Gdyby zobaczył cię który wśród nocnych przelotnych ciemności,  
Z tyłu skarbami w podróży, to jakiejbyś wtedy był myśli?  
Jużes niemłody, a twój znów towarzysz zbyt w lata podeszły,  
Żeby się bronić mężowi, co pierwszy się gniewem uniesie.  
Jednak ja złego ci nic nie wyrządę i owszem odeprę  
Męża innego od ciebie: na ojca drogiego mi patrzysz.

Na to odpowie mu starzec Pryamos, do bogów podobny:  
Tak ci-to rzeczy się mają, kochane me dziecię, jak mówisz,  
Ale ktoś jeszcze z niebianów nademną rozciąga prawicę,  
Gdy towarzysza takiego w podróży nadarzył mi spotkać,  
Na mój ratunek, jak ciebie, cudnego z urody i kształtu  
I roztropnego; szczęśliwych tyś, widać, jest dzieckiem rodziców.

Na to mu znowu odeprze obrotny Argosa zabójca:  
Wszystko, zaprawdę, jest słuszne, coś tylko, staruszk, powiedział,  
Ale mi to też oznajmij, i prawdę wypowiedz rzetelną:  
Czy ty gdzie może wyprawiasz te skarby, tak liczne i cenne,  
Do zagranicznych znajomych, ażeby choć to uratować?  
Czy wynosicie się wszyscy już zgoła z Ilionu świętego,  
Tknięci obawą? dzielnego albowiem straciliście męża,  
Jakim był syn twój: on w boju przed wrogiem nie cofał się wcale.

Na to odeprze mu starzec Pryamos, do bogów podobny:  
Któż, dobroczyńco, ty jesteś, i jakich rodziców tyś synem,  
Coś mi tak pięknie wzmiankował o zgonie mego biedaka?

Znowu mu na to odpowie obrotny bożek Hermejas:  
Ty mię doświadczasz staruszk i badasz o enego Hektora,  
Wszakże ja widziałem go często w potyczce, dla mężów zaszczytnej;  
Ja z Mirmidonów pochodzę; Poliktor jest moim rodzicem,  
Możny w dostatki, podeszły już w lata, jak ty oto właśnie.

Na to odeprze mu starzec Pryamos, do bogów podobny:  
Gdy towarzyszem więc broni Achilla, potomka Pelea,  
Jesteś, to dalej-że, całą mi prawdę wypowiedz otwarcie:  
Czy przy okrętach jest syn mój dotychczas, czy już go też Achill  
Psom swym zgłodniałym, w kawały pociąwszy, na pastwę porzucił?

Znowu mu na to odpowie obrotny Argosa zabójca:  
Owszem dotychczas on leży tam koło okrętu Achilla  
Zawsze w namiocie, i mija już właśnie dwunasta jutrzienka,  
Odkąd tam leży; a ciało nie psuje się, ani go wcale  
Robak nie toczy, co mężów, poległych na placu, pożera,  
Tak-to się troszczą szczęśliwi bogowie o syna twójego,  
Nawet po śmierci, albowiem ich sercu on wielce jest drogi.

Rzekł tak; a cieszy się starzec, i w takie odeprze mu słowa:  
Błogo jest, synu, zaprawdę przedwiecznym należne podarki  
Składać; wszak nigdy i syn mój, o ile on kiedyś był moim,  
Nie zapominał w komnatach o bogach, Olimpu mieszkańcach:  
O nim też sobie wspomnieli, choć śmierci go dola spotkała.  
Ale też przecie nie odmów mi przyjąć ślicznego pucharu;  
Chroń mi tamtego, i wodzem bądź moim przy bogów pomocy,  
Żebym się dostał pod namiot Achilla, potomka Pelea.

Znowu mu na to odpowie obrotny Argosa zabójca:  
Kusisz mię, starcze, młodszego od siebie; ztemwszystkiem nie skłonisz,  
Żebym przyjmował od ciebie podarki bez wiedzy Achilla.  
Jam towarzyszyć ci gotów, chociażby do Argów przesławnych:  
Nikt, lekceważąc opiekę, na ciebie był targnąć się nie śmiał.

Rzekł i, na wóz zaprzężony skoczywszy, Dawca Ratunku  
Biec bardzo piękny i lejce natychmiast ujmując rękoma,  
Siłą szlachetną też natchnął tak konie, jak muły zarówno.  
Kiedy nareszcie do wież i okrętów i fossy przybyli,  
Straż tam zastali, jak właśnie krzątała się koło wieczerzy.  
Sen im na oczy zeszyła obrotny Argosa zabójca

Wszystkim, i spieszenie zapory odsuwa, i bramę otwiera;  
Potem wprowadza Pryama wraz z dary świetnymi na wozie.  
Z wozu następnie zeskoczył i rzekł do staruszka w te słowa:

Oto, staruszk, naprawdę jam bóg nieśmiertelny zawitał,  
Hermes; gdyż rodzic mię tutaj wyprawił na wodza dla ciebie.

Tak powiedziawszy, odchodzi niezwłocznie na Olimp wysoki  
Hermes. Staruszek Pryamos tymczasem pod namiot pospieszył,  
Gdzie ulubieniec Kroniona, Achilles, przebywał, i tam go  
Zastał: druhowie zosobna siedzieli, i dwóch z nich jedynie,  
Ów Automedon, bohater, i Alkim, latorośl Aresa,  
Stali, do posług gotowi; on tylko-co skończył wieczerzę,  
Jadło i napój spożywszy, i jeszcze był stół zastawiony.

Wtem się z nienacka ukazał Pryamos, i, zbliższy stanawszy,  
Ujął rękami kolana Pelidy, i ręce całował,  
Ręce zbójczyni straszliwe, co wielu mu synów zgładziły.  
Wielce osłupiał Achilles, ujrawszy boskiego Pryama;  
Inni też równie struchleli, i jeden po drugim spoglądał.  
Pryam atoli swe prośby błagalne doń zwraca w te słowa:

Wspomnij na ojca swojego, do bogów podobny Achilla:  
W takim, jak ja, on też wieku, na progu gnębiącej starości.  
Może i jego też ludy, mające dokoła siedliska,  
Drepczą, a nie ma nikogo, co klęskę i zgubę by odparł.  
Mimo to wszakże, ilekroć usłyszysz o tobie, że żyjesz,  
Ciesz się w sercu, i żywi nadzieję z dnia na dzień, że ujrzę  
Syna lubego, jak z Troi przybędzie z powrotem do domu.  
Jam, co się zowie, nieszczęsny! Zrodziłem ci synów walecznych  
W Troi rozległej, a teraz z ich grona nie został mi żaden!  
Tyś go niedawno uśmiercił, gdy walczył w obronie ojczyzny,

Mego Hektora; dłoń teraz przybywam na łodzie Achiwów,  
Żeby od ciebie go zyskać, i noszę ogromne wykupne.  
Bój się więc bogów, Achilla, i okaż też litość nademną,  
Pomnąc na swego rodzica! Jam jeszcze godniejszy litości!  
Zniosłem albowiem to, czego z śmiertelnych nikt nie zniósł ziemianów:  
Rękę, co syna zgładziła, niestety, do ust jam przycisnął!

Rzekł; a tamtego do rzewnej tęsknoty po ojcu pobudził;  
Zlekka więc starca od siebie odsuwa, za rękę ujawszy.  
Toną w wspomnieniach obadwaj; ten na myśl przywodząc Hektora,  
Płacze żałośnie, u nóg bohatera, Achilla, się wijąc;  
Również i Achill, to raz nad swym ojcem boleje, to znowu  
Nad przyjacielem: jękami się wciąż rozlegała kwatery.  
Ale, jak tylko już płaczem nasycił się boski Achilles,  
Zaraz z siedzenia się porwał, i starca za rękę podnosi,  
Zdjęty litością nad głowy siwizną, siwizną też brody,  
I, przemawiając do niego, wyrzeczy te słowa skrzydlate:

Biedny; zaiste tyś złego niemało wycierpiał w swem sercu!  
Jakżeś odważył się przybyć sam jeden na łodzie Achiwów,  
Wprost przed oblicze mężowi, co wielu ci, przytem tak dzielnych,  
Synów uśmiercił! Zaprawdę z żelaza wykute masz serce!  
Ale też usiądź-że przecie na krzesle, i dajmy cierpieniom  
Niecoko ukoić się w duszy, jakkolwiek strapieni głęboko.  
Wszakże my nic lodowatym zmartwieniem tu wskórać nie możemy,  
Takie to nędznym śmiertelnym wytknęli tu losy bogowie,  
Wlec w utrapieniu swój żywot: bez troski są sami jedynie.  
Dwa są albowiem naczynia przy progu, w przybytku Kroniona,  
Z dary, którymi obdarza: to z szczęściem, a tamto z niedolą.  
Komu z obydwóch po trochę użyczy Zeus gromowładny,  
Ten to na nędzę raz trafia, to znowu z kolei na szczęście.  
Komu zaś z nieszczęść udzieli, takiego pogrąży w ohydę,  
Tak iż go ściera gnębiąca potrzeba po ziemi obliczu,  
I nie uczczony przez bogów, jak również i ludzi, się tuła.  
Tak Peleusza też bogi świetnymi uczcili podarki  
Od urodzenia, przewyższył albowiem on wszystkich śmiertelnych;  
Nawet choć jest śmiertelnikiem, oddali mu rękę bogini.  
Bóg i na niego wszelako dopuścił nieszczęście, że wcale  
Synów w pałacu on nie ma na przyszłych królestwa dziedziców.  
Jeden mu tylko się zrodził, co wkrótce ma zwiędnąć, i nawet  
Nie pielęgnuje staruszka; gdyż bardzo daleko od kraju  
Siedzę tu, w Troi, i ciebie i dzieci twe trosk nabawiając.  
Ty pomyślnością też, starcze, jak słyszę, kwitnąłeś wśród ludzi,  
Ale, jak tylko tę klęskę zesłali ci niebios mieszkańcy,  
Walki ci ciągle przy mieście się srożą i mężów zabójstwa.  
Panuj nad sobą i tak nieustannie w swem sercu się nie trap!

Temu następnie odpowie Pryamos do bogów podobny:  
Mnie, wychowańcze Kroniona, nie sadów na krzesle, gdy Hektor,  
Z czci pogrzebowej wyzuty, tam leży, w namiocie; lecz prędzej



Wydam go; niechaj me oczy go ujrzą, i weź sobie okup Suty, co tobie go niesiem! Ty zdrow go używaj i powróć Do swej ojczyznej krainy, jak skoroś mię cało wypuścił.

Na to mu rączy Achilles odeprze z ponurem wejrzaniem: Starcze nie drażnij mię teraz, i sam o tem myślę ja przecie, Żeby ci wydać Hektora: od Zeusa mi przysłała w poselstwie Matka, co życie mi dała, z morskiego staruszka zrodzona. Ciebie, Pryamie też — w duszy to widzę, jakoby na jawie — Któryś z niebianów prowadził do zwrotnych achajskich okrętów. Nie śmiałby przecie śmiertelny się puścić i w kwiecie młodości Tutaj do wojska; nie uszedłby bowiem placówek, i łatwo Zapór by tak nie odsunął u naszych warownych podwoi.

To rzekłszy Achilles, odebrał okup, lecz zostawił z przywiezionych bogatych szat dwa płaszcze i kaftan, żeby okryć przystojnie zmarłego, i kazał go umyć i namaścić, a potem zaprosił Pryama na wieczerzę i nocleg. Rozmawiali. Pryam uprosił dwunastodniowy rozejm, by mógł syna uczciwie pochować. Achilles wspomniął, jakby dla ulżenia starcowi, cierpienia Nioby, której Apollo i Artemis wszystkie dzieci zabili w gniewie zawziętym,

Gdyż z pięknowłosą Latoną równała się nieraz Nioba,  
Mówiąc: ja tyle mam dzieci, bogini zaś dwoje jedynie!  
Teraz pomiędzy skałami na wzgórzach, samotnie sterczących,  
Tam na Sipyli, gdzie mają mieć miejsce spoczynku niebianki,  
Tam, choć to kamień, odczuwa zesłane przez bogów cierpienia.\*)

Staruszek położył się spać, Bóg wie od ilu dni po raz pierwszy, ale we śnie pojawił mu się Hermes i radził natychmiast wybrać się z powrotem, bo mógłby się o wszystkim dowiedzieć Agamemnon lub kto inny z Achiwów i zgotować nowe przeszkody i trudności. Pryam usłuchał boga, a ten szczęśliwie przeprowadził go do miasta. Pierwsza ujrzała i powitała ojca drogiego i zmarłego brata Kassandra podobna z piękności do złotej Kipydy\*. Oplakany przez rodzinę i lud cały, dnia dwunastego doczekał się uczciwego pogrzebu ten szlachetny obrońca ojczyzny i miasta, ten bohater bez skazy, wzorowy syn, brat, mążzonek i ojciec. Helena tak go zęgnęła:

O mój Hektorze serdeczny, ze wszystkich mi szwagrów najmiłszy,  
Nigdy żadnego przykrego lub złęgo wyrazu od ciebie  
Jam nie słyszała; i owszem, gdy na mnie powstawał kto w domu,  
Tyś go statecznie miarkował i, robiąc uwagi, powściągał  
Swą serdecznością i swemi słowami, tchnącemi pokojem.  
Przeto ja płacę w strapieniu po tobie, nad sobą też nędną,  
Nie mam już bowiem nikogo na Troi szerokich rozłogach.

\*) Porównaj Treny Jana Kochanowskiego.

# Odyssea.

---

I. Stosunki na Itace. w. 444. Dziesięć lat mijało od zburzenia Troi. Z tych, co nie zginęli pod jej murami, nie wszyscy szczęśliwie wrócili do domu; wielu przepadło na morzu, inni dostali się do dzikich ludów, niektórzy nareszcie zaraz po powrocie tragicznemu ulegli losowi. Nestor i Menelaus wrócili szczęśliwie, pierwszy do Pylosu, drugi do Sparty. Wódz naczelny Agamemnon, zamordowany we własnym domu zbrodniczą ręką Aigistosa, pragnącego posiadać jego małżonkę i mienie. Ostrzegali go bogowie przez Hermesa; nie usłuchał — i rychło nastąpiła słuszna kara, zabił go bowiem syn Agamemnona, Orestes. Odysseus z towarzyszami siedział na wyspie Ogigii, gdzie więziła go nimfa Kalipso, pragnąc go mieć za małżonka. Tymczasem na Itace w domu jego dziwne działy się rzeczy; całe gromady próżniaczej młodzieży zalegały dwór, starając się o rękę posażnej królowej w tem mniemaniu, że małżonek już nie wróci. Jedli, pili, tańcowali, hulali całymi dniami, niszcząc w straszny sposób dobytek i mienie nieobecnego gospodarza\*). Królowa była nieporadna, syn młody Telemach niemiał odwagi ani siły wypędzić zalotników, choć krzywdę domu i swoją czuł i rozumiał. Taki stan rzeczy obudził wreszcie litość bogini Ateny, zaniósła więc do ojca bogów i ludzi, Zeusa, prośbę, żeby pohamował gniew Pozejdona, który ścigał Odysseusa za to, że oślepił ulubieńca jego, syna Nimfy, kiklopa Polifema. Zeus przyrzeka jej zwołać radę bogów, by pokonać gniew Pozejdona i powrót Odysseusowi

---

\*) Dla różnaitości sprowadzili sobie sławnego spiewaka, który, choć niechętnie, musiał spiewać. Na temat wybrał w dniu, kiedy Atena była na Itace, powrót Greków z pod Troi. Gdy Penelopie smutna pieśń nie przypadła do smaku, rzekł do niej syn te piękne i rozsądne słowa: Matko ukochana, dla czegoś z pieśni niezadowolona?

Czy, że spiewa jak czuje? Nie on winien temu:  
Raczej Zeusa obwiniaj, że daje każdemu  
Mistrzowi takie tylko, jakie chce, natchnienia.  
Nie wiń go, że nam spiewa Greków utrapienia.  
Ażaliż nie tej pieśni słuchamy najchętniej,  
Która czemś nowem w sercu słuchacza odtętni?  
Raczej ty się do pieśni nastrój w duszy swojej!

zapewnić, ona zaś przybrawszy postać Mentesa, dawnego przyjaciela domu królewskiego, przybywa na Itakę i przyjęta gościnnie przez Telemacha, namawia go by zwołał wiec ludowy, próżniaków, gości z domu wypędził, matkę, jeśli chce iść za męża, do rodziców odesłał, a wreszcie udał się do Pylosu i Sparty, ażeby od sędziwych przyjaciół ojca wieści o nim zasięgnąć; przytem wlała w pierś jego otuchę i nadzieję, że ojca jeszcze zobaczy. Telemach czując w tem głos boży, bo odpowiadał głosowi jego sumienia, zaraz na poczekaniu wręcz oświadczył zuchwałym gościom, że mają dom jego opuścić i że nazajutrz zwoła wiec. Szanowni goście przyjęli to na razie z wielkiem zdziwieniem, nie pojmując, co się stało młodzieńcowi i skąd wzięła się taka buta u niego. Telemach udał się na spoczynek, a usługiwała mu poczciwa staruszka Eurykleja, która od dziecięcych lat niańczyła go i kochała jak syna.

Siadł na pościeli, zrzucił z siebie chiton miękki  
I roztropnej staruszce oddał go do ręki ;  
A ta złożywszy gładko fałdzik przy fałdziku,  
Zawiesiła przy łóżku na ściennym gwoźdźniku ;  
Poczem wyszła, drzwi srebrnym przeciągnęła pierścieniem,  
Zasuwkę zasunęła, szarpnąwszy rzemieniem.

Nie mógł jednakże zasnąć, myślał o podróży.

**II. Wiec. Przygotowania do podróży. w. 434.** Nazajutrz rano zwołał Telemach przez keryksów zgromadzenie ludu i w gorzkich a wymownych słowach przedstawił swoją krzywdę, prosząc o wypędzenie zalotników z jego domu i o statek z dwudziestu ludźmi, by mógł popłynąć do Pylosu i Sparty. Po tej mowie zalał się łzami, a zuchwały syn Eujeptesa, Antinoos, jeden z owych nieproszonych gości, tak odpowiedział:

Chłopcze ostrojęzyczny, wyrwałeś się hardo  
Z potwarzą; chcesz nas okryć wstydem i pogardą.  
Cóż zalotnicy złego zrobili? gdzie wina?  
Raczej w twej matce, chytrej niewieście, przyczyna.  
Na taką się jej dowcip zdobył niespodziankę,  
Że umyślnie w swej izbie cienką długą tkankę  
Nałożyła i rzekła do zalotnej młodzi:  
»Jeśli wam po Odysie o mą rękę chodzi,  
To pokąd niedokończę tej szaty, nie prędjaj  
Ślub być może, bo żal by marnować mi przędzy«.   
Tak mówiła i wszyscy wierzyli mądrodze.  
Odtąd w dzień przy krosienkach tkąła tam potrosze,  
Lecz w noc przy żagwiach pruła, co we dnie utkała,  
I tak nas przez trzy lata wciąż oszukiwała.  
Gdy czwarty rok przyniosły pór odmienne lica,  
Przez jedną ze służebnych wyszła tajemnica.

A zatem odeslij matkę do ojca, ażeby wybrał jej męża z pośród nas, bo inaczej z domu nie ustąpimy.

Na to Telemach:

Matkę wygnąć — to w mojej nie mieści się głowie;  
Wygnąć dawczynię życia, co mnie wykarmiła,  
Czy tam ojciec mój żyje, czy go śmierć zabiła!

Mściłyby się demony, gdyby wezwała Erynni i ludzie mną by pogardzili! Opuśćcie mój dom, bo zaknę nieśmiertelne nieba i wtedy Zeus ukarze was srodze i wszyscy dacie gardło. W tej chwili pojawiły się w powietrzu dwa orły — dobra wróżba dla Telemacha. Sędziwy wróżbita tłómaczy ją w ten sposób, że powrót Odyssa bliski, a zagłada zalotników pewna. Gromi go za tę przepowiednię zuchwały Eurymachos i drwi z wróżby: »Któż nie wie, że pod słońcem lata dużo ptaków« a przytem powtarza i popiera zdanie Antinoja. Naprózno ujmował się za słuszną sprawą i prośbą Telemacha sędziwy Mentor, niegdyś serdeczny przyjaciel ojca. Zakrzyczał go Leiokrytos po grubiańsku i oświadczył, że się nawet samego Odyssa nie boją, bo mają liczebną przewagę, i zerwał zgromadzenie. Biedny Telemach poszedł na brzeg morski, umył ręce i modlił się do Ateny o pomoc. Bogini wtedy stanęła przy nim w postaci starego Mentora i takimi krzepiła go słowami:

Zaprawdę mało synów, co się w ojców wdali,  
Mniej lepszych, a moc takich, co podli i mali.  
Więc gdy nadal nie stchórzysz i nie podrwiesz głową,  
Ani całkiem utracisz mądrość Odyssovą,  
Tedy na pewne tuszę, żeć dzieło uwięzczy;  
A tem, co gachy robią, gardź, niech cię nie dręczy.  
Głupcom tym sprawiedliwość ni mądrość nieznaną;  
Nie przeczuwają śmierci, a już zgotowana  
Wisi nad nimi; wszyscy na jeden raz padną.  
Więc twój wyjazd nie trafi na przeszkodę żadną;  
Ja bowiem, jako z ojcem miałem przyjaźń dawną,  
Jadę z tobą i łódź ci przysposobię splewną.

Tymczasem wracaj do domu i przygotuj na drogę żywność i wino; ja zaś postaram się o ochotników, coby nam jako załoga towarzyszyli. Telemach zastał w domu to, co zwykle; konkurenci piekli kozy i tłuste wieprze, zakrapiali to winem i gawędzili wesoło; tylko podróż Telemacha nasunęła jednemu z nich uwagę, na pół trwożną na pół żartobliwą, że on może jedzie do Pylos i Sparty, ażeby tam zmówić oprawców na ich gardła, albo z Efiru przywiezie truciznę i do wina im wmięsza. Telemach poszedł z piastunką Eurykleją do skarbcza, zamkniętego szczelnie, i przygotował spory zapas wina i mąki, a przytem uwiadomił staruszkę o swoim zamiarze, odebrawszy od niej przysięgę, że ani matce ani nikomu o jego podróży przed upływem dwunastu dni nie powie. Atena w postaci Telemacha uprosiła od Nemona statek i zebrała załogę. Zapasy zniesiono i ruszono w podróż.

III. W gościnie u Nestora. w. 497. Przybyli na miejsce nazajutrz — a trafili dobrze, bo właśnie lud, z Nestorem i jego synem Pejzystratem na

czele, składał na wybrzeżu ofiarę Pozejdonowi i wyprawiał ucztę. Spozstrzegłszy przybyłych, wyszedł syn Nestora naprzeciw i, powitawszy bardzo uprzejmie, zaraz na ucztę zaprosił, a dopiero, gdy pomodliwszy się zjedli i wypili do syta, zapytał nieznanych gości, kto są? Ucieszył się, gdy powiedzieli, ale niestety wiadomości nie wiele mógł im udzielić. Ajas poległ, Antilochos, syn Nestora, również, Mirmidonowie wrócili szczęśliwie pod dowództwem syna Achilleusa, Dyomedes także. Menelausa zagnała burza aż do Egiptu, tak że nie mógł przeszkodzić zbrodni w domu Agamemnona. Goście chcieli się pożegnać i wrócić na okręt. Nie zezwolił jednak Nestor:

Ani Zeus nie dopuści, ni bogowie sami,  
Abym was mógł na okręt odprawić w tej chwili;  
Czyż ja to hołysz jaki, albo żebrak?...  
Nie troszcz się, tu nie braknie nakrycia ni płaszcza.  
Jazbym pozwolił, żeby syn Odyssów zwłaszcza  
Szedł na statek? Rzecz taka nigdy się nie stanie,  
Pókim żyw; a i po mnie dość synów zostanie,  
Aby w domu umieli goście przyjąć pięknie.

Mentor, a raczej Atena, kazała Telemachowi przyjąć gościńię i prosiła Nestora, aby go nazajutrz końmi do Sparty odesłał, sama zaś wy-mówiła się, że musi pójść na okręt, aby opatrzeć załogę, z samych młodych i niedoświadczonych ochotników złożoną, a nazajutrz w świat popłynąć dalej za interesami.

W tej chwili wionął niespodzianie orzeł, co widząc, zawołał Nestor:

Tuszę, że z ciebie kiedyś zrobi się mąż tęgi,  
Gdy nad chłopcem już krążą niebieskie potęgi,  
Czyś baczył, że nikt inny nie mógł być przy tobie,  
Tylko Zeusa córka we własnej osobie?  
Tak samo się i ojcem twym opiekowała.

Petem modlił się do Ateny o łaskę dla siebie i dla rodziny swojej, a następnego dnia złożył ofiarę i wyprawił Telemacha z synem swoim Pejzystratem.

**IV. W Sparcie u Menelausa. w. 847.** W Sparcie trafili na podwójne a huczne wesele. Menelaus wydawał córkę jedynaczkę za syna Achillesowego, a syna żenił ze Spartanką, córką Alektora. Zatrzymali konie przed pałacem. Spozstrzegł ich wierny sługa Eteoneus, pobiegł oznajmić królowi i zapytał, czy ma ich prosić, czy odprawić.

Menelaj, tem oburzon, rzekł: Synu Boety,  
Eteoneju! gadasz, jak gdyby to nie ty,  
Tylko dziecko, co głupie powtarza wyrazy!  
Czyż to my gościnności ludzkiej tyle razy  
Nie doznawali obydwaj przed naszym powrotem?  
Zeus mógłby znów nas karać, gdyby zabyć o tem.  
Spiesz się więc wyprządź konie i dać im wygody,  
A tych gości zaprosić na weselne gody.

Gdy weszli, tak ich powitał :

Cni goście! jedzcie smacznie, potem będę pytał,  
Gdy się posilicie, coście to za jedni?

Oni zasiedli, a on tymczasem bawił ich wspomnieniami ubiegłych lat. Między innymi z wielką miłością wspomniął o Odysseusie i jego rodzinie, a

Mówiąc to w taką rzewność gościa swego wprawił,  
Że łza w rzęsach zawisła z wspomnieniem rodzica,  
Jakoż w płaszcz purpurowy ukrył smętne lica.  
Z czego odgadł Menelaj zaraz, kto on taki,

i rozmawiał o tem z Heleną, która właśnie nadeszła.

Gdy Pejzystrat domysł potwierdził, wielkie zapanowało wzruszenie. Wszyscy płakali. Dopiero Helena, chcąc smutek zażegnać, wyspała do wina czerwonego ziele, którego dostała od przyjaciółki z Egiptu, a ziele działało tak, że w największej boleści każdy ukoić i rozweselić się musiał. Zaczęła się więc przyjemna i wesoła pogadanka. Helena opowiadała nieznaną szczegół z życia Odysseusa, jak raz, przebrany za żebraka, zakradł się do Troi na zwiady, a ona poznała go, lecz nie zdradziła, tak że szczęśliwie z miasta wyszedł. Menelaus wspomniął, że gdy siedzieli z Odysseusem i Diomedesem w brzuchu drewnianego konia i nagle usłyszeli głos Heleny, która przyszła to dziwo oglądać, on zerwał się i omal ich nie zdradził, ale Odysseus pohamował jego i innych:

Znało się niejednego w życiu bohatera  
Czyny i myśl; po świecie daleko bywałem,  
Lecz takiego, jak on był, nigdy nie spotkałem  
Męża, któryby nosił serce tak niezłomne.

Przyjemnie słuchało się tych powiastek, ale ostatecznie dowiedział się Telemach od Menelausa tylko tyle, że biedny Odysseus płacze i tęskni na odludnej wyspie u nimfy Kalipsy, która nie chce go puścić, a nie ma tam ani łodzi ani wiosłarzy. więc uciec niepodobna. Powiedział to Menelausowi morski staruch, Proteus, najwierniejszy sługa Pozejdona, panujący na ostrowie, z którego Menelaus ruszyć się nie mógł z powodu niepomysłnego wiatru. Staruszek ten wiedział wszystkie tajemnice, ale wyjawić je mógł tylko temu, kto go pochwycił przemocą. Była to trudna sprawa, ale własna jego córka Ejdotea nauczyła Menelausa sposobów, jak się do tego wziąć. W południe wypływał i kładł się spać w towarzystwie fok. Otóż Menelaus z dwoma towarzyszami okryli się w wykopanych dołkach skórami fok, a gdy Proteus zasnął — rzucili się na niego. Schwytać go nie było łatwo, bo zmieniał ciągle postać.

Naprzód lew się zeń zrobił grzywiasty, a z tego  
W rysia się zmienił, w dzika, w smoka skrzydłatego,  
Już drzewem w obłok strzelił, już jak woda płynął.

Ale nareszcie nie mógł się wywinąć i odpowiedział na pytania. O Ajasie mówił, że zginął w podróży dlatego, bo bluźnił bogom, twierdząc, że się ich nie boi. Stał na skale nadbrzeżnej; ta pękła i kawał, na którym stał, runął z nim w morskie odmęty. Podał także bliższe szczegóły o śmierci Agamemnona, a Menelausowi przepowiedział, że za wierność bogom dostanie się kiedyś na elizejskie pola, gdzie go dola

Czeka błoga, bo życie lekko tam upływa;  
Nigdy śniegu, zamieci, nawalnic, nie bywa;  
Ciągłe tam miły Zefir wieje od zachodu,  
Ocean go posyła: w skwar użyje chłodu.

Gościny i gadatliwy gospodarz chciał koniecznie zatrzymać Telemacha przynajmniej kilkanaście dni; młodzieniec wymówił się grzecznie, że towarzysze w Pylos czekają na niego, więc musi wyjechać, choć siedziałby cały rok chętnie, tak mu tu miło. Ofiarowanego podarunku (rydwanu i trzech koni) nie chciał przyjąć pod grzecznym pozorem, że na Itace pasza dla koni niedostateczna i nie dobra, ale puhar srebrny z obwódką złotą, misternej roboty samego Hefajsta, musiał wziąć na pamiątkę.

Tymczasem na Itace natrętni zalotnicy, dowiedziawszy się, dokąd Telemach wyjechał, uknuli spisek na jego życie i wysłali okrętem dwudziestu ludzi, którzy ukryli się w przystani Asteris, w nikiemnej zasadzce, czekając powrotu Telemacha. Penelopeja dowiedziawszy się o podróży syna, (sądziła była, że bawi u dziadka na wsi) i o zbrodniczym spisku, wpadła w wielką rozpacz, ale uspokoiła ją w nocy Atena obietnicą we śnie podaną, że Telemach szczęśliwie powróci. O Odysseusie nie chciała mówić. Atena przybrała była postać dawnej przyjaciółki Penelopy Iftymy, córki Ikara.

**V. Odysseus uwolniony. w. 493.** Na ponowną prośbę Ateny poleca Zeus Hermesowi zanieść Kalipsie rozkaz uwolnienia Odysseusa i stanowczo obiecuje, że tenże wróci do ojczyzny, bo tak postanowiły losów wyroki. Kalypso w pieczarze otoczonej ślicznymi drzewami, siedziała przy krosienkach, śpiewając — Odysseus zaś nad brzegiem morza w gorzkiej tęsknicy płakał. Wtem zjawia się na progu Hermes; Nimfa poznała go odrazu (bogowie, choćby najdalej od siebie mieszkali, znają się i niezapominają nigdy twarzy swojej) i powitała radośnie — nie przeczuwając, co ją czeka: »Gość taki! po raz pierwszy zajrzał w moje siedlisko! Mów, czego żądasz, a spełnię, co zdołam wykonać i co da się wykonać«. Gdy oznajmił rozkaz Zeusa, zmartwiła się bardzo. »Bogowie, rzekła, okrutniejsi są od ludzi i za złe mają boginiom, jeśli wybiorą sobie męża między śmiertelnymi. Gdy różana Eos (Jutrzenka) pokochała Oryona, zabiła go Artemida strzałą. Jazona, gdy pozyskał serce Demetry, rozgniewany Zeus zabił piorunem. Ale darmo! Woli Kroniona potrzeba słuchać; nie oprze mu się nawet najmożniejszy z bogów«. Odysseus przyjął tę wiadomość z początku z niedowierzaniem, obawiając się jakiegoś podstępny i nie rozumiejąc tej nagłej zmiany w usposobieniu Kalipsy, która dotąd

ani słyszeć nie chciała o jego wyjeździe. Ale gdy złożyła wielką przysięgę na niebo, ziemię i Styx, wziął się do roboty, zbudował dość mocną tratwę, przymocował maszt i żagle, i piątego dnia puścił się na morze. Z początku było dobrze; przez siedemnaście dni, kierując się podług gwiazd, płynął szczęśliwie i właśnie ujrzał już z daleka góry feackie, gdy nowe stało się nieszczęście. Pozejdon wracał wówczas z uczty od Etyopów i zobaczywszy Odysseusa, wpadł w gniew, wiatry i fale poruszył i biedny tułacz, dwukrotnie z tratwy zmieciony, byłby się rozbił o skały, albo utonął, gdyby mu była nie dała cudownej przepaski Leukotea, która niegdyś była śmiertelną kobietą, córką Kadmosa i nazywała się Ino, a teraz jako dobroczynna bogini udzielała rozbitkom ratunku na morzach. Kazała mu zdjąć ze siebie suknie, a przepaskę zaraz po ocaleniu rzucić poza siebie napowrót w morze. Po dwudniowej strasznej i śmiertelnej walce z falami, dostał się przecie do ujścia jakiejś nieznannej rzeki, a z niej wydostał się wreszcie na ląd, upadając ze znużenia. Znalazłszy w gestych zaroślach na wzgórku gruby pokład liści, przykrył się nimi i zasnął snem twardym, ale słodkim, zesłała go bowiem Atena.

**VI. Nausikaa w. 331.** Los tułacza nieznanego na wyspie odludnej był bardzo niepewny — ale i tu przysłała mu na pomoc Atena. Udała się w nocy do komnaty Nauzykai, córki władcy Feaków, zamieszkujących wyspę, Alkinoosa, i podała jej we śnie myśl, żeby się nazajutrz udała do ujścia rzeki, dla wyprania szat i bielizny. N. uzyskawszy pozwolenie ojca, kazała naładować duży wóz i pospieszyła ze służebnemi na miejsce dogodne, w którego pobliżu spał strudzony Odysseus. Panny zabrały się raźnie do roboty, ukończyły ją wnet, potem, wykąpawszy się i namaściwszy oliwą, zaczęły grać w piłkę, z pustą wesołością. Krzyki i śmiechy obudziły tułacza. Przeraził się: »Biada mi, do jakichże dostałem się krajów? Ale ostatecznie zdobył się na odwagę i, okrywszy swą nagość liściastą gałęzią, podszedł ku dziewicom. Przestraszyły się i uciekły, ale Nauzykaa została, bo natchnęła ją odwagą Atena. Odysseus namyślał się, czy paść jej do nóg, czyli też przemawiać z przyzwoitego oddalenia. Wybrał to ostatnie, i w krótkich ale wymownych słowach, oddawszy hołd urodzie królowny, opowiedział swoje przygody i prosił o przytułek i obronę, za co ją bogowie obdarzą najmiłszą nagrodą, szczęśliwem pozyciem z przyszłym małżonkiem. Nauzykaa przyjęła prośby łaskawie, powiedziała czyją jest córką, i obiecała opatrzenie i pomoc.

To rzekła i na dziewczki zawoła z daleka:  
— »Stójcie już, stójcie, za cóż uciekać od człeka?  
Czy myślicie że do nas jako wróg przychodzi?  
Zaprawdę, nie urodził się, ani urodzi  
Taki, coby nieprzyjaźń wniósł do naszych progów  
I spokój zmieszał. Wszak my kochani od bogów,  
Siedzimy na odludziu, w krąg morzem oblani,  
Prawie na krańcu świata, nikomu nieznan.  
Ugościć raczej trzeba przybysza, gdy bieda  
Aż tu go zapędziła. Wszak dziećmi Kronida



Są tułacze. Dar mały często uszczęśliwi;  
Sam tu, dziewczeczki, gość nasz niechaj się pożywi;  
I wykąpać go w rzece, gdzie zaciszna.

Na jej głos dziewczki wróca i idą z niepyszna  
Prowadzić Odysseja w cienisty brzeg rzeki,  
Posłuszne rozkazaniu swej pani, Nauzyki.  
Więc chiton przygotowują i inne sukienki;  
W złotej bańce oliwy podadzą też miękkiej  
I każą do kąpieli iść mu kryształowej.

Na to rzecze Odyssejs: — »Miłe białogłowy!  
Ustąpcie kęs na stronę; sam sobie poradzę.  
Z barków sól spłócę, ciało oliwą wygładzę;  
O bo też dawno takiej wygodki pragnąłem!

To rzekł, — one ustąpią i pani doniosą.  
Boski tułacz wnet obmył sól morską w strumieniu,  
Wdział szatki, w podarunku od panny mu dane,  
I wraz Pallas - Atene — cudo niesłychane!  
Wzrost mu daje i młodość; bujny kędzior z głowy  
Rozsypie mu na barki, by kwiat hyacyntowy.  
A jako cienkiem złotem srebro się obleka  
W rękę ucznia Hefajsta, umnego złotnika,  
Co z kruszcu tworzy dziwy, — w takie same czary  
Obleka go bogini — i piękny bez miary.  
Ujrawszy go królewna, prawi do drużyny:

— »Słuchajcie - no, dziewczęta! tak mi się coś roi,  
Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,  
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.  
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,  
A teraz, jak bóg który, niebianin, promienny.  
O gdyby mi się trafił mąż, coby mu sprostał,  
Z młodzi naszej!... lub gdyby on sam moim został!...  
Ależ jadło, napitek, co tchu mu zanieście!«

Na rozkaz pani żwawo kopną się niewieście:  
Niosą jadło i napój zastawiają przed nim;  
A Odyssejs zajadał i pił z nieposledniem  
Łakomstwem, bo nie w ustach nie miał już od dawna.

Teraz Nauzyka inną robotą zabawna,  
Włożyła na wóz szatki, poskładane zręcznie;  
Ochocze muły w dyszel zaprzęgała, i wdzięcznie  
Zachęca Odysseja i z wozu tak prawi:

— »Cudzoziemcze, ku miastu zbieraj się, a zważiej!  
Zawiodę cię do dworu, gdzie ojciec mój stary;  
Tam poznasz i przedniejsze feackie bojary.  
Lecz ludzie są złośliwi, pewnieby wyśmiali  
Gdzie nas z boku; u gminu nietrudno o baśnie, —  
I widząc nas, zły język mógłby mówić właśnie:  
— »Jakiż obok Nauzyki przybylec się kręci?  
»Zkąd go wzięła? Oj z tego coś się nam wyświeci!  
»Najpewniej, że gdzieś sama jeździła daleko  
»I znalazła małżonka; boć wiemy, jak lekko  
»Waży sobie zaloty feackich paniątek!«  
Takby ludzie gadali; więc słuchaj mej rady:  
Pospieszaj w gród Feaków i pytaj — rzecz twoja —  
O mieszkanie mego ojca Alkinoja.  
A nie trudno ci będzie; lada żak najmniejszy  
Wskaże ci, bo z feackich dworów najpyszniejszy  
Dwór mego ojca; nawet różni się w strukturze.  
A gdy się tam dostaniesz i wnijdiesz w podwórze,  
Przebiegniesz wielką izbę, dalej masz na stronie  
Komnatę mojej matki; przed nią ogień płonie;  
Ona, kręcąc wrzeciono z purpurową wełną,  
Siedzi o słup oparta; przy niej kobiet pełno.  
Tam również i mój ojciec przed ciepłym kominem  
Siedzi, jak bóg na tronie, i krzepi się winem.  
Tego pomini, wprost tylko matce do nóg padnij,  
Jeśli chcesz dnia powrotu doczekać się snadniej,  
Choćbyś na końcu świata gdzie mieszkał najdalej;  
Bo skoro ona nędzy twojej się uzali,  
Bądź pewien z przyjaciół mieć prędką uciechę,  
Witać pola rodzinne i ojczystą strzechę«.

Tak mówiła królowna; i nagli do biegu  
Muły błyszczącym biczem. Więc od rzeki brzegu  
Kopnęły z razu kłusem, potem mniej się spieszą;  
By Odys za nimi mógł nadążyć pieszo,  
Toczy się wóz ni prędko ni nadto powoli.  
Słońce już gaśło, kiedy do gaju topoli  
Przybyli — więc Odyszej usiadł w świętym gaju:  
Nuż modlić się Atenie, jak to miał w zwyczaju:

— »Choć raz usłysz mię, córo Dios a wszechwładna,  
Niewysłuchana jeszcze z gorących próśb żadna,  
Odkąd na ląd mię cisnął groźny Burzywoda.  
Spraw, spraw, niechaj feacki lud rękę mi poda!«

Tak się modlił. Atene słyszy skargi rzewne,  
Lecz mu się nie objawia; boi się zapewne  
Brata swojego ojca. Gniewu on nie złoży,  
Aż póki w dom nie wróci Odyszej nasz boży.

**VII. Przyjęcie u Alkinoja. w. 347.** Modlitwa Odysseusa nie była daremną; wysłuchała jej Atena i w postaci młodej dziewczeczki, z dzbankiem w ręce, wprowadziła go do pałacu Alkinoja, otoczywszy mgłą, ażeby go jaki przechodzień nie zląkał lub nie spytał górnie: co zacz? Bogactwo pałacu olśniło Odysę: progi spiżowe, ściany wyłożone miedzią, drzwi złotą blachą obite, odrzwia i belki srebrne, przed drzwiami psy złote i srebrne, arcydzieło Hefajsta, a w komnatach złote posągi, z młodzieńczą twarzą, trzymające świeczniki. Pięćdziesiąt służebnych krzątało się we dworze. Ze wszystkiego widać było, iż Alkinoos nad szczęśliwym panuje narodem i nadeudną krainą. Ludzie trudnili się żeglarstwem; mnóstwo okrętów stało w przystani i wielkie zwoziły bogactwa. Przyroda także we wszystkie płody obfitowała. Granaty, gruszki, jabłka, figi, oliwy, winogrona rodziły się przez cały rok zimą i latem,

Bo w ciepłym zefirze, co tam wciąż powiewa,  
Jeden owoc się kłuje, drugi już dojrzewa;  
Jabłko idzie po jabłku, gruszka gruszkę spycha,  
Figa figę i owoc zawsze się uśmiecha.

Długo Odysseus stał zdumiony u progów, niewidziany, nareszcie według wskazówek, jakie otrzymał, podszedł aż do Arety, siedzącej obok męża, ujął ją za kolana i prosił o gościnność i o odesłanie do domu. Wtedy spadła z niego zasłona z obłoku i ze zdumieniem zobaczyli go licznie zebrani goście. Przyjęto go po zwyczaju serdecznie i gościnnie: »Gość w dom, bóg w dom«. Nigdy nie można było wiedzieć, czy przybyły człowiekiem był czy bogiem, choćby nawet w żebraczej pojawił się szacie, bo często bogowie biorą kształt ludzki, bawią się, piją i jedzą z ludźmi, ażeby ich doświadczyć. Odysseus chętnie przyjął podany posiłek, bo

Głód najcięższym tyranem, ciągle się napiera,  
Nie dbając, czy ból jaki duszę ci rozdziera.  
Że mi serce się kraje, nic mu to nie szkodzi:  
»Jeść! pić!« co chwila woła żołądek, ten złodziej!

Gdy uczta się skończyła i służebne sprzątać zaczęły, nagle zwróciła Arete uwagę na suknie gościa i poznała je, bo własną jej ręką były tkane. Nie mogła się więc wstrzymać od zapytania, co to znaczy? Wtedy Odysseus opowiedział wszystko, jak było. Gospodarstwo słuchali wdzięcznie, tylko Alkinoj za złe miał córce, że gościa zostawiła na drodze, bo nie znał słusznych skrupułów dziewczęcia, bojącego się ludzkiej gadaniny. Odysseus delikatnie winę wziął na siebie, twierdząc, że go zapraszała, ale on się oparł w obawie, żeby widok jego gniewu gospodarza nie podrażnił. Przybysz tak się podobał Alkinoosowi, że z otwartością i szybkością postanowienia, godną złotego wieku, powiedział:

Obyż za sprawą Zeusa, Ateny lub Feba,  
Mąż jak ty, i jakiego właśnie mi potrzeba,  
Trafił się dla mej dziewczki, a dla mnie na zięcia!

Zostałby zawsze z nami. Ręka jej do wzięcia,  
Wiano sute, dom, włości — wszystko wziąłbyś po niej,  
Lecz gwałcić cię ja nie chcę. O niech nas Bóg broni  
Od takiego postępku! Wiedz, że na jutrzejszy  
Dzień twój odjazd naznaczam, nie żaden późniejszy.  
A teraz spać się połóż, niech cię sny kołyszają.

Śtodko spał Odysseus na wspianiem łożu, wełnianymi kobiercami  
i płaszczami suto zasłanem.

VIII. Zabawy Feaków. w. 586. Wesoły to był narodek, ci  
Feakowie, ale przytem bardzo poczciwy. Alkinoos kazał przygotować po-  
rządny okręt z dobrą załogą (50 ludzi i dwóch starszych żeglarzy),  
a tymczasem wyprawił pożegnalną ucztę, wspaniała co się zowie — po-  
mimo, że nie wiadano, kto jest ten gość i z jakiej świata strony. Król  
dał na godowe stoły dwanaście skopów, ośm świń białozębnych, dwa  
duże woły i wina podostatkiem. Przyzwano pieśniarza Demodoka, który  
spiewał cudne pieśni, bo serce miał od Boga natchnione,

Muzy kochanek, dobrem i złem obdarzony,  
Bo mu wzrok wzięwszy, dała dar śpiewu pieszczony....  
A gdzie tylko na ziemi ludzie zamieszkują,  
Pieśniarza cześć otacza, wszyscy ich miłują.

Posadzono go, ugoszczono, a forminę upięto obok niego na kołku,  
żeby ją mógł namacać. Gdy się wszyscy posilili, nastąpiła cisza i Demodo-  
kos zaczął spiewać rapsod o sporze Odysseusa z Achillem. Odysseus  
prędko płaszczem zakrył sobie twarz, bo nie chciał Feakom pokazać łez,  
jakie ronił. Potem nastąpiły zapasy, bieganie do mety, skoki, rzucanie  
kręgiem, walka na pięście. Odysseus nie brał w nich udziału, siedział  
skromnie na boku. W tem Euryalosowi przysłała zła myśl, odezwać się  
do niego z przekąsem: »Tobie zaprawdę nie patrzy z oczu, byś się  
znał na szermierskich zabawach. Pewnie jesteś jakim kupcem, żegla-  
rzem, łapigroszem«. Podrażniło to starego bohatera. Spojrzał na mło-  
dzieńca z ukosa:

Nie znam cię, lecz źle mówisz, jak młokos zuchwały!  
Wiedz, że bogi nie wszystko na raz wszystkim dały,  
Tak urodę, jak rozum, jak wymowę świetną.

Powiedziawszy to, wstał, porwał krąg największy i najcięższy,  
i rzucił nim z taką siłą i zamachem, że upadł daleko po za metą. Zdu-  
mieli się widzowie, a Odysseus wyzywał wszystkich w zapasy, na pięście,  
na siły, wyścigi, na jakie chcą. Tylko z synem gospodarza Laodamasem  
nie przyjmuje walki, bo z opiekunem i gospodarzem domu walczyć nie  
wypada. Na to Alkinoos: »Słusznie oburzyłeś się na dotkliwe odezwanie  
się młodzieńca i nikt nie ubliży twojej dzielności, kto ma trochę oleju  
w głowie. Muszę ci zresztą wyznać, że na zapasach i szermierkach nie  
polega bynajmniej sława Feaków. My słyniemy tylko z wprawy w że-  
gludze i w gonitwach, a zresztą kochamy się w biesiadach, tańcach,

w muzyce, w strojach, łaźniach i odpoczywaniu. Ot i teraz niech młodzieńcy zatańczą, a boski nasz pieśniarz śpiew nam zanuci«. Młodzież zaczęła taniec lekki i zgrabny, tak że Odysseus dziwił się »nóg miganiu w leciuchnym poskoku«. Gęślarz uderzył w struny, tym razem na ton weselszy i nucił pieśń o Aresie, Hefajście i Afrodycie. Potem wstał Alkinoos i w słowach wymownych prosił dwunastu obecnych władców, żeby przygotowali dla rozbitka upominek na drogę; przynajmniej niech każdy zmoże się na suknię, chiton i talencik złota. »Ja przyczynię się trzynasty, a i Euryalos mógłby przeprosić gościa za nieprzystojne słowa jakimś prezencikiem,

Bo każdy brata widzi w tułaczku znękanym,  
Kto nie jest całkiem z uczuć litości obranym«.

Przyklasnęli wszyscy, a młodzian natychmiast piękny miecz, w pochwie słoniowej, z rękojeścią srebrnymi gwoździami nabitą

Dał Odyssovi, mówiąc te słowa skrzydlate:  
Cześć ci ojczyźnie wędrowni! Jeśli mi rogate  
Słówko się wymkło, niechże na wiatry poleci;  
A tobie Bóg pozwoli dom, żonę i dzieci  
Ujrzeć znowu, po biedzie w tułaczce przebytej«.   
Więc Odyssej mu na to: — Szczęśliwym bądź i ty,  
Druhu mój! Błogosławieństw spodziewaj się z nieba,  
I oby za tym mieczem tęsknić ci nie trzeba.

Areta przygotowała dary bogate, gospodarz dodał jeszcze złoty puchar. Przygotowano dla Odysseusa kąpiel, a gdy z niej wychodził, spotkał Nauzykaę. Przemówiła do niego: »Bywaj zdrow, cudzoziemcze, a gdy wrócisz do domu, wspominaj czasem o mnie«. »O Nauzykao, odparł Odysseus, jeśli Zeus wrócić mi pozwoli do domu, będę cię tam wielbił modlitwą nieustanną, jak bóstwo; wszakże ty mi ocaliłaś życie«. Na zakończenie śpiewał jeszcze Demodokos powieść o drewnianym koniu trojańskim i o przewagach Odysseusa. Bohater nasz wzdychał ciężko i płakał. Tym razem spostrzegł to Alkinoos, który pragnął, żeby uczta była wesołą, bo tak obyczaj każe; zaczął się domyślać, że Odysseus musi być osobistością znamienitszą, zapytał go więc nareszcie o ród i nazwisko, o przebyte koleje i przyczynę jego łez i smutku.

## IX. U Kiklopa Polifema. w. 566.

Na to przemądry Odys rzekł mu: — »O Alkinie!  
Potężny, najślawniejszy królu w tej krainie!  
Zaprawdę, pieśń ta serce do głębi przeszywa,  
I ten pieśniarz cudownie, jak bóg jaki, śpiewa.  
Do wielkich też rozkoszy życia ja to liczę,  
Gdy u ludu tchnie szczęściem wesołe oblicze.  
Ma to dla mnie, jak rzekłem, powab niezrównany...  
Ależ ty chciałeś poznać los mój opłakany —

Jam jest Odyss, Laertyd, mieszkam na Itace,  
Nie znam też nic miłszego nad ten kąt ojczysty.  
Ojczyzna, ojciec, matka, — skarb wielki i święty,  
Takim nawet, co mają włości i dostalki  
W obcej ziemi, daleko od ojca i matki.

»A więc słuchaj, opowiem powrót nieszczęśliwy  
Z pod Troi, jak mię trapił Zeus swojemi gniewy.  
Z Ilionu ku Kikonom zagnan wieją wściekłą,  
Zburzyłem Ismar, gród ich, mężów się wysieкло,  
A łup, wzięty w dobytku i brankach, kazałem  
Między nas wszystkich równym rozrzuć podziałem.  
Poczem mówię do naszych: »Umykać co duchu!  
Lecz głupcy radom moim nie dali posłuchu,  
I nuż wino lać w siebie i rznąć u wybrzeży  
Kozy, owce i woły zajęte w grabieży.  
Tymczasem niedobitki, pomoc u sąsiednich  
Wziąwszy sobie Kikonów, chłopów na schwał przednich,  
Wpadli na nas o brzasku i parli nawałą;  
Achiwi się cofnęli, naszych napadało  
Dość. Z każdej nawy sześciu zabito pancernych,  
My reszta uszli cało tych rąk ludożernych.

»Z ciężkim na duszy smutkiem płynęliśmy dalej;  
Bo choć trwoga minęła, żal tych, co zostali.

»W dniu trzecim, gdy rumiana Eos nam zaświeci,  
Dźwignąwszy maszty, żagiel zawiesiwszy biały,  
Siedzimy w nawach, które wiatr i sternik gnały;  
A jam w powrót szczęśliwy nie tracił nadziei,  
Dni dziewięć wciąż pędzony wichry zajadłemi;  
Aż w dziesiątym nareszcie dobiłem do ziemi  
Lotofagów, co lotos jedzą... Na wybrzeże  
Wsiadłszy, zapas wody każdy z nas nabierze,  
Pocžemeśmy przy statkach do obiadu siedli.  
A gdy się towarzysze napili, najedli,  
Wyprawilem ich na ląd, by dokładnie wiedzieć,  
Jaki lud chlebodajny mógł w tej ziemi siedzieć.  
Dwóch ludzi, keryks trzeci, razem trzech wysłańców  
Poszło, i wnet spotkało gromadę mieszkańców.  
One zaś Lotofagi, jakby z przyjaciółmi  
Obeszli się z naszymi, częstują ich ziołmi  
Lotosu, tak, iż który skosztował tej strawy,  
Wracać nie chciał, o celu zapomniał wyprawy,  
Tylkoby w Lotofagów rad zostać ziemicy,  
Jeść lotos i rodzinnej wyzbyć się tęsknicy.  
Kazałem więc przemocą zbiegów ująć w pęta,

I choć rzewnie płakali, przywlec na okręta,  
Gdzie do ław ich przykuto. Innych zaś z drużyny  
Zapędziłem na pokład dla prostej przyczyny,  
By który się lotosu nie dorwał i potem  
Wyrzekał się powrotu... Jakoż wszyscy lotem  
Do wioseł się rzucili, i zajmwszy ławy,  
Toń rybną bili wiosłem, i pomknęły nawy.

»Ztamtańdeśmy płynęli, płynęli wciąż smutni  
Aż do ziemi Kiklopów. Łotrzy to okrutni,  
Gdyż, całkiem się spuściwszy na opatrność bożą,  
Nie pracują nic w roli, ni sieją, ni orzą.  
Nieorany, niesiany grunt tam nader płodny,  
Daje jęczmień, pszenicę, winograd dorodny,  
Gdyż deszczyk Diosowy często tam przepada.  
Zresztą wieców nie znają, prawo tam nie włada.  
Kiklop zwykle w jaskiniach na gór samym szczycie  
Mieszka i rozkazuje jak pan swej kobiecie  
I dzieciom, zaś o drugich nie ma troski żadnej.

»Wprost przystani ostrowek ciągnie się tam ładny,  
Od gniazd kiklopskich ani blisko, ni daleko,  
Zarosły, a pod chaszczów buja tam opieka  
Mnóstwo kóz dzikich, stopą ludzką nieploszonych,  
Tam lądujem. Bóg któryś powiódł nas tą drogą  
W ćmę nocną, gdy najlepsze oczy nic nie mogą,  
Bowień mgła na okręty spadła, nawet z góry  
Księżyc nam nie przyświecał, schowany za chmury.

»Nazajutrz, gdy świt zrodził jutrzenkę różaną,  
Przebiegamy wzdłuż, w poprzek, wyspę nam nieznaną.  
I wnet nimfy, Zeusowe córki, kozie stada  
Nagnały nam, dla głodnych posiłek nielada;  
Więc skoczym na okręty po łuki, po strzały,  
Toż oszczepy, i na trzy dzielim się oddziały...  
Strzelamy... Bóg szczęśliwe zdarzył polowanie;  
Jak dwanaście naw miałem, tak się im dostanie  
Po sztuk dziewięć na każdą; dla mnie zaś samego  
Wybrano sztuk dziesiątek. Więc nie już dnia tego  
Nie robim, tylko głód nasz sycim tą zwierzyną.  
Od rana do wieczora w czasach krąży wino.

Tak uczując i pijąc, w niewielkiej oddali  
Widzim skały kiklopskie... wychodzą z nich dymy...  
Głosy ludzkie i owiec beczenie słyszemy.  
A gdy słońce zapadło, i noc przyszła potem,  
Na brzegu falą bitym legliśmy pokotem

Do snu, aż zaświtała jutrzienka różowa,  
Zbudziłem towarzyszy i rzekłem te słowa:  
»Zostańcie towarzysze wy drudzy — ja płynę  
»Na mej łodzi i moją zabieram drużynę,  
»Aby dotrzeć do skał tych i zbadać kto taki  
W nich mieszka... czy lud dobry czy też hajdamaki?»

»Tak rzekłem i na pokład wsiadam, zaś czeladzi  
Każe linę odwiązać; statek się obsadzi;  
A oni, posiadawszy na ławach rzędami,  
Słoną toń morza biją raz po raz wiosłami.

. . . . .

Przybywszy na brzeg zobaczyli pieczarę zarosłą krzakami. Dawszy rozkaz czeladzi, by statku pilnowała, dobrał sobie Odysseus dwunastu chwatów i wzięwszy ze sobą bukłak, napełniony bardzo starem i mocnem winem, poszedł ku owej pieczarze. Nie zastali tam nikogo. Po chwili wszedł jednak olbrzym straszliwej postaci, mający tylko jedno oko. Odysseus i towarzysze ukryli się po kątach. Olbrzym zaczął doić owce i kozy, ale wkrótce spostrzegł przybyszów: »Co za jedni?« zapytał, »skąd i po co przybywacie«. »Z pod Troi« — odpowiedział Odysseus — »biedni tułacze i rozbitki — błagamy cię i zaklinamy na bogów nieśmiertelnych: udziel nam przytułku i schronienia«. Potwór na to: »Głupis, jeśli mnie bogami chcesz straszyć: kiklop nie uznaje i nie zna żadnych bogów — o gniew ich nie stoję, a jeśli mi przyjdzie chętką zjeść was, to zjem z pewnością. Powiedz teraz, gdzie jest wasz okręt?« Odysseus odparł, że są rozbitkami, bo okręt ich zatonał. Wtedy olbrzym zaczął strzelać oczyma a po chwili porwał dwóch z pośród towarzyszy Odysseusa, podarł ich w kawały i pożarł. Potem napił się mleka i legł jak długi między trzodą. Odysseus ogarnął myślą straszne położenie i zaczął rozmyślać, co począć, jak się ocalić. Uciec było niepodobna, bo otwór pieczary zawałił potwór olbrzymim głazem, którego i dwadzieścia dwa wozów uwieźcby nie mogło. Z tego samego powodu zaniechał też myśli, która mu się nasunęła, żeby mieczem pchnąć w pierś śpiącego olbrzyma. Wpadł jednak na pomysł inny. Gdy Kiklop nazajutrz znowu dwóch ludzi na śniadanie pożarł i wyszedł, kazał Odysseus drąg duży ociosać siekierą i osmalić na ogniu, a potem ukrył go w mierzwie. Wieczorem Kiklop wrócił. Gdy się po raz trzeci najadł ludzkim ciałem, wtedy przystąpił do niego nasz prze-myślny bohater i zaczął go częstować mocnem winem, które przyniósł. Wielce smakowało ono ludożercy, raczył mieć dobry humor, a nawet zapytał Odysseusa o nazwisko; ten odpowiedział, że się nazywa »Nikt«. Pił tak długo, dopóki nażartego i zamroczonego mocny sen nie powalił. Wtedy Odysseus wydobył kół, rozgrzał go tak, że na ostrzu płomień się pokazał, a następnie, przy pomocy czterech towarzyszy, wbił go w oko śpiącego potwora; wiercili tak długo, aż ostrze krwią się zakurzyło. Kiklop wydał krzyk okropny, przeraźliwy. Nadbiegli inni Kiklopi pod pieczarę, i pytają: »Polifemie, (tak nazywał się potwór), co tobie?»



Kto cię morduje? — Odpowiada: Nikt! — »Ha, jeśli nikt, toś chory z woli Zeusa — my ci nie poradzim, módl się do ojca twego Pozejdona«. Tak mówili i odeszli. Polifem podniósł się, jęcząc przeraźliwie, namacał otwór i usunął głaz zamykający go, ażeby barany i owce wyjść mogły na paszę. Sam siadł u wyjścia. Obrótne Odysseus pozwiązywał wikliną po trzy barany razem — a pod środkowym kazał się ucześcić jednemu z pozostałych sześciu towarzyszy. Wyprawiwszy szczęśliwie sześć takich trójek, sam na ostatku, przyczepiony do największego capa, puścił się w niebezpieczną drogę. Na nieszczęście olbrzym, namacawszy ulubione zwierzę, zaczęła je głąskać i czule do niego przemawiać. Ale przecież udało się. Odysseus ocalał i pędząc przed sobą mało trzody dobiegł do okrętu; oddalwszy się cokolwiek od brzegu, zaczął Kiklopowi łąać. Srogi potwór rozżarł się, urwał czub wyniosłej góry i cisnął w stronę, z kąd głos dochodził. Nie trafił, ale głaz padł tuż koło stateku, skutkiem czego prąd wody parł ich napowrót ku lądowi. Odysseus ogromną żerdzią odsadził statek od brzegu — załoga zaczęła potężnie wiosłować.

Gdyśmy się dalej na pełne wybili,  
Chcę znów łąać Kiklopa... lecz mię obkoczyli,  
I za ręce trzymają i proszą druhowie:  
»Szaleńcze ty chcesz jątrzyć gbura? co ci w głowie?  
Te mowy mego ducha przecież nie złamały,  
Gdyż, zwrócon do Kiklopa, tak mu słowy grozę;  
»Kiklopie! jeśli kiedy człowiek, co być może,  
Spyta cię, kto ci oko wybił, kto tak sprawny?  
Powiedz mu: Odysseus, grodoburca sławny,  
Co mieszka na ltace, oka mię pozbawił!«  
Tak krzyczałem — on wyjął, ze skał do mnie prawił:  
Przed czasy wieszczek Telem wróżył mi dokładnie,  
Że jakiś tam Odysseus oslepi mię zdradnie.  
Biada mi! stara wróżba spełnia się nademną...  
Zbliź się tu Odysseju: gościniec dam tobie,  
U Pozejdona powrót bezpieczny wyrobie.  
Skończył — jam odparł na to: »O czemuż mi zbywa  
Na tej mocy, bym z ciebie wywlec mógł nিকেzemny  
Duch i żywot, i w Hades zapędzić podziemny?

»Jam rzekł, a on wyciągnął do gwiazd obie dłonie,  
Modlił się i Pozejdon dał ucho tym modłom...  
Kiklop zaś podniósł większy niż wprzód skały odłom,  
Cisnął nim zamaszycie co sił, nie dosadził,  
Pocisk padł za okrętem, omal nie zawadził  
O rudel, byłby strzaskał sam koniec; wtem morze,  
Które ciśnięta skała aż do dna rozporze,  
Bałwanem nas na pełne gnało, a tak gnani  
Zabiegliśmy nareszcie do dobrej przystani.

X. *Odysseus u Eola, u Lestrygonów i u Kirki. w. 574.* Wiatry zagnały ich na wyspę Eolię, gdzie panuje Eol, któremu Zeus władzę nad wiatrami porучzył. Przyjął ich gościnnie i dał na drogę miech, w którym zamknął wszystkie wiatry, z wyjątkiem Zefira. Płynęli szczęśliwie i dziesiątego dnia zobaczyli ląd. *Odysseus* strudzony, bo sam czuwał nieustannie przy sterze, zasnął twardo, a ciekawi i zazdrośni słudzy, myśląc, że w worku pełno złota, rozwiązali go; wiatry wypadły i zaraz zerwała się szalona burza, która ich napowrót do Eolii zagnała. Eol jednak wypędził ich ze złością, bo nie godzi się ugaszczać takiego, co gniewem bogów obciążony i ścigany ich zemstą. Popłynęli więc biedaki dalej, i nieszczęście zaniósło ich do ludożerców (*Lestrygonów*). Ci obezli się z nimi bardzo niegrzecznie, pozjadali wszystkich, okręty pogruchotali skałami; ocalał tylko jeden, na którym był przemyślny i przeznorny *Odysseus* z częścią załogi. Okręt ten uszedł oka okrutników dlatego, że nie zawinął był do przystani, lecz stał przywiązany do skały na uboczu. Strapiony popłynął *Odysseus* dalej i zawinął do wyspy Eeji, gdzie mieszkała nimfa Kirka. Wysłał zaraz na zwiady połowę załogi pod dowództwem *Eurylocha*. Ci znaleźli zamek, z którego dolatywał śpiew, a gdy zaczęli wołać, wyszła nimfa, i zaraz zaprosiła ich do środka. Weszli wszyscy, nie wszedł tylko *Euryloch*, bo jakoś nie ufał tym nagłym zaprosinom.

Ona gości swych sadza w krzesło, stół zastawia  
Serami, a miód złoty z mąką im przyprawia,  
Toż i wino pramnejskie, lecz durzące zioła  
Mięsza w nie, by o domu zapomnieli zgoła.  
Więc gdy zjedli, wypili, Kirka ich dotyka  
Różdżką — i do świńskiego zapędza karmnika,  
Bowiem łby ich, szczecina, kwiczenie, kształt cały,  
Były świńskie, li człeczce mózgi im zostały.  
Smutnie w chlewach leżącym rzuciła bogini  
Żołędź, bukiew, derenie, zwykłą karm dla świni.  
*Euryloch* przypadł zdyszany do czarnego statku,  
O tym, jaki ich spotkał, donosząc przypadku.

Wtedy *Odysseus* uzbroił się i poszedł sam — »jakaś konieczność go tam pędziła«, i byłby oczywiście uległ takiemu samemu losowi, ale bogowie nie chcieli dopuścić, żeby doznał takiej zniewagi. Zjawił się *Hermes* i dał mu czarowne ziele, które niszczyło moc czarów *Kirki*, a gdyby ona widząc, że ten sposób nie skutkowało, użyła drugiego, kazał mu rzucić się na nią z mieczem. Wtedy złęknie się i zacznie być bardzo łaskawą, ale nie można jej ufać, dopóki przysięgi nie złoży, że żadnych sideł zastawiać nie będzie. Wszystko stało się, jak bożek powiedział. Ułaskawiona zastawiła wspaniałą ucztę i przysięgła, że żadnej zdrady nie uknuje. Ale przemyślny *Odysseus* pamiętał o nieszczęśliwych towarzyszach i nie chciał tknąć jadła ani napoju, dopóki towarzyszom nie wróci ludzkiej postaci.

Chceszli przeto, bym jadła skosztował i wina,  
Wypuść ich, niech tu stanie przedemną družyna.  
Rzekłem; a ona z różdżką czarnoksięską w dłoni,  
Wyszła — pootwierała chlewy i wygoni  
Dziewięcioletnie wieprze z każdego karmnika....  
Druhy moje — ci Kirkę oblęgli wśród kwiku,  
Ona zaś do każdego, tak jak stali kołem,  
Poszła, i czarodziejskiem wraz dotknęła ziołem.  
Zaraz szkaradnej szczeci zbyły się ich ciała,  
Skutku owych uroków, jakie im zadała.  
Znów ludźmi są jak pierwej, tylko odmłodnieli,  
Urosli i na twarzach dziwnie wypięknieli.  
Od razu mię poznali, ściskali za ręce  
I nuż w płacz, lecz z radości po tak ciężkiej męce.

Tak im było potem dobrze, że nie spieszyli zbyt w dalszą drogę. Po roku prosił Odysseus o uwolnienie; K. zezwoliła, ale kazała najpierw odbyć wędrówkę na tamten świat, tj. do krain Hadesa, i zapytać tam ślepego wróżbitę Tejrezyasza o dalsze losy, bo jemu jednemu Persefona z życiem nie odebrała świadomości i rozumu. Odysseus i towarzysze wpadli w rozpacz, że tyle przecierpiawszy, po tylu tułactwach, jeszcze tak niezwykłą wędrówkę odbywać muszą — ale nie było rady. Otrzymałszy odpowiednie wskazówki, ruszyli w drogę. Jeden tylko został, najmłodszy z nich, Elpenor: miał on krótki wzrok i w pośpiechu zamiast zejść schodami z dachu, na którym dla chłodu spał, poszedł w przeciwnym kierunku, spadł i zabił się na miejscu.

Wskazówki Kirki były takie:

. . . . Gdy ocean przemkniesz, niezbrodzony,  
Natrafisz na brzeg płaski, gdzie gaj Persefony,  
Pełen olsz, topol gonnych a i wierzb jałowych;  
Tam z okrętem na głębiach stań oceanowych,  
A sam idź w gmach Aisa. Podwójnem korytem,  
W nurt Acherontu, Pyriflegeton z Kokytem  
Co z Stygu wody bierze, wpadają u skały,  
Gdzie z ogromnym łoskotem łączą się ich wały.  
Cny Odysie! w pobliżu onej tam opoki  
Dół wykopiesz na łokieć długi i szeroki.  
Nad dołem czyń obiatę zmarłym....  
Zarzniesz im czarną owcę wraz z czarnem kozłędziem,  
Łbami ku Erebowi, oblicze zaś swoje  
Odwrócisz w górę rzeki — i niebawem roje  
Duszyczek nieboszczyków zaczną się tam znęcać.  
Ty zaś swoją czeladkę masz słowy zachęcać,  
Niech w lot obie owieczki, miednym nożem ścięte,  
Obłupi, na stos rzuci i potęgi święte  
Aisa, Persefony wezwie, bijąc czołem.

Ty zaś miecza dobywaj i groź ostrzem gołem  
Marom zmarłych, by do krwi nie lały rozlanej  
Wpierw, nim przyjdzie Tejrezyasz, przez Cię wywołany.

**XI. Na tamtym świecie. w. 640.** Stało się wszystko według wskazówek Kirki. Dusze chciwie pragnęły napić się krwi, ale powstrzymał je Odysseus mieczem. Pierwsza przyszła dusza Elpenora i prosiła gorąco o pogrzebanie ciała. Zaraz potem zbliżyła się doń matka jego Antiklea, o której śmierci nie wiedział — i nie poznała go. Jej widok przejął go głęboko i łzy mu wycisnął, ale posłuszny rozkazom nimfy, nie dopuścił jej do krwi. Niebawem pojawił się Tejrezyasz, poznał go, napił się krwi i wróżył mu przyszłość: »Pomimo, że Pozejdon gniewa się na ciebie za to, żeś mu syna oślepił, wrócisz w ojczyste progi, ale strzeż siebie i towarzyszy, gdy przybędziecie na wyspę Trynakię, gdzie pasą się trzody święte, poświęcone Heliosowi, żebyście ich nie tknęli, bo inaczej towarzysze twoi zginą, a ty sam jeden jako nędzary wrócisz do domu, na obcym statku i zastaniesz tam zuchwałców trwoniących twój majątek. Tych ukarzesz, a potem pójdziesz w świat za oczy szukać ludzi, którzy o morzu i żeglarstwie nie mają pojęcia, i jedzą strawę niesoloną, a w ręku nieśędziesz wioślo. Lud ten po tem poznasz, że przechodnie zapytają cię, co to za łopata? Wtedy wioślo wbij w ziemię, módl się do Pozejdona, i złóż mu ofiarę — jemu i wszystkim innym bogom po kolei. Za to doczekasz się późnej starości i śmierć zabierze cię lekko, bez cierpień, z pośród narodu, uszczęśliwionego przez ciebie«. Na zapytanie, co zrobić, ażeby go matka i inne cienie poznały, dodał: »Pozwól im napić się krwi«. Tak uczynił i zaraz go poznała matka ukochana. Chciał ją objąć ramionami trzykrotnie i trzykrotnie umknęła mu z rąk, jak senne widzenie, bo tacy są wszyscy ludzie po śmierci. Matka opowiedziała o statecznej wierności Penelopei i o ojcu staruszku, który nie mogąc doczekać się syna, z ciężkiego strapienia usunął się od świata i wiódł na wsi samotny żywot biednego wieśniaka. Na zapytanie, z jakiej przyczyny umarła, odpowiedziała, że nie przez chorobę, lecz wskutek ciągłej tęsknoty za nim, za swem drogim dziecięciem.

Gdy tak rozmawiali, zaczęły nadchodzić dusze niewiast, żon, matek i córek różnych sławnych mężów. Tyra, matka Peliasa i Neleja, panów na Jolku i Pylosie; Antyopa, matka Amfiona i Zeta, założycieli siedmiobramnych Teb, Alkmena, matka Heraklesa, Epikasta, nieszczęsna matka Edypa, piękna Chloris, żona Neleja, matka Nestora, Leda, żona Tyndara, matka Kastora i Polideuka, których Zeus uzacnił, bo

Dzień przeżywszy, mrą w drugim, i tak wciąż kolejają,  
Mrąc i żyjąc, jak bogi w chwale swej jaśnieją.

Widział też Ifimedę, która dała życie dwom olbrzymom (Otos i Efialtes), tak silnym i wielkim, że tylko jeden Oryon równać się mógł z nimi. Szturmowali oni do nieba samego i omal nie wtargnęli tam, a mieli wrogie zamiary, ale zastrzelił ich grotem syn Latony (Apollo).

Dalej nadeszły Fedra, Meira, Klimena, Prokris i Aryadna, córka Minosa, którą Tezeusz chciał uwieźć do Aten, lecz zabiła go strzałą siostra Apollina (Artemis). Niepodobna zresztą wyliczać wszystkich dusz, które widział, bo i noc cała nie wystarczyłaby na to; pora już i tak spóźniona i czas spocząć, a o świcie w drogę ruszać potrzeba«. Gdy zamilkł, nastąpiła cisza uroczysta. Wszystkim żal się zrobiło, że skończył cudną swą opowieść »wieszczą krojem ułożoną«. Pierwsza przemówiła Areta: »Pocóż tak naglić? Lepiej zostać, to i więcej upominków się zbierze«. Alkinoos prosił o dalszy ciąg powieści, mianowicie, radby był dowiedzieć się, czy Odysseus widział cienie sławnych bohaterów trojańskich. Nocy teraz długie, więc i na spoczynek dość będzie czasu. Odysseus<sup>o</sup> mówił więc dalej: »Pierwszy zbliżył się Agamemnon, poznał go, zapłakał łzami rzewnymi, ręce ku niemu wyciągnął i chciał go uściskać, lecz darmo, bo siła życia już zeń uleciała. Opowiadał, jak go Aigistos podstępnie na ucztę zaprosił i zabił jak wołu u żłobu, jego i wszystkich towarzyszków. Klitaimnestra własną ręką udusiła córę Pryama Kassandrę, którą wiozł z Troi. Niema nic obrzydliwszego, nad kobietę, gdy do takiej zbrodni się posuwa.

O nigdy nie poddawaj się pod rząd kobiecy!

Z czułości jej nie zwierzaj żadnej tajemnicy!

Udziel coś, a rzecz ważną w sobie zamknij szczelnie.

Tak mówił i pytał, czy nie wiem co o synu jego Orestesie, którego zostawił małym dziecięciem. Niestety nie wiedział Odysseus, nie mógł pocieszyć biednej duszy pasterza narodów. Gdy tak rozmawiali, zbliżyła się dusza Achillesa, w towarzystwie Patroklosa. »Zuchwały Odysse! rzekła, na jakież czyn się zrywasz, większy niż wszystkie, jakich dokonałeś, przychodząc w tę srogą krainę. Wierz mi, wolałbym na ziemi najać się u dzierżawcy za parobka i kopać, niż tu panować nad cieniami. Powiedz mi, co syn mój porabia, co ojciec staruszek? O ojeu nie wiedział Odysseus, o synu bardzo pocieszające dać mógł wiadomości: Jest on jak ojciec, najpierwszym bohaterem, a przytem i w radzie przemawia mądrze i góruje nad innymi. Uradowała się wielce dusza bohatera i oddalił się na łękę Asfodelu. Inne cienie stały, smutnie płacząc na swoje przeznaczenie. Tylko cień Ajasa Telamończyka stał zachmurzony; jeszcze nie mógł mi przebaczyć, że go przemogłem w zapasach i jako nagrodę wziąłem zbroję Achillesa. »O byłbym wolał nie zostać zwycięzcą, byle żył wielki Ajas. Chciałem go przeprosić, przejednać, lecz milcząc odszedł. Z innych wpadł mi w oko syn Zeusa, Minos, który bez przerwy sądził dusze zmarłych, a one słuchały wyroków. Oryon na łące Asfodelu pędził przed sobą zwierzynę, jaką tylko w kniejach za życia pozabijał. Widziałem i Tytyja, syna boskiej Gei, któremu dwa sępy szarpały wnętrzności za to, że znieważył Latonę.

Widziałem i Tantalą, staw widziałem duży

Kędy stał zanurzony aż po samą brodę;

Choć pić chciał, nie mógł ust zanurzyć w tę wodę,  
Bo ilekroć się schylił, by jej nabrać usty,  
Tylekroć uciekała, tylko się grunt pusty  
Został pod nim, wysuszony przez duchy złowrogie.  
Nad nim i drzew gałęzie wisały rozłogie,  
Pełne jabłek rumianych, słodkich fig i gruszek:  
Toż granatów, oliwek: lecz byle staruszek  
Wspiął się, aby rękami uszczknąć owoc który,  
Wiatr się zrywał, gałęzie podbijał do góry....

Szyfca także widział, i to w strasznych mękach.  
Ogromną bryłę skały dźwigał on na rękach,  
I wtaczał ją na górę z mordęgą niemałą,  
Podsadzając się pod nią; a gdy się zdawało,  
Że ją wtoczył już na szczyt, skręcała się skała  
I z łoskotem piorunu znów na dół spadała,  
A on znów ją pod górę wtaczał. Krwawym potem  
Członki jego okryte, twarz kurzem i błotem.

Widmo Heraklesa (widmo, bo on sam siedział w bogów kole) tak do mnie przemówiło:

O synu Laertes, Odyssie obrotny!  
Czy i ciebie tak samo los okrutny gniecie,  
Jak mnie nękał, gdym jeszcze na jasnym żył świecie?  
Syn ja Zeusa, a nędze były mym udziałem.

Nagle, gdy gromady dusz coraz liczniej się zbierały, zdjął mię dziwny lęk; bałem się, by Persefona nie wypuściła na mnie głowy Gorgony, pobiegłem na okręt i odpłynęliśmy do Eei.

**XII. Syreny. Skilla i Charybdis. Trynackia. w. 453.** Przybywszy, przedewszystkim spalili ciało Elpenora, usypali mu mogiłę i wyprawili stypę. Kirka, której Odysseus ostatnią podróż opowiedział, dała mu na dalszą drogę następujące przestrogi:

•Ty w kraj Syren zajedziesz, czarownic, co zdradzą  
Tych wszystkich, jacy tylko o nich tam zawadzą.  
Szalencie, kto się zbliży i Syren tych spiewy  
Usłyszysz! on nie ujrzy nigdy, póki żywy,  
Ni małżonki, ni dziatki, ni ziemi rodzinnej,  
Tak go oczaruje śpiew tych Syren słodkopłynny.  
Ty ich mijaj i zalep uszy towarzyszy  
Woskiem miodnego plastru, niech żaden nie słyszy  
Głosu ich; lecz jeżeli sam byłbyś ciekawy  
Posłuchać, to powrozem każ do masztu nawy  
Przywiązać się, a mocno, za nogi i ręce,  
A wtedy się przysłuchaj dwóch Syren piosence.

Lecz gdybyś się wrywał, wołał, by zdjąć pęty,  
To masz być jeszcze mocniej półwrozem ściśnięty.

....Dalej są dwie opoki: jednej szczyt się jeży  
Aż w niebiosa, a na nim gruby obłok leży....  
We środku ma jaskinię: otwór jej zwrócony  
Ku ciemnościom Erebu, więc onę jaskinię  
Okręt twój Odysseju niechaj tak ominie,  
By z pomostu w ten otwór żadna nie doniosła  
Strzała, ciśniona ręką łuczniaka z rzemiosła.  
W tej jamie Skilla siedzi, słysząc ją zdaleka,  
Skomli jakby miot szczeniąt, i jak one szczeka....  
Okropna to poczwara i nikt jej widoku  
Nie zniesie; sam bóg nawet nie dotrzyma kroku.  
Łap szkaradnych dwadzieścia jest u tej bestyi,  
I sześć szyj wyciągniętych, a na każdej szyi  
Łeb sprośny, w paszczy zębów trzy rzędy, a przytem  
Gęstych, a chropoczących przeraźliwym zgrzytem.  
Zwykle na dnie pieczary leży tułów spory,  
A łby tylko wystawia z głębi onej nory,  
I łapezywie czatując w paszcze swoje chwyta  
Delfina, psa i wszystko, co ma Amfitryta  
W swoim państwie podwodnem, wszystko co się zdarzy.  
Blisko od niej zobaczysz drugą taką skałę,  
Lecz niższą, bo przerzucisz przez nią każdą strzałę.  
Jest tam figowe drzewo, ze skały zwieszzone,  
Pod niem groźna Charybda łyka morze słone,  
Trzykroć w dzień je wyrzuca, trzykroć wciąga w siebie;  
A gdy wciąga o! niechże nie będzie tam ciebie!  
Jużby i sam Pozejdon nie mógł cię ratować.  
Pamiętaj, Odysseju, łódź swoją sterować  
Najbliżej po pod Skillę, gdyż większym jest zyskiem  
Sześciu ludzi utracić, niż zginąć ze wszystkim.  
Dalej ostrów Trynakkii trafisz; tam na łące,  
Do boga słonecznego stada należące,  
Pasą się; jest stad siedm owieczych, siedem wołowych,  
A w każdym po pięćdziesiąt. Dwie nimfy je pasą,  
Lampecy z Featużą; obie cudne krasą.  
Jeśli, na powrót pomny, oszczędzisz te trzody,  
To wrócisz, chociaż nędzarz, do swojej zagrody.  
Lecz jeśli je naruszysz, twój okręt z drużyną  
Zginąć musi; ty ujdziesz, ale cię nie miną  
Nieszczęścia i choć wrócisz do dom i rodziny,  
To późno, biedny bardzo, sam jeden jedyny.

Stało się wszystko dosłownie tak, jak przepowiedziała Kirka. Odysseus pozatykał załodze uszy, sam kazał się mocno przywiązać do ma-

sztu i z wielką trudnością wytrzymał kuszący głos Syren, które śpiewały pieszczotliwie: »Zbliź się, chlubo Achiwów, zbliź się Odysse do ładu, posłuchaj jak śpiewamy cudnie; my wiemy, coście nieszczęście doznali na Ilionu polach, wiemy o wszystkich ziemskich dolach i niedolach«. I Skillę i Charybdę ominęli względnie szczęśliwie, bo tylko sześciu ludzi pożarła Skilla, lecz gorzej poszło na wyspie bożej Trynaki. Z powodu zupełnej ciszy musieli tam siedzieć cały miesiąc. Dopóki starczyło zapasów, towarzysze słuchali rozkazu naczelnika i dotrzymywali złożonej przysięgi, że nie ruszą bydła, Heliosowi poświęconego, ale gdy głód zaczął dokuczać, a Odysseus, znużony ciągłym czuwaniem, zasnął, za poradą Eurylocha, który przekonał ich, że:

Zaprawdę śmierć dla człeka każdego niedogodna,  
Lecz żadna tak okropną nie jest, jak śmierć głodna,

wyprawili sutą mięsną biesiadę, za którą Helios zażądał od Zeusa srogiej kary, grożąc, że:

Jeśli kara za rozbój łotrów tych oszczędzi,  
Zejdę w mroki Hadesu świecić nieboszczykom!  
Na to Zeus, chmur i wiatrów przewodzący szykom,  
»Heliosie, świeć, jak zawsze, bogom tu na niebie  
I ziemi, która ludzi wykarmia przez ciebie...  
Wnet ja na ten ich okręt piorun cisnę z góry  
W móżrzą środkowiu, i okręt strzaskam w drobne wióry.

Spełniła się przepowiednia Kirki, i groźba Zeusa. Gdy zawiął wiatr pomyślny i wypłynęli na pełne morze, powstała burza, piorun strzaskał okręt, zginęli wszyscy; jeden tylko Odysseus, siedząc na maszcie okrętu a używając rąk jako wiosła, po dziewięciu dniach walki z żywiołami, zawinął na wyspę Ogigię do nimfy Kalipsy, lecz o tem była już mowa — a on ma nieco odrazy, rzecz już znaną powtarzać dwa razy.

**XIII. Na ziemi ojczystej. w 440.** Tak opowiadał Odysseus. Słodkie zachwycenie wszystkich ogarnęło słuchaczy, to też chętnie przyjęli wnioski Alkinoja, żeby każdy do ofiarowanych już darów dorzucił jeszcze kocioł i trójnog, a gdyby komu było za ciężko, to lud powróci koszta wydatku. Wyposażony więc tak, że miał teraz więcej, niż wywiózł z Troi, pożegnany serdecznymi słowami i uczciami, na której znowu brzmiała pieśń natchnieniem i myślą wysoka, siadł wreszcie Odysseus na statek i zaraz na pokładzie położył się i słodko zasnął. Uspokoiło go niespodziewane szczęście i bliskość spełnienia najgorętszych pragnień. Sen był bardzo głęboki, bo nie zbudził się nawet, gdy okręt zawinął do małego portu na Itace. Wyniesiono go na brzeg i ułożono w zacisznym miejscu, a wszystkie skarby obok niego. Widząc to wszystko rozgniewał się Posejdon i poszedł ze skargą na Feaków do Zeusa. Ten, nie chcąc już szkodzić Odyssovi, pozwolił mu zemścić się na gościnnym narodzie Feaków, zamienić okręt na skałę, a miasto ich otoczyć wysokimi górami. Odysseus zbudził się, lecz nie poznał ojczystej ziemi, tyle lat nie wi-



dział jej, a zresztą przeszkadzała mu mgła, którą otoczyła go Atena, dla bezpieczeństwa osoby i statku. W pierwszej chwili przeląkł się, czy nie padł ofiarą rabunku żeglarzy, ale wkrótce przekonał się, że nie wzięli nic z jego skarbów, że jest wszystko. Mimo to smutny błądził nad morzem, nie wiedząc, co począć, gdzie ukryć wspaniałe dary. Wtem zaszła mu drogę Pallada, tym razem w postaci młodego wątego pastuszka. Zagadnął go Odysseus: »Witam cię mój mały! pierwsza duszo żywa, którą tutaj spotykam. Błagam cię u kolan, powiedz, gdzie jestem, jaka to kraina, i opiekuj się mną i moim dobytkiem«. Gdy się dowiedział, że to Itaka, ucieszył się wielce, chociaż jeszcze nie dowierzał, a zapytany, kim jest, zaczął kłamać jak z nut, że pochodzi z Krety, że uszedł ztamtąd z powodu zabójstwa itd. Uśmiechnęła się bogini sowiooka. »Byłby to nielada gracz, ktoby ciebie wywiódł w pole. Nie kryj się i nie kłam — tyś to lubił od małego chłopca — obojeśmy w tem biegli — bo wiedz, że jestem opiekunką twoją — Ateną. — »Byłaś nią, ale od tylu lat zapomniałaś o mnie nieszczęsnym tułaczem«. »Nie mogłam, dopóki byłeś na morzach, zadzierać i zrywać z potężnym bratem mego ojca, który gniewał się na ciebie — a teraz pójdz, pokażę ci Itakę, abys nabrał ducha i przekonał się, że to zatoka Forkisa«. Rzekła i rozwiła mgły i wtedy boski tułacz poznał swoją żywicielkę, ukląkłszy całował ją i modlił się gorąco. Potem za poradą Ateny ukrył skarby w grotcie, w której mieszkwały czczone przez niego Najady. Atena wejście zamknęła odłamek skały, i stanęło na tem, że zamieni go w zgarbionego żebrzącego dziada, ażeby, nie poznany przez nikogo, tem łatwiej mógł zemsty dokonać. Zaraz potem miał pójść do pastucha, wiernego mu, poczciwego Eumeja, pasącego trzodę chlewną u źródła Aretuzy pod Koraksu skałą, zaprzyjaźnić się z nim i dowiedzieć o wszystkim, co się w jego domu dzieje — a ona pospieszyła do Lakedemonu, by Telemacha przynaglic do powrotu na Itakę.

**XIV. W szałasie pastucha. w. 533.** Gdy Odysseus zbliżył się do zagrody poczciwego Eumeja, opadły go psy, lecz on, człek przebiegły, odrazu siadł na ziemię, kij na bok odłożył, a pastuch, zobaczywszy to, poskoczył za wrota tak żywo, że mu z rąk wypadła robota; kamieniem psy odpędził i biednego żebraka serdecznie do siebie zaprosił. »O mało cię nie zjadły te psiska, mój dziadku — a byłoby to dla mnie nowe zmartwienie i wstyd, jakbym już nie dość miał goryczy. Małożto się człek napłacze za zaginionym panem! A tu w dodatku codzien posyłać muszę świnie dla nieproszonych gości, do dworu, gdy mój biedny panisko może z głodu przymiera, jeśli jeszcze żyje. Lecz pójdzmy dziadku do chaty, byś się pokrzepił winem i chlebem. Ucieszył się gość przyjęciem i słowami i rzekł:

»Przyjacielu! Zeus da ci, da każdy bóg inny  
Wszystko, czego zapragniesz, żeś taki gościnnny!«  
A tyś mu, Eumeju, odparł słowem takim:  
— Grzech byłby i biedniejszym niżli ty żebrakiem

Gardzić i w próg nie puszczać. Tułacz, czy ubogi,  
Jest pod Zeusa opieką....

...Tamtemu nie dali niebianie

Wrócić do dom. U niego miałem zachowanie,  
On byłby mię osadził na chlebie łaskawym,  
Jaki dobrzy panowie dają sługom prawym.  
Lecz zginął! Niechby raczej przepadł ród ten wraży  
Heleny! przezeń tylu padło już mocarzy!....  
Jedz mój gościu prosiątko, nie stać nas na lepsze;  
Na dwór pański dla gachów idą karmne wieprze.  
Tak rzekł, a gość łakomie mięsiwo zajadał,  
Pił wino, milczał, gachom śmierć już zapowiadał.

Pasterz tymczasem dalej utyskiwał na dolę królewskiego domu i swoją. »O mój pan pewnie już dawno umarł, może psy i ptaki ciało jego pożarły, a kości gdzieś na polu bieleją, Oj! nie ma go już, nie ma! Zostawił nas w żałobie, mnie w największej, bo gdzieżbym znalazł pana tak dobrego«. Na to Odysseus: »Przyjacielu, trwasz wi dżę w uporze, że pan twój nie wróci, a ja ci mówię, że wróci, zaręczam, że wróci«. Nie przekonał jednak poczciwego pastucha. Na zapytanie, kim jest i z kąd przybywa, odparł, że pochodzi z Krety, i jest synem zamężnego człowieka, a potem zaczął opowiadać w sposób zajmujący długą zmyśloną powieść o swoich przygodach, po części na rzeczywistości opartą, ale nie mogącą go zdradzić ani obudzić podejrzenia. Wplótł w nią zręcznie wzmiankę, jako słyszał od ludzi, że widzieli już na własne oczy powracającego Odyssa, a nawet podejmowali go u siebie. Ale i teraz nie wierzył mu gościnnie gospodarz i nie przyjął nawet zakładu (jeśli Odyss wróci, miał mu pasterz dać ubranie, jeśli nie, strącić go ze skały jako kłamcę).

Gościu mój! tożbym sobie na imię zarobił  
I na cześć między ludźmi; tożbym sam się dobił,  
Gdybym cię w dom przyjąwszy serdecznie, gościnnie,  
Potem dał zabić, życia zbawił cię niewinnie!  
Mógłżebym czystą myślą modlić się Kronidzie?....  
Lecz oto czas wieczerać — wnet czeladź się znidzie,  
I razem w tym szafasie zasiędnem do stołu.

Złożywszy bogom ofiary i pomodliwszy się, nasycili głód i pragnienie i położyli się spać. Odysseusowi było chłodno a nie miał się czem nakryć: każdy z biednych pastuchów miał tylko jedną chlenę, którą się przykrywał. Więc przemyślny Odysseus taką na dobranoc opowiedział im powiastkę: »Jednego razu pod Troją Odysseus wyprawiał się z oddziałem, w którym i ja byłem, pod mury na nocne leże. Była pogoda, gdyśmy wychodzili, ale w nocy zerwał się zimny wiatr i trząśłem się od chłodu, bom w prędkości zapomniał był opończy. Mówię do naszego wodza: Boski Odyssie, źle się ze mną dzieje — zamarnę — a on na

to: Cicho bądź, żeby cię kto nie usłyszał — zaraz będziesz miał okrycie — i zawołał głośno: Hej, niechno się który kopnie do Agamemnona, pasterza narodów i poprosi, żeby nam więcej wojaków przysłał, bo jest nas zamało. Na to podniósł się niejaki Toas i, na ziemię rzucając swój płaszcz purpurowy, poskoczył do okrętów. Jam porwał płaszcz jego, okryłem się nim, i spałem do białego dnia». Eumaios zrozumiał sens moralny tej powiastki, i dał mu swój płaszcz, a sam, uzbroiwszy się poszedł czuwać nad oborą — sługa, choć pana nie było, troskliwy o jego dobro, wierny i czujny.

**XV. Powrót Telemacha.** w. 557. Upomniany przez Atenę, wyjeżdża Telemach z Pejzyszratem z domu gościnnego Menelaja, otrzymawszy cenne podarunki i wypiwszy na odjezdnym strzemienny kielich wina. Prosił go naturalnie o pozwolenie wyjazdu.

Na to odparł Menelaj: Zaprawdę nie mogę  
Zatrzymywać cię dłużej, Telemachu, u mnie,  
Gdy tak tęsknisz do domu. Wiem, jak nierozumnie  
Robią ci gospodarze, co męczą swych gości  
Zbytkiem przynuk lub zbytkiem jawnej oziębłości.  
Środek dzierzę, gdyż jedno i drugie niemiłe:  
Czy kto gością wypędza, czy trzyma nad siłę.

Jechali cały dzień, na noc stanęli u Dyoklesa w Faros, a następnego dnia przybyli do Pylos. Telemach prosił przyjaciela, żeby go odwiedził prosto na okręt, bo jeśli wstąpią do zamku, ojciec nie zechce go puścić. Pejzyszrat, chociaż wiedział, że czeka go za to bura od ojca, uznał żądanie przyjaciela za słuszne i uczynił mu zadość. Na okręcie złożył Palladzie ofiarę i przyjął pod opiekę nieznanego przechodnia Teoklimenesa, wieszczka (wróżbitę) z zawodu, który dopuściwszy się w ojczyźnie zabójstwa, uchodził przed pościgiem i prosił o przytułek. Statek odpłynął. Tymczasem Odysseus siedział w chacie pastucha, a chcąc się dowiedzieć, czy nie jest mu już natrętnym, prosił o przewodnika, któryby go odprowadził do miasta, gdzie będzie chodził po żebranym chlebie. »Gościu mój, odparł poczciwy gospodarz, jakaż znów ugryzła cię mucha, że chcesz narazić się na zgubę niechybną. Poturbowaliby cię tam gachy! Zostań z nami, twa bytność nikomu nie wadzi, a gdy wróci Telemach, zaopatrzy cię sownie i nawet odeśle, gdzie zechcesz«.

Odysseus na to: Obyś ty Eumeju, był tak miły bogu, jak mnie jesteś za twoją gościnność. Los różnie uciska, lecz najsrożej, gdy człowiek nie ma przytuliska, a wzgardę i poniewierkę codzien musi przeżyć«. Gawędzili więc dalej swobodnie, bo noc długa, a długie spanie szkodzi zdrowiu. Żebrak pytał o rodziców Odyssea i o koleje życia gospodarza samego. Dowiedział się, że Eumej był synem króla wyspy Syryi i że fenicycy handlarze porwali go małym pacholęciem i sprzedali w niewolę. Na szczęście dostał się do Laertesza, który był dla niego bardzo dobry, równie jak i syn jego Odysseus, bo Zeus obok przykrych daje i dobre

chwile... Telemach dopłynął wreszcie szczęśliwie do Itaki, lecz podług rozkazu Ateny wysiadł na wsi, w pobliżu obory Eumeja — i tym sposobem uszedł zasadzki gachów, a statek potem bez niego zawinął do portu. Gdy żegnał się z towarzyszami, wionął w powietrzu jastrząb; w szponach darł on gołębia, posypały się pióra u nóg Telemacha. Wieszcze Teoklimenos wyróżył z tego, że rodowi Telemacha nikt panowania na Itace nie odbierze. Wieszcza miał przyjąć w gościnę jeden z załogi okrętowej (Pejrej), a Telemach uzbrojony podążył do zagrody Eumeja.

**XVI. Ojciec i syn. w. 481.** Gdy się zbliżał do chaty, psy nie szczekały, lecz łąsiły się. Zobaczył to Odysseus i powiedział pasterzowi. W tej chwili wszedł Telemach, syn jego kochany, którego nie znał. Poskoczył ku niemu Eumej tak szybko, że mu dzban z ręki wypadł, całował jego głowę, oczy i ręce, a łza potoczyła się po licu starca. Tak wita tylko ojciec syna jedynaka, po dziesięciu latach tułaczki wracającego w progi rodzinne.

Tyżś to światło moje, Telemachu miły!  
Gdyś odjeżdżał do Pylos, oczy me zwątpiły,  
Czy cię kiedy już ujrzę! Pójdźże tu, kochanku,  
Przyjrzę ci się, nacieszę, patrząc bez ustanku.  
Tyś tak rzadko nawiedzał twe trzody i sługi.  
Na to roztropny młodzian odrzekł: »Dobry tatku  
Ot mię masz, gdyż umyślnie, a nie zaś z przypadku  
Przyszedłem cię odwiedzić i spytać o matkę«...  
Wódz pasterzy Eumej na to: » Z twoją matką  
Zawsze jedno: niezłomna na zamku swym siedzi«.  
Rzekłszy to włóczęń spiżową odjął z rąk młodzieńca,  
A ten gdy próg kamienny do izby przestąpił,  
Zaraz ojciec Odyssej z miejsca się ustąpił,  
Lecz go Telemach wstrzymał: Gościu! siedź, gdzieś siedział,  
Jest tu miejsce i dla mnie. Pasterz będzie wiedział,  
Kędy mię w swej zagrodzie najlepiej posadzić.

Uprzejmość ta bardzo uradowała biednego ojca, który przytłumić musiał wzruszenie, żeby się nie zdradzić. Telemach zapytał o gościa, co zacz i jak się tu dostał, a gdy go Eumej prosił o opiekę nad nim, zakłopotał się. Nie miał dość siły wobec przeważnej liczby natrętnych gości, żeby dziadka obronić od możliwej zniewagi. Prosi więc, żeby na razie został w tem spokojnem schronisku, a on mu nadesłę z miasta przyzwoitą odzież. Następnie każe Eumejowi pójść do matki i uwiadomić ją o szczęśliwym jego powrocie; matka przez służebną doniesie o tem dziadkowi, więc do niego nie potrzebuje wstępować. Pasterz oddalił się żwawo, a wtedy stanęła we wrotach Pallada w postaci ślicznej dziewczyny. Zobaczył ją Odyssej, nie widział Telemach, bo bóstwo tylko temu, komu chce, widzialnem się czyni. Mrugnęła nań; on wyszedł i usłyszał od bogini, że teraz może już odkryć się synowi i odbyć z nim naradę, jak wziąć się do ukarania zalotników. Równocześnie dotkniesz

ciem różdżki czarodziejskiej (laski złocistej), zmieniła go w pięknego, dorodnego mężczyznę, przystojnie ubranego.

Gdy wrócił do szałasu, ujrzał go zdumiony  
Syn i wzrok spuścił, myśląc, że na boga patrzy,  
I tak się doń odezwał: »Teraz ty inaczej  
Wyglądasz, mój przychodniu, niż wprawie cię widziałem:  
Inne suknie i zmiana jakaś w tobie całym.  
Zaprawdę tyś jest bogiem, mieszkasz w górnem niebie...  
Zmiłuj się! wnet objatą hojną uczczę ciebie,  
Dam ci złotą ofiarę. Zmiłuj się nad nami!« —  
Boski Odysś takiemi odparł mu słowami:  
»Jam nie bóg i nie mogę równać się z niebiany,  
Jam twój ojciec, twojemi łzami oplakany...  
Rzekłszy to pocałował syna; łza po licach  
Mu pobiegła, choć długo więził ją w źrenicach.  
Ale syn, w pierwszej chwili uwierzyć nie zdołał,  
Że to ojciec i trwożny do niego zawołał:  
— »Tyś nie ojciec mój Odysś; to zły duch zapewne  
Zwodzi mię, bym się martwił, łzy wylewał rzewne.«

Gdy ojciec powtórzył zapewnienie, że jest Odyssem, a zmianę osoby przedstawił jako dzieło boskie, bo

Łatwo bóstwom, w szerokiem niebie mieszkającym,  
Bądź w proch zetrzeć człowieka, bądź stawić na szczycie!  
. . . . . Młodzianek w zachwycie  
Do serca cisnął ojca, łez wylewał strugi.  
Rozbolał się, rozrzewnił, tak jeden jak drugi.  
Obaj głośno szlochali, kwiląc jakby ptaki,  
Jastrzębie albo sępy, kiedy im chłopaki  
Z gniazd wydrą nieudolne do lotu pisklęta:  
Tak kwiliły zawodzząc oba niebożęta.

Gdy pierwsze przeminęło wzruszenie, oświadczył Odyssej: Teraz potrzeba się naradzić, jak zgnieść i zgładzić tych łotrów, czy sami do tego przystąpić, czy potrzeba szukać sprzymierzeńców. »Ojcie, odparł syn, słyszałem wiele o twojej sławie, zarówno na wojnie jak w radzie, lecz czyś nie rzekł za wiele i nie bez przesady, aby we dwóch się porwać na tłum siłaczy. Gdyby ich było dziesięciu, gdyby wreszcie dwudziestu; ale jest ich stu kilkunastu«. Na to ojciec: Zapominasz o tem, że wesprą nas Zeus i Atena, a możnaż mieć lepszych sprzymierzeńców? Jutro o świcie pójdziesz do miasta i zabawiać będziesz gachów pogawędką. Ja z Eumejem za tobą nadejdę w postaci żebraka, a jeśli mię zaczną lżyć, znoś tę obrazę, znoś, choćby mię który chciał uderzyć. Gdy skinę na ciebie, wezmiesz wszelką broń, jaka jest w izbie gościnnej, i zaniesiesz do górnego skarba, pod pozorem, że okopciała i za-

rdzewiała. Zostaw tylko dla nas dwa miecze, dwa oszczepy i dwie tarcze. O powrocie moim nikt nie ma wiedzieć, nawet Laertes, nawet Penelopa i pasterz. — Takie było powitanie syna z ukochanym ojcem.

Na gachów padł niezmierny postrach, gdy się dowiedzieli, że skrytobójcza wyprawa spełzła na niczem. Antinoos radził zamordować Telemacha na miejscu, gdy się pojawi, jednak sprzeciwił się temu wymowny Amfinom, który sądził, że najpierw potrzeba wolę bogów wybadać. Penelopeja, dowiedziawszy się o powrocie syna, zeszała do izby gościnnej i ciężkie Antinoowi czyniła wyrzuty za zamach, uknuty przeciw synowi. Eurymachos odparł, że byłby nigdy takiej zbrodni nie dopuścił, bo czezi pamięć Odysssa »wszak on mię często sadzał na kolanach, karmił dziecinę i wino mi podawał«. Tak mówił, ażeby uspić czujność matki, a w duchu knuł zdradę.

Gdy wieczorem wrócił pasterz do swojej zagrody, zastał już Odysssa w dawnej postaci żebrzącego dziada.

**XVII. Zniewaga. w. 606.** Nazajutrz wcześniej rano Telemach rzekł do pasterza: »Tatku, idę do miasta, ty zaś pójdziesz także, razem z tym biedakiem, żeby sobie tam żebrał; ten i ów da mu przecie kęs chleba«. Telemacha witały najczulej matka i służebne. Mniej przyjemnego obejścia się ze strony ludzi doznać miał Odyszej i znieść musiał nie mało krzywd i upokorzeń. W mieście przy studni złażał go pasterz Melantios, najnieśluszniej, bez przyczyny, ostatniemi słowami i kopnął go. Zawahał się chwilę, czy mu łba nie rozbić, ale zapanował nad sobą. Zbliżyli się wreszcie do pałacu; słyhać było wesołe głosy biesiadników, dźwięki formingi i śpiew Femiosa. Uradzili, że pasterz wejdzie pierwszy, Odyszej t. j. żebrak, zaczeka przy bramie. Wtedy zobaczyło go, na śmietniku leżące, stare psisko, Argos, niegdyś jego ulubieniec. Poznał swego pana, on jeden poznał, pokiwał ogonem, tuląc uszy; chciał się do niego doczołgać, ale nie miał już sił. Uważał to Odysseus, i łzę uczuł w oku. Po chwili biedny pies w śmierci pogrążył się mroku\*). Niebawem wszedł i Odysseus, pojmiemy, z jakim wzruszeniem, do izby biesiadnej. Eumajowi i jemu zwyczajem uświęconym podano przekąskę. Gdy się posillili, weszała Atena przez nikogo nie dostrzeżona i szepnęła Odysseusowi, żeby obszedł wszystkich gości z prośbą o jałmużnę, bo przypatrzy się im dokładniej i pozna, kto lepszy, kto gorszy, kto winny, a kto bez winy. Tak zrobił, ale bardzo rychło spadł na niego od Antinoja zamiast datku tłum obelżywych wyrazów, co oburzyło Telemacha: »Pięknje dbasz o mnie i o sławę mego domu, jeśli lżysz biednego przychodnia«. Nie pomogło to delikatne upomnienie gospodarza; przeciwnie, podrażniony jeszcze więcej prośbą żebraka wprost do niego zwróconą, porwał z pod stołu podnózek, rzucił za nim i ugodził go w barki koło karku, dodając

---

\*) Porównaj scenę z »Dziadów« w której Gustaw odwiedza dom nieboszczki matki, poznany przez psa Kruka. »Bieży, staje słyha — i pada bez ducha«.

niezliczone grubiańskie łajania. Oburzyło to nawet jego najbliższych przyjaciół; jeden z nich tak się odezwał:

Źleś zrobił, Antinoju, ciskając w nędzarza.  
Nużby to był niebianin, jak nieraz się zdarza,  
Że bóg, przybrawszy postać wędrownego dziada,  
Grody, włości przebiega, i naocznie bada  
Zbrodnie ludzkie i cnoty bogobojnej duszy!

Wiadomość o tem brutalstwie w cudzym domu, słynnym z gościnności i szanującym święte jej przykazania, doszła zaraz do uszu Penelopy i obeszła ją do żywego. Kazała przywołać Eumeja i poleciła mu poprosić do siebie znieważonego gościa, chociaż żebraka. Odyssey kazał odpowiedzieć, że prosić będzie o posłuchanie dopiero wieczorem, bo teraz mógłby, idąc do królowej, narazić się na nową zniewagę. Jak on i Telemach walczyć ze sobą musieli, żeby stłumić w sobie oburzenie i gniew, i żeby się przedwcześnie nie zdradzić, wyobrazić sobie łatwo. Penelopa niecierpliwie oczekiwała wieczoru, bo pasterz opowiadał o gościu przedziwne rzeczy:

Zdziwiłoby cię, tak prawi pięknie i rozumnie.  
A jak patrzym w pieśniarza, kiedy pieśń swą śpiewa  
Od bogów mu natchnioną, że pierś ci rozgrzewa,  
I jak radbyś go słuchać wciąż i w każdym czasie,  
Tak ten przybysz powieścią bawił mię w szalaście.  
Z Odyssem, jak mi mówił, miał stosunek dawny.

Słyszając to, uczuła się podniesioną na duchu, zaczęła wierzyć w powrót męża i w ukaranie darmozjadów, dwór jej oblegających, na których o pomstę do bogów wołała. W tej chwili jakby na potwierdzenie jej nadziei kichnął Telemach tak głośno, że w górnej sali słyszeć było \*).

Eumaios przestrzegł Telemacha, żeby uważał na siebie i nie narażał się, bo uknuto spisek na jego życie — poczem wrócił do swojej zagrody.

**XVIII. Walka żebraków. Penelopeja. w. 428.** Wtem wszedł do izby, gdzie ucztowała próżniacza i pasożytna młodzież, miejscowy żebrak, wszystkim znany na Itace, Arnaios, którego ulicznicy przewalili Irosem, dlatego że używano go do posyłek. Napadł on Odysssa w sposób niesłychany i jakby był na własnych śmieciach, kazał mu się wynosić: »Precz mi ztąd, jeśli nie chcesz, abym cię przepędził«. Darmo Odysseus, ciągle panujący nad sobą, przedstawiał mu, że nigdy go nie obraził czynkiem ni słowem; Iros nie przestawał łajać, a wreszcie wyzwiał go do walki na pięści. Młodzież przyklasnęła temu, chcąc zobaczyć osobliwsze widowisko: walkę dwóch dziadów. Ociągał się Odysseus, ale wreszcie, poskromwszy resztki dumy, stanął. Walka nie była długa, wynik jej nie

\*) W niektórych okolicach naszego kraju, jeśli ktoś opowiada, a przytem on albo kto inny kichnie, mówią: O! widać, że prawdę powiedział, (albo też krótko: »Prawda«!).

mógł być wątpliwy. Jednym uderzeniem powalił przeciwnika, zgruchotał mu kość prawego ramienia. Zwycięstwa winszowali mu panice, a najserdeczniejszym okazał się dla niego pocziwy Amfinom, który przyniósł mu czasę wina. Chcąc mu dać dowód wdzięczności, ostrzegł go Odysseus takimi słowami:

Amfinomie! tyś ojca swojego syn godny,  
Więc słuchaj, co ci powiem, niech pamięć zatrzyma:  
Nie słabszego nad człeka na tej ziemi niema;  
Słabszy od wszystkich istot, co po świecie chodzą,  
Nie myśli, że weń kiedyś nieszczęścia ugodzą,  
Póki Bóg daje dzielność i dobrych nóg parę.  
Lecz gdy bóstwa nań spuszczą cierpienia za karę,  
To choć z opornym wstrętem, znosi je, jak umie.  
Taka bowiem jest zmienność w tym ludzkim rozumie,  
Jak zmiennymi bywają dni, które Zeus zsyła...  
Niech więc człowiek od zbrodni ucieka jak może,  
A co bóstwa mu dają, przyjmuje w pokorze.  
Snać i tu strasznie broją gachy rozwydrzone,  
Trawiąc cudzy dobytek, znieważając żonę  
Męża, który już może jest w drodze z powrotem,  
I tylko go nie widać. Radzę myśleć o tem,  
Żebyś się z nim nie spotkał i wynieść się z bogiem;  
Bo gdy wróci na wyspę, stanie przed swym progiem —  
Nie obejdzie się w murach tego tu mieszkania  
Między nim a gachami oj! bez krwi przelania.

Zasepiły te słowa pocziwego młodziana, ale nie usłuchał ich, czy nie rozumiał: Pallas chciała jego zguby — więc i on miał zginąć, włócznie Telemacha pchnięty — jakby na dowód, że nawet cnotliwy przedpadnie, jeśli dostanie się w złe towarzystwo.

Za wiele było tych burd mądrej i zacnej Peneloei. Zeszła więc do izby gościnnej, w towarzystwie dwóch panien, z zasłoną na twarzy, a wyglądała cudnie, bogini Atene bowiem uczyniła ją piękną, okazałą i powabną pełną. Naprzód zwróciła się do syna z wyrzutem, że znosi w swoim domu zajścia, ubliżające przyzwoitości i świętym prawom gościnnego domu i zwyczajowi. Syn przyznał jej słuszność, tłumacząc się bezsilnością wobec liczebnej przewagi, a nie zdradzając, że znosi to z ojca rozkazu. Pierwszy zbliżył się do niej Eurymachos, czułymi słowami piękną jej sławiąc. Odpowiedziała na to wspomnieniem o mężu, mianowicie o chwili, gdy żegnał ją idącą na wojnę:

Nie wszyscy ci pancerni męże, droga żono,  
Którzy idą na Ilion, powrócą tu pono.  
Przeto nie wiem, czy Bóg mię stamtąd przyprowadzi,  
Czy zostawi? Więc głowa twoja niech tu radzi  
W domu, miejże o ojeu, o matce, staranie,  
Jak dotąd, a tem więcej, jeśli mnie nie stanie.



Tymczasem niektórzy z konkurentów posłali służących po podarki i składali je Penelopie: suknie piękne ze złotymi pętlicznkami, naszyjnik złoty z pięknym bursztynem, kolczyki misternej roboty, i t. d. Widząc to cieszył się Odyssej, że przynajmniej wróci się częśćka strat, jakie dom ponosił. Penelopa odeszła, a panicze postanowili dłużej dzisiaj pohulać. Rozniecili więc kagańce, a dziewczęta służebne przyszły, by podniecać i utrzymywać światło. Przystąpił do nich Odyssej i kazał im pójść precz, za co niesłychanie uniosły się na niego, mianowicie jedna, Melanto imieniem. Wtedy odpowiedział krótko, ale tonem tak ostrym, że się wyniosły. Podniecał więc sam światło i rozpatrywał się po sali spokojnie. Niektórzy zaczęli na nowo go zaczepiać. Eurymach odezwał się: Nie wiedziałem czemu w izbie tak jasno, a to od łysiny dziada. Co, zuchu, możebyś przystał do mnie na parobka. »Potrzeba, Eurymachu naprzód się założyć, kto z nas lepszym się okaże, czy to kosząc przez dzień cały bez pożywienia, czy orząc, czy też walcząc na wojnie«. — Dam ja ci, żebraku, krzyknął Eurymach, hultaju, zuchwalcze! — i rzucił na niego stołkiem. Odysseus na szczęście schylił się i stołek uderzył jednego ze sług. Wszczęła się wrzawa niesłychana, którą z trudnością uśmierzył Telemach, przedstawiając im, że pora spóźniona i czas pójść do domu na spoczynek.

**XIX. Żebrak u Penelopy. w. 604.** Zostali w świetlicy Odysseus ze synem. Telemach powynosił broń do skarbcza, jak było umówione, a Penelopa zeszła na rozmowę ze starcem. Opowiadała o swoich cierpieniach, o tęsknocie nieustannej; pytała o ród i nazwisko i czy nie ma jakich wiadomości o jej mężu. Odysseus powiedział to, co i pastuchowi, że pochodzi z Krety i znał jej męża, a nawet w bliższej byli przyjaźni, gdy bawił u niego dążąc pod Troję. Chcąc się przekonać, czy nie zmyśla, zapytała, czy nie pamięta, jak był wówczas ubrany. Choć lat dwadzieścia minęło, opisał jej suknie swoje, jej ręką tkane, jak najdokładniej, a nadto dodał jeszcze ważny szczegół, o który nie pytała, t. j. że był przy Odyssee stary ulubiony sługa, Eurybates, garbaty, smagławy, z włosem kędzierzawym. Penelopa zaczęła płakać; teraz nie było już wątpliwości najmniejszej, że człowiek ten znał jej męża, ale z tego nie wynika jeszcze, czy po tylu latach powróci. Powróci! odpowiada żebrak, powróci na pewno, za rok najpóźniej, może za miesiąc, może jeszcze prędzej. Jest już blisko, bawi w krainie Tesprotów. »Oby się spełniły, gościu, twoje obietnice, ale trudno mi uwierzyć, trudno mieć nadzieję. Teraz użyj kąpieli, służebne umyją ci nogi i przygotowują wygodne posłanie, ja postaram się o przyzwoitą odzież, bo to jest obowiązkiem uczciwej gospodyni. Gdyby był mój Odysseus, przyjąłby cię jeszcze gościnniej i hojniej obdarzył.

Nasz żywot krótką metę mierzy.  
A kto serce ma twarde i w czynach okrutny,  
Takiemu życzą wszyscy, by żywot miał smutny,  
A jeszcze i po śmierci przekleństwo go ściga.  
Lecz kto myśli pocziwie i przed złem się wzdryga,

Tego sławę po świecie roznoszą przechodnie.  
Krocie ust powtarzają, że umiał żyć godnie.

Odyseus wymówił się od usług panien służebnych i prosił, żeby mu usłużyła jaka staruszka. Wezwana przez nią Eurykleja, zbliżywszy się zwróciła uwagę, że gość dziwnie podobny do jej pana, którego wychowała. Odyseus z rzadką przytomnością umysłu, rzekł spokojnie:

Od tych, którzy nas znali, słyszałem nie rzadko,  
Że wielkie podobieństwo jest pomiędzy nami,  
Więc to prawda, i wzrok twój wcale cię nie mami.

Eurykleja przystąpiła do mycia nóg i nagle zadrżała trwożą, zapłonęła radością, a na szczęście ze wzruszenia głos zastygł jej w gardle. Zobaczyła bliźnię, dobrze znaną bliźnię, która pochodziła z rany zadanej kłębem dzika na polowaniu, gdy Odyseus bawił pacholęciem u ojca matki Autolika. Nie było już więc najmniejszej wątpliwości: to pan jej! to drogi jej wychowanek! »Synu, tyś Odysse!« zaczęła mówić, lecz w tej chwili chwycił ją za gardło i kazał milczeć pod karą śmierci. Na szczęście jego nie zauważyła tego Penelopa, bo Atena gdzieindziej myśli jej skierowała. Czas było odejść. Prosiła jeszcze tylko gościa, żeby jej wytłómaczył sen, jaki dzisiaj miała. Wprawdzie

I sen bywa niekiedy ciemny i zawity,  
I niezawsze się prawdą sennych snów majaki,  
Bo jak mówią, do krain sennych wehód dwojaki:  
Bramą z kości słoniowej i bramą rogową.  
Więc sny z pierwszej idące plotą to i owo,  
A ich wróżby kłamliwe zawsze nas zawodzą,  
Za to sny, co przez bramę rogową przechodzą,  
Iszczą się i nie mylą ludzi, co śnią nimi \*).

Otóż śniło się jej, że orzeł spadł na stado gęsi i pozabijał je, a potem ludzkim głosem przemówił do niej: »Gęsi, to gachy — orzeł, to ja twój mąż, powróciłem, aby ich wyciąć co do nogi«. Pewno, rzekł Odyseus, nikt inaczej tego snu nie wytłómaczy. Odchodząc rzekła Penelopeja:

Jeszcze jedną rzecz ważną mam ci do zwierzania:  
Jutro straszny dzień dla mnie; przyjdzie dom Odyssów  
Rzucić, gdyż jutro daję pole do popisów.  
Przez dwanaście toporów rzędem w ziemię wbitych  
Odyss nigdyś bełt puszczał, i było przeszytych  
Uch dwanaście, a strzelał na odstęp daleki.  
Owóż mym dziewostębom zadam trud nie lekki;  
Ten, który łuk potrafi napiąć dłonią silną,  
I przez topory strzałę przepędzić niemylną,  
Otrzyma rękę moją...

\*) Porównaj Kochanowskiego Tren XVI. i Wergilego Eneidę VI.

Pochwalił jej zamiar stary żebrak i polecił, by wcześniej zarządziła zapasy, bo sądzi, że Odyss wróci, nim pierwszy z ubiegających się łuk ów napiąć zdoła.

**XX. Ranek. w. 394.** Potrzebny jest sen człowiekowi, każda rzecz ma swoją porę i swoje odmiany, bogowie tak postanowili, ale nie mogła zasnąć Penelopa i długo w noc płakała. Nie spał i Odyseus, lecz rozmyślał o swoich planach. Nasunęła mu się myśl, czyby nie zacząć od niecnym służących, które wałęsały się; serce »skowyczało mu w piersi jak suka«, ale, bijąc się w piersi, usmierzył ten poryw: »Cierp serce, przecież nieraz gorsześ przecierpiało«. Pojawiła się wtedy Atena i radziła mu spocząć, bo bezsenność wyniszcza siły i ufać boskiej pomocy, bo jeżeli druh ufa druhowi śmiertelnemu, to tembardziej powinien polegać na nieśmiertelnych, którzy, jak ona jego, bronią w każdej potrzebie. Bogini zaproszyła mu oczy snem; zasnął smacznie, wstał bardzo pokrzepiony. Wyszedł, rozglądał się po obejściu, modląc się do Zeusa. Zeus wysłuchał go, na znak piorun spuścił z jasnego nieba. Przy żarnach mełła jeszcze jedna z robotnic, najślabsza, więc spóźniła się do rana z robotą. Odyseus słyszał, jak klęta gachów, dla których musi pracować. W izbach zamiatano, myto stoły, robiono porządki, Telemach uzbrojony wychodził do miasta na wiec, na ten dzień zwołany, dziewczęta biegly do studni po wodę, pasterze przypędzali bydło, na rzeź przeznaczone: zgoła ruch był wielki, jak zwykle rano w wielkim i ludnym dworze. Jeden z pastuchów złajał dziada, ale przecież byli i dobrzy; wierny sługa Filetios zbliżył się do niego i serdecznie, po ludzku, podawszy mu prawicę, tak go powitał:

Witam cię, ojcze gościu! da bóg! lepszej doli  
Doczekacie, dziś nędza trapi was i boli.  
O Zeusie, okrutniejszy, niż inni niebianie!  
Ludziś stworzył, a jesteś tak zawzięty na nie,  
Że nędza i cierpienie bywa ich udziałem.  
Toż zimny pot mię oblał, kiedy cię ujrzałem,  
I łza spadła, bo Odyss stanął mi w pamięci...  
Jak ty, i on tam może wśród obcych się kręci,  
Łachmanami okryty, jeśli jeszcze żywy  
W słońce patrzy; lecz jeśli zmarł ten nieszczęśliwy,  
I jest w Hadesie, żal mi, żal po panu takim!...

Odyseus odrzekł: »Widzę, żeś człek rozumny i dobry. Jam gotów zaprzysiądz, że pan twój wróci i własnymi oczami zobaczysz, jak zabierze się do tych nieproszonych gości«. Filetios na to: »O dajże Boże, by spełniły się twoje obietnice, zobaczysz, że i ja mam rękę krzepką i twardą«.

Niebawem zaczęli się schodzić panowie konkurenci, ale minę mieli rzadką. Wyrocznia bogów nie pozwoliła im zabijać Telemacha, orzeł z gołębiem w szponach przeleciał im z lewej strony; zła to była wróżba. Ażeby się na razie pocieszyć, zaczęli odrazu jeść i pić. Telemach podszedł do żebraka, posadził go przy progu, ale potraw podał mu tyle,

co każdemu innemu i nalał mu wina w puhar szczerozłoty. Jeden z biesiadników, Ktezyp nazwiskiem, zarozumiały na swoje bogactwa pyszałek, pozwolił sobie takich żartów: »Dziad dostał tyle, co każdy z nas. Odbierać gościowi — rzecz naganna, ale ja mu dodam«. Mówiąc to rzucił kością w Odyssa, na szczęście nie trafił, bo Odyss zręcznie się uchylił. Wtedy Telemach zacisnął pięści i odezwał się groźnie: »Radzę wam nie pozwalać sobie tu za wiele. Gdybyś był Ktezypie trafił żebraka, przesyłbym cię był tą dzidą i ojciec sprawiłby ci pogrzeb, nie wesele!«

Oniemieli ze zdumienia. Agelaos przyznał mu słuszość.

Wtedy naraz coś gachom zrobiła Pallada,  
Że wszystkich nieskończony dziki śmiech napada.  
Oszałeli! śmiech parskał z ich szczęk wykrzywionych,  
Połykali kawały mięsów krwią czerwonych,  
Łzy im ciekły, a serca owładnęły strachy. —  
W tem wieszczek Teoklimen rzekł, wskazując gachy:  
— O wy biedni! nieszczęścia zewsząd na was godzą,  
W émie nocy głowy, twarze, stopy wasze brodzą...  
Słychać głosy jęczące... z ócz płyną łez strugi...  
A co mar peha się do drzwi! co ich tam w podziemiu.

Wtedy Eurymach:

— Snać oszałał ten przybysz, co świeżo się zjawił!  
Hej mołojcy! za próg z nim, wywieźcie na pole!  
Jemu tu wszystko ciemno, noc go w oczy kole!

Teoklimenos odszedł sam, ponawiając przepowiednię strasznej kary za urąganie biednym, za haniebne życie. Spojrzeli po sobie i mruzczeni: »Nikt podobno gorszych drabów w dom przyjmować nie umie, jak Telemach«. Ale on puszczał to mimo uszu i wpatrując się ciągle w Odyssa, nie przeszkadzał im w spożywaniu smacznego obiadu, ale

Za to żadna wieczerza tak im nie obrzydła,  
Jak owa, którą Odyss z pomocą Pallady  
Miał im sprawić, wetując ich gwałty i zdrady.

**XXI. Strzelanie z łuku. w. 434.** Weszła Penelopa, przyniesiono łuk, sajdak i topory, które Telemach rzędem wbił w podłogę, jak było umówione, i miało się zacząć strzelanie; kto przestrzeli wszystkie ucha toporów, ten otrzyma Penelopę. Zapalił się i Telemach, chciał wygrać, żeby kochana matka została w domu, ale wstrzymał go ojciec niemym oka rozkazem, dał więc spokój. Młodzieńcy przystępowali do strzelania rzędem, ale żaden nie mógł napiąć starego łuku; młodsze pokolenie słabsze już było, nie mieli dostatecznej siły. Kazali przynieść łożu i rozniecić ogień, by rozgrzać rogowy łuk i zwilżyć cięciwę — wszystko daremnie. Nawet silniejszy od innych Eurymachos nie podołał; widząc to Antinoos, a nie chcąc przegrać ostatniej stawki, przypomniał sobie nagle, że dziś święto Apollona, więc właściwie nie wypada strzelaniem się bawić i lepiej odłożyć je do jutra. Podczas tych prób wyszli byli ze sali

Eumej i Filetios; wybiegł za nimi Odyszej, a upewniwszy się o ich wierności, obiecał każdemu w nagrodę żonę i chatę, kazał wszystkie wejścia szczelnie pozamykać, nakazać Euryklei, by żadnej dziewczki z izby nie wypuściła i nie pozwoliła się ruszyć, gdyby dochodziły jakie krzyki lub jęki. Załatwiwszy to, muszą wrócić do izby i na dany znak ma Eumej wziąć łuk i sajdak i śmiało doręczyć go Odyssovi. Tak rozporządziwszy, wrócił do sali — i prosił o pozwolenie, żeby także mógł spróbować, czy nie naciągnie cięciwy, i to bezinteresownie, nie myśli bowiem sięgać po rękę takiej pani, jak Penelopa. W odpowiedzi zasypano go całym gradem obelg. On, włóczęga, dziad, śmiałby stawać do walki z nimi, paniczami! A gdyby, broń Boże, zwyciężył, ośmieszyłby ich wobec całego kraju. Penelopa ujęła się za dziadem grzecznie. Telemach zaś postawił się ostro, wręcz oświadczył, że on jeden ma prawo tutaj rozporządzać i kazał Eumejowi zanieść dziadowi łuk i strzały — a matkę prosił, by się oddaliła do swoich komnat, co też chętnie uczyniła. Odyszej oglądał łuk okiem wielkiego znawcy, a potem bez trudu naciągnął cięciwę, musnął ją palcem, aż odbrzękła jaskółczym rozgłośnym świegotem — i puścił grot; ten topory wszystkie trafił rzędem i, przesywszy pierwsze ucho, wyleciał przez ostatnie. Gachy pobledli, zimny pot oblał ich czoła. Odysseus mrugnął na Telemacha; ten przewiesił miecz, wziął oszczep do ręki i stanął przy ojcu.

## XXII. Rzeź. w. 501.

Odyss rozstał się w gniewie z żebraczym łachmanem,  
Wskoczył na próg wysoki z łukiem i kołczanem...  
— A więc się już rozstrzygnie! mamy bój stanowczy!  
Teraz cel mam, jakiego nie miał żaden łowczy;  
Zobaczę, czy weń trafię, Febowi na chwałę!  
Rzekł — i w Antinoosa puścił gorzką strzałę,  
Właśnie, gdy ten po czasie złocistą dwuuszną  
Sięgał i, już ją ręką chwyciwszy postuszną,  
Chciał do ust podnieść, umrzeć ani mu się śniło!  
Któżby myślał przy godach, gdzie ich tyłu było,  
By się tam ktoś odważył, choćby jak waleczny,  
Zgotować mu los czarny i wtrącić w cień wieczny.  
Lecz Odyss, weń zmierzywszy, trafił w same gardło,  
Że aż przez kark żelazce na wskrós się przedarło;  
Czasza z rąk mu wypadła, gdy padał ukosem.

Zdumienie i zgroza ogarnęły obecnych, chociaż z początku myśleli, że żebrak zabił Antinoja przypadkiem, nie umyślnie. Wtedy dopiero odkrył się Odyszej. »Psy! myśleliście, żem poległ pod Troją, że nie wrócę i hańbiliście dom mój. Lecz już dość — wyrok śmierci padł na wszystkich!« Gdy to usłyszeli, błady przestrasz zawładnął nimi. Ten i ów zaczął się oglądać, którędyby umknąć. Eurymach odezwał się: Jeśliś jest Odyssem, to tego ukarałeś słusznie, on wszystkiego był przyczyną, on rej wodził i pożądał więcej, niż twej żony, on królem chciał zostać, sprzątnąwszy Telemacha. Ale nad nami zlituj się, my nagrodzimy

wszystkie szkody wasze i straty! — »Nie, Eurymachu, wszyscy zginiecie«. Widząc, że prośby nie pomogą, rzucił się Eurymach z mieczem na Odysa, ale nim dobiegł, raniony strzałą śmiertelnie, runął z łoskotem na ziemię. Amfinomos wyskoczył jak wściekły, żeby Odysa za drzwi wyparować, lecz Telemach zabiegł mu drogę i dzidą przeszył go na wskróś. Odyszej wypuszczał strzałę po strzale — każda zdmuchnęła jedno życie — ale strzał mogło braknąć; posłał Telemacha po kopie i pawężę. Odysseus, Telemach i dwaj pasterze uzbrowili się prędko i zasłonili tarczami. Ale i bezbronnym dotychczas gachom koziarz Melantios, wymknąwszy się bocznymi drzwiami, przyniósł broń ze skarbcza, który Telemach w prędkości zostawił otwartym. Niebezpieczeństwo stało się groźnym, po stronie przeciwnej wielka liczebna przewaga. Ale w pomoc przyszła Atena, zrazu w postaci Mentora, potem Mentor znikł, a ona jako jaskółka usiadła na powale. Gachowie rzucali włóczniami gęsto — każda chybiła, bo rzucali zmieszani i tak nimi kierowała Atena, tylko Telemach i Eumaios odnieśli lekkie draśnięcie. Atena potrząsa egidą i jakby ukropem zawarzyła serca przeciwników. Popłoch na nich pada, biegają po izbie, giną od strzał, od włóczni, od mieczów, zginęli do ostatniego. Ocalało tylko dwóch. Pieśniarz Femios przypadł do nóg Odysowski i powoływał się na Telemacha, że tylko zmuszony, nie dla zysku, śpiewał natrętom.

Na klęczkach, rzekł, Odysie, proszę cię za sobą;  
Nie zabijaj mnie! Sambyś okrył się żałobą,  
Gdybyś zabił pieśniarza, co ludzi i bogi  
Opiewał...  
Słyszając to Telemachos świętą natchnion mocą,  
Wobec groźnego ojca przybiegł mu z pomocą;  
— »Stój«! rzecze: on nie winien, nie podnoś nań miecza!  
I Medona keryksa ochroń! Jego piecza  
Czuwała tu nademną od latek dziecinnych.

Medon wylazł po tych słowach z pod ławy, pod którą się był ukrył, i trząsł się ze strachu. Odyszej uśmiechnął się z lekka i rzekł:

Nie bój się, on twój zbawca i twoja opieka.  
Wiedźże o tem i ludziom opowiadaj innym:  
Że złym być mniej pociechy, niżli dobroczynnym;  
A teraz idźcie sobie, ty z gęslarzem oba  
W przysionek, na dziedziniec, gdzie się wam podoba.

Skończył, rozejrzał się po izbie, czy niema kogo żywego i kazał zawołać Eurykleję. — Ile macie dziewczek służebnych? — Jest pięćdziesiąt. — Ile wiernych, a ile winnych t. j. takich, co sprzyjały gachom? Winnych jest dwanaście. Przeprowadź je tutaj. Przyszły. Kazał im pod własnym dozorem uprzątnąć wszystkie ciała, poskładać na kupie w jednym z podworców, następnie obmyć stoły, stołki i ściany, żeby śladu krwi nie było, uprzątnąć i zamieść podłogę, a potem pójść za Telemachem. Telemach i dwaj pasterze mieli rozkaz zaprowadzić te dziewczki, które becześciły honor domu, pod szopę odleglejszą i zarabac je. Ale nie

chciał Telemach walać miecza krwią występnych sług. Obwieszono je rzędem na sznurkach, zadzierniętych na linie wysoko upiętej. Zawisły jak gołębie, męczyły się krótko. Melantios, schwytyany w skarbcu, zginął w mękach. Odysseus wykadził dom siarką i kazał poprosić Penelopę, by zeszła ze służbą.

**XXIII. Mąż i żona. w. 372.** Gdy Eurykleja oznajmiła, że Odysseus wrócił i czeka na nią, Penelopeja sądziła, że piastunka zwaryowała.

Bogi cię nawiedziły snąc rozumu stratą;  
Wszak im łatwo rozumnych szalonymi zrobić,  
A szaleńców mądrości promieniem ozdobić.

Nawet, gdy usłyszała o nieomylnym znaku tj. o bliźnie, nie dowierzała. Zeszła na dół, ale postanowiła jeszcze dalej badać, przezorna, roztropna pani. Wszak mógł jakiś przebiegły, a do Odysa podobny, człowiek, udawać, że jest nim, ażeby posiąść nieprawnie małżonkę jego, majątek i władzę; tyle oszustów włóczy się po świecie. Dopiero, gdy Odysseus dał dowód niezbity, bo opisał jej łożę, które sam zbudował i którego nikt nie znał oprócz nich obojga, uwierzyła Penelopa stanowczo; zadrzało jej serce, zadrzały kolana i rzuciła się z płaczem w objęcia stęsknionego męża, którego dwadzieścia lat oplakiwała. Późno w noc opowiadali sobie przygody swoje, cierpienia i tęsknoty. Pallada przedłużyła tę noc i opóźniła wschód słońca. Nazajutrz kazał Odysseus grać śpiewakowi, a dziewczętom wesoło tańcować, ażeby przechodnie myśleli, że na zamku wesele. To uspiło na razie czujność i usunęło podejrzenie, a bohater tymczasem wymknął się z Telemachem i obydwooma wiernymi pasterzami po cichu z miasta na wieś, ażeby przywitać się z ukochanym ojcem i, natchnieniem kierując się bożem, naradzić się, jak wobec ludu wybrnąć ze sprawy tak drażliwej, która żadną miarą nie mogła ujść płazem.

**XXIV. Ojciec i syn. Pojednanie. w. 548.** Przyszli do wiejskiego dworu Laertesza. Towarzysze zostali w podworcu. Odysseus poszedł do sadu sam i zastał staruszka, okopującego jakieś drzewko; odzież na nim była nędzna, podarta, oblicze świadczyło, że ciężkie jadły go bole. Rozpłakał się na ten widok Odyssey, ale rozważył, że niepodobna odrazu się odkryć; nagła radość mogła zabić starca. Zbliżył się więc jako obcy przechodzień i zagadnął: »Staruszku, z ciebie ogrodnik, jak widzę, wyśmienity, wszędzie znać pilną rękę w uprawie tych sadów; jedno tylko zarzuciłbym, przebaczenie mi tatuniu, że sam nie dasz o siebie«. Potem napomknął o Odysście, i dodał, że znał go dobrze. Starzec zaczął gorzko płakać. Łez tych dobry syn znieść dłużej nie mógł: »Ojeze! jam jest syn twój, syn zgubiony, który po latach dwudziestu wraca w te strony! więc pofolguj łzom i smutkom«. Nie chciał, nie mógł uwierzyć staruszek; dopiero gdy mu Odysseus wyliczył i wskazał wszystkie drzewa, niegdyś darowane mu jako pacholęciu,

Starcowi biło serce, nogi pod nim drżały  
Skoro powziął z ust syna ten znak doskonały —

Rzucił mu się w objęcia i upadł w zemdleniu  
Na pierś syna, i w jego zawisnął ramieniu.

Tymczasem Ossa wieścionośna (Wieść) rozgłosiła po mieście wiadomość o rzezi gachów i wywołała wśród ludności rozruch ogromny. Wpadli na podworec, zabrali naprzód i grzebali ciała; a potem zeszli się na walną naradę. Rej wodził Eupejtes, ojciec Antinoosa, wołając o krwawy odwet i zemstę. Sędziwy Haliterses przedstawił natomiast, że Odyszej miał słuszny powód do zemsty, i że wina właściwie spada na nich samych, bo pozwalali tak długo lekkomyślnej młodzieży na niestychane w cudzym domu wybryki. Radzi więc zemsty zaniechać. Nie trafiło to do przekonania wszystkich; znaczna część uzbrojona podążyła do dworu Laertes, by ukarać Odysseusa. Pierwsze natarcie jednak nie powiodło się, Eupejtes padł z ręki Laertes, który z radości uczuł w sobie na chwilę dawną krzepkość i siłę. Dalszej walce za zezwoleniem Zeusa przeszkodziła Atena. Usłyszawszy donośny jej głos: »Dość już tej zwady, przestańcie we krwi bratniej brodzić! rozchodźcie się, natychmiast rozchodźcie!« odeszli, a później pojednał się lud z Odysseusem trwałym sojuszem.

Hermes odprowadził dusze zabitych młodzieńców do Hadesu. Powitali ich rozmawiający ze sobą Agamemnon i Achilles, a gdy im Amfimedon opowiedział przebieg całego zdarzenia, tak odezwał się cień pasterza niegdyś narodów, Agamemnona:

Odysie! twoja dzielność już wynagrodzona,  
Kiedyś mężem małżonki zdobnej w wielkie cnoty!  
Zaprawdę niezrównane duszy jej przymioty!  
Wierność od lat młodziutkich dochować umiała  
Swojemu Odyssowi! Wieczna, wieczna chwala  
Czystej Penelopei! Na jej cześć niebianie  
Natchną pieśń — i cześć jej nigdy nie ustanie!



## Hesiodos i poezya dydaktyczna.

---

Heksameter był, zanim rozwinęła się poezya liryczna, miarą wiersza (metrum) jedyną i uniwersalną, dlatego nazywał się po prostu epos tj. mowa, słowo. Użyto go więc i w poezyi t. zw. pouczającej czyli dydaktycznej. Początku jej szukać potrzeba także w poezyi epickiej. Ten lub ów bohater, np. Odysseus albo Nestor, doświadczony starzec, opowiadając albo rozmawiając, wypowie zdanie, zawierające myśl jakąś, zawsze prawdziwą i na doświadczeniu opartą. Takie myśli czyli, jak nazywano u nas, sentencye, a u Greków gnomy, przytacza się potem na całym świecie i po wszystkie czasy w potocznej, codziennej rozmowie. Grecy jednak szczególniejsze mieli w nich upodobanie i doszło do tego, że mądry Hipparchos na słupach milowych i hermach kazał je umieszczać. Przechodzień czytał zatem: »Nie oszukuj przyjaciela«, »Nie sprzeciwiaj się woli bogów«, itp. Z czasem zaczęto robić zbiory takich zdań, zapominając częstokroć, kto był ich autorem, a w dalszem następstwie powstały całe poematy treści pouczającej, bardzo popularne i lubiane. I u nas jeszcze niedawno, w pierwszej połowie dziewiętnastego stulecia, było żywe zamiłowanie w tego rodzaju poezyi, co prawda, zaszczeplone przez naśladowcę Greków, rzymskiego poetę Wergilego. Kajetan Koźmian przez długie lata z prawdziwą miłością pracował nad swoim »Ziemiaństwem«. Najznakomitszem i najślawniejszym tego rodzaju dziełem w Grecyi były »Prace i dni« (Erga kai hemera), sławnego i bardzo cenionego poety Hezyoda (Hesiodos). Był to rolnik, gospodarz, biedak, który nieszczęśliwie przebywał koleje. Ojciec przywędrował

z Kyme, gdzie mu widocznie źle się powodziło — i osiadł w beockiej osadzie Askra, u stóp Helikonu, na który przeniosły się były Muzy z Olimpu. Umierając, zostawił ostatecznie dwom synom jaki taki kawałek chleba. Hezyod uprawiał więc rolę, ale miał żyłkę poetyczną, która nie dawała mu spokoju. Puszczając się tedy na różne przygody i wędrówki, dążąc do sławy poetyckiej — i raz nawet przy igrzyskach po śmierci chalkidejskiego króla Amfidamasa, zdobył honorową nagrodę. Korzystając z nieobecności jego, wytoczył mu brat proces spadkowy, wygrał go i przetrwonil wszystko, za co poeta dał mu nauczkę w »Pracach i dniach«. Kobietom nie szczędził przycinków, z czego wnosili starożytni, że musiały mu dokuczyć. Tyle dowiadujemy się z samego poematu. Kiedy poeta żył, różnie mówiono o tem. Współziemianie, dla zaspokojenia dumy lokalnej, robili go starszym od Homera, inni współczesnym; wspomniano tu i owdzie o jakichś między nimi poetycznych zapasach, w których raz Hezyod miał nawet zwyciężyć. Zdaje się, że pewna rubasznosc wieśniacza i twardość, nie mogąca się równać z okrągłością Homera, spowodowała to przenoszenie go w czasy wcześniejsze; nie ulega wszakże wątpliwości, że żył później i z wielkiego poprzednika korzystał. Była nawet baśń, a uwiecznił ją Pindar (w jednym z epigramów), że Hezyod żył dwa razy, a zrodziła się stąd, że znaleziono dwa groby jego, jeden w Askrze, drugi w Orchomenos. Inne wieści mówiły, że zabito go w Oinoe koło Naupaktos. Iliada przedstawia czasy nieukróconej władzy królewskiej, zaczepianej tylko przez wyjątkowych śmiałków, jak Tersites (w II. ks.); w Odyssei już władza królewska słabnie, a możni głowę podnoszą. Hezyod zaś żył w czasach niecierpianego rządu arystokratów, przeciw którym miał chłopsko-demokratyczną zawziętość. Czasy zmieniają się gwałtownie; śpiewacy przestają być ozdobą uczt pańskich, cały lud chce ich znać i słuchać, żąda, żeby opiewali ciężką jego dolę — i tak poezya wmięszana w wir powszedniości, w zamęt walk politycznych i społecznych, traci z czasem pierwotną, idealną, świeżość i prostotę. Twarde i ostre myśli ubierają w zdania twarde i ociężałe. Dlatego powiedział Aleksander W., że Homer tworzył dla królów, a Hezyod dla chłopów.

Hymn do Zeusa (któremu zaprzeczają autentyczności) rozpoczyna »Prace i dni«. (w. 1—10). Potem przytacza poeta mity o Pandorze i o czterech wiekach ludzkości (w. 109—201); następują właściwe prace tj. wskazówki gospodarce dla rolników, tu-

dzień rady dla żeglarzy (w tym ustępie wzmianka o sobie) a kończą dni tj. kalendarz chłopski. To wszystko przerywają praktyczne zdania i uwagi o przyjaźni, małżeństwie itp.

Sława Hezyoda, szczególnie w środkowej Grecyi, była tak wielka, że przypisywano mu później wiele innych dzieł (co lepszych); starcy lubili przytaczać jego zdania przy każdej sposobności, chłopcy uczyli się ich na pamięć, sofisci w liceach miewali o nich wykłady. Nazywano Hezyoda najznakomitszym nauczycielem ludzkiej mądrości. Rzymianie cenili także to dzieło, choć później zastąpiły je Georgiki Wergilego, który bardzo pilnie z Hezyoda korzystał, a po części dosłownie go nawet tłómaczył.

Na polskie przełożył »Prace i dni«, Jacek Przybylski 1790. i Fel. Faleński, Warszawa, 1878. i Kraków, 1888.

---

\*) Teogonia. Tarcza Herkulesa. (Aspis) Rady Chirona i inne.

# PRACE I DNI.

## PIEŚŃ PIERWSZA.

O słodko brzmiące Muzy! przedewszystkiem  
Od ojca Zeusa poczynajcie chwały.  
Z niego jest każdy — wielki człek i mały,  
Czy bohaterem kto, czy kto jest chłystkiem.  
On, według woli swej upodobania,  
Jednych wywyższa, drugim kark przykłania,  
Gnębionych wieńcząc, a takiego, który  
Tamtymi gardził, w tłum spychając z góry.  
Tak jest. On jeden, który gromy ciska,  
Nas wszystkich w ręku ma, jak snów igrzyska —  
Więc dobrze, jeśli jego Moc uznacie.

Ty zaś Persesie, mój kochany bracie,  
Pilnie posłuchaj pieśni mych, albowiem  
Nie jedną mądrą radę w nich wypowiem.  
Dwoma sposoby nabyć można mienie:  
Jeden jest wszystkim cenny nieskończenie,  
Drugi zaś zbrodni bliski, i ten właśnie  
Wznieca o miedze w pośród sąsiad waśnie,  
Zkąd więc silniejsi bracia słabszych gniotą.

Ludzie przemożnej nienawidzą pięści,  
Lecz że bogowie tak chcą mieć, najczęściej  
Uległość zbrojcom jest z potrzeby enotą.

Pierwszy zaś sposób, którym się bogacą  
Czystego ducha ludzie, każdy zdoła  
Takiego użyć, bo on, będąc zgoła  
Siły i woli płodem, zwie się pracą.  
Tę, Zeus w korzenie traw, przed ziemską działwą,  
Głęboko schował, by nie była łatwą —  
Choć widząc taki co w lenistwie pości,

Że pracowity korzyść odniósł w żniwie,  
Jeśli nie z cnoty, tedy choć z zazdrości,  
Zechce jak tamten wspomódz się godziwie.

.....

Zmysłom to naszym skryły sądy boże,  
Jak mało człeku do wyżycia starczy.  
Nieraz, dniem jednym pracy gospodarcey,  
Rokby się cały dał opędzić może —  
Wtedybyś gnuśnie trawił byt wesoły.  
Lecz pługby zbutwiał, zleniwiały woły —  
Więc bardzo mądrze działa Zeus, jeżeli  
Z nami swą wiedzą nie zawsze się dzieli. —  
Odkąd go podszedł Prometeusz boski,  
W liczne on ludzi uposażył troski.  
Bo to tak było: że Bóg, ze wszech rzeczy,  
Sobie zachował ogień, więc świadomy  
Tego on Japet, dla miłości człeczej,  
Skradł go, i żeby dzierżącego gromy  
Oszukać, w ciemnej ukrył go jaskini.  
Wtedy Zeus gniewny rzeknie doń: — »Japecie!  
Najprzemysłniejszy z ludzi, ty — a przecie  
Niech się nie cieszy ten, kto rzecz uczyni  
Przeciwną bogom; bowiem wiedz, iż w prędcę  
Spełnione przez cię w nieprzezornej chętcę  
Na złe twym wnukom wyjdzie twoje dzieło!« —  
Poczem się rozśmiał . . . i złe się poczęło.

.....

Kiedy z wyroczonej czaszy swej pokrywę  
Piękna Pandora zdjęła dłońią białą,  
Wszelakie ztamtąd na świat wyleciało  
Cierpienie przykre i działanie krzywe —  
Sama nadzieja pozostała na dnie,  
Tak bowiem chciał mieć ten, co gromem władnie.  
Więc, jako przedtem ludzie sobie żyli,  
Trosk i boleści próżni, od tej chwili  
Rój ułomności wraz z kalectwem bladem  
I zgrzybiałości drżącej wiek jałowy,  
Aż wreszcie, chuci niewstrzymałych śladem,  
Chorób się orszak, pozbawionych mowy,  
W milczeniu wlecze; — ztąd więc złe się mnoży,  
Że się tak woli sprzeciwno Bożej.

.....

Gdybym mógł wybór zrobić, tobym pono  
Wcale nie istnieć wolał, albo wprzódy

Istnieć niż dzisiaj, — cóż, gdy mi znaczone,  
Żyć wśród żelaznej wieku tego grudy,  
Kędy dzień każdy nowym znojem gniecie,  
Noc ku bezprawiom kusi, te zaś wszędzie  
Dosięga mściwa bogów dłoń. — A przecie  
Prędeż czy później kres i temu będzie!  
Skończą dni swoje nędzni ludzie owi,  
Którzy tyloma językami gwarzą.  
Skoro szron skrzepnie nad ich zbladłą twarzą,  
By nie zawadzał dłużej dziad wnukowi,  
Władca go bogów niby kłós położy...  
Aliści po nich będzie jeszcze gorzej!  
Nie wstąpią więcej w ślad swych ojców dzieci,  
Miła uprzejmość wprędce precz odleci —  
Brat bratu obcym stanie się, druhowie  
Wrogami sobie, starych rodzicieli  
Syn własny z domu wygnać się ośmieli,  
Bezbożnie sądząc, że się bóg nie dowie  
O tem opatrny. Ni bezpieczny będzie  
Od swych sąsiadów kto na własnej grzędzie.  
Przystojność wszelką, godność, cześć zdeptawszy  
Ludzie, wytartym czołem będą bili  
Przed tym, kto wziętość swą przez czyn najkrwawszy  
Przywłaszczycę sobie zdoła. Od tej chwili  
Żegnaj powago, cnoto, prawdo, wstydzie!  
Drwiąc z swej ofiary zdrajca przodem idzie,  
Urąga kłamstwo wszelkiej dobrej wierze —  
Krzywoprzysięzca wieniec chwały bierze —  
Chciwość i zazdrość wszelką własność ślini  
Strutymi jady. — Wtedy to bogini,  
Siostrzana cnotcie, nieśmiertelne piękno,  
Nemesis, w śnieżne spowinięta szaty,  
Z padołu tego wzbiwszy lot skrzydlaty,  
Odleci w Nieba blask, — a ludzie jękną  
Tak wielką nędzą, że się już nie zmieści  
W ich piersiach nawet żal, co przecież maże  
Najcięższe nieraz winy!

O Mocarze!

Checiejcie posłuchać mojej przypowieści.  
Jastrząb słodkiego raz w powietrznej fali  
Skowronka porwał, a ten z całej siły  
Zmóźdz chciałby szpony, co mu w pierś utkwiły,  
Pomocy woła i rzewnie się żali.  
Wtem rzeknie tamten: »Głupi! cóż mi znaczysz  
I twój wysiłek i twój głos rozpaczysz?  
Moc cię przeważna silną wołą gniecie.  
Z tobą, co zechcę, zrobię. Toż mi przecie

Wolno cię puścić, lub obdarłszy z pierzy  
Zjeść cię, odemnie tylko to zależy;  
Bo wiedz — szaleńcem jest, kto, będąc słaby,  
Wręcz się przeciwko mocniejszemu targa —  
Nie dla takiego zwycięstw są powaby,  
Jedyny jego zysk niewczesna skarga  
I pogorszenie doli! . . .

O mój luby  
Persesie! chodź ty sprawiedliwych drogą!  
O bracie! nigdy nie krzywdź ty nikogo,  
Pomny, że sobie podobnemu zguby  
Przymnożysz, własnej ściałąc drogę klęsce;  
Człek prawy bowiem, kiedy go ciemieźce  
Prześladowaniem gnębią, w przepaść nędzy  
Zapada, wrogi swe przed sądy boże  
Zapozywając. — Wtedy, później prędej,  
Bezprawie święta Sprawiedliwość zmoże.  
I choć, kupiwszy kto przewrotne sędzie,  
W krzywych wyroków matnię ją oprzędzie,  
Ona stargawszy te bezbożne sieci,  
Promiennym lotem po nad ziemię wzleci,  
Zbrodniczą ztamtąd wyświecając knieję;  
A Zeus opatrny, widząc co się dzieje,  
Zaraz prawicę boską podać spieszy  
Swym sprawiedliwym. Tedy wśród ich rzeszy  
Ni chłód się gnieździ, ni głód z troską bladą —  
Owszem, obfitość wszelka bywa niby  
Nieustającą dla ich cnót biesiadą.  
Ziemia się dla nich w bujne zbożem skiby,  
W smaczny wysiła owoc gaj wesoły,  
W lasach pracują na nich skrzętne pszczoły,  
Łąka im stada żywi, strumień gromki  
Ryby ma dla nich w toniach swych, z ich matek  
Ojcom podobne rodzą się potomki —  
I, rzeczby można, płynie im dostatek  
Wezbraną rzeką, i zaprawdę tacy  
Wstręt do żeglugi mają, bo dość, żeby  
Umiarkowane ludzi tych potrzeby  
Skromny opędzał pług w domowej pracy.

Tymczasem owi, co nieprawość płodzą,  
Słusznie się chłosty boskiej nie ustrzegą!  
Lecz bywa także, iż wręcz za jednego  
Lud cały cierpi. Więc pod śmierci wodzą  
Mkną nań pomory — rodzić wnet przestają  
I żyzne pola — zbrojną wpadłszy zgrają  
Wrogi, pokotem kładą lud roboczy —

Plony robactwo w żdźbłach i stertach toczy —  
Chłonie okręty rozpasane morze . . . .

Tak więc, królowie! Wam w szczególnej mierze  
Sprawiedliwymi być, i w każdej porze  
Czcic cnotę, która z nieba źródło bierze!  
Bo wiedziecie o tem: że, choć nam nieznani,  
Nie raz bogowie z górnych sfer pomiędzy  
Ludzi przychodzą, najniespodziewaniej,  
Przemocy możnych i biedaków nędzy  
Pilnując bacznie, oraz opieszalej  
Woli w uczczeniu ich przedwiecznej chwały.  
I tak się roją te strażnicze bóstwa,  
Że nie potrafi zliczyć nikt ich mnóstwa,  
Ni też je w tłumie pozna baczność czyja,  
Tak je ułudy mroczna mgła obwija.

Z nich też dziewica jest niepokalana,  
Cna sprawiedliwość, córa niebios pana.  
Tę wielbią nawet nieśmiertelne bogi —  
Ona u Ojca wzywa pomsty srogiej,  
Szczególnie na tych, którym jest obrona  
Współbraci słabszych z góry powierzona.  
Więc Rządcy Ludu! miejcie na uwadze,  
Co wam z pełności serca szczerze radzę!  
Dziś naprawiajcie skrzętnie złe spełnione,  
A zaś na przyszłość, strzeżcie się w obronę  
Brac to, w czym płuży niegodziwców praca.  
Bo to tak zawsze było, jest i będzie:  
Na krzywdzącego krzywdą grot swój zwraca,  
I wyrok stronny godzi w stronne sędzie!

Oj nie ma tajni tak zapadłej w świecie,  
Gdzieby nieprawość czyni swoje skryła.  
Jest w oku Boskiem przenikliwa siła,  
Widząca nawet wnętrza serc! Powiecie:  
— W pośród żelaznej wieku tego biedy,  
Któż wyżyć zdoła bez obrazy Bożej? —  
Przyjdzie czas jednak (lecz któż zgadnie, kiedy),  
Że Władca bogów złemu kres położy.

O mój Persesie! w osobliwszym wstręcie  
Miej nadużycie siły. Niech zwierz krwawy,  
Któremu obce szlachetności sprawy,  
Pomiędzy sobą zjada się zawzięcie.  
Nie tak ma czynić ten, któremu w łono  
Przecucie prawa z wiedzą cnot włożono.  
On niech nietylko sam się broić wstydzi,



Lecz jeśli jeszcze drugim cnoty szlaki  
Wskazuje z serca, to zaprawdę taki  
Błogosławiony! Isć tam, gdzie się widzi  
Ohydę duszy, rzecz nie trudna przecie;  
Co krok spotykasz nieprawości kwiecie  
Z trującą wonią, skarby i zaszczyty  
Tuż pod twą ręką, a gościniec bity  
Pochyło zbiega. Za to tam, gdzie doma  
Sumienia spokój, mając znój na czele,  
Przebywa skromny, jest do niego stroma  
Droga, i na niej przeszkód bardzo wiele:  
Lecz w tem bezdrożu, byleś pierwsze na niem  
Postawił kroki, szlak ci się uprości.

Najdoskonalszy człowiek mojem zdaniem  
Jest taki, który boskiej się mądrości  
W działaniu każdem wieść za rękę daje,  
Który tak wdroył swoje obyczaje,  
Że, zanim jakie przedsięwzięcie zacznie,  
Jego następstwa wprzód rozważa bacznie.  
Prawym jest, który prawej rady słucha,  
Lecz ten, co ani sam jest mądrym z ducha,  
Ni mądrej rady przyjąć chce rękojmię,  
Czyż wart współczucia, gdy mu nędza dojmie?

Persesie bracie! słuchaj rady brata!  
Pracuj — a zato spotka cię zapłata,  
Że na sytości brak się nie poskarżysz,  
Bo głód próżniaka tylko jest towarzysz. —  
A próżniak równie bogów jak i naszej  
Pogardy godzien! niby istność licha  
Trutnia, co wprawdzie żądłem nas nie straszy,  
Lecz zato cudzą pracą brzuch zapycha.  
Ma pracowity wielką cześć u ludzi,  
Także od niebios jest kochany szczerze —  
Sam od nikogo żadnych łask nie bierze,  
I jeszcze gnuśnych isć swym śladem budzi.  
Więc też pogodnie nosi blask swej skroni,  
Nie tak, jak nędzarz, co się w ziemię kłoni,  
W czem dwojakiego skutku jest przyczyna.  
Dobrego — jeśli, dość już mając biedy,  
Pracy się zechce chwycić on chudzina;  
Albo przeciwnie, złęgo całkiem — kiedy  
Po cudze dobro sięgnąć się postara:  
Wtedy tuż przyjdzie za występkiem kara!

Wolne od zwały miej, Persesie drogi,  
Serce i równo z brzaskiem, w skrusze ducha,  
Objatą hojną czcisz codziennie bogi —  
I także, kiedy noc nadchodzi głucha!  
Często do skromnej w domu twym biesiady  
Wzywaj też druhy swoje i sąsiady,  
A najszczególniej tych, co w trudnej chwili  
Uprzejmie tobie pomóżd pospieszili.  
Skarbem jest dobry sąsiad, lecz od złego,  
Jak od zarazy, niech cię bogi strzegą!  
Jeśli ci dobrze z uczynnością braci,  
Braciom od siebie czyn w tej samej mierze —  
Nawet, gdy przyjdzie czas, gdy dług się płaci,  
Dobrze jest, jeśli miarę człek przebierze.  
Tych kochać umiej, którym jesteś miły,  
I serce twoje chętnie niech wymienia  
Dary darami — prawem przyrodzenia  
Cnota w hojności czerpie błogie siły.  
Kto ma przyjemność dawać, już z tej miary  
Sam w sobie nosi nagrodzenie swoje —  
Kto zaś nie dawać rad, lecz chwytac dary,  
Wstyd ma i ciągle z tego niepokoje.

Człek się uczciwy szybko nie wzbogaca,  
Gdyż wiedz — godziwą nie jest chuć łakoma —  
Bo tylko znojna i powolna praca  
Dostatki daje. Co przyrobisz doma,  
Zawsze pod ręką znajdziesz. Zato znowu,  
Jeśliś za domem szukać rad obłowy,  
Przeciwność łatwo zyski takie skręci.

Jeszcze Persesie miej i to w pamięci:  
Pij do sytości, kiedy się poczyną,  
I także, gdy się skończy, kufa wina —  
Za to z jej środka czerp umiarkowanie.

Miej też ostrożne z ludźmi zachowanie,  
Gdyż wiedz — rodzony brat się nawet zdarza  
Mniej dobry nieraz od obcego człeka.

Od nieskromnych kobiet bądź także zdaleka,  
Bo z nich jest każda gorsza od zbrodniarza. —

Jeśli za byłem twój syn się nie sroma  
Chadzać, to wierz mi: u was obu, doma,  
Dostatek wszelki dziwnie się rozmnoży.

Na koniec, jeśli, przy pomocy bożej,  
Zamożność twoję — co najbardziej chwale —  
W nieustającym radbyś mieć udziale,

Pomnij: że nie dość pracą zgarnąć mienie,  
Lecz i pracować trzeba nieskończenie. —

## PIEŚŃ DRUGA.

(W skróceniu).

Nie nadużywaj dobrych chęci ludzi.  
Uczynny sąsiad wesprze raz i drugi —  
Lecz niech go twoja uprzykrzoność znudzi,  
Wręcz cię policzy między swoje sługi;  
Aż gdy się wszystkim sprzykrzy ciężar taki,  
Wpředce na równi będziesz mian z żebraki.

Masz dom, to siedź w nim. Pole masz, to na to,  
Byś je uprawiał; woły — byś do pług  
Miał co zaprzęgać. Niezameżna sługa  
Niech ci dobytek pasie. Kto przed chatą  
W porządku wszelkie rolne ma narzędzie,  
Cudzych pożyczać nigdy on nie będzie.

Nie mów Persesie: — »Jutro zrobić wolę,  
Cobym dziś zrobił«. Pustki ma w stodole  
Ospalec każdy! Kto zaś rad odwleka  
Co spełnić musi — ten, przydając jeszcze  
Do miernych zysków niepokoju dreszcze,  
Jest dobrowolny pracy swej kaleka.

.....

Nie spiesz się pojąć żonę. Lat trzydzieści  
Wprzód niech ci w męskiej dojrzałości spłynie.  
Bierz tylko dobrą — poczciwą jedynie,  
Bądź wielbicielem jej cnoty niewieściej.  
Ni jej daleko szukać masz. Najlepiej  
W sąsiedztwie wybierz domu twego panią —  
Tam, niemal codzień mogąc patrzeć na nią,  
Wad i przymiotów człek w niej nie prześlepi.  
Droższa nad skarby żona jest cnotliwa,  
Ale niedobra najstraszliwszą bywa  
Plagą i kłeską; — taka, nader żwawo  
I ciebie zniszczy i twą pracę krwawą!

Patrz pilnie w bogów nieśmiertelnych sprawy,  
I te niech będą prawem twem jedynem.  
Z druhem, jak z bratem, bywaj bez obawy —  
A sam też jemu w zamian ufaj szczerze.  
Gdy zaś on kiedy, mową albo czynem,

Wzajemne wasze pocznie rwać przymierze,  
Miej dlań dwie kary: naprzód: niech zmuszony  
Będzie on błąd swój uznać; a powtóre —  
Ty mu odpuścisz błąd ten z twojej strony,  
Lecz zato z twarzy zdejmiesz wtedy chmurę,  
By ani poznał, że go to poniża —  
I że tu chęć twa niezbyt była chyża.

Niechaj nie będzie dom twój jak gospoda,  
Szumiąca wiecznie tłumnych gości zgrają;  
Jednak przyjaciół, co cię odwiedzają,  
Podejmuj mile. Gdy ci rękę poda  
Zły człek, z pogardą odtrąć go zdaleka —  
Lecz nie odstręczaj uczciwego człeka  
Szorstkiem obejściem. Nie bądź też ochoczy  
Ubóstwo czyje komuś w żywe oczy  
Wyrzucać — bowiem, z bogów dopuszczenia,  
Dola wszelaka różnie się przemienia. —  
Jest też nad złoto mowa wstrzemięźliwa.  
Jej to wymianą, przykrych zająć bezprawia  
Ludzie unikać zwykli. Kto obmawia  
Drugich — zelżenie własne sam wyzywa.

Co rano, kiedy w prośbie czy w podzięce  
Wznosisz ku bogom nieśmiertelnym ręce,  
Te zawsze czyste winne być — inaczej  
Twoja modlitwa — wierz mi, nie nie znaczy,  
Gdyż ją milezeniem bogów król pominie.  
W każdym zaś choćby najdrobniejszym czynie  
Przystojność chowaj. Kiedy ci wypadnie  
Dom sobie stawiać, czyn to w sposób taki,  
Byś go dokonał: bo inaczej, snadnie  
Wrony osiedą w nim i nocne ptaki.

W obrzędach skromny bądź i czią przejęty,  
A pomnij nigdy nie mieć tej ponęty,  
Byś rad wyjawiał, w co cię modłów tryby  
Wtajemniczyły... Jest złe imię niby  
Brzemieniem, które dźwignąć łącno bywa,  
Ale je dłużej nosić rzecz dotkliwa,  
A niepodobna pozbyć się go wcale;  
Bo wieść powszechna, w swej rozgłośniej chwale  
Przeto, iż wszelkie ma znamiona boże,  
Sama jest Bóstwem — zginąć więc nie może.

. . . . .

Te są dni ludzkich prace, znamienicie  
Krzepiące ducha. Ziemskie nasze życie

Naprzemian matką i macochą bywa.  
Więże po tysiąc razy jest szczęśliwa  
Dola człowieka, który w pocie czoła  
Ojczysty zagon uprawiając, zdoła  
Przez cześć praw boskich, które uwielbiamy,  
Wciąż cności służyć i nie zaznać plamy.  
Taki w spokoju wiedzie żywot błogi,  
Gdyż nań miłośnie z Niebios patrzą bogi.

Miej wołów parę, te zaś, bacz, by były  
Wiekiem jak wzrostem zgodne w ścisłej mierze,  
Iżby jednakiej natężeniem siły  
Twój pług ciągnęły. Jeśli jeden bierze  
Krzepciej niż drugi, to ci skib twych pręgi  
Będą te woły rznąć łamaną drogą,  
I, pług twój szarpiąc, wnet go skruszyć mogą.

Oracz, dojrzały chłop ma być i tęgi,  
Z takich, co bochen chleba w cztery głony  
Złamawszy z rana, kiedy dzień skończony,  
Spać idą, wszystko zjadłszy. Lecz najmita,  
Wyrostek, na nic — bo mu we łbie świta,  
I nazbyt chętnie myśl się jego zwraca  
Ku rzeczom płochym — a tymczasem praca  
Chce, byś jej służył bez podziału, cały.  
Od siejby także precz go miejcie kmiecie!  
Gotów on szastać ziarnem, a tu przecie  
Nie tylko ludzkiej godnem jest pochwały,  
Aby nie grzeszyć rozrzutnością marną;  
Lecz i w niemałej cenie jest rzemiosło —  
Co wie, gdzie rzucać i jak rzucać ziarno,  
By nie zbuchało, ale w miarę wzrosło.

Gdy czas orania nadszedł, to, w tej porze,  
Parobków rzeźkich wiodąc poczet mnogi,  
Idź na twe pola, wyprzedzając zorzę,  
I rznij lemieszem przeszłych lat odłogi,  
Z których ćwierkając podlatują ptacy.  
Poczem, z twej dłoni niech w nie ziarno leci,  
Byś jego plonem karmić mógł twe dzieci,  
Wolen zarzutu: żeś ospały w pracy.

Wpród już, twój otrok, wyszłe z pod lemiesz  
Bryły, motyką porozbijał krzywą,  
Spulchniając rolę, — teraz zaś, pospiesza  
W twój ślad, grabiami włócząc, aby z niwą

Ziarno połączył, a też choiwe ptastwo  
Strasząc, by siew ten nie był jego pastwą.  
A ty się wtedy módl o najłaskawsze  
Bogów dla ciebie względy — ale zawsze  
Z dłonią na pługu, jak obyczaj każe;  
Gdyż jeśli rozmysł z pracą idąc w parze,  
Niemylną korzyść człeku zdarzyć może,  
To nie mniej pilnie czcisz wyroki boże,  
Abys w jesieni cichej mógł wesoły  
Obfite snopy zwozić w twe stodoły.

Tak, aż gdy przyjdzie nowe zbierać zboże,  
Syt będziesz, syci także twoi słudzy.  
I, cobyś łaski miał wyglądać cudzej,  
Sam jeszcze zdołasz wesprzeć twe sąsiady,  
Jeśliby głód ich napastował blady.

Lecz kto swej niwy zasiać nie pośpieje,  
Aż więc dopiero, gdy już słońce skraca  
Dni wczesnych długość; to takiego praca  
Próżna, i także złudne są nadzieje.  
Ćwiartką nie korcem, plon swój mierząc młody,  
Zazdrości ujdzie, lecz nie ujdzie szkody.

Choć i ospalcom traf usłużyć może,  
Kiedy kukułka pierwszy raz rozgłośnie  
W gaju zakuka, niechże o tej porze  
W zasianą rolę deszcz trzydniowy chłośnie —  
To i spóźniony nawet siew, dogoni  
Przodem idące siejby innych błoni.

Zanim nadejgnie zima, ty w twej chacie  
Schronienie dobre opatrz jak należy,  
I drew przygotuj suchych zapas świeży,  
By cię w iskrzące szrony, miły bracie,  
Jak to na dobrej chęci jej nie zbywa —  
Nie udręczyła pora dokuczliwa.

Kto przed przykrością wszelką drzwi zatrzaśnie,  
Chwała jest godną jego chęć ostrożna —  
A głód i zimno, to dwaj tacy właśnie,  
Których precz wygnąć dobrze jest, gdy można.  
Lecz ten, co, zamiast rzecz tę mieć na względzie,  
Z próżniactwem w sobie lekką myśl zespoli,  
Karmiąc się tylko tem: że »jakoś będzie« —  
Sam przeciw sobie winien — z własnej woli.

Przez przeciąg lata ucz twe domownicy:  
Że przecież ono wiecznie trwać nie może;  
I że, jak ptacy pól i jak zwierz dziki,  
Każdy ma sobie gniazdo słać lub łoże.  
Więc w lipcu, myśl twą stycznią przyjdziem srogiem  
Zaprzątaj weześnie, bo on bywa wrogiem  
Wszego stworzenia, kiedy mrozną ciszą  
U strzech stopione w słońcu sople wiszą.

A cóż dopiero, gdy, wśród burz zamieci,  
W doliny nasze z trackich gór przyleci  
Śnieżyca, gnana technieniem klęsk złowieszczem,  
Gwiżdżąc przeciągle?! Jęczą, zdjęte dreszczem,  
Dęby, starością setnych lat omszałe,  
Wałą się z trzaskiem jodły, wstrzęgłe w skałę —  
Wicher dmie, huczy, wyje w sposób srogi —  
A ty drżysz tyleż z zimna, co i z trwogi.

Wtedy się wszelki zwierz przeziębły garnie  
W pieczar zakątki, bo już zrzadka który  
Swej sierści ufa lub grubości skóry.  
Nawet jagnięta, chociaż wczas w owczarnie  
Wzięte, do matek biegną z ciężkiem skrzepłem,  
A te je grzeją runa swego ciepłem.

Podczas, gdy kędyś, człek w szczęśliwszej stronie  
W blaskach się ciepłych cieszy z wiosny młodej,  
Tu, blaskiem twarde iskrzą tylko lody,  
A ciepłe technienia śnieg nieczuły chłonie.  
Zwierz się zaszywa w niedostępne knieje,  
Lub jeśli w pola wybiegł, pożądaniem  
Jedzeniem głód swój stłumić, wnet struchleje,  
Oszołomiony émiącym wzrok tumanem  
Zawiei mroźnej.

Dobrze jest w czas taki  
Odzież na odzież kłaść — a jeszcze lepiej  
Barani kozuch ciepłem cię pokrzepi.  
Także futrzane, włosem w głąb, chodaki  
Włóż na tve nogi, czapkę zaś uszată  
Miej za nakrycie głowy — to zaś nato:  
Byś był od zimna jak i od wilgoci  
Zarówno wolen, gdy się rankiem poci  
W oporach mglistych słota przenikliwa —  
Zkąd się nie trudno drżączki złej nabywa.

Ale i w zimie jest niejedna praca,  
Którą, choć z trudem, zdziałać chciej niezwłocznie.

Tej dopełniwszy, człek do domu wraca,  
I tam, z tem większą przyjemnością spocznie.  
Bydłu naonczas dość, gdy dasz połowę  
Zwyczajnej strawy, mając to na względzie:  
Że może, zanim plony przyjdą nowe,  
Przednowek dłuższym, niż zazwyczaj, będzie.

Kiedy od chwili, gdy się na błękity  
Znow słońce wraca, dni sześćdziesiąt zbieży,  
Arkturus, dotąd w głębiach wód ukryty,  
Pocznie na niebie świtać coraz szczyerzej —  
Wtedy to zwykle zimy koniec bywa.  
Niebawem, wiosnę wieszcząc, szczebiotliwa  
Jaskółka, niegdyś Pandyonowa córka,  
Ku nam się spieszy. Lecz, nim ta przysurka,  
Tnij w winoroślach pędy rosochate.  
Bo gdy złotw, który własną nosi chatę,  
Przed Plejadami w gąszcz się chronić pocznie,  
Już wtedy nie jest pora się w winnicy  
Robotą jaką parać, lecz niezwłocznie  
Niech sierpy ostrzą twoi pracownicy.

Wtedy już tylko gościem wchodź w twe progi.  
Bo niech ci będzie czas nad wszystko drogi  
W te dnie robocze! Niech cię dźwiga z łoża  
Brzask, i na łany rzeźwa wiedzie zorza,  
I niech twą pracę w polu i na łące  
Z weselem wita światło dnia wschodzące!

Skoro już przyjdzie pora upragniona,  
I siła człeka skwarem osłabiona,  
W pieczarę chłodną lub się w gajów cienie  
Chroniąc, używać możesz zasłużenie  
Uciechy wina tłoczonego świeżo.  
Ser i koźłące mięso młodociane  
Jedząc, w szumiącym zdroju czerp na zmianę  
Orzeźwiający chłód, a gdy z młodzieżą  
Czeladnią gadasz, niech się ona dowie:  
Że skoro Oryon pocznie iskrzyć w dali,  
Czas będzie, iżby cepów się imali  
W miejscu przewiewnem, gdzie wprzód parobkowie  
Glinę ubili wespół z ziemią czarną.  
Gdy zaś zmłócone już przewiejesz ziarno,  
Zsyp je w naczynia odpowiedniej miary.

Te dasz bezżennej pilnie strzedz czeladzi.  
A jeszcze przy tem, w domu nie zawadzi



Psa mieć, któremu, by się mógł za bary  
Brać ze złodziejem, nie skąp dobrej strawy.

Sianem i słomą, niech w obfitej mierze,  
Za twem staraniem, bróg nie jeden wzbierze,  
Byś z przyjściem wiosny miał dobytek żwawy.  
Bowiem nie tylko tym, co służą tobie,  
Lecz i ich sługom, niech cię chęć twa zmusza  
Pilnie dogadzać.

Znowu zaś, w tej dobie,  
Kiedy Oryona razem i Syryusza  
W pośrodku niebios płonie światłość skrawa,  
Zorza zaś przeciw Arkturowi stawa,  
Pomnij nabrzmiąle z winorośli grona  
Nożem podbierać, co gdy się dokona,  
Przez dni dziesiątek niech się wzięte w sita  
Na słońcu prażą, poczem w cieniu drzewa  
Pięć dni i nocy niech je wiatr przewiewa,  
A kiedy w końcu szósty dzień zaświta,  
Na cześć Dionyza, który życie nasze  
Wesołem czyni, pełną wylej czaszę.

Lecz gdy Plejady, w mroczne gdzieś przestrzenie  
Oryona z sobą wzięwszy, precz odbiegą,  
Pomyśl, że pora znów do pługów twego  
Wrócić, rok przyszły mając w pilnej cenie\*).

*Tłóm. Felicjan Faleński.*

---

\*) W dalszym ciągu poucza poeta o prawach żeglugi.

## Poezyja liryczna.

### I.

I. **Elegia.** Pieśń ludu posiadała wiele różnych dźwięków i tonów, które dotychczas stały na uboczu. Wprowadzenie fletu z Frygii usuwać zaczęło używaną dotychczas kitarę. Wkrótce flet do wielkiego nawet dochodzi znaczenia; przy jego dźwiękach Spartanin i Arkadyjczyk wyrusza do boju i walczy. Rodzi się Elegia, stojąca na pograniczu niejako pomiędzy poezją epicką a liryczną. Sama nazwa *elegeion*, w l. mn. *elegeia* oznacza coś, co należy do melodyi fletu (*elegos*—śpiew przy flecie). Wyraża ona z początku wszelkie żywsze uczucia, tak radości jak smutku, opiewa miłość i męstwo, zagrzewa do walki za ojczyznę, opłakuje umarłych. Dopiero później za czasów alexandryjskich wyłącznie smutkom i tęsknym dumaniom służy. Rytm heksametru jest dla fletu oczywiście za ciężki, za poważny: więc przyczepia się do niego, przyłącza lżejszy i polotniejszy pentameter (wiersz pięciomiarowy podzielony na dwie równe połowy) i tak powstaje dwuwiersz czyli dystych elegijny (*distichon* — dwuwiersz). Z pomiędzy elegików najślawniejsi byli:

1) **Kallinos** z Efezu. Naokoło rodzinnego miasta huczy wrzawa wojenna, a jego rodacy żyją sobie tak swobodnie, jakby najgłębszy panował pokój. Poeta upomina, budzi ich z snu miękiego. Przychodzi czarna godzina: modli się do Zeusa o pomoc, przypomina męstwo przodków, zagrzewa do waleczności. Żył w VII. wieku przed Chrystusem.

2) Tyrtaios (u nas zwykle Tyrteuszem zwany), wielki paryota, wódz i poeta zarazem, odznaczył się w drugiej wojnie me-seńskiej, elegiami swojemi podnosząc upadającego ducha. Brzmi to dla nas już dzisiaj bajecznie, że pieśń taki wpływ wywierała na ten lud twardy i dzielny. Ale jest to fakt historyczny, jak faktem jest, że Spartanie i podczas bitwy bez przerwy śpiewali pieśni wojenne (embateria) — a na biwaukach elegie. Kto najlepiej śpiewał, otrzymywał od wodza osobny kawał mięsa jako nagrodę. Tyrtaios w gorących słowach maluje chwałę walecznych a hańbę tchórzostwa. Krążyła o nim bajka, że był właściwie Ateńczykiem. Wyrocznia delficka kazała zrozpaczonym Spartanom prosić Ateńczyków o przysłanie doradcy. Oni, jakby na urąganie, posłali kulawego niepokąźnego człowieka; ten jednak, z początku źle przyjęty, zaśpiewał potężną pieśń i wyżej wspomnianych czynów dokonał.

3) Mimnermos (w VII. w.) żył w Smyrnie i w Kolofonie. Opiewał wprawdzie dawne dzieje i dawnych bohaterów z przywiązaniem, ale Ignął już także do miękkiego życia, jakie, skutkiem z bogacenia się handlem i upadku ducha w kilku nieszczęśliwych wojnach, zakradło się do azyatyckich Jończyków. Śpiewał więc pieśni miłosne, i te miały później w alexandryjskich czasach największe powodzenie. Starość bał się okrutnie. »Oby mię w 60 roku los śmierci doścignął«. Wielbiciel jego Solon na to: »Nie w 60, ale w 80, powinien był powiedzieć«. Jest on twórcą czulej elegii; nazywano go słodkim śpiewakiem.

4) Solon, sławny prawodawca, jest najstarszym poetą attyckim. Ateńczycy byli już gotowi oddać Megarejczykom Salaminę; powstrzymała ich ognista stuwierszowa elegia Solona i do nowych pobudziła wysiłków. Przemawia w niej niby jako poseł, który wraca z Salaminy, co było bardzo poetycznym pomysłem. W utworach jego, wysoko cenionych, przebija wszędzie myśl o marności świata i patriotyzm gorący. Podaje w nich takie wyznanie politycznej wiary, że obrona ludu przed wyzyskiwaniem możnych była jego celem. Oprócz elegii pisał także jamby, epody i trochaiczne tetrametry (na wzór Archilocha). Za młodu podróżował, na starość tulał się jako wygnaniec, jak tyłu innych znakomitych ludzi. Umarł w bardzo późnym wieku w r. 561 przed Chr. (Ol. 54,3).

5) Teognis z Megary (w drugiej połowie VI. wieku przed Chr.) należał do partii arystokratycznej w rodzinnem mieście. Demokraci zbuntowali się, przy pomocy chłopów wypędzili arysto-

kratów i zabrali ich dobra. Poeta jako wygnaniec przebywał w Sycylii, Eubei i Sparcie, gdzie mu się dość podobało; szczególnie wino z pod stóp Tajgetu pogodziło go z losem. Później arystokraci wrócili, zdobyli napowrót Megarę i nie szczędzili przeciwników. Wszystkie te zdarzenia odbiły się w jego elegiach, pełnych różnaitości, żywych, zgrabnych i pięknym pisanych językiem. Przemawia w nich do rozmaitych osób, najczęściej do młodzieńca Kyrnosa i do Simonidesa. Dzieli on ludzi na dobrych i złych, do ludu niechęci nie ma, ale demokratów nie lubi, dlatego, że ich rządy kończą się zwykle tyranją. Niektórzy szukali w poezjach Teognisa tendencji politycznej, większość jednak w starożytności i później przypisywała im tendencję tylko etyczną. Utwory jego ceniono jeszcze za życia wysoko; wybierano z nich zdania moralne i kazano dzieciom, w domach arystokratycznych i w szkołach, uczyć się ich na pamięć. I u nas dość były rozpowszechnione »Maksymy« Teognisa z Megary.

## II.

a.) **Jamb.** Grecy lubili, szczególnie przy wesołych ucztach, docinać sobie nawzajem i wytykać pół żartem różne słabostki. Szczególnie łączyły się takie przycinki z kultem Demetry. Ateńczycy nazywali to »jambizować« (iambizein). Tak powstał Jamb (Jambos) który jest zatem pokrewny późniejszej satyrze, lecz mniej ma pierwiastku epickiego, a więcej uszczypliwości, nieszczędzącej osób. Najznakomitsi »jambiści« byli:

1) Archilochos z Paros (w VII. w. przed Chr.). Pochodził ze znakomitej rodziny, mieszkał to w Paros, to w Thasos, gdzie ojciec jego, na rozkaz delfickiej wyroczni kolonię założył, podróżował wiele, a nawet w obczyźnie służył wojskowo. Był to człowiek bardzo utalentowany, szukał dla poezyi nowych dróg i form, próbował wszelkiego rodzaju rytmów, a nawet tworzył nowe (wiersz Archilochiczny), jambiczne trymetry i dymetry, katalektyczne trymetry i trypodie daktyliczne. Łączył wiersze krótsze i dłuższe, w których jamb przeważał, w t. z., przez niego wynalezione, epody. Zajmuje więc w rytmice i metryce bardzo znakomite stanowisko. Pisał także poważną elegię na śmierć męża siostry, który zginął na morzu, i innych kilka. Ale ze smutkiem nie było mu do twarzy: »Żalu nie zmniejszy skarga! Teraz dotknęło nas nieszczęście, lecz, cierpliwości!

za chwilę znowu uśmiechnie się do nas szczęście«. Starożytni cenili go wysoko, mianowicie po śmierci. Paryjczycy, którzy mu dokuczali nie mało, potem czcili go jako herosa, herosem też był dla staroattyckich komedyopisarzy. Zapomniano mu wady, a miał ich wiele. Pierwszy to był Grek, który porzuciwszy tarczę (w bitwie Sajów z Tasyjczykami) stroił sobie z tego żarty: »Dobrze, że ocalałem to, co najkosztowniejsze, t. j. życie — a tarcza znajdzie się druga, jeszcze lepsza«. Słowa te wywołały wielkie i słuszne u Greków zgorzienie. Są jednak w utworach jego i myśli szlachetne, że tu przytoczymy tylko upomnienie, by źle nie mówić o zmarłych.

2) Simonides z Amorgos urodził się (w VII. w. przed Chr.) w Samos, z kąd poprowadził małą kolonię na wysepkę Amorgos. Nie dorównał on poprzednikowi; jamb na kobiety, choć niejedną prawdę zawiera, jest jak na Greka dość trywialny. Świnie, liszki, oślice, małpy etc. służą za porównanie. Najlepsze nazywa pszczołkami. W innym jambie rozważa znikomość życia i słabość człowieka.

b.) Choljamb. Niestrudzeni w wyszukiwaniu nowych form, wymyślili Grecy nową, zabawną odmianę jambu, który nazwano choljambem t. j. jambem kulawym, kulenie bowiem zawsze pobudzało Greków do śmiechu (nawet bogowie śmiali się w Iliadzie, gdy Hefajstos spieszył, kulejąc). Robiło się to tak, że w szóstej stopie zamiast jambu (— —) położono spondeus (— —) albo trocheus (— —), na czem polotny wiersz nagle jakby utknął. Najznakomitszym w tym rodzaju poetą był: Hipponax z Efezu, który najwięcej dokuczał malarzom, odwzajemniając się za to, że wyśmiewali niepokazną jego figurkę. Jest on także twórcą parodyi. W epoce alexandryjskiej utracił choljamb charakter złośliwy i służył tylko pouczającym poematom. Babrios w bajkach używał tej formy wiersza.

### III.

Melos. Ostateczne wykształcenie i zaokrąglenie zawdzięcza język grecki poezji lirycznej w właściwym tego słowa znaczeniu t. j. pieśni (melos). Czerpiąc z nieprzebranego skarbcza pieśni ludowej, o której na początku była mowa, zaczęli ją uprawiać poeci w siódmym i szóstym wieku przed Chrystusem — i korzystając z coraz większej rozmaitości narzędzi muzycznych, rozwinęli do niesłychanego stopnia doskonałości i bogactwa. Pozostały nam, niestety!

tylko skąpe resztki, rzecz można, okruchy, ale i te starogreckim poetom dają świetne świadectwo. O różnaitości i bogactwie rytmów trudno dać wyobrażenie; dość powiedzieć, że u samej Sapfony naliczono ich aż pięćdziesiąt. A treść? Jakaż może być treść liryki? Ojczyzna, męstwo, miłość, przyjaźń, nienawiść, gniew — słowem wszystkie uczucia, które naprzemiany poruszają biednym ludzkim sercem. Muzyka, coraz więcej rozwijająca się, nigdy jednak nie była panią pieśni, lecz zawsze jej sługą. Taniec także służył pieśni t. z. chórowej. Cała piękność pieśni greckich okazałaby się nam dopiero, gdybyśmy je słyszeć mogli w towarzystwie dawnej muzyki, a względnie i tańca.

Pieśń religijna, szczególnie czci Apollona poświęcona, nazywała się *nomos*; towarzyszyła jej kytara albo flet.

Mistrzem pierwszym był:

1) Lezbijczyk Terpandros z Antissy, którego Spartanie jako czterokrotnego zwycięzcę w igrzyskach pityjskich, na rozkaz Pityi, sprowadzili, ażeby muzykę zreformował i melodyami swemi koił umysły. Używanie liry o siedmiu strunach, z towarzyszeniem fletu, jemu zawdzięcza początek. Miał on skomponować muzykę do epepei Homera i sam najwięcej opiewaniu dawnych czasów i bohaterów talent swój poświęcił. W krajach doryckich, mianowicie w Sparcie, zakwitnęła najbujniej wspomniana już poezya chórowa (*chorike pojesis*), do której zaliczamy pajany, pieśni procesyjne (*prosodia*), pieśni dziewic (*partenia*), taneczne (*hyporchemata*) — i wreszcie dytyramby.

2) Alkman z Sardes (w. VII.) odznaczył się szczególnie jako twórca piosnek miłosnych i t. z. parteniów t. j. pieśni przez chóry dziewcząt śpiewanych. W jednej z nich, sławiąc pięknego młodzieńca, proszą: »Ojciec Zeusie, oby on był moim małżonkiem«. Śliczny urywek (Nr. 60.), który możnaby nazwać *Pieśnią nocną*, przypominający podobny utwór Goethego, podajemy poniżej. Kocha on ptaki (fr. 67.) i chwali się, że zna wszystkie ich melodye. W fr. 23. powiada, że bogowie prędzej czy później pomszczą każdy grzech i zbrodnię. W rytmice zasłużony; spuścizną jego jest metrum *Alcmanium*. Pomimo, że używał narzecza, znany był w całej Grecyi; Aristarchos objaśniał jego poezye.

3) Stesichoros, Sycylijczyk, rodem z Himery, najślawniejszy tej wyspy poeta (r. 630 — 550 przed Chr.) miał rodowe nazwisko Teisias, a tamto oznaczało jego urząd (kierownik chóru).

Krażyło o nim ciekawe podanie. W jednym z poematów (p. t.: Zburzenie Troi) całą winę wojny trojańskiej przypisał Helenie. Za to, jak mu oznajmiło senne widzenie, utracił wzrok. Wtedy napisał drugi poemat, w którym twierdził, że do Troi udał się sobowtór (fantom) Heleny, prawdziwa zaś została w Egipcie — i potem odzyskał wzrok. Jest on przedstawicielem liryki epickiej, którą można uważać za grecką balladę. Opiewa głównie miłość i połączone z nią cierpienia. Co do formy, jest twórcą podziału wiersza na strofy, antystrofy i epody, do czego zapewne znalazł wzór w sycylijskich pieśniach ludowych. Używał narzecza jońskiego, przeplatane go do-ryckiem.

4) Ibykos z Region (teraźniejsze Reggio), znany powszechnie i u nas z pięknej ballady Schillera (Die Kraniche des Ibykos), z zamiłowania błąkał się po świecie (i od tego miecza zginął, możnaby powiedzieć). Najdłużej przebywał w Samos, gdzie Aiakos i syn jego Polykrates otaczali go opieką i szacunkiem. Polykrates panował od r. 532—522 pr. Chr. (ol. 62, 1 — 64, 3) i podług tego można oznaczyć czas, w którym żył Ibykos. W jednej z licznych jego podróży, zamordowali go zbójcy, lecz przelatowały tamtędy żórawie i później zdradziły morderców. Jako poeta należy do drugo- lub trzecio-rzędnych. Opiewał miłość.

5) Arion z Metymny, żył przez dłuższy czas na dworze korynckiego samowładcy Periandrosa (629 — 585). Herodot (I, 23) opowiada o nim zajmującą powiastkę, którą spopularyzował Schlegel w pięknej balladzie, nazywając Ariona mistrzem tonów (Der Töne Meister). Raz płynął morzem, a wiózł ze sobą sporo pieniędzy. Chciwi żeglarze rzucili go, gdy zadumany śpiewał na pokładzie, w morze. Lecz uratował go delfin, na którego grzbiecie dopłynął do brzegu. Poezye jego niestety zaginęły. Arion uszlachetnił dytyramb i pierwszy kazał go śpiewać chórom, z czego później wywiązała się dramatyczna poezya.

6) Alkaios czynny był w życiu politycznym. Ol. 42 walczył z Mityleńczykami przeciw Ateńczykom (o Sigeion). Dwaj jego bracia zabili tyrana Melanchrosa, a on uczcił to pieśnią tryumfalną. Krótka jednak była radość arystokratów, do których się zaliczał. Lud mądrym Pittakosowi porucił władzę, poeta po obczyźnie tułać się musiał. Arystokraci, znalazłszy jaką taką pomoc, usiłowali jeszcze raz dojść do władzy, ale bitwę przegrali, a nasz poeta, wódz ich, ranny dostał się w ręce nieprzyjaciół. Szlachetny Pitta-

kos, pomimo że Alkaios ostro napadał przedtem na niego, obszedł się z nim wspaniałomyślnie i wyrzekł te piękne, pamiętne słowa: »Przebaczenie jest lepsze od zemsty«. Pojednany z przeciwnikiem, żył odtąd szczęśliwie na wyspie Lesbos; prawdopodobnie znał się z słynną tamtejszą poetką Sapfoną, z którą potomność i sztuka połączyły go na wieki. Na monetach i wazach wyobrażano twarze obojga ku sobie zwrócone. Tworzył w eolskiem narzeczu poezye wszelkiego rodzaju, od hymnów zaczawszy, na miłosnych kończąc. Pieśni jego polityczne i wojenne wzbudzały wielki zapal, ponieważ ścigał w nich tyranów. Do tego też odnosi się usprawiedliwienie się Mickiewicza, że kilkanaście lekkich napisał wierszy, a słowa: »Alcejski chwytam bardon« (w sonecie Ekskuza w r. 1826) oznaczają, że odtąd poważniejszym sprawom lutnię swoją poświęci i dziełami swemi walczyć będzie przeciw tyranom.

7) Godną jego współzawodniczką była lesbijska przesławna poetka Sapfo (albo Psapfa), córka znakomitej i zamożnej rodziny. Mieszkała w Mitylene, jakiś czas tylko, z powodu zamieszek politycznych, przepędziła w Sycylii. Gromadziła koło siebie grono panien i bawiły się poezyą i muzyką. U mężczyzn było w Grecyi powszechnym zwyczajem, że nauczyciel gromadził koło siebie tylko tych uczniów, dla których miał sympatyę i którzy jego nawzajem kochali. Podobną więc była w tej mierze Sapfo do Sokratesa. Dom swój nazwała dlatego Musopolos — siedzibą muz. Słusznie nazywano ją słowikiem lesbijskim, niewieścim Homerem, pieryjską pszczołką, była to bowiem jedyna genialna poetka świata. Styl jej odznaczał się wdziękiem i siłą, dlatego nazwał ją Horacy »męską Safoną«. O bogactwie jej rytmiki wspomniano już wyżej. Nie więc dziwnego, że świat bardzo się nią zajmował, a w czasach t. zw. »postępu« dowcipnisie ateńscy na niej ostrzyli swe pióra, nie mogąc znieść wyższości talentu. Kilkunastu pisało o niej komedye, w znacznej części niesmaczne i trywialne, a bajek, plotek i nawet niegodnych potwarzy nie brakło. Mówiono, że, nie zyskawszy wzajemności, z rozpaczry rzuciła się z leukadyjskiej skały w morze. Współcześni i potomni cenili ją bardzo wysoko. Horatius i Catullus uważali jej pieśni za wzór niedościgniony. W naszych czasach piękne pomniki pamięci jej poświęcili Grillparzer (Sappho) i Leopardi (Ultimo canto di Saffo). Uczennicą jej miała być utalentowana Erinna, którą przedwczesna śmierć (w 19 r. życia) jeszcze większym otoczyła urokiem. Były i inne utalentowane poetki.



8) Anakreon z Teos, melik joński, był śpiewakiem miłości i wina. Błahym tematom nieporównany urok nadawał styl, pełen nadzwyczajnej prostoty i miłego wdzięku. Piosenki jego (paroinia\*) tak były lubione, że późniejsi poeci i niepoeci kopiowali i naśladowali je nieustannie. Tak powstał zbiór tak zwanych Anakreontyków niezmiernie popularnych; mało który dorównał mistrzowi, ale są i u nich błyski prawdziwego talentu. Anakreon żył na dworze Polykratesa (ok. 532 — 522), którego ojciec powołał go był na nauczyciela dla syna. Po upadku tegoż przysłał po poetę mądry Hipparchos pięćdziesięciowosłowiec, ażeby go uroczystie przywieziono do Aten, ale wkrótce szlachetny opiekun zginął z ręki zbójckiej. Wtedy poeta udał się do Abdery (kolonii, założonej przez miasto jego rodzinne) i tam życie zakończył. Anakreonta i Anakreontyków tłómaczyli Jan Kochanowski, Fr. D. Kniaźnin i wielu innych naszych poetów.

#### IV.

**Pieśń chórowa i Dythyrambos.** Gdy Grecy z urzędu składali bogom poetyczny hołd, to działo się to zawsze w formie pieśni chóralnej, ponieważ chór wyobrażał niejako poselstwo ludu, obywateli. Poeta miał niemałe zadanie, bo i o temat nowy i o nowy rytm było coraz trudniej, (jeden drugiego starał się prześcignąć w tej mierze), i sam musiał układać melodyę, uczyć śpiewu a nawet ruchów tanecznych, które towarzyszyły śpiewom. Z tego powodu prosił Pindar, żeby Grecy pili stare wino, ale słuchali nowych pieśni i nie byli dla nich tak źle uprzedzeni. Uwieńczony chór śpiewał, krocząc procesjonalnie do świątyni, albo wewnątrz świątyni, okalając wieńcem ołtarz lub posąg bóstwa i trzymając się za ręce. W przeciwieństwie do czworobocznych chórów dramatu nazywano chóry liryczne kolistymi (kyklioi choroï); estradę taneczną budowano w kształcie kolistym (orchestra). Chórami tymi zawiadowywało państwo; ponosiło ono wydatki bardzo znaczne, wybierało poetów, przywódców chóru (chorowodów) i wyznaczało nagrody. Dyalekt dorycki był językiem pieśni chóralnej, w której odznaczyli się przed innymi trzej poeci Simonides, Bakchylides i Pindaros.

---

\*) Pisał i inne utwory (elegie i hymny).

1) Simonides z Julis na Keos, 556 — 468, którego dziadek słynął już w literaturze, 56 razy otrzymał nagrodę. Elegią na poległych pod Maratonem pozyskał od razu wielką popularność — i pokonał wszystkich współzawodników, nawet Aischylosa. Podczas wojen perskich był u szczytu powodzenia. Temistokles i Pausanias byli jego przyjaciółmi. On pierwszy układał pieśni dla osób prywatnych, za pieniądze, a znany był nie tylko z talentu, ale i z wielkiej chciwości, sławiąc ich zwycięstwa, odniesione w publicznych zapasach. Rozrywano go na wszystkie strony. Pisał także treny i znakomite epigramy, za których właściwego twórcę jest uważany. Słynny jest epigram na Spartan, poległych w Termopylach: »O przechodniu, oznajmij Lakedemończykom, że tu leżymy my, którzyśmy byli posłuszni prawom ojczyzny«. Znane jest również jego zdanie, że malarstwo jest milczącą poezją, a poezja mówiącym malarstwem\*). Uchodzi także za wynalazcę t. z. Mnemoniki i sam jeszcze w 80. roku życia słynął z wielkiej pamięci.

2) Bakchylides, siostrzeniec i uczeń poprzedniego, urodzony także w Julis, poszedł w ślady mistrza. Żył w Atenach, potem w Peloponezie; czas jakiś bawił z Simonidesem u Hierona w Syrakuzie.

3) Pindaros ur. w r. 522. w Tebach, pochodził z rodziny szanownej, żył w Atenach i na dworze Hierona w Syrakuzach i pozyskał sławę pierwszego liryka starożytności. Quintilian (X. 1, 61) nazywa go księciem poetów dla wzniosłości umysłu, piękności obrazów, dla bogactwa treści i języka, dla wymowy, na kształt rzeki płynącej. Horatius twierdził, że nikt go naśladować nie potrafi. Z jego hymnów, dytyrambów i innych rodzajów lirycznej poezyi większa część zaginęła; zachował się tylko cykl czyli peryod pieśni zwycięskich (epinikia), podzielonych na cztery księgi, mianowicie: 14 olimpijskich, 12 pytyjskich, 11 nemejskich, 7 istmijskich. Dla nas trudne są dzisiaj do pojęcia i zrozumienia wysokie natchnienie i podniosły nastrój, wywołany zwycięstwami w igrzyskach — ale kto wniknie w dzieje greckie i w istotę ich życia politycznego i społecznego, ten zrozumie, jak dalece rozwiniętą była ambicyja na tem polu, i jaką wagę przywiązywano do tych narodowych zapasów. Wszakże one w czasach pokoju świadczyć miały o bitności i dzielności ludu na wypadek wojny i najazdu nieprzyjaciół. Nie

---

\*) Porównaj Laokoona Lessinga.

były więc pustą i bezmyślną igraszką, lecz jakby próbą i popisem zręczności i siły, potrzebnej dla obrony ojczyzny — a serce patrioty napełniało się radością i dumą, jeśli próba wypadła pomyślnie lub świetnie. Pod wpływem takich wrażeń i uczuć pisał poeta.

Liryków greckich tłómaczyli: Jan Kochanowski, Ad. Naruszewicz, Fr. D. Kniaźnin, Fr. Skarbek 1846, J. Wiernikowski (Pindara 1824), Br. Kiciński 1824, Józef Szujski, Alfred Szczepański 1882 (»Na greckiej lirze«), J. Czubek 1882. (Nieliczne przekłady znajdują się i u innych pisarzy).

---

# POEZYE LIRYCZNE\*).

## I. ELEGICY.

Kallinos z Efezu.

Więc kiedyż się raz ockniesz do chrobrego czynu  
Gnuśna młodzi? — Podłego nie wstydzisz się gminu,  
Gnijąc w słodkiem marzeniu, że to pokój błogi,  
Gdy kraj cały objęły wojenne pożogi?

\* \* \*

I konając, wrogowi mignij kopią w oczy.  
Chwała wielka mężowi, co krwawy bój toczy  
Za kraj ojczysty, dziatki i małżonkę ślubną.  
Śmierć zaś — wtedy się zjawi, kiedy nitkę zgubną  
Wysnuje Mojra. A więc, hej wiara do broni!  
W górę kopie, tarcz niechaj lwie serce zasłoni,  
I tak pędźcie odważnie na bojowe tany. —  
Bo człowiek nie uniknie śmierci obiecanej,  
Choćby miał przodków nawet pomiędzy niebiany.  
Tehórz wojennej unika wrzawy, kopij łomu:  
Tehórz umrze — nikt w ojezyźnie nie poczuje straty;  
Umrze bohater — płacze biedny i bogaty.  
Śmierć jego cały naród żałobą okryje,  
Jak półboga rodacy wielbią, póki żyje.  
Jakby na wieżę, rzesza nań patrzy zdumiona,  
Bo w czem wielu się poci, sam jeden dokona.

---

\*) Poezye liryczne, o ile nie jest wymieniony inny tłumacz (w nawiasie, obok ostatniego wiersza poematu), podajemy w przekładzie profesora Jana Czubka.

## Tyrtaios.

### I.

Chwała temu co walcząc za ojczyste łąny,  
Bohaterem na czele, legnie pokonany.  
A hańba wieczna temu, co matce ojczyźnie  
Poda tyły i chleba żebrze na obczyźnie,  
Co z starą matką, ojcem, — z dziatkami na grzbiecie  
I ze słubną małżonką włóczy się po świecie.  
Plami ród, własną piękność taki tułacz kała,  
I wszelkie złe i hańba wszelka nań się zwała.  
Więc gdy nigdzie wygnańca życzliwość nie spotka,  
Ni cześć, ni litość ludzka, ni pociecha słodka,  
Walczmy mężnie za drogą ojczyznę i dziatki,  
I krwi naszej, gdy trzeba, wylejmy ostatki.  
Walczcie dzielnie, młodzieńcy! ramię do ramienia!  
A bójcie się uciezki, bójcie się pohańbienia!  
Nabierzcie ducha! Śmiało się stawcie w potrzebie,  
Myślcie, jak gromić wroga, nie ratować siebie.  
A starszych towarzyszków, co im w członkach stawy  
Wiek zwątlił, nie odbieźcie wśród krwawej rozprawy.  
Hańbaby była, gdyby pośród dzielnej wiary  
Przed młodszymi druhami legł wojownik stary,  
Co mu brodę i włosy srebrzy szron siwizny,  
Leżał w kurzu, konając, wierny syn ojczyzny,  
Wstyd, krwią obłany, ręką zasłaniając oku —  
O, jakże pali hańba takiego widoku! —  
Gdyby tak nagi leżał! — Młodym zaś przystoi  
Wszystko, póki uroczę kwiecie młodość stroi:  
Bohater — dziw dla mężów, ulubieniec dziewic,  
Póki żyw — gdy polegnie, piękny jak królewic.  
Więc stójcie jak mur, w ziemię niech wryje się noga,  
We warzę zatopi ząb; — Tak czekajcie wroga!

### II.

Hej, dzieci zwycięskiego Herakla rodzica!  
Naprzód! Zeus od nas jeszcze nie odwrócił lica!  
Niech w obec tłumów do serc nie wkrada się trwoga;  
Naprzód z tarczą w lewicy na szeregi wroga!  
Wrogiem niech będzie życie! śmierci nocne cienie  
Witajcie niby jasne słońeczka promienie.  
Wszak srogiego Aresa znacie smutne sprawy,  
Wszak znacie krwawe losy bojowej rozprawy;  
Wiecie, jak błogo gonić, jak uciekać boli:  
Podżyłście do syta już obojej doli.

Bohaterów, co gromko, mąż przy mężu, ławą  
Wsiadają na kark wrogom, sprawiając rzeź krwawą,  
W boju zawsze mniej padnie — i zastonią braci;  
Tchórz zaś, co zmyka z pola, sławę i cześć traci.  
A któż wypowie, jaka hańba i niedola  
Czeka tchórze, co tyły podając zbiegł z pola?  
Straszno, gdy tchórz ucieka, a wróg nań napadnie  
Z tyłu, i grzbiet mu podły rozpląta szkaradnie.  
Haniebny widok trupa, co leży w kurzawie,  
A grot tkwi z tyłu, świadcząc o męża niesławie.  
Więc stójcie silnie jak mur, oczekując wroga;  
W wargę zęb niech się zatnie, w ziemię wryje noga,  
Prawica kopią silnie niech trzęsie bojową,  
A z hełmu groźna kita powiewa nad głową.  
Walecząc, niechaj bohater do boju przywyka:  
Hańba, kto mając tarczę, pocisków unika.  
W tłum wrogów niech się rzuci, na kopie, na miecze,  
I kopią wroga bodzie, albo mieczem siecze.  
Tarcz z tarczą niech się zewrze, noga w nogę wryje,  
Hełm z hełmem niech się spoi, kita w kitę wpije, —  
I wy też, harcownicy, skryci za tarcz brzegi,  
Miotajcie wielkie głązy na wrogów szeregi,  
Z całej siły rzucajcie gładkie rohatyny,  
Wsparci zawsze o bratnie pancerne drużyny.

### III.

Męża anibym wspomniał, ni uwielbiał w pieniu,  
Choćby był krzepki w nogach, choć siłacz w ramieniu,  
Choćby Kiklopa przeszedł we wzroście i sile,  
Lotnym skokiem zostawił Boreasza w tyle,  
Choćby był urodziwszy, niż Tytona krasa,  
A skarby posiadał Midy, posiadał Kinirasa,  
Liczniejsze, niżli Pelop Tantalid, miał miasta,  
Choćby słodką posiadał wymowę Adrasta,  
Wszelaką cnotę posiadał — prócz chrorego męstwa,  
Co bohatera w bitwie wiedzie do zwycięstwa,  
I serca, patrzeć śmiało na krew i mord srogi,  
I w gorący wir walki wpaść pomiędzy wrogi.  
To cnota najpiękniejsza, której nic nie zbrudzi,  
To popis najgodniejszy młodziana wśród ludzi.  
I korzyść stąd największa dla miasta, narodu,  
Kiedy dzielny młodzieniec walczy pierwszy z przodu  
Jak lew, nie zadrży, chęć go uciekać nie bierze,  
Żywoć niesie ochoczo ojczyźnie w ofierze,  
I towarzyszków słowy do walki zagrzewa;  
Tak młodzian bohaterem na wojnie dojrzewa.

Wnet się też wali wrogów najeżona ściana,  
Jego dzielnem ramieniem przeważnie złamana.  
Gdy zaś, walcząc na czele, straci żywot młody,  
Chwałą okrywszy ojca, miasto i narody,  
Bo wziął od wroga pośród krwawego zawodu  
Tysiąc cięć w pierś, w tarcz, pancerz — a wszystkie  
[od przodu —

Wtedy go płaczą głośno i starzy i młodzi,  
I skargę całe miasto żalosną zawodzi.  
Grób swój i dzieci wstawi i dzieci ich dzieci,  
Blask jego sławy późnym pokoleniom świeci.  
Pamięć i imię nigdy nie zginie, lecz żyje  
Wciąż nieśmiertelny, choć go mogiła przykryje,  
Ów mąż, co walcząc w wirze bojowej kurzawy,  
Za ojczyznę i dziatki legł na polu sławy.  
Gdy zaś uniknął losu śmierci nelitośnej,  
Zwycięzca, ciężką kopią nabył sławy głośnej,  
Wszyscy go zgodnie wielbią i starzy i młodzi,  
I syt szczęścia i chwały w ciemny Hades schodzi.  
W starości wszystkim drogi i czczą go narody,  
I nikt mu, by najmniejszej, nie wyrządzi szkody.  
Młodzieńcy zawsze przed nim z siedzeń się podnoszą,  
Toż rówieśni i starsi, i siedzieć go proszą.  
Hej, niech każdy ochoty do walki nabiera,  
Hej, niech każdy zapłonie męstwem bohatera!

#### IV.

Naprzód! naprzód! męże Sparty,  
Nieodrodne Sparty syny.  
Lewą tarczę wznóście przed się,  
Prawą oszczep rzućcie w tłum,  
Nie spartańskim bo zwyczajem  
Życia szczerzyć w chwili boju.  
(Nr. IV. tłum. J. Szujski).

#### Mimnermos.

Jako liście na wiosnę pięknie się zieleni,  
Gdy je zleją potoki słonecznych promieni,  
Tak nam cudnej młodości krótko pachną wonie,  
I nie wiemy, co bogi chowają tam w łonie:  
Dobre czy złe. Tuż stoją dwie Kery okrutne:  
Jedna starości dary pokazuje smutne,  
A druga śmierć — i młodość nam migiem przeleci  
Jak po niebie słoneczko, co śmiertelnym świeci.  
A kiedy już młodości piękne miną chwile,

Bodaj umrzeć i w cichej, ach spocząć mogile.  
Bo krocie nędz nas czeka: jeden mienie straci,  
Bieda w domu się zjawia w okropnej postaci.  
Tamten pragnie znów dziątek; ale trudna rada:  
Z głodnym robakiem w sercu zstępuje do Hada.  
Innego żre choroba — i każdy ma mola,  
Co go gryzie i trapi: taka Zeusa wola.

## Solon.

### I.

Jeśli cierpicie, głupi, to z własnej przyczyny,  
I w bogach nieśmiertelnych nie szukajcie winy.  
Samiście postawili nad sobą tyrany,  
Więc dźwigacie sromotne niewoli kajdany.  
Pojedynkiem — traficie zawsze w lisie ślady,  
A gromadą stoicie bez głowy, bez rady.  
Język tylko widzicie, na słówka was kupi,  
A czynów obłudnika nie widzicie, głupi!

### II.

Mnemozyny i Zeusa córny, piękne panie,  
Co władacie w Pieryi, słyszcicie me błaganie.  
Niech mię bogowie darzą opieką łaskawą,  
A u ludzi się cieszę zawsze dobrą sławą.  
Niech druhom zawsze miły będę, wrogom wrogi;  
Tamci niech mnie kochają, ci doznają trwogi.  
Majątek niech mam, ale uczciwie zebrany;  
Zbrodniarz nigdy nie ujdzie kary obiecanej.  
Bo ten, co bogi dadzą, podobny kolumnie,  
Co na pewnej podstawie czoło wznosi dumnie;  
Źle nabyty, choć go ludzie czeią otoczą,  
Jest złym sługą, co nigdy nie słucha ochoczo,  
I prędko do ostatniej prowadzi ruiny.  
Złe z początku jak iskra, potem płomyk siny,  
Aż w ostatku ognistą rozlewa się strugą.  
Krzywdą nigdy śmiertelni nie cieszą się długo.  
Nad końcem rzeczy ludzkich czuwa Zeus z góry,  
I nagle jak na wiosnę wiatr rozgania chmury,  
Co szumiącego morza jałowe otchłanie  
Do dna zarywszy, zboże powala na łanie,  
Niszcząc pracę rolnika — i w niebo wstępuje,  
Bogów siedzibę, — znów się błękit pokazuje,  
Słońce na tłustą ziemię znowu świeci z góry,  
A na czystych niebiosach ani jednej chmury —  
Tak i Zeus zsyła pomstę — nie zawsze i wszędzie



W pierwszym, jak człek śmiertelny, namiętym zapędzie.  
Nikt przed nim nie uciecze, kto zły i nieprawy:  
Złe zawsze na ostatku wychodzi na jawy,  
Prędzej czy później kara dosięgnie zbrodniarza.  
Bo chociaż winny ujdzie, jak się i to zdarza,  
Karzącej ręki bogów, pomsta nie przepada,  
Lecz na dziatki niewinne i na wnuki spada.

I wielcy i maluczcy, wszyscyśmy jednacy:  
Póki dobrze, my śmiałki, chełpliwi junacy;  
A gdy spadnie nieszczęście, wnet rozpacz bez miary,  
A przedtem nas bawiły czeze, zwodnicze mary.  
Kogo trapi choroba, temu tylko w głowie,  
By coprędzej odzyskać utracone zdrowie.  
Tchórz chce być bohaterem; piękności znów czaru  
Pragnie, kto od natury nie wziął tego daru.  
Nędzarcz, którego przykre ubóstwo przygniata,  
Marzy wciąż o bogactwach i tak biedę łąta.

Biedzim się wszyscy: jeden po rybnym przestworze  
Błąka się, by zysk przywieść do domu przez morze  
Nie odstraszy go burza, huraganów wycie:  
On dla miłego grosza narazi i życie.

Za grosz wyrobnik co rok w ogrodzie pracuje,  
Rolnik znów żyzną ziemię krzywym pługiem pruje.  
Hefajsta lub Ateny tamten zna kunszt przedni,  
I swem rzemiosłem na chleb zarabia powszedni.  
Innemu znowu Muzy, niebieskie dziewice,  
Dały złotej mądrości badać tajemnice.  
Z innego robi Febus wróżbitę, co zgadnie  
Nieszczęście, choć dalekie, choć nieprędko spadnie;  
Nad nim opieka bogów — alie przeznaczenia  
Ni ptak wróżebny, ni krew ofiarna nie zmienia.  
Uczeń mistrza Pajona cierpienia łagodzi;  
I tego nieraz koniec dotkliwie zawodzi.  
Nieraz maleńka słabość w wielki ból się wzmoże,  
I żaden lek gojący na to nie pomoże.  
Czasem znów straszne kurcze i nieznośne męki  
Leczy jedno szczęśliwe położenie ręki.

Złe i dobre śmiertelnym Mojra zsyła z nieba,  
A co bogi przeznaczą, kornie przyjąć trzeba.  
Wszędzie czyha nieszczęście, a człowiek nie zgadnie,  
Gdy rozpoczyna dzieło, jak koniec wypadnie.  
Bo choć kto dobrze zacznie, ani się obaczy,  
Jak spadnie w czarną otchłan bólów i rozpaczy.  
Inny rzuci się oślep — a no szczęście złote  
Daje łaskawe bóstwo, wspierając głupotę.  
Ma kto majątek — nie zna ni końca, ni miary:  
Im hojniej kogo swymi los obsypie dary,

Tem więcej jeszcze pragnie — i wieczne niesyty.  
Z nieba — łaski śmiertelnym płynie zdroj obfity;  
Nieszczęścia sami w sobie nosimy przyczyny,  
A Zeus je spuszcza to tu, to tam, karząc winy.

## Teognis z Megary.

### I.

Muzy wraz z Charytami, Zeusowe córki,  
Piały w Kadmowe gody pieśń zgodnymi chóry:  
»Co piękne, to i lube — wstret budzi brzydota.«  
Taka z ust nieśmiertelnych zabrzmiała pieśń złota.

### II.

Zapisz to sobie w sercu: z złymi obcowania  
Unikaj, niech twe serce ku dobrym się skłania.  
Z dobrymi pij i ucztuj, do nich się przysiadaj,  
By się dobrym podobać, pracę sobie zadaj.  
Od dobrych zawsze zyskasz, od podłych zaś tłumu  
I nic się nie nauczysz i zbędziesz rozumu.  
Więc z dobrymi wciąż obcuj, a z czasem się ziści,  
Że ma rada rzetelne przynosi korzyści.

### III.

Złym dobre świadczyć — praca stracona i marna,  
Jak gdybyś na dno morza złote rzucał ziarna.  
Bo jak zły kto sieje w morze, żniw się nie doczeka,  
Taksamo i wdzięczności od złego człowieka.  
Serce złego niesyte: jedno zapomnienie  
Wszystkie przeszłe usługi z pamięci wyżenie.  
Dobrzy w żarty obróćą, choć ból łzę wykręci,  
A przysługi we wdzięcznej chowają pamięci.

### IV.

Nikt, o Kirnu, nie winien, jaki los, czy błogi,  
Czy zły ma na tym świecie: oba dają bogi.  
Człek śmiertelny się trudzi, lecz nigdy nie zgodnie,  
Czy dzieło jego dobrze albo źle wypadnie.  
Bo nieraz zrobi dobrze, kiedy złe sposobił,  
A gdy chciał dobrze zrobić, jak najgorzej zrobił.  
Czego tylko zapragnie, zawodzi się srodze,

Bo wszędzie przeszkód mnóstwo spotyka po drodze.  
Nasza mądrość — to marność, naoslep macanie,  
Ale czego zapragną bogi, to się stanie.

V.

Gnębiącym niedostatkiem i biedą, co łączy,  
Choć się na męża zgniewasz, nie ciskaj mu w oczy;  
Zeus wagę to w tę stronę, to w tamtą przeważa:  
Z tego robi bogacza, z tamtego nędzarza.

VI.

Taki majątek pewny, bezpieczny i trwały,  
Co go dał Zeus i ręce uczciwe zebrały.  
Majątek, co go zbierze mąż niesprawiedliwy,  
Owoc myśli przewrotnych lub przysięgi krzywej,  
Z początku, zda się, dobry i daje korzyści,  
Lecz w końcu — zgubę: bogów opatrność się isci.  
Lecz to ludzi śmiertelnych, że bogowie, czyny  
Nie zaraz karząc, zda się, przepuszczają winy.  
Alić jeden swe winy sam cierpieniem zmaże  
I miłym działkom kary za grzech nie przekaże;  
Drugiego minie pomsta: pierwej śmierć niezbytą  
Na powiekach mu siada i o duszę pyta.

VII.

Nie zatrzymuj nikogo, co się iść zabiera,  
Ani pchaj za drzwi, kto się na dobre rozpiera.  
Spiącego, Symonidzie, nie budź, gdy spojony  
Spoczywa, snu objęty słodkimi ramiony.  
Trzeźwego znów nie zmuszaj, by spał poniewoli,  
Bo gwałt wszelki i przymus obraża i holi.  
Kto chce pić, temu chłopiec niech nalać pospieszy:  
Nie każda noc wesola, nie każda ucieszy.  
Ja — na dziś już mam dosyć biesiadnej rozkoszy,  
Wracam do dom, gdzie troski słodki sen mi spłoszy.  
Ucz się, druhu, odemnie wychylać puhary:  
Anim trzeźwy zupełnie, ni spity bez miary.  
Kiedy wlejesz nad miarę, rozum ci się płata,  
Język lata szalony od kąta do kąta.  
Pleciesz trzy po trzy; trzeźwy się śmieje i wstydzi,  
Pijanej głowie wszystko zarówno się widzi;  
Czątek stateczny szaleje. Niechże cię odstraszy  
Przykład, byś nie zaglądał zbyt często do czaszy.  
Powstań, nim się upijesz, byś nie słuchał brzucha

Jak najemnik, co za grosz swego pana słucha.  
Albo zostań, lecz nie pij. — Lecz jak opętany  
Wrzeszczysz raz po raz »nalej« — i wnetęs pijany.  
Bo albo zdrowie czyje, albo twoje wnoszą,  
To cześć bogów wychylić, to w zakład pić proszą;  
Wymówić się nie można, a zuch to nielada,  
Co tego pijąc, trzeźwy, od rzeczy nie gada.

VIII.

Srebra, złota wartości mistrz w ogniu docieka;  
Wino i najmędrszego wydaje człowieka,  
Bo gdy miarki przebierze, do czary pochopny,  
Zbłąźni się, by był przedtem nie wiem jak roztropny.

IX.

Nadzieja i obawa — dla śmiertelnych jedno:  
Równo obie boginie trapią ludzkość biedną.

X.

Jednym bóg da majątek, lecz rozumu nie da,  
Drudzy zaś mają rozum, lecz ich nęka bieda.  
Jednym i drugim ciągle rwie się czynów przędza.  
Jakaż temu przyczyna? — Tam głupstwo, tu nędza.

XI.

Na Sycylią mię niegdyś zagnała niedola,  
Widziałem Eubejskie winnice i pola,  
I trzciny Eurotu, dumnej Sparty wieże,  
I wszędzie mię, wygnańca, przywitano szczerze.  
Mnie — wszędzie było smutno pomiędzy obcymi:  
Ach! bo nie nam nie zastąpi ojczystej ziemi.

XII.

Nie będzie śmiertelnika, ani się urodził,  
Coby zeszedł do Hada, a wszystkim dogodził.  
Bo nawet Zeus, którego słuchają w pokorze  
Ludzie i bogi, wszystkim dogodzić nie może.

XIII.

Piękność i cnota rzadko są w jednej osobie:  
Szczęśliwy los człowieka, co otrzymał obie.

Młodszy i rówieśnicy hołdów mu nie skąpią,  
I starsi wiekiem miejsca ze czią mu ustąpią.  
W starości jeszcze naród nań patrzy łaskawie  
I nikt go nie pokrzywdzi ni we czi, ni w prawie.

XIV.

Znoś, o serce, po cichu i najgorsze losy,  
Gmin tylko małoduszny w rozpaczry rwie włosy.  
Jękiem nie zwiększaj złęgo, co się zmienić nie da,  
Bo przyjaciół zasmucisz, a wrogów czereda  
Hymn tryumfu podniesie. Człowiek nie uciecze  
Wyroku, jaki bóstwo nań w niebie wyrzeczę,  
Nawet choćby się rzucił w ocean głębokiy,  
Lub się zapadł pod ziemię w Tartarejskie mroki.

XV.

Jedno bóstwo, Nadzieja, została na ziemi:  
Wszystkie poszły na Olimp jedne za drugimi.  
Poszła Wiara potężna, bohatera Cnota,  
Charyt gromadka ziemskie opuściła błota.  
Za nic na świecie świętość pobożnej przysięgi,  
Człowiek nie dba o bogów i drwi z ich potęgi.  
Ród pobożnych już wymarł; ten, co się dziś mnoży,  
Nie zna już ni zakonów, ni bojaźni bożej.  
Lecz dopóki żyjemy i słońko nas grzeje,  
Pobożnem sercem we czi chowajmy nadzieję.  
Ślijmy modły do bogów, tłuste udźce palmy,  
I Nadzieję najpierwszą i ostatnią chwałmy.  
Ale strzeżmy się zdrajców, chytrych przeniwierców  
I z bogów nieśmiertelnych szydzących bluźnierców,  
Co wciąż o cudzej krzywdzie myślą i grabieży,  
Węzłem się łącząc wzajem haniebnych przymierzy.

XVI.

Wielkich bogactw nie pragnę, ani błagam o nie,  
Niech tylko mam żyć z czego — przytem czyste dłonie.

# Jambografiowie.

## Archilochos.

### I.

Smutek o Peryklesie, wszędy smutek łzawy;  
Ustały biesiady, ucihły zabawy.  
Nad tyłu walecznymi szumi fala słona,  
Rwie się jęk za jękiem zboląłego łona;  
Lecz na najcięższe rany, o druhu, serdeczne  
Lekarstwo bogowie nam dali skuteczne:  
Cierpliwość; los niepewny, więc się już pocieszcie  
O druchy, i żale oddalcie niewieście.

### II.

Zdaj się z wszystkim na bogów; o, bo nieraz bogi  
Męża ze ziemi czarnej podniosą na nogi;  
To znów, kogo wysoko wyniesie los błogi,  
Zwali nieraz grom bogów i w proch nisko strąci  
I torby da żebracze i rozum zamąci.

### III.

O duszo moja, choć trosk w ciebie biją wały,  
Przecierp i strzymaj mężnie twoich wrogów strzały.  
Hej, naprzód pierś ma! śmiało, oko w oko wroga,  
Serce niechaj nie zadrży, jak mur stoi noga.  
Jeżeli wróg ulegnie, miarkuj twe wesele;  
Po klęsce się rozpacznie nie tarzaj w popiele.  
W pomysłnej doli ciesz się; gdy cię boleść gniecie,  
Jęcz, lecz w miarę; stałego nic nie ma na świecie.

## Simonides z Amorgos.

### I.

Synu! końcem wszech rzeczy Zeus, co gromem włada,  
Jego wola porządek na świecie układa.  
Świat — jest głupi: bo ludzie swój żywot powszedni  
Pędzą jako bydłęta, bezmyślni, bezwiedni,  
Jaki los z nich każdego z ręki bogów czeka.  
Lecz nadzieja każdego ożywia człowieka  
W pogoni za tem, co się przynigdy nie stanie:  
Ten za dzień, tamten za rok kres przernacza zmianie;  
Każdy marzy, że za rok w szczęściu pływać będzie,

Że bogactwa i skarby bez miary posiędzie.  
Alić tego zawczasie przykra starość zmoże,  
Tamtego słabość rzuci na boleści łożę;  
Innego znów na wojnie Ares zgniecie w prochu  
I wtrąci bez litości do ciemnego lochu.  
Inni grób znajdują na dnie słonych wód przestrzeni,  
Pięścią wichury w ciemne otchłanie wtrąceni,  
Gdzie dech z nich niezadługo ostatni wylata.  
Drugi znów dobrowolnie schodzi z tego świata,  
Sam sobie nawiązawszy sromotną pętlicę.  
Nikt nie jest próżen bolu; bo tysiącolicie  
Nędze, dolegliwości i cierpienia blade,  
Oblegają nas wszystkich. Więc, na moją radę,  
Nieszczęść szukać nie trzeba; przykrymi bolami  
Obarczeni nad miarę, nie dręczmy się sami.

### III. MELICY.

Alkman.

Już śpią gór szczyty, turnie i jary,  
Cisza na skałach, urwiskach;  
Już śpi robactwo, płód ziemi szarej,  
Zwierzęta śpią w legowiskach.

Śpią pszczołek roje, morskie potwory  
Pod mokrym płaszczem z purpury;  
Pusto i głucho, umilkły bory,  
Ucichły skrzydlate chóry\*).

Alkaios.

I.

Salę miedzi oświeca błysk,  
Wszędy jasnych szyszaków ścisk;  
A z nich kity spływają białe,  
Głów rycerskich stroje wspaniałe.

Nakolanków na kołkach wał,  
Od najteższych obrona strzał;  
Wiszą nowe pancerze lniane,  
I sklezione tarcze kowane.

\*) Porównaj »Wanderers Nachtlid« Goethego.

Wielkich kordów Chalkidzkich skład,  
Kolezugi pełno, bojowych szat....  
Więc gdy wojna święci się nowa,  
Hej! do dzieła: broń już gotowa.

II.

Nie, nie rozumiem dziwnej wiatrów zmiany;  
Dopiero ztąd się przewalała bałwany,  
To znów z przeciwka, a my środkiem prawie  
Pomiędzy fale płyniem w ciemnej nawie.

Już ledwo rozruch strzymujęm szalony,  
Już spód okrętu pełen fali słonej;  
Już białe żagle podarte na szmaty,  
Wielkie z nich tylko w dół obwisły płaty.

Kotwice pękły — a tu bałwan świeży  
Większy od tamtych, piętrzy się i jeży;  
I jeśli nawet nam pianą zaleje,  
Wnet od czerpania słaba dłoń omdleje.

III.

Zeus dżdże leje,  
Burza szaleje;  
Zamarzłą rzeką  
Wody nie cieką.

Więc kiedy zima  
W domu nas trzyma,  
Drew do komina!  
Słodkiego wina  
Lej mi do czary,  
A nie patrz miary;  
Tkanicą ciepłą  
Otul skroń skrzepłą.

IV.

Pijmy! co czekać, aż nam zaświecą:  
Drogi dnia chwile migiem przelecą.  
Dawaj puhary; dawaj brzuchate:  
Bakchos dał wino, aby rogate  
Odpędzać troski i słodzić dolę.  
Więc lej mi jeden, lej dwa pacholę,  
Lej mi, pacholę, po brzeg kielicha,  
A zawsze kielich niech kielich spycha!



V.

Arystodam ongi w Sparcie  
Mądre słówko rzekł otwarcie,  
    Jak należy, złoto ceniąc;  
»Słyszcie ludzie: człek! to pieniądz!  
»Gdy się liczysz do hołoty,  
»Nie masz sławy, nie masz cnoty«.

VI.

Jeżeli mówisz, co chcesz, co cię bawi,  
Musisz też słuchać, co ci przykrość sprawi.

S a p f o .

I\*)

Nieśmiertelna, zrad pełna, na tęczowym tronie,  
Do ciebie, Afrodyto, korne wznoszę dłonie:  
Niech odstąpi odemnie zmartwienie i troska,  
    Błagam cię, boska!

Zstąp, zstąp, Zeusa córo, jak już tylokrotnie  
Rodzica opuszczałaś pałace ochotnie  
I spływałaś łaskawie, me słysząc wołanie,  
    W złotym rydwanie.

Chór ci wtedy wróbelków skrzydlaty, wesóły,  
Ciągnął rydwan na ziemskie, na czarne padoły,  
W chżyżych podlotach porzając szkarłatnymi pióry  
    Niebios lazury.

W mgnieniu oka już byłaś, i litością zdjęta,  
Pytałaś, o niebieska, słodko uśmiechnięta,  
Co mi tu za niedola, lub w jakiej potrzebie  
    Wołam do ciebie.

Więc i dziś się nad moją ulituj tęsknotą  
I oddal troski czarne, co serce mi gniołtą;  
Pomóż moim marzeniom, wlej otuchę w łono,  
    Bądź mi obroną!

II.

Lubię rozkoszne blaski; więc gdy piękność złota  
Zgaśnie dla mnie — o Hadzie! otwieraj swe wrota!

---

\*) W skróceniu.

III.

Moja śliczna dziewczeczka,  
Ma urodę kwiateczka;  
Gdybyście mi dawali  
Wszystko złoto, co w fali  
Rzeka Hermos przetoczy,  
Gdyby Lesbos uroczy —  
Czybym ją też sprzedała?  
Nie dałabym, nie dała!

IV.

Śmierć jest nieszczęściem, świadczą się bogami;  
Bo gdyby szczęściem, umarliby sami.

V.

Kto piękny — pozór ma tylko uroczy;  
Dobry — wnet piękny, wnet zachwyci oczy.

VI.

Zły towarzysz złoto,  
Gdy nie w parze z cnotą:  
Wielkie szczęście twoje,  
Gdyś posiadał oboje.

VII.

Jabłuszko się słodziutkie czerwieni wysoko,  
Pewnie go sadowników nie dostrzegło oko.  
Oj, dobrze sadownicy widzieli, widzieli,  
Tylko dostać nie mogli, choć chcieli, choć chcieli.

VIII.

Gwiazdo wieczoru, ty przynosisz jednym  
Biesiadę miłą,  
Przyjaciół drugim niesiesz i rozkosze.  
Pod twoim promieniem  
Wesoła matka tęsknemi oczyma  
Dziecię powita.  
Gwiazdo wieczoru, czyż dla mnie nie niema?

(Nr. VIII. tł. J. Szujski).

Erinna.

Słupy, Syreny, z urną żałobną pospołu,  
Co szczątki moje chowa, lichą garść popiołu,

Pozdrówcie mi wędrowca, co tu do pomnika  
Zbliży się, rodak, lub też obcego języka.  
Rzeczcie, żem nie dożyła ślubnego wesela,  
Że ojciec zwał mię Baukis i żem rodem z Tela.  
Powiedźcie, że napisu wryła litery  
Erinna, przyjaciółka, przyjaciółce szczerzej.

### Praxilla.

#### I.

Słuchaj rady Admeta, o druhu, i serce  
Dzielnym tylko otwieraj: tchórze — przeniewierce.

#### II.

Pod każdy głąz, o druhu, skorpion się skrada;  
Strzeż się, bo cię ukąsi: skrytość lubi zdrada.

#### III.

Człowiek co przyjaciela nie zdradzi w potrzebie,  
Wielką cześć ma u ludzi, wielką sławę w niebie.

### Anakreon.

#### I.

Cheiałem śpiewać o Atrydach,  
O Kadmosie chciałem śpiewać:  
Lutnia wszakże Erosowi  
Pieśń pochwalną chce wygrywać.  
Odmieniłem struny lutni,  
Odmieniłem lutnię całą:  
Cheiałem śpiewać trud Herakla,  
Lecz znów z lutni: Eros! grało.  
Taki widać duch już wieszczca;  
Bohaterzy bądźcie zdrowi!  
Lutnia moja musi śpiewać  
Będzie śpiewać Erosowi.

*Tł. J. Szujski.*

#### II.

Ciężko, kto nie miłuje; ciężko kto miłuje;  
Najciężej, kto miłując łaski nie zyskuje.  
Zacność w miłości za nic, fraszka obyczaje,

Na tego tam najradziej patrzają, kto daje.  
Bodaj zczezł, kto się naprzód w złocie rozmiłował,  
Ten wszystek świat swoim złym przykładem popsował;  
Ztąd walki, ztąd morderstwa, a co jeszcze więcej:  
Nas biednych, co miłujem, to gubi najprędzej.

*Tł. J. Kochanowski.*

III.

Kiedyby worek bogatego złota  
Mógł człowiekowi przysporzyć żywota:  
I sambych się już jał pieniądze chować,  
Żebych się miał czem śmierci odkupować;  
Ale jeśli nikt kupnem nie przyczyni  
Żywota sobie; zaż nie głupio czyni,  
Kto się frasuje, a żywie w kłopotcie?  
Jeśli masz umrzeć, a cóż ci po złocie?  
Ja dobrej myśli zawždy chcę używać,  
Ja z przyjaciół chcę pospołu bywać.

*Tł. J. Kochanowski.*

IV.

Cnej Wenery dziecinę gdy miód z dzieni kradła,  
Pszczółka nielitościwa w paluszek ujadła,  
Aż mu rączka opuchła; od bolu krzyczało  
Niebożatko i z płaczem do matki bieżało:  
A depcąc nóżką w ziemię: Moja matko droga!  
Od jakiego robaczka jaka rana sroga!  
A Wenus rozśmiawszy się: Mój synu kochany!  
I tyś maluchny, ale czynisz wielkie rany.

*Tł. Sz. Szymonowicz.*

V.

Moje włosy — ach! już białe,  
Moja broda — ach! już siwa,  
Zębów rzędy już nie całe:  
Gdzie ma młodość, gdzie szczęśliwa?

I jasności tej słonecznej  
Już mi wiele nie sądzono;  
I płacz bierze mię serdeczny,  
Bo mi straszne ziemi łono.

Ach! bo straszna, straszna droga  
W loch okropny i daleki,  
I jak łatwo schodzi noga,  
Tak nie wróci już na wieki.

VI.

Gdzie różyczka, kwiat miłości,  
Tam i Bakchos rad zagości,  
Więc w kwiat róży strójmy czoło,  
Pijmy, bawmy się wesoło.

Różo, kwiatów tyś królowa,  
Kwiat twój wiosny oblubieniec;  
Bogów rozkosz — woń różowa,  
Bogów róży zdobi wieniec.

I Erosa śliczne skronie  
Stroi zawsze kwiat różany,  
Gdy, miłośnie splótszy dłonie,  
Z Charytami idzie w tany.

VII.

Piję wino, napój boski:  
Zasypiają czarne troski.  
Poco płacze, poco trudy,  
Przykre troski, długie nudy?  
Chcę, czy nie chcę, umrzeć muszę;  
Po co więc umartwiać duszę?  
Raczej słodkie pijmy czary,  
Nadobnego Bakcha dary:  
Kiedy pijem napój boski,  
Zasypiają czarne troski.

Simonides z Keos.

I.

Termopilskich bohaterów sława  
Wiecznie trwać będzie, grób ich jest ołtarzem,  
Żałobnej pieśni nikt tam podnieść prawa  
Nie ma, gdzie czas jest bezsilnym mocarzem,  
Gdzie czyn był taki, gdzie miecz, który błyskał  
W Leonidasa króla Sparty ręce,  
Wieczyste imię pozyskał.

*Tł. J. Szujski.*

II.

Gdy malowaną arkę ciosaną  
Ciskała morska nawała,  
W niebo szumiącą bryzgając pianą,  
Padła ze strachu drżąc cała;  
Łzami zalana dziecię porywa,  
Perseja tuli do łona,

I tak się smutna, kwiląc odzywa :  
Matkaż ja biedna , strapiona!  
Ty śpisz spokojnie , śpisz, dziecię drogie,  
W przeklętej skrzyni kowanej,  
Śmieszki na liczku igrają błogie ,  
A wokół czarne tumany,  
A na twych bujnych kędziorków kaskadzie  
Burza ci słone pocałunki kładzie.

Straszno — dla ciebie świeci słońeczko ;  
Wichr wyje — nie słyszysz wycia :  
Jak mi się śmieje me dzieciąteczko  
Z purpurowego powicia !  
Gdyby ci serce trapiła trwoga ,  
Skłoniłbyś ku mnie swe uszko ,  
Słuchał, co mówi matka nieboga —  
Śpij tylko , śpij, moja duszko.  
Ach, żeby tylko i burza spała,  
Spała i w sercu mem troska ;  
Żeby odmianę jaką zesłała ,  
O Zeusie, wola twa boska !  
A jeśli grzeszne w trwodze o dziecinę  
Wyrzekła słowo, Zeusie! odpuść winę.

### III.

Ach jakże słabi są ludzie,  
Troska ich nęka niesyta ;  
Krótki czas znoją się w trudzie,  
A śmierć nad karkiem niezbyta.  
Wszyscy jej łupem, nie pomogą modły :  
Śmierć nie przebiera, szlachetnyś, czy podły.

### IV.

Między ludźmi chodzą słuchy :  
Cnota na skale mieszka wysoko ,  
Sama jedna w ciszy głuchej,  
Rzadko ją widzi śmiertelne oko.

Kto nad siły się utrudzi,  
Ubiedzi, lejąc śmiertelne poty,  
Kto bohaterem wśród ludzi:  
Ten tylko ujrzy oblicze cnoty.

V.

Bez bogów naród bezsilny,  
Dla ludzi niema zbawienia;  
Tam, w górze — bóg nieomylny,  
Tu, nisko — same cierpienia.

VI.

Na wszystko, człowiecze, bądź przygotowany:  
Bóg mocen w godzinie dokonać przemiany.

VII.

Wszystko na świecie mija na kształt sennej mary,  
I niedaremno piewca z Chios śpiewał stary:  
»Ludzie rosna i wędna jak liść na drzewinie«.   
Lecz rzadki taki, co wie i w serca głębinie  
One słowa zapisze; bo za każdym chodzi  
Jak cień nadzieja, co się w młodej piersi rodzi.  
Póki się ludziom luby czar młodości świeci,  
Cóż to się tam po głowie młodzieńczej nie kręci?  
Nikt nie myśli, że przyjdzie starość i śmierć blada;  
Póki zdrow, nie przypuści, że zdrowie postrada.  
Głupi, kto w upojeniu lubem zapomina,  
Że młodość, życie — jedna króciutka godzina.  
Ty wiesz o tem, więc po kres ostatni żywota  
Hasłem, panią twej duszy niechaj będzie cnota.

VIII\*).

Pod Maratonem Aten bohaterzy mężne  
Stanęli murem w obronie Hellady,  
I walcząc, porazili na głowę potężne,  
Medów od złota kapiące gromady

IX.

Tutaj cztery tysiące Greków bohaterskich  
Naprzeciw trzech stanęło milionów perskich.

X.

Przechodniu! powiedz Sparcie: tu leżym, jej syny,  
Prawom jej do ostatniej posłuszni godziny.

---

\*) Odtąd do końca są to napisy nagrobków. 8) rycerzy maratońskich, 9 i 10) termopylskich, 11) Leonidasa, 12 i 13) Koryntyjan poległych pod Salaminą, 14 i 15) poległych pod Plateami.

XI.

Zwierz najmocniejszy na tym grobie leży;  
W nim najmocniejszy spoczywa z rycerzy.

XII.

Syny niegdyś Koryntu, gdzie moc źródeł płynie,  
Na Ajasowej teraz leżym Salaminie.  
Tutaj, topiąc fenickie i perskie okręty,  
Broniliśmy Hellady, naszej matki świętej.

XIII.

Gdy Hellada stanęła na przepaści krańcu,  
Myśmy wszyscy bez trwogi stanęli na szańcu,  
Walcząc za nią na grzbiecie Salamińskiej fali;  
O, długo nas Persowie będą pamiętali.  
Prochy nasze tu leżą: Korynt, gród rodzinny,  
Ten pomnik nam wystawił, znak podzięki winnej.

XIV.

Młódź Ateńska, Persami zaślawszy to pole,  
Od Aten odwróciła sromotną niewolę.

XV.

Cześć wam, o bohaterzy, cześć wam nieśmiertelni,  
Cześć wam, Aten rycerze, w jeździe konnej dzielni.  
Coście w lat swych poranku tu polegli z chwałą,  
Walcząc z wrogów helleńskich przeważną nawałą.

Bakchylides.

I.\*)

Błogo, komu Bóg pozwoli  
Czarem piękna złocić życie,  
Wiek przepędzić w szczęsnej doli  
I w dostatnim dobrym bycie.  
O, bo żaden człowiek żywy  
Nie jest ze wszech miar szczęśliwy.

— — — — —

---

\*) W skróceniu.



II.

Trojańscy woje, Aresa drużyny!  
Zeus z chmur na ziemskie patrzy widowisko:  
W nim nie szukajcie swoich mąk przyczyny;  
Szczęście tuż każdy przy sobie ma blisko.

Nie szukaj w dali, nie łam sobie głowy:  
Tuż sprawiedliwość! Harmonii siostrzyca,  
Święta siostrzyca Temidy surowej;  
Szczęśliwy, czyj dom ta pani zaszczyca.

III.

Jeden kres ludziom — jeden szlak prosty  
Prowadzi w szczęścia krainę:  
Umieć omijać głogi i osty,  
Wesołą zachować minę.

Lecz komu brzęczy strach za uszyna,  
Troska o jutro wciąż nęka,  
Dla tego szczęścia w życiu już nie ma,  
I serce z bólu mu pęka.

IV.

Od wiek wieków wyrok boski  
Wszystkim ludziom zsyła troski,  
Lecz nie wszystkim śle jednakie:  
Jednym takie, drugim takie.

V.

Nie ma u nas mięsiw, złota,  
Ni purpury, ni kobierca;  
Lecz jest szczera Muz ochota,  
Są życzliwe, bratnie serca,  
I beockie też puhary  
Rozdzielają słodkie czary.

Pindaros.

I.

O cudne Charyty, nad Kefissu falą  
W bogatej w stada ojczyźnie siedzące,  
Orchomenosa patronki, strzegące  
Minywów szczepeu, co wiernie was chwala,

Słuchajcie głosu, który do was bije!  
Wdzięk od was każdy ludzkiego żywota:  
Rozum i blask i pięknota  
Wami się krzepi i żyje!  
Bogowie nawet na ucztę wesołą,  
Na taniec, nie ciągną, jak z wami,  
U boga z złotemi strzałami,  
Zasiada wasze koło,  
Ilekroć olimpskiego Zeusa pochwałami  
Brzmią usta bogów wieczystych.

(Antistrofa).

O piękna Aglajo, o pieśni bogini  
Talio, ty także wdzięczna Eufrozyne:  
Taneczne wam koło prowadzi chłopczynę,  
Co honor szczepowi dziś czyni.  
Pieśni moja tańcom zwycięstwa zawtórzy,  
Zawoła Echa, niech z pieśnią pochwały  
Bieżąc, w ponury kraj Hadu się nurzy,  
Gdzie ojciec chłopięcia zsiwiały.  
O kiedy go spotkasz, starego Kleudama,  
Mów, że nad Pizy zatoką  
Syn młodocianym swym lokom  
Wieniec pozyskał skrzydlaty,  
Że teraz świątyni brama  
Wita go w świecie bogatej!

*Tł. J. Szujski.*

## II.

Syrakuzy władca tłumi  
Kartaginy dumę srogą,  
Na czas młodzież wysłać umie  
Morskich fal pospieszną drogą,  
Salaminy piejąc chwałę,  
Gdzie Ateńczyk walczył dzielnie,  
Kiteronu pomnąc skałę —  
Gdzie nad Medem Sparty ramię  
Zajaśniało nieśmiertelnie.  
Niech Himery brzeg uświęcę,  
Gdzie Hierona dzielne ręce  
Powściągnęły Poenów butę,  
Gdzie okowy na nas skute  
Do ostatka Hellas łamie.

Ale cyt! ostrożnie z pochwałą!  
Lepiej rzec mało  
Niż wiele powiedzieć.

Zazdrość nie lubi przy pochwałach siedzieć,  
Dzielnosc człowieka pochwałą się gubi:  
Dosyć być zawsze człowiekiem,  
Któremu zazdrościć świat lubi.  
Ty dąż do celu, co szczytny,  
Steruj po morzu władania dalekiem  
Pram sterem, a w tem bądź ambitny,  
By słowo twe każde, co z ust twych wypadło,  
Przeszło przez prawdy kowadło.

Bo, gdy król błąd karli spłodzi,  
Lud go przekuje w olbrzyma;  
Czyja dłoń tak wiele trzyma,  
Ócz tysiące za dłonią tą chodzi.  
Więc szczytnej trzymaj się drogi,  
Jeśli ci miłym ten błogi  
Szept dobrej sławy dokoła:  
Otwartą dłonią syp dary;  
Śmiałego oka i czoła  
Na wiatry, na morza obszary  
Rozpuść ty żagle twej łodzi.  
Pochlebstwo i zdrada niech zdala  
Od pięknej duszy twej chodzi,  
Bo kiedy przyjdzie rozbiecie  
Śmierci, cóż ocali życie?  
Chwała je i pamięć ocala,  
Ocala głos wdzięcznych ludzi —  
I pieśń, co z chwały się budzi.

*Tł. J. Szujski.*

### III.

Promienne słońce, co wszystko przenika,  
Czemu, ukrywszy się nagle przed nami,  
Pracowitego tak straszysz rolnika  
I popłoch wszczynasz pomiędzy mędrkami?  
Lecz ja na Zeusa zaklinam cię miano,  
Nawróć ku Tebom uprząż dzielnych koni,  
Wstrzymaj twą wieszczbę, co złowróźnie dzwoni,  
Cóż to chcesz wieścić? Wojnę w naszym kraju,  
Czyli dotkliwy cios nieurodzaju?  
Zaspy śniegowe, co ziemię przygniotą,

Czy burzę ludu, co grozi zagubą?  
Zatór lodowy, co powłoką grubą  
Obejmie ziemię, morza wystąpienie,  
Czy powódź, łanów co przyśniedzi złoto?  
Czy potop może, co, zniszczywszy ludzi,  
Nowe wywiedzie z ziemi pokolenie?  
Cokolwiek dusza wysłedzić się trudzi,  
Trud to daremny. Pocięchą jedyną,  
Że cierpieć przyjdzie razem, płakać razem  
Z tebańskiej braci rodziną.

*Tł. J. Szujski.*

---

# POEZJA DRAMATYCZNA.

## a) TRAGEDYA.

Poezja dramatyczna zawdzięcza swoje narodzenie uroczystościom na cześć Dionyzosa, urządzanym corocznie od grudnia do marca (z przerwami), (wiejskie czyli małe Dionizyje, t. z. Lenaie, i miejskie czyli wielkie Dionizyje). Cały lud żywo i serdecznie zajmował się niemi. Jedną z głównych części obchodu były dytyramby i pieśni, śpiewane przez chór, z 50 osób złożony, pod przewodnictwem samego poety, albo tegoż zastępcy; przygrywał on na siedmiostrunnej lirze, a towarzyszył mu flecista. Dla chóru tego budowano osobną kolistą estradę (orchestra).

Poeta miał zadanie trudne i wielkie, musiał bowiem sam układać pieśni i muzykę do niej, sam grał i sam rozpoczynał śpiew, a oprócz tego musiał znać się na tańcu, podług jego bowiem wskazówek wykonywali chórzysci rytmiczne ruchy taneczne. Co prawda, w razie powodzenia, czekała go sława prędką i głośną, a zarazem i sowita nagroda. Chórzysci występowali z początku w postaci Satyrów t. j. przybrani byli w skóry kozłe (koziół — tragos) i w tem szukać należy początku nazwy tragodya czyli tragedia\*). Z czasem bądź dla urozmaicenia rzeczy, bądź też na to, żeby śpiewacy odpoczęli, odłączał się poeta od chóru i w przerwach wygłaszał ustępy z życia Bakchosa (Dionyzosa). Jeśli poeta miał słaby głos, albo co innego mu przeszkodziło, szukał sobie zastępcy, i tak pojawił

---

\*) Niektórzy wywodzą nazwę tę ztąd, że w dawnych czasach przy śpiewie chóru ofiarowano kozła, inni znowu, że jako nagrodę zwycięzca otrzymywał kozła.

się na scenie aktor (hypokryta), z początku tylko jeden. W początkowych, niestety nie dochowanych nam, utworach\*) przeważał pierwiastek liryczny; żywioł prawdziwie dramatyczny wprowadził dopiero, zachowując jednak dla pierwszego bardzo znaczne jeszcze miejsce, pierwszy z trzech wielkich tragików greckich.

I. Aischylos, powszechnie i słusznie »ojcem tragedyi« nazwany. Była to dusza gorąca, szlachetna, pełna zapału, dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, mistrz wielki, pracownik niestrudzony. Wprowadził na scenę drugiego aktora (deuteragonistę, pierwszy, nazywał się protagonistą), a przez to i rozmowy czyli dyalog, będący podstawą dramatycznego utworu. Oprócz tego ożywiała rzecz jeszcze trzecia milcząca osoba (służebna, albo posłaniec). Chór, jak już wspomniano, Aischylos skrócił i na drugi plan usunął — ale treść jego ściśle z przedmiotem tragedyi połączył i związał. Przedmioty czerpał z podań ojczystych w historycznym porządku i związku, z czasów heroiczych, z wielkich epepei Homera i dlatego, jak już powiedzieliśmy w historii epepei, sam mówił o sobie, że zbierał tylko okruchy spadłe ze stołu Homera. On pierwszy stworzył także trylogie t. j. trzy tragedye pokrewieństwem treści ze sobą połączone, do których dodawano dla rozpogodzenia umysłów wesoły dramat satyryczny; co razem tworzyło tak zwaną tetralogię. Taką tetralogię przedstawiano podczas wielkich dyonizyów przez trzy, a później nawet pięć dni, przedpołudniem. Słuchacze miejscowi i przyjezdni siedzieli w teatrze\*\*) przez dobrych kilka godzin,

---

\*) Tespis, Choirilos, Pratinas, Frynichos, pierwsi na tem polu torowali drogę następcom.

\*\* **Teatr starożytny.** Początkowo przedstawienia dramatyczne odbywały się na drewnianych rusztowaniach (na wozach komedye, na stole ofiarnym tragedye). Później w Atenach teatr drewniany wznosił się na południowej spadzistości pagórka, na którym była Akropolis, pomiędzy zamkiem tym a starą świątynią Dionyzosa w obwodzie Limnai.

Kiedy koło r. 500 przed Chryst. drewniane rusztowanie teatru zapadło się. rząd w krótkim czasie (około roku 498 przed Chr.) wystawił nowy teatr z kamienia, wykuwszy siedzenia w skale zamkowej. W teatrze tym, zwanym »teatrem Dionyzosowym« mogło pomieścić się 30.000 widzów. Jak w Atenach, tak wszędzie starożytni. budując teatru, więcej baczyli na praktyczność i wygodę, niż na wykwintność i okazałość. Gmachy te bowiem ogromnych rozmiarów nie tylko miały pomieścić lud zebrany na widowiska teatralne lub muzykalne, ale także wszystkich obywateli, radzących o dobru publicznem na sejmach. Nie pokrywając ich dachem, ani nie zabezpieczając przed słońcem i siołą, wyrażono nawet zewnętrznie na oko, w jakim celu je stawiano. Wszystko bowiem,

z największą uwagą i współudziałem śledząc przebiegu czterech sztuk. Bardzo wielu na kilka godzin przed rozpoczęciem przedstawienia przychodziło do teatru, żeby zająć lepsze miejsce. O zapłatę za wstęp od czasu Peryklesa nikt się troszczyć nie potrzebował, bo wyryczało go państwo, które przedstawienia teatralne uważało za

co tam się działo, miało być na widoku publicznym, toczyć się przed oczyma ludu i odegrać się poniekąd wśród gwaru ulicznego. Gmachy teatralne, otoczone gdzieś portykami, kędy widzowie w chwilach przestanków (pauzach) przesiadywali, lub przechadzali się, składały się z trzech nierównych pod względem wielkości części: z miejsc dla widzów (kojlon), sceny dla aktorów (skene) i z orkiestry dla chóru, łączącej scenę z kojlon. a) Orchestrę, będącą powszechnie odcinkiem koła większym, otaczały siedzenia czyli ławy kamienne dla widzów, niby spółośrodkowe koła wznoszące się ponad sobą tak, iż stopniowo wyższe coraz większym promieniem, wyprowadzonym z punktu środkowego orkiestry, one określały. Punkt ten środkowy rosnącego z wysokością ław odcinka zwał się Tymele. Za pomocą stósownych przyrządów akustycznych i odzienia jaskrawego aktorów, widzowie, siedzący na najwyższych i najodleglejszych od sceny ławach, słyszeli i widzieli wszystko doskonale.

Piętrzące się ław rzędy przecinały ścieżki wschodowate, niby promienie ze środka koła niedokończonego orkiestry aż do ostatnich i najwyższych ław, czyli do ściany zewnętrznej teatru pociągnięte, tworząc kliny z ław i ułatwiając przystęp do miejsc i wychodzenie. Nadto jeden lub dwa szerokie ganki pomiędzy ławkami, łukiem od jednego do drugiego końca kojlon sięgające, rzędy ław dzieliły na piętra. (Ganki te bywały pojedyncze lub podwójne; w drugim razie jeden z nich był nieco wyższy od drugiego). Siedzenia pojedyncze bywały przedzielone liniami i numerowane; znalezione bilety teatralne ze spiżu z wypukłym pismem lub ze słoniowej kości, zawierają nazwisko poety, tytuły dramatów przedstawić się mających i numer miejsca. Na przednich ławach, najniższych siadywali królowie, urzędnicy wyżsi, kapłani, posłowie, zasłużeni patryoci, w ogóle wszyscy mający prawo do miejsc honorowych (proedrya). b) Orchestra zaczynała się tam, gdzie najniższa ława najmniejszy łuk zakreślała, o 12 do 15 stóp w głąb zapuszczona i przedzielona murem od siedzeń. Było, jak powiedziano, odcinek koła większy pomiędzy siedzeniami a przednią sceny (proskenion.), pierwotnie przeznaczony do tańca, na gołej ziemi (Koni-stra). W samym środku orkiestry wznosił się pierwotnie ołtarz Dionyzosa, tak zwana Tymele, później rusztowanie, gdzie tak zwani Tymelikoj t. j. tanecznicy i mimicy stawali. c) Za cięciwą, granicę orkiestry stanowiącą, na płaszczyźnie nieco podwyższonej poczynała się scena: prostokąt dłuższymi bokami równoległymi obrócony ku Orchestrze i choć nie głęboki wcale, sięgający przecie ostatnich krańców budowy teatralnej. Nazywała się skene, jakkolwiek to nazwisko służyło tylko tylnej ścianie i dekoracyom, zamykającym scenę. Ściany boczne, po prawej i lewej stronie sceny, w których były drzwi wchodowe dla aktorów, a tuż przy orkestrze dla chóru, nazywały się paraskenia, przestrzeń zaś, przed tylną ścianą będącą i graniczącą z orkestrą, proskenion, w jej

swój monopol i za dzielny środek podniesienia oświaty ludu. Żywe, burzliwe oklaski były nagrodą poety i aktorów, ale też nie przepuszczano najmniejszej pomyłki i gwizdano niemilosiernie, jak jeszcze dziś bywa we Włoszech. Aischylos, syn Euforiona, urodził się w r. 525 (Ol. 63, 4) przed Chr. z szlchetnego staroattyckiego rodu. Piękną miał młodość. Ukończywszy nauki, walczył za wolność ojczyzny pod Maratonem, pod Salaminą, pod Plateami; pod Maratonem ciężką odniósł ranę. Uczczono to na nagrobku jego, jako większą zasługę, niż autorska. Kilkakrotnie przebywał w Sycylii, zaproszony przez Hierona, i tam też zaskoczyła go śmierć w r. 456 (w mieście Gela, gdzie mu postawiono wspaniały nagrobek).

---

środku miejsce do akcyi (logejon) a na tem znowu szczuplejsze, wywyższone, głównie na tenże cel przeznaczone (okribas). Wszystkie te ściany były zbudowane z drzewa, aby głos lepiej się rozlegał; a celem przeniesienia głosu do dalekich siedzeń widzów używano naczyń kruszcowych, które podobno w niżach pod siedzeniami gdzieś tam się znajdujących (we wykopaliskach) umieszczano. Ściana sceny z desek lub z obić była pomalowana i przedstawiała budynek zwykle dwupiętrowy z obszernym frontem, portykami i przestronnym dziedzińcem, rzadziej przedmiejską okolicę, obóz wojenny lub co innego. Przed owym budynkiem, czyli na przestrzeni między tylną i bocznymi ścianami a przednią częścią sceny, ozdobionej obrazami, posągami, ołtarzami i t. p., odbywała się akcyja. Tam, na dziedzińcu lub na gościńcu publicznym, spotykały się osoby dramatów; tam działały czynem i słowem, jak w publicznem życiu, na rynku. W samym środku domu (pałacu, zamku) był główny wchód: wrota królewskie; drzwi boczne, po prawej stronie widza będące, wiodły do pokojów gościnnych, po lewej do mieszkania czeladzi. Niezmiernie to ułatwiało poznanie ról i zastępowało poniekąd afisze 'dzisiejsze: gdyż członkowie rodziny królewskiej i sami królowie, występowali na scenę średnimi drzwiami; bocznymi po prawej cudzoziemcy, mieszczanie i t. p., po lewej czeladź, i t. d. Dekoracye te wystarczały dla publiczności greckiej. Nie znano ani zasłony, ani aktorów dramatu. Nie było też na scenie skrzyni dla suflera. Kiedy było potrzeba zmienić dekoracyą w głębi sceny, natenczas za pomocą machin trójkątnych dokonywano tego, że ściana sceniczna częściowo, albo całkowicie po obydwóch stronach się usuwała. W pierwszym razie zwało się to scena ductilis, w drugim razie, gdzie przez usunięcie całej tylnej ściany scenicznej, widok otwiera się na las pusty, (n. p. w Sofokl. Ajasie 815.) scena versilis. Czynność ta po grecku zwała się ekkyklein, a scenerya ztąd wynikała ekkyklema. Ekkyklema więc zmieniało nagle scenę, lub ukazywało osoby, sceny we wnętrzu pałacu lub domu, a tak zwane Eiskyklema usuwało żwawo osobę ze sceny. Zmiany całkowite, jak w Eumenidach Aischyłosa, były niezwykle. Zresztą dekoracye, machiny, garderoba były za tylną ścianą sceny.

(Przyp. Z. Węclewskiego).



W 25. roku życia wystąpił po raz pierwszy na arenę sceniczną, zachęcony do tego we śnie przez samego Dionyzosa. W 45. po raz pierwszy zwyciężył (w r. 480)\*). Odtąd pracował dla sceny przez długi szereg lat; siedemnaście razy otrzymał pierwszą nagrodę. Zostawił 70 do 90 tragedyi, z których niestety, oprócz cennych ułamków, przeszło do nas tylko siedm, a między nimi jedna tylko cała trylogia (Oresteia). Z tytułu znamy 38.

1) *Hiketides* (Proszący o ochronę). Danaos z córkami, chroniąc się od natarczywości synów Aigyptosy, uchodzą do Argos, i za wstawieniem się argińskiego króla przyjmują ich lud w gościnę. Wkrótce przybywa egipska flota; herold żąda wydania zbiegłych, grozi, ale na próżno. Potem z wdzięcznością witają nową ojczyznę.

2) *Persowie* (Persai). Jest to środkowa część trylogii, przedstawia klęskę Xerksesa, doznane od Greków pod Salaminą i Plateami, jako sąd boży i karę. Pycha upokorzona tu przez pokornych, a ufających bogom. Chór złożony z sędziwych Persów. Jest to jedyny (z zachowanych) historyczny dramat.

3) *Siedmiu przeciw Tebom* (Hepta epi Tebas), część ostatnia trylogii. Siedmiu bohaterów oblega siedm bram tebańskich. Zatrwożony chór dziewięć uspokaja Eteokles, zarządza środki obrony, a sam wyrusza przeciw bratu Polyneikesowi. Niebawem donosi poseł, że nieprzyjaciele odparci, ale obaj bracia, walcząc ze sobą, polegli. Uchwała ludu zabrania grzebać Polyneikesa, lecz nie słucha tego zakazu Antygona. Druga siostra Ismena odchodzi, by pogrzebać Eteoklesa.

4) *Prometeus w więzach* (Prometheus desmotes). Prometeus za to, że wbrew woli Zeusa wykraść z nieba i przyniósł ludziom ogień, przykuty do skityjskiej skały, oczekuje strasznych mąk, niezłomny i nieugięty. Napróżno chcą go ratować Okeanidy i sam Okeanos, napróżno go nakłaniają, by się upokorzył i ugiął. Wśród grzmotów i błyskawic strącony ze skały do Tartaru, tylko wówczas będzie mógł się wyzwolić, jeśli jaki bóg dobrowolnie go tam zastąpi.

5—7) *Oresteia*. Trylogia w całości zachowana, a) *Agamemnon*, przedstawia podstępne zamordowanie tegoż przez żonę Klytaimnestrę i Aigistosa. b) *Ofiara grobowa* (Choeforoi). Orestes w związku ze siostrą Elektrą, mszcząc śmierć ojca, zabijają Klytaimnestrę. c) *Eumenidy* (Eumenides). Orestesa ścigają Erynie, lecz ujmuje się za nim Atena, bo jego zbrodnia była tylko wypływem strasznej zbrodni matki; areopag w Atenach uwalnia go od kary, Atena zaś przejednywa srogie Erynie, odtąd Eumenidami (życzliwymi) nazwane.

Tragedye Aischylosa odznaczają się wzniosłą powagą i godnością; — jest on reprezentantem starej wiary i starych, dobrych

\*) Do zapasów dopuszczano dwóch, trzech, a najwyżej pięciu poetów, choć zgłaszało się więcej. Rozstrzygał w tej sprawie archont, który swoją drogą mógł być najlepszym archontem, a nieszczególnym krytykiem.

czasów, jakie świeciły Grecyi po wojnach perskich. Człowiekiem u niego rządzi nie ślepy przypadek, lecz nieubłagany los, raczej niezbadana moc boża, która nie pozwala mu przekraczać granic ziemskich jego sił, a której nawet bogowie ulegać muszą. Charaktery, kresłone z siłą, styl śmiały i pełen wzniosłych obrazów i zwrotów, układ pełen prostoty. Z. Węcławski Aischylosa tłóm. wszystkie. J. Szujski Agamemnona i Prometeusza.

II. Sofokles, syn Sofillosa, zamożnego fabrykanta broni, urodził się około r. 496. w wiosce Kolonos koło Aten. Wychowanie otrzymał jak najstaranniejsze. Jako szesnastoletni młodzieniec śpiewał w chórze pean tryumfalny na zwycięstwo pod Salaminą. W r. 469. (Ol. 77, 4) mając lat 27, stanął do współzawodnictwa z Aischylosem i zwyciężył. Pokonanie mistrza, do tryumfów przyzwyczajonego, zrobiło go od razu sławnym człowiekiem. Nowości, jakie wprowadził na scenę, wprawiły widzów w zdumienie, ale zyskały przebojem poklask i uznanie.

Lud, opowiadają starożytni, chcąc go wybitnie odznaczyć, posłał go w r. 440. z Peryklosem jako wodza do Samos, a wkrótce potem mianował go przewodniczącym rady nadzorczej, przechowywanego na Akropolis, skarbu związkowego. Szanowany i kochany, doczekał późnej starości, umarł bowiem mając lat przeszło 90 w r. 406.; na nagrobku jego umieszczono Syrenę, jako symbol czarującej poezyi. Z jego lat sędziwych dochowała się zajmująca anegdota. Najstarszy syn poety, Jofon, sądził się na majątku pokrzywdzonym przez ojca, na rzecz młodszego, i wniósł na ojca skargę do sądu o niepoczytalność, czyli osłabienie umysłu z powodu starości. Sofokles stanął przed sądem i zamiast wszelkiej obrony odczytał chór z »Edypa w Kolonie«, okazujący dowodnie świeżość i młodzieńczą prawie siłę umysłu. Sąd naturalnie uwolnił go w sposób jak najzaszczytniejszy. W teatrze występował Sofokles tylko w rolach wymagających słabszego głosu (np. jako Nausikaa).

Sofokles, najznakomitszy po dziś dzień z poetów tragicznych, nazywany »ideałem« albo także »Homerem tragedyi« był uosobieniem ateńskiej cywilizacji i sztuki w chwili najpiękniejszego, najwyższego jej rozwoju. Aischylos jest reprezentantem starych Aten, Sofokles Peryklesowych. Wstępując w ślady poprzednika, doprowadził tragedję do nieznanej przedtem doskonałości. Aischylos torował drogi, on je wygładził, upiększył. Wprowadził trzeciego aktora, a przez to ożywił niezmiernie i podniósł akcyę dramaty-

czną. Charaktery rysował z wielką znajomością duszy ludzkiej, z uwzględnieniem psychologicznych pobudek i przyczyn; z szczególnym i jedynym zaś wdziękiem charaktery kobiece. Nietylko bystrem okiem patrzył na życie, ale przenikał je głębokim rozmyślaniem. Z zamiłowaniem przeprowadza dowód, że w walce obowiązków i skłonności, zwycięża zawsze moralna siła, choćby bohater uległ; że winę, w którą się zawikłał, okupuje tragiczny upadek, przez co równowaga bywa przywrócona i bóstwo przejednane. We własnych więc rękę dzierży człowiek swoje losy, »sam sobie robi koło i sam się w nie wplata«. Jeśli dodamy do tego »słodki« przesliczny język (porównywano Sofoklesa z pszczołą, miód zbierającą), szlachetną prostotę, połączoną z blaskiem i siłą, to dziwić się nie będziemy, że cała Grecya za życia i po śmierci oddawała pociechę nadzwyczajną, że wznoszono mu pomniki\*) i składano ofiary.

Sofokles żył długo, ale i nie próżnował, napisał bowiem około 120 do 130 tragedyj; znamy tytuły stu blisko, ale posiadamy w całości niestety tylko siedm, a mianowicie:

1) *Ajas* (*Aias*). *Ajas* w walce o zbroję *Achilleśa*, pokonany przez *Odyseusa*, pragnie zemścić się na *Atrydach*, ale za sprawą *Ateny* wpada w obłąd i zabija trzody, w mniemaniu, że to jego zemsty ofiary. Odzyskawszy przytomność, ze wstydu i upokorzenia odbiera sobie życie. *Menelaos*, poparty przez *Agamemnona*, nie pozwala go pogrzebać. *Teukros* przeciwnie broni zdania, wreszcie pośrednictwo *Odyseusa* sprawia, że ciało bohatera należną cześć oddają.

2) *Elektra* przedstawia straszną zemstę *Orestesa* i siostry jego, na wyrodnej matce *Klytaimnestrze* dokonaną.

3) *Król Oidipus* (*Edyp*), w sposób porywający maluje okropne, krwawe domowe dzieje nieszczęsnego króla, który, poznawszy za późno, co zaszło, wykłuwa sobie oczy.

4) *Oidipus w Kolonos* (*Oidipus epi Kolono*) jest pięknym uzupełnieniem tragedji poprzedniej. Po krwawych próbach i przejściach pojednany z bogami, umiera nieszczęsny starzec, którego dolę osładzały dwie przywiązane córki *Antygona* i *Ismena*, szczęśliwą i piękną śmiercią, łaską bogów opromieniony.

5) *Antigone*. (*Antygona*). Szlachetna dziewczica, nieodrodna córka swego ojca, wbrew zakazowi *Kreona* spełniając święty obowiązek siostry, posłuszna głosowi serca, grzebie brata *Polinekesa* i oddaje mu cześć pośmiertną. *Ismena* mniej energiczna, miększa, łagodniejsza, waha się i nie ma odwagi współdziałać, ale później przyznaje się także do winy,

---

\*) W teatrach ustawiano posągi trzech wielkich tragików; jeden z posągów *Sofoklesa* i dwa biusty dochowały się do naszych czasów, i pozwalają nam podziwiać piękną, szlachetną postać poety.

i chce cierpieć razem ze siostrą. Napróżno syn Kreona, Haimon, narzeczony Antygony, błaga i przekonywa ojca — literze prawa musi stać się zadość. Antygona skazana na śmierć, i wtedy dopiero dowiadujemy się, jak ciężko jej żegnać się z młodem życiem, choć o narzeczonym nie wspomniała. Namyślił się Kreon, przerażony złowrogimi przepowiedniami, ale zapóźno. Antygona już nie żyje, obok niej spoczywają martwe zwłoki Haimona. Żona Kreona, przeklinając męża, odbiera sobie życie, a i on wygląda śmierci jak zbawienia. Kolizya prawa ludzkiego serca z prawami państwowemi przedziwnie tu przeprowadzona, a pogwałcenie pierwszych ukarane upadkiem całej rodziny.

6) Trachinki (Trachiniai). Dejaneira, żona Heraklesa otrzymała od Kentaura Nessosa, ugodzonego zatrutą strzałą Heraklesa, suknię, która miała mieć własność obudzania w małżonku trwałej miłości dla żony. W rzeczywistości była to szata zabójcza. W najlepszej myśli posłała ją Dejaneira mężowi, o którego przywiązaniu zaczynała wątpić. Herakles umiera, a nieszczęśliwa małżonka, żalu przenieść nie mogąc, odbiera sobie życie. Spełniła się przepowiednia, że Heraklesowi śmierć zada nie żyjący, lecz martwy. Swoją drogą tylko śmierć uwolnić go mogła od strasznych utrapień, jakie przechodził.

7) Filoktetes. Przepowiednia orzekła, że bez Filokteta i jego łuku Troja nie może być zdobyta. Odysseus i Neoptolemos przybywają na Lemnos, gdzie Filoktet, już dziesięć lat cierpi od ukąszenia jadowitej żmiji. Z początku namawiają Filokteta, żeby pojechał z nimi, podstępnie obiecując zawieść go do domu, ale szlachetny młodzieniec Neoptolemos nie może znieść podstępu i kłamstwa, i wyznaje prawdę biednemu Filoktetowi, który nie chce jechać, ale ostatecznie ulega wyraźnemu rozkazowi boga. Wszyscy trzej wielcy tragiccy opracowali ten przedmiot tak znakomicie, że Dion Chrysostomos żadnemu pierwszeństwa nie przyznał.

Przekłady tragedyi Sofoklesa: Małcki, Elektra. Poznań, 1854. Z. Węclewski: wszystkie. Poznań, 1875. K. Kaszewski: wszystkie. Warszawa 1888. Wężyk Edyp król. J. Czubek: Edyp król. Edyp w Kolonos i Antygona. G. Groddeck: Trachinki i Filoktet, i Mihanowicz Edyp.

III. Eurypides urodził się, jak podanie niesło, w dniu bitwy salamińskiej w roku 480. (prawdopodobniejszy jest jednak rok 485.). Rodzice trudnili się kramarstwem; ale widać, że byli dość zamożni, bo dali synowi wielce staranne wychowanie, choć pierwotnie kształcili go wbrew jego chęci na atletę, a to skutkiem wyroczeni, że syn ich »w zapasach wieńce zdobędzie«. Nauczycielami jego byli Anaxogoras, Protagoras, Prodikos, a nawet sam Sokrates, z którym łączyła go przyjaźń dozgonna. Zapalone studyum filozofii odbiło się silnie w jego umyśle i dziełach; odbiło

się w nich i posępne życie. Ponury i nieprzystępny z natury, brzydki, nieszczęśliwy w pożyciu domowym, mało doznający powodzenia (bo tylko cztery razy odniósł zwycięstwo), a wyszydzany przez komedyopisarzy nielitościwie, często nawet bezczelnie, jako mniemany zwolennik ochlokracyi t. j. panowania tłumu, co było nieprawdą, bo był on przedewszystkiem gorącym patriotą, zamykał się w sobie coraz więcej, i posępne dawał światu dramatyczne obrazy. Znał on życie, ale zajmowały go głównie złe jego strony, a przedstawiał ludzi, a mianowicie samolubów, kłamstwem się posługujących, takimi, jakimi byli, z wiernym, niekiedy przesadnym realizmem. Jest on wiernym przedstawicielem nowych kierunków i nowych czasów, w których upadała dawna wiara i prostota, i traściły urok dawne ideały i dawne cnoty. Ten pesymistyczny i sceptyczny kierunek, pytający wiecznie: Dlaczego? na co? jakoteż i okoliczność, że, odstępując od tradycyi, wprowadził na scenę świat pospolity, mieszczański, a zarazem nawiązywał silną nie intryg i dbał o wrażenia (efekt), robią Eurypidesa przesłannikiem i patriarchą nowoczesnego dramatu.

Pragnie przedewszystkiem światła, wykształcenia, choć ono szczęścia mu nie dało. Wierzy w ślepy, twardy los, nie robiący różnicy między dobrym a złym, między sprawiedliwością a krzywdą. Praw człowieka broni przy każdej sposobności; zacny niewolnik jest dla niego szanowniejszym i lepszym, niż człowiek wolny bez charakteru. Filozofia psuła u niego, podgryzała, poezję. Walka pragnień i namiętności jednostek z otaczającym światem, z porządkiem rzeczy, przez obyczaje lub wiarę wskazanym, nastęrcza mu wdzięczną sposobność do wywoływania silnych wzruszeń i gorącego współczucia słuchaczów — i dlatego nazwał go Aristoteles »najtragiczniejszym z poetów«. Przytem działał na zmysły widza efektowną sceneryą, bogactwem kostiumów, olśniewającą maszyneryą — co także zbliża go do nowoczesnego teatru. Budowa jego sztuk nie jest ani tak jednolita, ani tak artystyczna, jak u Sofoklesa, i często, gdy nie ma innej rady, gdy się sprawy zanadto pogmatwiają i spiętrzą, dopomaga sobie nagłem, sztucznem rozwikłaniem, najczęściej wmięszaniem się jakiegoś boga, (u Sofoklesa raz się to tylko zdarzyło, w Filoktecie), co starożytni nazywali »bogiem z maszyny« (deus ex machina u Rzymian, teos apo mechanēs u Greków). Szczegóły jednak i sceny bywają świetne, myśli bogate i głębokie, styl naturalny i mistrzowski, dowcip wielki i cięty. To

wszystko sprawia, że, jak Goethe Niemcom, wiodącym spór o to, kto większy, czy on czy Schiller, kazał się raczej cieszyć, że mają obydwóch — tak i Grecy, którym poezya dramatyczna w ogólności zawdzięcza swój początek i powstanie, tylko cieszyć i chlubić się mogą, że posiadali trzech tragiczków, tak wielkich a tak różnych, i że ci trzej całemu światu byli i są mistrzami i wzorem. Przewszystkiem naśladowali go Rzymianie i Francuzi. Ostatnie lata życia przepędził Eurypides w Magnezji i w Pelli na dworze króla macedońskiego Archelaosa i tam umarł w r. 406, otoczony wielkim szacunkiem i uczczony wspaniałym nagrobkiem. Napisał około 80 tragedji, z których dostało się nam (nie licząc fragmentów) siedmnaście, (bo ośmnasta »Rhesos« nie jest dziełem poety) i jeden dramat satyryczny (Kyklops).

1) Alkestis. Król Admet za pośrednictwem Apollona otrzymuje przyrzeczenie, że ujdzie przeznaczonej mu śmierci, jeśli ktoś dobrowolnie za niego umrze. Nie ma takich, nawet starszankowie rodzice nie chcą. Jedna tylko małżonka króla Alkestis poświęca się z miłości, ale wydobyla ją z tamtego świata Herakles, którego niegdyś Admet gościnnie podejmował. Jestto pierwszy co do czasu z zachowanych utworów (przedstawiony w r. 438) jako czwarta część tetralogii, więc raczej do satyrycznego dramatu zbliżony. Racine mówił, że nie zna nic bardziej wzruszającego, jak ta tragedia.

2) Medea (Medeia) z r. 432. Jason postanawia ożenić się z Glauką, córką korynckiego króla Kreona, a wierną małżonkę i matkę swych dzieci Medeę odepchnąć. Straszna zemsta dotknęła go za to. Medea zabija Glaukę i po ciężkiej walce własne dzieci i uchodzi do Aten. Jestto mistrzowski obraz wewnętrznych walk kochającej, a zdradzonej, kobiety.

3) Hippolytos (stefanosforos — wieńconośny) w r. 428 zdobył pierwszą nagrodę. Fedra (Faidra) żona Tezeusza, której zbrodniczą miłością wzgardził jej pasierb Hipolit, nie mogąc przenieść wstydu i upokorzenia, zabija się, ale z zemsty pozostawia tabliczkę obwiniającą przed mężem niewinnego młodzieńca. Skazany na wygnanie, ginie w drodze z powodu spłoszenia się koni, a to za sprawą Pozejdona. Artemis, nie mogąc znieść krzywdy, objawia prawdziwy stan rzeczy Tezeuszowi, ale zapóźno — umierający Hipolit przebacza ojcu. Tragedya ta daje prawdziwy obraz namiętności, stopniowo ogarniającej i pochłaniającej człowieka. Ten sam przedmiot opracował Racine (Phèdre).

4) Heraklidzi (Herakleidai), potomkowie Heraklesa, przesładowani przez Eurystheusa, znajdują schronienie w Atenach u króla Demofona. Wyrocznia oświadcza, że Ateńczycy zwyciężą, jeśli jaką szlachetną dziewicę ofiarują Demetrze. Córka Heraklesa Makaria dobrowolnie idzie na śmierć. Eurystheus pokonany i zabity. Przebija w tej tragedji polityczny zamiar zaznaczenia niewdzięczności ludności doryckiej w Peloponezie.

5) *Andromache* przedstawia z strasznym realizmem i grozą śmierć *Neoptolemosa*, który ożenił się naprzód z wdową po *Hektorze*, a potem z córką *Menelaosa* *Hermioną*, i umiera za sprawą *Orestesa*, narzeczonego *Hermiony*. Utwor ten należy do słabszych.

6) *Hekabe* ma za przedmiot zemstę nieszczęsnej niegdyś żony *Priama*, później niewolnicy *Odyseusa*, dokonaną na trackim królu *Polyestorze*, który zamordował i rzucił do morza syna jej *Polydora*.

7) *Proszący o ochronę* (*Hiketides*). Na prośbę matki i *Adrastosa* zmusza *Tezeusz* *Kreona* do wydania ciał argińskich bohaterów, poległych pod *Tebami*. *Adrastos* składa przysięgę, że *Argos* nigdy nie wystąpi nieprzyjaźnie przeciw *Atenom*.

8) *Herakles* szalejący (*H. mainomenos*) zabija *Lykosa*, któremu *Tebanie*, mniemając, że *Herakles* w wyprawie po *Cerbera* zginął, oddali władzę — a potem w przystępie szaleństwa własną żonę i dzieci. Przyszędłszy do świadomości, pragnie umrzeć, i tylko z trudnością zabiera go *Tezeusz* do *Aten* dla oczyszczenia się ze zbrodni.

9) *Jon*. Tragedya rodzinna, spowodowana tem, że *Jon*, dzieckiem przez wyrodną matkę wyrzucony, a szczęśliwym przypadkiem przez kapłanów ocalony i wychowany, dorósłszy, omal nie dopuścił się strasznej zbrodni, zanim go rodzice poznali i za syna uznali.

10) *Trojanki* (*Troades*), barwny, okropny obraz upadku *Troi* i nieszczęsnej doli członków domu królewskiego.

11) *Helena* (*Helene*) oparta jest na podaniu, które i *Herodot* przytacza w historii *Egiptu*, że prawdziwa *Helena* przebywała w *Egipcie*, a *Grecy* walczyli o jej sobowtóra. Król *Teoklimenos* pragnie ją pojąć w małżeństwo, ale przybywa *Menelaos*, z radością dowiaduje się o tem, co zaszło, i uwozi *Helena* do domu. Owa druga, złudna *Helena*, rozpytywa się w powietrzu.

12) *Elektra*, najsłabsza z tragedyi *Euripidesa*. Przedmiot ten sam, co u *Sofoklesa*. Nie lepszą jest tragedia 13) p. t. *Orestes*.

14) *Ifigenia w Taurydzie* (*Ifigeneia he en Taurois*). *Orestes* z przyjacielem *Pyladesem* przybywają do króla *Toasa* w *Taurydzie*, ażeby na rozkaz *Apollona* zabrać ztamtąd drewniany posąg *Artemidy*. Schwytani i skazani na śmierć. W ostatniej chwili *Orestes* daje się poznać siostrze *Ifigenii*, która, gdy ją przeznaczył był ojciec na ofiarę, ocalona przez *Artemidę* i do *Taurydy* przeniesiona, była tam jej kapłanką. Postanawiają uciekać. Niestety fale napędziły nawę napowrót ku brzegom i byliby niechybnie zginęli, lecz ocaliła ich interwencya *Ateny*.

15) *Fenicyanki* (*Foinisai*), nazwane tak z powodu, że chór składa się z dziewic fenickich, mają za przedmiot walkę i śmierć dwóch braci *Eteoklesa* i *Polineika*. *Tebanie* zwyciężają, ponieważ syn *Kreona*, *Menoikeus*, dobrowolnie idzie na ofiarę — z miłości dla ojczyzny.

16) *Ifigenia w Aulidzie* (*Ifigeneia he en Aulidi*). *Artemis* ocala przeznaczoną na ofiarę dziewczę i unosi ją do *Taurydy*, gdzie została jej kapłanką. Stan duszy *Ifigenii* po mistrzowsku skreślony. (Tragedyę tę jak i następną przedstawiono dopiero po śmierci poety).

17) *Bachantki* (*Bakchai*). Dionysos przybywa do Teb i wprawia tamtejsze niewiasty, za to, że nie chcą uznawać go za boga, w bachancki szal, który doprowadza do tego, że króla Pentheusa zabija własna matka Agaue. Potęgę i boskość Dionysosa kreśli tu poeta w sposób wspaniały. Tragedya ta świadczy, że w starości nawracał się Eurypides do starej wiary ojców i zaczął uznawać marność sofistycznego sceptycyzmu.

18) *Cyklop* (*Kyklops*) przedstawia w wesoły sposób osłepienie Polyfema, znane z *Odyssei*, w swobodnem opracowaniu.

Dzieła Eurypidesa, po wszystkie czasy wysoko cenione, były przedmiotem licznych komentarzy, objaśnień i wydań.

Na język polski tłómaczyli: Wszystkie tragedye, Z. Węclewski, Poznań 1881. *Medeę* A. Walicki, *Fenicyanki* i *Orestesa* Mihanowicz.



# Z tragedyi Aischylosa

## Prometeusz w okowach\*).

Prometeusz, półbóg, syn Japeta, przyczynia się stanowczo do pokonania tytanów, olbrzymów, i do oddania w ręce Zeusa rządu nad światem, nad którym dotąd Kronos (czas) panował. Ale i Zeusowi zachciało się despotyzmu: zapragnął on wytracić ród ludzki.

Nikt nie był tak śmiałym  
Stawić mu opór, ja opór stawiłem,

mówi o sobie Prometeusz,

Przyszłości wiedzę odjąłem śmiertelnym,  
Ślepą w ich piersi zbudziłem nadzieję,  
Dałem im ogień i światło . . .  
Jam im dał rozum i dał samowiedzę.  
Z dnia oni na dzień żyli nieopatrnie,  
Ażem ich wschodu i zachodu prawa  
U gwiazd pouczył, liczenia nauczył,  
Cudowną sztukę pisma wynalazłem.  
Ja, chcąc śmiertelnym odjąć trud ciężaru,  
Do wozu pyszne przyprzągłem rumaki,  
Najwytworniejsze zbytku towarzysze.  
Ja pierwszy morskie wynalazłem wozy,  
Żaglem powietrze, fale bijące wiostem.

Za to przysiągł Zeus zemstę Prometeuszowi. W pierwszej scenie widzimy nadmorską skałę Kaukazu, do której zdąża boski kowal He-faistos, olbrzymie postacie Gwałt i Przemoc wiodą za nim Prometeusza.

\*) Streszczenie i przekład Józefa Szujskiego.

Miękkiego serca Hefaistowi z przykrością przychodzi przykuwać Prometeusza do skały, ale dzika Przemoc przypomina mu karę za nieposłuszeństwo.

PRZEMOC.

Czemu ociążasz się z kuciem zbrodniarza?  
Wszak Zeus z Olimpu wstręt twój spostrzedz może.

HEFAIST.

Patrzaj! kajdany chrzęszczą mi pod ręką.

PRZEMOC.

Więc dzielnym młotem przytwierdź je do skały.

HEFAIST.

Chwyta już granit żelazne łańcuchy.

PRZEMOC.

Grzmij mocniej młotem! wbij silniej te haki!

HEFAIST (przykuwając Prometeusza).

Ramienia tego wydrzeć już nie zdoła.

PRZEMOC.

Więc przykuj drugie, aby się przekonał,  
Że Zeus potęgą zwalczył jego mądrość.

HEFAIST.

Nikt, oprócz ciebie, dzieła mi nie zgani.

PRZEMOC.

Teraz stalowy klin wepchnij mu w piersi,  
I na wskrós piersi wbij go w skałę twardą.

HEFAIST.

O Prometeju! biadam z tobą razem.

Któż odmówi wspaniałości temu obrazowi? Morze, skała nadmorska, huk młota okuwającego postać tytana, ponury krzyk kata Przemocy i jęk piersi Hefaista — wszystko to składa się w wspaniałą całość. Dodajmy do tego, że Prometeusz pomimo męczarni mileczy uprzączywie, dopóki Hefaist z towarzyszymi nie odszedł. Wtedy odzywa się pierś męczennika pieśnią, która niema sobie równej w piękności:

O święta powietrzna przestrzeni,  
O wiatru powiewy skrzydlate,  
O źródła przeczyste płynących strumieni,

O morskie wy fale, które blask rumieni,  
Śmiejące, wesołe, bez końca,  
O ziemio, ty matko, w ubiory bogate  
Strojna od słońca!  
Ty słońce, wszechwiedną patrzące źrenicą:  
Patrzajcie, co boga od bogów dotknęło!  
Jaka hańba i jaka męczarnia...  
Patrzajcie, to Zeusa dzieło!  
Naprawdę ma boleść gdzieś przyszłość ogarnia,  
Łań krocie ponurą mnie mrożą źrenicą,  
Nie widzę wybawcy i końca!

Od strony morza słyhać szelest. Córki Okeanosa, jednego z tytanów, który się poddał władzy Zeusa, zlatują, niesione ptasimi skrzydłami, ku skale. Występują one jako chór dramatu.

W nadmorskich nas grotach pobudził młot krwawy:  
Bledziuchne na twarzy i z kosą rozwianą,  
Z bosemi nóżkami my ptaszym rydwanom  
Wieść się kazały ku tobie.

Na widok dziewięc pokrewnych, taje serce półboga:

O córki Tetydy! o dzieci  
Okeanosa, co morza prądami,  
Bezsenny, ziemię obejmuje świętą,  
O dzieci! popatrzcie! Jam w wielkiej żałobie,  
Jam żelaznymi skutymi kajdanami,  
Na stróża mnie skałom rozpięto.

Okeanidy chcą usposobić Prometeusza, aby, ugiąwszy hardego karku, Zeusa o łaskę prosił.

Twardy jesteś na twoje męczarnie,  
Puszczasz wodze śmiałemu duchowi,  
Mnie zaś w zimne strach ramiona garnie.  
Bo któż mi powie,  
Gdzie kres, gdzie koniec strasznej twojej męki?  
Gdzie przystań spoczynku i ciszy?  
Niezbadana bo przyszłość z Kronionowej ręki.  
Twardy, łez on nie widzi i jęków nie słyszy.

Ale Prometeusz nie chce się udać w pokorę. Czuje on niesłusność swego losu, a obdarzony wieszczym duchem, wie, że w przyszłości czeka Zeusa wielkie niebezpieczeństwo, które on jeden wykryciem tajemnicy odwrócić może. Niebawem zjawia się sam Okeanos z nowymi perswazyami.

Wejdz w siebie, nowe wdziej na siebie kształty,  
Bo nowy bogom władca przewodniczy,  
. . . . Mnie dozwól działać w twojej sprawie.  
Niechaj spróbuję zbawić cię z niewoli . . .

PROMETEUSZ.

Godnyś zazdrości, tyś jeden nie winien  
Mojego losu; cierpisz ze mną, radbyś  
Pomoc mi przynieść . . .  
Nie! nie zapomnę twoich dobrych chęci.

Ale nie przyjmuje Prometeusz pośrednictwa Okeanosa. Stary tytan oddala się, nie nie sprawiwszy. Prometeusz mówi wieszczym duchem do Okeanid:

Złamany męką, wyjdę z tej niewoli,  
Lecz żaden podstęp przeznaczeń nie skruszy.

Jakby na wzmocnienie tej nadziei, zjawia się pod skałą Prometeusza, Io, którą Hera nawiedziła obłąkaniem i po całej przeganiała ziemi. Jęki nieszczęśliwej, to żywe świadectwo despotycznych Zeusa rządów, a jeżeli Prometeusz wie, za co cierpi, to nieszczęśliwa Jo tej nawet nie ma pociechy.

Ja nieszczęśliwa!  
W jakież gonię strony?  
Synu Kronowy,  
Com ci winna, żeś wyrok rzucił tak surowy?  
Com ci winna, że strachem goniona,  
Ginę, szaleństwem drgająca?  
Piorun ty na mnie spuść z łona,  
W ziemię mnie zagrzeb bez słońca,  
Na pastwę rzuć morskim potworom!  
O skoro, wysłuchaj mnie skoro!  
O dosyć! ty zniszcz mnie co prędzej,  
O dosyć tułactwa i nędzy,  
Twe dziewczę cię błaga z pokorą!

Prometeusz prorokuje dziewczycy przyszłe jej koleje. Z plemienia jej ma się zrodzić ten, który go uwolni. Ucisk męczenniczki stanie się męczennika zbawieniem! Pokrzepiony spotkaniem z Ioną, przyjmuje Prometeusz z godnością, przybywającego z Olimpu Hermesa. Dyalog z Herme-sem, najpiękniejszy w dramacie, podajemy w całości:

HERMES (przybywa).

Do ciebie, mędrku bogom nienawistny,  
Błuznierco bogów, ludzi dobroczyńco,

Złodzieju ognia, przemówić przychodzę.  
Pan niebios każe ci wyznać natychmiast,  
Co wiesz o przyszłych jego związkach, co wiesz  
O tym, co z tronu ma zrzucić Kroniona?  
Mów wszystko, szczerze mów i bez ogródek,  
Nie chciej, bym dwakroć przychodził do ciebie;  
Wszak wiesz, że Zeusa nie łatwo złagodzić.

PROMETEUSZ.

Pyszałkowata, nadęta twa mowa  
Zdradza, żeś bogów nikczemnym służalcem.  
Świeżoście niebios złoty gród opadli,  
I już bez troski chcecie się rozgaszczać?!  
Czyżem nie widział, jak dwóch samowładców  
Z wyżyny jego spadało na głowę?  
Czyliż nie widzę, że pan twój tą drogą  
Prędzej, haniebniej, niż tamci, poleci?  
Albo, czyż myślisz, że gnę kark mój hardy,  
Że drzę przed nowych bogów pokoleniem?  
Do tego braknie wiele — wszystko braknie!  
Ty zaś powracaj, zkąd idziesz! niczego  
Nie usłyszawszy, coś się chciał dowiedzieć!

HERMES.

Wiesz, dokąd upór ciebie zaprowadził.

PROMETEUSZ.

Wiedz, żebym nie chciał zamienić mych męczarni  
Na twoją służbę. Wolę być tu stróżem  
Skalnych granitów, niż tam Zeusa woźnym!  
Przeciw zuchwalstwu waszemu — zuchwalstwo.

HERMES.

Los twój wygodnym zdawać ci się musi.

PROMETEUSZ.

Wrogom życzyłbym tej losu wygody,  
A że należysz do nich, życzę tobie.

HERMES.

Czyś i mnie losów twych przypisał winę?

PROMETEUSZ.

Wszystkich was bogów, wszystkich nienawidzę,  
Boście za dobre, złem mi odpłacili.

HERMES.

Nie mała widzieć choroba opadła.

PROMETEUSZ.

Jeśli chorobą jest nienawiść wrogów.

HERMES.

Któżby zniósł ciebie, gdybyś był szczęśliwy.

PROMETEUSZ.

Biada!

HERMES.

Z ust twoich dziwne słowo padło.

PROMETEUSZ.

Czasu potęga wszystkiego nauczy.

HERMES.

Ciebie rozsądnym być nie nauczyła.

PROMETEUSZ.

Zaiste, dałem dowód, mówiąc z tobą.

HERMES.

A więc Zeusowi nie chcesz odpowiedzieć?

PROMETEUSZ.

Dłużny mu jestem, mamż płacić mu za co?

HERMES.

Jako z chłopięcia, szydzisz ze mnie.

PROMETEUSZ.

Jesteś

Bo też chłopięciem, głupszym od chłopięcia,  
Mysząc że złamiesz tajemnicę moją.  
Niema męczarni i niema podstępu,  
Coby mi z głębin łona ją wydarła,  
Nim te haniebne popękają więzy.  
Niech z wyżyn spadnie piorun jego jasny,  
W wichrach śnieżystych, wśród drgań poruszonej

Z posad swych ziemi, niech się świat w kawały  
Spęka! Napróżno! Piers ma milczeć będzie;  
Nie będzie wiedział, kto go z tronu zwali.

HERMES.

Bacz, czy to twojem może być zbawieniem.

PROMETEUSZ.

Baczyć nie trzeba, gdzie postanowiono.

HERMES.

To spojrzuj w otchłań twej nędzy bez końca.

PROMETEUSZ.

Próżno mnie próżnych zlewasz słów powodzią.  
Strach mi niewieściej nie wdroży natury,  
Nienawistnego błagać nie potrafię  
Rąk łamaniami i płaczem niewieścim,  
By mnie uwolnił. Nie! nigdy, przenigdy!

HERMES.

Mowy me próżne, zmiękczyć cię nie zdołam.  
Jak rumak nowo wędzidłem ściągnięty,  
Gryziesz wędzidło, ściskasz je zębami,  
A dęba stając, rwiesz lejce za sobą.  
Bezsilność twoja gwałtownym cię czyni,  
Bo upór siłą nazwać się nie może.  
Jeżeli mojego nie słuchasz rozkazu,  
Wiedz, jaki nieszczęść wichr na ciebie czyha,  
Jaka cię nędzy oczekuje fala:  
Naprzód Zeus, rodzic pioruna, płomieniem  
Granit tej skały na poły rozplata,  
A ciało twoje, zmiażdżone w szczelinie,  
W odwieczną ciemność Hadesu pograży.  
Po długich czasów powolnym upływie  
Ujrzysz znów światło. Wtedy orzeł Zeusa  
Straszny, ogromnem na cię skrzydłem zleci  
I szarpać będzie szczątki twego ciała.  
Gość nieproszony, żarłok całodzienny,  
Czarną się twoją paść będzie wątroba.  
I nie myśl, nie myśl o końcu tej męki,  
Chyba kto z bogów zastąpić cię zechce  
I w czarne Hadu ponurzyć się głębie.  
To usłyszawszy, radź teraz o sobie,  
Bo groźną prawdą jest moja zapowiedź.

Nie zdolne kłamać święte Zeusa usta,  
Co rzekł, wykona. Tobie zaś roztropność  
Niech od uporu gorszą się nie zdaje.

CHÓR.

Poczyste słowo, zda się, Hermes niesie.  
Lepsza roztropność pono od uporu,  
Posłuchaj! hańbą zaciekłość mądrymu.

PROMETEUSZ.

Nic mi nowego twa mowa nie wieści,  
Od wroga cierpieć nie ujmuje cześci.  
Niechże więc we mnie piorun rozczochrany  
Godzi, powietrze niechaj uragany  
Szarpia, niech burza z posad ziemię ruszy,  
Niech fala wściekła drogi gwiazd opryska,  
Ciało me biedne, które skała skruszy,  
Niech w Tartarosa bezdenną głębinę  
Rwiący przeznaczeń prąd ciska:  
Ja nieśmiertelny! nie zginę!

HERMES.

Tu groźny przykład, jak szaleństwa ramię,  
Rozsądek w mowie i w uczynkach łamie.  
Cóż mu brakuje do szaleństwa miary,  
Cóżby nie czynił, gdyby uszedł kary?  
Lecz wy dziewice, co litości rosą  
Chcecie nieść ulgę strasznyemu jego losom,  
Odlećcie! daleko odlećcie skrzydłami,  
Do ojca powróćcie wy groty,  
Nim niebo złotymi rozplonie błyskami,  
Nim Zeusa przerażą was grzmoty!

CHÓR.

Nie takie podawaj mi rady,  
Nie chciej, bym była nikczemną.  
Co cierpieć ma, niech cierpi ze mną!  
Ohydy większej od zdrady  
Nie znam; ominąć ohydę,  
Chętnie do Hadu z nim idę.

HERMES.

Pogońcie za waszą więc zgubą,  
Nie mówiąc, że Zeus wam przyczyną,  
Same ku męczarni głębinom,



Ślepotą wiedzione grubą,  
Lecicie, jak sarna leci  
W zdradziecko rozpięte sieci.

*(Hermes odchodzi. Błyskawice. Grzmoty).*

PROMETEUSZ.

Ha! czynem już staje się słowo,  
    Ziemia drga,  
Huczy grzmot po skałach,  
O ognistych błyskawice strzalałach  
Świat w szatę odziały ogniewą;  
    Wichr gra,  
Gęste pędzi piasku uragany!  
Do walki zburzone, powstają żywioły,  
Morze bije o niebiosów ściany,  
Niebo z falą miesza się pospoły!  
Takim na mnie idzie Zeus tumanem,  
Abym zadrzał i uznał go panem.  
O matko moja, o święte powietrze,  
Co jasnym światłem cały świat przenika,  
Patrzajcie, jaka krzywda mnie spotyka!

---

# ANTYGONA.

Tragedya Sofoklesa\*).

## Osoby tragedyi.

ANTYGONA, córka Edypa.

ISMENA, jej siostra.

KREON, król Teb.

HAIMON, syn

EURYDYKA, małżonka } Kreona.

TEIREZYAS, kapłan.

STRAŻNIK.

POSEŁ.

PACHOLEK.

CHÓR starców tebańskich.

## Antygona, Ismena.

### ANTYGONA.

Ismeno! siostró po krwi i niedoli!

Już pono wszystkie winy Edypowe

Zeus zwałił w klęskach na potomstwa głowę....

Wszak myśmy wszystko, co smuci i boli

Musieli cierpieć cały ciąg żywota:

Dziś jeszcze hańby grozi nam sromota!

---

\*) Synowie Edypa, króla tebańskiego: Eteokles i Polineikes, po śmierci ojca długo z zawziętością walczyli o władzę nad Tebami; nareszcie Polineikes, pobity i wygnany z miasta, schronił się do Adrastosza, króla Argos, którego do współudziału w sprawie swojej nakłonił. Wskutek tego Adrastos wraz z Polineikesem podstąpili pod Teby i oblegli zamek. Nastąpiła ogólna bitwa, w której dwaj bracia, wzajem uderzając na siebie, jednocześnie polegli; Adrastos zaś, doczekawszy nocy, ustąpił. Na opustoszałym tronie Teb zasiadł krewny Edypa, Kreon, który idąc za popędem obywatelskich przekonań, rozkazał wyprawic świetny pogrzeb Eteoklesowi, jako walczącemu w obronie kraju; przeciwnie, odmówił czci pośmiertnej Polineikesowi za to, iż ten sprowadził nieprzyjaciół na gród ojczysty i groził mu zniszczeniem. Kazał więc ciało jego wyrzucić obnażone na pole, i postawił straż, iżby nikt nie ważył się go pogrzebać; na nieposłusznych zaś nałożył surową odpowiedzialność. Tymczasem *Antygona*, siostra nieszczęśliwych współzawodników, powodowana uczuciem siostrzanem, postanawia jakabądź ofiarą dopełnić wzbronionego pogrzebu.

Czy znasz okrutny wyrok króla nowy,  
O którym różne w mieście krążą mowy?...  
Słyszałaś? wiesz-że, co on w sobie mieści?...  
Zapowiedź nowej od wrogów boleści.

ISMENA.

Nie, Antygono! ja nie wiem nic zgoła.  
Mnie, odkąd bracia, po długiej rozterce  
Dwa razem groty w bratnie wbili serce,  
Żadna wieść smutna, ni żadna wesoła.  
A gdy straż Argów podczas nocnej doby  
Umknęła z miasta, nie nie widzę, coby  
Mogło pogorszyć dolę lub poprawić.

ANTYGONA.

Wiem; po toż z dworca wiodę cię tajemnie,  
Byś sama wszystko słyszała odemnie.

ISMENA.

Cóż to jest?... masz mi coś złego objawić?

ANTYGONA.

Kreon mym braciom różny pogrzeb sprawił:  
Jednego uczcił — drugiego zniestawił.  
Wszak Eteokła zacnie po zwyczaj  
Do ziemi schował według praw, że śmiało,  
Godnie, mógł zstąpić do umarłych kraju.  
A nieszczęsnego Polinejka ciało  
Wzbrania wszem ziomkom, wzbrania mnie i tobie  
Złożyć do grobu, zapłakać przy grobie.  
Bez łyzy pogrzebnej leży, aż nań z góry  
Drapieżne ptaków uderzą pazury.  
Takąto dobry Kreon, taką wolę  
Rzuca na twoją i moją niedolę.  
Sam on tu przyjdzie jeszcze ją objawić  
Tym, co nie wiedzą; ceni ją wysoce!  
A ktoby ważył się jej opór stawić,  
I wbrew zakazom pogrzeb mu wyprawić,  
Tego kamieńmi lud na śmierć zdruzgoce.  
Teraz więc pora, abyś okazała,  
Co jest w krwi twojej: wielkość czy zakała!

ISMENA.

O nieszczęśliwa! co też ci się marzy!  
Mój czyn, me słowo, co w tej biedzie waży?

ANTYGONA.

Pytam: chcesz ze mną swe zjednoczyć siły?

ISMENA.

Lecz jakież myśli twojej jest dążenie?

ANTYGONA.

Pomóż mi ciało złożyć do mogiły.

ISMENA.

I tyżbyś śmiała? mimo ogłoszenie!...

ANTYGONA.

O tak! dokonam, chociażby bez ciebie:  
Któż nazwie zbrodnią, że brata pogrzebię?

ISMENA.

Niebaczna! jako? wbrew Kreona woli!

ANTYGONA.

Nie uczcić brata, on mnie nie zniewoli.

ISMENA.

Przebóg — o sestro! rozważ los ojcowy:  
On zmarł pod hańby i przekleństwa tłokiem;  
On przerażony zbrodni swych widokiem,  
Własną prawicą wydarł oczy z głowy.  
A matka jego i nieszczęsna żona  
Marnie w pętlicy zaciśniętej kona;  
A nasi bracia, ich nieszczęsne syny,  
Wzajemnie zbrojąc nienawistne dłonie,  
Upadli razem w bratobójczym zgonie!  
Myśmy zostały jak szczątek jedyny:  
Więc zważ, o ile gorzejby nam było,  
Pogardzać władców i wyroków siłą.  
Pomnij i na to, że nie my, kobiety,  
Z mężami możemy mierzyć się; niestety  
Raczej, dźwigając konieczną niewolę,  
Znieść te, a choćby i gorętsze bole.  
Więc ja, rzucając opór nadaremny,  
Przebłagam za to bogów świat podziemny,  
I rozkaz władzy mieć będę na pieczy.  
—Nierozum żądać niepodobnych rzeczy. —

ANTYGONA.

Ja cię nie zmuszam, jestem owszem rada,  
Że to do twojej myśli nie przypada.  
Czyń jak chcesz: brata ja sama pogrzebię.  
A potem umrę śmiercią świętej zbrodni.  
O! piękną śmiercią; i tak nieodrodni  
Wzajemną miłość złożym obok siebie.  
Ja się chcę bogom zasłużyć, bo z niemi  
Dłużej mi bywać, niż z ludźmi na ziemi.  
A ty czyn według własnych uczuć tajni:  
Gardź tem, co bogi szanować zwyczajni.

ISMENA.

Ja tem nie gardzę, ale mamże siłę  
Zdolną rozbroić wszystkie miasta strażę?

ANTYGONA.

To twe wymówki, lecz ja się odważę  
Drogiemu bratu usypać mogiłę.

ISMENA.

O nieszczęśliwa! lękam się o ciebie.

ANTYGONA.

Nie trwóż się o mnie: dźwignij raczej siebie.

ISMENA.

Niech o tem ucho nie słyszy niczyje;  
Ukryj swój zamiar i ja go ukryję.

ANTYGONA.

Nie!... głoś! mnie jeszcze gorsząbyś się zdała,  
Gdybys milczeniem czyn mój pokryć chciała.

ISMENA.

Gorąca krew cię z zimnej myśli zwodzi.

ANTYGONA.

Lecz zjednam bogów, o których mi chodzi.

ISMENA.

Jeśli - ć się uda zbyt śmiałe żądanie.

ANTYGONA.

Wtedy dam pokój, gdy mi sił nie stanie.

ISMENA.

W niepodobieństwach już sam wstęp jest błędem.

ANTYGONA.

Prześtań tych uwag, bo cię znieńwidzę,  
Bo cię przed zmarłym i słusznie zohydzę.  
Co bądź, ja pójdę za myśli mych pędem:  
Choć niepomyślność stanie mi na przedzie,  
Wždy mnie od pięknej śmierci nie odwiedzie.

ISMENA.

Więc czyń jak myślisz, kiedy chcesz koniecznie:  
Błądzisz ty zdaniem, lecz kochasz statecznie.

## Chór.

### 1.

O! promieniu słońca, ty,  
Któryś dziś rozświecił nam  
Ponad siedm tebańskich bram  
Najpiękniejszy z pięknych dni:  
Złote oko dnia! twój bieg  
Złotem barwi Dyrcei brzeg \*).  
Jako spieszny pochód twój,  
Pierzchał od nas wróg orężny,  
Tak w ucieczce, ów potężny  
Biało-tarczny Argów rój.  
Gwoli Polinejka zdrad,  
W przeraźliwy okrzyk z góry,  
Jako orzeł śnieżno-pióry,  
On na ziemię naszą padł.  
A wystąpił groźny, zbrojny,  
A hełm jego włosiem strojny.

### 2.

On przy murach naszych stał,  
Dzid morderczych stawiać wał

---

\*) Dyrceya, jest to strumyk sączący się u podnóża Teb.

Koło siedmiu miasta bram;  
Lecz nim krew wytoczył nam,  
Nim płomieniem buchnął w gród,  
Sam haniebnie umknął wprzód.  
Tak Aresa grzmiący krok  
Rzuca na wstecz wrogów szyk;  
Tak na groźny jego krzyk  
Nieprzyjaciel pierzcha smok.  
Pyszny język — Zeusa gniew:  
Więc on widząc złota blask,  
I orężów dumny trzask,  
Ich przedwczesny chlubny śpiew,  
Zesłał grom — wróg runął z góry  
I ucichły zwycięstw chóry.

3.

Zadrzał ów witeź, co z ogniem stał  
I rozjuszony na ziemię legł,  
A złością wielką na miasto ział,  
A tchem przekleństwa powietrze siekł.  
Na innych inne rozrzuca kłęski  
Z bojowej dłoni Ares zwycięski.  
W siedmiu, przed siedmią Tebów bramami  
Cięli się wodze z siedmiu wodzami;  
I wszystkich zbroje i wszystkich broń  
Przeszła trofeą na Zeusa dłoń.  
Lecz najbiedniejsi dwaj zapastnicy  
Z jednego ojca, jednej rodziny,  
Co długo walcząc o ojców tron,  
Wspólny w zwycięstwie znaleźli zgon.

4.

Zwycięstwo!... huknie radosna wieść  
Na wożo-słynny tebański gród.  
Ucichły kłęski i cały lud  
Ciągnie do świątyni; bogom na cześć  
Przez noc, noc całą płasy zawiedzie,  
A Bach rozkoszny Tebom na przedzie.  
I otóż właśnie zbliża się sam,  
Zbliża się Kreon syn Menojkowy,  
Królem tej ziemi przysądzon nam,  
Według niedawnej bogów umowy.  
I coś ważnego w myśli mu ciąży,  
I coś nam zjawić pewnie tu dąży,  
Gdy tę poważną starców gromadę  
Głośnym rozkazem wezwał na radę.

## Kreon, Chór.

KREON.

Mężowie! bóstwa, co długo kraj cały  
Burzami siekły, dziś mu spokój dały.  
Jam was dlatego wezwał przed innymi,  
Bo wiem, że wyście każdej życia chwili  
Dzielnem ramieniem tron Laja chronili;  
Później Edypa, gdy władał w tej ziemi;  
A później z równą wiernością i chwałą  
Wspierali synów, gdy ojca nie stało.  
A kiedy wspólne wywiodły ich losy  
Do boju, w którym przez dwa niecne ciosy  
Razem z ich życiem zginęła i zwada:  
Więc tron i władza mnie, po krwi, przypada.

Nie wprzód człowieka człowiek zmierzyć umie  
Po jego duszy, sercu i rozumie,  
Aż się u rządów z myśli swych wygada;  
Co do mnie wszakże: ja rządów sternika,  
Co rad cnych ludzi w żadnej nie ma cenie,  
Owszem ich usta postrachem zamyka,  
Najgorszym człekiem mieniłem i mienie.  
A komu lepszy druh, niżli ojczyzna,  
To nędzarz, — prawda? każdy z was mi przyzna....  
Jej tylko dobra niech każdy przestrzega,  
Bo na niem dobro powszechnie polega;  
A gdy kraj szczęściem szeroko zasłynie,  
To nam na wiernej nie zbędzie drużynie.

Takie zasady państwo nasze wzmoga,  
Takich ja zasad postępując drogą,  
To, względem synów Edypa, ziomkowie,  
Dla powszechnego pożytku stanowią:  
Eteokl, który przy kraju obronie  
Legł, dzielnie walcząc, w bohatera zgonie,  
Niechaj ma pogrzeb, niech go czezą ołtarze,  
Jak zwyczaj zacnych po śmierci czcić każe.  
Ale brat jego, Polineikes srogi,  
Ten zbieg z wygnania, co do kraju wrócił,  
By spalił miasto z domowymi bogi,  
Wypił krew braciom, niewolę narzucił,  
Tego nie uczci ni łza, ni mogiła.  
Jako mój rozkaz miastu zapowiada,  
Niech leży nagi, jako zdobycz miła  
Dla psów żarłocznych, dla ptaków biesiada!

To moje zdanie. O! ja nigdy złemu  
Nie przyznam względów należnych zacnemu;



A prawy kraju syn, zawsze i wszędzie,  
Żyw czy umarły, najdroższym mi będzie.

CHÓR.

O przyjacielu i o wrogu kraju,  
Zdanie twe, naszym. Synu Menojkowy!  
Wola ci sądzić, według praw zwyczajaj,  
Jako umarłych, tak nas, żywe głowy.

KREON.

Baczenie, by słowa moje się spełniły.

CHÓR.

Zleć to młodszemu, co ma więcej siły.

KREON.

Lecz ja strzedz trupa już zleciłem straży.

CHÓR.

Jakież prócz tego jeszcze twe życzenie?

KREON.

Na nieposłusznych dawajcie baczenie.

CHÓR.

Głupi się chyba po śmierć iść poważy.

KREON.

Choć kara pewna, lecz pomnieć nie wadzi,  
Że chciwość zysku często źle poradzi.

Strażnik, Kreon, Chór.

STRAŻNIK.

Ja ci nie powiem, żem bez tchu, o panie!  
Żem lekką nogą biegł na twe spotkanie.  
Nieraz mnie owszem strach chwycił za nogi.  
Nieraz mi szeptał, abym wrócił z drogi.  
I dusza w różnem mówiła mi słowie:  
>Gdzie pędzisz? biedny! nie spiesz się, bo zginiesz;  
Wstrzymaj się!< To znów: >Lecz Kreon się dowie

Od innych o tem; z karą się nie zmienisz.  
W takich to myślach wolniała ma noga,  
I krótka, długą stała mi się droga.  
Tu wreszcie przybyć rozwaga radziła,  
A choć wieść moja, wieść nader niemiła,  
To wszakże inna nie czeka mnie biada,  
Prócz tej, co woli przeznaczeń przypada.

KREON.

Cóż to jest? zkąd ci ta trwoga przychodzi?

STRAŻNIK.

Wprzód, co mnie tyczy, powiedzieć ci chciałem:  
Nie jam jest sprawcą, sprawcy nie widziałem,  
Mnie tedy karać za to się nie godzi.

KREON.

Bardzoś ostrożny i w obronie biegły:  
To coś ważnego słowa twe zastrzegły.

STRAŻNIK.

To ciężar troski tak człowieka gniecie.

KREON.

Więc albo ruszaj, lub raz gadaj przecie!

STRAŻNIK.

A więc ci powiem. Owoż, ktoś się zjawił,  
Co trupa złożył jakoby w mogile,  
Przysypał piaskiem i obrząd odprawił.

KREON.

Któżto się z ludzi rozzuchwalił tyle?

STRAŻNIK.

Nie wiem; najmniejsze nawet nie zostały  
Czy to motyki, czy topora znaki,  
Ni koła wozu ziemię wydeptały; —  
I sprawca uszedł bez żadnej poszlaki.  
Co strażnik dzienny gdy z jutrenki brzaskiem  
Doniósł nam, każdy smutno ważył w sobie:  
Trupa nie widać, choć leżał nie w grobie,  
Lecz lekko, z prędką przysypyany piaskiem.

Nie pozostały przytem żadne ślady  
Drapieżnych zwierząt, albo psiej gromady.  
Dalejże hałas wszczął się między nami:  
Strażnik strażnika łżył złemi słowami,  
A od słów wkrótce i bójka gotowa.  
Nie było komu wyrzec miru słowa,  
Jeden drugiego zwał zbrodniem, złorzeczył. —  
A nikt nie wiedział, a każdy zaprzeczył.  
Kląć się na bogi, że w tem złem bezczynni,  
Spółwiedzą nawet byliśmy niewinni.  
Lecz gdy narada wcale nas nie krzepi,  
Ozwał się jeden; a śród jego mowy  
Ku ziemi wszystkim wraz opadły głowy,  
Bo ni zaprzeczyć, ni wymyśleć lepiej.  
On tedy prawił, by w takiej potrzebie  
Wręcz bez ogródki zawiadomić ciebie —  
I to przemogło; a losów zrządzenie  
Mnie to nędznemu wskazało zlecenie.  
Niechętny, stawam przy niechętnych — czuję:  
Posła złych wieści któż chętnie przyjmuje?

CHÓR.

O królu! cicha myśl mi szemrze w głowie,  
Czy tu sprawcami nie sami bogowie?

KREON.

Przestań! bo, gniewu dopełniając miary,  
Powiem, żeś tyle głupi, ile stary.  
To niesłychana, by takie pleść baśnie:  
Bógby się zajął takim człkiem właśnie!  
Tegożby mieli czcić bogowie sami,  
Co przyszedł wydrzeć im własność; podpalić  
Ich święte chramy wsparte filarami;  
Ich ziemię zburzyć i prawa obalić?  
Widziałeś, aby złych czcili bogowie?  
Nie!... lecz wiem, szemrzą niektórzy ziomkowie,  
Wzruszają głowę; na ich karki harde  
Jarzmo mej władzy zdaje się za twarde.  
Oni to — rozum jasno wierzyć każe —  
Przynętą zysku podłechtali strażę.

Siła klęsk ciąży na ludziach, a przecie  
Kłęska pieniężna najzgubniejsza w świecie;  
Bo pieniądz grody i strzechy pustoszy,  
Pieniądz i z prawych serc cnotę wypłoszy,  
Uczy złych celów podstępem dościgać;  
Przed żadną zbrodnią nie umie się wzdrygać.

Lecz sprawiedliwość takich nie prześlepi,  
Których do złego widok zysku krzepi.

Jeśli więc Zeusa cześć coś u mnie znaczy,  
Wiedz — to ci moja przysięga tłumaczy —  
Że gdy natychmiast przed memi oczami  
Sprawca pogrzebu nie stanie wraz z wami;  
To nie dość śmierci, lecz, gdy tak nie chcecie,  
Więc w mękach wisząc zbrodnię wykryjecie.  
Byście na przyszłość mieli znak dowodny,  
Gdzie zysk jest prawy, a gdzie karygodny,  
Dam wam przestrożę, która was nauczy,  
Że zysk nieprawy bynajmniej nie tuczy.

STRAŻNIK.

Mówić, czy odejść? jak mi rozkazujeś?

KREON.

Czyliż nie widzisz? bołą mnie twe wieści.

STRAŻNIK.

W duszy-ż, czy w uchu, te boleści czujesz?

KREON.

Nie twoja badać, gdzie się ból mój mieści.

STRAŻNIK.

Bieda, kto da się fałszywie uprzedzić.

KREON.

Mądra uwaga: to wszakże masz wiedzieć,  
Że, gdy nie znajdzie się sprawca niesławy.  
To wam pokażę, co to zysk nieprawy.

(*Odchodzi*):

STRAŻNIK.

Znajdzie... nie znajdzie — jak z losu wypadnie;  
Lecz tak lub owak, to ja wiem dokładnie,  
Że mnie już więcej twe nie ujrzy oko.  
I tak jam bogom winien cześć głęboką,  
Żem wbrew mniemaniu, przed karą gotową  
Wymknął się jakoś, i uszedłem zdrowo.

## Chór.

1.

Wiele jest dziwów — a przecie  
Człowiek, największy dziw w świecie.  
On to w siną głębię mórz  
Oślepię rzuca, nie zważa,  
Czy go pęd ryczących burz  
Po drżących prądach wytarza.  
On wielkiej bogini — ziemi  
Nieśmiertelnej, niezłomnej,  
Rok w rok pługami konnymi  
Pruje brzemień w różne strony.

2.

W jego rozstawione sieci  
Ród leciuchny ptasząt leci :  
Człowieka przemyślny um  
Chwyta w splecione pętlce  
I leśnych zwierzątek tłum  
I wód łuskate dziedzice.  
Człowieka wola łagodzi  
Najdziksze potwory gór,  
W jego jarzmie milczkiem chodzi  
I koń grzywiasty i tur.

3.

Człowieka darem — słowa grom.  
W człowieku górnej myśli dom,  
A w myślach swych badawczy człek  
Przyszłości nawet odgadł bieg.  
Ni on się zleknie mrozów tchu,  
Ni ciosów gradu, ani dżdzu,  
I sama niemoc przed nim pada;  
Z śmiercią mu tylko trudna rada.

4.

Olbrzymia ludzkiej myśli potęga  
Nad podziw wielkich celów dosięga;  
Lecz człek, swawolny w działaniu swem,  
Chwieje się między dobrem i złem.  
A kto podepce prawa ojczyste,  
Kto na domowe porwie się bogi,  
Tego przekleństwo ściga wieczyste,  
Tego ojczyzna rzuci za progi.  
O! bodaj taki nigdy pospołu  
Nie dzielił ze mną myśli, ni stołu.

Lecz cóż to bogi tam  
Znowu zwiastują nam?  
Nie wiem czy prawda, czy nie,  
Czy oczy myślą mnie?...  
Lecz nie; to iście ona —  
Zbliża się Antygona.  
O! nieszczęsnaż dziewica  
Nieszczęsnego rodzica!  
Za cóż jęła cię straż?  
Przekroczyłaś ty może  
W swym szalonym uporze  
To, co wzbronił król nasz?!

Strażnik, Antygona, Kreon, Chór.

STRAŻNIK.

Gdzie Kreon? Otóż i sprawczynię mamy:  
Schwytałiśmy ją na gorącym czynie.

CHÓR.

Właśnie też Kreon wystąpił za bramy.

KREON.

A co? wszak zdrowa przestroga nie ginie.

STRAŻNIK.

Królu! człek próżno czegoś się odrzeka:  
Przed nową myślą stara myśl ucieka.  
Ja sam, groźbami twemi wystraszony,  
Przysięgłem nigdy nie wrócić w te strony;  
A mimo przysięg przecież znów przychodzę:  
Bo mnie tu wiedzie radość niesłychana,  
Tem pożądanśza, że nadspodziewana!  
I tę ci oto dziewicę przywodzę,  
Którąśmy<sup>u</sup> właśnie w<sup>z</sup> samej czynu chwili,  
Gdy trupa miała grzebać, pochwycili.  
I to, nie powiem, by tak losy chciały,  
Ale z tej sprawy<sup>u</sup> moim jest zysk cały.

Masz oto, królu, sprawczynię niedoli.  
Badaj ją, osądź po zdaniu i woli,  
A ja, uwolnion, raz już przecie mogę  
Odetchnąć szczerze i pójść w swoją drogę.

KREON.

Zkąd ją przywiodłeś, powiedz — i dlaczego?

STRAŻNIK.

Ona jest winną — dowiesz się wszystkiego.

KREON.

Prawdę-ż ty mówisz? rozumiesz swe słowa?

STRAŻNIK.

Toż-em ją widział, chowającą ciało  
Wbrew twym zakazom: jasnaż ci ta mowa?

KREON.

Jakże się to jej przestępstwo wydało?

STRAŻNIK.

Owoż tak było: Przed groźby twojami  
Wszyscyśmy w miejsca umknęli tej chwili,  
Przyszli przed trupa, otrząsnęli z ziemi  
I nadpsutego całkiem obnażyli;  
Potem stanęli z wiatrem, na ustroni  
Wyniosłych wzgórków, aby ujsć złej woni,  
Gdzie groźno jeden drugiego przestrzegał,  
By snadź od trupa okiem nie odbiegał.  
Wtem, kiedy kula słoneczna — iskrząca,  
Uszła pół drogi, siejąc war gorąca;  
Jak świstnie wicher, a skrzydły wściekłemi  
Jak sypnie kurzem od nieba do ziemi,  
To wraz też całe zaciemniał przezrocze,  
Szarpiąc zielone u drzewin warkocze:  
A myśmy, oczy zamknąwszy, czekali,  
Aż się gniew boży gdzieindziej przewali.  
Ucichło wreszcie, i nasze źrenice  
Utkwią niebawem w jęczącą dziewicę.  
Głosem tak dzikiej, tak tęsknej rozpaczy,  
Jak ptak, gdy pustki w gniazdku swem obaczy,  
Tak dziko ona, tak tęskno jęczała,  
Stojąc około nagiego już ciała,  
I straszne klątwy miotając co chwili  
Na sprawców, którzy jej dzieło zniszczyli.

Niebawem, znów je piaskiem przysypała,  
Potem z miedzianej, pięknie rzniętej czary  
Troiste lała na zwłoki ofiary.

Co widząc, biegniem wprost ku niej; lecz ona,  
Zjawieniem naszym wcale niestrwożona,  
Badaniom wszelkim śmiało się poddaje,  
Co i jak było, sama nam wyznaje.

To mnie i cieszy i zarazem boli:  
Bo, żem sam jakoś wymknął się niedoli,  
To dobrze; jednak smutno to jest nieco  
Widzieć przyjaciół, jak na zgubę lecą;  
Lecz nikt mi tego za grzech nie policzy,  
Że człek przed innym sobie dobrze życzy.

KREON.

A więc mi powiedz, ty, co spuszczasz głowę:  
Zapierasz, czyli stwierdzasz jego mowę?

ANTYGONA.

Nic nie zapieram: — moje to są czyny.

KREON (*do Strażnika*).

Ty możesz odejść; oczyszczonyś z winy.  
(*do Antygony*):

A ty mi powiedz, lecz w krótkim zachodzie,  
Znałaś mój rozkaz co do tego ciała?

ANTYGONA.

I jak! Toż głośno brzmiał po całym grodzie.

KREON.

Jakżeś ty prawom sprzeciwić się śmiała?

ANTYGONA.

Bo to nie Zeus ogłosił mi je przecie,  
Ni Sprawiedliwość, co zasiada w świecie  
Podziemnych bogów: ich to rzecz jedynie  
Uświęcać prawa w śmiertelnych dziedzinie.  
Więc nie sądziłam, ażeby ustawy  
Przez śmiertelnika, jako ty, wydane,  
Miały mieć wyższość na boskimi prawy,  
Co są niezłomne, chociaż niepisane!  
Których nie od dziś, nie od wczoraj wątek:  
Żyją, choć wszystkim tajny ich początek.

Miałabym, ziemskim ulegając trwogom,  
Przez wzgląd na ludzi, narażać się bogom?  
Nie!... sama wszakże wiedziałam dokładnie,



Że i bez ciebie umrzeć mi wypadnie;  
A, iż przyspieszam chwilę śmierci mojej,  
To mi za rozkosz i za korzyść stoi.  
Bo, kogo srogi, jak mnie, ból pożera  
Przez całe życie, ten wesół umiera.

A więc nie trwożę się groźby twojemi;  
Lecz gdybym wspólnej matki naszej syna  
Bez czci grobowej odeszła na ziemi:  
Wtedyby wielką była moja wina.  
A gdy ty mniemasz, że ja w zdaniu błędzę,  
Toś sam zbłąkany, tak przynajmniej sądzę.

CHÓR.

Dzielny duch ojca odrodził się w córce:  
Oboje równo niebaczni na burze.

KREON.

O! i najtrwalszy duch za czasem pęknie:  
Przecież żelazo ma twardość nielada,  
A patrz, jak w ogniu kruszy się i mięknie.  
Najdzikszych koni rozhukane stada  
Słabe wędzidła spokojnie prowadzą.  
Jak śmie być hardym ten, kto jest pod władzą!  
Ona wiedziała, że mnie już znieważa  
Lekceważeniem mojej prawej woli,  
A teraz jeszcze zniewagę powtarza,  
Śmiejąc się, pyszniąc z gorszącej swawoli.  
To gdyby jej się zwycięstwo udało,  
Ją, nie mnie, mężem zwaćby można śmiało.

Ale czy ona krewną mi przez siostrę,  
Czy bodaj bliższą niewiastą w rodzinie,  
Zawsze ją kara przykładna nie minie.  
Ja na nie obie pomsty dłoń rozpostreę,  
Bo i Ismena, jej siostrunia miła,  
Do tej się sprawy, ręczę, przyłożyła.

Wołać ją tutaj! Ja dobrze widziałem,  
Że ona jakimś opętana szalem;  
A szal, niepokój, zdradza i dowodzi,  
Że ktoś po ciemku w zdrożne cele godzi.  
Ja zaś najbardziej nie cierpię człowieka,  
Co w piękne słówka brzydki czyn obleka.

ANTYGONA.

Czegoż chcesz więcej? zabij! jam gotowa.

KREON.

Nic nie chcę więcej, to dość... ani słowa

ANTYGONA.

Więc przestań mówić, bo próżna twa mowa;  
Daremnie tylko drażnią mnie twe słowa.  
Cokolwiek powiesz, wielka dla mnie chwała,  
Żem brata ze czią w grobie pochowała;  
I każdy tutaj równo ze mną czuje,  
Tylko że bojaźń usta ich krępuje.  
Bo król, przy innych, i tę moc dziedziczy,  
Że każdy mówi, jak on sobie życzy.

KREON.

Z pomiędzy Teban ty jedna tak sądzisz.

ANTYGONA.

Nie — lecz ty, mówię, ich ustami rządysz.

KREON.

Jak śmiesz od innych różnego być zdania?

ANTYGONA.

Jakieżto prawo czić krewnych zabrania?

KREON.

Nie również bliskim Eteokl jest tobie?

ANTYGONA.

Nas jeden ojciec, jedna matka rodzi.

KREON.

Więc czić bezbożnie, tego się nie godzi.

ANTYGONA.

Eteokl za to nie gniewa się w grobie.

KREON.

Lecz ty go we czi równasz z bezbożnikiem.

ANTYGONA.

Toż on był bratem, nie zaś niewolnikiem.

KREON.

Tamten kraj niszczył, ten bił się za niego.

ANTYGONA.

Każdemu równe śmierć prawa nadaje.

KREON.

Zdrożna rzecz z dobrym w prawach równać złego.

ANTYGONA.

Kto wie, jak Hades prawa te uznaje.

KREON.

Po śmierci nawet — wróg wrogiem zostaje.

ANTYGONA.

Być może jednak, wolno ci jest szydzić,  
Lecz ja chcę kochać, nie chcę nienawidzić.

KREON.

Kochajże ich tam zdrowa, lecz na tamtym świecie,  
Bo, póki żyję, nie dam tu rządzić kobiecie.

CHÓR.

Otóż Ismena po drodze  
Siostrzane leje łzy,  
Chmura czoło jej mgli,  
Piękna twarz splakana srodze.

Kreon, Antygona, Ismena, Chór.

KREON.

A chodźno tutaj, ty źmijo obrzydła,  
Coś się cichaczem na mą pierś czaiła!  
Toż moja ręka, nie wiedząc, karmiła  
Dwie furye, państwa mojego straszyciła.  
Wyznaj mi, czyś się trudniła pogrzebem,  
Czy nie, i czyli przysięgniesz przed niebem?

ISMENA.

Owszem; niech tylko siostra mi zezwoli,  
Przyjmuję udział w jej czynie i doli.

ANTYGONA.

Nie! sprawiedliwość za złe by to wzięła;  
Wszak tyś nie chciała, jam cię odepchnęła.

ISMENA.

Lecz kiedy ciebie tu w niedoli widzę,  
Dzielić twej kaźni wcale się nie wstydę.

ANTYGONA.

Oj! wie to Hades i piekiel bogowie,  
Że mi ten niczem, czyja miłość w słowie.

ISMENA.

O! nie sądz, siostró, że nie w mojej sile  
Umrzeć wraz z tobą na brata mogile.

ANTYGONA.

Po co umierać? dosyć mego zgonu.  
Przecież się domagasz nie swojego plonu?

ISMENA.

Cóż, gdy cię stracę, życie mi osłodzi?

ANTYGONA.

Spytaj Kreona — on cię tak obchodzi.

ISMENA.

Dlaczegoż próżno rozdzierasz mi duszę?

ANTYGONA.

Chociaż z boleścią, śmiać się z ciebie muszę.

ISMENA.

W czymże ci przecie mogę być usłużną?

ANTYGONA.

Usłuż ty sobie, nie chcę ci być dłużną.

ISMENA.

Biadaż mi! nie chcesz bym twą śmierć dzieliła!

ANTYGONA.

Wszakżeś ty życia, jam śmierci życzyła.

ISMENA.

Oh! czemuś mojem pogardziła zdaniem?!

ANTYGONA.

Każda z nas poszła za swem przekonaniem.

ISMENA.

Więc niech nas złączą wspólne wykroczenia.

ANTYGONA.

Ty żyj! jam dawno martwa już z cierpienia;  
Dziś jestem tylko sługą zmarłych braci.

KREON.

Z tych dwojga dziewczek, ta dziś rozum traci,  
Tamta nie miała go od urodzenia.

ISMENA.

Królu! gdy człowiek z złym losem w rozterce,  
Najtęższy rozum w ciężkiej poniewierce.

KREON.

Ciebie znać odbiegł, gdy chcesz ginąć z złemi.

ISMENA.

Bo bez niej cóż mi po życiu na ziemi?

KREON.

Trudno; od dzisiaj już jej życie kona.

ISMENA.

Wszak to twojego syna narzeczona.

KREON.

Niewielka strata; czyż to niewiast mało?

ISMENA.

Czyż to ich z twojej ręki spotkać miało?

KREON.

Nie chcę dla syna tak niegodnej żony.

ISMENA.

Jakżeś, Haimonie, przez ojca wzgardzony!

KREON.

Nudzisz mnie, ty i twoja gadanina.

ISMENA.

Więc chcesz ją gwałtem wyrwać z objęć syna?

KREON.

Hades rozerwie te niegodne śluby.

ISMENA.

Toś rzekł ostatnie słowo naszej zguby?

KREON.

Tak, tak — ostatnie. Sam tu! rychlej, draby!  
Zabrać mi precz ztąd i zamknąć te baby.

## Chór.

### 1.

Szczęśny ten, co w ciągu lat  
Umknął ciężkich z losem zwad:  
Ależ biada temu, biada!  
Na czyj dom gniew boży pada.  
Ród jego w wieczyste czasy  
Z nieszczęściem idzie w zapasy.  
To, jak trackich wichrów huk  
Śród egejskich zagzmi strug:  
Wraz kipiący morza spód,  
W górę czarnym ciska piaskiem,  
A bałwany z głębi wód  
O brzeg z groźnym biją wrzaskiem.

### 2.

Tak, widzę, nieszczęść kolejnych grom  
Pada na dawny Labdaków dom.  
Próżno się w klęskach miota ród stary,  
Nowego rodu nie zwolni z kary.  
Jakby za niemi mściwy bóg jaki  
Gonił bez przerwy we wszystkie szlaki,  
Błysł niby jakiś promyk nadziei  
Ponad Edypa synów głowami,  
Ale ci, w ciągłych szaleństwach kolei,  
W grób się przez zawiść strącili sami.

3.

Zeusie! jakkolwiek dumny człek,  
Z twą wolą wždy nie walczyć mu,  
Której nie zmorzy dzielność snu,  
Nie nadweręży wieków bieg.  
Ty, w olimpijskich światłach król,  
Nie wiesz co starość jest, co ból;  
I w drogę życia dajesz sam  
Przestrołę wiekuistą nam:  
Kto nie chce w życiu mieć zawodu,  
Nadziei niech się rzeknie z młodu.

4.

Ludziom nadzieja zwodnicza  
Łask swych czasami użycza,  
Lecz częściej<sup>z</sup> próżne marzenia  
Na smutny zawód zamienia;  
Że nikt, co spotka go, nie wie,  
Aż nogą stąpi w zarzewie.  
Mądrą przestrołę nielada  
Ktoś w pięknem słowie powiada:  
„Je człowiek, gdy w dobrej wierze  
Zło z gruntu za dobro bierze,  
Znak to nieomylny, że bogi  
Cios wymierzili nań srogi,  
Nic go odeń nie ustrzeże:  
Śmierć go pochwyci wpół drogi,  
Otóż najmłodszy syn twój, o panie!  
Idzie tu Haimon srodze strapiony  
Nieszczęsną dolą swej Antygony:  
Ciężkież mu będzie z lubą rozstanie!

Kreon, Haimon, Chór.

KREON.

Da się to widzieć. Powiedz, synu luby!  
Czy mnie potępiasz, żem zerwał tve śluby,  
Czy też, choć wyrok mój zda ci się srogim,  
Jam przecie dla cię nie przestał być drogim?

HAJMON.

Ojcze! ja twoim jestem jako żywo;  
Wtem jedno skrzytyny, co twój głos mi każe.

Obok twej woli, gdy jest sprawiedliwą,  
Wszelki ślub inny za nic sobie ważę.

KREON.

Dobrze, mój synu, to ciebie zaszczyca:  
Wszystko jest niczem przy woli rodzica.  
Na to o dzieci każdy prosi bogów,  
Na to w swym domu syna wyhodował,  
Aby był wrogiem dla ojcowskich wrogów,  
A przyjaciela jak ojciec szanował.  
Kto zasię dzieci niesforne posiada,  
To sobie ukuł kajdany na nogi,  
I śmiech zeń wielki pójdzie między wrogi.

Niech cię więc synu z rozsądku nie zwodzi  
Rozkoszy żądza: odpędź jej podniety,  
Boć zimną ręką jest niecej kobiety,  
Dla której szczęścia w zacnym domu szkoda.  
O! zły przyjaciel — to złe gorsze wrzoda.  
A więc się nie kwap: ona sobie przecie  
Wynajdzie męża, lecz na tamtym świecie.  
Bo, że ta jedna pomiędzy Tebany  
Śmiała mi stawić opór niesłychany  
I władzy mojej naruszać osady:  
Ja przeto, wobec całego zebrania,  
Mimo przewrotnych przyjaciół dorady,  
Śmierć jej wyrzekłem i nie zmienię zdania,  
Niech Zeus, bóg rodzin, tę sprawę rozsądzi:  
Jeślić mi krewni nie będą ulegli,  
To obcy ludzie będąż praw mych strzegli?  
Kto zaś w rodzinie swojej dobrze rządzi,  
Ten i przy władztwie nad krajem nie zbłądzi.  
Lecz kto w uporze swoim zatwardziały,  
Łamiąc swawolnie rządowe uchwały,  
Jeszcze zwierzchnikom przeczyć się ośmiela —  
Ten mieć nie będzie ze mnie przyjaciela.

Kto ma od kraju rządów dostojęństwo,  
Temu należy ludu posłuszeństwo,  
Czy to, co każe, jest małe lub wielkie,  
Słuszne, niesłuszne; jednym słowem — wszelkie.  
Kto to w rozumie swym umie przestrzegać,  
Ten umie władać, umie i ulegać.  
I gdy go rozkaz wezwie na bój krwawy,  
Dotrwa on dzielnie w obronie cnej sprawy.  
Bo gdzież złe większe znajdziesz od niezgody?  
Onato niszczy rodziny i grody,  
I płosząc wojska, wiedzie do nieślawy;



A ci, co w miejscach dotrwali statecznie,  
Przez posłuszeństwo mają się bezpiecznie.

Więc brońmyż raczej władzy postanowień,  
Nie jakichś pustych kobiecych urojeń;  
Wielka - bo mężom byłaby niesława,  
Gdyby niewieście rządzić miały prawa.

CHÓR.

Jeśli nam starość nie zamgliła w głowie,  
To jasna prawda zda się być w twej mowie.

HAJMON.

Tak, ojcze! między darami bożymi  
Rozum najwyższym jest dobrem na ziemi.  
Nie przeczę temu, coś mówił w tej chwili,  
Ani znam takich, coby zaprzeczyli.  
Lecz czemuż drugi nie ma rzec słów prawdy?  
Niech, co chce będzie, ty nie sięgniesz zawdy  
W to, co o tobie kto myśli lub czuje,  
Bo nikt na ciebie nie wyrwie się słowy:  
Taką twarz twoja lud trwogą przejmuje;  
Ale ja chwytam te ich ciche mowy.

Słyszałem w mieście narzekania słowa:  
— Że najzaciejsza z wszystkich białogłowa  
Nie dozwoliła, by braterskie ciało  
Pastwą się ptaków, dzikich zwierząt, stało;  
Więc za pobożność, godną złotej chluby,  
Ma się stać winną kary i zaguby!

Tak oni szepcą. Mnie zaś to obchodzi  
Najwięcej, co się z twym pożytkiem godzi;  
Bo cóż za obraz dla dzieci wspaniały:  
Widzieć rodzica w całym blasku chwały!

Więc nie trwaj, ojcze, w niewczesnym uporze,  
Iż twój li rozum coś znaczy i może;  
Bo i sam przyznasz, że ci, co w swej dumie  
O własnym tylko trzymają rozumie,  
Swoim zdolnościom hołdują i mowie:  
Że ci najczęściej mają pustki w głowie.  
A mąż im jaśniej w głąb' rzeczy spoziera,  
Tem więcej słucha, i tem mniej się spiera.

Patrz, kiedy zamieć pocznie drzewa chłostać,  
To co się ugnie — konary ocali;  
Inne, chcąc burzy nieugięte sprostać,  
Pęka w korzeniu i z trzaskiem się wali.  
A żeglarz, jeśli, choć go wicher nagli,  
Nie wstrzyma biegu i nie zwinie żagli;

To łódka jego chwieje się i pada,  
A on na szczątki, ratując się, siada.  
Więc lepiej, ojcze, ten ci gniew porzucić  
I do pokuty wcześniej się nawrócić.  
Bo ja tak sądzę w mym młodym rozumie:  
Dobrze to, jeśli człowiek samodzielnie  
Zaradzić sobie w każdym razie umie;  
Jeśli przeciwnie, (a mówiąc rzetelnie,  
To traf najczęstszy), więc niechaj już lepiej  
Cudzym rozumem swój rozum pokrzepi.

CHÓR.

I cóż ty na to, co on mówi, panie!  
Zdaje się, obaj słuszne macie zdanie.

KREON.

Wstydy mnie było na starość przed wami,  
Bym się miał żywić młokosa radami.

HAJMON.

Ja-ć źle nie radzę; i cóż ztąd żem młody?  
Nie na wiek zważaj, ale na dowody.

KREON.

Chcesz ze mnie zrobić złych ludzi czciciela?

HAJMON.

Tej przecie rady nikt ci nie udziela.

KREON.

Toż tej twa luba popadła chorobie.

HAJMON.

Cała Teb ludność sprzeciwia się tobie.

KREON.

Ludność mi tedy ma dawać rozkazy?

HAJMON.

Widzisz, jak młode są twoje wyrazy.

KREON.

Któż tedy prócz mnie w tej krainie włada?

HAJMON.

Gdzie tyran rządzi, tam wolności biada!

KREON.

Prawo od władcy kraj zależnym czyni.

HAJMON.

Będziesz ty wkrótce władał tu... w pustyni.

KREON.

Tak o kobietę chodzi mu: o wstydzie!

HAJMON.

Czyś ty kobieta? — mnie o ciebie idzie.

KREON.

O, niecny synu, tak ty ojca sądzisz?

HAJMON.

Bo widzę, ojcze, że w słuszności błędzisz.

KREON.

Ja błędzę? strzegąc praw moich od wrogów!

HAJMON.

Nie! ty je depcesz, gwałcąc prawa bogów.

KREON.

O słuگو babi! o wyrodne dziecię!

HAJMON.

Sługą występku nie nazwiesz mnie przecie.

KREON.

Więc tak się za nią ujmujesz słowami?

HAJMON.

Za nią, za tobą, za piekiel bogami.

KREON.

Ja w tem, że ty jej żywej nie zaślubisz.

HAJMON.

Śmierć jej zadając, kogoś więcej zgubisz.

KREON.

Jeszcze śmiesz z groźbą wyjeżdżać zuchwalcze!

HAJMON.

Z groźbą?... ja przeciw niesłuszności walczę!

KREON.

Chciałbyś mnie uczyć rozumu: dziękuję,  
Przecież od głupich nikt go nie kupuje.

HAJMON.

Gdybyś mi nie był ojcem, rzekłbym śmiało,  
Że ci samemu dzisiaj go nie stało.

KREON.

Czy tak?... Przez Olimp! to już przeszło miarę,  
Ta ci obelga nie ujdzie bezkarnie!  
Zaraz mi tę tu sprowadzić poczwarę,  
Niech w oczach gacha poniesie męczarnie!

HAJMON.

Nie! ja nie będę świadkiem jej męczeństwa,  
I ty mnie więcej nie ujrzysz na ziemi.  
Sam tu pozostań z przyjaciółmi swymi,  
Co radzi znoszą twoje okrucieństwa.

### Kreon, Chór.

CHÓR.

Królu! on odszedł zagniewany srodze,  
A gniew młodego na złej stawia drodze.

KREON.

Niech idzie, knuje nadludzkie zamiary,  
Tych przecie dziewcząt nie zwolni od kary.

CHÓR.

Więc te dziewice obie śmiercią zginą?

KREON.

Nie; ta nie zginie, co nie grzeszy winą  
Pogrzebu zdrajcy: słuszne twe pytanie.

CHÓR.

A ze skazaną na śmierć co się stanie?

KREON.

Tę do odludnej zawiodę pustyni  
I tam w podziemnej zamknę ją jaskini,  
Tyle jej tylko wyznaczając chleba,  
Ile do walki ze śmiercią potrzeba  
Przez dzień jedyny, jako chcą ustawy,  
Aby na miasto nie ściągnąć nieślawy\*).  
Niechaj tam Hades, którego tak chwali  
Nad wszystkich bogów, życie jej ocali.

Chór.

1.

O miłości! twa potęga  
Gdzie nie spojrzeć, wszędy sięga.  
Ty wśród morskich toni władasz,  
Do wieśniaczej mkniesz świetlicy,  
A uroków cuda składasz  
Na obliczu krasnolicy.  
Nieśmiertelny bóg na niebie,  
Krótkotrwały człek na ziemi  
Nie wyprosi się od ciebie:  
Ty go ranisz strzałą swemi;  
A gdy w kogo strzał twój padnie,  
O! tym rozum już nie władnie.

2.

Przez cię nawet ludzie godni  
Idą oślepi drogą zbrodni.  
Ot i dziś przez ciebie właśnie  
W całym rodzie dzikie właśnie.  
Ach! z miłością trudna sprawa.  
Ona cichym, tajnym krokiem

---

\*) Według praw i wyobrażeń w Grecji nie godziło się skazanemu na główną śmierć nie dostawić pożywienia, wystarczającego przynajmniej na jedną dobę; spełnienie dopiero tego warunku zwalniało od wszelkiej odpowiedzialności, jakaby w przeciwnym razie ciążyła na społeczeństwie i władzy. (*P. tł.*)

U przybytków władzy stawa  
Mącié prawa swym wyrokiem.  
Afrodyta to bogini  
Takie z ludzi żarty czyni.

Dusza wbrew prawu rwie się, wzburzona,  
I łez w źrenicy wstrzymać nie może,  
Kiedy spoglądam, jak Antygona  
Dąży na swoje śmiertelne łoże.

### Antygona, Chór.

ANTYGONA.

Tebańska drużyno droga!  
Otóż patrzcie, ja nieboga,  
Dzisiaj na słońca promienie  
Ostatnie rzucam spojrzenie.  
Żywą mnie Hades zabierze  
Na Acherontu wybrzeże.  
Nie dla mnie ślubne ubiory,  
Nie dla mnie godowe chóry,  
Tam, tam, Acheron z daleka,  
Narzeczony mój, mnie czeka.

CHÓR.

Oj! przyjmie cię dobrze tam otchłań bezdenna,  
Boś głośna z swych czynów, a chlubą promienna;  
Ni ciebie choroby na ciele zniszczyły,  
Ni cięcia mieczowe ślad na niem wryły;  
Lecz młoda, swobodna, we wdzięków rozkwicie,  
Nie dbając o ludzi, opuścisz to życie.

ANTYGONA.

Słyszałam ja nieraz o córce\*)  
Tantala, która ztąd słynie,  
Że we Frygijskiej krainie  
Na Sypilowej tam górze,  
Jakby w zwojach bluszczu cała,  
Stoi w głazie skamieniała.  
I czoło jej, wieść powiada,  
Wieczystym śniegiem pokryte,  
I z oczu krople obfite,  
Łza po łzie na piersi spada.  
Tak i mnie dłoń przeznaczenia  
Uśpi w powłoce z kamienia.

---

\*) Niobe, zamieniona w posąg kamienny.

CHÓR.

Lecz ona od bogów cny ród swój wywodzi,  
Nas zasię śmiertelnych śmiertelna krew rodzi;  
Więc tobie wyroki snąć chluby przyczynią,  
Gdy masz się choć w skonie porównać z boginią.

ANTYGONA.

Przebóg! sztydzi ze mnie lud.  
Cóż mnie tak wczesnie szarpiecie!  
Toć ja jeszcze żyję przecie;  
Czekajcie, niech umrę wprzód.

O ojczyzno! o ziomkowie!  
Znakomici, cni mężowie!  
O wy Dyrcei strugi kręte!  
O tebańskie gaje święte!  
Wzywam was, wzywam na świadki,  
Jak lud mi życia ostatki  
Cierpkimi słowy zatruwa!  
Jako prawo nieugięte  
W grób kamienny mnie zakuwa!

O jakże ja nieszczęśliwa!  
Ani zmarła, ani żywa;  
Ni mnie z ludźmi dziś na ziemi,  
Ni z duchami podziemnymi.

CHÓR.

Na prawo się targnąć ważyła twa buta!  
Oj, córko! to pewnie za ojca pokuta.

ANTYGONA.

Oj, najkrwawszą serca ranę  
Ty rozdierasz temi słowy,  
Wspominając los ojcowy  
I Labdaków klęski znane.  
Ja, lubego pozbawiona,  
I sromotnie potępiona  
Srogich ludzi ustawami,  
Mam pod ziemię iść za wami!

CHÓR.

Cześć zmarłym, zaprawdę, rzecz piękna; lecz biada,  
Chcieć tego rozkazom urągać, kto włada:  
A tyś się zbyt gniewem uniosła, o luba!  
Więc z własnej twej woli wyrosła twa zguba.

ANTYGONA.

Bez pociechy, sama jedna  
W drogę śmierci idę biedna.  
Już ja słońca oczy memi  
Świętych blasków nie obaczę;  
Ni mnie wspomni kto na ziemi,  
Ni z litości kto zapłacze!

Kreon, Antygona, Chór.

KREON.

Wszak wiecie, że te żale końcaby nie miały,  
Gdyby na śmierć sądzonym na coś się przydały.  
Czemuście mi jej dotąd z oczu nie sprzątnęli,  
Jako wam rozkazałem?... Czyście nie słyszeli?  
Zamknąć mi ją natychmiast: żywcem pogrzebiona,  
Na dnie czarnej jaskini niech życia dokona!

ANTYGONA.

O zimne grobowisko! podziemna tajnico!  
O ślubne łożo! wieczna, więzienna strażnico!  
Gdzie ja mam się połączyć z moich krewnych gronem,  
Których liczba największa Persefony plonem!  
Ja umieram ostatnia, nędzna męczennica,  
Wprzód, nim mnie Przeznaczenia wskazała prawica.  
Lecz, ojcze! — matko! — bracie! to przynajmniej tuszę,  
Że wam przybyciem mojem rozraduję duszę:  
Bom ja mą własną ręką myła wasze ciała,  
Jam też czystą obiataę na wasz grób wylała;  
A teraz mnie tak sroga nagroda spotyka,  
Żem ze czią pogrzebała brata Polinika.  
Každy mędrzec słusznymi nazwie moje kroki.  
Ja gdybym miała męża, gdybym miała dziecię,  
To pogrzebać ich nigdy nie śmiałabym przecie,  
Gdyby mi tego władców wzbraniały wyroki.  
Dziś pochowałam brata: spytacie, dlaczego?...  
— Gdyby mąż zginął, znaleźć mogłabym drugiego;  
Gdybym straciła syna, innyby się zrodził  
Z innego męża, coby boleść mą osłodził:  
Lecz gdy rodzice moi zeszedli z tego świata,  
To już przecie nie mogę spodziewać się brata.  
A żem cię, miły bracie, pochowała godnie,  
Więc mnie Kreon oskarżył o okropną zbrodnię,  
Samowolnym rozkazem skazał na katusze;  
I mnie z pośrodku ziomeków gwałtem pochwycono,



I ja w dziewiczej szacie zejść ze świata muszę,  
Nie znając, co za rozkosz być matką i żoną.

Opuszczoną od wszystkich, samą, nieszczęśliwą!  
Do jaskini umarłych wloką mnie ach! żywą:  
W czem ja wam przewiniłam? nieśmiertelne bogi!  
Lecz i do was ja próżno wznoszę okrzyk trwogi,  
Gdy mnie za czyn pobożny, tu, pod waszem okiem  
Karzą, jak bezbożnicę, śmiertelnym wyrokiem!

Ha! jeżeli bogowie uznają mą winę,  
Więc dobrze: niech się spełni moich cierpień miara;  
Lecz jeśli ja niewinnie z rąk mych katów ginę,  
To życzę, by ich sroższa nie dotknęła kara.

KREON.

Nie myśl, by los twój zmienić się miał,  
Spełni się wyrok, jaki-m raz dał.

ANTYGONA.

Rodzinną ziemio, o Teby moje!  
Bogi ojczyste! tebańscy woje!  
Patrzcie, zaświadczone, jak ginę marnie,  
Na co mi wyszła troskliwość bratnia,  
Od jakich ludzi znoszę męczarnie,  
Ja, waszych królów córa ostatnia!

CHÓR.

Wszak i Danae, świetna też z rodu;  
Wždy ją w miedzianej wieży zaparto,  
Słoneczne blaski oczom wydarto,  
I w ciemnym grobie zmarła za młodu.

Ale przeznaczeń los nieugięty,  
Słuchać go muszą czarne okręty,  
Pluszczące w falach; pod ich rozkazem  
Wieże i wojny, grzmiące żelazem.  
I król Hedonów, Dryasa dziecię\*,  
Okrutnej doli doznał na świecie:  
Śmiał się Bachowi stawić zuchwale,  
Więc on też żywcem zakuł go w skałę.

---

\*) Syn Dryasa, *Likurg*, król Tracyi, którego Bakchos za obelgi zamknął w jaskini gór Pangeju.

Teirezyas, Kreon, Chór.

TEIREZYAS.

Przezacni Teb mężowie! Otóż k'wam przychodzę,  
Wiedziony przewodnika mego oczami;  
Bo ślepyr cudze oko towarzyszy w drodze.

KREON.

Cóż tam, Teirezyaszu, z jakimi wieściami?

TEIREZYAS.

Ja ci wnet je opowiem; ty ufaj wieszczowi.

KREON.

Jam twoje napomnienia zawsze miał na pieczy.

TEIREZYAS.

Dlategoś też pomyślnie przewodził krajowi.

KREON.

Przynaję, że twe rady były nie od rzeczy.

TEIREZYAS.

A więc — niebezpieczeństwo ciąży nad twą głową.

KREON.

Cóż tam znowu takiego? trwoży mnie twe słowo.

TEIREZYAS.

Posłuchaj, co ci moja nauka powiada:  
— Siedziałem w owej starej wieszczbiarni, przy której  
Bujają w dziwnych kręgach różnopióre stada;  
Wtem, dzikie krzyki ptasie groźnie zagrzmią z góry.  
To pewnie, myślę, wzajem szpony w siebie troczą,  
Bo wrzeszczą i okropnie skrzydłami łomoczą.  
Więc zaraz do ołtarzów poszedłem struchlały,  
Na których w świętym ogniu obiady gorzały.  
Lecz płomień nie był lśniący, wilgoć z udźców ciekła,  
Opadała na popiół, lub z dymem się wlekła;  
Zółc znikła z wiatrem, mięso odeszło od kości  
I leżało odarte z powierzchni tłustości.  
Te to wszystkie oznaki wróżące złą dolę

Z świętych tajemnic — to mi wskazało pacholę:

Bo jak ja wodzę drugich, tak on mnie znów wodzi.

Kreonie! to przez Ciebie zguba w kraj nasz godzi!

Co ptak jaki przeleci nad nasze ogniska,

Co pies przejdzie — to zdobycz na ołtarz nam ciska;

A któż to tej zdobyczy dostarcza im przecie?

To trup, zamordowane Edypowe dziecię.

Ztąd też bogi ni modłów naszych już nie baczą,

Ni ognisk: ptacy ciągle złemi wróżby kraczą:

Jak się obżarły ciała, jak się krwi opili

Z zabitego, co dotąd leży bez mogiły.

Zastanów się, mój synu! ludzka to rzecz, błędzić;

Ale jeśli ktoś, zamiast uporem się rządzić,

Pragnie owszem zarady i szuka jej wszędzie:

Ten nie jest bezrozumny, nieszczęsny nie będzie.

W tym tylko głupstwo mieszka, kto uporem stoi.

Przestań więc nękać zwłoki, niech cię śmierć rozbroi.

To ja ci z serca radzę, a od przyjaciela

Miło przyjąć, jeżeli zdrowych rad udziela.

KREON.

Starcze! więc wszyscy, jakby łuczników gromada,

Za cel swoich pocisków moje serce biorą?

Nawet wróżbici; ale nie dziw, nie dopiero,

Dawno mnie ściga wasza przedajność i zdrada.

Lecz dobrze; bogaćcie się, grabcie — mniejsza o to —

Wszystek elektr sardyjski, wszystko Indyi złoto:\*)

To przecie niepodobna wam tej chwili dożyć,

Bym ja miał zwłoki zdrajcy do mogiły złożyć.

Choćby go nawet orły szponami ostremi

Przed tron samego Zeusa podniosły od ziemi,

Nie pozwolę na pogrzeb i tem się nie trwożę,

Ufny, że człowiek bogom ubliżyć nie może.

Ty zaś wiedz, stary wieszczu, że najszczerwsi ludzie

Upadają i toną w niezmazanym brudzie,

Jeśli ich język miota wymowne pociski,

A myśl występna godzi na ohydne zyski.

TEIREZYAS.

Ha! kto tam o tem myśli? komu to jest znane?...

KREON.

Dokończ — usłyszysz jakieś prawdy oklepane.

\*) Elektr sardyjski, mieszanina złota, srebra i innych kruszców, wyrobiana w Sardes na wybrzeżach Azji Mniejszej.

TEIREZYAS.

Rozum, jakażto piękna zaleta żywota!

KREON.

Tyle przynajmniej, ile szkodliwą głupota.

TEIREZYAS.

A jednak tego złego pełna twoja głowa.

KREON.

Nie dbam ja na wróżbity obelżywe słowa.

TEIREZYAS.

Lecz za cóż mi zarzucasz, żem wieszczek fałszywy?

KREON.

Wszakże każdy wróżbita na pieniądze chciwy.

TEIREZYAS.

A każdy tyran goni za zyski podłymi.

KREON.

A wiesz-że ty, że mówisz do króla tej ziemi?

TEIREZYAS.

Wiem, bo jeśliś tu panem, to mnie masz dziękować.

KREON.

Biegłysz ty wieszcz, to prawda; lecz lubisz złe knować.

TEIREZYAS.

Zmuszasz mnie, więc odkryję serca mego tajnie.

KREON.

I owszem, byleś tylko nie mówił przedajnie.

TEIREZYAS.

Czy tak? więc to przedajne bywały me słowa?

KREON.

Tak; lecz mię nie wywiedzie już w pole twa mowa.

TEIREZYAS.

Więc pamiętaj! nim słońce raz ziemię obiegnie,  
To ostatni z twych synów śmiercią za śmierć legnie:  
Przez to, żeś ty się ważył wbrew nadziemskim bogom  
Stracić żyjącą duszę ku podziemia progom;  
Do tego, jak na udry z bogi podziemnymi,  
Trzymasz bez czei pogrzebnej zmarłego na ziemi.  
I jakimże to prawem? Kiedy on jest wcale  
Własnością bóstw podziemnych, i żadnych praw przecie  
Nie roszczą doń władnące bogi w górnym świecie;  
Narzucać im te prawa, to nadto zuchwale.

Już mścicielki niebieskich bogów i piekielnych,  
Eryny, które karzą przestępstwa śmiertelnych,  
Wkrótce wypuszczą na cię podobnych klęsk zgrają.

Czyż ja mówię dla zysku — jak ci się wydaje?  
Wnet orszak żon i mężów wpadnie tu splakany,  
Zatrzęsą się od jęków twego dworca ściany,  
Bo już między sąsiady hałas zgrozy wzrasta,  
Ześ im trupim wyziewem pozarażał miasta.

A skąd ten wyziew? z ciała, które, dzięki tobie,  
We wnętrzu dzikich zwierząt legło niby w grobie.  
To ja, jak łucznicz, z serca rzucam w gniew twój strzały;  
O! zadrżysz ty pod niemi i zbolejesz cały.

Pójdź, pacholę, odprowadź mnie w moje ustronie;  
Niechaj on tu na młodszych wściekłość swą wyzionie,  
Niechaj uśmierzy zdrożną burzliwość języka  
I rozumniej niż dotąd w prawdę rzeczy wnika.

Kreon, Chór.

CHÓR.

Królu! ten mąż stąd odszedł z wieściami strasznemi.  
A jako wiek pobelił moje włosy czarne,  
Nie pamiętam, zaprawdę, by na naszej ziemi  
Przepowiednie się jego pokazały marne.

KREON.

O, wiem! to też niemała tu mnie trwoga ciśnie:  
Ustąpić, to byłoby tchórzostwem nielada,  
A znów uporem mógłbym zgubić się umyślnie.

CHÓR.

Jeden jest na to sposób, królu: zdrowa rada.

KREON.

Radźcież mi więc, jakiego mam użyć sposobu?

CHÓR.

Najprzód masz tę dziewicę z jaskini wybawić,  
Potem złożyć zmarłego popioły do grobu.

KREON.

A więc koniecznie chcecie na swoim postawić?

CHÓR.

O, śpiesz się: kara boża pędzi nogą żwawą  
Za tymi, co się zwykli ociagać z poprawą.

KREON.

Przykroto ustępować; ale trudna rada:  
Gdy nieszczęście mi grozi, ustąpić wypada.

CHÓR.

Idź więc, nie daj innemu zająć się tą sprawą.

KREON.

Natychmiast; a tymczasem niech każdy pacholek  
Z siekierą w rękę biegnie na wzgórką wierzchołek,  
A ja, gdy zmienię zdanie, więc wraz też podążę  
I to, co sam związałem, to i sam rozwiążę.  
Trzeba się widzę godzić z prawami bożemi,  
Aby spokojność życia pozyskać na ziemi.

## Posel, Chór.

POSEŁ.

Obywatele Kadma i Amfiona grodu!  
Niestala kolej życia nie daje powodu,  
By się wielce frasować, lub nazbyt unosić.  
Po wszystkie czasy jedna tylko losu ręka  
Wciąż podnosi lub zwała, co cieszy lub nęka.  
Nikt przyszłości śmiertelnym nie może wygłosić.  
Otóż, Kreon się zdawał najszcześliwszym w świecie;  
On wybawił od wrogów Kadmejową ziemię,  
We własne ręce ujął całe rządów brzemie,  
Potomstwo jego było jako bujne kwiecie;  
A dzisiaj już po wszystkim. Bo kto za żywota,

Tak mniemam — stracił radość, stał się zgryzot łupem,  
Taki żyć przestał, taki chodzącym jest trupem.

Miej ty w domu dostatek, gromadź stopy złota,  
Żyj choć w królewskim blasku; lecz jeśli nie czujesz  
Żadnej w duszy radości, to całe twe mienie  
Tyle nawet nie waży, ile dymu cienie.

CHÓR.

Jakąż znów królów naszych klęskę nam zwiastujesz?

POSEŁ.

On umarł: a śmierć jego, to żyjących sprawa.

CHÓR.

Kto umarł? powiedz prędzej; kto? gdzie jest zabójca?

POSEŁ.

Haimon padł — ręka w niego ugodziła krwawa.

CHÓR.

Czy własna jego ręka, czy też ręka ojca?

POSEŁ.

On sam się zabił, gniewny na wyrok ojcowski.

CHÓR.

Jak się szybko twe słowa pełnią, wieszczu boski!

POSEŁ.

Co gdy tak jest, o reszcie myśleć nam należy.

CHÓR.

Ot patrzcie, Eurydyka biedna do nas bieży.  
Wyszła smutna ze dworca; czy ją traf tu wiedzie,  
Czy też wie o synowskiej i o swojej biedzie?

Eurydyka, Poseł, Chór.

EURYDYKA.

Tebanie! postyszałam ja wasze narady,  
Idąc z domu z modlitwą przed posąg Pallady,  
Właśnie-m drzwi otwierała, kiedy wieść złowroga,

Wieżę domowej niedoli o mój słuch potrafi:  
Razem uderza, targa mną okropna trwoga.  
Padam w ręce służebnic, w duszy mi się mąci.  
Mówcież więc, chcę słów waszych dowiedzieć się treści,  
Chcę słuchać, jako dobrze świadoma boleści.

POSEŁ.

Opowiem ja ci wszystko, jak było, o pani!  
I prawdy nie utaję, choć twą duszę zrani.  
Co cię mam próżno słowy pochlebnemi zwodzić?  
Fałsz wyjdzie na wierzch, z prawdą najlepiej się godzić.

Szedłem ja wskazać drogę twojemu mężowi  
Na wzgórek, gdzie przez jego bezbożne wyroki  
Psy szarpały nieszczęsne Polinejka zwłoki.  
Oddaliśmy Hekacie cześć i Plutonowi,  
By ich sobie przejednać; poczem, jak przystało,  
Umywszy najuczciwiej zabitego ciało,  
Na stosie z drzewin, świeżo zrabanych, złożyli,  
I z rodzinnej je ziemi mogiłą przykryli.

Zatem podchodzim do tej kamiennej ciemnicy,  
Gdzie Hades ślubne łożo zgotował dziewicy;  
Aż tu jęki wyraźne usłyszał ktoś z grona,  
Głos z śmiertelnej pieczary, więc wezwał Kreona.  
Kreon podąży bliżej i słyszy donośnie  
Głuche łkania; więc westchnął i mówi żałośnie:

»O nieszczęsny! to, widzę, wywróżyłem sobie;  
Jakaż się straszna groza nademną rozpiętrza!  
Straszno mi: syna mego słyszę głos w tym grobie.  
Zwalcie głaz, który drogę zagradza do wnętrza,  
A śpieszczcie się pacholki! ruszajcie co żywo!  
Dostańcie się do groty; chcę mieć wieść prawdziwą,  
Czy mnie istotnie jęki Haimona dochodzą,  
Czy też mnie tylko bogi tak okrutnie zwodzą«.

Posłuszni rozkazowi pół-żywego króla,  
Idziemy w głąb' pieczary: patrzym, Antygona  
Wisi, wstęgą z przepaski Inianej okręcona,  
A przy niej klęczy Haimon, do piersi przytula,  
Zanosi się od płaczu nad zgonem swej lubej,  
Przeklina srogość ojca i nieszczęsne śluby.

Westchnął Kreon głęboko, zobaczywszy syna,  
Zbliża się i w te słowa, jęcząc upomina:  
»Co ty czynisz, nieszczęsny! jakie masz zamiary?  
Nie gub się, synu! błagam, wynijdź z tej pieczary!«

A Haimon na to dzikie wlepił weń źrenice  
I nie nie odpowiedział, płonęły mu lice;  
Pochwyił miecz dwusieczny; ojciec byłby nie żył:  
Szczęściem w porę się cofnął; miecz w stronę uderzył.



Wtedy on już na siebie całą wściekłość zionie,  
Utyka na ostrz miecza; topi go w swem łonie:  
Krew bryzga, a on czując, że w nim życie kona,  
Pochwycił narzeczoną w mdlejące ramiona,  
Na licach jej ostatnie wyzionął westchnienie,  
Z którem się krwi czerwonej zmieszały strumienie.

Leżą więc we wzajemnym uścisku ujęci,  
I Hades w domu śmierci wieczny ślub ich święci.  
Z tych wydarzeń niech każdy roztropnie rozważa,  
Na jakie lekkomyślność nieszczęścia naraża.

*(Euridyka odchodzi).*

CHÓR.

Cóż stąd wnosić należy, że ot Kreonowa  
Odeszła śpiesznie od nas, nie rzekłszy ni słowa?

POSEŁ.

Mnie samego to dziwi: jednak mam nadzieję,  
Że ona, posłyszawszy o śmierci synowskiej,  
A nie chcąc w całym mieście rozgłaszać swej troski,  
W domu na łono niewiast ciche łzy wyleje.  
Przecież na tyle rozum jej, zda się, wystarczy,  
Że niczem lekkomyślnem życia nie obarczy.

CHÓR.

Nie wiem: często w ponurej milczenia boleści  
Równa groza, jak w głośniejszej rozpacz, mieści.

POSEŁ.

Ha! jak wrócę do dworca, zobaczę to wtedy,  
Czy czasem ją do jakiej chęć nie skusi biedy;  
Bo przyznaję, uwaga twoja sprawiedliwa:  
Ze wskazówką wybuchu zbytnia cisza bywa.

*(Odchodzi).*

CHÓR.

Otóż i władca sam przecie nadchodzi  
I niesie w ręku ciało swego syna;  
Ale po prawdzie powiedzieć się godzi,  
Ze w tem już jego, jego własna wina.

Kreon, Chór.

KREON.

Bezrozumny, wściekły gniew!  
Sroga-ż za nim ciągnie kara:

Patrzcie... patrzcie... jedna krew  
I morderca i ofiara!  
Otóż mych wyroków plon!  
Synu — synu mój jedyny!  
Tyś już nie mój; z mej cię winy  
Wydarł mi przedwczesny zgon.

CHÓR.

Późno uznajesz sprawiedliwość bogów.

KREON.

Och! uznaję! Gniewny bóg  
W mojej głowie rozum zmógł;  
On mnie zguby powiodł drogą,  
I zamysłów moich bieg  
Bezlitośną zburzył nogą.  
Próżno się tu trudzi człek.

Pachołek, Kreon, Chór.

PACHOLEK.

O panie! nad twą głową wisi klęsk gromada:  
Po jednej-ś nie ochłonał, a już druga pada.

KREON.

Nowe-ż nieszczęście do mych zawitało progów?

PACHOLEK.

Małżonka twa, po synu zabitym stroskana,  
Umarła: jeszcze świeżą broczy krwią jej rana.

KREON.

Piekło-ż przepaść klęsk zionęło,  
Na mą zgubę się uwzięło?!  
Jakież straszne twoje wieści,  
Pośle nieszczęść i boleści!  
Powiedz, powiedz: czy istotnie  
Jam zgubiony niepowrotnie?...  
Tu mi syn w boleściach kona,  
Tam okrutnie ginie żona!

PACHOLEK.

Sam się przekonaj, już ją ze dworca wynoszą.

KREON.

Przebóg! prawda: widzę sam.  
Nic więc, nic mi nie zostało:

W rękę trzymam syna ciało,  
Zwłoki żony niosą tam.  
Przebóg — przebóg! losie srogi!  
Biedna matko — synu drogi!

PACHOLEK.

Kiedy rozpacz okrutna tak jej duszę tłoczy,  
Razem otwiera, mrokiem przyciśnięte, oczy,  
Upada przed ołtarzem, oplakuje sławną  
Śmierć syna, Megareja, co zginął niedawno \*),  
To boleje nad dolą ostatniego syna;  
Ciebie zwąc dzieciobójcą, straszliwie przeklina.

KREON.

Biadaż — biada!  
Strachem zdjęty duch mój pada.  
Czemuż mieczem ramię czyje  
Piersi moich nie przeszyje?  
O nieszczęsny! jakąż falą  
Okropności we mnie wałą!

PACHOLEK.

Złorzeczyła ci strasznie w ostatniej godzinie,  
Że przez ciebie, jak dzieci, tak i ona ginie.

KREON.

Powiedz, jaką koleją z życia się wyzuła?

PACHOLEK.

Skoro o syna swego posłyszała zgonie,  
Zaraz miecz własną ręką utopiła w łonie.

KREON.

Och! ja nikogo o to nie winię:  
Moja to sprawa, moja jedynie.  
Ja cios śmiertelny zadawałem wam.  
Ja-m jest mordercą, przyznaję sam!  
O przyjaciele! weźcie mnie stąd,  
Gdzieś na daleki zawiedźcie łąd;  
O! jak najspieszniej; precz — kędy chcecie,  
Bo ja już jestem niczem na świecie.

CHÓR.

Zapewne; gdy nieszczęścia opadną człowieka,  
To mu ulgą jedyną, że śmierć niedaleka.

\*) Megarej, jest to inny syn Kreona, którego tenże, idąc za radami Teirezyasa, poświęcił na śmierć dla ocalenia Teb.

KREON.

O! niechaj padnie ostatni cios,  
Zakończy śmiercią srogi mój los!  
Niech padnie: czekam go najgoręcej.  
Bodajem słońca nie ujrzał więcej!

CHÓR.

To przyszłość: komu przyszłe powierzone rzeczy,  
Niech dba o Jutro, my zaś miejmy Dziś na pieczy.

KREON.

Bodajbym jak najprędzej połączył się z tymi,  
Których kochałem: to mem jedynem życzeniem.

CHÓR.

Daj ty pokój życzeniom: póki człek na ziemi,  
Póty on nie uchroni się przed Przeznaczeniem.

KREON.

Uprowadźcie-ż stąd już przecie  
Nieszczęsnego, co w szaleństwie  
Zabił żonę, zabił dziecię!

O! ja w życia dziś męczeństwie  
Nie mam spojrzeć już na kogo,  
Nie wiem, jaką pójść mam drogą;  
Wszystko poszło tam, pod ziemię!

O zwodnicze-ż życia brzemień!  
Nad mą głową straszne gromy  
Los rozwiesił niewidomy.

CHÓR.

Gdy cios bólu ugodzi w człowieka,  
Tem znośniejszy, im krócej dopieka.  
Na toż rozum — to szczęście — ma z nieba,  
By posłusznym był bogom, jak trzeba.

A kto słowem się pysznem porywa,  
Za tym w ślady kaźń idzie straszliwa.

*Tłóm. Kazimierz Kaszewski.*

## Z tragedyi Eurypidesa.

### Ifigenia w Taurydzie.

Ifigenia na wstępie opowiada nieszczęsne dzieje swoje i swego rodu. Tysiące okrętów stało w Aulidzie, nie mogąc odpłynąć z powodu zupełnej ciszy na morzu. Za poradą Kalchasa postanawia Agamemnon ofiarować Artemidzie córkę swoją Ifigenią. Ale bogini, ulitowawszy się, podsunęła na jej miejsce łąnię — a ją uniosła do Taurydy, gdzie pełnić musi służbę kapłanki. Straszna to kraina i straszna służba. Każdego Greka, który tu przybędzie, zabijają na ofiarę Artemidzie, a Ifigenia musi pokropieniem poświęcać męczenników. Dziś miała sny dziwne. Zdawało się jej, że wróciła w rodzinne strony. — Gdy weszła do świątyni, nadchodzi brat jej Orestes, ścigany przez Erynie, w towarzystwie przyjaciela swojego Pyladesa. Nie ma on nigdzie spokoju z powodu okropnej zemsty, jakiej dokonał. — Schwymano ich i mieli doznać losu wszystkich, co do niegościnnego tego kraju przybyli. Donosi o tem Ifigenii pasterz z dodatkiem, że jeden ze schwytych ma imię Pylades, bo tak nazywał go towarzysz. Ona każe przyprowadzić ich, ażeby zwykłego dopełnić obrzędu.

IFIGENIA (do sług).

Dobrze! a teraz moją będzie troską, pieczę  
Mieć o prawa bogini. Rozpętajcie obcych! —  
Ofiary poświęcone nie dźwigają pętów —  
I wszedłszy do świątyni, przygotujcie dobrze  
To, czego żąda chwila obecna i zwyczaj!

(Słudzy zdjawszy pęta cudzoziemcom odchodzą).

Ach! któraż na świat matka was wydała? któż był  
Ojcem? czy macie siostrę i czy żyje ona?  
Ach! jakichże młodzieńczych braci ona straci!  
Ktoż powie, kogo takie dosięgnie nieszczęście?  
Zrządzenia boże bowiem zwykle po omacku  
Przypadają, i klęski swej nikt nie przeczuwa.  
Los dopada torami nieprzeniknionymi.  
Skądże tu, cudzoziemcy, przyszlście nieszczęśni?  
Z dalekich stron do ziemi tej przyplłynęliście,  
By zdala od ojczyzny wiecznie leżeć w grobie.

ORESTES.

Przez narzekasz i, gdy nas obydwóch śmierć czeka,  
Utyskujesz, niewiasto, ktokolwiek ty jesteś?  
Niemądry mojem zdaniem, kto, gdy mu śmierć grozi,  
Płaczem jęklwym chce strach przed śmiercią zagłuszyć,  
Choć zbawienia spodziewać się nie może. Złe więc  
Podwójne on z jednego tworzy, bo się wyda  
Z głupoty, a wždy umrze. Niech los, co chce, zrządzi,  
A ty nas nie oplakuj! Znany kraju tego  
Zwyczaj ofiarowania ludzi nas nie trwoży.

IFIGENIA.

Powiedzcie, który z was dwóch zwany Pyladesem  
Po imieniu? To naprzód chciałabym usłyszeć.

ORESTES.

Ten tu, gdy wiedzieć o tem przyjemność ci sprawia.

IFIGENIA.

Któryż kraj w ziemi greckiej jest jego ojczyzną?

ORESTES.

Na cóż się przyda tobie, dowiedzieć się tego?

IFIGENIA.

Czyście bracia i matka was jedna zrodziła?

ORESTES.

Nie urodzenie, miłość nas z sobą złączyła.

IFIGENIA.

A tobie jakież imię nadał twój rodziciel?

ORESTES.

Powinienem właściwie zwać się nieszczęśliwym.

IFIGENIA.

Nie do tego pytaniem zmierzam; to zdaj na los!

ORESTES.

Nie doznam wstydu, kiedy umrę bezimiennie.

IFIGENIA.

Czemu odmawiasz tego? czy tak dumnym jesteś?

ORESTES.

Zabijesz na ofiarę ciało me, nie imię.

IFIGENIA.

Nie nazwiesz -li też grodu, który twą ojczyzną?

ORESTES.

Nam umrzeć; nie przyniosą zysku twe pytania.

IFIGENIA.

Cóż wyświadczenia łaski mi tej wzbrania?

ORESTES.

Słynne Argos ojczyzną moją — tem się chlubię.

IFIGENIA.

Przebóg! czy stamtąd rodem jesteś rzeczywiście?

ORESTES.

Tak, z Myken, które niegdyś były tak zamożne.

IFIGENIA.

Czyś wygnany opuścił kraj, czy z innych przyczyn?

ORESTES.

Dobrowolnie-m wygnany, ponieważ wbrew woli\*).

IFIGENIA.

Czy dowiem się od ciebie tego, czego pragnę?

ORESTES.

Niech to będzie dodatkiem do mojej niedoli!

---

\*) W. 468. Dobrowolnie, ponieważ chciał się obmyć z krwi matko-bójstwa; wbrew woli, ponieważ go współobywatele wygnali.

IFIGENIA.

Zjawiłeś się tu z Argos bardzo pożądanym.

ORESTES.

Jam nie pożydał; jeżeli ty zaś, rzecz to twoja.

IFIGENIA.

Znasz Troję przecie, którą wszędzie w ustach mają?

ORESTES.

Było mi nigdy nie znać jej, nawet nie przez sen!

IFIGENIA.

Powiadają, że padła orężem zburzona?

ORESTES.

Tak jest. W istocie stało się to, co wam mówią.

IFIGENIA.

Czy Helena znów w domu jest Menelaosa?

ORESTES.

Niestety! bo ktoś z moich nieszczęście stąd poniósł!

IFIGENIA.

Gdzież bawi? Dawno mnie też zawiniła srodze.

ORESTES.

Żyje w Sparcie, złączona znów z pierwszym małżonkiem.

IFIGENIA.

Ha! w obrzydzie ją Greków lud ma, nie ja sama.

ORESTES.

I jam dotknięty niezłe w skutek jej niewiary.

IFIGENIA.

Achajowie wrócili, jak wieść się rozeszła.

ORESTES.

Toć wszystkiego dobadać się chcesz na mnie naraz.



IFIGENIA.

To w zysku mieć chcę jeszcze, zanim śmierć poniesiesz.

ORESTES.

Pytaj, gdy tego pragniesz; odpowiem na wszystko.

IFIGENIA.

Czy powrócił do domu z Troi wieszczek Kalchas?

ORESTES.

Po Mykenach krążyła pogłoska, że umarł.

IFIGENIA.

Ha! to pięknie, bogini! a syn Laertes a?

ORESTES.

Kto jesteś, żeś tak dobrze świadoma spraw greckich?

IFIGENIA.

Stamtąd pochodzę; dzieckiem jeszcze będąc, znikłam.

ORESTES.

Słusznie zatem tamtejsze sprawy pragniesz poznać.

IFIGENIA.

Co robi wódz, którego szczęsnym mianowano?

ORESTES.

Kto to taki? ja nie znam żadnego ze szczęsnych.

IFIGENIA.

Agamemnonem, synem Atreusa, był zwany.

ORESTES.

Przestań mówić, niewiasto, o tem! tego nie wiem.

IFIGENIA.

Nie, przebóg! cudzoziemcze! mów i mnie tem pociesz!

ORESTES.

Umarł biedny i kogoś do grobu wraz wpędził.

IFIGENIA.

Umarł, jakimż zrządzeniem boskiem? och! ja biedna!

ORESTES.

Dla czego tak jęknęłaś? czy twoim był krewnym?

IFIGENIA.

Nad szczęściem jego dawnem utyskuję z jękiem.

ORESTES.

Od niewiasty zabity, strasznie zszedł ze świata.

IFIGENIA.

Opłakani zabity i wraz zabójczyni.

ORESTES.

Teraz przestań nakoniec i nie pytaj dalej!

IFIGENIA.

Jedno jeszcze: czy żyje żona nieszczęśliwa?

ORESTES.

Nie żyje już; syn własny ze świata ją zgładził.

IFIGENIA.

Och! skołatany domie! W jakimże wzdry celu?

ORESTES.

Aby krwi zabitego rodzica się pomścić.

IFIGENIA.

Ach! jak dzielnie wykonał czyn niecny, a słuszny!

ORESTES.

Choć słuszność miał, u bogów łaski nie dostąpił.

IFIGENIA.

Czy Agamemnon dzieci inne pozostawił?

ORESTES.

Córki w panińskim wieku, Elektry, odumarł.

IFIGENIA.

A o córce ofiarowanej nie nie słychać?

ORESTES.

Nie krom tego, że zmarła i że leży w grobie.

IFIGENIA.

Biedni, ona i rodzic, co ją zamordował!

ORESTES.

Śmiercią smutną umarła, dla niecnej kobiety.

IFIGENIA.

Syn zabitego ojca żali żyje w Argos?

ORESTES.

Żyje w niedoli ciężkiej, i nigdzie i wszędzie.

IFIGENIA.

Precz z snami zwodniczymi! toć w nic się rozwiały.

ORESTES.

Nawet bogowie, których mądrymi świat zowie,  
Nie są mniej zawodnymi, niżli sny skrzydlate.  
Panuje zamieszanie wielkie w sprawach boskich  
I ludzkich; smutek tylko wynurza się zewsząd.  
Kto rozważny polega na wyroczniach wieszczów,  
Ginie też; a jak ginie, to wiedzą świadomi.

PRZODOWNICA CHÓRU.

Ach! jakąż dola nasza i naszych rodziców?  
Czyż żyją? czy umarli już? któż mi to powie?

IFIGENIA.

Słuchajcie! Wpadłam właśnie na myśl jakąś, która  
Wam korzyść, przyjaciele, przyniesie i mnie też  
Dobrego coś wykonać najspadniej w tym razie,  
Gdy to samo dogadza i po myśli wszystkim.  
Ocalę ciebie, jeżeli udasz się do Argos  
Z orędzim do przyjaciół moich i zawieszysz  
Im pismo, które jeniec ułożył mi niegdyś  
Litościwy, bo ręki mojej nie winował

O zabójstwo, lecz śmierć swą złożył na karb prawa  
I bogini, która to za słusność uważa.  
Nie było tu nikogo, coby powróciwszy  
Do Argos zawiózł moje orędzie, i pismo,  
Ocalony, do moich przyjaciół wyprawił.  
Ty więc — a szlachetnego snać jesteś umysłu  
I znasz Mykeny i tych, o których mi chodzi, —  
Cało tam powróć, wziąwszy zapłatę niemąłą  
Za przewiezienie listu lekkiego: zbawienie.  
Ten zaś, gdy gród do tego zmusza, odłączony  
Od ciebie, niech bogini pójdzie na ofiarę!

ORESTES.

Piękne słowa, niewiasto, rzekłaś — prócz jednego;  
Bo wielką klęską dla mnie, tego wydać na rzeź!  
Mojem bowiem nieszczęściem ładowna jest nawa;  
On wraz ze mną wypłynął, by ulżyć mi cierpień.  
Niesłusnością byłoby więc, gdybym twej łaski  
Dostał przez śmierć tego, a sam wybrnął z biedy.  
Nie, tak niech stanie się: list temu daj! Do Argos  
Zawióznij go, on sprawi tobie wszystko dobrze.  
Mnie niech kto bądź zabije! Największą to hańbą,  
Gdy kto w przepaść niedoli wtrąci przyjaciela,  
Aby siebie ocalić. Ten jest druhem moim,  
O życie jego nie mniej stoję, niż o swoje.

IFIGENIA.

O zacna duszo; rodu zaiste! przedniego  
I prawdziwym przyjaciół przyjacielem jesteś!  
Oby takim był ten, co z mojego rodzeństwa  
Przy życiu jeszcze! Wiedźcie o tem przyjaciele,  
Że ja także mam brata, chociaż go nie widzę.  
Skoro taka więc wola twa, wyślemy tego  
Z listem, a ty poniesiesz śmierć; bo, jak się zdaje,  
Przygotowany jesteś do tego stanowczo.

ORESTES.

Ktoż zabije mnie i czyn ten straszny wykona?

IFIGENIA.

Ja — włożyła bogini na mnie to kapłaństwo.

ORESTES.

Smutne, dziewico, i nie uszczęśliwiającej.

IFIGENIA.

Konieczność mnie zniewala; jej trzeba ulegać.

ORESTES.

Ty, niewiasta, zabijasz sama mieczem mężczyzn?

IFIGENIA.

Nie; wodą tylko skropię święconą ci włosy.

ORESTES.

A któż jest ofiarnikiem? jeżeli wolno pytać.

IFIGENIA.

Tam w świątyni są ci, do których to należy.

ORESTES.

Jakież pogrzeb mię czeka, gdy życie wyzionę?

IFIGENIA.

Święty ogień tam w środku i straszna pieczara.

ORESTES.

Och! oby ręce siostry mnie tam ułożyły!

IFIGENIA.

Próżne życzenia, ktobądź jesteś, nieszczęśliwce!  
Toć ona mieszka zdala od barbarzkiej ziemi.  
Ponieważ jednak z Argos właśnie jesteś rodem,  
Wszelkie możliwe względy okażę ci chętnie.  
Bogaty strój ozdobny złożę ci do grobu,  
Żółtą oliwą ciało namaszczę, i górskiej  
Pszczoły brunatnej z kwiatów wyssaną patoką  
Poleję stos ofiarny, wzniesiony dla ciebie.  
Teraz pójdę, przyniosę z przybytku bogini  
Pismo — a ty żadnego gniewu nie miej do mnie!

(Otwierając podwoje świątyni, mówi do sług).

Mieć oko na nich, słudzy, ale ich nie pętać!

(Słudzy wychodzą i ustawiają się przy jeńcach).

Niespodzianą zaiste! wiadomość do Argos,  
Do przyjaciela wysłę najdroższego sercu;

A list, co mu oświadczy, że żyje ta, którą  
Za umarłą ma, radość niewątpliwie sprawi.

(Wchodzi do świątyni).

CHÓR.

Opłakuję cię, myśląc o twym smutnym losie,  
Skropiony wodą pływać będziesz w krwawej rosie!

ORESTES.

Nie płaczcie, przyjaciółki, radujcie się temu!

CHÓR.

Twój, przyjacielu młody, los uwielbiam błogi,  
Ze, wrociwszy, ojczyście znów przestąpisz prog!

PYLADES.

Smutny los dla przyjaciół, gdy mrą przyjaciele.

CHÓR.

Opłakany powrocie! Och! biada! och! biada!  
Któryż z nich dwóch ofiarą teraz raczej pada?  
Jeszcze - m bowiem wątpliwa i jeszcze się chwieję,  
Czy twój los wpierw, czy los też twój łzami obleję.

ORESTES.

Czy doznajesz, Pyladzie, przebóg! tego, co ja?

PYLADES.

O czym myślisz? pytania twego nie rozumiem.

ORESTES.

Kto ta dziewczica? jak po szczerogrecku ona  
O przygody w Ilionie się rozpytywała,  
I o powrót Achajów i o ptaszowieszczby  
Świadomego Kalchasa i o Achileasa  
Osobę! Jakże ach! żal jej było biednego  
Agamemnona! nadto pytała o żonę  
I dzieci jego! Stamtąd pochodzi ta, obca,  
Jest Argiwką. Inaczej nie posyłałaby  
Listu tam, ani o to pytała tak, jakby  
Jej szczęście polegało na szczęściu Argosu!

PYLADES.

Upredziłeś mnie nieco, wyjąłeś z ust słowa  
Prócz jednego, że królów los smutny jest znany  
Wszystkim, co na te sprawy zwrócili uwagę.  
Atoli inna jeszcze myśl mię nagabuje.

ORESTES.

Jaka? Gdy ją wystowisz, wyda się dosadniej.

PYLADES.

Gdy ty umrzesz, byłoby hańbą dla mnie życie.  
Wraz z tobą wypłynąłem, wraz umrzeć mi trzeba.  
Tchórza i niegodziwca imię miałbym w zysku  
W Argos i w Fokis ziemi, obfitej w doliny;  
I gmin sądziłby, — a gmin wcale niegodziwy —  
Że, zdradziwszy cię, siebie tylko ratowałem,  
Lub zem sidła zastawił na ciebie, dlatego,  
Że dom twój rozburzony, i zem uknuł chytrze  
Zgubę tobie, ażeby tron zająć królewski  
I zagarnąć spuściznę wraz z ręką twej siostry.  
Tego ja się obawiam i tego się wstydzę,  
I dlatego wraz z tobą winienem wyzionąć  
Ducha, wraz paść ofiarą i spłonąć na stosie,  
Jako druh szczery, który brzydzi się naganą.

ORESTES.

Życzliwe słowa w ustach miej! Los swój znieść muszę.  
Dwóch nie dopuszczę ciosów, gdy dość jednego.  
Zarzuty i zgryzoty, których ty się lękasz,  
Mnie też czekają, jeśli ciebie, coś w ucisku  
Był prawą ręką moją, zabiję. W niedoli  
Tej też, której doznaję, śmierć nie jest nieszczęściem.  
Zamożnym jesteś, dom twój nieskażony, burzy  
Nie doznał żadnej, mój zaś bezbożny, nieszczęsny.  
A jeśli, ocalon, mieć będziesz z siostrą moją,  
Którą za żonę tobie przeznaczyłem, dzieci,  
Imię moje żyć będzie w pamięci — i dom mój  
Ojcowski bez potomków nie wymrze na ziemi.  
Idź więc i żyj i mieszkaj w domu rodzicielskim,  
A przybywszy do Grecyi i do bogatego  
W konie Argos, daj rękę, że zrobisz, co każę:  
Usyp mogiłę, pomnik na mogile umieść,  
Łzy i kosy zaś złoży na grobowcu siostra —  
I donieś, że zabiła mię ręka niewiasty  
Argejskiej przy ołtarzu na krwawą ofiarę.

PYLADES.

Będziesz grób miał w udziale, a siostrze wierności  
Dochowam, przyjacielu biedny, gdyż po śmierci  
Droższym mi jeszcze będziesz, niżeli za życia.  
Atoli jeszcze ciebie nie zgubiła boga  
Wyrocznia, chociaż stoisz już prawie nad grobem.  
Nie, nie! z ostatniej toni jeszcze wybrnąć można  
Szczęśliwie, jeżeli zmianę pomysłną los zrządzi.

ORESTES.

Zamilknij! Słowa Feba na nic się nie zdadzą.  
Oto kapłanka z domu bożego wychodzi.

IFIGENIA (do sług).

Oddalcie się i, wszedłszy do świątyni wnętrza,  
Ofiarnikom stosownie przygotujecie wszystko!

(Słudzy odchodzą).

Otóż jest, przyjaciele obcy, list złożony  
Z wielu stronic; a czego nadto żądam od was,  
Posłuchajcie! Inaczej myśli mąż, gdy, z trwogi  
Wybawiony, otuchy i serca nabierze.  
To też ja się obawiam, że może, wróciwszy  
Do domu, o zlecenie moje wcale nie dbać  
Ten, który pismo moje ma zanieść do Argos.

ORESTES.

Czegoż więc żądasz? W czymże masz wątpliwość jakąś?

IFIGENIA.

Przysięgą zobowiąże się, że list doręczy  
W Argos druhowi wedle mojego życzenia.

ORESTES.

Czy wykonasz nawzajem ty także przysięgę?

IFIGENIA.

W jakim celu? cóż zrobić lub nie zrobić? powiedz!

ORESTES.

Że żywego wypuścisz z barbarzyńskiej ziemi.

IFIGENIA.

Oczywiście. Jakżeby mógł być moim posłem?



ORESTES.

Ażali władca ziemi tej na to przystanie?

IFIGENIA.

Skłonię go; tego sama do nawy zawiodę.

ORESTES (do Pyladesa).

Przysięgnij! (do Ifigenii) ty przysięgi rotę zbożną wygłoś!

IFIGENIA.

Przysięgnij, że doręczysz to mym przyjaciółom.

PYLADES.

Oddam przyjacielowi twojemu to pismo.

IFIGENIA.

A ja ocalę ciebie za skały cyańskie.

PYLADES.

Którychże bogów wzywasz na świadków przysięgi?

IFIGENIA.

Artemidę: w jej domu sprawuję kapłaństwo.

PYLADES.

Ja władcę nieba zasię, przeświętego Zeusa.

IFIGENIA.

A jeżeli, złamawszy przysięgę, mnie skrzywdzisz?

PYLADES.

Niech nie wrócę do domu! A ty, gdy ją złamiesz?

IFIGENIA.

Niech nigdy nie postoję żywa w Argos ziemi!

PYLADES.

Posłuchaj jeszcze tego, cośmy pominęli.

IFIGENIA.

Jeżeli to co słusznego, powiesz jeszcze w porę.

PYLADES.

Na ten wyjątek zgódź się: gdy łódź się rozbije,  
I list we falach mórz wraz z całym ładunkiem  
Przepadnie, a ja życie tylko z fal wyniosę,  
Wtedy niech mnie przysięga już dłużej nie wiąże.

IFIGENIA.

Z rąk więcej większa pomoc. Wiedz przeto, co zrobię.  
Treść pisma, zawartego w liście, tobie ustnie  
Opowiem, abyś wszystko mym druhom oznajmił.  
Tak się zabezpieczymy. Gdy ocalisz pismo,  
Ono samo się zwierzy milczkiem z treścią swoją;  
Jeżeli zaś pochłona list ten fale morskie,  
Wraz z życiem swem ocalisz moje też orędzie.

PYLADES.

Masz pieczę i o bogów i o mnie chwalebna\*).  
Lecz powiedz, komu pismo to doręczę w Argos  
Lub doniosę to, co mam usłyszeć z ust twoich.

IFIGENIA.

Syna Agamemnona, Oresta, zawiadam:  
>Zabita na ofiarę w Aulis Ifigenia,  
Miana tam za umarłą, żywa przecie, śle to —«

ORESTES (przerywając).

Gdzież ona jest? czy z martwych ta biedna powstała?

IFIGENIA.

Stoi przed tobą; lecz nie przerywaj mi mowy!  
>Sprowadź, bracie, do Argos mnie, nim umrę, z kraju  
Barbarów i z ołtarza bogini mnie zabierz,  
Przy którym cudzoziemców zabijam z urzędu —«

ORESTES.

Pyladzie, co powiedzieć? gdzież się znajdujemy?

IFIGENIA.

>Albo klątwę na dom twój rzucę, Orestesie!  
Imię słyszysz drugi raz, abyś zapamiętał,

---

\*) W. 719. Ma pieczę o bogów, bo chce zapobiedz krzywoprzysięstwu:  
o Pyladesa, bo sumienność jego chce zaspokoić.

ORESTES (*Pylades*).

Bogowie!

IFIGENIA.

Czemuż bogów wzywasz w mojej sprawie?

ORESTES.

To nie. Jam o czem innym myślał. Dokończ swego!

IFIGENIA.

Powiedz, że, w moje miejsce podstawiwszy łanię,  
Bogini ocaliła mnie — którą mój ojciec  
Zabił, sądząc, że ostrym mieczem na mnie godzi —  
I przeniosła do kraju tego. — Takie daję  
Zlecenia i tak listu mego brzmi osnowa.

PYLADES.

Ty, coś zobowiązała lekką mnie przysięgą  
I sama też przysięgła pięknie, nie odwlokę  
Długo, jeno dopełnię przysięgi złożonej!  
Oto, przynoszę list i do rąk ci oddaję,  
Orestesie, od siostry twej mi powierzony.

ORESTES.

Przyjmuję; ale pismo teraz spuszczę z oka;  
Nie z martwych słów radości naprzód doznać pragnę.

(Ściskając Ifigenią).

Najdroższa siostrzo, chociaż, zatrwożony, jeszcze  
Nie dowierzam, objąwszy ramionami ciebie,  
Rozkoszy doznam wielkiej: cuda usłyszałem!

PRZODOWNICA CHÓRU.

Cudzoziemcze, przykładasz do szat nietykalnych  
Ramiona — i bezbożnie dotykasz kapłanki!

ORESTES.

O siostrzyco, z jednego ojca krwi zrodzona,  
Córko Agamemnona, nie odwracaj oczu!  
Toć masz brata, którego ujrzeć nie myślałaś.

IFIGENIA.

Ja w tobie mam mieć brata! nie zaniechasz słów twych?  
Pełno go tam w Argosie i w Nauplii pełno.

ORESTES.

Nie, nie tam brat przebywa twój, biedna niewiasto!

IFIGENIA.

Więc ty masz być Spartanki Tyndarydy synem?

ORESTES.

Tak — i Pelopsowego wnuka synem jestem.

IFIGENIA.

Co mówisz? Masz-li dowód za słów prawdziwością?

ORESTES.

Mam. Znane mi są różne szczegóły rodowe.

IFIGENIA.

Nie pytając, dobadam się z łatwością prawdy.  
Więc sam mówić winenes, ja potem rozważę.

ORESTES.

Naprzód to, co z Elektry ust słyszałem, powiem.  
O sporze Tyestesa z Atreusem słyszałaś?

IFIGENIA.

Wiem, kiedy powaśnili się o złote jagnię —

ORESTES.

Ono — pomniesz? — na pięknej wyszyłaś tkaninie.

IFIGENIA.

Do przekonania mego trafia to, najdroższy!

ORESTES.

A potem wizerunek, nawrót słońca, w tkance?

IFIGENIA.

Prawda, i to wetkałam w tkankę cienkonitną.

ORESTES.

Dalej? czy swych kędziarów nie przysłałaś matce?

IFIGENIA.

Pamiętkę w miejsce ciała dla mojego grobu.

ORESTES.

Sam widziałem następne znaki, i te powiem:  
Pelopsa starożytną dzidę w domu ojca.  
Przechowana jest w twojej komnacie dziewiczej.

IFIGENIA.

Drogi, nie co innego, ach! najdroższy bracie!  
Mam ciebie, Orestesie! Z daleką ojczyzną  
Rozstałeś się, z Argosem, i przybyłeś, drogi!

ORESTES.

A ja mam ciebie, mianą dawno za umarłą,  
I łzami rozrzewnienia i oraz radości  
Zwilżona twa żrenica, podobnie jak moja.

IFIGENIA.

Opuściłam cię, kiedy ciało niemowlęcia  
Drobne drobne nianka brała w swe objęcia.  
Ach! niewypowiedziane szczęście, trafie błogi!  
Cóż powiem? za nic cuda — i nie do pojęcia  
To, jak pomyślny obrót wziął los twój złowrogi!

ORESTES.

Obyśmy nadal wespół zażywali szczęścia!

IFIGENIA.

Radością osobliwą się poję,  
Przyjaciółki, i wespół się boję,  
Że z rąk on znów mi wymknąć się może  
I ulecieć w niebieskie przestworze!  
Och! Mykeny! och! miasto rodzinne,  
Kiklopowe ognisko\*), dziękczynne  
Słowa ci składam za wychowanie,  
Za życie brata. Grodzie, tyś sprawcą,  
Że brat naszego domu wybawcą!

---

\*) W 797. Kiklopowe ognisko, bo Mykeny zbudowali Kyklopowie.

ORESTES.

Z rodu, sioostro, szczęśliwi jesteśmy, lecz życie  
Nieszczęsne zgotowały nam wyroki boskie.  
Jedno się wywiązuje z drugiego; bezmała  
Byłabyś bratu, biedna, życie odebrała  
Z dopustu złego ducha.

IFIGENIA.

Ach! okropnie, bracie!  
Strasznej miałam dokonać przewagi! ach biada!  
Niemal się nie wybiegłeś bezbożnej zatracie!  
Z rąk moich niemal ciebie czekała zagłada!  
Lecz jakież po tem koniec nastąpi? los jaki  
Mnie w udziale dostanie się? jakimi szlaki  
Obmyślę powrót tobie ztąd, z mordu kałuży,  
Do ojczyzny, nim miecz się we krwi twej zanurzy!  
To och! to, biedne serce, obmyśleć należy.

Obmyślają więc plan ucieczki. Ifigenia potrafiła zręcznie podejść króla tej ziemi Toasa i już wsiedli na statek, lecz niepomysłne wiatry nie pozwalały odbić od brzegu. Byliby padli niechybnie ofiarą, gdyby nie pomogła im bogini Atena, która pojawiła się w powietrzu. Ostatecznie więc wszyscy troje szczęśliwie odpływają do ojczyzny.

Tłóm. *Zygmunt Węclewski.*

# POEZJA DRAMATYCZNA.

## b) KOMEDIA.

Komedia grecka przechodziła trzy stopnie rozwoju i dlatego dzieli się na staroattycką, średnią i nowszą. Ostatnia, zbliżona najwięcej do nowoczesnej, należy już do późniejszego okresu. Początków komedyi szukać należy także w uroczystościach, na cześć Dionyzosa urządzanych. Młodzież wiejska, szczególnie w radosnym czasie winobrania, urządzała sobie zabawy — i wesołemi śpiewkami albo dowcipkami przekomarzali się i droczyli jedni z drugimi.

O ile charakter tragedyi był wzniosły i wysoko nastrojony, o tyle starodawna komedia grecka odznaczała się rubaszością i nieprzebieraniem w wyrazach i scenach. Skupiło się w niej, rzec można, wszystko, co w wykwintnych Atenach gdzieindziej miejsca znaleźć nie mogło. Jedynym jej celem było bawić i rozśmieszać\*), a każdy, kto zna kraje południowe, wie, że jeszcze i dzisiaj uchodzi tam i znajduje poklask to, co narody północne uznałyby za nieprzyzwoite lub płaskie. Ateńczyk, czy gość z obcych stron przybyły, nasłuchawszy się przez cały ranek rzeczy poważnych i krwawych dziejów z heroicznych czasów, a uspokojony już nieco satyrycznym dramatem dawanym na zakończenie poranku\*\*) a przeto do świątecznej wesołości skłonniejszy — popołudniu\*\*\*) chętnie

---

\*) I to tłumy, nie jak Molière, który pragnął *«faire rire les honnêtes gens»*.

\*\*) Z tego rodzaju utworów pozostał nam tylko jeden (Kyklops Eurypidesa).

\*\*\*) Komedyje przedstawiano zawsze popołudniu.

szedł na komedią i wracał umysłem z wysokich sfer ducha do poziomej rzeczywistości — a że mimo to wiedział, gdzie i po co idzie, dowodzi najlepiej okoliczność, że nigdy nie brał ze sobą ani żony, ani córek. W ogólności wstęp na komedię kobietom nie był dozwolony, a i na przedstawieniach tragedyi niebardzo chętnie je widziano. Z wyszukaniem bohatera i przedmiotu nie wiele miał kłopotu komedyopisarz grecki, który był niejako nadwornym trefnisiem wszechwładnego ludu; brał poprostu pierwszego lepszego ze znanych wybitnych ludzi, a im więcej śmiesznych stron dopatrzył w jego postępowaniu, tem pewniejszy był powodzenia u ludu, z natury do przycinków i żartów skłonnego. Tylko zmarłych oszczędzano (w duchu Solona, który wyraźnie zabronił źle mówić o nieżyjących). Demokratyczne społeczeństwo, nie lubiące, żeby mu kto zanadto nad głowę wyrastał, nie tylko zapobiegało zbyt wielkiemu wzmożeniu się znakomitych ludzi, skazując ich często, pomimo największych zasług, na wygnanie, ale także rade były autorom, ściągającym ich z wysokiego piedastalu do zwyczajnego poziomu. Samolubstwo przywódców, chwiejność i kłótniwość obywateli, skeptyczne niedowiarstwo sofistów, upadek sztuki i poniżanie cnót domowych: oto był cel pocisków komedyopisarzy. Z tego widzimy, że komedia miała zamię konserwatywne i przeciw nowym ludziom i kierunkom była zwrócona. Do chóru liczniejszego, niż w tragedyi (tam składał się z 12—15, tu zwykle z 24 osób) garnęli się chętnie panicze ateńscy — z amatorstwa — bo jakaż to była dla nich rozkosz, przyczynić się do smagania n. p. takiego garbarza Kleona, który doszedł do władzy i rej wodził w Atenach.

Początków komedyi szukać należy u Dorów, w Sycylii i południowej Italii. Epicharmos z Kos, zmarły ok. 450 r., który żył przeważnie w Syrakuzach, uchodzi za twórcę komedyi w jej właściwym znaczeniu. Krótka kwitnęła stara komedia, ale bujnie; wymieniają około czterdziestu autorów\*) i 300 dzieł, niestety zaginionych. Wszystkich sławą i powodzeniem zaćmił znakomity pisarz, tem także szczęśliwszy od innych, że część jego dzieł zachowała się do naszych czasów. Jest nim:

Aristofanes, Ateńczyk, syn Filipposa, ur. ok. 452, zmarły ok. 388, przyjaciel Platona, wróg wojny i ochlokracyi, niesforny ulubieniec Gracyi, jak go nazwał Goethe. Napisał około 40 ko-

\*) Między innymi Krates, Telekleides, Hermippos, Ferekrates, Frynichos Ameipsias, Kratinos, Eupolis itd.



medyi; ocalało 11. Wszystkie odznaczają się wielkiem bogactwem komizmu, niewyczerpanym dowcipem w kreśleniu charakterów i sytuacji, pięknym bardzo, czysto attyckim językiem i, co najważniejsza, wyższym nad bawienie publiczności zamiarem zwalczania nowych a szkodliwych prądów politycznych i religijnych. A tak był w tej walce zawzięty, że nieraz stawał z ogółem w wyraźnej sprzeczności; zalecając np. pokój, uchodzić mógł w czasach wojennych za niepatryotycznego pisarza. Bardzo wczesnie zaczął tworzyć; pierwszą sztukę (Acharnes).

1. Acharnowie, musiał wystawić pod obcym nazwiskiem (Kallistratosa), bo zarząd teatru nie byłby przyjął pracy młodzieniaszka, i kto wie, czy byłaby odniosła zwycięstwo nad współubiegającymi się Kratinosem i Eupolisem. Sztuką tą, wysławiającą błogosławieństwa pokoju, chciał odwieść Ateńczyków od wojny.

2. Rycerze (Hippes w r. 424) smagają niemilosiernie demagogów, a mianowicie garbarza Kleona, którego ostatecznie przekrzyczał i pokonał kielbaśnik Agorakritos (Wart Pac pałaca; na jednego franta półtora). Łatwowierny ludek (Demos), dający się obydwom za nos wodzić, dostał także dobrą nauczkę. Jest to arcydzieło Aristofanesa, za które nie przebierający w środkach garbarz kazał go obić w teatrze\*).

3. Chmury (Nefelai w r. 423) zwracają się przeciw przewrotnym, staremu porządkowi rzeczy nieprzyjaznym, wykrętom sofistów, do których autor mylnie zaliczył Sokratesa, napadając go w sposób zaciekły i niesprawiedliwy. Dla zwalczenia zasady poświęcił osobę. To też sztuka słusznie upadła.

4. Osy (Sfekes) wyśmiewają pieniaczstwo procesowiczów ateńskich.

5. Pokój (Eirene) ma ten sam cel, co »Acharnowie«. Polemos (wojna) zamknął pokój do ciemnej jaskini. Winiarz Trygaios przy pomocy wieśniaków uwalnia go ztamtąd i sprowadza na ziemię. Rzecz kończy się wesołą zabawą, do której nie dopuszczają zwolenników wojny.

6. Ptaki (Ornites) w obrazach bardzo ucieśnych\*\*) wystę-

\*) Komedię tę w tłumaczeniu Józefa Szujskiego przedstawiano kilkakrotnie z powodzeniem na scenie krakowskiej.

\*\*) Pozejdon klnie się na Pozejdona; Herakles myśli tylko o zaspokojeniu nienasyconego głodu; Prometeus lamentuje pod parasolem; między bogami są także barbarowie i t. d.

pują przeciw przesadnym zaborszym marzeniom Ateńczyków, którym, gdy przygotowywali wyprawę do Sycylii, zdawało się, że zapanują nad całym światem. Smutny koniec tej wyprawy stwierdził, że poeta trzeźwo patrzył na rzeczy. Nazwa sztuki pochodzi ztąd, że dwaj mieszczanie ateńscy, przesyceni wiecznymi kłótniami, zamienieni w ptaki, zakładają w powietrzu miasto »Chmurokukułkówkę«, do którego wszyscy pragną się przenieść. Ziemia opustoszożona, bogowie głodem zagrożeni, bo nikt im ofiar nie składa.

7. *Lysistrate*, tak się nazywa bohaterka, zwołała sejm niewieści, który radzi, jak położyć koniec wojnie trwającej już 20 lat. Najlepszym środkiem wydaje się im zupełne zerwanie z mężczyznami, dopóki nie zawrą pokoju.

8. *Czczicielki Demetry* (*Tesmoforiazusai*). W komedii tej, przedstawionej w r. 410, opuszczając życie polityczne, walczy poeta przeciw wkradającemu się zepsuciu obyczajów i przeciw nowym kierunkom, wprowadzonym przez Agatona i Eurypidesa. Założenie i przeprowadzenie jest wielce wesołe. Kobiety, zgromadzone na święto Demetry (prawodawczyni-tesmoforos), pragną wymyśleć jakąś dotkliwą karę na Eurypidesa za to, że odkrył mężczyznom wszystkie ich sekreta i lisie chytryści. Eurypides przyrzeka poprawę.

9. *Żaby* (*Batrachoi* w r. 405). Smaga w nich Arystofanes upadek tragedyi i poetę, który według jego mniemania tego upadku jest sprawcą, t. j. Eurypidesa.

10. *Walne zgromadzenie kobiet* (*Ekklesiazusai*) zwrócone jest przeciw rozmaitym, często najgłupszym, projektom i receptom reformy społecznej, a przedewszystkiem przeciw zachciankom komunistycznym. Kobiety, przebrane za mężczyzn, usiłują ująć ster rządów w swoje ręce i wszystko przewrócić do góry nogami.

11. *Plutos* (Bożek bogactwa), ostatnie, najslabsze dzieło poety, z r. 388, zajmuje się pytaniem, coby się stało na świecie, gdyby wszyscy byli bogaci — i wskazuje na to, że bogactwo powinno służyć dobru ogólnemu, nie prywatnym interesom. Jest to już wyraźne przejście do komedyi t. z. średniej.

Wspomnieć potrzeba, że w tak zwanych *parabazach* poeta przemawia od siebie wprost do publiczności, rozwijając swoje poglądy i zapatrywania.

Tłómaczenia polskie: Węclewski: Pokój 1864. J. Szujski: Rycerze i Ptaki 1875. Konarski: Rycerze 1881. Motty: Obłoki 1866.

Komedia średnia. Gdy znikła polityczna potęga i ludzie pograżyli się w płaskiej powszedniości, a byt materyalny znacznie się pogorszył, zstąpiła i komedia w niższe sfery. Nie tylko zewnętrznie utraciła na świetności, bo nie było już tak kosztownie wyposażonych chórów, ale i bohaterów nie mogąc znaleźć w życiu politycznym, wyprowadziła na scenę filozofów, poetów, muzyków, aktorów, a nawet prywatne osoby, nieznaczące, lecz w mieście znane, albo jaką śmiesznością w oczy wpadające.

Komedia nowsza zbliża się już zupełnie do nowoczesnej, przedstawia typy i dzieje z życia domowego i towarzyskiego. Celów wysokich lub patryotycznych komedia już nie ma, ideałem jej staje się filozofia praktyczna, dbająca o spokojny, wygodny byt i ucząca rezygnacyi, t. j. poddawania się konieczności. Ten rodzaj komedyi przypadł Rzymianom najbardziej do smaku, to też hojną czerpali z nich ręką, naśladowali i przerabiali zawzięcie (fabula palliata i fabula togata). Płodność i liczba pisarzy była wielka.

Nowsza komedia zamyka epokę oryginalnej twórczości, i co do czasu wkracza już w okres aleksandryjski.

---

Mimos był tem, czem w naszych czasach są, przedstawiane często w teatrach, monologi, a miał w sobie także podobny, że tak powiemy, cyrkowy, błazeński pierwiastek. Nazwa oznacza zarówno wygłaszającego, jak i rzecz wygłoszoną. Jak u nas niejeden chudo-pachołek wesołym konceptem lub dowcipną anegdotą ujmował sobie możnych panów, tak i w starożytności, mianowicie w Sycylii, przypuszczali bogaci ludzie do stołu takich mimów, a ci bawili ich za łyżkę strawy, przedrzeźniając różne typy i słabostki ludzkie, a pomagając sobie zabawnymi przysłowiami i komicznym wykrzywianiem twarzy, czyli tak zwaną mimiką. Było u nich wiele dowcipu i trafnego podpatrzenia ułomności ludzkich — i dlatego niejeden wygodniś wolał słuchać w domu takich »trefnisiów«, niż nawet chodzić do teatru. Później, jak wiadomo, na każdym dworze królewskim i pańskim w całej Europie było przyjętym zwyczajem utrzymywać nadwornych »błaznów« mających to samo zadanie, co starożytni mimowie; zdarzali się jednak i między nimi ludzie głębszego umysłu. Ze starożytnych najślawniejsi byli Syrakuzanie Sofron i Xenarchos. Uczniem ich poniekąd był sielankopisarz Teokritos.

# Z komedyi Arystofanesa

## Rycerze\*)

Wybitnym nieprzyjacielem demagogicznych rządów pokazuje się Arystofanes w *Rycerzach*, przedstawionych 424. przed Chr. w chwili, gdy garbarz *Kleon* stał u szczytu potęgi. Śmiały Arystofanes wprowadził wszechwładnego demagoga na scenę, a gdy nikt roli tej grać się nie odważył, wziął ją sam i sam ją przedstawił.

Demostenes i Nikias, wodzowie ówcześni w służbie Aten, wychodzą na scenę w żebraczym odzieniu, jako »parobcy« kapryśnego starca »Demosa« (ludu).

DEMOSTENES.

O biada, biada, czterykroć nam biada!  
A niechże raz ten Paflagon (Kleon) przepada!  
Kupiona drogo klęska, kij na grzbiety!

NIKIAS.

A niech go trafi śmierć! O rety! rety!  
Coż tam u ciebie?

DEMOSTENES.

Źle!

---

\*) Streszczenie i przekład Józefa Szujskiego.

NIKIAS.

Zawyjmy dwaj  
Naszą melodyę olimpijską razem!

OBAJ.

Ajajaj! Ajaj! Ajajaj! ajaj! ajaj!

DEMOSTENES.

Cóż nam z lamentu? Czy puścimy płazem,  
Czy o ratunku myśleć nie należy?

NIKIAS.

Jakiż ratunek?

DEMOSTENES.

Mów ty!

NIKIAS.

Mów ty!

NIKIAS.

Nie należy

Sprzeciwiać się!

DEMOSTENES.

Na Feba! ja się bardzo boję.

NIKIAS.

»O gdybyś słowo mógł powiedzieć moje!«  
Jakby ci rzecz tę *wyEURYPIDOWAĆ*?\*)

DEMOSTENES.

Daj temu spokój! Mów jak się ratować.

NIKIAS.

U —

DEMOSTENES.

U — ?

---

\*) Żart z stylu retorycznego Eurypidesa.

NIKIAS.

Uciekać...

DEMOSTENES.

Otóż piękne słowo,  
Tylko, że pachnie batem coś — i głową.

NIKIAS.

Więc bogów nasza modlitwa niech wzywa.

DEMOSTENES.

Bo... bogów? Człeczce, to ty wierzysz w bogów?\*)

NIKIAS.

Wierzę!

DEMOSTENES.

Gdzie motyw?

NIKIAS.

Bo mam w bogach wrogów  
Zapamiętałych.

DEMOSTENES.

To mnie przekonywa.

NIKIAS.

Więc co innego wymyśl.

DEMOSTENES.

Więc naprzykład,  
Gdyby publice, która tam poziewa,  
Zrobić treściwy doli naszej wykład?

NIKIAS.

Dobrze! pal mówkę, lecz prosić wypada,  
By objawiła, jak się rzecz jej nada.

---

\*) Aluzya ironiczna do ówczesnego niedowiarstwa.

DEMOSTENES (deklamuje do słuchaczy).

Otóż panowie — mamy pryncypała  
Gorączkę, mruka, wściekła, świszczypała,  
Starego głucha, Demos skapryszony.  
Ten na ostatnim targu kupił sobie  
Garbarza franta, co w swojej osobie  
Wszystkie podstępny łączy i zdrady.  
A gdy my z starcem nie możemy już rady  
Dać sobie, Kleon, ów garbarz przebiegły,  
Zbadał go wkrótce, łasił się uległy,  
Lizał się, schlebiał, widział w chwały blasku,  
I na rzemiennym głupca wodzi pasku.  
— Otóż Demosiu, spisałeś się dzielnie,  
Teraz ci tylko pohulać weselnie,  
Pić, jeść do syta. — I nuż z taką mową  
Porwie jednemu z nas, to albo owo  
Pod nos mu stawia i podziękę zbiera.  
Niedawno, pomnę, wyborna zaciera  
Lakońska, moją zgotowana dłonią\*),  
Stoi — toć myślę, że się za nią skłonia  
I podziękują. Gdzież tam? Wymyszkował  
Hultaj i podał, com sam wygotował,  
Jakby od siebie. Przy stole bat duży  
Dzierżąc, sam jeden Demosowi służy;  
A gdy nabresze, gdy starzec zgłupieje,  
Nie szczędzi oszczerstw, srogie bajki leje,  
Znęca na sługi, a potem wesoło  
Obiega nasze przeleknione koło:  
A co mi dacie? widzicie, żem drogi...  
Dla moich wrogów hak albo batogi...

Trudno o złośliwszą charakterystykę ludzi, schlebiających kaprysom ludu. Wyobrazić sobie łatwo, że zrobiła wrażenie. Ale to dopiero pierwszy cios. Nikias i Demostenes wykradają śpiącemu Kleonowi księgę z proroctwami sybilińskimi, któremi tenże lud bałamucił. W księdze tej znajdują przepowiednię, że trzech handlarzy kolejno będzie panować w Atenach, a czwarty ich usunie. Przypominają sobie demagoga Eukratesa, który kupczy lmem, Lizikla, handlarza owiec — Kleon handlarz jest trzecim — któż czwartym, o którym Sybilla mówi, że będzie miał krwawe rzemiosło? Masarz! masarz oczywiście, odpowiada Demostenes. A oto — jakby wołany, zjawia się ubogi kiełbaśnik na ulicy.

\*) Demostenes świeżo odniósł był zwycięstwo nad Sparta.

DEMOSTENES.

Mężu! ty odłóż noże i kielbasy,  
Módl się, bo wielkie idą na cię czasy.

MASARZ.

Cóż zaś?

DEMOSTENES.

O mężu, tyś błogosławiony!  
Dziś nic nie znaczysz w cieniach utajony,  
Jutro przewodzisz w szczęśliwej stolicy!

MASARZ.

Dajże mi pokój — niech do kielbaśnicy  
Mięsa natłoczę.

DEMOSTENES (wskazuje publiczność).

Patrz na lud ten mnogi,  
Po nad nich wszystkich wyniosą cię bogi.  
Zatok ty naszych, targów będziesz panem,  
Plwać będziesz w radę, drwić, mówić z hetmanem!  
Otniesz im skórę, w zgromadzenia sali  
Będą po rękach ciebie całowali.  
Wyleż na stragan — patrz — morze się ściele...

MASARZ.

Więc nad tem wszystkim ja będę panował?

DEMOSTENES.

Nie... lecz tem wszystkim ty będziesz *handlował*.

MASARZ.

Ej! mnie do tego potrzeba zbyt wiele.

DEMOSTENES.

Ba! tyś dlatego na pana stworzony,  
Żeś z targowicy, żeś biedą trapiiony.

MASARZ.

Ależ sztuk Muzy posiadam tak mało —  
Ledwie się czytać troszeczkę umiało!

DEMOSTENES.

Aj! tylko szkodzić może ci czytanie;  
Wiedzy — ludowe nie żąda władanie...



Masarz daje się namówić do walki z Kleonem. Chór »rycerzy« staje po jego stronie. Pieśń chóru jest zbyt namiętą. Występuje Kleon, wszczyna się kłótnia między nim i masarzem, w której okazuje się, że jeżeli garbarz umiał krzyczeć, masarz miał głos jeszcze donioślejszy. Przerażony takim współzawodnikiem demagog, uchodzi do rady *prytanów* na skargę.

Powiem, oskarżę,  
Żeście wy zdrajcy, że stanu zbrodniarze,  
Że się tajemnie nocą sprzysięgacie,  
Że się tajemnie na miasto znaszacie,  
Że z Beotami konszachty miewacie!

Widzimy zaciętych współzawodników kolejno przed radą prytanów i zgromadzeniem ludu na wzgórzu, Pnyx zwanem. Senat ateński (prytanowie) składał się podług komedyi ze starych niedołęgów, smakoszów, utrzymywanych publicznym kosztem, ludzi bez zasług, wprowadzonych intrygą. Kleon krzyczy na zamach stanu ze strony rycerzy, prytanowie objawiają strach w rozmaity sposób. Wtedy masarz odzywa się z radosną nowiną, że »śledzie« staniały, co mu odrazu przychylność prytanów pozyskuje. Ale nie bity w ciemię Kleon woła: Jeżeli staniały, trzeba bogom podziękować ofiarą stu wołów (hekatombą). Zapach pieczeni odwrócił umysł starców od masarza. — Cóż to znaczy: sto wołów?! dać dwieście na cześć Pallady, a tysiąc kóz na cześć Artemidy! woła masarz. Prytaneum przychyliła się — masarz pozyskał zgromadzenie.

Kleon odwołuje się do zgromadzenia ludu (Demos). »Zgubionym! woła masarz, Demos ma rozum, gdy siedzi w domu, na zgromadzeniu go traci«. Ale i tu ratuje masarza rezolucyjność, przebiegłość i podstęp. Współubiegają się obaj, jak starca posadzić, podłechtają pochlebstwem, przypodobają mu się usługą. Znoszą obaj stosy wyroczeni sybilińskich, czytają, stosują je do siebie. Ale walny bój rozpoczyna się przy obiedzie. Obaj współzawodnicy znoszą w koszykach przysmaki dla Demosa, który pożera z apetytem dary obydwóch. Gdy skończył, rzecze masarz: Przypatrz się teraz memu koszykowi, Demosie! — Próżny, odpowiada starzec. — Spójrzj do koszyka Kleona. — A, łotr! woła spojrzawszy weń starzec, łotr wierutny, pozostawił dla siebie co najlepsze. Wypadek ten zapewnia masarzowi zwycięstwo; Kleon mdleje, zapewniając, że kradł — tylko dla dobra kraju.

*Rycerze* byli pierwszą sztuką, z którą pod własnym imieniem wystąpił Arystofanes. W *parabazie*, mieszczącej śliczne liryczne ustępy, skreślił on program stronnictwa ateńskiego, do którego należał. Podajemy tu charakterystyczny ustęp:

Ojców naszych chwalić będę, co mężami każdej chwili  
Stanąć dzielnie rozumieli, godnie boju strój nosili,  
Co w niejednem polu walki, na niejednej morskiej fali  
Zwyciężając zbrojną dłońią, miasto chwałą odziewali.  
Żaden z nich nie liczył wrogów, ale bił, co stało dłoni;  
Powalony rwał się w górę, zawsze gotów do pogoni —  
A bez zółdu bił się każdy, nie jak dzisiaj, gdzie nie ruszy  
Bez obietnic sutyh nagród, żywej za ojczyznę duszy.

---

# I D Y L L A.

(SIELANKA).

---

Jak kwiat w późnej jesieni, zakwitła jeszcze w Grecyi w połowie trzeciego wieku przed Chrystusem, Sielanka. Nazwa jej grecka »eidylion«, to znaczy »obrazek«, wskazuje najlepiej, czem jest ten rodzaj poezyi. Jeżeli powiedzieliśmy, że Teokryt (Teokritos, w 1 poł. III w.) był poniekąd uczniem Sofrona, choć tak są niepodobni do siebie, to dlatego, że mimowicie dawali także obrazki z życia, tylko ze strony zabawnej i śmiesznej uważanego. Teokryt, opierając się na bogatej poezyi ludowej, znalazł piękniejsze i poetyczniejsze strony w życiu, mianowicie wiejskiem, do którego tęsknił wśród gwaru i wiru wielkomiejskiego, gdy przeniósł się z Sycylii do Alexandryi. Z nieporównanym wdziękiem i poezją malował on charaktery i sceny z życia pasterzy, rybaków, małomieszczan i innych ludzi prostych, których nie zepsuł jeszcze świat, a to na tle pięknej przyrody.

Postaci jego nie są wymarzone, ani alegoryczne, jak większa część postaci nowoczesnych sielankopisarzy, ale ludzie rzeczywiści z krwi i kości, czujący po ludzku, i dlatego nie przeżyły się dotychczas. Bardzo szczęśliwie i ze znacznym talentem tłómaczył i naśladował Teokryta nasz Szymon Szymonowicz. Szkoda wielka, że nie przetłómaczył wiernie wszystkich 26 sielanek\*); wdzięczne to dla zdolnego poety zadanie.

---

\*) Jest właściwie 31, ale z tych 5 mylnie przypisywano Teokrytowi.

Z następców i naśladowców Teokryta najslawniejsi byli Bion ze Smyrny, rzekomo uczeń, w każdym razie współczesny jego, i Moschos z Syrakuz, (w połowie II wieku przed Chr.). Sielanki ich, z których także korzystał nasz Szymonowicz, mają jednak inny charakter, mianowicie miłosny, miękki i sentymentalny, i one to były wzorem dla sielankopisarzy XVII i XVIII wieku. Rzymskie bukoliki były naśladowaniem greckich eidyliów.

---

# Z sielanek Teokryta.

## Syrakuzanki.

(Idylla XV\*).

### Scena w Aleksandryi.

GORGÓ.

Zastałam Praxynoe?

PRAXYNOE.

Zastałaś, o miła!

Myślałam, że nie przyjdiesz, takeś się spóźniła.  
Ewnoe! krzesło przysuń i zaściel poduszką.

---

\*) Dwie kumoszki, rodem z Syrakuz, zamieszkujące z mężami swymi Aleksandryę, zeszyły się ze sobą, ażeby udać się razem do pałacu Ptolomeusza, gdzie królowa Arsinoe miała wyprawić wielką uroczystość na cześć Adonisa. Kumoszki rozmawiają o tem i owem, obgadują swoich mężów, nareszcie wychodzą na ulicę. Cóż je tam spotyka? Oto tłok niesłychany; jazda królewska przelatuje koło nich; w tłumie tracą część swojego stroju; gubią się i znajdują; lecz już się przebiły, już są w pałacu, aby podziwiać wspaniałe opony i Adonisa, spoczywającego na łożu. Widok ten wprawia je w zachwycenie, szczebioczą też doryckim dyalektem, rażącym uszy blisko nich stojącego Jończyka, który każe im milczeć — ztąd kłótnia ząb za ząb — ale ostatnie słowo zostało przy ciętych Syrakuzankach. Wtem występuje kapłanka i śpiewa hymn na cześć Adonisa. Syrakuzanki oczarowane jej śpiewem chciałyby dłużej pozostać na tej uroczystości, ale jedna z nich przypomina sobie, że mąż jej do tej pory nie jadł jeszcze śniadania, więc rada nierada powraca do domu.

GORGÓ.

Dzięki ci za uprzejmość.

PRAXYNOE.

Teraz siadaj duszko.

GORGÓ.

Och! ledwom żywa uszła, serce tak mi bije!  
Wystaw sobie co luda, co wozów się wije,  
A co butów! co mężczyzn, w płaszcze postrojonych!  
Droga długa do waszych przedmieść oddalonych.

PRAXYNOE.

To mój mąż, sama widzisz, jak gdzieś za świątami  
Najął dziurę, mnie na złość, byśmy sąsiadkami  
Ze sobą już nie były. Zazdrośnik! szkarada!

GORGÓ.

Przy twym małym na męża gadać nie wypada.  
Ot, jak wpatrzył się w ciebie.

PRAXYNOE.

Nic, nic, Zefirionku:  
Nie o twym tatku mowa, nie o mym małżonku.

GORGÓ.

Dziecko wszystko rozumie! Ładny, ładny tatko!

PRAXYNOE.

Kiedyś tu, wystaw sobie, kochana sąsiadko,  
Posłałam tego tatka, by mi kupił w kranie  
Saletry i bielidła — co mówię, nie kłamie —  
A ten potwór mi przyniósł garść soli kuchennej!

GORGÓ.

Mój Dyoklejd nie lepszy, istny wór bezdenny;  
Wczoraj siedm drachem zapłacił za pięć skór baranich,  
A skóry to zleżałe, nie było nic na nich,  
Tylko wyrzuć na śmiecie. — Ale czas nie stoi —  
Bierz zarzutkę, zaponę do tuniki swojej  
Zapnij; pójdziem na pałac króla Ptolomeja,  
Oglądać Adonisa; przytem jest nadzieja,  
Że królowa wyprawi świetne widowisko.

PRAXYNOE.

Kto pan wielki, u tego po pańsku jest wszystko.  
Oj bądźzież o czem gadać z tymi, co nie byli.

GORGO.

Lecz śpiesz się, czasu szkoda.

PRAXYNOE.

Zmarnowanej chwili

Niema dla próżnujących. Ewnoe! do mycia  
Gdzie miednica? No, rusz się! ty śpiochu bez życia;  
Istny kot! szuka tylko miękkiego postłania.  
Nie mydła, wprzód wody daj do umywania!  
O mazgajko! tu trzymaj — ach! jak mię oblewa!  
Lej pomału — ot zlałaś suknię niegodziwa;  
Gdzie klucz od wielkiej szafy? daj mi go do ręki.

GORGO.

Praxynoe! jak ślicznie fałdy twej sukienki  
Leżą na tobie; pewnie kosztuje cię siła?

PRAXYNOE.

Wstyd wyznać; jam dwie srebrne miny zapłaciła,  
Okrom ciężkiej roboty, co mi zjadła zdrowie.

GORGO.

Za to śliczna.

PRAXYNOE.

Nie przeczę, każdy mi to powie.  
Daj zarzutkę! kapelusz nałóż mi słomiany!  
A ty, malcze, zostaniesz — tam tłok niesłychany,  
Wilk cię zje, koń ukąsi — becz sobie, to wolę,  
Niż żeby mi kaleką wróciło pachole.  
Idźmy! Ty, Frygio, dziecko staraj się zabawiać,  
Psa zawołaj; drzwi otworem na dwór nie zostawiać.

(*wychodzą*)

Przebóg! co luda! Któż się przecisnie w tym tłoku?!  
W nieskończonem mrowisku trudno zrobić kroku.  
Ptolomeju! tyś dziwów dokonał nielada,  
Odkąd twój rodzic z bogi na niebie zasiada.  
Bezpiecznie się po drogach podróżny przechodzi,  
I na sposób egipski nikt nań już nie godzi;  
Przedtem bywało w szajki zbierała się liczne  
Sama pastwa dla kruków, ścierwo szubieniczne.

O Gorgo! cóż poczniemy?.. Patrz! ot na nas sadzi  
Jazda królewska... Waszmość niechże nie zawadzi  
O mnie koniem! Ot dęba stanął mu kasztanek!  
Uciekaj-że Ewnoe! kark skręci ten panek.  
Dzięki Bogu! że ze mną nie poszedł mój mały.

GORGÓ.

Nie bój się Praxynoe; konie przeleciały  
I szykują się w rynku.

PRAXYNOE.

Mój strach już przemija,  
Od dziecka strach obudza we mnie koń i źmija.  
Uchodźmy! zanim nowe tłumy nas opadną.

GORGÓ (*do przechodzącej staruszki*).

Czy matuła z pałacu?

STARUSZKA.

Tak jest.

GORGÓ.

Λ czy snadno  
Dostaniem się do środka?

STARUSZKA.

Popróbujcie same;  
Ważąc coś, w mury Troi Grek wdarł się przez bramę,  
Kto nie waży, nie wskóra.

GORGÓ.

Wyrocznią nam bryzga.  
Te baby wszystko wiedzą, . . . .  
. . . . . Czy uważasz jaki tłok przed drzwiami!

PRAXYNOE.

Aż strach! Daj rękę Gorgo! i wy się rękami,  
Ewnoe i Euchitis, weźcie; łatwiej w tłoku  
Przebić się; ty Ewnoe pilnuj mego boku.  
Ach biada! ot podarli na mnie już zastłonę!  
Jak Bóg miły, mój mości weź mnie w swą obronę,  
Pilnuj mojej zarzutki. — Bóg odda sowicie.

OBCY.

Będę strzegł, ile da się.

PRAXYNOE.

Czego się tłoczycie,  
Jak trzoda nierogata?



OBCY.

Ot wyszliśmy cało —

Uspokój-że się pani.

PRAXYNOE.

Za grzeczność wspaniałą  
Obyś nigdy, eny panie, nie doznał ucisku.  
Lecz Ewnoę, jak widzę duszą w tem mrowisku;  
Przebij-że się mazgajko!...

GORGO.

Zbliż się tu Praxynoe, patrz! te barwne tkanki  
Wydają się być dziełem rąk jakiej niebianki.

PRAXYNOE.

O Ateno! to dzieło czyjejeże roboty?  
Który malarz mógł stworzyć tak pełne prostoty  
Postacie; wlać w nie życie, dać ruch naturalny,  
Ze aż wszystko się rusza? Człek, to twór genialny,  
A jak cudnie spoczywa na tem srebrnem łożku  
Młodzieniaszek Adonis; w pierwszym ledwo puszkę  
Lice jego — Adonis kochan nawet w piekle.

NIEZNAJOMY.

Ciszej! wy białoszyjki, gwarzące zaciekle.  
Wasze gruchanie miarę we wszystkim przebiera.

GORGO.

Co to za jeden? patrz go! do rozmów się wdziera —  
Rozkazuj tam u siebie. My Syrakuzanki,  
Korynckiego plemienia, nie waści poddanki.  
Bellerofon nasz rodak; jeden grunt nas rodzi;  
Mówim z peloponszka, cóż komu to szkodzi?  
Dorycka mowa Dorom przecież dozwoloną.

PRAXYNOE.

Od drugiego despoty strzeż nas Persefona,  
Dość jednego; tyś nie mój, jam nie służka twoja.

GORGO.

Cyt Praxynoe. Słuchaj! Ta piękna dziewczyna  
Ma śpiewać Adonisa, z Argejki się rodzi,  
W dalekim aż Jolemie sława o niej chodzi,  
Że z niej mistrz doskonały. Ślicznie nam zaśpiewa;  
Po wzięciu się jej każdy czegoś się spodziewa.

ŚPIEWACZKA (*śpiewa*).

Bóstwo lubiące Golgos, Eryx i kłalę,  
O złota Afrodyto, śpiewam ku twej chwale.  
Z po nad wód Acherontu z konającym rokiem  
Przyniosły Adonisa Ilory lekkim krokiem,  
Snujące się pomału dla niebian szczęśliwych,  
Lecz zawsze coś dobrego przynoszą dla żywych.  
Córo Diony! tyśto śmiertelnej kobiecie  
Królewskiej Berenicy dała wieczne życie  
I niebiańską ambrozyą ustaś jej poiła.  
Przez wdzięczność dla bogini, dziś postanowiła  
Arsinoa, przesłiczna córka Bereniki,  
Zabawić Adonisa różnymi figliki.  
Tu są jabłka, orzeszki, owoce, jagódki;  
W srebrnych koszykach kwietne śmieją się ogródki;  
Owdzie syryjskie w złotych dzbanach pachnidełka,  
Tam niewieścich rąk dzieło, ponętna kucielka,  
Z jasnej mąki i kwiatów zrobione pieczywo,  
Do którego miód wchodzi z najlepszą oliwą.  
Masz tu wszystko, od ptaka do poziomych płazów,  
Oprócz tego uroczych nie braknie obrazów:  
Altanki z liści, w lekkie ubrane festony,  
Po których rój amorków igra uskrzydłony,  
Skacząc z drzewka na drzewko, jak słowiczki młode,  
Gdy raz pierwszy wylecą z gniazdka na swobodę.  
»O Adoni! tyś półbóg, tyś jeden podobno,  
Który z nad Acheronu wracasz między żywych.  
Agamemnon nie liczy się do tych szczęśliwych,  
Ani Ajas zgryźliwy, sławny z wielkich czynów;  
Ani Hektor najstarszy ze dwudziestu synów  
Hekaby; ni Patroklos, ni Pyrros, co z Troi  
Powrócił, ani tylu dawniejszych heroi,  
Czy synów Deukaliona, czy z rodu Lapidów,  
Ni Pelazg ni Pelopid doznał tych zaszczytów.  
Sprzyjaj nam o Adoni! i wróc w nowe lato  
Tak życzliwy, jak byłeś, a uczcim cię za to!«

GORGÓ.

Uroczeń-to stworzenie, przedziwna kobieta!  
Umie dużo, a bystrą główką wszystko chwyta.  
A jak śpiewa, jak śpiewa! Lecz już czas mi wzbrania  
Bawić dłużej; Dioklejd nie jadł dziś śniadania.  
Zły jak ocet, uciekaj — jeżeli mu jeść chce się...  
O Adoni! twój powrót radość nam przyniesie.

*Przekład Lucjana Siemieńskiego.*

## b) PROZA.

### a) Dziejopisarstwo.

Początki prozy. Poezja obejść się może bez pisma: śpiewana czy wygłaszana, przechodzi z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie. Natomiast żywot prozy bez pisma jest nadzwyczaj nietrwały i przemijający. Żywe słowo miało wprawdzie w Grecyi zawsze pierwszorzędne znaczenie: Grek, a zwłaszcza Ateńczyk, lubił mówić wiele, prędko i płynnie, lubił też słuchać mówiących dźwięcznie i potocznie; o dzieciach greckich głoszone żartobliwie, że zaczynają mówić o miesiąc pręcej, niż dzieci innych narodów. Ale ostatecznie słowo tylko pismem utrwalić się i uwiecznić mogło, opowiadanie bowiem ustne rozlicznym podlega zmianom; nawet jedna i ta sama osoba, opowiadając jedną i tę samą rzecz, w różnych czasach i miejscach, opowiada rozmaicie i mimowolne albo umyślne wprowadza zmiany. Proza zatem zaczyna się od znajomości pisma, a rozwija się dopiero od wprowadzenia z Egiptu, z którym od czasów Psameticha zawiązano stosunki handlowe, wygodnego do pisania materiału t. j. papirusu (papyros); pisanie bowiem na kamieniach i tablicach kruszcowych lub woskowych rylcem (calamus) było niewygodne i do najszczuplejszych ograniczało się rozmiarów. Pierwsi prozaicy w Grecyi, pierwsi uczeni pisali właściwie tylko dla siebie, jedni dla drugich; lud patrzył na nich obojętnie i uważał ich za uczonych próżniaków. Najdawniejszych historyków, a byli to Jończycy, nazywano logografami, spisywali bowiem opowieści dawnych lat, tak helleńskie jak i obce (barbarzyńskie). Nazwiskiem tem oznaczano z początku prozaików

w ogólności. Były także roczniki rodzinne i miejskie czyli annale; nazywano je horami (horai), a ich autorów horografami. Pierwszym historykiem był Kadmos z Miletu, postać niewątpliwie mityczna: Wymieniano kilkanaście innych nazwisk, których wyliczeniem nie będziemy obciążać pamięci. Hekataios z Miletu w V w. wznosił historią na wyższe już stanowisko, podróżował wiele, poznał świat, szerszy miał pogląd i był jakby zwiastunem, przesłannikiem klasycznego dziejopisarstwa.

1) Pierwszym ze znakomitych dziejopisarzy był Herodotos z Halikarnassu w Karyi, syn Lyxasa, (ur. między 490 a 480 zmarły 424 przed Chr.), powszechnie »ojcem historii« zwany. Pochodził ze znakomitej i zamożnej rodziny i oczywiście otrzymał jak najlepsze wychowanie, ale kto był jego nauczycielem, niewiadomo. Poeta Panyasis, krewny jego, jest jedynym wyjątkiem. Żył Herodot na przemiany w mieście rodzinnem, w Samos, w Atenach, w Thurioi, do którego założycieli należał, i gdzie umarł i pochowany, a znaczną część życia przepędził w podróżach po całym świecie, wówczas Grekom dostępnym, między innymi i w całym Egipcie; wszędzie czujnym okiem i uchem śledził zdarzeń i obyczajów i zasięgał wiadomości do swego dzieła. Był przyjacielem Sofoklesa i Peryklesa. Kilkakrotnie odczytywał w większych miastach Grecyi ustępy ze swojej historii i wzbudzał największe podziwienie. Opowiadano, że raz między słuchaczami był młodzieńki Tukidydes i tak był zachwycony przedziwnym odczytem, że zalał się łzami ze wzruszenia i postanowił poświęcić się dziejopisarstwu.

Historia Herodota, pisana w uszlachetnionem narzeczu joińskiem, składa się z dziewięciu ksiąg; później nadano im jako tytuły nazwiska dziewięciu Muz. »Herodot ugościł u siebie Muz: każda z nich, odwzajemniając się za gościnność, darowała mu jedną księgę«. Pierwsza część (I—V 27) obejmuje dzieje przed wojnami perskiemi, mianowicie dzieje Lidyi, Medyi, Persyi, Babilonu, wyprawę przeciw Scytom, zdobycie Tracyi i Macedonii; druga część opowiada wojny perskie — razem około 250 lat. Herodot zbierał materiały z największą pilnością i polegał na tem, co widział, słyszał, uważał (opsis, gnome, akoe). Jeśli opowiadania nie zgadzały się z sobą, a on, w sumieniu swoim, nie mógł stanowczo wybrać i uznać, które jest prawdziwe, podaje to do wiadomości i rozsządzenia czytelnikom. Swoje zdanie przytacza rzadko i skromnie. »Tu muszę wypowiedzieć moje zdanie, a chociaż ono niejednego

razić będzie, muszę powiedzieć, co uważam za prawdziwe». (VII. 139). »Muszę opowiedzieć, co słyszałem, ale nie muszę we wszystko i wszystkim wierzyć — i tak będzie w całym dziele«. — »Ja wiem« — mówi tylko wtedy, gdy jest pewny prawdziwości zdarzenia. Bardzo starannie bada także wszelkie zabytki, pomniki, pamiątki; w Delfach n. p. dopytywał się pilnie, od kogo pochodzą rozmaite wota, kiedy były dane, i z jakiej okazji. Opanowawszy różnorodny i bogaty materiał, stopił go niejako i ułał przesłiczny jednolity posąg, pełen najwyższej sztuki t. j. nierównanej prostoty i wdzięku. Powieści jego mają cechę swobodnego, potocznego opowiadania, a są tak zajmujące i tak pięknie pisane, że zacząwszy czytać, już niepodobna się od nich oderwać. Dzisiaj policzonoby go do najromantyczniejszych, najpoczytniejszych powieściopisarzy. Bardzo mało który z późniejszych historyków świata dorównał mu w tej mierze, żaden go nie przewyższył. Dzieło jego, bardzo podobne do epepei Homera, nie jest zlepkiem szkiców w różnych czasach pisanych, jest ono owszem wpływem jednolitego artystycznego założenia i zamiaru, który sam wypowiada zaraz na początku. »Co Herodotos z Halikarnassu zbadał, to spisał, a żeby nie zaginęło z czasem, co ludzie zdziałali, i żeby nie poszły bez chwały w niepamięć wielkie czyny, dokonane zarówno przez Hellenów jak przez barbarów, i przyczyna, dla której walczyli ze sobą«. Miłość boga i ojczyzny, cześć dla węzłów rodzinnych, łagodność w ocenianiu słabości ludzkich, miły i pogodny humor, oto jego przymioty. Jako wielkie szczęście człowieka uważa n. p. kilkakrotnie, jeśli dzieci są poczciwe i zdrowo się chowają. Wyrocznie i znaki nieraz u niego ostrzegają ludzi i wpływają na ich postępowanie. Nad wszelką zmiennością doli stoi u niego straszliwy bezimienny bóg, sprawiedliwość (nemesis) dzierżący, i z zazdrością (ftonos) czuwający nad tem, żeby nikt dozwolonych granic nie przekroczył. Zbyt wielkie szczęście jest zawsze niebezpieczne i często umyślnie nam zesłane, a żeby później tem głębiej pograżył; nieszczęście pochodzi z winy własnej lub przodków — najlepsze zatem jest szczęście umiarkowane i zmienne. Śmierć jest dobrodziejstwem. (I. 31). Herodot pokazał Grekom, że nie tylko poezya, ale i proza może być piękną — ale właśnie dlatego, że pisał zajmująco, próbowali niektórzy (n. p. Arystoteles i Plutarch) wiarygodności jego uchylać. Nowsze jednak badania i podróże wykazały, że można na nim prawie zupełnie polegać.

Polskie tłumaczenie A. Bronikowskiego. Poznań 1862. Bibliografia Estreichera podaje wiadomość o innych tłumaczeniach, dotychczas nie wydanych.

II. Ktesias z Knidos w r. 415 był lekarzem nadwornym przychylny Grekom królowej Parysatis, wyleczył rannego w bitwie pod Kunaxą Artaxerxesa II Mnemona i pozyskał wpływy na dworze perskim: używano go nawet do usług dyplomatycznych. Na dworze królewskim bawił 17 lat i mógł stosunki tamtejsze poznać dokładnie; nadto były mu dostępne archiwa państwowe. Powróciwszy do ojczyzny w r. 398, zajął się napisaniem obszernej historii perskiej (Persika) w 23 księgach. (W pierwszych sześciu dzieje Assyrii i Medyi). Z dzieła tego pozostały tylko małe okruchy, dlatego trudno o niem wydać sąd sprawiedliwy. Opisał także Indye (Indika) ale i to dzieło zaginęło.

III. Thukydides, syn Olorosa, zamożnego i poważanego obywatela ateńskiego, pochodzącego z Tracyi, gdzie posiadał majątność ziemską i kopalnię złota, a spokrewnionego z domem Miltiadesa. Urodził się między 470 a 460 rokiem przed Chr. Protagoras, Prodikos, Gorgias, Anaxagoras i Antifon mieli być jego nauczycielami. W życiu publicznym miał czynny udział, co widać z każdej kartki jego historii, choć sam o sobie ani słowem nie wspomina. W r. 424 jako dowódca floty pod Thasos uratował Eion, ale na ocalenie Amfipolis przybył zapóźno. Oskarżony o zdradę, 20 lat przepędził zdala od ojczystego miasta, częścią w posiadłości rodzinnej, częścią w podróżach po Sycylii, południowej Italii i Peloponezie. Zaraz z rozpoczęciem wojny peloponeskiej poznał jej niezmierną doniosłość i zaczął spisywać jej dzieje, które prawdopodobnie na wygnaniu artystycznie opracował. Dzieło jego, podzielone na 8 ksiąg, z których ostatnia z powodu nagłej śmierci autora niedokończona, opowiada zdarzenia do r. 411 i zapewnia mu stanowisko pierwszorzędne, a może nawet pierwszego historyka świata. Nie pisze on dla rozrywki lub zabawy ludzi, lecz, postanowiwszy sobie wyraźnie pozostawić pamiątkę na zawsze (ktema es aei I. 22), obejmuje bystrym umysłem całość i szczegóły zdarzeń, śledzi przyczyn i skutków, ocenia wypadki bezstronnie\*) — i nie uwagami lub refleksjami, lecz ścisłym przedstawieniem zda-

---

\*) N. p. choć miał skłonności arystokratyczne, twierdzi, że żadne rządy nie były dla Aten tak dobre, jak rządy umiarkowanej demokracji w roku 411.

rzeń wznosi nas na wysokości. Opowiadanie jego jest przytem zwięzłe, w treść i mądre myśli bardzo obfite, a w słowach skąpe. Styl poważny, pełen godności, nieraz trudny, prawie twardy, w starych dźwiękach i zwrotach ojczystej mowy zamięłowany. Opisy, zwłaszcza wielkich nieszczęść, porywające. N. p. odwrót z pod Syrakuz nazywa znakomity historyk Macaulay arcydziełem (non plus ultra) sztuki ludzkiej. Czytelnik, według zdania Plutarcha, staje się widzem t. j. jakby naocznym świadkiem tego, o czym czyta. Tok opowiadania, dzielącego wypadki na zimowe i letnie (co w historii wojen jest najdogodniejsze), przerywają, a osnowę zdarzeń uzupełniają często mowy, które możnaby podzielić na polityczne i wojskowe, zawsze do chwili i do osoby najtrafniej zastosowane. Od Herodota różni się między innymi i tem, że opowiada dzieje, które przeżył, na które patrzył, podczas gdy Herodot polegać musiał na tradycyi i podaniach. Nie jest Tukidydes, jak tamten, miłym powieściopisarzem, jest on surowym i poważnym sędzią historycznych zdarzeń, uważa historję za ostrzegającą naukę dla przyszłości, jest patriotą, który przedewszystkiem ceni polityczną potęgę, opartą na dobrze zaopatrzonym skarbie i na flocie, i z porywającym patosem kreśli rozkład i upadek ojczyzny, spowodowany nieszczęsną wojną domową (III. 82).

Tukidydesa tłómaczył A. Bronikowski. Bibliografia Estreichera wymienia kilka niewydanych przekładów. My postaraliśmy się o osobny przekład kilku pięknych ustępów. Potrzeba klasycznego tłómaczenia całości jest pilna i wielka.

IV. Xenofon (ur. ok. 434, zm. ok. 354). Sokrates, idąc raz wążką uliczką, spotkał pięknego, miłego, dziarskiego młodzieńca. Zastąpił mu drogę i zapytał, gdzie można nabyć tego a tego. Otrzymałszy odpowiedź, zapytał: A gdzie można wykształcić się na prawego człowieka? Młodzieniec nie wiedział. »Więc pójdź ze mną i naucz się«. Odtąd młodzieniec ów, a był to Xenofon, syn Gryllosa, stał się wiernym, ukochanym i wdzięcznym uczniem Sokratesa. Później przechodził różne burzliwe koleje, ale przechodził chętnie, bo miał żyłkę wojskową. W r. 401, przyjaciel jego Betezyk Proxenos zaprosił go do Sardes i namówił do przyłączenia się do młodszego Cyrusa, z którym wyruszył przeciw Artaxerxesowi Mnemonowi. Po bitwie pod Kunaxą, w której Cyrus poległ, a wodzów greckich podstępnie wymordowano, stanął Xenofon na czele wojska (wybrany jednym z pięciu wodzów) i dokonał sławnego

w dziejach odwrotu do Azji Mniejszej, którym kierował z nadzwyczajną ogłędnością, talentem i rozumem. Inaczej byłiby wszyscy zginęli. Potem niestety walczył pod Koroneą (394) przeciw własnym rodakom, oburzony na nich, ponieważ skazali go byli na wygnanie (bądź za udział w wojnie przeciw zaprzyjaźnionym wówczas Persom, bądź za sprzyjanie Spartanom). Sparta w nagrodę ofiarowała mu piękną posiadłość wiejską, koło miasteczka Skillus w Elidzie, i tam przepędził kilkanaście najpiękniejszych i najspokojniejszych lat życia, zajmując się ulubionem gospodarstwem, polowaniem i hodowlą koni — tam też największą część dzieł swoich napisał. Gdy Ateńczycy zerwali związek z Tebańczykami i weszli ze Spartą w przymierze, posłał Xenofon obydwóch synów swoich Diodora i Gryllosa na wojnę. Powrócił tylko Diodoros, Gryllos poległ pod Mantineią. Ojciec składał właśnie bogom ofiarę i miał wieniec na głowie. Na pierwszą wiadomość, na znak żałoby zdjął wieniec, ale gdy się dowiedział, że syn poległ chwalebną śmiercią, włożył go napowrót i rzekł pamiętne słowa: »Wiedziałem, że jestem ojcem śmiertelnych«. Wypadki te zbliżyły go znowu do ściślejszej ojczyzny i wyrok wygnania cofnięto. Doczekawszy późnego wieku, umarł w Koryncie w r. 354, albo 353. Był to człowiek prawy, rozsądny, bardzo pobożny, religii ojców wierny, oficer dzielny i miły w obejściu, a pisarz, chociaż tylko dyletant, znakomity. Natura rycerska, harmonijna, zdrowa.

Dzieła jego są następujące:

1) *Anabasis Kyru* (Wyprawa Cyrusa). W siedmiu księgach w sposób bardzo jasny i zajmujący opowiada dzieje wspomnianej wyprawy i odwrotu. Nazwano tę książkę »attyką Odysseją«.

2) *Hellenika*. Dzieje Grecji od r. 411 — 362, dalszy ciąg historii Tukidydesa, t. j. koniec wojny peloponeskiej i późniejsze, współczesne zdarzenia aż do bitwy pod Mantineią. Opowiadanie, miejscami mniej opracowane, cokolwiek monotonne i suche, a do tego zbyt stroniczne na korzyść Sparty. O najdzielniejszych bohaterach ateńskich i tebańskich, nawet o takich, jak Pelopidas i Epameinondas, wspomina chłodno, albo pomija ich milczeniem.

3) *Kyru paideia* (Cyropedia, wychowanie Cyrusa). Jest to romans tendencyjny w 8 księgach, pragnący przedstawić ideał cnotliwego podług zasad Sokratesowych wodza i monarchy, który nie tylko panować i zdobywać umie, ale i zjednywać sobie miłość poddanych. Opowiada wychowanie Cyrusa u dziadka Astyagesa, czynny i skuteczny udział tegoż w wyprawie Kyxaresa przeciw Assyryjczykom; wzięcie do niewoli Krezusa w Sardes, zdobycie Babilonu. Ożeniwszy się z córką Kyxaresa, zostaje Cyrus królem i zaprowadza ład w całym państwie. Ostrzeżony



we śnie, żegna się z rodziną i przyjaciółmi i umiera (VIII. 7). W całym dziele przyświeca Xenofontowi ideał Sparty.

4) *Apomnemonemata Sokratus* (Memorabilia — Wspomnienia o Sokratesie w 4 księgach). Dzieło to powstało z nieustannych rozmyślań, jak do tego przyszło i jakim sposobem mogli przekonać Ateńczyków oskarżyciele Sokratesa, że zasłużył na karę śmierci. Oskarżenie bowiem tak brzmiało: Winien jest Sokrates, bo nie wierzy w bogi, w które lud wierzy i nowe bóstwa wprowadza; winien, bo psuje młodzież. Otóż Xenofon dowodnie przekonywa, że ukochany jego mistrz był nie tylko wolny od wszelkiej winy, ale przeciwnie zawsze tylko do wszystkiego, co dobre i szlachetne, uczniów prowadził. Słowem jest to spokojny, piękny wizerunek mędrca.

5) *Symposion* (Uczta) przedstawia wesołą, swobodną zabawę, podczas której Sokrates z wielką prostotą i wdziękiem mówi o miłości i przyjaźni.

6) *Oikonomikos* (o gospodarstwie domowym). Jest to dyalog Sokratesa z Kritobulosem, synem Kritona, o gospodarstwie i pochwałą rolnictwa. Ujmuje się tu Xenofon także za polepszeniem stanowiska kobiet i niewolników. Cudzoziemców (barbarów) opisuje i ocenia z najmożliwszą dla Greka bezstronnością. Pisał Xenofon także ze znajomością rzeczy o służbie w kawaleryi i o polowaniu. Inne pisma (po części mylnie mu przypisywane) pomijamy.

Xenofonta ceniono już w starożytności wysoko, mianowicie w Rzymie, gdzie praktyczny zmysł najwięcej się podobał. Cicero (Or. 19, 62) pisze, że z ust jego przemawiały Muzy, i nazywa go »pszczołką attycką«, a Kwintylian (X. 1, 82) powtarza o nim to, co powiedziano w jednej komedyi o Peryklesie, że mowę jego same Gracye kształciły, a na ustach jego mieszkała bogini namowy (przekonywania).

Polskie przekłady mamy następujące: *Anabasis* tłóm. Mrongowius (Gdańsk, 1831). — *Wspomnienia o Sokratesie* Antoni Bronikowski (Ostrów 1868). Tenże *Ekonomika* 1857. *Hippika* 1860. Dobrego tłómaczenia nie mamy.

# Z DZIEJÓW HERODOTA.

## Obyczaje Persów.

(Ks. I. R. 131—140 w skróceniu).

Obyczaje Persów, które poznałem, są takie. Posągi bóstw, świątynie, ołtarze stawiać nie jest u nich w zwyczaju. Zwyczajem u nich składać ofiary Zeusowi na najwyższych górach, cały zaś obwód nieba nazywają Zeusem; ofiarują jeszcze słońcu, księżycowi, ziemi, ogniovi, wodzie i wiatrom. Assyryjczycy zowią Afrodytę Mylitta, Arabowie Alitta, Persowie Mitra. Sposób czynienia ofiar wzmiankowanym bóstwom jest u Persów następujący. Mając je składać, nie stawiają oni ołtarzy, ani ognia nie zapalają; nie używają libacyi, ani fletu, ani przepaski na głowę, ani jęczmienia święconego; lecz, gdy kto chce któremu z tych bóstw ofiarować, wyprowadza na czyste miejsce bydłę i przyzywa bóstwo owo, mając na głowie zawój mirtem uwieńczony. Ofiarującemu nie wolno dla siebie samego błagać pomyślności, lecz modli się o nią dla wszystkich Persów, przede wszystkim dla króla, gdyż w liczbie wszystkich Persów i sam się mieści. Skoro, podzieliwszy na części bydłę, ofiarnik ugotuje mięso, podesławszy jak najdelikatniejszej trawy, najzwyczajniej koniczyzny, stawia na niej owo wszystko mięso. Gdy to urządził, obecny mag śpiewa o pochodzeniu bogów, którą to pieśń mienią przyspiewem (obrzędowym śpiewem); bez maga nie wolno im sprawować ofiar. Zatrzymawszy się potem jeszcze czas niejaki, odnosi ofiarujący mięso do siebie i czyni z niego użytek, jaki mu się podoba. Ze wszystkich dni najbardziej czcić mają w zwyczaju, dzień urodzin. W tym dniu uważają za stosowne obfitszą sporządzać ucztę; w nim bogaci wołu, konia, wielbłąda i osła, upieczone w piecach, zastawiają, ubodzy zaś podają mniejsze zwierzęta. Potraw mało używają, ale wiele przysmaczków, lecz miernie nakładanych i ztąd powiadają Persowie, iż Grecy dlatego wstają od stołu głodni, że im po uczcie nic godnego wzmianki nie przystawiają; gdyby zaś przystawiano, nie przestaliby jeść. Wina sobie nie żałują. Podpici, zwykli radzić o najważniejszych sprawach; co zaś postanowią w tych naradach, to im nazajutrz, gdy wytrzeźwieją, na nowo

przedkłada właściciel domu tego, w którym radę odbyli. A jeżeli im się po trzeźwemu podoba, potwierdzają, jeżeli nie, odrzucają. Co zaś w trzeźwym stanie wprzód uradzą, to roztrząsają podpicci. Spotykających się z sobą po drogach przez to rozpoznać można, czy są sobie równi, że zamiast przemawiania do siebie, całują się; jeżeli jeden z nich jest niższego cokolwiek stopnia, całują się w policzek: jeżeli o wiele rodem późniejszy, upada przed pierwszym na kolana. Poważają najbardziej najbliższych mieszkańców. Najmniej poważają tych, którzy jak najdalej od nich mieszkają. Czynią to zaś, mniemając, że sami są najlepszymi z ludzi, a najgorszymi są ci, którzy od nich najdalej osiedli. Za panowania Medów i inne ludy nad sobą panowały wzajem; to jest nad wszystkimi i nad najbliżej osiadłymi władzę Medowie, te znowu nad pogranicznymi sobie, pograniczne nad najbliżej się z nimi łączącymi. Obce zwyczaje przejmują Persowie najchętniej; i tak n. p. noszą ubiór medyjski, uważając go za piękniejszy od własnego, i pancerze egipskie w wyprawach wojennych; i przyjemnościom rozlicznym, które gdzieindziej poznali, pilnie się oddają. Po cnocie wojennej tę uważają za drugą, gdy kto wiele ma dzieci; temu zaś, który ich ma najwięcej, król przysyła podarunki przez cały rok, gdyż pomnażanie się ludności uważają za siłę narodu. Uczą dzieci swoje, od piątego roku poczynając aż do dwudziestego, tylko tego trojga: jeżdżenia konno, strzelania z łuku i mówienia prawdy. Nim dojdzie lat pięciu, nie pokazuje się dziecko ojcu, lecz chowa się między kobietami; dlatego zaś tak postępują, ażeby, jeżeli dziecię w niemowlęctwie umrze, nie przyczyniło ojcu przez to żadnego zmartwienia. Owoż pochwalam ten zwyczaj; pochwalam i drugi, że dla jednego przewinienia ani sam król nikogo nie zabija, ani żaden z innych Persów za jedno przekroczenie domownika swego na męczarnie nie skazuje; lecz wybadawszy, jeżeli znajdzie więcej i większych zbrodni, wtenczas dopiero gniew swój wywiera. Czego u nich nie wolno czynić, tego nie wolno i mówić. Za najhaniebniejszą rzecz poczytują kłamstwo, potem zaciąganie długów, a to z wielu innych przyczyn, głównie zaś dlatego, iż zdaniem ich, człowiek obdłużony musi niekiedy i nieprawdę mówić. I coś innego jeszcze mają u siebie właściwego, co uchodzi baczności Persów, lecz mojej nie uszło. Imiona ich, oznaczające kształt ciała, tudzież godność osób, wszystkie kończą się na tę samą głoskę, którą Doryczykowie nazywają san, Jończykowie zaś sigma (s).

To mogę z pewnością o nich powiedzieć, ponieważ to wiem dokładnie, lecz o umarłych niezrozumiale i niejasno podają, iż nie pierwszej chowają trupa męża perskiego, aż albo od ptaka, albo od psa rozdartym zostanie.

## Budowa piramid.

(Ks. II. R. 124—127 w skróceniu).

Aż do króla Rampsinita dobre prawa istniały w Egipcie, a Egipt wielce był zamożny, lecz panujący po jego zgonie Cheops na wszel-

kie bezprawie się rzucił; pozamykawszy bowiem wszystkie świątynie, wzbronił Egipcyanom najprzód czynienia ofiar, a potem wszystkim na siebie pracować kazał. Jednym rozkazano z kamieniołomów w górze Arabskiej staczać skały do Nilu; innym, przewiezione na łodziach przez rzekę, kazał odbierać i do tak zwanej góry Libyjskiej dostawiać. Pracowało zaś do stu tysięcy ludzi po trzy miesiące bez przerwy. Czasu zaś potrzebował lud, w ten sposób uciskany, na sporządzenie drogi, po której toczyli owe głazy, dziesięć lat; dzieło mało co mniejsze od samej piramidy, wedle mego zdania (tej bowiem długość wynosi pięć stadyów, szerokość dziesięć sążni, wysokość zaś ośm sążni. Zbudowana jest z kamienia ogładzonego, na którym wyrzynane są zwierzęta). Na tę drogę tedy dziesięć lat zużyto i na zbudowanie na pagórku, na którym stoją piramidy, podziemnych mieszkań, które sobie Cheops na groby urządził na wyspie, kanał Nilu tamże wprowadziwszy. Na wystawienie zaś piramidy dwudziestu lat potrzebowano; jest ona czworoboczną, a bok każdy ośm pletrów\*) ma długości; z kamienia jest gładzonego i jak najdokładniej składanego: każdy z tych głazów ma najmniej trzydzieści stóp.

Budowano zaś tę piramidę w kształt schodów, które niektórzy stopniami, inni schodami zowią. Tak wystawiwszy ją od spodu, dźwigali potem inne płyty machinami z krótkich drzew sporządzonemi, podnosząc z ziemi na pierwszy szereg owych stopni; gdy zaś głaz na nim spoczął, kładziono go na drugą machinę, na pierwszym szeregu stojącą, z tego ciągniono go na następny szereg inną machiną; ile bowiem było szeregów owych stopni, tyle machin, albo też jedną i tę samą machiną, łatwo się dającą przenosić, posuwali na coraz wyższy szereg, ilekroć kamień z niej zdjęli; niechaj bowiem podane tu będą oba sposoby, których miano używać, jak nam opowiadano. Wykończono zaś naprzód najwyższe jej części, potem robili najbliższe po tych, na samym końcu przyziemne i najniższe. Oznaczono egipskiem pismem na piramidzie, ile wydano na rzepę, cebulę i czosnek dla robotników; a jeśli dobrze pamiętam, co mi tłómacz, wyjaśniający te napisy, powiedział, tysiąc sześćset talentów srebra wyłożono. Jeżeli zaś tak było, ileż więcej wydać musiano na żelazo, którem pracowano, na chleb i odzież robotników, skoro przez czas rzeczony budowali te dzieła. Panować miał tenże Cheops podług opowiadania Egipcyan pięćdziesiąt lat; po jego śmierci objął rządy brat jego Chefren. I ten miał trzymać się tego samego obyczaju, co tamten, tak w innych sprawach, jako i w tem, że zbudował jedną piramidę, przecież nie dosiegającą miary piramidy poprzednika; to bowiem i sami wymierzylśmy; ani bowiem pod nią niema mieszkań podziemnych, ani też kanał z Nilu do niej nie dochodzi, jak do owej drugiej, gdzie przez wynurowane łoże wpadając, wewnątrz oblewa wyspę, na której powiadają, iż sam Cheops spoczywa. Lecz, podmurowawszy pierwszy szereg z kamienia etyopskiego różno-

\*) Plethron jest  $\frac{1}{6}$  stadionu, a stadion = 125 kroków.

kolorowego, a czterdzieści stóp pod wysokość tamtej zstąpiwszy\*), obok owej wielkiej wystawił. Stoją zaś obie na tym samym pagórku, około sto stóp wysokim. Królować miał Chefren pięćdziesiąt i sześć lat.

## Bitwa pod Maratonem.

(Ks. VI. R. 102—120 w skróceniu).

Ujarzmiwszy tak Eretryą, i zczekawszy dni kilka, popłynęli barbarowie do Attyki, ściskając Ateńczyków i spodziewając się, iż ci to samo uczynią, co uczynili Eretryanie. A gdy Maraton najpodatniejsze w Attyce było miejsce dla jazdy i najbliższe Eretryi, na nie poprowadził ich Hippias, syn Peizystrata. Lecz Ateńczykowie, jak tylko dowiedzieli się o tem, natychmiast pośpieszyli na równinę Maratonu. Prowadziło ich dziesięciu wodzów, z których dziesiątym był Miltiades, którego ojca Kimona, syna Stezagorasa, spotkał los, iż musiał ująć z Aten przed Peizystratosem, synem Hippokratesa.

Wodzowie wyprawili do Sparty herolda Feidyppidesa Ateńczyka, jako gońca; temu to, jak sam potem opowiadał i Ateńczykom oznajmił, około Parthenijskiej góry powyżej Tegei Pan zastąpił drogę. Zawoławszy bożek po nazwisku Feidippidesa, rozkazał mu obwieścić Ateńczykom, dlaczego to żadnej pieczołowitości nie okazują dla niego, chociaż jest przychylny Ateńczykom, wielokroć już był im pożytecznym i będzie nim jeszcze. I tę okoliczność Ateńczykowie, po ubezpieczeniu już spraw swoich, zagrożonych na nowo, jako prawdziwą przyjąwszy, wystawili pod zamkiem świątynię Panowi, i od tej wieści począwszy, czczą go corocznie ofiarami i pochodami, pragnąc łaskę jego pozyskać. Drugiego dnia po odejściu z miasta Ateńczyków stanął w Sparcie, przybywszy zaś, do władców tak się odezwał: »Lakedemończycy, Ateńczykowie proszą was, abyście im pomogli i nie dopuścili, ażeby miasto najdawniejsze wśród Greków popadło w niewolę ludzi barbarzyńskich; już bowiem Eretrya ujarzmioną została i Hellada o jedno świetne miasto uboższą się stała«. Ten im tedy tak polecenia swoje obwieścił, a Lakedemończycy postanowili pośpieszyć z pomocą Ateńczykom, lecz niepodobnem było dla nich uczynić to natychmiast, gdyż nie chcieli przekroczyć prawa (krajowego); był to bowiem dzień dziewiąty nastającego (poczynającego się) miesiąca, dziewiątego dnia zaś wzbraniali się wyjść na wyprawę, gdy obwód księżycy jeszcze się nie wypełnił.

Do Ateńczyków, uszykowanych w gaju Heraklesa, przyłączyli się Platejczykowie z wszystkimi siłami; poddali się bowiem byli Ateńczykom Platejczykowie, w obronie których Ateńczycy już długie znoje podejmowali.

\*) To jest o tyle niższą od tamtej.

Lecz między wodzami Ateńczyków podzielone były zdania; jedni przeciwni byli podjęciu walki, mówiąc, że mało ich jest do uderzenia na wojsko Medów, inni zaś i Miltiades zachęcali owszem do tego. Gdy więc ważyły się zdania i już zwyciężało gorsze ze zdań, wtenczas — był bowiem jedenasty jeszcze do głosowania, który losem fasolowym odzierzył polemarchią (to jest rządu wojenne) nad Ateńczykami; w dawnych czasach bowiem Ateńczykowie polemarchowi równe prawo głosowania z wodzami przyznali, a był podówczas polemarchą Kallimachos, Afidnejczyk. Owoż do tego przystąpiwszy, Miltiades tak przemówił: »W twojej teraz jest mocy, Kallimachu, ujarzmić Ateny, albo wolnemi uczyniwszy, pamięć po sobie pozostawić na wieczne czasy, jakiej nawet Harmodios i Aristogeiton nie pozostawili po sobie. Teraz bowiem niebezpieczeństwo jest największe, i jeżeli ulegną Medom, postanowione już jest, co ucierpią, wydane Hippiaszowi; jeżeli atoli ocalaje to miasto, to może zostać pierwszym między miastami helleńskimi. Jak to przecież te rzeczy stać się mogą, i o ile od ciebie zależy rozstrzygnięcie wypadków, zaraz ci opowiem. Nas dziesięciu wodzów zdania na dwoje się dzielą; jedni zalecają, drudzy odradzają walkę z Persami. Jeżeli tedy nie będziemy walczyć, przewiduję wielkie zamieszanie, które tak zamąci umysły Ateńczyków, iż przechylą się na stronę Medów; jeżeli zaś spotkamy się z wrogami, możemy odnieść zwycięstwo. To wszystko tedy teraz od ciebie zawisło; jeżeli bowiem ty do zdania mojego przystąpisz, będzie zaprawdę i ojczyzna wolną i miasto nasze pierwszym między greckimi«. — Tą mową Miltiades przeciągnął na swoją stronę Kallimacha. Gdy zaś przyłączyło się zdanie polemarcha, stanęło na tem, żeby bitwę stoczyć. Zatem każdy z wodzów, co głosowali przedtem za walką, gdy dzień następował, w którym naczelne dowództwo obejmował Miltiadesowi je oddawał; Miltiades przyjmował, ale nie prędzej do walki przystąpił, aż przyszła kolej jego naczelnictwa. Dopiero gdy to nastąpiło, wtenczas tak oto uszykował Ateńczyków do uderzenia na Medów. Prawemu skrzydłu przewodził polemarch Kallimachos, prawo bowiem wtenczas tak obowiązywało Ateńczyków, ażeby polemarch stał na czele prawego skrzydła. Pod dowództwem więc jego postępowały gminy (fyle), po kolei jedna za drugą; na końcu ustawieni byli, zajmując lewe skrzydło, Platejczykowie; od tej bitwy w czasie ofiar i uroczystych zebrań, które Ateńczycy co pięć lat obchodzą, modli się herold ateński, ażeby i Ateńczykom i Platejczykom dobrze się działo. Długość szeregu bojowego obu wojsk była równa; w środku grecki z niewielu szeregów się składał, i tutaj był najszabszy, lecz na obydwóch skrzydłach był silny. Po takim ustawieniu się, skoro zabite ofiary pomyślność zapowiedziały, Ateńczycy szybkim biegiem rzucili się na barbarów. Plac zaś pomiędzy obydwoma wojskami nie mniejszy był jak ośm stadyów. Persowie, widząc pędzących w biegu naprzeciw siebie, przygotowali się na ich przyjęcie, szaleństwo przypisując Ateńczykom i zupełną zgubę zapowiadając, gdy patrzeli na drobną ich liczbę, pośpieszającą w biegu bez jazdy i bez łuczników. Owoż tak wnioskowali barbarowie; Ateńczycy tymczasem gromadnie uderzywszy na Persów, zaszczytnie potykali się.

Pierwsi to bowiem oni ze wszystkich Greków, o ile nam wiadomo, biegu użyli do bitwy z nieprzyjacielem, i pierwsi nie zrażali się, patrząc na odzież medyjską i mężów, w nią przybranych; dotąd dla Greków samo nazwisko Medów postrachem było. Bój pod Maratonem trwał przez czas długi. Jakoż środek wojska przemogli barbarowie, kędy Persowie sami i Sakowie walczyli; tutaj więc, zwyciężywszy barbarowie i przelamawszy szyki, ścigali je aż w środek kraju, lecz na skrzydłach obydwóch odnieśli zwycięstwo Ateńczycy i Platejczykowie. Czego dokonawszy, rozgromionym barbarom dozwolili uciekać, a natomiast, połączywszy oba skrzydła, na tych się rzucili, którzy środek Ateńczyków byli rozbili i rozgromili ich. W pogoń tedy puszczać się za pierzchającymi Persami, cięli przed sobą, kto się nawinał, aż, przybywszy do morza, wołać zaczęli o ogień i wzięli się do okrętów. W tym znoju polemarch Kallimach poległ, odznaczywszy się w boju; legł także z wodzów Stesilaos, syn Trazylosa: także Kynegeiros, syn Euforyona, tamże chwyciwszy się zagiętego tyłu okrętu, gdy mu rękę odcięto toporem, padł nieżywy, on i wielu innych znakomitych Ateńczyków. Siedm tedy naw zdobyli tym sposobem Ateńczykowie. Reszta barbarów, cofnąwszy się i zabrawszy z wyspy niewolników eretryjskich, których tam byli zostawili, opłynęli Sunion, pragnąc ubiedz Ateńczyków przybyciem do Miasta (Aten). Ateńczykowie zaś, co tylko wyskoczyć mogli, pędzili na pomoc Miastu i przybyli do niego prędzej, nim barbarom udało się w niem stanąć, i zaobozowali po leżach w Herakleon na Maratonie, znowu w innej świątynicy Heraklesa w Kynosarges. Tymczasem barbarowie okrążywszy na nawach górę Faleron (tam bowiem była wtenczas przystań Ateńczyków), i nieco wychnawszy, powrócili do Azji.

W tej bitwie pod Maratonem zginęło barbarów około sześć tysięcy czterysta, Ateńczyków zaś sto dziewięćdziesiąt i dwóch. Poległo tedy z obu stron tylu, tymczasem zdarzył się tamże dziw taki, że mąż ateński Epizelos, syn Kufagorasa, w zawziętej walce potykając się walecznie, nagle wzroku pozbawiony został, ani cięty z blizka w którąkolwiek część ciała, ani rażony z daleka, i na cały żywot odtąd ślepym pozostał.

Lakedemończyków zaś przybyło do Aten dwa tysiące po pełni księżyca; bardzo śpieszyli, chcąc przybyć na czas, tak iż trzeciego dnia po wyruszeniu ze Sparty stanęli w Attyce. Spóźniwszy się jednakowoż do bitwy, pragnęli przynajmniej oglądać Medów; udawszy się więc na Maraton, przypatrywali im się. Poczem, pochwaliwszy Ateńczyków i dzieło ich, powrócili do domu.

### Most na Helesponcie.

(Ks. VII. R. 34—37 w skróceniu).

Gdy już była zbudowana przeprawa, przypadła wielka burza, porzywała i zburzyła wszystkie przyrządy. Otóż skoro o tem dowiedział się Xerxes, oburzony, rozkazał Hellespontowi trzysta plag biczem wyli-

czyć i wpuścić w morze dwa łańcuchy. Słyszałem nawet, że i oprawców posłał razem z tamtymi, ażeby napiętnowali Hellespont. Polecił tedy biczownikom, ażeby przy wykonywaniu tego, co im nakazał, wymawiali te barbarzyńskie i bezbożne słowa: »O gorzka wodo! oto pan twój tę karę ci nakłada, za to, żeś go pokrzywdziła, żadnej szkody odeń nie doznawszy. Król Xerxes przekroczy ciebie, czy będziesz, czy nie będziesz chciała; wszakże sprawiedliwie żaden człowiek ofiar tobie nie składa, ponieważ jesteś mętną i słoną rzeką«. Morze więc tak ukarać, przewodniczących zaś budowy ściąć rozkazał. Ci, którym to niemiłe zadanie przypadło, dopełnili tego, mosty zaś inni budowniczowie postawili następującym sposobem. Pięćdziesięciorzędowce i trójrzędowce złączywszy, to jest po stronie od Gościnnego morza trzysta sześćdziesiąt, po drugiej stronie trzysta czterdzieści, ku Pontowi ukośnie, ku Hellespontowi zaś z falą wody, ażeby wyprężała (fala) napięcie lin. Tak więc złączywszy te nawy, kotwice ogromne zarzucili w wodę, jeden od pomostu, ku Pontowi zwróconego, dla hamowania wiatrów z wewnętrznego morza wiejących, drugie od pomostu zachodniej strony i morza Egejskiego dla tamowania gwałtowności południowo-wschodniego i południowego wiatru. Otwór zaś ciasny do wypływania pozostawili pomiędzy pięćdziesięciorzędowcami i trójrzędowcami w trzech miejscach, ażeby i do Pontu mógł, kto chce, płynąć na lekkich łodziach, i z Pontu na zewnętrzne morze. Tego dokonawszy, wyciągnęli od lądu za pomocą drewnianych wind liny, lecz nie pojedynczo ale po dwie z białego lnu powiązawszy z czterema byblusowemi. Grubość była ta sama u nich i kształt, lecz naturalnie cięższymi były lniane. Skoro tak przeprawa umoszczoną była, wtenczas kłocę drzew piłami porznawszy i zrównawszy z szerokością mostu, w porządku ułożyli na wierzch lin wytężonych, i położywszy je tak i tutaj jeden przy drugim związali. Tego dokonawszy, nanieśli górą chróstu, na który znowu nasypali ziemi, poczem i tę ziemię ubiwszy, poręczami ubezpieczyli most po dwóch stronach, ażeby nie strachały się konie i bydłeta pociągowe, widząc pod sobą w dole morze.

Skoro zaś prace około mostów i około Athos ukończone zostały, tudzież groble ponad otworami przekopu, z powodu fali morskiej usypane, ażeby ich nie zapełniła woda, i skoro doniesiono, że samże przekop zupełnie już gotowy; wtenczas, przemówawszy, z nastaniem wiosny przygotowane wojsko zabierało się przeprawić z Sardów do Abydos. Lecz gdy już miało wyruszyć w pochód, słońce opuściło jawnie stanowisko swe na niebie, chociaż żadnych chmur nie było, lecz najczystsze powietrze, i zamiast dnia noc nastąpiła. Gdy to zobaczył i zauważył Xerxes, zafrasował się i zapytywał Magów, co ma oznaczać to zjawisko? Ale oni rzekli, że to Grekom zwiastuje bóg zniknięcie miast ich, gdyż słońce, mówili, jest dla Greków wskazicielem (przyszłości), księżyc zaś dla Persów. Usłyszawszy to Xerxes, bardzo był uradowany, i dał znak do pochodu.

(Podług tłóm. A. Bronikowskiego).



## Adrastos.

(Ks. I. 33—45).

Krezus z niczem odprawił od siebie Solona, ponieważ mu nie schlebiał i miał go za człowieka ograniczonego, który, lekceważąc sobie dobra obecne, końca każdej rzeczy wyglądać każe. Zaledwie jednak Solon się oddalił, sroga pomsta bogów dotknęła nieszczęściem Krezusa, prawdopodobnie za to, że się najszczęśliwszym z ludzi mienił. We śnie bowiem miał widzenie, które mu objawiło niebezpieczeństwo, grożące jego synowi. Miał zaś Krezus dwóch synów, z których jeden, jako głuchoniemy, był kaleką, drugi zaś we wszystkim przyćmiewał swych rówieśników. Na imię było mu Atys i on to za wskazówką snu miał zginąć od ostrza dzidy. Gdy się król obudził i sen dokładnie rozważył, przeląkł się go, postanowił syna co rychlej ożenić i wbrew dotychczasowemu zwyczajowi nigdy go już od tej pory na wojnę, na czele lidyjskich zastępów, nie wyprawiał; co więcej, kazał wszystkie oszczepy, dzidy i inne wojenne sprzęty z świetlic męskich do komnat usunąć, obawiając się, aby coś na ścianie zawieszzonego nie ugodziło, spadając, jego syna.

Wkrótce po weselu Atysa, pojawił się w Sardes człowiek, nieszczęściem obciążony, Frygijszyk, królewskiego pochodzenia, ale rąk krwią splamionych. Wchodząc do domu Krezusa, prosił, aby według krajowego zwyczaju dostąpić mógł oczyszczenia. Krezus spełnił jego prośbę (u Lidów obrządek oczyszczenia nie różni się prawie niczem od greckiego), a skoro dokonał obrzędu, pytał cudzoziemca o jego imię i pochodzenie:

»Miły człowieku, ktoś ty i z jakiego miasta frygijskiego się wywodząc, domownikiem moim pragniesz zostać? Jakiego męża lub jaką niewiastę zabiłeś?

»Królu i panie, odpowiedział przybysz, synem jestem Gordiosa, a wnukiem Midasa, imię moje Adrast. Zabiłem przez nieostrożność brata, do ciebie się chronię, wygnany przez ojca i mienia pozbawiony«.

Na to Krezus: »Przyjaciół potomkiem jesteś, na przyjaciół też trafiłeś. Pozostań u mnie, a we wszystko opływać będziesz, nieszczęście zaś swoje, trzeba, abyś ze spokojem znosił«.

W tym samym czasie, gdy Adrast u Krezusa zamieszkał, pojawił się na mizyjskim Olimpie dzik niezmierny, który, wypadając z owej góry, pustoszył pola Mizyjczyków. Często Mizyjczycy oblawy urządzali na niego, nie zdołali go jednak nawet drasnąć, podczas gdy on dotkliwie wyrządzał im szkody. Wkońcu wysłali posłów do Krezusa, prosząc:

»Wielki królu, w kraju naszym pojawił się dzik olbrzymi, który pustoszy nasze pola. Chętnie zabilibyśmy go, podołać jednak nie możemy. Błagamy cię tedy, przyslij nam syna swego i młodzieńców dobranych ze sforą, abyśmy kraj nasz uwolnili od tej plagi«.

Na prośby ich Krezus, pomny na swój sen, tak im odpowiedział: »O synu moim nie wspominajcie mi więcej, bo wam go nie dam, właśnie młodą poślubił żonę i nią całkiem zajęty. Pójdą z wami nato

miast Lidowie co najbitniejsi, oraz cała moja psiarnia, a ja im polecę, aby jak najusilniej starali się uwolnić kraj wasz od owego zwierza«.

Gdy się Miziojczycy zadowolili odpowiedzią Krezusa, wszedł Atys, który dosłyszał, o co prosili, a dowiedziawszy się, że ojciec wzbrania się wysłać go z nimi, w te do niego przemówił słowa: »Ojcze, wyprawę wojenne, łowy i pływająca z nich sława były niegdyś najpiękniejszym, najszlachetniejszym mem zajęciem; teraz zdala mnie od nich trzymasz, chociaż ani tchórzostwa, ani lenistwa zarzucić mi nie możesz. Jakiemiż teraz oczyma spoglądać na mnie muszą ludzie, gdy idę na obrady lub z tychże powracam? Jakimże muszę wydawać się obywatelom, jakim młodej małżonce mojej, jak nisko stać musi w jej oczach ten jej małżonek? A więc pozwól mi pójść na łowy, albo przekonaj mnie, że wzgląd na moje dobro tego zabrania.

— Na to Krezus rzecze: »Synu kochany, nie czynię ja tego, jakobym się tchórzostwa lub czegoś w ogóle zdroznego miał w tobie dopatrywać, ale wiedz, że senne widziadło ostrzegło mnie, jako kres żywota twego blizki, a od ostrza dzidy masz zginąć. Patrz, ten sen kazał mi przyspieszyć twoje zaślubiny i z ojcowskiej troskliwości nie dam ci pójść na łowy, a może mi się uda, póki życia mego, uchronić cię przed nieszczęściem, boś ty synem moim jedynym — tamtego, który mowy pozbawiony, i tak uważam za straconego.

»Dzięki ci, ojcze, odparł młodzieniec, za twe troskliwe skutkiem snu nademną czuwanie, ale muszę ci wyjawić, że snu swego nie rozumiałeś należycie. Wszakże według niego mam zginąć od ostrza dzidy, a jakież to ręce ma dzik i jaką to dzidę, której się tak obawiasz? Gdyby ci to jeszcze sen był powiedział, że od kła lub czegoś podobnego padnę, obawa twoja byłaby słuszna, ale tu mowa tylko o ostrzu dzidy. Skoro tedy nie wypadnie nam walczyć z ludźmi, pozwól i mnie wziąć udział«.

»Za twoim wykładem snu, mój synu kochany, wiele przemawia, odpowiedział Kresus; przekonałeś mnie, zmieniam postanowienie i pozwalam ci iść na łowy«.

To rzekłszy, zawołał Frygijczyka Adrasta: »Adraście, przemówił do niego, gdyś się uginał pod brzemieniem nieszczęścia (nie bierz tego za wyrzut), oczyściłem cię, przyjąłem cię w mój dom i zaopatruję we wszystko, czego tylko potrzebujesz. Teraz kolej na ciebie, przysługą wywdzięczyć się za przysługę. Polecam ci czuwać nad moim synem, który udaje się na łowy, aby wam nie zgotowali zguby w drodze jacy ukryci opryszkowie. Przystoi też tobie tam się znajdować, gdzie sławę pozyskać można, we krwi bowiem masz ochotę do wielkich czynów, a i siła twoja potemu«.

»Panie, odparł Adrast, nigdybym nie wziął udziału w tej wyprawie, bo nie mnie to nieszczęśliwemu mięszać się między swobodnych ludzi, a i chęci potemu nie mam i często się już przewycięzałem; lecz teraz na żądanie twoje, skoro tyle ci zawdzięczam, gotów jestem do tej posługi. Syn twój, nad którym mi opiekę poręczasz, wróci cało, o ile od mojej troskliwości zależeć to będzie«.

Gdy tak Krezusowi odpowiedział Adrast, wyruszyli niebawem w drogę z wyborem ludzi i psów. Przybywszy na górę Olimp, tropili zwierza, dopadli go, osaczyli i poczęli nań nacierać oszczepami. Wtedy ów cudzoziemiec frygijski, Adrast, dopiero co po zbrodni oczyszczony, cisnął włócznią na dzika, chybił go, a trafił Krezusowego syna. Atys, ostrzem ugodzony, wypełnił snu proroctwo. Natychmiast pobiegł posłaniec do Krezusa, aby go uwiadomić o wypadku i przybywszy do Sardes, opowiedział mu o przebiegu walki i zgonie syna. Krezus, przerażony śmiercią dziecka, tem dotkliwszej oddawał się boleści, że je ten właśnie zabił, którego on sam ze zbrodni oczyścił. Głośno wyrzekając na swój los nieszczęśliwy, wzywał Zeusa Oczyszciciela na świadka czynu cudzoziemca, przyzywał też tego samego boga, jako opiekuna gościnności i przyjaźni. Pogwałcenie bowiem gościnności w tem upatrywał, że w przyjętym do domu swego cudzoziemcu bezwiednie zabójcą syna swego ugaszczał, przyjaźni zaś w tem, że wyznaczony synowi opiekun najsroższym stał się dla niego wrogiem.

Tymczasem nadeszli Lidowie ze zwłokami, za którymi postępował zabójca. Ten stanąwszy nad trupem, oddał się w moc Krezusa i wyciągając ręce, błagał, aby go na ofiarę zmarłemu zabito. Wspominając o dawniejszem swem nieszczęściu, nie chciał już dłużej żyć, skoro nadto splamił się zabójstwem tego właśnie, który go oczyścił. Krezus słysząc to, ulitował się nad nim i jakkolwiek sam, w strasznej pogrążony boleści, pocieszał go:

»Dość mi zemsty nad tobą, cudzoziemcze, skoro sam wyrok śmierci na siebie wydajesz. Nie tyś sprawcą nieszczęścia tego, bo wbrew woli czyn ten popełniłeś, ale bóg jakiś, który oddawna przyszłość przedemną odsłonił«.

Krezus sprawił teraz pogrzeb synowi, jak zwyczaj tego wymagał, i dwa lata oddawał się ciężkiej po jego stracie żałobie, Adrast zaś, syn Gordiosa, wnuk Midasa, zabiwszy naprzód rodzonego brata, następnie syna tego, który go z zabójstwa oczyścił, mienił się najnieszczęśliwszym pod słońcem człowiekiem — i skoro cisza nastąpiła dokoła, sam się na grobie zabitego życia pozbawił.

---

## Alkmeonidzi.

(Ks. VI. 125—130 w skróceniu).

Alkmeonidzi byli już od dawnych czasów znakomitym rodem w Atenach, ale przez Alkmeona, a po nim przez Megaklesa zyskali jeszcze na znaczeniu. Już Alkmeon bowiem, syn Megaklesa, pomocny był Lidom, wysłanym z Sardes przez Krezusa do wyroczni delfickiej i jak przyjaciel opiekował się nimi, a gdy Krezus dowiedział się od Lidów, postępujących do wyroczni, jaką mu przysługę wyświadczył, wezwał go do siebie, do Sardes, i przybyłego obdarzył tak wielką ilością złota, jakąby zdołał za jednym razem na własnem wynieść ciele.

Alkmeon zaś powiększył ten, już i tak znaczny, dar następującym podstępem: Ubrał się w suknię przestronną, że zwieszała się jak worek, wdział jakie tylko mógł znaleźć najobszerniejsze obuwie i udał się do skarbcza, do którego go zaprowadzono. Tutaj rzuciwszy się na stos złotego piasku, napchał najpierw tyle złota dookoła nóg, ile go tylko w obuwie się zmieściło, następnie wypełnił złotem całe zanadrze, włosy na głowie obsypał pyłem złotym, a nawet w jamie ustnej pomieścił cokolwiek. Tak wyszedł ze skarbcza, ledwie powłóczęc obuwem, a wyglądał podobniejszy do czegokolwiek, najmniej zaś do człowieka, gdyż gębę miał wydetą, a całą postać nahrzmiałą. Gdy go Krezus ujrzał, wybuchnął śmiechem, podarował mu to wszystko i dołożył jeszcze nie mniej, jak drugie tyle. Tym sposobem wzbogacił się ten ród niezmiernie, a Alkmeon, którego teraz stać było na poczwórny zaprzęg, zwyciężył na igrzyskach olimpijskich.

Następnie w drugim pokoleniu Kleistenes, król Sykionu, wyniósł ten ród do takiej świetności, że jeszcze sławniejszym stał się w Grecyi, niż poprzednio. Kleistenes bowiem miał córkę, imieniem Agarystę, którą pragnął wydać za najgodniejszego z pomiędzy Greków. Gdy więc na igrzyskach olimpijskich zdobył sobie nagrodę czworoprzężnym rydwanem, kazał ogłosić heroldowi, że ktokolwiek z pomiędzy Greków sądzi się godnym, zięciem zostać jego, ma przybyć do Sykionu w dni sześćdziesiąt, albo i wcześniej, gdyż Kleistenes pragnie w rok po owym dniu sześćdziesiątym sprawić wesele. Wszyscy Grecy, którzy mniemali, że mają prawo chlubić się osobistymi przymiotami lub pochodzeniem, pojawili się jako zalotnicy, a Kleistenes zatrzymał ich u siebie, bawiąc wycieczkami pieszymi i szermierką. Najpierw wypytywał każdego o ojczyznę i pochodzenie, następnie w ciągu całego roku doświadczał jego dzielności, badał charakter, wychowanie, obyczaje, przestając z każdym z osobna i z wszystkimi razem, oraz towarzyszając im, zwłaszcza młodszym, na miejsce ćwiczeń; przedewszystkiem zaś miał na nich baczne w czasie uczt oko. Tak postępował przez cały czas ich pobytu, ugaszczając ich zarazem wspaniałe. Najwięcej podobali mu się między zalotnikami Ateńczycy, z tych zaś najbardziej Hippokleides, Tysandra syn, nie tylko dla odwagi swej i stanowczości, lecz także i dlatego, że przez dalekich przodków spekrewniony był z Kypselidami \*) w Koryncie.

Gdy się tedy zbliżał naznaczony dzień zaślubin, a Kleistenes miał postanowić, jaki wybór uczyni, zabił sto wołów na ofiarę i wyprawił ucztę zalotnikom oraz wszystkim Sykiończykom. Po biesiadzie zabawiali się zalotnicy w zawody muzyką i gawędą o sprawach potocznych, gdy zaś pijatyka dłużej się przeciągnęła, kazał Hippokleides fletnicie, głosem nad innymi górując, zagrać do tańca, a gdy rozkaz jego spełniono, począł tańczyć. On sam bardzo był wprawdzie zadowolony z siebie, ale Kleistenes, który wszystkiego był świadkiem, innego był zdania. Po niejakiem czasie kazał Hippokleides wnieść stół, a gdy ten postawiono

\*) Kypselos i syn jego, głośny Periander, tyranowie w Koryncie.

przed nim, tańczył naprzód na nim w takt lakońskich, później znów attyckich zwrotek, nakoniec stanął głową na stole i nogami rzucać począł. Wprawdzie już przy pierwszym i drugim tańcu porzucił Kleistenes stanowczo myśl uczynienia Hippokleidesa swym zięciem z powodu jego zachowania się bezczelnego, jednak panował nad sobą, nie chcąc wybuchnąć przeciw niemu; gdy jednak zobaczył go, jak podrzucał nogami w górę, zawołał, nie mogąc się już dłużej powstrzymać:

»O synu Tysandra, przetańczyłeś oblubienicę swoją!« Na to Hippokleides wręcz odparł:

»Ej, co tam, nie dba o to Hippokleides!«, a odpowiedź ta weszła odgad w przysłowie.

Kleistenes zaś, uciszwszy obecnych, przemówił w te słowa: »Córki mej zalotnicy! Bardzo mi wszyscy przypadliście do serca i chętnie, gdyby to było w mej mocy, zadowolilibym was wszystkich, zamiast, przenosząc nad was jednego, z niczem innych wszystkich odsyłać, ale niepodobna to rzecz postąpić według życzenia każdego, skoro tylko jedną mam córkę do wydania. Jednak każdemu z tych, których zaloty daremne, talent w srebrze ofiaruję w darze za zaszczytną dla mnie chęć połączenia się związkami z mym rodem i jako wynagrodzenie za długi pobyt w obczyźnie. Megaklesowi zaś, synowi Alkmeona, poślubiam córkę mą, Agarystę, zgodnie z ateńskim obyczajem«. Za zgodą Alkmeona dokonano tedy zaślubin.

Takito był wybór oblubieńca, który Alkmeonidów głośnymi uczynił w Grecyi. Z tego małżeństwa przyszedł na świat Kleistenes, który Ateonom demokratyczną ustawę nadał, a imię wziął po sykiońskim swym dziadku. On i Hippokrates byli synami Megaklesa, a dziećmi Hippokratesa byli Megakles młodszy i młodsza Agarysta, od Agarysty Kleistenesówny imię nosząca. Ta, wydana za Xantypa, miała widzenie we śnie; zdało się jej, że lwa na świat wydała, jakoż w dni kilka potem powiła Xantypowi: Peryklesa.

---

## Rozmowa Xerxesa z Demaratem \*).

(Ks. VII. 101—104).

Xerxes wezwał do siebie Demarata, syna Arystona, który brał udział w jego wyprawie na Grecyę, i tak do niego przemówił:

»Demaracie, radbym cię o coś zapytać. Jesteś Grekiem i jak słyszę od ciebie i innych Greków, z którymi rozmawiałem, pochodzisz z miasta wcale nie podłego, ani słabego. Powiedz mi tedy, czy Grecy odważą się stawić mi opór? Ja bowiem mniemam, że gdyby nawet wszyscy Grecy

---

\*) Po przeglądzie, odbytym przez Xerxesa, w Doriskos, na wybrzeżu trackiem.

z wszystkimi innymi ludami Zachodu razem się połączyli, nie zdolni byłiby stawić mi czoła, ponieważ są między sobą niezgodni. Ale chętnie wysłuchałbym twego zdania w tej sprawie. Tak pytał Xerxes, a Demarat odparł: »Panie, czy mam prawdą służyć, czy pochlebstwem?«

Na to Xerxes kazał mu prawdę wyjawić, przyrzekając, nie cofnąć mu swej łaski. Gdy się Demarat o tem upewnił, tak się odezwał: »Panie, skoro prawdy bezwzględnej się domagasz, wiedz o tem, co każdy w obec ciebie potwierdzi: W Grecyi ubóstwo zdawien dawna zamieszkało, a cnota jest przybyszem, przez mądrość i surowe prawa wprowadzonym, ale nią się powodując, broni się Grecya zarówno przed ubóstwem, jak niewolą. Chwałę ja wprawdzie wszystkich doryckiego pochodzenia Greków, jednak to, co powiem, tyczy się samych tylko Lake-demończyków. Po pierwsze, nigdy nie przyjmą twych warunków, które poddaństwem Grekom grożą, a powtóre, staną oni w bojowym szyku nawet wtedy, gdyby się wszyscy Grecy po twojej znaleźli stronie. O liczbę, w jakiej zdolni odważyć się na to, nie pytaj, bo czy w tysiąc ludzi, czy mniej lub więcej, w pole ruszą, zawsze opór ci stawia.«

Na to rozśmiał się Xerxes i rzekł: »Demaracie, bredzisz, jakżeby tysiąc mężów walczyć mogło z tak wielkiem wojskiem? Dobrze więc, przyznaj, ażali nie mówiłeś, żeś był królem owego ludu? Czy mógłbyś natychmiast potykać się z dziesięciu mężami? Wszakże jeżeli lud twój taki jest, jak powiadasz, to według wyobrażeń naszych tobie, jako królowi, przystoi dwa razy tak wielką pogromić liczbę, bo, jeżeli każdy z nich dziesięciu mężom sprostą, od ciebie żądam, abyś dwudziestu pognębił. W tym tylko wypadku sprawdzą się słowa twoje. Jeżeli jednak wszyscy oni tej są siły i miary, co ty i z widzenia znajomi mi Grecy, a mimo to tak się przechwalacie, to słowa twoje próżną chyba wydać się muszą chwałbą. Bo też weźmy wszystko pod dojrzałą rozwagę: jakżeby podołało tysiąc, a choćby i pięćdziesiąt tysięcy ludzi, równych między sobą i nieuznających żadnego pana, tak wielkiemu wojsku? Toć więcej nas przypadnie na każdego, niż tysiąc, choćby was było nawet i pięć tysięcy. Gdybyto jeszcze mieli, naszym obyczajem, pana nad sobą, możeby się z bojaźni przed nim, sami siebie pod grozą bata przewyższając, ośmielili uderzyć na przeważną nieprzyjaciela potęgę; za własnym jednak popędem niezawodnie nie zdobędą się na coś podobnego. Mojem zdaniem, nawet równi liczbą nie podołaliby moim Persom. To, o czem ty mówisz, trafi się i u nas wcale nie często, owszem tylko wyjątkowo, bo mam między kopijnikami moimi mężów, którzy trzem Grekom naraz poradzą, a ty, nie wiedząc o tem, pleciesz takie brednie.«

Na to znów Demarat: »Panie, zgóry ja wiedziałem, że wprawdzie służąc, nie po myśli twej mówić będę; wszakże skoro bezwzględnej prawdy zażądałeś, wyznałem ją, mówiąc o Spartanach. A jednak jak ja ich teraz Kocham, ty sam wiesz o tem najlepiej, onito bowiem wyluzi mnie z czci, godności, ojcowizny, tułaczem i wygnańcem mnie uczynili, twój natomiast ojciec przygarnął mnie, chlebem i dachem obdarzył. Nie do pojęcia jest, aby rozumny człowiek odpychał od siebie

tyle dobrodziejstw, których doświadczył, lecz owszem wdzięczny musi być za nie. Nie mniemaj walczyć przeciw dziesięciu, a choćby i dwom mężom, ba nawet z własnej woli ani z jednym potykać się nie pragnę. Gdyby jednak konieczność tego wymagała, albo chodziło o zdobycie wysokiej nagrody, tobym już wolał walczyć z jednym z tych, o których powiadasz, że każdy trzem Grekom sprosta. Tak i Lakedemończycy w pojedynczej walce nie ustępują męstwem żadnemu narodowi, ale przewyższają wszystkie, gdy razem staną do boju. Bo ich wolność ma także granice, mają bowiem nad sobą pana, a tym panem jest prawo, któremu są jeszcze posłuszniejsi, aniżeli twój poddani tobie. Zawsze spełniają to, co im prawo nakazuje, a zakazuje im ono, przed jakąkolwiek potęgą pierzchać; mają tylko do wyboru, dotrzymując bojowego szyku, zwyciężyć lub zginąć. Jeżeli jednak słowa moje wydają ci się czezą gadaniną, w przyszłości milczeć będę, bo i teraz, tylko przynaglony przez ciebie, mówiłem. Oby tylko wszystko poszło po myśli twojej, władco!«

Taką była odpowiedź Demarata. Xerxes począł się śmiać nanowo, i nie gniewał się bynajmniej, owszem łaskawie go odprawił.

(Tłóm. dla tego dzieła W. K.).

# Z DZIEJÓW TUKIDYDESA.

## I.

### MOWA PERYKLESA NA CZEŚĆ POLEGŁYCH.

(Księga II. 34—46).

34). Tej samej zimy odprawili Ateńczycy zwyczajem ojczystym publiczny obchód pogrzebowy dla tych, którzy pierwsi w tej wojnie padli, a to w następujący sposób. Naprzód wystawiają na widok publiczny pod namiotem przez trzy dni zwoki poległych; w czasie tym znoszą krewni swoim zmarłym dary pogrzebowe. Następnie w dniu właściwego pogrzebu przyjeżdżają wozy z cyprysowemi skrzyniami, dla każdej gminy jedna; i wkładają w nie zwłoki należących do tej samej gminy. Niosą również ozdobne, puste mary dla takich, którzy zaginęli, których ciał przy zbieraniu trupów nie znaleziono. Każdy, kto chce, czy to obywatel, czy obcy, może brać udział w pochodzie; kobiety, krewnie poległych, zjawiają się również nad grobem i opłakują swe straty. Wreszcie grzebią ich na publicznym cmentarzu, położonym w najpiękniejszej okolicy pod miastem: tam to chowają zawsze poległych w walce; wyjątek zrobiono tylko dla tych, którzy zginęli pod Maratonem, uważając bowiem ich męstwo za nadzwyczajne, urządzono im grób na pobożowisku. Gdy zwłoki ziemia pokryje, wypowiada mąż, wybrany przez miasto, a znany i poważany przez wszystkich dla swego rozumu, mowę na cześć poległych, poczem wracają wszyscy do domów. Taki jest obchód pogrzebowy — i podczas całej wojny, ilekroć wypadło, zachowywano ten zwyczaj. Owym, który miał przemawiać nad tymi pierwszymi poległymi, wybrano Peryklesa, syna Xantypa. Ten wstąpił, gdy nadeszła stosowna pora, na wysoką mównicę, skąd mógł być daleko słyszany i mówił, co następuje:

35). »Wielu przemawiających z tego miejsca, zwykło było wychwalać tego, który do publicznego obchodu pogrzebowego przydał



tęgo rodzaju przemówienia, uważając za rzecz bardzo piękną, że pamięć mężów poległych w boju jest tym sposobem czczona. Mnie się zaś wy-starczającym zdaje, gdy mężom czynami sławnym czynem cześć się oddaje, jak to właśnie przy obecnie odprawianym obchodzie widzicie i nie należałoby uznanie zasług wielu mężów powierzać lepszej lub gorszej wymowie jed-nego mowcy. Trudnem bowiem jest przemawiać w odpowiedni i należyty sposób w sprawach, gdzie już niemały trud sprawia wzbudzenie wiary u słuchaczy w prawdę swego własnego przeświadczenia. Ów bowiem słu-chacz, który sprawę zna i życzliwie dla niej jest usposobiony, sądzi, że to i owo wypowiedziano słabiej, niżby sobie życzył i niż mu się to według własnego mniemania przedstawia, nieznającemu znowu sprawy, wszystko z powodu zawiści widzi się przesadzonym i powiększonym, jeżeli, opowie-dziane, przechodzi jego siły. Słuchamy bowiem pochwał innych ze spo-kojnym umysłem, dopóki sądzimy, żeśmy zdolni do wykonania opowia-danych czynów, kiedy jednak, słyszane przechodzi nasze siły, budzi się w nas zaraz zazdrość, a za nią podejrzliwość. Ponieważ jednak przod-kowie nasi uznali mowy pogrzebowe za słuszne i dobre, należy i mnie być posłusznym uchwalonemu prawu i starać się odpowiedzieć, o ile można najgodniej, oczekiwaniu i przeświadczeniu każdego z was.

36). Zacznę od naszych przodków; przy tej sposobności słuszna i należąca wspomnieć o nich zaszczytnie i z wdzięcznością. Oni to są, którzy, zamieszkując ustawicznie ten sam kraj w nieprzerwanem dotychczas następcie generacyi, męstwem swem sprawili, żeśmy go wolnym otrzy-mali, godni są więc pochwały; godniejsi jej jeszcze bardziej nasi ojcowie, którzy, do tego, co po tamtych odziedziczyli, dodali nie bez trudu i nie-bezpieczeństwa nowe nabytki i państwo, jakie teraz posiadamy, pozos-tawili. Najwięcej jednak tośmy my, mężowie w sile wieku, wzmocnili państwo i takeśmy je urządzili, że jest doskonale zaopatrzone we wszystko, czego może potrzebować w wojnie i w pokoju. Nie chcę się jednak dłużej zatrzymywać nad opowiadaniem wojennych czynów, którymi osiągnęliśmy owe korzyści, pominę również, jako wam dobrze znane, mężny odpór, dany przez nas lub ojców naszych tak dobrze barbarzyń-com, jak Hellenom. Chcę najpierw okazać, jakimi to usiłowaniami, jakimi instytucjami publicznymi i prawami, jakimi wreszcie przymiotami osobistymi doszliśmy do obecnej potęgi, potem przejdę do pochwały zmarłych; sądzę, że podobna opowieść nie będzie nieodpowiednią w te-raźniejszych okolicznościach i z korzyścią wysłuchają jej wszyscy oby-watele i cudzoziemcy.

37). Mamy więc konstytucyą, nie naśladowaną urządzeń sąsiadów; jesteśmy raczej wzorem, niżbyśmy sami od innych cokolwiek brać mieli. Konstytucya ta zowie się demokratyczną, bo opiera się na wielu, nie na kilku. Co do praw, to wszyscy w swych osobistych sprawach jednakowo są traktowani, co do zaszczytów zaś, to wynosi na nie dobra opinia, zyskana zasługami, a nie poparcie jakiegoś stronnictwa; najuboższemu obywatelowi, jeżeli tylko może być państwu pożytecznym, nizkie pocho-dzenie nie przeszkadza do osiągnięcia godności. Podobnie jak w życiu publicznem, postępujemy również swobodnie w wzajemnych osobistych

stosunkach, nie patrząc zawistnym wzrokiem na czyny innych, nie biorąc za złe sąsiadowi, jeżeli popuści sobie czasem wodze, nie przybieramy też miny oburzonych, która wprawdzie nie karze, ale samym swoim widokiem jest bardzo bolesna.

Chociaż w życiu prywatnem obywamy się bez uciążliwych więzów, to jednak w publicznem uszanowanie dla praw nie pozwala nam na przekraczanie zarządzeń państwowych, jesteśmy posłuszni każdorazowym naszym urzędnikom i prawom, szczególnie tym z nich, które wydano na korzyść krzywdzonych, i tym, które, chociaż niepisane, jednak na tych, którzy je przestępują, w opinii ogółu hańbę ściągają.

38). Nadto postaraliśmy się również o liczne rozrywki dla naszego ducha i umysłu po trudach; mamy, często powtarzające się, igrzyska i uroczystości ofiarne; domy nasze pięknie urządzone, a przyjemność codzienna stąd płynąca odpędza nudy i smutek. Wielkość naszego miasta sprowadza z całego świata najrozmaitsze dobro; stąd wynika, że dóbr innych narodów używamy, jakoby naszej własności, podobnie jak korzystamy z owoców naszej ziemi.

39). W sprawach wojennych również przewyższamy naszych nieprzyjaciół, tem mianowicie, że miasto nasze otworzyliśmy dla wszystkich i nie wypędzamy z niego cudzoziemców, aby nie mogli dowiedzieć się lub wypatrzyć pewnych rzeczy, których znajomość stałaby się pożyteczną dla naszych nieprzyjaciół; pokładamy bowiem większą ufność w naszej odwadze, niż w zarządzeniach i podstępach wojennych. Wychowując młodzież, pragną nasi nieprzyjaciele uciążliwymi ćwiczeniami przerobić niejako już dzieci w mężów, my, chociaż swobodniej i wolniej żyjemy, jednak nie z mniejszą odwagą rzucamy się do walki z wrogiem równym nam siłą. Świadectwem tego, że Lakedemończycy nie sami, lecz ze wszystkimi swymi sprzymierzeńcami w granice nasze wpadli, gdy tymczasem my, napadając sami sąsiada i walcząc na nieprzyjacielskiej ziemi, zwykle zwyciężaliśmy ludzi, broniących swych ołtarzy i ognisk. A dodać należy, że żaden nieprzyjaciel nie spotkał się nigdy z całą naszą potęgą: ponieważ równocześnie zajmujemy się i flotą i nasze siły lądowe wysyłamy w rozmaite miejsca. Stąd też nieprzyjaciele, jeżeli zetkną się z częścią naszych wojsk, a zwyciężą, chętną się, że całą naszą armią odparli, pobici zaś, powiadają, że z całą naszą potęgą mieli do czynienia. Zaiste, jeżeli wolimy oczekiwać niebezpieczeństw z swobodnym umysłem, nie ćwicząc się w znoszeniu trudów, jeżeli nasze męstwo jest nie tyle skutkiem ustanowionych przepisów, ile wypływa z naszego usposobienia, to odnosimy z tego tę korzyść, że nie odczuwamy naprzód, czekających nas trudów, a mimo tego, jeżeli zajdzie potrzeba, nie jesteśmy mniej odważni od owych, którzy się męczą ustawicznymi ćwiczeniami. Z tego, a i z innych także jeszcze powodów zasługuje miasto nasze na prawdziwy podziw.

40). Kochamy się w pięknie bez rozrzutności, oddajemy się naukom bez przesady, bogactwo nasze uważamy raczej jako środek do działalności w stosownym czasie, niż jako przedmiot chętności. Przyznanie się do ubóstwa nie przynosi nikomu hańby, ściągają ją jednak na

siebie ten, który pracą nie stara się z niego wydobyć. Otaczamy równą troską swe domowe jak i publiczne sprawy, a jeżeli nawet oddajemy się innym czynnościom, to nie brak nam jednak zainteresowania się potrzebami państwowemi. My jedni bowiem tylko uważamy obywatela, stroniącego od udziału w życiu publicznem nie za lubiącego spokój, lecz za bezużytecznego członka społeczeństwa. My sądzymy i rozważamy sprawy publiczne należycie; jesteśmy przy tem tego zdania, że omawianie sprawy wykonaniu jej nie szkodzi, że przeciwnie szkodliwym jest, jeżeli, zanim nas pouczą rozumne przedstawienia, przystąpi się do czynu. W tem także różnica między nami a innymi, że to, co raz przedsięwzięte, mężnie przeprowadzamy, a co ma być przedsiębranem, rozumnie rozważamy, gdy tymczasem u innych głupota rodzi zuchwałość, a rozwaga trwożę. Ci są słusznie uważani za najszlachetniejsze i najmężniejsze charaktery, którzy, znając doskonale przykrości zarówno jak rozkosze, nie cofają się przed niebezpieczeństwem.

Na obowiązki względem innych zapatrujemy się inaczej, niż wielu, zyskujemy bowiem przyjaciół nie przyjmowaniem, lecz oddawaniem dobrodziejstw. W korzystniejszym bowiem położeniu znajduje się ten, który wyświadczył dobrodziejstwo, ponieważ staje się ono dla tego, który je przyjął, zobowiązaniem do życzliwego odwdzięczenia się; ten zaś, który dobrodziejstwo odebrał, powolniejszy jest w odwdzięczeniu się, ponieważ wie, że jego usługi będą uważane nie za grzeczność, lecz za należną powinność. My sami tylko zwykliśmy oddawać usługi nie ze względu na własną korzyść, lecz w zaufaniu w szlachetność innych.

41). Krótko mówiąc, twierdzę, że nasze miasto jest szkołą Hellady i zdaje mi się, że każdy z nas sam przez się stara się wzmocnić swe ciało jak najbardziej, wykształcić się jak najodpowiedniej do zadań życia, stać się jak najmilszym i jak najrzęczniejszym. Że słowa me nie chełpliwym frazesem, wywołanym obecną okolicznością, lecz istotną prawdą, świadectwem potęga miasta, którą wyż wzmiankowanem postępowaniem osiągnęliśmy.

Z obecnie istniejących, nasza jedynie rzeczpospolita przechodzi teraz próbę i okazuje się w niej większą i silniejszą, niż wszystko, co o niej powiadano; ona jedyna nie wywołuje w napadającym nieprzyjacielu oburzenia, jakoby ponosił klęski od lada jakiego przeciwnika, ani jej poddani nie skarżą się, że są od niegodnych rządzeni. — Okazujemy naszą potęgę najpoważniejszymi dowodami i licznymi świadkami; wzbudzimy podziwienie i u współczesnych nam i u potomnych i nie potrzeba nam pochwał Homera, lub jakiegoś innego poety, który pieśnią swą wprowadzie na razie bawi, istota jednak czynów zadaje później kłam pierwotnemu, fałszywemu wyobrażeniu.

Zaprawdę, naszym męstwem wymusiliśmy sobie przystęp do wszystkich krajów i mórz i wszędzie wznieśliśmy wiecznotrwałe pomniki naszej działalności, która przyniosła dobre lub złe owoce.

Za takięto państwo walcząc, ci, których teraz grzebiemy, dla jego zachowania życie swoje w szlachetnej ofierze złożyli; dla takiej ojczyzny powinien każdy z nas podjąć się chętnie wszelkich trudów.

42). Pierwszym powodem nieco zaiste za obszernego przemówienia o naszym mieście była chęć okazania wam, że my nie o równe i nie o jednakowe rzeczy walczyliśmy z ludźmi, którzy ich w tak doskonałym stopniu nie posiadają; pragnąłem też tym sposobem poprzeć pochwałę poległych najoczywistszymi dowodami. I w istocie, wypowiedziałem już największą część pochwał im należnych. Sławę bowiem, którą w mojej mowie miastu przypisałem, ugruntowali zasługami swemi ci i im podobni mężowie. Nie wielu znalazłbyś Greków, których czyny równałyby się słowom, podobnie jak w tym wypadku, zdaniem mojem bowiem, śmierć na polu walki jest najlepszym świadectwem męstwa, czyto gdy je u młodych po pierwszy raz uwidocznią, czy też gdy jest świetnem zakończeniem poprzednich bohaterskich czynów. Tym nawet, którzy pod innym względem okazali się gorszymi, powinno być ich męstwo, okazane w walce za ojczyznę, wysoko policzone, uczestnictwem bowiem w boju zmazali swoje złe uczynki, przynosząc tym sposobem więcej pożytku sprawie publicznej, niż wyrządzili szkody swoim postępowaniem w życiu prywatnem. Żaden z tych poległych nie stchórzył z powodu chęci dłuższego używania bogactw, ani nie starał się uniknąć niebezpieczeństwa w nadziei, że przecież kiedyś wydobędzie się z biedy i z bogaci się. Zemsta nad nieprzyjaciółmi miała dla nich więcej uroku, niż to wszystko, a niebezpieczeństwo z nią połączone wydawało im się czemś bardzo zaszczytnem, postanowili więc, poddając się niebezpieczeństwu, pomścić się na nieprzyjaciółach i owe korzyści osiągnąć; pomyślny koniec przedsięwzięcia, ukryty w przyszłości, powierzyli nadziei, co do czynu zaś samego, ponieważ opierał się na dobru im znanem, uważali za stosowne zaufać własnym siłom. A że godniejszem im się zdawało bronić się i cierpieć, niż w cofnięciu szukać ocalenia, uniknęli hańby, sprawę poparli swem życiem i w najkrótszym czasie, w najwyższym stopniu raczej oczekiwania, niż obawy przed rozstrzygającym wyrokiem losu, z życiem się rozstali.

43). Mężowie ci swem szlachetnem postępowaniem okazali się obywatelami godnymi tego miasta; pozostałym zaś należy prosić bogów o szczęśliwy koniec, a zarazem życzyć sobie, aby wobec nieprzyjaciół niemniejszą okazali odwagę, a dobro państwa nie tylko w pięknych mowach upatrywali. Niepotrzebnie przemawiałby ten, ktoby wam chciał wykazywać, jak korzystnem jest, kiedy się nieprzyjaciela odpiera, — sami bowiem o tem dobrze wiecie, patrzycie codziennie na siłę tego państwa, jak się ona w skutkach objawia i kochacie je; rozważając więc jego potęgę, pamiętajcie, że zdobyli ją mężowie pełni odwagi, a strzegący się hańby, którzy wiedzieli, co w danej chwili należy uczynić, a jeżeli im się kiedykolwiek nie poszczęściło, to nie pozbawiali i wtedy państwa swoich usług, lecz nieśli mu w ofierze wszystko najdroższe. Oni wszyscy, oddając życie za ojczyznę, osiągnęli, każdy dla siebie, nieśmiertelną sławę i najwspanialszy grobowiec, nie ten, w którym leżą, lecz ów, którego sława utrzymuje się i wskrzesza przy każdej sposobności, czyto gdy jest mowa o męstwie, czyto gdy się widzi wielki czyn. Grobowcem sławnych mężów jest cała ziemia, a sława ich nie ogranicza

się tylko do napisów na ojczystych kolumnach, pamięć ich bowiem żyje i bez pisma poza granicami rodzinnego kraju, żyje nie w pomnikach, lecz w sercach wszystkich. Tychto mężów naśladowajcie, a uważając istotne szczęście za wolność, istotną zaś wolność za skutek nieustraszonego męstwa, nie oglądajcie się trwożliwie na niebezpieczeństwa wojny. Niech nikt nie sądzi, że ci, którzy żyją w nędzy i nie spodziewają się poprawy bytu, mogą więcej narażać swe życie, niż owi, dla których za zmianą losu w przyszłości różnica z poprzednim stanem stałaby się bardzo bolesną. Dla męża bowiem o szlachetnej dumie przykrzejszą jest hańba spowodowana tchórzostwem, niż bohaterska i szybka śmierć, osłodzona nadzieją w zwycięstwo ojczyzny.

44). Dlatego nie lituję się nad obecnymi tu rodzicami poległych, lecz będę się starał ich pocieszyć; poznali oni już w swem własnym życiu wiele nieszczęść i wiedzą, że prawdziwym szczęściem jest koniec taki, jaki w zaszczytnym udziale przypadł zmarłym, przez was opłakiwanym, którzy polegli za to, co, żyjąc, uważali za najwyższe szczęście. Wiem dobrze, że ulżyć waszej boleści nie jest łatwą rzeczą, ponieważ szczęście innych przypominać wam będzie ustawicznie czasy, kiedyście i wy byli szczęśliwi, nie żałujemy bowiem straty tego, czegośmy nie zaznali, lecz tego, do czegośmy się przyzwyczaili. Ci z rodziców, których wiek na to pozwala, powinni znaleźć pociechę w nadziei, że będą jeszcze mieli dzieci: pozwolą im one zapomnieć o tych, których stracili, a państwo odniesie stąd również korzyść, jedną, że się nie wyludni, drugą, że zyska na bezpieczeństwie. Ci bowiem tylko mogą państwu radzić z uwzględnieniem dobra ogólnego, którzy przy wykonaniu swych planów widzą dzieci swe narażone na niebezpieczeństwo. Podeszli zaś wiekiem pocieszają się tem, że większą już część życia radowali się swemi dziećmi, a nieliczne już lata życia powinno im osłodzić wspomnienie o sławie poległych. Jedna bowiem tylko sława jest nieśmiertelną, a szczęściem podeszłego wieku nie jest, jak niektórzy twierdzą, rozkosz, lecz sława.

45). Przed wami zaś, bracia i synowie poległych, próba wielka i trudna, gdyż tych, którzy zeszli z pola, każdy chwali, a wy przy największem nawet męstwie nie doprowadzicie do tego, ażeby was uważano za równych tamtym i będziecie się zawsze wydawali mniej godnymi. Zazdrość bowiem współzawodników ściga wszystkich za życia i ten dopiero cieszy się uznaniem wszystkich, który już nikomu nie jest zawadą. Gdy zaś należy mi wspomnieć o tych szlachetnych niewiastach, które zostały wdowami, to wszystko to, co mam im do powiedzenia, w krótkich zamknę słowach:

Najwyższą dla was sławą, o którą się starać powinnyście, niech będzie ta, aby nie wyjść nigdy poza granice waszej płci i aby o was wśród mężów jak najmniej, jakkolwiekbaź, dobrze, czy źle, mówiono.

46) Na tem kończę, powiedziałem bowiem wszystko, co mi według przyjętego zwyczaju powiedzieć należało — i co uważałem za godne wygłoszenia w obecnych okolicznościach; co zaś do oddania czci należnej zmarłym, to w części otrzymali ją tym pogrzebowym obchodem, resztę

splaci im państwo, wychowując ich dzieci kosztem publicznym aż do dojścia do pełnoletności i okazując tym sposobem, że przeznaczyło w nagrodę za taką walkę im i pozostałym po nich wieniec, przynoszący rzeczywistą korzyść. W państwie bowiem takim, gdzie zasługi doznają najwyższej nagrody, stają się mężowie najlepszymi obywatelami. A teraz zaprzestańcie opłakiwać swych strat i odejdźcie do domów».

47). Taki był przebieg uroczystości pogrzebowych tej zimy; z jej końcem upłynął pierwszy rok tej wojny.

Tłóm. dla tego dzieła *A. M. Kurpiel*.

## II.

# ZARAZA W ATENACH.

(Księga II. 47—54).

---

47). Zaraz w początkach lata wpadli do Attyki Peloponezyjczycy wraz ze swymi sprzymierzeńcami, podobnie jak przedtem, z wojskiem, wynoszącym dwie trzecie ich zbrojnej potęgi. Przewodził wojsku król Lakemonu, Archidamos, syn Zeuxidamosa.

Rozparłszy się w kraju, niszczyli sąsiednie okolice. Nie wiele jeszcze dni bawili Lakedemończycy na attyckiej ziemi, gdy poczęła się pojawiać naprzód u Ateńczyków choroba, o której powiadano, że już dawniej w wielu miejscach, mianowicie na Lemnos i gdzieindziej grasowała. Nie wspominają jednak, aby gdziekolwiek zaraza tak gwałtownie się szerzyła i tylu ludzi porywała, jak w Atenach.

Lekarze bowiem nie mogli przeciwdziałać chorobie, nie umiając jej początkowo leczyć, i zwykle sami padali ofiarą, najczęściej się z nią stykając; zresztą ludzka sztuka była wobec tej choroby bezsilna. Modlitwy w świątyniach, ofiary w wyroczniach i wszystkie tym podobne środki były bezskuteczne. Wkońcu poddając się nieszczęściu, zaprzestano uciekać się do pomocy bogów.

48). Zaraza ta miała wyjść najpierw z Etypii, leżącej w górnym Egipcie, a następnie rozszerzyła się po Egipcie, Libyi i po rozległych krainach władcy perskiego. W Atenach pojawiła się nagle, a poczęła naprzód porywać mieszkańców Pireusu, którzy też podejrzewali Peloponezyjczyków, że zatruli cysterny, studni bowiem z wodą źródlaną jeszcze tam wówczas nie było. A kiedy później wdarła się i do Aten, wtedy bardzo wielu ludzi padło jej ofiarą. O naturze choroby, w jaki sposób prawdopodobnie powstała i jakie mogły być przyczyny, które zdolne były wywołać tak wielkie zmiany, niech każdy, czyto lekarz, czy laik, sądzi, jak umie i może, — ja tylko opiszę przebieg choroby, którą sam przebyłem i widziałem innych na nią cierpiących, a zarazem wskażę, czego przedewszystkiem należy się wystrzegać, aby, jeżeli kiedyś znowu wybuchnie, przez jej nieznaną nie popaść w nieszczęście.

49). Rok ów, w którym zaraza się pojawiła, był właśnie, jak wszyscy przyznają, jednym z najpomyślniejszych co do stanu zdrowotnego; chorób innych prawie w nim nie było; jeżeli ktoś nawet przedtem na jakąś chorobę cierpiał, to zmieniała się ona w obecnie opisywaną. Inni ulegali chorobie bez żadnej widocznej przyczyny, nagle, w pełni zdrowia i tak: naprzód uczuwali gwałtowny żar w głowie i w oczach, silnie zaczerwienionych, wewnętrzne zaś części, gardziel i język szybko krwią nabiegały i wydawały ze siebie odór wstrętny i cuchnący. Z tego wywiązywało się następnie kichanie i chryпка, a w krótkim czasie uczuвано w piersiach wielki ucisk, połączony z silnym kaszlem. Kiedy zaś choroba zagnieżdżyła się w żołądku, ścisnęła go, a wówczas następowały wśród silnych boleści żółciowe wymioty wszelkiego rodzaju, jakie tylko lekarze kiedykolwiek jakimkolwiek mianem przewali. Wielu doznawało duszenia się, napróżno starając się o wywołanie wymiotów, opadały ich wtedy kurcze, które u jednych ustępowały zaraz po wymiotach, u innych trwały dłużej. Zarażeni, zewnątrz, na powierzchni swego ciała, nie czuli zbyt silnego gorąca; ciało nie było blade, lecz nieco zaczerwienione, sine i pokryte drobnymi pęcherzykami i rankami. Wewnątrz za to paliła ich tak wielka gorączka, że nie mogli znieść na sobie żadnego okrycia, choćby się składało z najcieńszej sukni lub z najdelikatniejszego płótna; — ciało musiało być obnażone, najchętniej się też nurzali w zimnej wodzie. Wielu z tych ludzi przez nikogo niepielegnowanych, biegło, pędzeni nieugaszonem pragnieniem do cystern, a czy kto za wiele, czy za mało wypił, równą szkodę ponosił. Niepokój i bezsenność trapiły ich ustawicznie. Ciało, dopóki wznagała się choroba, nie wędniało, lecz opierało się bólowi nad podziw, tak że wielu ulegało wewnętrznej gorączce, będąc zresztą przy siłach. Dopiero w 7. lub 9. dniu choroby, jeżeli dotąd wymknęli się śmierci, choroba rzucała się na niższe części ciała, wyrządzała tam wielkie szkody, wywoływała silną biegunkę, a wtedy wielu, skutkiem osłabienia, nią spowodowanego, umierało. Tak więc choroba, osiedliwszy się początkowo w głowie, opanowywała po kolei wszystkie części ciała, posuwając się od góry ku dołowi. Jeżeli kto i te najgorsze objawy przetrwał, pokazywała się zaraza na kończynach ciała, rzucała się na ręce i nogi, tak że wielu ocalało wprawdzie, ale potracili ręce i nogi. Byli i tacy, których choroba pozbawiła także oczu. Inni jeszcze, wracając do zdrowia, tracili pamięć zupełnie, tak że ani siebie, ani swych krewnych nie poznawali.

50). Trudno jest w ogólności dać obraz tej choroby i rozstrzygnąć, do jakiego rodzaju chorób należy, bo pomijając już nadludzką jej gwałtowność, z jaką każdego opadała, objawił się jej odmienny od zwykłych chorób charakter w tem, że te ptaki i zwierzęta, które się na trupy ludzkie rzucają, pomimo, że niepogrzebanych ciał leżało wiele, albo ich wcale nie dotykały, albo napocząwszy — ginęły. Dowodem tego widoczny brak tych ptaków, nie widziano żadnego ani przy trupach, ani nigdzie indziej. — Szczególnie nie wiadomo, z powodu tego, że żyją wśród ludzi, można było sprawdzić wyżej wzmiankowane spostrzeżenie.



51). Takie to były w ogólności istotne cechy tej choroby, pominąwszy wiele innych, dziwnych zjawisk, które można było spostrzedz na niektórych, z pewnemi różnicami na jednym lub drugim.

Ze zwykłych chorób żadna w tym czasie ludzi nie trapiła, a jeżeli się jakaś wydarzyła, zmieniała się wkońcu w zarazę. Jedni umierali, bo niebyło ich komu pielęgnować, drudzy również ginęli, chociaż się nimi starannie opiekowano. Nie było w ogólności ani jednego lekarstwa, o którymby można było powiedzieć, że zażyte pomoże. To bowiem, co jednemu pomagało, drugiemu szkodziło.

Żaden człowiek, czy to silnej czy słabej konstytucyi, nie był zabezpieczony wobec tej choroby, wszystkich porywała, nawet tych, których z największą troskliwością leczono.

Najgorszem w tem nieszczęściu był stan apatyi, w którą popadali ludzie, kiedy uczuli się chorymi; zaraz bowiem tracili wszelką nadzieję, narażali się z braku ostrożności jeszcze więcej, a chorobie nie opierali się wcale; przy pielęgnowaniu jeden zarażał się od drugiego, ginęli więc jak owce. Ta właśnie okoliczność była powodem największych strat w ludziach, jeżeli bowiem z obawy jedni drugim nie śpieszyli z pomocą, to opuszczeni marli, wiele też rodzin z braku opieki zupełnie wyginęło. Jeżeli zaś z pomocą pośpieszono, okupywano to również śmiercią, co spotykało szczególnie tych, którzy ludzkość i miłosierdzie wysoko cenili, z poczucia bowiem honoru nie dbali o swe bezpieczeństwo i odwiedzali swych przyjaciół, ponieważ i domownicy wreszcie, ulegając straszному nieszczęściu, zaprzestali ze znużenia skarg i żalów za umarłymi.

Najwięcej jeszcze litości dla umierających i chorych okazywali uzdrowieni, ponieważ chorobę z doświadczenia własnego znali i sami już się jej nie obawiali: nikt bowiem nie ulegał zarazie po drugi raz w tym stopniu, aby się mogła stać dla niego zabójczą. Tych nie tylko inni mienili szczęśliwymi, ale i oni sami, ciesząc się bardzo stanem obecnym, spodziewali się, — naturalnie napróżno, — że i w przyszłości jeszcze unikną wszelkiej, jakiegokolwiek innej choroby.

52). Wśród panującego nieszczęścia napływ ludzi z okolicznych wsi do miasta był dla jego mieszkańców wielką uciążliwością, nie mniejszą jednak i dla przybyszów. Z powodu bowiem braku mieszkań musieli się przybysze mieścić w dusznych chałupach, — a było to wśród lata, — to też zaraza porywała ich masami. Nieżywi i umierający leżeli jedni na drugich, inni wili się na pół żywi na ulicach i przy wszystkich źródłach, chcąc ugasić palące pragnienie. Nawet świątynie, w których zamieszkali, zapełnione były zwłokami ludzi, którzy w nich ducha wyzionęli.

Ludzie tem straszmem nieszczęściem przygnieceni, nie wiedząc, co ich czeka, podali w pogardę wszystko, boskie zarówno jak ludzkie.

Wszystkich świętych obrzędów, których przedtem przy grzebaniu zmarłych przestrzegano, zaniedbano zupełnie i każdy grzebał, jak mógł. Wielu, kiedy mieli kogoś pochować, uciekało się do bezwstydných sposobów, brakło im bowiem środków do pogrzebania; ponieważ już tak wielu z blizkich im umarło, kładli więc jedni swoich zmarłych na cudze

stosy i zapalali je, uprzedzając tych, którzy je ustawili, drudzy rzucali niesione zwłoki w stos, na którym się już inne paliły i odchodzili.

53). Zaraza ta dała także początek rozmaitym przestępstwom w mieście. Niejedni śmiało się teraz odważali na zadowolenie swych chuci, które przedtem taili, gdyż widzieli, jak szybkim zmianom losu ludzie ulegali, jak bogaci nagle umierali, a ci, którzy przedtem nie posiadali, dochodzili do posiadania dóbr dawniejszych właścicieli; postanowiono więc, że należy ich używać jak najprędzej i jak najprzyjemniej, ponieważ uważano zarówno życie jak majątek za zbyt niepewne i przemijające.

Nikt nie był skłonny do ponoszenia trudów dla osiągnięcia tego, co uznano wielkiem i pięknem, ponieważ nie był pewny, czy przed dopięciem celu nie umrze. To więc tylko uznano za piękne i korzystne, co było przyjemne i co w jakikolwiek sposób przyczyniało się do użycia. I nie wstrzymywała ich ani obawa przed bogami, ani przed ludzkim prawem, ponieważ, widząc jak wszyscy bez różnicy umierali, sądzili, że obojętną jest rzeczą, czy się bogów czci, czy nie; co do przestępstw zaś przeciw prawom ludzkim, nikt nie spodziewał się, ażeby dożył chwili, w której te prawa nabiorą mocy i on będzie do odpowiedzialności pociągnięty.

Wisi oto nad ich głowami daleko straszliwszy, a zapadły już wyrok, a więc, zanim będzie wykonany, słuszna, aby użyli życia.

54). W takie to opały popadli uciśnieni Ateńczycy: mieszkańców niszczyła zaraza, kraj postronny nieprzyjaciel. W tem nieszczęściu przypomnieli sobie, co łatwo pojąć, proroctwo, które, jak powiadali starzy, dawniej śpiewano:

»Wojna dorycka wybuchnie, a z nią zaraza«.

Powstał wprawdzie spór między ludźmi, czy starzy w tym wierszu mówili *loimos* (zaraza), czy *limos* (głód), naturalna jednak, że w ówczesnych okolicznościach zwyciężyło twierdzenie, że w przepowiedni była mowa o zarazie: ludzie bowiem przypomnieli sobie, jak się to zresztą zwykle dzieje, to, co z ich położeniem miało najbliższą styczność. Mniemam, że gdyby kiedyś inna, druga dorycka wojna wybuchnęła i podczas niej zjawił się głód, to najprawdopodobniej wyłómaczyliby przepowiednię drugim sposobem. Przypomnieli sobie także wyrocznję, daną Lakedemończykom, ci, którzy o niej wiedzieli. Odpowiedział Lakedemończykom bóg na ich zapytanie, czy mają prowadzić wojnę: Jeżeli będziecie walczyć usilnie i wytrwale, waszem będzie zwycięstwo, a ja sam obiecuję przyjść wam z pomocą. Uważano więc dotychczasowy przebieg sprawy za zgodny z przepowiednią, ponieważ zaraz po wtargnięciu Peloponezyjczyków do Attyki, wybuchnęła zaraza. Na Peloponezie zaś nie wystąpiła w takim stopniu, aby o niej warto wspominać, lecz grasowała przedewszystkiem w Atenach, następnie jednak wybrała z innych miejscowości najludniejszą. Takie są dzieje zarazy.

Tłómaczył dla tego dzieła A. M. Kurpiel.

### III.

## ROZMOWA ATEŃCZYKÓW Z MELIJCZYKAMI.

(Księga V. 84—114).

---

84). Następnego lata wyprawił się Alkibiades z 20 okrętami do Argos i zabrał 300 mężów z pośród Argejczyków, ponieważ dwuznaczne ich zachowanie wznieciło podejrzenie, jakoby sprzyjali Lakedemończykom; jeńców tych wysłali Ateńczycy, jako osadników, na sąsiednie wyspy, nad którymi panowali. Wyruszyli Ateńczycy również przeciw wyspie Melos, mając 30 okrętów własnych, 6 chijskich, 2 lesbijskie, tudzież własnej siły zbrojnej 1200 hoplitów, 300 łuczników i 20 strzelców konnych, nadto żołnierza posiłkowego i wyspiarzy w liczbie dochodzącej do 1500 hoplitów. Melijczycy są to osadnicy lakedemońscy; podobnie, jak inni wysp mieszkańcy, nie chcieli być zależni od Ateńczyków, lecz z początku, nie popierając niczyjej strony, zachowywali się spokojnie, później atoli, kiedy Ateńczycy spustoszyli ich zagony, zmuszeni byli do otwartej wojny wystąpić. Wodzowie jednakże, Kleomedes, syn Lykomedesa i Tizyasz, Tizymacha, którzy w czasie tych przygotowań do wojny w ich kraju rozłożyli się obozem, wyprawili do nich posłów, chcąc porozumieć się drogą układów, zanimby przyszło do zbrojnego starcia. Nie wpuszczono ich przecie na zgromadzenie ludowe, lecz rozkazano wobec przedstawicieli władz i zebrania optymatów mówić o tem, co ich przybycie spowodowało. Ateńczyków tedy posłowie przedstawili co następuje:

85). **Ateńczycy:** Ponieważ rokowania nie odbywają się wobec zgromadzenia ludowego, a to dlatego, abyśmy gładkiem, płynnem przemówieniem nie olśnili i nie omamili niedoświadczonego tłumu, który powodów, łatwo przekonujących, wysłuchuje zazwyczaj bez głębszego zastanowienia (bo że to mieliście na myśli, stawiając nas przed gronem wybranych, dostrzedz nie trudno) — wy tedy, którzy tu zasiadacie, tem pewniej i bez obaw wszelkich do dzieła przystąpcie, albowiem

i wy nie potrzebujecie wysilać się na potoczność wymowy, ale na wszystko, cokolwiek nie wypadnie po waszej myśli, odpowiecie z osobna i wasze zdanie objawicie. Nasamprzód więc powiedzcie, czy wam się podoba sposób, w jaki my tu przemawiamy. Na to odrzekli przedstawiciele Melijczyków:

86). **Melijczycy:** Godziwych sposobów wzajemnego porozumienia się na drodze pokojowej ganić nie można, ale wystąpienie zbrojne, które już przygotowaliście, a które odwlec się nie da, zdaje się temu przeczyć. Przewidujemy bowiem, że przybyliście jako sędziowie tego, co się powie, a zakończenie sprawy według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie polegało na tem, że jeżeli przy swoim prawie obstawać będziemy i nie ustąpimy, przyspieszymy wojenne zapasy, a jeżeli ustąpimy, oddamy się tem samem w niewolę.

87). **Ateńczycy:** Jeżeli na to tylko zebraliście się, aby wobec naszych zamiarów same podejrzliwości objawiać, to chyba inne ukryte cele macie na myśli, a nie ten, aby w miarę stosunków obecnych i tego, co widzicie, powziąć pewne postanowienie, któreby dla uratowania naszego miasta zbawiennem się okazało; w takim razie lepiej zaniechać dalszych rokowań; jeżeli jednakże macie szczerą chęć porozumienia się, to mówmy dalej\*).

88). **Melijczycy:** Słuszną byłaby pewna wyrozumiałość dla nas ze względu na trudne bardzo położenie, w jakim się znajdujemy, jeżeli tak w mowie jak sądach naszych różnych rzeczy się czepiamy. Obecne zgromadzenie zwołano co prawda i w tym celu, aby ratować miasto, i dlatego, jeżeli wam się podoba, niechaj rozmowa nasza ciągnie się dalej w ten sam sposób, w jaki nas wyzwaliście.

89). **Ateńczycy:** My tedy ładnie brzmiącemi słowy, jako, że poskromiwszy Medów słuszne rościmy sobie prawa do panowania, lub, że pomścić przychodzimy wyrządzoną nam krzywdę, nie będziemy zbyt przedłużali naszej rozmowy i tem samem wzbudzali waszej podejrzliwości; również nie przypuszczamy, iżbyście kusili się nas przekonać błahostką, zastawiając się, że, jako osadnicy lakedemońscy nie mogliście walczyć razem z nami, lub, że wobec nas nie poczuwacie się do żadnej winy: — owszem sądzimy, że zgodzicie się na to, cokolwiek obustronnie uznamy za rzeczywiście możliwe, występując jako świadomi swych interesów przeciw wiedzącym dobrze, że według sprawiedliwości w rokowaniach ludzkich rozstrzyga się sprawy tylko wtenczas, jeżeli obie strony równą potęgą do tego wzajemnie zmusić się zdołają, i odwrotnie, że mocniejsi według możliwości zawsze postępują naprzód, w miarę, jak słabsi ustępują.

90). **Melijczycy:** My zaś przeciwnie sądzimy, że korzyść (tego wyrazu użyć wypada, ponieważ wbrew wszelkiej sprawiedliwości tylko o tem, co pożyteczne, mówić radzicie) polega właśnie na tem, abyście

---

\*) Porównaj: »The history of the Peloponnesian War by Thucydides« wyd. Tomasza Arnolda, Oxford 1857, tom II str. 287, grecki tekst scholiasty pod liczbą 7.

wspólnego dobra nie naruszali, lecz aby temu, kto w niebezpieczeństwie pogrążon, chociażby i wymogom sprawiedliwości nie ze wszystkim zadosyć uczyniono, przynajmniej w jego własnem przekonaniu przysługiwało ogólne prawo godziwości i słuszności. To i was nie mniej dotyczy, o ile że, gdyby i wam noga się pośliznęła, najkrawszej pomsty mogłybyście stać się ofiarą i za przykład odstraszący dla innych posłużyć.

91). **Ateńczycy**: Co do nas, nie obawiamy się końca naszej władzy, chociażby i całkiem upaść miała. Ktokolwiek nad innymi panuje, podobnie jak i Lakedemończycy, nie jest w tej samej mierze dla zwyciężonych straszny. Nie o walkę z Lakedemończykami zresztą tu sprawa, lecz o to, czy lud podległy, powstając przeciw panującemu, utrzyma się przy władzy. A co do tej możliwości, to już nasza własna troska; natomiast, że stanęliśmy tu przed wami dla zawarowania korzyści dotyczących naszego zwierzchnictwa, dalej, że także w myśli uchronienia miasta waszego od zagłady rozwiedzimy się tu długo i szeroko, to przede wszystkim miejcie na uwadze; chcemy bowiem bez trudów i wysiłen wam przewodzić, i życzymy sobie, abyście ku pożytkowi waszemu i naszemu uniknęli nieszczęścia.

92). **Melijczycy**: Jakżeby to miało być taką samą korzyścią dla nas, służyć, jak dla was panować?

93). **Ateńczycy**: Tak oto, że lepiejby wam było poddać się, niż uleść srogiemu losowi, my zaś zyskalibyśmy, nie niszcząc was.

94). **Melijczycy**: Więć nie zadowoliliby was, jeżelibyśmy spokojnie się zachowując, z nieprzyjaciół stali się waszymi przyjaciółmi i wyrzekli się wszelkiego współnictwa w wojennych zapasach?

95). **Ateńczycy**: Ponieważ nie w takiej mierze szkodzi nam wasza nieprzyjaźń, w jakiej przyjaźń wasza byłaby oczywistym niemocy, a nienawiść naszej siły dowodem dla innych ludów od nas zależnych.

96). **Melijczycy**: Czy doprawdy tak rozsądnie zapatrują się wasi poddani, że ludzi w żadnej z wami nie pozostających styczności stawiają na równi z takimi, którzy w znacznej części są waszymi osadnikami i takimi kilku, co, odpadłszy od was, znów zostali ujarzmieni.

97). **Ateńczycy**: To wiedzą z pewnością, że żadnej stronie nie zabraknie argumentów usprawiedliwiających, a jeżeli utrzymacie się w niezależności, będzie to w ich oczach zasługą waszej siły, nas tymczasem o trwożliwość posądzą, że nie natarliśmy na was. Dlatego nie mówiąc już o naszej władzy — do ustalenia jej przyczynilibyście się, przechodząc pod nasze panowanie, zważywszy zwłaszcza, jeżeli nie zwyciężycie, stosunek wasz do nas jako wyspiarzy do potęgi morskiej i tę okoliczność, że słabsi od innych jesteście.

98). **Melijczycy**: Nasze tedy dotychczasowe zachowanie nie jestże wam rękomią dostateczną? (musimy bowiem i w tej sprawie, kiedy już, wszelkie rozumowania o sprawiedliwości usuwając, zniewalacie nas przychylić się do waszych widoków, za waszym przykładem również doświadczyć, żali nam po zbadaniu, co właściwie jest naszą korzyścią, poszczęści się przekonać was, że też korzyść z waszą idzie ręka w rękę). — Trzymając się takich zasad, czyż oręzą tych wszystkich

nie zwrócić przeciw sobie, którzy obecnie z żadną ze stron walczących nie zawarli przymierza, czyż patrząc na to, co się z nami stanie, nie pomyślą, że podobny z kolei los ich spotka? Cóż innego osiągnąć możecie nad to, jak tylko, że liczba waszych nieprzyjaciół obecnych się powiększy, że i tych, co o tem dotąd nie pomyśleli wcale, wbrew ich woli zapędzicie do nieprzyjaciół obozu?

99). **Ateńczycy:** Nie uważamy za tak groźnych nieprzyjaciół ludy, stały ląd zamieszkujące, ogłędne bardzo wobec nas w wybieraniu środków, któreby im niezależność zapewnić mogły: gorsza daleko sprawa z mieszkańcami wysp, którzy albo żadnego, jak i wy, nie uznają zwierzchnictwa, albo też z przymusu tylko i z jawną niechęcią znoszą obce panowanie. Ci bowiem po większej części rzucając się na ślepo, i siebie samych i nas łatwo narazić mogą na oczywiste niebezpieczeństwo \*).

100). **Melijczycy:** Zaprawdę, jeżeli tyle trudów zadajecie sobie, aby panowanie wasze nie runęło, a ujarzmeni przez was odważają się już to jarzmo swoje zrzucić, musiałyby w nas wolnych jeszcze wiele być podłości i tchórzostwa, gdybyśmy nie mieli odważyć się na wszelką ostateczność, zanimbyśmy w jarzmo weszli \*\*).

101). **Ateńczycy:** Wcale nie, jeżeli rozsądnie rzecz rozważycie; nie chodzi tu bowiem o bohaterskie czyny; siły walczących zbyt nierówne, iżbyście niesławę na siebie ściągnąć mieli; nad ratowaniem mienia swego zastanawiacie się raczej i jakbyście uniknąć mogli starcia z silniejszym daleko od was przeciwnikiem.

102). **Melijczycy:** Wiemy wszelako, że wynik starć wojennych więcej nieraz zależy od szczęścia, równiej obu stronom sprzyjającego, aniżeli od różniącej się na obu stronach siły zbrojnej. Gdy ulegniemy, od razu wyrzekniemy się wszelkiej nadziei, zdobywając się na opór, zawsze jeszcze będziemy mieli pewne widoki utrzymania się.

103). **Ateńczycy:** Nadzieja wprowadzie w niebezpieczeństwie jest pocieszeniem dla tych, którym na środkach obronnych nie zbywa, a jeżeli zawiedzie, to chyba nie przyczyni się do zupełnego upadku; ktokolwiek wszakże całe swe mienie jej powierzył (bo z natury wymaga ona wielkich ofiar), poznaje ją dopiero w upadku swym z jej właściwej strony, i niema już dlań miejsca, gdzieby, doświadczywszy jej zdradliwości, mógł się przed nią schronić. Wy, słabi, co wszystko na jedną stawiliście kartę, nie dopuście do tego i nie chcecie podobnymi być do onych wielu, którzy, po ludzku rzecz biorąc, byliby mogli się ratować, lecz w ucisku, kiedy opuściły ich wszelkie rzeczywiste nadzieje, oparli się na zwodniczych wierzeniach, na prorocत्वach, wyroczeniach i podobnych rzeczach, które wespół ze zwodniczymi nadziejami ich zgubiły \*\*\*).

---

\*) Porówn. wyd. i tłum. łacińskie Henr. Stephanusa.

\*\*) Porówn. oxfordzkie wydanie Tukididesa Tomasza Arnolda, tom II, str. 293 i interpretację grecką scholiasty.

\*\*\*) Porówn. j. w. tom II, str. 295, przypisek p. 1. 1.

104). **Melijczycy**: I my wiemy o tem, jak niebezpiecznie walczyć przeciw takiej potędze jak wasza i przeciw szczęściu, jeżeli dla obu stron nie będzie równem; mimo to ufamy, że z woli bożej co do szczęścia nie będziemy pokrzywdzeni, ponieważ według prawa natury słusznie występujemy przeciw niesprawiedliwości najeźdźców, a cokolwiek zbywa nam na sile zbrojnej, wyrówna przymierze z Lakedemończykami, którzy jeżeli już niezem innym, to pokrewieństwem i poczuciem honoru są zobowiązani nam dopomóc. Uporeczywość nasza nie jest zatem tak zupełnie bezpodstawna.

105). **Ateńczycy**: Co się tyczy bóstwa, to i my nie sądzimy, by przychylność jego miała się od nas odwrócić; ponieważ ani zasadami naszymi ani czynnościami przeciw wyobrażeniom ludzkim o bóstwie lub przeciw jego własnej woli nie wykraczamy. Obstawiamy bowiem przy tem mniemaniu, że bogowie według utartych wyobrażeń, i ludzie z prawa natury i konieczności, to rzecz jasna, panują, gdziekolwiek pozyskali przewagę. A my aniśmy tego prawa nie wymyślili pierwsi, ani pierwsi od czasu jego istnienia z niego korzystali, — owszem, istniejące już otrzymaliśmy w spadku, i z zamiarem oddania tegoż prawa, które wiecznie istnieć będzie, w dalszą spuściznę, opieramy się na niem, przekonani, że i wy i wszyscy inni, znalazłszy się w posiadaniu tejże samej potęgi, uczynilibyście to samo. Tak tedy ze strony bóstwa ze słusznych powodów nie obawiamy się upośledzenia; co do pomocy, jaką dlatego tylko, aby nie ściagnąć na siebie hańby, Lakedemończycy mają wam nadesłać, to chyba za wielce szczęśliwych musimy was ogłosić, że z taką poczciwością i nabożeństwem im ufacie — ale nierozsądku waszego, to już trudno wam pozazdrościć. Dla siebie samych i gdzie chodzi o zwyczaj i prawa ich własnego kraju, tam zwykle kierują się Lakedemończycy zasadami cnoty, o stosunku ich wszakże do obcych dużo możnaby powiedzieć, a chcąc mówić krótko, najlepiej się ich określi, że najjawniej z wszystkich ludów, nam znanych, uznają za piękne i cnotliwe to, co im przyjemne, a to, co dla nich korzystne, za sprawiedliwe i godziwe. A taki sposób myślenia doprawdy nie zapewnia wam owej nadzwyczajnej pomocy, o której marzycie.

106). **Melijczycy**: Właśnie też z tego powodu najwięcej na ich gonieniu za korzyścią i zyskiem pokładamy nadziei, gdyż Melijczycy są ich osadnikami, a oni, opuszczając ich, nie zechcą wobec ludów, Hellenom przyjaźnie usposobionych, uchodzić za zdrajców i działać na korzyść swoich nieprzyjaciół.

107). **Ateńczycy**: Przynajęcie więc, że bezpieczeństwo idzie ręką w rękę z korzyścią, gdy tymczasem dla prawych i chwalebnych czynów na niepewne losy narażać się trzeba; Lakedemończycy zaś w takich rzeczach nie lubią w ogólności zdobywać się na odwagę.

108). **Melijczycy**: Sądzimy jednakże, że niebezpiecznej sprawy chętniej, bo z daleko pewniejszymi widokami korzyści, podejmą się dla nas, niż dla innych, ponieważ niewielka odległość, jaka nas dzieli od Peloponezu, ułatwia nam wspomaganie ich, a z powodu pokrewieństwa więcej liczyć mogą na naszą, niż na innych wierność.

109). **Ateńczycy**: Rękojmia korzyści wszelako nie zdaje się dla wspomagającego polegać wyłącznie na rzetelnej przychylności proszących o pomoc, ale na tem, jeżeli w swej działalności mogą się wykazać własną przewagą siły; a na to oglądają się Lakedemończycy więcej, niż kto inny. Toteż z braku zaufania do własnej siły zbrojnej, zwykłe w otoczeniu licznych sprzymierzeńców najeżdżają swoich sąsiadów; zachodzi tedy wątpliwość, czy zechcą przepawić się na wyspę w obec tej okoliczności, że my jesteśmy panami morza.

110). **Melijczycy**: Znajdzie się ktoś, kogo będą mogli wysłać; nadto tak jest obszerne morze Kreteńskie, że trudniej jego władcom ściagać, niż omijającemu ich pogoń uciec w bezpieczne schronisko. A gdyby i to im się nie udało, zwrócą się do waszego własnego kraju i przeciw tym sprzymierzeńcom waszym, których Brazidas dotąd jeszcze nie najechał; ztąd tyle będziecie mieli zabiegów i kłopotów na waszych własnych i sprzymierzeńców waszych kresach, że trudno wam będzie zwracać uwagę na ziemię, wcale was nie obchodzącą.

111). **Ateńczycy**: Jakiby obrot ta sprawa wzięła, to już pouczy was własne doświadczenie wasze, bo chyba wiecie o tem dobrze, że nie było dotąd oblężenia, od któregoby Ateńczycy, obawiając się przeciwnika, odstąpili. Rzecz godna zastanowienia, że wyrażając gotowość omawiania sposobów, któreby mogły was ocalić, w tej rozmowie nie wypowiedzieliście dotąd ani jednego słowa, na któremby człowiek, wierzący w swoje ocalenie, mógł polegać; wszelką waszą rękojmią są jakies nadzieje, które się dopiero mają spełnić, gdy tymczasem środki, którymi rozporządzacie obecnie, okazują się za słabe, abyście przeciwnościom mogli sprostać. Uchybicie przeciw wszelkiej roztropności, jeżeli zachowania swego wobec nas nie zmienicie i nie zdobędziecie się na inne rozumniejsze postanowienie. Bo zapewne nie będziecie się powodowali uczuciem fałszywego wstydu, które szkodziło tylu już ludziom w sromotnych a nagłych niebezpieczeństwach. Wielu bowiem, mimo zupełnej świadomości zbliżającego się niebezpieczeństwa, pod naciskiem jakiegoś zwodniczego słowa porwać się daje pojęciu tak zwanej hańby — i tak ulegając czczemu frazesowi, dobrowolnie rzuca się w strasliwą otchłań zatraty; nieroztropność tedy większą im hańbę przynosi, aniżeli nieszczęście. Tego wszystkiego, zastanowiwszy się dobrze, unikniecie łatwo, nie sądzcie bowiem, że to niesława ustąpić państwu potężnemu, jeżeli zwłaszcza poprzestaje ono na warunkach skromnych i nie pragnie od was nic więcej jak tylko, abyście zawarli z niem przymierze i pozostając w posiadaniu tego, co macie, zobowiązali się do pewnej daniny; a ponieważ dano wam do wyboru wojnę albo pokój, nie obstawajcie uparcie przy tem, co gorsze. Zawsze ten dobrze wychodzi, kto nie ustępuje równym, wobec silniejszych zachowuje się roztropnie, a pobłaża słabszym. Rozważcie po naszym odejściu jeszcze ściśle, co czynić, i pamiętajcie o tem, że o losach waszej ojczyzny radzicie, że jedną tylko macie, że od jednego postanowienia, odpowiedniego lub niewczesnego, byt albo zguba jej zależy.



112). Tu opuścili Ateńczycy miejsce obrad. Melijczycy zaś dalej radzili sami; nie odstępując od swego pierwotnego postanowienia i odrzucając podane warunki, taką dali odpowiedź: »Jakie było poprzednio, takie też i obecnie jest mniemanie nasze: w krótkim zbyt czasie nie chcemy wolności pozbawić miasta, istniejącego już lat siedmiuset; owszem wierząc silnie w bożą opatrność, mającą je dotąd w swej pieczy, i w pomoc sąsiadów, zwłaszcza Lakedemończyków, starać się będziemy o wszelkie możliwe środki ocalenia. Raz jeszcze jednakże ofiarujemy wam przyjaźń naszą, domagając się, abyście pozostawili nam swobodę, któraby pomogła nam unikać nieprzyjaznych starć z którąkolwiek walczącą stroną, jak również, abyście po przyjęciu układów, jakie obustronnie uznamy za najkorzystniejsze, kraj nasz opuścili«.

113). Tak oświadczyli się Melijczycy. Ateńczycy, odstępując już od dalszych rokowań, odrzekli: »Jesteście zaprawdę, jak o tem przekonywają nas postanowienia wasze, jedynymi na świecie ludźmi, którzy z większą pewnością liczą na rzeczy, dopiero urzeczywistnić się mające, aniżeli na to, co mają przed oczyma, — którzy najnieprawdopodobniejsze przypuszczenia li tylko dlatego, że pragną spełnienia tychże, biorą za fakta dokonane. Ufacie Lakedemończykom i nieroztropnie wierzyć zwodniczemu szczęściu i płonym nadziejom: tem boleśniejście będzie rozczarowanie wasze«.

114). Tu udali się pełnomocnicy ateńscy napowrót do obozu swego, a wodzowie ich, ponieważ Melijczycy do żadnych ustępstw nie okazali się skłonni, zarządzili bezwzględnie przygotowania do wojennych zapasów, okolili miasto murem, rozdzielając ciężar pracy w równej mierze pomiędzy ludy swoje według miast, z jakich pochodziły. Poczem, zostawiwszy i na lądzie i na okrętach załogi, składające się z żołnierza własnego i sprzymierzeńców, powrócili Ateńczycy z większą częścią wojska swego do domów swoich, a pozostała siła zbrojna przystąpiła do dalszego oblężenia.

Tłóm. dla tego dzieła *Bronisław Kąsinowski*.

## IV.

### LIST NIKIASA DO ATEŃCZYKÓW.

(Księga VII. 8—16).

---

8). Syrakuzanie uzbroili flotę, chcąc doświadczyć, coby tą drogą wskórać można, w ogóle wielką w tym czasie rozwinęli czynność. Nikias, który to spostrzegł i zauważył, że potęga nieprzyjaciół z dnia na dzień wzrasta w miarę szerzącej się nieporadności w jego własnym wojsku, wyprawił również \*) wysłańców do Aten, co zresztą czynił już kilkakrotnie, aby o wszystkim, co zaszło, zdać sprawę, obecnie jednakże tem pochopniej, ponieważ znajdował się rzeczywiście w położeniu nader przykrem i widział jasno, jaki los go czeka, jeżeliby go w jak najrychlejszym czasie Ateńczycy wraz z wojskiem do ojczyzny nie odwołali, lub też nie wysłali znaczniejszej pomocy. A ponieważ obawiał się, by ludzie, których w tym celu właśnie wysyłał, bądź to z braku odpowiedniej roztropności, bądź też wreszcie z usłużności dla ludu nie przedstawili rzeczy w niewłaściwym świetle, napisał sam list w przekonaniu, że Ateńczycy tym sposobem myśl jego, nie skrzywioną już ustną relacją posłów, najdokładniej poznają i w naradach swych rzeczywisty stan rzeczy uwzględnią. Ci tedy posłowie udali się w drogę wraz z listem i innemi zleceniami, które im nakazał załatwić ustnie. Sam obecnie starał się raczej szanse obozu wzmocnić i przygotować do obrony, aniżeli wyprawę jakiegokolwiek podejmować.

10). Następnej zimy przybyli wysłańcy Nikiasa do Aten, gdzie załatwili zlecenia, dane im ustnie, odpowiedzieli na pytania, jakie im zadano, i doręczyli pismo. Kiedy nadszedł pisarz miejski, odczytał je Ateńczykom publicznie; zawierało, co następuje:

---

\*) Syrakuzanie, przeciwnicy jego, udali się bowiem już przedtem o pomoc do Lakedemończyków; posiłki lakedemońskie pod wodzą Gylippa właśnie co tylko nadeszły.

11). >O tem, co zdziałaliśmy poprzednio, wiecie, Ateńczycy, z wielu innych listów; a teraz czas już, byście równie dokładnych szczegółów dowiedzieli się o naszym położeniu obecnem, i rozważyli, co czynić wypada. Zwyciężyliśmy Syrakuzan, przeciw którym nas wysłaliście, prawie we wszystkich bitwach, postawiliśmy także mury, wśród których obecnie się znajdujemy, kiedy oto zjawił się Gylippos, Lakedemończyk, z wojskiem ściągniętem z Peloponezu i niektórych miast sycylijskich. W pierwszej bitwie uległ nam wprawdzie, lecz za to w następującej liczna jego jazda i lekkie oddziały piesze zniewoliły nas do schronienia się poza murami. Obecnie, zaprzestawszy robót około oblężenia, z powodu przewagi nieprzyjaciela zachowujemy się spokojnie (nie mogliśmy i tak zresztą zużyć wszystkich sił naszych, ponieważ część pewna hoplitów strzedz musi murów), oni zaś naprzeciw nas wznieśli mur pojedynczy, i wskutek tego nie prędzej będzie można miasto zupełnie murami okolic, dopóki ktoś z liczniejszym wojskiem nam na odsiecz nie nadejdzie i muru przeciwległego nie opanuje. Tak tedy stała się rzecz na tem, że my, pozornie innych oblegając, raczej sami, przynajmniej od strony lądowej, jesteśmy w oblężeniu, niepokojeni bowiem wciąż jazdą nieprzyjacielską, zbyt dalekich wycieczek poza mury podejmować nie możemy.

12). Nadto właśnie oto po nowe posiłki wyprawili wysłańców swych do Peloponezu, a po miastach sycylijskich jeździ Gylippos, jużto, aby namawiać do współdziałania w wojnie tej, które jeszcze zachowują się spokojnie, jużto aby u innych, jeźliby się to dało, więcej jeszcze pozyskać posiłków lądowych i morskich. Zamierzają bowiem, jak się dowiaduję, równocześnie i siłą lądową i od morza z okrętów na nasze okopy szturm przypuścić. Nie powinno to zresztą nikogo z was zadziwiać, że także i od strony morza. Flota bowiem nasza, o czem i oni wiedzą dobrze, z początku wprawdzie w dobrym była stanie, tak ze względu na suchość i wytrzymałość statków, jako i rzeźwość załogi okrętowej; obecnie jednakże okręty, które przez tak długi czas znajdowały się na wodzie, psują się od wilgoci, a załogi ich znacznie przeredzone. Do przystani, aby się osuszyły, nie mogliśmy ich zaciągnąć, ponieważ flota nieprzyjacielska siłą załogi wyrównuje zupełnie naszej, a ilością statków nawet ją przewyższa, i dlatego w ciągłej jesteśmy obawie, aby zniemacka nas nie zaczepiono. Jakoż widocznie jest to ich zamiarem, bo zaczepiać mogą, kiedy chcą, a i więcej sposobności mają do osuszenia okrętów swoich, nie potrzebując śledzić ruchów przeciwnika.

13). Nam zaś tego uczynić nie wolno, chociażbyśmy nawet mieli znacznie większą ilość okrętów i nie byli zmuszeni, jak oto teraz, wszystkich wysłać na zwiady. Bo skoro tylko cokolwiek czujność naszą zmniejszemy, nie będziemy mieli żywności, której dowóz tuż pod ich miastem i tak już dla nas bardzo jest utrudniony. Przyczyną, że załogi okrętów naszych zeszczuplały i dalej wciąż szczupleją, są następujące okoliczności: właściwi żeglarze, zmuszeni daleko chodzić za drzewem, łupem i wodą, wyginęli w potyczkach z nieprzyjacielskimi jeźdźcami, a posługacze okrętowi uciekają od nas od czasu, kiedy utraciliśmy

przewagę nad nieprzyjacielem, — obcy zaś przybysze, którzy z przymusu poszli z nami, uchodzą jeden za drugim, każdy do swego rodzinnego kraju; ci wreszcie, których z początku nęcił żołąd wysoki, i którzy więcej o wzbogaceniu się, niż o trudach wojennych myśleli, wbrew oczekiwaniu swemu i na morzu i wszędzie doznając ze strony nieprzyjaciela zaciętego oporu, oddalają się, bądź to, aby przejść do przeciwnego obozu, bądź też, aby zemknąć gdzie im się uda, bo Sycylia, to kraina rozległa; niektórzy nawet powykupywali jeńców z Hikary, namówili tryerarchów, aby tychże w ich miejsce przyjęli do służby, i popsuli tem samem szyk i porządek na statkach.

14). Piszę zapewne o rzeczy, zkądną znanej wam dobrze, donosząc, że rdzeń naszej załogi okrętowej jest nader słaby i nieliczny, że pomiędzy żeglarzami mało jest takich, którzyby na statku ster prowadzić i porządek utrzymać umieli. Co mię wśród tego wszystkiego największego nabawia kłopotu, to świadomość, że ja jako naczelny wódz nie mogę temu zaradzić (trudno bowiem natury wasze utrzymać na wodzy); dalej że nie mamy zkad wziąć ludzi, aby załogi okrętowe uzupełnić, w czem właśnie nieprzyjaciele mają z wielu stron znaczne ułatwienia; owszem stało się dla nas przykrą koniecznością jedynie to tylko, co mieliśmy, przychodząc tutaj, uważać jako źródło naszego dobytku i strat naszych: miasta bowiem, które dotąd w przymierzu z nami wytrwały, Naxos i Katana, same potrzebują pomocy. A jeżeli chociaż jedno z nich bramy swe otworzy nieprzyjacielowi, a tem samem te krainy Italii, które nas w żywność zaopatrują, spostrzegłszy, że położenie nasze staje się wątpliwe i że daremnie waszej wyczekujemy pomocy, poddadzą się przeciwnikom naszym, to niewątpliwie zakończy się ta wojna szybko i bez krwi rozlewu — wygłodzeniem załogi naszej. — Inna wiadomość zapewne byłaby wam miłszą od tej, którą wam przesyłam, lecz za to tem cenniejszą powinna ona być dla was, im więcej zależeć wam będzie na jak najdokładniejszym poznaniu tutejszych stosunków, w celu powzięcia stosownych i skutecznych postanowień. Znając natury wasze, żadne przyjemnych nowin, lecz skłonne także do oskarżeń i utyskiwań, gdy późniejszy wynik jakiegoś przedsięwzięcia nie odpowie oczekiwaniom waszym, uznałem za najlepsze przedstawić wam naga prawdę.

15). Mieście zresztą to przekonanie, że chociaż nie osiągnęliśmy tego, o co nam chodziło na samym początku, kiedyśmy tu wylądowali, to za to ani żołnierzy ani wodzów ganić nie można. Ponieważ cała Sycylia złączyła się przeciw nam, a nawet nowych jeszcze oczekuje posiłków z Peloponezu, zechciejcie rozważyć, że wojsko, jakim tu rozporządzamy, nie może się już nawet mierzyć z obecną siłą zbrojną naszych wrogów, i dlatego albo będzie potrzeba wrócić do domu — albo też wysłanie posiłki i to liczebnie wystarczające, tak lądowe jako i morskie, a prócz tego i pieniędzy sporo; wreszcie wyznaczyć musicie mi koniecznie następcę, z powodu bowiem cierpień nerkowych stałem się niezdalny do dalszego przewodzenia wojsku. Sądzę, że to uwzględnicie, bo przecie, gdy zdrowie mi dopisywało, służyłem

wam sumiennie, dowodząc waszemi wojskami. Cokolwiek uczynić zamierzacie, czyńcie zaraz z początkiem wiosny, a nie ociągajcie się, ponieważ nieprzyjaciel nasz posiłki swoje ze Sycylii ściągnąć może z łatwością i w krótkim czasie, (z Peloponezu, co prawda, nie nadejdzie mu pomoc tak wcześnie) — w każdym razie jednakże, jeżeli sprawy nie dopilnujecie, albo niespodziewanie bez wiedzy waszej, jak to niedawno się stało, albo też dość rychło, aby was wyprzedzić.

16). Taka była treść listu Nikiasa. Po odczytaniu jego nie odebrali wprawdzie Ateńczycy Nikiasowi dowództwa zupełnie, przydzielili mu jednakże na czas, dopókiy inni, na współdowódców upatrzeni, do Sycylii nie przybyli, dwóch z nim razem tamże przebywających mężów, mianowicie Menandra i Eutydema, aby przy nadwątlonem zdrowiu nie był zbyt ciężko obciążony. Postanowili nadto nowo wysłać wojsko, tak załogę okrętową, jak i żołnierzy lądowych, jużto z poboru w Atenach, jużto z innych krajów sprzymierzonych. Jako pomocników w dowództwie tegoż wojska, wybrali Demostenesa, Alkistenesowego, i Eurymedonta, Tuklesowego syna. Eurymedontowi rozkazali natychmiast około zimowego zrównania dnia z nocą wyruszyć do Sycylii z 10 na razie okrętami i zasiłkiem pieniężnym wynoszącym 20 talentów, a zarazem ziomeków swoich tamże powiadomić, że zamysłają im nadesłać znaczniejsze posiłki i że z opieki swej ich nie wypuszczą.

Tłóm. dla tego dzieła *Bronisław Kasinowski*.

## V.

# ODWRÓT Z POD SYRAKUZ.

(Księga VII. 75—82\*).

---

75) Następnie, gdy Nikias i Demostenes sądzili, że wszystko należy przygotowane, wyruszyli i oni także z wojskiem, w trzy dni po bitwie morskiej. Położenie było zaprawdę rozpaczliwe, nie tylko ze względu na wynik całego przedsięwzięcia, cofali się bowiem, straciwszy wszystkie okręty, widząc przed sobą zamiast ziszczenia wielkich nadziei, niebezpieczeństwo, grożące im samym i ojczyźnie, — a nadto rozgrywały się przy opuszczaniu obozu przed okiem każdego sceny dla serca najboleśniejse. — Zmarłych nie pogrzebano — każdego więc, który zobaczył między nimi kogoś ze znajomych, ogarniały smutek i trwoga.

Żyjący, których z powodu ran i chorób w obozie pozostawiono, zdawali się bardziej godni litości i nieszczęśliwsi od zmarłych. — Błaganiem i skargami przyprowadzali słuchających do rozpacz, zaklinali, aby ich wzięto, a gdy spostrzegli jakiego towarzysza lub znajomego, prosili i wzywali pomocy, chwyтали się odchodzących już towarzyszków, z którymi w jednym namiocie sypiali i wlekli się za nimi, jak daleko zdołali, a gdy ich siły duszy i ciała opuściły, pozostawali wśród głośnych zaklinań i jęków.

Przejętemu więc tak wielkim smutkiem wojsku, wymarsz wśród łez był bardzo bolesny, pomimo że opuszczali kraj nieprzyjacielski, pomimo już przecierpianych nieszczęść, na które i łez nie stać, bali się bowiem, że ciemna przyszłość kryje ich jeszcze niemało przed nimi. Najwyższe zniechęcenie i oskarżanie siebie samych zapanowało wśród wojska i było ono bardzo podobne do uciekających mieszkańców zna-

---

\*) Zdarzenia, tu opowiedziane, zaszły w r. 413 przed Chrystusem.

cznego miasta, ogólna bowiem ilość cofającego się wojska dochodziła do 40.000 ludzi. Z tych nie tylko inne rodzaje wojska dźwigały wszystko, co tylko potrzebnego unieść mogły, ale i hoplici i jeźdźcy wzięli, wbrew zwyczajowi, oprócz broni, żywność na nich przypadającą, jużto z braku ciurów, jużto z powodu nieufności ku nim, część bowiem służby obozowej już wcześniej, wielu zaś teraz właśnie zbiegło do nieprzyjaciela. Chleb, który ze sobą zabrali, nie wystarczał, w obozie bowiem nie było już zboża. Ponadto wszystko, niedola i wspólne cierpienia, chociaż zwykle sprawia ulgę myśl, że się cierpi z wieloma, nie wydawały się obecnie lżejszemi, szczególnie wobec rozważania, do jakiego to upokarzającego wyniku doszło się po świetnych i dumnych nadziejach w początkach przedsięwzięcia. Była to bowiem zmiana fortuny najgwałtowniejsza, jakiej kiedykolwiek wojsko helleńskie doznało: oni, którzy wyruszyli dla podboju innych, cofają się i obawiać się jeszcze muszą, aby nie doznali tego samego losu, jaki gotowali innym; zamiast okrzyków wesołych i peanów, z którymi wypłynęli, muszą oto wracać wśród tonów i dźwięków od tamtych zupełnie odmiennych. Zmieniwszy się z marynarzy w piechurów, zasadzają całą swą ufność już nie w bitwach morskich, lecz w lądowych. A jednak znośnem wydaje im się to wszystko wobec wielkości, grożącego im jeszcze, niebezpieczeństwa.

76) Nikias, widząc wojsko zniechęcone i tak niepodobne do pierwotnego, pośpieszał wzdłuż szeregów, zachęcał i pocieszał, o ile to było możliwe wśród takich okoliczności; przemawiał goręcej i głośniejsz, niż dawniej, przed ostatnią walką morską, do tych, przy których postępował, jużto z gorliwości, jużto dlatego, aby jego mowa i dalej była słyszana i większy skutek odniosła:

77) »Nawet w obecnem położeniu powinniście Ateńczycy i wy, sprzymierzeńcy, zachować nadzieję; już niejedni z daleko większych kłopotów, niż nasze, wydobyli się cało. Nie oskarżajcie się zbyt wiele nawzajem z powodu przykrych wydarzeń i smutnego, a niezastuzonego nieszczęścia, które was teraz ściga. Oto ja, który żadnego z was siłą nie przewyższam, — sami widzicie, do jakiego stanu doszedłem przez chorobę, — ja, który sądziłem, że co do powodzenia w życiu prywatnem i w innych sprawach nikomu nie ustępuję, podlegam obecnie temu samemu niebezpieczeństwu, co najniżsi, chociaż wypełniałem wszelkie przynależne bogom powinności, chociaż z ludźmi postępowałem zawsze sprawiedliwie i nienagannie. I stąd płynie moja pewna nadzieja w szczęśliwą przyszłość, a wypadki nie straszą mnie tak, jakby może powinny. Zapewne wyczerpią się one wkrótce, gdyż dosyć się już szczęściło nieprzyjaciołom, a jeżeli wyprawa nasza obudziła zazdrość którego z bogów, tośmy dotychczas dostatecznej doznali kary. Przecież i inni nieraz napadali na obcą ziemię, a ponieważ tego rodzaju wyprawy zgodne są z naturą ludzką, pokuta i kara ich była znośna. I my więc teraz słusznie spodziewać się możemy, że bogowie będą dla nas litościwsi, zasługujemy bowiem obecnie raczej na litość ich, niż na zazdrość.

Spojrzyjcie także na siebie, jak dobrze jesteście uzbrojeni, w jakiej liczbie i szyku postępujecie: nie dajcież więc do serc waszych przystępu bojaźni i zniechęceniu; rozważcież raczej, że gdziekolwiek się usadowicie, tworzycie zaraz miasto, i że żadne z miast sycylijskich nie mogłoby tak łatwo wytrzymać waszego napadu, ani też nie zdołałoby was wyprzeć z miejsc, na którychbyście się osiedlili. Sami musicie baczyć na to, aby pochód odbywał się w porządku i bezpieczeństwie i niech każdy nie inaczej sądzi, jak tylko, że to miejsce, na którym jest zmuszony walczyć, stanie się po zwycięstwie jego ojczyzną i twierdzą. Powinniśmy zresztą iść pośpiesznym marszem zarówno dniem i nocą, ponieważ zapasy żywności są małe; gdy zaś dostaniemy się w okolice przyjaznych nam Sycylijczyków (ci bowiem z obawy przed Syrakuzanami dotrzymują nam jeszcze wierności), wtedy dopiero wierzcie, że niebezpieczeństwo minęło. Wysłało się już do nich posła z rozkazem, aby wyszli naprzeciw nas, a zarazem donieśli żywności. Zresztą wiedzcie, wojownicy, że koniecznym jest dla was okazać się teraz mężami, niema bowiem w pobliżu miejsca, na które, zachwiawszy się w odwadze, moglibyście się schronić, a przeciwnie, jeżeli się przez szyki nieprzyjacielskie przebijecie, to wy, sprzymierzeńcy, osiągniecie to, za oglądaniem czego serce wasze tęskni, wy zaś Ateńczycy podniesiecie wielką, chociaż już podupadłą potęgę swej ojczyzny: na mężach bowiem, a nie na murach i okrętach bez załogi polega potęga państwa.

78) Temi słowy przemawiając, pośpieszał Nikias wzdłuż szeregów, a gdziekolwiek widział żołnierzy, rozprószonych i nie postępujących w szyku, zwoływał ich i porządkował. To samo czynił Demostenes z oddziałami, zostającymi pod jego rozkazami i zachęcał ich podobnym sposobem. — Wojsko maszerowało, uszykowane w czworobok; w przedniej linii szły oddziały Nikiasa, w tylnej zaś żołnierze Demostenesa; zapasy i służba obozowa znajdowały się pośrodku hoplitów.

Przybywszy do brodu rzeki Anapos, spostrzegli nad nim oddział Syrakuzan i ich sprzymierzeńców, uszykowanych do walki; po ich rozpedzeniu przeszło wojsko heleńskie rzekę i posunęło się dalej. W drodze niepokoił je Syrakuzanie jazdą, która z boków na nie uderzała i lekkobrojnymi, którzy rzucali pociski. W tym dniu uszli Ateńczycy około 40 stadyów, przenocowali zaś na wzgórzu pod gołym niebem. Następnego dnia wyruszyli wczesnie, a po przejściu około 20 stadyów zeszli na równinę, na której rozłożyli się obozem, zamierzając z domów (okolica była zamieszkała) nabrać żywności, a zarazem postarać się o pewien zapas wody na dalszą drogę, gdyż w kierunku tym, w którym iść dalej mieli zamiar, mało było wody przez wiele stadyów. Tymczasem wyprzedzili ich Syrakuzanie i zabrali się do zamurowania przejścia, przez które Ateńczycy iść mieli; było to wyniosłe wzgórze, a z obu jego boków strome wąwozy: miejsce to zwało się Akrajską skałą.

W następnym dniu ruszyli Ateńczycy naprzód, a liczni jeźdźcy i łucznicy Syrakuzan i ich sprzymierzeńców starali się wstrzymać ich pochód, napierając jazdą i rzucając pociski. Długo walczyli Ateńczycy, wreszcie cofnęli się do pierwotnego obozowiska, o żywność jednak



w podobny sposób, jak poprzedniego dnia postarać się nie mogli, jazda bowiem nieprzyjacielska nie dozwalała wydalenia się z obozu.

79) Wczesnym rankiem wyruszyli znowu i starali się wszelkimi siłami opanować oszańcowane wzgórze, natrafili jednak na piechotę ustawioną powyżej muru w głębokich szeregach, przestrzeń bowiem była wązka. — Ateńczycy uderzyli i chcieli mur zdobyć, gdy jednak ze spadzistego wzgórza posypał się na nich grad pocisków, które, rzucone z góry wielu trafiały, — wówczas nie mogąc się przedrzeć, cofnęli się i wypoczywali. Równocześnie jednak uderzyło kilka piorunów i lunął deszcz, jak się to zwykle pod jesień dzieje; Ateńczycy skutkiem tego stracili jeszcze bardziej odwagę, wierząc, że zjawiska te są oznaką ich zguby i zniszczenia. Podczas ich spoczynku Gylippos i Syrakuzanie wysłali część wojska celem zamknięcia także od tyłu zapomocą wałów drogi, którą Ateńczycy przyszedli, ale i Ateńczycy posłali oddział swoich, którzy im w tem dziele przeszkodzili, następnie posunęli się bardziej ku równinie i na niej przencowali. Następnego dnia postąpili znowu naprzód, a Syrakuzanie uderzyli na nich ze wszech stron i zranili wielu. Gdy Ateńczycy napadali, cofali się Syrakuzanie, gdy zaś ustępowali, to owi znowu napierali, uderzając przedewszystkiem na tylną straż, prawdopodobnie w tym celu, aby przez rozbicie małych oddziałów rzucić popłoch na całe wojsko. W ten sposób stawili Ateńczycy długi czas opór; po przebyciu pięciu lub sześciu stadyów zatrzymali się na równinie dla odpoczynku, a wówczas i Syrakuzanie odstąpili od nich i wrócili do swego obozu.

80) W nocy następnej, Nikias i Demostenes, mając na uwadze zły stan wojska, któremu dawał się już czuć brak żywności, w którym nadto skutkiem częstych zderzeń z nieprzyjaciółmi wielu było rannych, postanowili, po rozniesieniu jak największej ilości ognisk, z wojskiem ustąpić, jednakowoż już nie tą samą drogą, którą pierwotnie iść zamierzali, lecz w kierunku przeciwnym drodze, na której na nich czatowali Syrakuzanie, — mianowicie ku morzu. Pochód więc cały był zwrócony nie ku Katanie, lecz w inną stronę Sycylii, ku Kamarina i Gela, ku helleńskim i niehelleńskim miastom owej okolicy. Zapaliwszy więc liczne ognie, wyruszyli w pochód nocą. I jak się to zwykle dzieje wśród wszelkich, a szczególnie bardzo wielkich armii, że obawa i popłoch łatwy do nich znajduje przystęp, tak i tu opadła ich trwoga, tembardziej, że w nocy i to przez kraj wrogów w pobliżu wojska nieprzyjacielskiego maszerowali. Oddział Nikiasa, postępujący przodem, utrzymał się w całości i porządku i wyprzedził znacznie żołnierzy Demostenesa, z których więcej niż połowa oddzieliła się i postępowwała w wielkim nieporządku. Pomimo tego dotarli o świcie do wybrzeża morskiego i, wybrawszy drogę zwaną elorycką, postępowali dalej, aby po dojściu do rzeki Kakyparis, ciągnąć dalej wzdłuż niej środkiem wyspy, spodziewali się bowiem, że spotkają tam Sycylijczyków, do których gońców wysłano.

Gdy jednak przyszedli nad rzekę, spostrzegli i tu także strażnicze oddziały Syrakuzan, którzy zagrozdziili drogę murem i palisadami.

Po zniesieniu tych oddziałów, przeprawili się przez rzekę i poszli dalej ku innej rzece, zwanej Erineus, tak bowiem doradzali przewodnicy.

81) Tymczasem Syrakuzanie i ich sprzymierzeńcy, spostrzegłszy za dnia, że Ateńczycy uszli, obwiniali przedewszystkiem Gylippa, że z rozmysłem zezwolił na wymknięcie się Ateńczyków, natychmiast więc puścili się w pogoń łatwą do rozpoznania drogą, którą udało się wymknąć wojsku helleńskiemu: dosięgli go w porze śniadania. Skoro się przybliżyli do oddziału Demostenesa, który prowadził straż tylną, a postępował z powodu popłochu poprzedniej nocy, powolniej i w nieporządku, uderzyli nań natychmiast i rozpoczęli walkę. Syrakuzkańska jazda otoczyła go i zbiła w jedno miejsce, co jej się tem łatwiej udało, że oddział ten oddzielił się od reszty wojska: żołnierze Nikiasa wyprzedzili go i byli już o 50 stadyów oddaleni. Nikias bowiem prowadził swych żołnierzy szybciej, mniemając, że w podobnym położeniu nie należy dobrowolnie trzymać się na jednym miejscu i staczać bitwy, tylko jak najszybciej uchodzić, walczyć zaś tylko tyle, ile się musi: na tej tylko drodze widział ocalenie. Demostenes atoli miał w ogólności do przewyciężenia daleko więcej i to nieustannych trudności, ponieważ prowadził straż tylną, na którą nieprzyjaciel zawsze najpierw uderzał.

Obecnie, widząc ścigających go Syrakuzan, wstrzymał pochód i uszykował swe wojsko do walki; z zatrzymania się tego skorzystali nieprzyjaciele i otoczyli go, a wówczas padł strach na niego i na całe wojsko. Ścisnięto ich bowiem na przestrzeni, otoczonej wokoło niskim murem, przetrzniętej kilku drogami, zasadzonej licznymi drzewami oliwnymi; otoczonych zasypywano pociskami. — Słusznie przekładali Syrakuzanie tego rodzaju potyczki nad regularną walkę, stanowiąc bowiem bój z doprowadzonymi do rozpaczki mężami, mógł łatwo wypaść na korzyść Ateńczyków. Chcieli zarazem, ponieważ widoczna przewaga była po ich stronie, oszczędzać swych ludzi i niepotrzebnie ich nie poświęcać, spodziewając się, że i tak w powyższy sposób nieprzyjaciela zmogą i w swą moc dostaną.

82) Gdy następnie po całodziennem obrzucaniu ze wszech stron Ateńczyków i ich sprzymierzeńców pociskami, spostrzegli, że siły ich skutkiem ran i innych cierpień wyczerpały się, wydali Gylippos, Syrakuzanie i ich sprzymierzeńcy odezwę naprzód do mieszkańców wyspy, zabezpieczającą ich wolność, jeżeli do nich przejdą; skorzystały z niej oddziały kilku miast. Potem i z resztą oddziałów, stojących pod rozkazami Demostenesa stanęła umowa, mocą której wydali broń pod warunkiem, że nikt ani w żaden gwałtowny sposób, ani w więzieniu, ani z braku koniecznego pożywienia nie zginie. Poddali się więc wszyscy, ogółem 6 tysięcy wojska; pieniądze, jakie posiadali Ateńczycy, musieli oddać, wrzucali je w odwrócone tarcze i napełnili owych tarcz cztery. Wszystkich odprowadzono natychmiast do miasta.

Nikias ze swoim oddziałem doszedł tymczasem w tym dniu do rzeki Erineus, po przekroczeniu jej kazał wojsku rozłożyć się na wzgórzu obozem.

[W następnych rozdziałach opowiada Tukidydes dalsze losy oddziału Nikiasa: Syrakuzanie, dopadłszy tego oddziału, otoczyli go; układać się z nim nie chcieli, przyszło więc do walki; Ateńczycy, pobici, dostali się do niewoli. Obu dowódców ateńskich, Nikiasa i Demostenesa ścięto, pomimo że sprzeciwiał się temu Gylippos. Część wojska sprzedano w niewolę, resztę zamknięto w kamieniołomach, gdzie ich zimno, głód i nędza dogryzły. Była to największa klęska, jaką Tukidydes miał do zaznaczenia w tej wojnie — a los Nikiasa największe wzbudza współczucie, ponieważ był to >człowiek bardzo prawy i bogom posłuszny<].

Tłómaczył dla tego dzieła *A. M. Kurpiel*.

---

# Z „ANABASIS“ XENOFONTA.

## I. Bitwa pod Kunaksą. Śmierć Cyrusa.

(An. I. 8).

Było już koło południa i zbliżano się właśnie do miejsca, gdzie pochód miał się zatrzymać, gdy nagle Pategias, Pers, jeden z wiernych przyjaciół Cyrusa, zjawia się, pędząc cwałem na spienionym koniu i oznajmia natychmiast w barbarzyńskim i greckim języku każdemu, kogo spotka, że król z licznem wojskiem zbliża się, a więc jest prawdopodobnie do bitwy przygotowany. Wielkie na to powstało zamieszanie, zaraz bowiem przyszło na myśl Grekom i wszystkim innym żołnierzom, że napadnie na nich wprzód, zanim potrzebne przygotowania poczynią. Cyrus, zszedłszy z wozu, wdział pancerz, i dosiadłszy konia wziął w ręce pociski, a wszystkim innym rozkazał się uzbroić i stanąć w swoich szeregach. Ustawili się więc z wielkim pośpiechem: Klearch, prawem dowodzący skrzydłem, ustawił się nad rzeką Eufratem; Proxenos koło niego, inni za nim; Menon miał pod swymi rozkazami lewe skrzydło greckiego wojska. Z wojska barbarzyńskiego stanęli po lewej ręce Klearcha jeźdźcy paflagońscy w liczbie około tysiąca, i peltaści (lekkobrojni) greccy, po prawej ręce Arajos, satrapa Cyrusa, i reszta oddziałów barbarzyńców. Cyrus i jego sześciuset jeźdźców stanęli w samym środku; uzbrojeni byli oni wszyscy, prócz samego Cyrusa, w pancerze, nabiodrki i szyszaki. Cyrus stanął do boju z głową niezastłoniętą. Wszystkie konie miały zbroję na piersi i czole. Jeźdźcy mieli też i miecze greckie.

Nadeszło już południe, a jeszcze nie widać było nieprzyjaciela; ale po południu ukazał się w oddali na równinie tuman kurzu do białego obłoku, a w chwilę potem znowu do jakiejś czarnej chmury podobny. Kiedy się zbliżył, zabłyszczał śpiż i można było rozpoznać groty, i szeregi żołnierzy. Na lewym skrzydle nieprzyjaciół byli jeźdźcy białopancerni (w białych pancerzach); dowodził nimi, jak mówiono,

Tyssafernes. Za nimi szli żołnierze lekkobrojni z plecionymi tarczami, za tymi znowu hoplici (ciężkobrojni) z tarczami drewnianymi, aż do stóp sięgającymi. Ci ostatni mieli być Egipcyanami. Prócz tych wszystkich byli jeźdźcy i łucznicy.

Wszyscy szli w czworoboku, pełnym ludzi, według narodowości, każdy szczepek z osobna. Przed nimi jechały wozy wojenne, zwane »noszącymi kosy«, w pewnych odstępach jeden po drugim; zaopatrzone były te wozy w kosy, z osi na bok sterujące i pod siedzeniem ku ziemi zwrócone, by przecinać wszystko, na co w drodze uderzą, a przeznaczone były na to, by wpaść między szeregi Greków i rozrywać linię bojową. Cyrus w tem, co mówił, kiedy zwoławszy Greków przestrzegał ich, by nie ułękli się wojennych okrzyków barbarzyńców, mylił się: zbliżali się oni bowiem nie z wrzawą, ale w milczeniu ile możności, i spokojnie, w równej linii i powoli.

Podczas tego Cyrus, pędząc na koniu w towarzystwie tłómacza Pigreta i trzech czy czterech innych, wołał na Klearcha, by prowadził wojsko w środek nieprzyjaciół, bo tam król się znajduje. »Jeśli środkową linię zwyciężymy« — mówił — »wszystko będzie nasze!« Klearch jednak, widząc środkowe hufce i słysząc od Cyrusa, że król daleko jeszcze poza lewem skrzydłem Greków się znajduje, wojsko jego bowiem tak dalece przewyższało liczbą przeciwników, że środkowy jego szczyk bojowy poza lewe skrzydło wojska Cyrusa wystawał, nie chciał prawego skrzydła oddalać od rzeki, z obawy, by z dwóch stron go nie otoczono, i odpowiedział Cyrusowi, że się już postara, by wszystko dobrze poszło.

Tymczasem wojsko barbarzyńskie posuwało się w równej linii naprzód, gdy greckie, zostając jeszcze na równinie, formowało szczyk bojowy z nadchodzących ciągle oddziałów. Cyrus, jeżdżąc w pewnym oddaleniu od wojska, dawał baczenie na obie strony, zarówno na nieprzyjaciół, jak i na swoich. Zobaczywszy go, podjechał ku niemu Ateńczyk Xenofon, z wojska greckiego, tak by się z nim spotkać, i zapytał, czy czego nie rozkaże? Cyrus, poznawszy go, powiedział mu i kazał to wszystkim powtórzyć, że wróżby i przepowiednie z ofiarnych bydła są pomyślne. Mówiąc to, usłyszał wrzawę wśród szeregów, i zapytał, co ona ma oznaczać? Xenofon odpowiedział, że to żołnierze po raz już drugi hasło wojenne sobie powtarzają. Zdziwiła go ta odpowiedź, bo nie wiedział, kto dał hasło; zapytał, jak ono opiewa. Otrzymał na to odpowiedź: »Bóg zbawcą naszym, i zwycięstwo«, a usłyszawszy ją, powiedział: »Zgadzam się tedy, niech je powtarzają«.

Po tych słowach odjechał cwałem na swe stanowisko.

Już tylko o trzy czy cztery stadya\*) były od siebie dwie falangi odległe, gdy Grecy, zaśpiewawszy pieśń wojenną, wyruszyli z miejsca, by uderzyć na nieprzyjaciół. Kiedy się wśród marszu pewna część linii naprzód wysunęła, zaczęła reszta, pozostała w tyle, pędem ku niej dobiegać;

\*) Stadion = 31 metrów.

w chwilę potem wszyscy już pieśń wojenną do Enniala (Aresa) śpiewali i wszyscy biegli. Nim się zbliżono na wystrzał z łuku, nieprzyjaciele cofnęli się na bok, i do ucieczki się rzucili. Wtedy Grecy poczęli ścigać ich, co sił starczyło; jeden wołał na drugiego, by nie biegł pędem, ale z innymi postępował w szeregu. Wozy wojenne barbarzyńców i Greków pędziły bez woźniców. Ten i ów, widząc je, w porę jeszcze ustępował z drogi; niejeden też, uderzony wozem, jak to na konnych wyścigach się zdarza, przewrócił się. Atoli, jak mówiono, nikt nawet z tych ostatnich nie poniósł szwanku, i w ogólności żaden Grek nie złęgo nie ucierpiał wtedy, prócz jednego na lewem skrzydle, którego podobno z łuku postrzelono.

Cyrus, widząc, że Grecy zwyciężyli swych przeciwników i ścigali ich, choć sam był uradowany, i słyszał koło siebie wyrazy hołdu i uznania, nie dał się porwać chęci ścigania uciekających, ale mając przy sobie skupiony szereg sześciuset jeźdźców, doglądał, co czyni król. Wiedział już bowiem, że on stoi w środku perskiego wojska i że wszyscy barbarzyńscy wodzowie, w środkowym hufcu się znajdując, dowodzą swymi oddziałami, w przekonaniu, że i najbezpieczniejsi są, jeśli swoje siły po obu stronach mają, i że, gdy przyjdzie jaki rozkaz wydać, w czasie o połowę krótszym wojsko go usłyszy.

Król, choć stał w środku swych szeregów, mimo to znajdował się dość daleko od lewego skrzydła wojska Cyrusa; gdy więc nikt z przeciwnego obozu nie walczył z nim, ani z oddziałami, przed nim stojącymi, uczynił nagle obrót, jak gdyby chciał oskrzydlać. Wtedy Cyrus bojąc się, by wojsko greckie, z tyłu napadnięte, nie zostało w pień wycięte, wyrusza naprzeciw, i uderzywszy z swoimi 600 ludźmi, zwycięża oddział, który koło króla był uszykowany, zmusza do ucieczki 6000-ny zastęp, i podobno własną ręką zabija Artagerzesa, jego dowódcę. Gdy się napadnięci do ucieczki rzucili, rozprószyło się 600 jeźdźców Cyrusa w pogoni za nimi, tak dalece, że zostało przy nim bardzo niewiele, prawie ci tylko, którzy za współbiesiadników jego uchodzili. Z tymi stojąc, zobaczył króla i jego straż przyboczną, i nie mógł się powstrzymać, ale rzekłszy: »Widzę tego człowieka!«, pobiegł ku niemu, i ugodziwszy go w pierś, zranił przez pancerz. Tak przynajmniej zapewnia lekarz Ktezyas, powiadając, że sam leczył tę ranę. W chwili, gdy nacierał, uderzył go ktoś z całej siły pociskiem pod oko. Ilu wtedy poległo z tych, którzy koło króla walczyli, gdy król z Cyrusem i przybocznymi żołnierzami w obronie swych panów się ścierali, o tem mówi Ktezyas, w którego oczach to się działo. Zginął więc między innymi sam Cyrus, a ośmiu najdzielniejszych żołnierzy z jego otoczenia legło na jego trupie. Gdy Artapates, najwierniejszy z dworzan, ujrzał poległego Cyrusa, podjechałszy ku niemu, upadł — jak mówią — na niego, zeskoczywszy z konia i według zdania niektórych, król kazał go dobić na Cyrusie, według innych zaś, sam śmierć sobie zadał, dobywszy krótkiego sztyletu. Miał bowiem złoty sztylet przy sobie, a i naszyjnik i naramienniki, którymi obdarzał go Cyrus w uznaniu zyczliwości jego i wierności.

## II. Zdrada.

(An. II. 5).

Następnie przybyli (Grecy) nad rzekę Zapatas na cztery pletry szeroką, i pozostali tutaj przez trzy dni. W tym czasie były powody do obawy, ale nie miało do czynienia z żadną wyraźną zaczepką. Postanowił tedy Klearchos zejść się z Tyssafernesem, aby położyć kres podejrzeniom, zanimby się z nich wojna wywiązała, i wyprawił do niego posłańca z oznajmieniem, że pragnie się z nim zobaczyć. Ten chętnie się na to zgodził. Kiedy się więc zeszli, rzekł Klearch: »Wiem ja Tyssafernesie! żeśmy przysięgę złożyli i ręce sobie podali, by się nie krzywdzić nawzajem. Ale widzę, że ty masz się przed nami na baczności, jak przed nieprzyjaciółmi, a my wobec tego nie ufamy wam nawzajem. Ponieważ jednak pomimo obserwacyi nie mogę zauważyć, żebyś ty usiłował krzywdę nam jaką wyrządzić, a wiem napewno, że my również o niczem podobnem nie myślimy, chciałem się przeto z tobą porozumieć, ażeby, jeśli to będzie w naszej mocy, uwolnić się wzajemnie od podejrzeń. Wiem bowiem i to, że ludzie, którzy się wskutek potwarzy lub podejrzeń bali siebie wzajemnie, chcąc pierwiej wyrządzić krzywdę, zanimby jej sami doznali, czynili niepowetowane szkody ludziom, którzy ani nie próbowali komu szkodzić, ani o tem nawet nie myśleli. Sądząc tedy, że takim nieporozumieniem schadzka w celu rozmówienia się najprędzej kres położy, przybywam tu z chęcią wytłómaczenia ci, że niesłusznie nie masz do nas zaufania. Przedewszystkiem bowiem, i w największej mierze, wstrzymują nas od walki przysięgi na bogów. Kto nie poczuwa się do nich wcale, tego ja nie nazwałbym szczęśliwym. Bo nie wiem z jaką szybkością mógłby kto umknąć przed zemstą bogów, ani w jakie ciemności zbiedz, ani do jakiej twierdzy się schronić? gdyż wszędzie wszystko bogom jest podległe, i wszędzie równo bogowie nad wszystkim panują. Tak tedy myślę o bogach i przysięgach, w których opiekę złożyliśmy naszą, teraz powstałą przyjaźń. Ale z ludzi za największego naszego dobroczyńcę uważam obecnie ciebie. Gdy z tobą jesteśmy w zgodzie, jest dla nas każda droga otwartą, każda rzeka łatwą do przeprawy, w przeciwnym razie jest dla nas każda droga zamkniętą, każda gromadka ludzi straszną, a najstraszniejszą pustynia, bo wiele jest w niej różnych trudności do przebycia. Gdybyśmy cię zaś, jak szaleńcy jacy, zabili, cóżby się innego stało, jak nie to, żebyśmy, zabiwszy największego naszego dobrodzieja, z królem, największym i najniebezpieczniejszym naszym przeciwnikiem, wojnę poczęli. Bo powiem ci, jak wielu i jakich spodziewanych korzyści pozbywałbym się, gdybym ci chciał co złego uczynić: Ja usiłowałem pozyskać sobie przyjaźń Cyrusa, w przekonaniu, że on więcej, niż inni, potrafi być pożytecznym dla tych, dla których chce nim być. Teraz zaś widzę ciebie w posiadaniu tak siły i kraju Cyrusa, jak i własnego państwa, a potęga króla, Cyrusowi wroga, z tobą złączona jest sojuszem. Gdy więc taki jest stan rzeczy, któżby był tak szalonym, by z tobą nie chciał się zaprzyjaźnić.

Ale powiem ci też, skąd wnoszę, że i ty zechcesz być naszym przyjacielem. Wiem ja, że solą w oku są wam Mizowie, których ja z mojem obecnem wojskiem pod waszą myślę oddać władzę. To samo wiem też o Pizydach, a słyszę, że jest też wiele innych takich ludów, którym mógłbym przeszkodzić w zakłócaniu waszego spokoju. Co do Egipcyan zaś, na których najbardziej, jak widzę, jesteście oburzeni, to już nie wiem, z jakiej potęgi pomocą prędzej moglibyście ich uśmierzyć, jak nie tej, która teraz stoi na moje rozkazy. Ale zaprawdę, gdybyś chciał, to mógłbyś się zaprzyjaźnić z którym z sąsiednich tobie narodów, jako najpotężniejszy z nich, a gdyby tobie się co w nich nie podobało, wystąpiłbyś jako władca, mając w nas pomocników, którzy ci nie tylko dla żołdu służą, ale i z wdzięczności, słusznie ci się od nas należącej, gdybyś nas ocalił. Mnie więc, gdy to wszystko rozważam, tak niewytłómaczoną się wydaje twoja względem nas nieufność, że z największą przyjemnością usłyszałbym imię tak dzielnego mowcy, który mógłby cię przekonać, że my zasadzamy się na ciebie«. To powiedział Klearch; Tyssafernes zaś tak odparł:

»Z przyjemnością słucham, Klearchu, rozsądnej twojej mowy. Gdybyś bowiem, ze swoim przekonaniem, szkodliwe dla mnie miał zamiary, zdawałoby mi się tem samem, że ty sam sobie nie sprzyjasz. Ale usłysz ode mnie nawzajem, że także wy, zarówno mnie, jak i królowi, niesłusznie niedowierzacie. Gdybyśmy was chcieli zniszczyć, czyż sądzisz, że zabrakłoby nam licznych jeźdźców, lub piechurów, lub broni, którymi moglibyśmy wam szkodzić bez narażenia się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo? Albo czyż zdaje ci się, że my wahamy się, czy nie napaść na was w miejscu słabszym, niż to, na którym się teraz znajdowaliście? Czyż wielkich równin nie przechodzicie nawet w pokoju z wielkim trudem? Czyż nie widzicie wielkich gór, które macie przejść, a które my pierwej od was obsadzić, i dla was niedostępne uczynić możemy? Czyż niema tylu rzek, przy których od naszej woli zależy, z iloma z was walczyć mamy? Są między nimi i takie, przez którebyście w żaden sposób przeprowić się nie mogli, gdybyśmy was na swych tratwach nie przewieźli. Ale gdybyśmy nawet w tem wszystkim słabszymi od was byli, to przecie ogień możniejszy jest od płonów: te ostatnie moglibyśmy spalić i przeciw wam głód postawić jako nieprzyjaciela, z którym nie moglibyście walczyć, choćbyście byli najwaleczniejsi. Jakże więc mielibyśmy, mając tyle środków do walki z wami, z których żaden nie jest obosieczny, wybrać z nich ten właśnie, który sam jeden tylko jest względem bogów grzeszny, względem ludzi podły. To jest jedynie postępowanie bezradnych, nie wiedzących co czynić, potrzebą przyciśniętych a zarazem przewrotnych ludzi, którzy chcą z pomocą krzywoprzysięstwa względem bogów i zdrady względem ludzi coś działać. My nie jesteśmy, Klearchu, ani tak głupi, ani tak nierozważni! Czemuż my więc, choć chcemy was zniszczyć, nie przystępujemy do dzieła? Wiedziecie dobrze o tem, że przyczyną tego jest moje pragnienie pozyskania sobie zaufania Greków, by zaciężne wojsko,



na którego zapłaconej wierności polegając, Cyrus na pole walki wyruszył, przez moje dobrodziejstwa na swą stronę przeciagnąć.

W jak wielu względach wy bylibyście mi pożyteczni, to już ty sam powiedziałeś; ale co tu najważniejsze, to ja tylko wiem: Tyarę królewską na głowie sam król tylko może nosić, ale w sercu mógłby ją łatwo, z waszą pomocą, tak samo nosić i kto inny. Gdy to powiedział, Klearch uznał słowa jego za prawdziwe i rzekł:

»Czyż więc wobec tego, że tak ważne mamy do przyjaźni powody, nie powinni ponieść najsroższych kar ci, którzy usiłują zapomocą oszczerstw zrobić nas nieprzyjaciółmi?« »Ja wam« odrzekł Tyssafernes, »jeśli chcecie, wodzowie i setnicy, urzędowo do mnie przyjść, powiem, którzy mnie mówili, że ty zasadzasz się na mnie i na moje wojsko.« »To ja« rzekł na to Klearch, »przyprawdę wszystkich i tobie nawzajem wskażę tych, od których to samo o tobie słyszę.«

Po tej rozmowie zachowywał się Tyssafernes bardzo uprzejmie i prosił Klearcha, by przy nim jeszcze czas jakiś pozostał i razem z nim biesiadował. Przybywszy nazajutrz do obozu, zdawał się Klearch bardzo przyjaźnie być dla Tyssafernesa usposobionym: powtarzał co tenże mówił, i oznajmił, że muszą iść do Tyssafernesa ci, którym iść rozkaże, i że tych Greków, którzyby się okazali potwarcami, jako zdrajców i nieprzyjaciół narodu, ukarze. — Podejrzywał on, że potwarcą jest Menon, bo wiedział, że tenże z Ariajosem potajemnie odwiedził Tyssafernesa, że knuł spiski przeciw niemu i przygotowywał zasadzki, ażeby, całe wojsko na swą stronę przeciagnawszy, pozyskać sobie przyjaźń Tyssafernesa. Miał wszakże Klearch przytem zamiar, by zaufanie całego wojska ku sobie skierować, a sprzeciwiających się mu z drogi usunąć. Niektórzy żołnierze opierali się temu, by wszyscy wodzowie i setnicy szli do Tyssafernesa z całym zaufaniem. Klearch wszakże usilnie nalegał, i doprowadził do tego, że poszło pięciu wodzów i dwudziestu setników; co prawda, poszło też za nimi, jakoby w celu zakupienia żywności, jeszcze około 200 żołnierzy.

Gdy ci stanęli przed namiotem Tyssafernesa, wezwano do namiotu wodzów: Beotę Proxena, Tessalczyka Menona, Arkadyjczyka Agiasa, Spartanina Klearcha i Achajczyka Sokratesa; setnicy zaś pozostali przed drzwiami. W chwilę potem, na dany znak, pochwycono w niewolę znajdujących się w namiocie, a stojących przed nim, ścięto. Następnie jeździli niektórzy jeźdcy barbarzyńscy po równinie, i zabijali każdego spotkanego Greka, zarówno wolnego obywatela jak i niewolnika. Grecy dziwili się temu uwijaniu się jazdy, widząc je z swego obozu, i nie widzieli, co ma ono oznaczać; aż dopiero przybył do nich Arkadyjczyk Nikarchos, uciekły z nieprzyjacielskiego obozu, z taką raną na brzuchu, że wnętrzości rękami sobie przytrzymywał, i opowiedział wszystko, co się stało. Słyszając to, wszyscy Grecy przerażeni po broń pobiegli, w mniemaniu, że nieprzyjaciel zaraz na obóz napadnie. Zamiast tego, przybyli tylko Ariajos, Artaodzos i Mitrydates, dawni powiernicy Cyrusa, grecki zaś tłumacz mówił, że i brata Tyssafernesa widział z nimi i poznał go, a towarzyszyło im do trzystu uzbrojonych żołnierzy. Ci, zbli-

żywszy się, żądali, by wyszli do nich wszyscy wodzowie i setnicy, jacy tylko są, bo chcą im oznajmić polecenie królewskie. Po chwili wyszli, mając się dobrze na baczości, wodzowie greccy: Kleanor z Orchomenos i Sofainetos ze Stymfalos, a z nimi Ateńczyk Xenofon, który chciał się o losie Proxena dowiedzieć. Cheirysofa z nimi nie było, bo znajdował się wtedy z oddziałem wojska w jakiejś wsi, szukając żywności. Kiedy stanęli w takiej odległości, że słyszeć mogli głos przeciwników, rzekł Ariajos: »Grecy! Klearch, ponieważ okazał się krzywoprzysięcą i winnym złamania pokoju, poniósł za to karę i już nie żyje; natomiast Proxenos i Menon, którzy odkryli jego zdradę, wielką czią są otoczeni. Od was zaś żąda król oddania broni, bo uważa ją za swoją, skoro była własnością Cyrusa, jego sługi«. Na to odpowiedzieli Grecy przez usta Kleanora z Orchomenos: »O Ariajosie, najpodlejszy z ludzi, i wy inni, którzyście byli przyjaciółmi Cyrusa, czyż nie wstydzicie się ni bogów ni ludzi, wy, coście przysięgli, tych samych, co i my, mieć przyjaciół i wrogów, żeście sprzedali nas Tyssafernesowi, najbezboźniejszemu i najpodlejszemu człowiekowi, żeście pozabijali tych, którym wierność przysięgaliście, i innych naszych wodzów wrogom wydawszy, z nieprzyjaciółmi przeciw nam wychodzicie?« Na to rzekł Ariajos: »Wszakżeż pokazało się, że Klearch przedtem jeszcze zasadał się na Tyssafernesa, Orontasa, i nas wszystkich, którzyśmy z nimi trzymali!« Odpowiedział mu na to Xenofon: »Klearch więc, jeśli wbrew przysiędze pokój zerwał, poniósł karę za to, bo sprawiedliwość wymaga, by zginął krzywoprzysięzca. Ale jeśli Proxenos i Menon są waszymi dobroczyńcami, a naszymi wodzami, to odesłajcie ich tu, bo przecież to jasne, że jako przyjaciele obustronni będą się starali radzić nam to, co dla was i dla nas jest najpożyteczniejsze«.

Na to naradzali się jeszcze barbarzyńcy między sobą przez dłuższy czas i odeszli, nie dawszy już odpowiedzi.

### III. Wybór nowych dowódców.

(An. III. 1).

(1—4). Po ujęciu wodzów w niewolę i wymordowaniu setników i towarzyszących im żołnierzy, byli Grecy w bardzo przykrem położeniu, zważywszy, że znajdowali się w pobliżu królewskiej stolicy, a wokoło nich z wszystkich stron wiele było plemion i miast im nieprzyjaznych, że już nikt nie będzie chciał żywności im dostarczać, że odlegli byli od Grecyi nie mniej jak 10.000 stadyów\*), że nie mieli w drodze żadnego przewodnika, że w połowie drogi do ojczyzny wstrzymywały ich nieprzebyte rzeki, że zdradzili ich nawet ci barbarzyńcy, którzy po stronie

\*) = 224 mil geograficznych.

Cyrusa na wojnę wyruszyli, że wreszcie teraz są osamotnieni i nie mają żadnego jeźdca po swej stronie; widoczną więc było rzeczą, że zwyciężywszy, nikogo nie zgnębią, a gdyby sami klęskę ponieśli, niktby z nich nie ocalił życia.

Rozważając to wszystko, i tracąc przez to do reszty otuchę, niewielu tylko Greków wzięło sobie posiłek na wieczór, niewielu ogień koło siebie rozpałiło, a większa część nie poszła nawet wcale tej nocy do obozu, ale każdy położył się tam, gdzie go przypadek był sprowadził; nikt jednak nie mógł zasnąć ze smutku i tęsknoty za ojczyzną, rodzicami, żonami i dziećmi, których już nigdy nie spodziewano się zobaczyć. W takim to usposobieniu spoczywali żołnierze po całodziennych trudach.

Był wtedy we wojsku niejaki Xenofon, Ateńczyk, który nie będąc ani wodzem, ani setnikiem, ani w ogólności żołnierzem, drogę razem z wszystkimi odbywał, a znajdował się w obozie, bo go Proxenos, stary jego przyjaciel, tu do siebie zaprosił.

(11—18). W ciężkiem położeniu narzekał on, tak samo, jak inni, i nie mógł usnąć. Zdrzemnąwszy się jednak wreszcie na chwilę, miał sen. Śniło mu się mianowicie, że piorun wśród grzmotów uderzył w ojczysty jego dom, który się wskutek tego całkiem rozjaśnił. Przestraszony, obudził się natychmiast, i osądził, że sen ten z jednej strony dobrą mieści w sobie wróżbę, gdyż w nim wśród trudów i niebezpieczeństw wielką światłość, od Zeusa zesłaną, zobaczył, z drugiej jednak strony obudza obawę (gdyż od władcy Zeusa zdawał się sen pochodzić, a on ogień w nim widział wokoło), że nie będzie mógł wyjść z kraju króla, bo ze wszystkich stron wstrzymają go trudności.

Jakie sen ten miał znaczenie, poznać można z tego, co zaszło wkrótce po jego zjawieniu: Gdy się tylko Xenofon przebudził, przyszła mu do głowy myśl: »Pocóż ja tu leżę? Noc już mija, a z brzaskiem dnia nadejdą prawdopodobnie nieprzyjaciele«. Jeśli dostaniemy się w ręce króla, cóż mu stanie na przeszkodzie, by nie wymordował nas, kazawszy nam przed śmiercią oglądać rzeczy najprzykrejsze dla oka, i cierpieć najstraszliwsze męki. A tu do obrony nikt się nie gotuje, ani o niej nie myśli, ale leżymy, jak gdyby to był czas do spoczynku. Z któregoż ja miasta spodziewam się dostać wodza, coby przygotował obronę? Do którego roku życia mam jeszcze czekać? Wszak nie będę już nigdy starszym, jeśli dzisiaj oddam się wrogom«. Zaraz też wstał i zwołał naprzód tylko setników Proxena, a gdy się zeszli — rzekł do nich: »Ja — setnicy — ani spać nie mogę, a sędzę, że i wy tak samo, ani nawet leżeć bezczynnie, gdy widzę, w jakich znajdujemy się okolicznościach; oczywistą jest bowiem rzeczą, że nieprzyjaciele nie pierwaj nam wojnę wydali, aż uznali, że są dostatecznie do niej przygotowani, a tu z naszej strony nikt zgola o to się nie troszczy, w jaki sposób najstosowniej bronić się mamy. Ależ! gdybyśmy się poddali i w moc króla popadli, jakiegoż możemy doczekać się losu od tego, który rodzonemu bratu po śmierci głowę i ręce uciawszy, wbił je na pal. A my, którzy żadnego nie mamy popiecznika, którzyśmy walczyli przeciw niemu, by, gdyby to było w naszej mocy, niewolnikiem go z króla

uczynić, my, jakiejże możemy spodziewać się doli? Czyż nie chwyci się wszelkich środków, by, jak najsroźsze zadając nam katusze, wzbudzić w innych ludach strach przed walką z nim? Wszystko tedy, co można, czynić powinniśmy, by nie dostać się w jego ręce.

(21—26). Gdy nieprzyjaciele nasi złamali przymierze, przyszedł, według mego zdania, koniec na ich zuchwalstwo i naszą niepewność. Dostatek bowiem i bogactwa leżą niejako w środku, jako nagroda dla tych z nas, którzy waleczniejszymi się okażą. Bogowie będą rozdawali nagrody.

Wobec nich popełnili oni krzywoprzysięstwo, podczas gdy my, widząc wiele bogactw przed sobą, powstrzymywaliśmy się od nich stale z powodu przysięgi, którąśmy bogom złożyli. Toteż możemy, jak mi się zdaje, z większą otuchą iść do walki, niż oni. Nadto ciała nasze zdawniejsze są niż ich do znoszenia mrozu, gorąca i trudów; a i dusze nasze są z łaski bogów odważniejsze, ich zaś żołnierze łatwiej od nas mogą otrzymywać rany i śmierć ponosić, jeśli nam bogowie, jak przedtem, dadzą zwycięstwo.

Ale podobno i inni są tego, co ja, zdania. Na bogów, nie czekajmy, aż drudzy do nas przyjdą z zachętą do szlachejnych czynów, ale sami innych zaczniemy pobudzać do męstwa. Okażcie się najdzielniejszymi wśród setników, a wśród wodzów najbardziej godnymi piastowania swego urzędu. Ja zaś, jeśli wy chcecie do tego zachęcać, będę was słuchał, jeśli zaś mnie powierzycie dowództwo, nie będę się wymawiał młodym wiekiem, bo sądzę owszem, że jestem w kwiecie wieku, w którym człowiek od krzywd się broni. — Wysłuchawszy mowy Xenofonta do końca, okrzyknęli go setnicy wodzem, wszyscy, z wyjątkiem niejakiego Apollonidesa, zatracającego w mowie z beocka.

(45—47). Po nim zabrał głos Cheiryzofos: »Przedtem, Xenofoncie — rzecze — »wiedziałem o tobie tylko tyle, że jesteś Ateńczykiem. Teraz, nawet cię wielbię za to, co mówisz i czynisz, i życzyłbym sobie, aby więcej było takich, jak ty, bo byłoby to dla wszystkich nas korzystne. Ale teraz, mężowie! nie namyślajcie się długo, lecz przystępujcie do wyboru wodzów, na których wam zbywa, a wybrawszy ich, pójdziecie wraz z wybranymi do środka obozu.

»A niech tam przyjdzie do nas — dodał — »i herold Tolmides«. I bezpośrednio po tych słowach powstał, by bezzwłocznie porobić potrzebne przygotowania. Następnie wybrano wodzów: na miejsce Klearcha Timariosa z Dardanos, na miejsce Sokratesa Achajczyka Xantykleśa, na miejsce Agiasa Arkadyjczyka Kleanora, na miejsce Menona Achajczyka Fizeziosa, a na miejsce Proxenosza Ateńczyka Xenofonta.

#### IV. Narady.

(An. III. 2).

Następnie powstał Xenofon, wystrojony do boju jak najpiękniej, bo mniemał, że jeśli bogowie dadzą mu zwycięstwo, to zwycięstwu

najwspanialsza należy się ozdoba, jeśli zaś przyjdzie zginąć, to przystoi żeby ten, kto się sam za godnego najpiękniejszego stroju uważa, w nim życie swe kończył, i tak zaczął swą mowę: »O krzywoprzysięstwie i wiarołomstwie barbarzyńców mówił wam już Kleanor, a jak sądzę i bez tego wiedzielibyście o nich; jeżelibyśmy więc chcieli znowu po przyjacielsku do wrogów naszych się zbliżyć, musielibyśmy w sercu ustawiczną żywić obawę, bośmy widzieli, jakiego losu doznali wodzowie nasi, gdy z zaufaniem im się oddali. Jeśli zaś postanowimy siłą naszego oręża ukarać ich za to, co uczynili, i na przyszłość ciągle już z nimi walczyć, wtedy z pomocą bogów będziemy mogli mieć nadzieję znalezienia licznych sposobów ocalenia się«.

Podczas tej mowy kichnął ktoś; żołnierze, usłyszawszy to, jednogłownie pokłon bogom oddali, a Xenofon rzekł: »Zdaje mi się, mężowie, że jeśli pośród mowy o ratunku, wróżba zbawcy Zeusa się ukazała, to trzeba bogu temu ślubować, że, dostawszy się wreszcie do przyjaznej sobie krainy, dziękczynne ofiary mu złożymy; a i innym bogom należy to ślubować według możliwości«. »Kto jest tego samego co i ja zdania« — dodał — »niech podniesie rękę!« Wszyscy podnieśli; poczem złożono śluby i pean zaśpiewano. Uczyniwszy godnie zadość obowiązkom względem bogów, mówił Xenofon dalej: »Wspomniałem wam właśnie, że możecie żywić nadzieję znalezienia różnych sposobów ocalenia się przedewszystkiem dlatego, żeśmy niezłomnie dotrzymali przysięgi bogom złożonej, a nieprzyjaciele nasi popełnili krzywoprzysięstwo i zgwałcili przymierze i przysięgi. W takich zaś warunkach słuszność wymaga, by dla nieprzyjaciół naszych przeciwnikami, a dla nas sprzymierzeńcami byli bogowie, którzy mogą, jeśli chcą, wielkich małymi naraz uczynić, a małych, choćby się znajdowali w położeniu bez wyjścia, z łatwością ocalić. Teraz przypomnę wam też i przodków naszych niebezpieczeństwa, abyście wiedzieli, że powinniście być dzielnymi, bo ludzie dzielni przy pomocy bożej cało wychodzą z najtrudniejszego nawet położenia. Otóż, gdy na zagładę Aten przyszli Persowie z ogromną siłą zbrojną wraz z sprzymierzeńcami, Ateńczycy odważyli się stawić im czoło i zwyciężyli ich; a uczyniwszy przedtem ślub Artemidzie, że ilu nieprzyjaciół zabiją, tyle kóz złożą na ofiarę bogini, gdy nie mogli znaleźć dostatecznej liczby zwierząt ofiarnych, postanowili corocznie zabijać ich pięćset, i do dziś dnia sprawują jeszcze te ofiary. Potem znowu, gdy Xerxes, zebrawszy niezliczone wojsko, przybył do Grecji, to i wtedy zwyciężyli przodkowie nasi na lądzie i na morzu swych przeciwników; o czem wszystkim świadczą pomniki zwycięstwa, a czego najwspanialszą pamiątką jest wolność miast, w których urodziliście się i wychowali. Przed żadnym bowiem człowiekiem nie kłaniacie się, jako przed swym panem, lecz tylko przed bogami.

Takich to macie przodków! Nie chcę przez to powiedzieć, że wy im wstyd wyrządzacie; przeciwnie! kilka dni temu, ustawivszy się naprzeciwko potomków dawnych waszych nieprzyjaciół, pokonaliście ich z pomocą bogów, choć o wiele przewyższali was liczbą. Wtedy okazaliście męstwo w obronie królewskiej korony Cyrusa, teraz więc, gdy

o własne nasze ocalenie walka się toczy, powinniście być bez wątpienia jeszcze waleczniejsi i odważniejsi.

(27—33). Teraz przychodzi mówić o tem, jak mamy bez narażenia się na niebezpieczeństwa pochód prowadzić, i jak najskuteczniej walczyć w razie potrzeby.

Najpierw więc potrzeba, według mego zdania, spalić wozy, które mamy, byśmy nie potrzebowali w drodze do zaprzęgów się stosować, ale szli drogą dla wojska najdogodniejszą. Powtóre, spalić trzeba namioty, gdyż one są tylko ciężarem w drodze, a w niczem nie są potrzebne ani do walki, ani do nabywania żywności. Także innych pozostałych sprzętów starajmy się pozbyć prócz tych tylko, które służą do walki lub przechowania jadła i napojów, byśmy mieli jak najwięcej żołnierzy, a jak najmniej ciurów, niosących bagaże. Wszak wiecie, że cudza własność dostaje się w ręce zwycięzców; a jeżeli my zwyciężymy, to możemy nieprzyjaciół do noszenia łódeków przeznaczyć. Pozostaje mi mówić o tem, co zdaniem mojem jest najważniejsze. Widzieliście, że nieprzyjaciele nie pierwaj odważyli się wojnę nam wypowiedzieć, aż pochwycili naszych dowódców; sądzili bowiem, że my, mając nad sobą wodzów i będąc im posłusznymi, jesteśmy dosyć silni, by w boju mieć nad nimi przewagę, a gdy nam wodzów odbiorą, zginiemy wskutek nieładu i zamieszania.

Potrzeba więc, żeby terazniejsi wodzowie byli o wiele jeszcze ostrożniejsi od poprzednich, a podwładni o wiele teraz jeszcze karniejsi i posłuszniejsi wobec wodzów, niż dawniej. Przydałoby się też, żebyście wydali uchwałę, że jeśli kto okaże się nieposłusznym, ukarać go może w łączności z władzą pierwszy lepszy z was, który się wtedy przy nim znajdzie. W ten sposób oszukają się nieprzyjaciele jak najokropniej, zobaczą bowiem zamiast jednego Klearcha dziesięć tysięcy takich, którzy nikomu przewrotnym być nie dozwolą. Ale już czas kończyć wywody, bo lada chwila nadejść mogą nieprzyjaciele. Komu się więc to, co mówiłem, podoba, niech co najrychlej zdanie me potwierdza, by przyszło do urzeczywistnienia; jeśli zaś kto wie o czemś lepszem od tego, co radzę, niech śmiało nas poucza, choćby był prostakiem, bo wszyscy zarówno potrzebujemy wspólnego wybawienia.

Następnie zabrał głos Cheiryzofos: »Ależ, jeśli potrzeba co dodać do tego co Xenofon powiedział, to można to i tak wkrótce uczynić. Tymczasem jednak wypada, według mego przekonania, bez zwłoki uznać za najlepsze to, co on teraz powiedział. Kto tedy zgadza się z nim, niech podniesie rękę!« — Wszyscy ręce podnieśli.

## V. Droga przez śniegi.

(An. IV. 5).

Następnego dnia postanowiono iść naprzód, jak można najprędzej, zanim wojsko nieprzyjacielskie na nowo się zbierze i zajmie wąwozy. Przygotowawszy się więc natychmiast do drogi, wyruszyli z wielu

przewodnikami przez śniegi, a dostawszy się jeszcze tego samego dnia na szczyt góry, na której Tirybazos napaść na nich zamysłał, rozłożyli się na niej obozem. Ztąd szli potem trzy dni przez puste okolice, 50 parasang (50.5-56 km.) do rzeki Eufratu i przeszli ją, brnąc po pas we wodzie. Mówiono, że źródła rzeki niedalekie były od tego miejsca. Ztąd zrobili przez głębokie śniegi i równinę trzy dniennie marsze, 10 parasang. Trzeciego dnia marsz stał się męczącym, do tego wiał żołnierzom w oczy wiatr północny, od którego wszystko się oziębiło i ludzie pomarзли. Wtedy jeden z wieszczków polecił złożyć ofiarę bogowi wiatrów; złożono ją też, i naraz wszyscy wyraźnie spostrzegli, że wiatr przestał być tak gwałtownym, jak był pierwiej. Ale głębokość śniegu wynosiła łokieć, to też nie tylko jucnych zwierząt, ale i niewolników wielu, a nawet żołnierzy trzydziestu życie wtedy utraciło. Noc spędzili, paląc ognie, drzewa było na miejscu, na którym na noc się rozłożyli, dosyć dużo, choć dla później przybyłych już go nie stało.

Ci więc, którzy przybyli pierwiej i utrzymywali ognisko, nie pozwalali nadchodzącym żołnierzom zbliżyć się do ognia, jeśli im nie dali pszenicy, albo innego jakiego pożywienia. Tak więc podzielili się między sobą tem, co kto miał. W miejscach, na których paliły się ognie, powstawały przez tajanie śniegu głębokie doły, aż do ziemi sięgające, na których można było zmierzyć głębokość śniegu.

Cały następny dzień brnęli dalej przez śniegi; w drodze wielu żołnierzy mdlało z głodu. Xenofon, gdy idąc w tylnej straży, zbierał ludzi, którzy na drodze zostali, nie mógł poznać, jakiego oni doznawali bólu. A kiedy mu jeden ze znających się na tem powiedział, że cierpią bezwątpienia na gorączkę głodową, i gdyby pokarm jaki dostali, iść nawet dalej mogliby, obchodził naokoło wszystkie wozy bagażowe, a znalazłszy w nich jakikolwiek pokarm lub napój, rozdzielał między tych, którzy jeszcze biedz mogli, z rozkazem oddania ich umierającym z głodu. Gdy ci ostatni posilili się cokolwiek, powstali rzeczywiście z miejsca i szli dalej.

W pochodzie przybył Cheiryzofos pod wieczór do pewnej wsi i spotkał tam przy studni, niosące wodę, kobiety i dziewczęta wiejskie. Te pytały, co oni za jedni? Tłumacz odpowiedział im po persku, że idą od króla do satrapy; odrzekły — że satrapy we wsi niema, ale znajduje się teraz w odległości parasangi. Poczem, ponieważ już było późno, poszedł Cheiryzofos i żołnierze jego w towarzystwie kobiet, niosących wodę, przez zagrodę do sołtysa wioski.

Cheiryzofos więc i żołnierze zdolni jeszcze do pochodu, tu we wsi rozłożyli się obozem, reszta zaś, ci mianowicie, którzy już dojść do wsi nie mogli, nocowali w drodze bez wieczerzy i ognisk; to też umarło kilku z nich podczas tego noclegu. Tymczasem przybywało coraz więcej nieprzyjaciół, którzy, postępując z tyłu, rabowali drogą zmęczone jucne zwierzęta, i bili się następnie o nie między sobą. Pozostało też na drodze kilku żołnierzy, którzy wskutek ciągłego patrzenia na śnieg wzrok postradali, lub wskutek mrozu palce od nóg odmrozili. Oczy ochraniało od rażącej je barwy śniegu przez trzymanie przed nimi

wśród marszu kawałka czarnej materyi, — nogi zaś od odmrożenia przez ciągłe używanie ruchu bez spoczynku, i zdejmowanie na noc obuwia. Wszystkim tym, którzy w obuwiu spali, wrzynały się rzymki do nóg, a obuwie obmarzało wokoło; noszono bowiem, gdy już stare obuwie zupełnie się zniszczyło, chłopskie sandały, sporządzone ze świeżej skóry wołowej.

Wskutek takich trudności pozostawali żołnierze na drodze. Naraz ujrzeli maruderzy czarny szmat ziemi, śniegiem wcale nie pokryty, i w przekonaniu, że śnieg tam stał, — bo też rzeczywiście stał on wskutek gorącego źródła, znajdującego się w pobliskim parowie, — zeszedłszy z drogi, rozsiedli się na nim, i mówili, że nie pójdą dalej. Gdy Xenofon, idąc z kilku żołnierzami tylnej straży, to zauważył, prosił ich na wszystkie sposoby, by nie zostawali, przedstawiając im, że wielu nieprzyjaciół zebrało się w oddział, który z tyłu idzie, lecz gdy prośby jego były bezskuteczne, zaczął ich gniewnie łąć. Oni oświadczyli mu na to, że może ich kazać pozabijać, bo nie mogą iść dalej. — Nie było więc już innej rady, jak, nastraszyć jak najbardziej, postępujących z tyłu, nieprzyjaciół, by nie napadali na strudzonych biedaków. Już zmrok zapadł, gdy nadciągnęli nieprzyjaciele, z wielkim hałasem bijąc się o to, co zrabowali. Wtedy żołnierze tylnej straży, rzucili się na nich gromadnie, podczas gdy chorzy, wznosząc jak najgłośniejsze okrzyki, uderzali tarczami o lance. W trwodze pędzili rabusie przez śnieg do parowu, i odtąd słyszeć ich nawet nie można było.

Zapewniwszy maruderów, że na drugi dzień przyśle po nich oddział żołnierzy, ruszył Xenofon z wojskiem w drogę. Nie uszli jeszcze żołnierze czterech stadyów, gdy spotkali się z otulonymi w płaszcze, w śniegu spoczywającymi maruderami, którzy nawet straży nie postawili, i namawiali ich do marszu. Ale ci odpowiedzieli, że i przednia straż naprzód się nie posuwa. Xenofon, słysząc to, posłał naprzód najsilniejszych peltastów, by zbadali jaka przeszkoda wstrzymała pochód. Ci przynieśli wiadomość, że całe wojsko w ten sam sposób, co maruderzy, spoczywa.

Wtedy i żołnierze Xenofonta w miejscu, na którym stanęli, dla spoczynku się rozłożyli bez wieczerzy i ognisk, rozstawwszy straże, najlepsze jakie mogli. — Gdy już ranek się zbliżał, posłał Xenofon do maruderów najmłodszych żołnierzy z rozkazem, by zmusili ich do powstania z miejsca i dalszego pochodu. — W tymże czasie posłał Cheiryzofos kilku ludzi ze wsi na zwiady, co się dzieje z tylną strażą. Ujrzano ich w obozie Xenofonta z radością, i oddano im maruderów celem przeniesienia ich do właściwych oddziałów. Wkrótce potem ruszono w drogę, i nie przeszedłszy nawet 20 stadyów, znaleziono się we wsi, w której spoczywał Cheiryzofos. — W ten sposób zeszedłszy się razem, postanowili dowódcy rozkwaterować po wsiach okolicznych pojedyncze oddziały wojska. Cheiryzofos więc pozostał na miejscu, podczas gdy inni odeszli z swymi oddziałami do wsi, które im los przeznaczył, a które przed sobą widzieli. — W tym czasie zażądał setnik Polykrates z Aten, by mu naprzód iść kazano, i śpiesząc z oddziałem, mogących szybko biegać,



żołnierzy do wsi, którą los Xenofontowi na leże przeznaczył, schwytał we wsi wszystkich wieśniaków i sołtysa, jakoteż 17 źrebiąt, królowi na daninę chowanych, i córkę sołtysa, od dziewięciu dopiero dni poślubioną; mąż tej ostatniej poszedł był na polowanie; nie znaleziono go też we wsi. — Mieszkania wiejskie były podziemne; wchód do nich podobny był do otworu studni, ale na dole były przestronne. Wchody dla bydła były osobno wykopane; ludzie zstępowali po drabinach.

W mieszkaniach były kozy, owce, krowy, ptastwo domowe, — i młode tych zwierząt. Bydło to żywiono w domu sianem. — Znajdowały się tam też pszenica, jęczmień, owoce strączkowe i piwo w dzbankach. W piwie tem pływały po wierzchu ziarna jęczmienne i rurki trzcinowe, większe i mniejsze, bez kolanek. Gdy się miało pragnienie, trzeba było brać te rurki do ust i ssać.

Był to napój bardzo silny, jeśli nie dołało się do niego wody, ale też bardzo smakował tym, którzy się do niego przyzwyczaili. — Xenofon zaprosił sołtysa wsi na biesiadę i kazał mu być dobrej myśli, zapewniając, że dzieci go nie pozbawi, i że odchodząc z tych stron, dla przeproszenia dom jego środkami żywności zapełni, jeśli się okaże, że on wojsku, dopóki ono do ziemi innego narodu nie przyjdzie, jako przewodnik, przysługi wyświadczać będzie. Sołtys obiecał to czynić i wskazał na dowód swej przychylności miejsce, gdzie wino było zakopane. Tak więc przepędzili żołnierze tę noc w swych kwaterach wśród obfitości wszystkiego, czego chcieli, pilnowali wszakże ustawicznie sołtysa, a i dzieci jego mieli na oku.

Nazajutrz udał się Xenofon z sołtysem do Cheiryzofa; przechodząc przez wieś, odwiedził obozujących w niej żołnierzy i znalazł ich w dobrobycie i wesołem usposobieniu. Znikąd nie wypuszczono ich, nie dawszy im przedtem śniadania; nie było chaty, gdzieby nie zastawiono im na tym samym stole mięsa owczego, koziego, wieprzowego i cielęcego, i wielkiej ilości chleba tak pszenicznego jak i żytniego. Gdy kto na dowód swej życzliwości chciał pić w ręce drugiego, ciągnął go do dzbana, z którego pił zgięty we dwoje, chlapiąc jak wół. Sołtysowi pozwolono wziąć ze sobą, co chce; ale on nie brał i tylko, gdy spotkał którego z swych krewnych, brał jednego za drugim ze sobą. Przyszedłszy zaś do Cheiryzofa, zastał (Xenofon) i jego żołnierzy, biesiadujących z wieńcami ze siana na głowie, a chłopcy armeńscy w barbarzyńskich strojach ich obsługiwali. Chłopcóm tym, jak głuchym ludzióm, zapomocą znaków dawali rozkazy. Po przyjacielskiem przywitaniu, zaczęli Cheiryzofos i Xenofon przez mówiącego po persku tłumacza wspólnie wypytywać sołtysa, co to za kraj, w którym się znajdują? Odpowiedział, że Armenia. I pytali znowu, dla kogo oni chowają konie? Odrzekł, że dla króla, jako daninę. »Ale najbliższym krajem« — mówił — »jest kraj Chalibów«. I wskazał drogę do niego.

Następnie wziął go Xenofon ze sobą do swego obozowiska, i oddał mu starszego już rumaka, którego był zabrał, by go odżywił i złożył na ofiarę, bo słyszał, że on poświęcony był Heliosowi, a bał się,

by nie padł, gdyż bardzo był drogą zmęczony. Natomiast wziął sobie zrebaka, i dał innym dowódcom i setnikom po jednym zrebąciu. Zreбки te były rasy mniejszej wprawdzie niż perska, ale o wiele dzielniejszej. Podczas rozdawania pouczał sołtys, żeby wkoło nóg koni i innych zwierząt pociągowych obwiązać worki, gdy mają iść przez śniegi, bo bez tych worków zapadałyby się po brzuchy.

## VI. Zdobycie przełęczy.

(An. IV. 6).

Ósmego dnia oddał Xenofon sołtysa Cheiryzofowi na przewodnika w drodze, zostawiwszy sołtysowi wszystkich domowników, prócz dorastającego już syna, którego oddał pod straż Amfipolitańczykowi Epistenesowi, by go miał na oku, a jeśli ojciec jego dobrze prowadzić będzie, wypuścić. Następnie, poznośiwszy w dom wójta wiele podarunków, ruszono w drogę. Sołtys wolny od więzów, prowadził przez śniegi; — ale już trzeciego dnia marszu rozgniewał się na niego Cheiryzofos, że do żadnej wsi nie prowadzi. Wymawiał się, że niema wsi w tych stronach. Na to kazał go Cheiryzofos obić; pozostawił go jednak nadal bez więzów. Następstwem tego było, że w nocy uciekł z obozu, pozostawiając w nim syna. Krzywda sołtysa i spuszczenie go z oka dały powód do jedynej wśród całej drogi, sprzeczki Cheiryzofa z Xenofontem. Zostawionego w obozie syna Epistenes bardzo polubił, i zabrawszy go z sobą do ojczyzny, miał w nim najwierniejszego sługę.

Postępując dalej dziennie 5 parasang, doszli siódmego dnia nad rzekę Faris, szeroką na pletrę; skąd przez 2 dni o 10 parasang się posunęli. Tu u wejścia do doliny ustawili się naprzeciw nich Chalibowie, Taochowie i Faryanowie; Cheiryzofos ujrzawszy nieprzyjaciół u przełęczy, powstrzymał pochód w odległości od nich 30 stadyów, by szeroką kolumną nie zbliżyć się do nieprzyjaciół; kazał też innym dowódcom zachodzić oddziałami, ustawiając wojsko w falangę. Gdy zaś już tylna straż nadeszła, zwołał dowódców i setników i rzekł: »Jak widzicie, nieprzyjaciele zajęli górskie przełęcze; czas więc naradzić się, w jaki sposób najskuteczniej mamy walczyć. Według mojego zdania, rozkażmy żołnierzom jeść teraz śniadanie, a sami naradzajmy się tymczasem, czy dziś, czy jutro przechodzić mamy przez górę?«

»Co do mnie« — rzekł Kleanor — »to sądzę, że trzeba szybko jeść to śniadanie, a potem, jak można najprędzej przygotowawszy się do walki, wyruszyć na wroga. Jeśli bowiem dzisiejszy dzień beczynn timerzmy, nieprzyjaciele, którzy nas teraz widzą, nabiorą otuchy, a gdy oni w otuchę się uzbroją, nadejdzie jeszcze wielu innych«. — Po nim zabrał głos Xenofon: »Moje zaś przekonanie jest takie: jeśli już koniecznie mamy walczyć, to trzeba się przygotować do jak najdzielniej-

szej walki, — jeśli zaś będziemy chcieli w łatwy sposób dostać się na górę, to — zdaje mi się — musimy na to zwracać uwagę, abyśmy ile możności najmniejsze straty w ludziach ponieśli. — Góra, którą widzimy, rozciąga się na więcej niż 60 stadyów, a nigdzie nie widać ludzi strzegących jej, tylko u tej przełęczy. Praktyczniej więc będzie próbować wkraść się niespostrzeżenie na nieobsadzoną część góry, i raczej przed nimi zając ją, jeśli się da, niż walczyć w miejscu warownem z ludźmi, przygotowanymi do boju. Wszakże daleko jest łatwiej spinać się na górę bez walki, niż postępować po równinie, gdy z wszystkich stron stoją nieprzyjaciele; a w nocy, nie walcząc, lepiej można widzieć ziemię pod nogami, niż we dnie wśród bitwy; wreszcie nierówna droga, jeśli się nie walczy, dogodniejszą jest dla nóg, niż równa, gdy głowa narażona jest na pociski. Nie widzę zaś niemożebności wkradnięcia się, gdyż możemy iść w nocy, żeby nas nie widziano, i odejść na pewną odległość, by nie słyszano. Jeśli nadto udawać będziemy, że tutaj wpaść na nich zamysłamy, znajdziemy inne części góry mniej obsadzone, albowiem nieprzyjaciele będą woleli w większej liczbie tu pozostać. — Ależ po co ja się nad zakradaniem się rozwodzę? Wszak słyszałem, Cheiryzofie, że wy, Lakedemończycy, ilu was jest równych sobie stanem, już od pierwszej młodości w zakradaniu się ćwiczyście, i nie przynosi wam hańby, ale zaszczyt raczej kradzież tych rzeczy, których prawo kraść nie zabrania; żebyście więc jak najprędzej kradli i usiłowali ukrywać się z tem, macie prawo, że kogo na kradzieży się przychwyci, ten za to tylko, że się dał schwytać, otrzyma plagi. Teraz więc masz stosowną chwilę do pokazania, czego się nauczyłeś, i strzeżenia się, by nie przychwycono nas na zakradaniu się na górę, bo wtedy wielką dostalibyśmy chłostę. — »Ja znowu« — rzekł na to Cheiryzofos — »słyszałem, że wy bardzo zręczni jesteście w okradaniu skarbu publicznego, chociaż złodziej na bardzo groźne naraża się niebezpieczeństwo, a zwłaszcza najmłodniejsi z was, są tak zręczni, bo u was tylko magnaci uważani są za godnych sprawowania rządów. A więc i ty postaraj się o to, byś pokazał nam swe wychowanie«. — »Ja też« odparł Xenofon, »jestem gotów wyruszyć po wieczery z swą tylną strażą na zajęcie góry. A mam nawet przewodników, bo lekkozbrojni moi żołnierze pochwycili kilku z postępujących za nami złodziei, zrobiwszy na nich zasadzkę. Od tych dowiedziałem się, że góra nie jest niedostępna, lecz pasą się nawet na niej kozy i woły. Gdy już tedy raz zajmiemy jaką część góry, tedy i byłoby pociągowe będzie mogło przez nią przejść. Spodziewam się zaś, że nieprzyjaciele nie zostaną na swem stanowisku, gdy ujrzą się na równej z nami wysokości, bo i teraz nie chcą jakoś zejść do nas«. Na to Cheiryzofos: »Ależ dlaczego ty właśnie masz iść, i tylną straż opuścić? Poślij raczej którykolwiek inny oddział, jeśli nie wystąpią jacy inni ochotnicy«. Wtedy wystąpili na środek: Aristonymos z Metydrii na czele hoplitów, a Aristeus z Chios i Nikomachos z Ojety na czele lekkozbrojnych, — oświadczając chęć wzięcia udziału w wyprawie. — Między nimi stanęła też umowa, że skoro dostaną się na grzbiet góry, roz-

pałą na nim wiele ognisk. — Po tych układach jedli wszyscy śniadanie, a po śniadaniu podprowadził Cheiryzofos wojsko 10 stadyów bliżej ku nieprzyjaciołom, by jak najprawdopodobniejszem się zdawało, że w ich stronę uderzy.

Po wieczery, o zmroku, wyruszyła jedna część wojska w szyku bojowym na górę, druga zaś została na miejscu. Nieprzyjaciele spostrzegłszy się, że górę zajęto, mieli się ciągle na baczności, i palili ognie przez cały przeciąg nocy. Z nadejściem dnia ruszył Cheiryzofos po spełnieniu ofiar ową drogą ku przełęczy, a ci, którzy górę zajęli, zdążyli ku jej wierzchołkom. Wielka część nieprzyjaciół została wtedy przy przełęczy, reszta zaś wyszła naprzeciw Greków, wchodzących na szczyty. Ale nim się oddziały ze sobą połączyły, nastąpiła walka między wojskami, znajdującymi się na grzbiecie góry, — w której Grecy zwyciężyli, i puścili się w pogoń za nieprzyjacielem. Tymczasem znajdujący się w dolinie, greccy peltaści pędem zbliżali się ku przeciwnikom; Cheiryzofos zaś z hoplitami szybkim krokiem tuż za peltastami postępował. Wtedy nieprzyjaciele, stojący przy drodze, widząc, że część ich wojska na górze rozbito, uciekli. Nie wielu wprawdzie z nich poległo, lecz zato zdobyto wiele tarcz plecionych, które Grecy, rąbiąc mieczami, bezużytecznemi czynili. Wyszędłszy na górę, odprawili żołnierze ofiarę i ustawili pomnik zwycięstwa, poczem zeszli na równinę i do wiosek, obfitujących w licznie nagromadzoną i dobrą żywność.

---

## VII. Pochód przez góry Armenii.

(An. IV. 7).

Idąc potem przez 5 dni, 30 parasang, wkroczyli Grecy do kraju Taochów. Tu zabrakło im żywności, bo Taochowie zamieszkiwali miejsca obronne i w nich też zapasy żywności nagromadzali. Gdy więc wojsko przybyło na miejsce, gdzie wprawdzie miasta ni domów nie było, ale gdzie zgromadzali się mężczyźni i kobiety z trzodami, zajmował je Cheiryzofos zaraz po przybyciu. Nacierał zaś w ten sposób, że gdy jeiden oddział się zmęczył, na miejsce jego stawały do boju coraz inne, nłe mogli się bowiem żołnierze w większej liczbie ustawić, gdyż rzeka pnyęła wokoło.

Teraz, gdy nadszedł Xenofon z hoplitami i peltastami tylnej straży, rzekł Cheiryzofos do niego: »Przybywacie w stosowną porę. To miejsce trzeba zająć, bo jeśli go nie zajmujemy, wojsko żadnej nie będzie mieć żywności«. Wspólną tedy odbyto naradę.

Na pytanie Xenofonta, jaka jest przeszkoda do wejścia na to miejsce, odpowiedział Cheiryzofos: »Przejsście, które widzisz, jest jedynem przejściem. Gdy kto jednak usiłuje tamtędy się przedostać, zrzucają nieprzyjaciele kamienie z tej sterczącej skały, a kogo one trafiają, zabijają. Mówiąc to, pokazał ludzi z połamanemi nogami i żebrami. — »Ale

gdy już te kamienie zrzucą, czy będzie nas co wtedy powstrzymywać w drodze? Wszakże widzimy naprzeciwko nas tych tylko kilku ludzi, a z nich 2 czy 3 uzbrojonych. — Miejsce, które widzisz, a przez które trzeba przejść wśród pocisków, szerokie jest mniej więcej na  $1\frac{1}{2}$  pletry; z tego jest ono na przestrzeni jednej pletry gęsto zarosłe wysokimi w małej od siebie odległości rosnącemi sosnami, — gdy się więc żołnierze dostaną pod te drzewa, czegoż się od, spuszcanych lub toczących się, kamieni obawiać mają? Zostanie nam więc do przebieżenia przestrzeń niespełna półpletrowa, którą my, skoro im już zabraknie kamieni, spokojnie przejdziemy«. — »Ale«, odparł Cheiryzofos, »gdy tylko zaczniemy do miejsc zarosłych się zbliżać, spadać będą zaraz na nas kamienie w wielkiej ilości«. — »Otóż właśnie tego potrzeba« rzekł Xenofon »bo tem rychlej uporają się z kamieniami. Wyruszmy więc na miejsce, z którego dostalibyśmy się wkrótce do zamierzonego celu, gdybyśmy zdołali, a z łatwością mogli tu wrócić, gdybyśmy chcieli.

Udali się też tam: Xenofon, Cheiryzofos i setnik Kallimachos z Parasyi, który tego dnia setnikami tylnej straży dowodził; reszta setników pozostała w bezpiecznym miejscu. Po chwili więc szło 70 mężów pod drzewa, nie razem, ale jeden za drugim, — każdy zaś strzegł się jak mógł. Wszakże Agasias ze Stymfalos i Aristonimos z Metydrion, tudzież setnicy tylnej straży, a i inni żołnierze musieli już stać poza drzewami, bo wśród drzew jeden tylko oddział mógł się pomieścić. Kallimachos wpadł na myśl podstępna; odchodził on od drzewa, przy którym stał, na 2 lub 3 kroki, a gdy kamienie spadać zaczęły, cofał się szybko. Przy każdym takim wybieganiu naprzód, spadało więcej niż 10 fur kamieni. Kiedy Agasias zobaczył, co robi Kallimachos, i że całe wojsko na to patrzy, przestraszył się, by tenże pierwszy do celu nie przybył, i nie zawezwawszy nawet znajdującego się w pobliżu Aristonyma, ani Eurylocha z Lusios, ani żadnego innego z swych towarzyszy, pobiegł sam naprzód, i wyprzedził wszystkich. Gdy go jednak Kallimach, koło siebie biegnącego, zobaczył, chwycił go silnie za tarczę: tymczasem przegonił ich Aristonimos Metydryczyk, a za nim Eurylochos z Lusios; ci wszyscy bowiem ubiegali się o pierwszeństwo w męstwie, i współzawodniczyli między sobą. Przez takie to rywalizowanie zdobyto przełęcz: gdy się już bowiem żołnierze na drugą stronę przejścia przedostali, nie rzucono już ani jednego kamienia z góry. — Teraz dopiero straszny pokazał się widok; kobiety pozrucawszy w przepaść swe dzieci, same następnie z nimi się zrzuciły: mężczyźni czynili to samo. Wśród tego setnik Eneas ze Stymfalos, spostrzegłszy pewnego bogato odzianego człowieka, gdy biegł, jakby zamierzał się do skoku, chcąc go powstrzymać, pochwyił go, a ten pociągnął go za sobą, i obydwaj stoczyli się ze skały, tak, że obydwaj śmierć ponieśli. — Na zdobytym miejscu niewielu tylko schwymano nieprzyjaciół; ale za to zabrano wiele wołów, osłów i owiec.

Z tych stron postępowali Grecy przez 7 dni 50 parasang krajem Chalibów. Ci byli z pośród narodów, przez których ziemię dotychczas Grecy przechodzili, najwaleczniejsi, i nawet wręcz stacjali potyczki;

mieli oni pancerze płócienne, aż do nóg sięgające, zamiast zaś skrzydeł pancernych używali mocno skręconych sznurów. Nosili też nagolenniki i hełmy, a przy boku miecze, do lakońskich sztyletów podobne, którymi zabijali ludzi, wziętych w niewolę, i odciawszy im głowy, ze sobą je niesli, a kiedy ich nieprzyjaciele widzieć mogli, śpiewali i tańczyli. Mieli nadto lance na 15 łokci długie z jednym grotem. — Zostawali oni w miastach; gdy Grecy mimo przechodzili, postępowali za nimi, ciągle staczając potyczki. Mieszkali w miejscach warownych, w których nagromadzone były środki żywności, tak, że Grecy niczego w ich kraju dostać nie mogąc, żywić się musieli resztą bydła, Taochom zabranego.

Z kraju Chalibów przybyli Grecy nad rzekę Harpazos, 4 pletry szeroką, i szli dalej krajem Skytynów, przez 4 dni, 20 parasang, wzdłuż równiny do wsi, w których zabawili przez 3 dni i zaopatrzyli się w żywność. Idąc dalej przez 4 dni, 20 parasang, przybyli do wielkiego, zamożnego, i licznie zamieszkałego miasta, zwanego Gymnias. Naczelnik jego posłał Grekom przewodnika, by przeprowadził ich przez kraj dla nich nieprzyjacielski. — Ten, przybywszy do greckiego obozu, oznajmił, że za 5 dni doprowadzi wojsko do miejsca, z którego morze zobaczą, dodając, że gdyby tego nie uczynił, mogą go śmiercią za to ukarać. — Gdy, prowadząc wkroczył w kraj nieprzyjacielski — zachęcał, by kraj ten ogniem i mieczem niszczone. Z tego można było poznać, że na to przybył, nie z życzliwości dla Greków. — Piątego dnia przybyło wojsko na górę, noszącą nazwę Teches. Gdy pierwsi żołnierze wstąpili na jej grzbiet, wielka wśród nich powstała wrzawa. Usłyszawszy ją, sądził Xenofon i jego towarzysze, że z przodu nowi napadają nieprzyjaciele, bo i z tyłu postępowali mieszkańcy popalonego kraju, z których już tylna straż zabiła kilku, a kilku żywcem w zasadzce schwytała, i zabrała im około 20 plecionych tarcz, świeżą skórą wołu powleczonej. — Ale gdy wrzawa się wzmogła i przybliżyła, a nadchodzący ciągle ku górze żołnierze pędem biegli do wydających okrzyki, krzyk zaś coraz większym się stawał w miarę pomnażania się liczby przybyłych, — przyszedł Xenofon do przekonania, że coś ważniejszego zajść musiało; dosiadłszy tedy konia, i wzięwszy ze sobą Żykiosa i jeźdźców, pospieszył na pomoc. Po chwili usłyszeli wszyscy, jak żołnierze wołali: »Morze! Morze!« — i wzajemnie te słowa sobie powtarzali. Teraz dopiero zaczęli biec wszyscy, nawet żołnierze tylnej straży, i prędzej pędzili zwierzęta pociągowe i konie. A gdy już wszyscy dostali się na szczyt góry, chwytały się wzajemnie w ramiona i ściskali ze łzami radości, to między sobą jedni drugich wzajemnie, to znowu wodzów i setników.

Zaczęli też bez żadnej pobudki ze strony wodzów znosić kamienie i zrobili z nich wielki kopiec. Potem nakładli na kopiec wielką ilość niegarbowanych skór wołowych i kijów, i zdobytych tarcz wojennych, a przewodnik sam rąbał tarcze i innych do tego namawiał. Potem odprawili Grecy przewodnika, dawszy mu dary z wspólnego skarbu, mianowicie: konia, czarę srebrną, strój perski i 10 darejków. On sam prosił najbardziej o pierścionki, i dostał ich też wiele od żołnierzy. Po-

czem wskazawszy im jeszcze wieś, gdzie mieli nocować, i drogę do kraju Makronów, z nadejściem nocy spiesznym krokiem do domu podążył.

## VIII. Xenofon przed sądem.

(An. V. 8).

Uchwalono też, żeby i wodzowie zdawali sprawę z ubiegłego czasu. A gdy to jako ustawę zatwierdzono, skazano Filesiosa i Xantiklesa na zapłacenie 20 min, jako odszkodowanie strat, poniesionych przez niedopilnowanie okrętowych towarów, — Sofainetosa zaś na zapłacenie min 10, ponieważ, wybrany na dozorcę, zaniedbywał swych obowiązków. Xenofonta także oskarżali niektórzy żołnierze, mówiąc, że ich bił, i pociągnęli go do odpowiedzialności. Na to Xenofon, powstawszy z miejsca, kazał przedewszystkiem pierwszemu oskarżycielowi powiedzieć, gdzie go bił? Ten odpowiedział: »Tam, gdzieśmy od zima wśród największych śniegów ginęli«. — »Ależ, jeśli ja« — rzekł — »podczas gdy zima, jak mówisz, srożyła się wokoło, nie dostawało pokarmów, a wina ani powąchać nie można było — gdyśmy od trudów tracili siły, gdy nieprzyjaciele za nami postępowali, — jeśli w takiej chwili kogo krzywdziłem, to przyznam, że jestem psotliwszy od osłów, o których mówią, że brykaniem nigdy się nie męczą«. »A powiedz też« — dodał — »za co dostałeś plagi? Czy, że żądałem czego od ciebie, a tyś mi nie chciał dać? Czy, że po pijanemu psoty wyrządzałem?« — Gdy na żadne z tych pytań potakująco nie odpowiedział, pytał go dalej, czy był hoplitą? Odrzekł, że nie. »Więc peltastą?« »I to nie« — rzekł — »ale do pilnowania mułów wyznaczili mię koledzy, choć jestem wolno-urodzony!« Wtedy dopiero przypomniał go sobie Xenofon i zapytał: »Więc to ty niośłeś człowieka chorego?«. »Tak, na boga« — odrzekł — »zmusiłeś mnie bowiem do tego, rozrzucając sprzęty moich towarzyszy«. »Rozrzucenie«, rzekł oskarżony, »w ten sposób nastąpiło: Porozdawałem je innym do noszenia, i kazałem przynieść je potem do siebie, — a odebrawszy wszystkie w dobrym stanie, oddałem je tobie, bo tyś mi wskazał tego człowieka«. »Jak się zaś to wszystko stało, posłuchajcie« powiada »bo to warto usłyszeć. Otóż, pewien człowiek usiadł na ziemi, nie mogąc iść dalej. Poznawszy w tym człowieku jednego z naszych żołnierzy, zmusiłem cię do niesienia go, by nie zginął, — z tyłu bowiem, jak sądziłem, postępowali nieprzyjaciele«. — Oskarżyciel potwierdził to. — »Posłałem cię więc« mówił dalej Xenofon »naprzód, i spotkałem cię potem nadszedłszy z tylną strażą, gdy kopałeś grób, by pogrzebać tego człowieka; wtedy ja, przystanawszy przy tobie, pochwaliłem cię za to. Wtem, gdyśmy przystąpili do niego, ruszył ten człowiek nogą, a obecni wykrzyknęli, że on żyje. Ty na to rzekłeś: »Niech się dzieje, co chce, ja go nie będę niość«. — Wtedy uderzyłem cię — prawdę mówisz — bo zdawało mi się, żeś doskonale o tem wiedział, że on żył«. — »Cóż

z tego?« odrzekł »przecie w chwilę potem umarł, — gdym ci go pokazywał!« »A i my« rzekł Xenofon »wszyscy pomrzemy, — a czyż dlatego mają nas żywcem grzebać?«

Na to wykrzyknęli wszyscy, że go jeszcze za lekko ukarał, on zaś kazał innym oskarżycielom mówić, dlaczego kogo bił? — a gdy nikt nie wystąpił, mówił sam: »Przyznaję się, mężowie! żem bił za nieporządek tych ludzi, którzy wprawdzie zadowoleni byli z tego, żeście szli w szyku bojowym, i walczyli, gdzie potrzeba, — ale sami opuszczali szeregi w celu rabunku i większego od was wzbogacenia się. Gdybyśmy wszyscy to czynili, wszyscybyśmy śmierć ponieśli. Także i tych, którzy się pieścili, i nie chcieli iść dalej, ale oddawali się niejako nieprzyjaciółom, — biłem i przemocą zmuszałem do ruszenia w drogę. Gdym bowiem, wśród ostrej zimy siadłszy na chwilę, czekał na przygotowujących się do drogi, zauważyłem, że ledwie potem wstać i nogami ruszać mogłem. Zrobiwszy więc na sobie samym doświadczenie, napędzałem odtąd do marszu każdego, kogom zobaczył, jak siedział i był opieszalym; ruch bowiem i odwaga dodają człowiekowi ciepła i rzeźkości, a siedzenie i spokojność, jak zauważyłem, powodują gęstnienie krwi i odmrażanie palców u nóg, czego też wielu z was — jak wiecie — doznało. Innego znowu, zostającego się w tyle dla odpoczynku, a zawadzającego i wam na przedzie, i nam, tylnej straży, zmuszałem do dalszej drogi uderzeniem pięści, by nie uderzyła go lanca nieprzyjacielska. — Teraz, gdy już ocaleli, wolno im pozywać mnie, jeśli z mej strony krzywdę jaką ponieśli, — ale gdyby się dostali byli w ręce nieprzyjaciół, czyżby mogli domagać się sprawiedliwości, choćby za największą nawet krzywdę?! — Krótko mówiąc, — jeśli karałem kogo dla jego dobra, niech spadnie na mnie kara, jakiej podlegają rodzice od dzieci, a nauczyciele od uczniów; albowiem i lekarze rzną i pałają w dobrym celu. Jeżeli sędzicie, że ja czyniłem to ze złościwości, to zwaźcież, że ja teraz, lubo z łaski bogów więcej mam otuchy, i śmielszym jestem teraz, niż naonczas, i wina więcej piję, nie katuszę przecież nikogo, bo widzę, że jesteście bezpieczni. Czyż nie widzieliście, że gdy przysłała burza i morze wezbrało, gniewał się kierownik statku za jeden tylko ruch na majtków, kierujących przodem okrętu, — a sternik na tych, którzy rufą kierowali? najmniejsze bowiem uchybienie w takim położeniu, wszystkoby zniszczyć mogło. Że słusznie ich biłem, toście i wy sami przyznali, mając w rękę miecze, nie skorupki do głosowania. — Byliście przy tem, gdym ich bił, i wolno wam było bronić ich, gdybyście chcieli, — ale na bogów, aniście się za nimi nie ujmowali, aniście nie bili razem ze mną tych, którzy psuli porządek. Dawaliście więc tem samem tym z pośród was, którzy byli przewrotnymi, możność zuchwałego postępowania, — jeśliście pozwalali im na nie. Sądzę bowiem, że, jeśli się nad tem zastanowicie, spostrzeżecie, że ci sami, którzy wtedy byli najgnuśniejsi, teraz są najzuchwalsi. I tak Boiskos, zapaśnik na pięści, Tessalczyk rodem, spierał się wówczas, że będąc chorym nie powinien nosić tarczy, a teraz, jakem sły-szał, wielu Kotyorytów zrabował. Jeśli więc macie rozum, to zróbcie



z nim przeciwnie, jak się robi z psami; albowiem psy złośliwe we dnie trzyma się na uwięzi, a w nocy wypuszcza, — jego zaś, rozsądnie uczynicie, jeśli w nocy uwiążecie, a w dzień będziecie spuszczać«. — »Dziwi mię też« mówił »że, jeśli komu co nie po myśli jego uczynił, to pamięta, i mówi o tem; jeśli zaś kogo od mrozu ochronił, lub od nieprzyjaciół zasłonił, lub w chorobie czy niedostatku mu dopomógł, to o tem nie pamięta, — ani o tem, żem jednego i drugiego za piękny czyn pochwalił, i żem szlachetnego człowieka względami i zaszczytami otaczał. A przecież jest piękniej i sprawiedliwiej i sumienniejszym i przyjemniej zarazem, raczej dobrodziejstwa, niż krzywdy drugim pamiętać«.

Na to, powstało wielu żołnierzy, i przypominało sobie dobrodziejstwa jego, skutkiem czego wszystko dobry wzięło obrót.

Tłóm. dla tego dzieła *Stanisław Zathej*.

## PROZA.

### b) W y m o w a.

Wszyscy znakomici mężowie polityczni Aten zawdzięczali powodzenie, wpływ i znaczenie swoje przede wszystkim świetnej wymowie. Taki Perikles nawet, pomimo tylu niezrównanych przymiotów i cnót, nie byłby się tak długo utrzymał u steru, gdyby słuchaczy nie czarował przedziwną wymową. Mówił on bez namiętności, z niewzruszoną powagą i spokojem, z rękami założonymi, z twarzą pogodną, ale mówił tak żywo i płynnie i z taką prostotą, że słuchano go z rozkoszą\*). Przytem oszczędzał się, nie przemawiał zbyt często; gdy go wzywano na mównicę, a on nie miał ochoty zabierać głosu, tłumaczył się roztropnie, że nie przygotowany, że nie umie mówić bez przysposobienia się, choć umiał, bo mowcą był urodzonym. Przed każdym przemówieniem modlił się, prosząc bogów o pomoc, by mu się nie wymknęło jakie niebaczne słowo. Innego rodzaju wymowę miał Kleon; zręczny układ mów jego, donośny głos, gwałtowne ruchy, namiętne gesta, imponowały krzykliwym tłumom. Alkibiades wypracowywał swoje mowy z wielką starannością, dbał o dobór wyrazów, o zajmujące zwroty, ale, gdy wypadło mówić niespodzianie, zacinął się. Politycy w piątym wieku t. j. w najświetniejszym okresie Aten, mów swych nie rozpowszechniali w odpisach, z obawy,

---

\*) W jednej z mów pogrzebowych n. p. powiedział: »Jako wiosna przemija, tak przeminęło życie tych młodzieńców« — a porównanie to, tak naturalne i proste, wzruszyło wszystkich.

żeby ich nie uważano za sofistów. Andokides ur. około r. 440, słynny z procesu o obalenie słupów Hermesa, w którym nie bardzo pochlebnią pozyskał sławę, bo wydał kilku winowajców, ażeby siebie ocalić, mimo to wygnany, mówił swobodnie, naturalnie, mową potoczną. Największą wszakże przed Demostenesem sławę, rozgłos i wpływ pozyskał

I. Isokrates, żyjący na przełomie piątego i czwartego wieku. Jemu zawdzięcza proza wysokie artystyczne udoskonalenie, a dyalekt attycki to, że stał się wspólnym językiem piśmiennym całej Grecji. Urodził się ok. Ol. 86, 1 (436/5), umarł mając 98 lat. Nieszczęśliwa bitwa pod Chaironeią (338) zatrzała i obmierziła mu życie; powiadają, że z żalu zginął dobrowolną śmiercią głodową. Powstał on pierwszy z wielką zawziętością przeciw sofistom, choć sam miał jeszcze wiele cech z nimi wspólnych; nie walczył przeciw osobom, lecz przeciw zasadom. Nie występował nigdy jako mowca, ale był znakomitym nauczycielem wymowy. Uczniowie napływali doń tłumnie, nie tylko z wszystkich ziem greckich ale i z zagranicy. Programem jego szkoły było: Do nauki koniecznie potrzebne są wrodzone zdolności; utalentowanych uczniów nazywał dziećmi bożemi. Co się tyczy nauczyciela, musi on nie tylko teorią gruntownie wykładać, ale własnym przykładem uczniów zagrzewać i do naśladowania pobudzać.

Największą jego zasługą, oprócz piękności pełnego prostoty języka i stylu, jest to, że wbrew sofistom żądał koniecznie, żeby przedmiot mowy był moralny i godziwy. To też nawet w czasach chrześcijańskich przytaczano zdania moralne Isokratesa i czytano mowy jego w szkołach. Ze szkoły jego, mówi Cicero (de Oratore II. 22, 94), a za nim Quintilian, (12, 10, 22) jak z trojańskiego konia wychodzili sami książęta.

II. Lysias (ur. ok. 459) syn Syrakuzanina, który zaproszony przez Periklesa osiadł był w Atenach, otrzymał staranne wychowanie, kilkanaście lat przepędził z najstarszym bratem w południowej Italii (w Thurioi), miał bogatą fabrykę tarcz. Słynnych »trzydziestu« spojrzęło chciwem okiem na majątnego obywatela, mogącego mieć wpływ dla nich niebezpieczny; uwięzili go więc wraz z bratem Polemarchem; brata zgładzili, on uszedł do Megary. Po zmianie stosunków, wrócił z Thrasybulem do Aten i w sławnej mowie oskarżył w r. 403 Eratosthenesa, jednego z »trzydziestu«, jako sprawcę śmierci brata. Później nie występował

już sam jako mowca, lecz był logografem t. j. pisał mowy sądowe dla drugich, a pisał tak zręcznie i stosował tak umiejętnie do osoby, która miała tę mowę wygłosić, że nie tylko nie budziły u sędziów podejrzania, ale najczęściej pomyślny odnosiły skutek. Świadczy to zarazem, że był znakomitym psychologiem, skoro cudzą istotę przeniknąc i niejako zrość się z nią umiał. Mów takich znała starożytność przeszło czterysta, do nas doszło 34. Wprowadził on także do literatury nowy rodzaj; t. j. Listy. Niezrównaną jego zaletą jest bystrość i nadzwyczajna jasność przy największej zwięzłości (ischnuòn gēnos), tudzież dar świetnego kreślenia charakterów i indywidualności (etopoiia). Dbał także wielce o symetryczną budowę zdań. Lysias nie miał uczniów, bo szkoły nie założył i nie ogłosił się nauczycielem.

III. Isaios, z Chalkidy rodem, lecz obywatel ateński, słynął szczególnie mowami w sporach spadkowych (klerikoi, dikanikoi), pisanemi między r. 390 a 350. Plutarch znał ich 64, do nas doszło dziesięć i urywek z jedenastej. Starannością opracowania i zaletami stylu zbliża się do Lysiasa, ale mniej niż tamten, pozbywa się właściwego sobie sposobu pisania i mniej umie zastosować się do charakteru osoby, dla której pisze. Poznać w jego mowach od razu fachowego adwokata i dlatego biograf jego pisze: »Lysias nawet w niesłusznej sprawie wydawał się wiarogodnym, Isaios nawet w słusznej obudzał podejrzania«.

IV. Demosthenes, Pajańczyk (to znaczy że należał do demosu Paiania), był synem Demostenesa; matka Kleobule pochodziła z Krymu. Ojciec, człowiek zamożny i otoczony powszechnym szacunkiem, wczesnie odumarł syna, urodzonego około roku 383 (Ol. 99 1 albo 2), ale mimo to sierota otrzymał bardzo staranne wychowanie. Majątek ojcowski zmarnowali i przywłaszczyli sobie niesumienni opiekunowie. Wykształcony na mowach Isaiosa i Isokratesa, sposobił się młodzieniec do wytoczenia procesu opiekunom, a tymczasem za przykładem innych pisał mowy dla drugich i zarabiał na tem pokaźne sumki. Ukończywszy dziewiętnasty rok życia, wystąpił wreszcie przed sądem. Osłupieli wszyscy, bo nikt nie wiedział, czy chodził do jakiej szkoły i czym był uczniem. Skazano krzywdzicieli, ale krzywdy nie naprawiono i Demostenes majątku nie odzyskał. Nikt nie wiedział, jak ciężkie walki z ułomnościami swemi staczać, jak wielkie trudności młodzian przezwyciężać mnsiał. Opowiadają, że głos miał z natury słaby, więc całemi godzinami

chodząc, najczęściej pod górę, jednym tchem wygłaszał długie ustępy z tragedyi. Ponieważ źle wymawiał literę R, brał, mówiąc, kamyki do ust i deklamował aż do znużenia wiersz Homera (E. 402), w którym ta głoska kilka razy się powtarza. Nawet ruchów i mimiki uczył się przed zwierciadłem. Po całych dniach i późnymi wieczorami pracował w pokoju, przechodząc myślą mowy, słyszane na zgromadzeniach ludu lub w izbie sądowej i zastanawiał się, co w nich było dobre i piękne, a co gorsze i słabsze. Kazał sobie zrobić umyślnie małe łóżko, aby krótko sypiać. Żartowali z niego rówieśnicy, wracający z gimnastycznych zapasów, widząc go pracującego przy lampce oliwnej (co w ogólności Ateńczykom śmiesznem się wydawało), a ponieważ pijał tylko wodę i starannie się ubierał, nazywali go babą. Ale zaiste nie były niewieściami ostre rysy i wczesne zmarszczki tego młodzieńca, świadczące o wielkiej energii i sile charakteru. Talent ten dojrzewał w cichości, ażeby później tem świetniej zajaśnieć, tem większe usługi oddać ojczyźnie. Jako mowca polityczny wystąpił raz pierwszy w 29 roku życia w r. 354. Hasłem jego było: »Należy nie tylko dobrze myśleć i działać, ale i o to się starać, żeby był z tego pożytek«. Już w pierwszych mowach widoczne były zalety Demostenesa: porządny układ, bystrość myśli, dobór wyrazów\*), melodyjny rytm, wielka rozmaitość tonów. Barwne porównania, dowcipne zwroty przeplatają ustępy patetyczne i namiętne lub wzniosłe. Ludowi mówi prawdę bezwzględną, gorzką, nie dbając, czy się podoba czy nie, byle wyszło na pożytek sprawy i kraju.

Niezmiernie umiał utrzymać na wodzy uwagę słuchaczy, nigdy ich nie znudził; z całej Grecyi śpieszono, by słyszeć potężnego mowcę. Jeszcze dziś czytane, jego mowy wywierają znaczne wrażenie, a wiadomo, jak wiele każda mowa w czytaniu traci. Charakterystyczna jest anegdota następująca: Gdy Aischines Rodyjszykom mowę swoją czytał, a oni ją bardzo podziwiali, rzekł: »A cóż dopiero, gdybyście tamtego gałgana słyszeli!« U starożytnych *poietae* znaczyło »Homer«, retor, mowca, znaczyło »Demostenes«.

Mów jego było przeszło 60 ale tylko 28 uznano za autentyczne. Najślawniejsze są: 1) Trzy mowy olintyjskie, 2) Trzy przeciw

---

\*) Nie użył n. p. więcej jak dwóch jednozgłoskowych wyrazów obok siebie.

Filipowi (filipińskie czyli filipiki), z których trzecią nazwano śpiewem łabędzim umierającej Grecyi, 3) Mowa o wieńcu i 4) O przewniewierczem poselstwie, 5) O pokoju.

Demostenes skazany na karę śmierci, gdy załoga makedońska oładnęła Atenami, uszedł na wyspę Kalaurię; ścigany przez siepaczy Antypatra, nie chcąc dostać się w ręce wrogów, zażył truciznę. Niektórzy mówili, że bogowie sami obronili go, zsyłając nań nagłą śmierć. Ateńczycy wzniesli mu posąg, a liczne biusty jego zdobyły nawet domy prywatne.

Demostenes był największym może z mowców całego świata, a doszedł do takiej wysokości niewątpliwie z powodu tego, że celem jego życia i działania była najwznioślejsza idea: obrona wolności i niepodległości ojczyzny, którą zaczął toczyć robak zepsucia i upadku. Zamachy Filipa makedońskiego na tę niepodległość, znane są z historii. Środki, jakich używał, były podłe; przekupstwem zjednywał sobie poufnych stronników, a wybierał ludzi zdolnych i śmiałych. Partya makedońska wzrastała w przewagę i siłę: zwalczyć ją nie było łatwo. Podjął się tego zadania i poświęcił mu całe życie nasz wielki mowca. Przekonywał współobywateli, jeździł do postronnych rodaków, przejednywał niechętnych — zyskiwał sprzymierzeńców, naprawiał mury własnym kosztem. Całe życie jego, to trud trudów, to jedno pasmo czynów i poświęcenia. A mimo to, a może właśnie dlatego, jak każdy człowiek niezwyklej miary, znosić musiał od małodusznych zdrajców ojczyzny obelgi i prześladowania. Wytaczano mu procesa, włóczono po sądach, oskarżano o naruszanie praw.

Ludek ateński bardzo wrażliwy i zmienny, a teraz psuty przez wrogów, wieńczył go wprawdzie kilkakrotnie, ale słuchał także cierpliwie oszczerczych oskarżeń, zwłaszcza, jeśli wnosili je mowcy tak znakomici, jak Aischines. Niejaki Ktesifon podał do Rady wniosek, aby dać Demostenesowi za jego obywatelskie zasługi wieniec złoty w teatrze, wobec publiczności, przed przedstawieniem nowych tragedyi. Aischines oskarża Ktesifonta o naruszenie praw, i w świetnej co do formy, gwałtownej mowie miota na Demostenesa największe oszczerstwa. Z godnością wielką, tłumiąc w sobie oburzenie i żal, broni się nasz mowca w mowie »o wieńcu«. Przeciwnik nie czeka nawet wyroku, ucieka z ojczyzny, umiera na wygnaniu — ale któż mógł wynagrodzić krzywdę i ból zadany wielkiemu sercu wiernego syna ojczyzny! Rozterka stronictw,

chciwość, zawiść, mnożenie się ludzi, którzy dla wygodnego kawałka chleba gotowi byli do aliansów z wrogami, a wreszcie nieszczęśliwy wynik wojny, z takim mazołem przygotowanej, z takim trudem podjętej, jeszcze o wiele większe były to cierpienia i ciosy dla tego obrońcy ojczystych swobód i praw, dla tego serca, bolejącego nad upadkiem ojczyzny i charakterów.

Hypereides (ur. 388) był obok Demostenesa najgorętszym i najzawziętym przeciwnikiem Makedończyków. Jeszcze po śmierci Alexandra wzywał i doprowadził do wojny. Gdy żądał zerwania układów z Filipem, a ktoś mu zarzucił, że byłoby to czynem nieprawnym, odpowiedział: »Zbroje Makedończyków zasłoniły mi prawa. Nie ja wniosek podaję, lecz podaje go bitwa pod Chaironeią«. Po przegranej uciekł do Aiginy i tam schwytyany, na rozkaz Antypatra poniósł śmierć męczeńską. Pokonywał przeciwników niezrównanym dowcipem i delikatną ironią, znamionującą światowego człowieka. Nie patos (deinotes), ale wdzięk (charis) był mów jego zaletą i znamieniem (było ich 77; z tych 52 uznano za autentyczne). Słynną Frynę uwolniono jedynie wskutek wymownej jego obrony. Starożytność ceniła go bardzo wysoko.

Oprócz wspomnianych, było jeszcze kilkunastu innych zdolnych i zręcznych mowców (Lykurgos, Polyeuktos, osławiony Aristogeiton; Pytheas, zwolennik Hypereidesa, Philinos, Kallikrates).

Przekłady polskie. Demostenesa. St. Nagurczewski 1774. A. Oskard 1869. O wieńcu L. Małecki, Nowy Sącz 1887. Aischinesa mowę o wieńcu L. Małecki, Nowy Sącz 1888.

# Z MÓW DEMOSTENESA.

## I.

### DRUGA MOWA OLINTYJSKA.

---

W wielu rzeczach, Ateńczycy, daje się spostrzedz widoczna życzliwość bogów względem naszego miasta, ale przedewszystkiem w obecnych okolicznościach. Bo że do wojny z Filipem powstały miasta, które z nim sąsiadują i mają jakąś znaczniejszą potęgę, a zarazem — co najważniejsza — doszły do tego przekonania, że wszelkie z nim układy na nic się nie zdadzą i tylko zgubę im przynieść mogą, — to wszystko podobne jest do jakiegoś zgoła niezwykłego dobrodziejstwa bożego. Wobec tego, Ateńczycy, my sami baczna na to musimy zwrócić uwagę, aby względem siebie nie okazać się gorszymi od okoliczności; bo sromotną jest rzeczą stracić nie już miasta lub kraje, które niegdyś naszych rozkazów słuchały, ale sprzymierzeńców i okoliczności pomyślne, przez los nam zesłane.

Na wstępie, Ateńczycy, muszę oświadczyć, że nie uważam za rzecz stosowną nad potęgą Filipa szeroko się rozwodzić i takimi sposobami nakłaniać was do pełnienia obowiązku. Dlaczego? Oto dlatego, że wszystko, coby o tem można powiedzieć, jemu przynosi chwałę, a nam hańbę, żeśmy nie działali, jak należało; Filip, im bardziej — prawda, że złymi sposobami — państwo swe powiększał, tem większe u wszystkich wzbudzał podziwienie, — a wy, im więcej zaniedbywaliście korzystania z dogodnych okoliczności, tem większą na siebie ściągaliście hańbę. O tem więc mówić nie chcę. Nadto, Ateńczycy, — sumienne dochodzenie wykazałoby, że potęga Filipa tu, na tem miejscu, bierze początek, nie od niego samego; ale i o tem mówić, za co on wdzięczny jest tym z pośród nas, którzy sprawami na jego korzyść kierują, a za co wy karać ich powinniście, nie jest na czasie. Jednakże o tem, co



tak czy tak zasługuje na uwagę, co wam nie zaszkodzi usłyszeć i co dla Filipa wielkim będzie wyrzutem, o tem kilka słów spróbuję powiedzieć.

Otóż gdybym go nazywał krzywoprzysięcą i wiarołomnym, a żadnych nie dał dowodów, każdy słusznieby to mógł nazwać bezpodstawnem oszczerstwem. Ale jeżeli przechodzić będę wszystkie jego czyny i na każdym wykazywać prawdę mego twierdzenia, to i niewiele słów to wymaga i z dwóch zdaje mi się powodów będzie korzystne: po pierwsze, Filip stanie przed wami przewrotny, jakim w istocie jest; powtóre, ci, którzy się Filipa boją, jakby jakiego niezwykłego wielkoluda, zobaczą, że już wyczerpały się wszystkie przewrotne środki, za pomocą których wzbili się w siłę, i że potęga jego już się ma ku zachodowi. Przecież, Ateńczycy, ja sam miałbym Filipa za bardzo groźnego wroga, gdybym widział, że sprawiedliwymi sposobami doszedł do takiej mocy; ale po dokładnem zbadaniu widzę, że on: najpierw w owym czasie, kiedy to niektórzy stąd z niczem odprawili Olintyan, chcących z wami traktować, ujął naszą łatwowierność obietnicą zwrotu Amfipolis i zawarcia owego tajnego przymierza, o którym tyle mówiono; następnie pozyskał przyjaźń Olintyan, obiecując im, że Potidaję, waszą posiadłość, wam wydrze i im odda; wreszcie w ostatnich czasach ujął sobie Tesalów przyrzeczeniem, że odda im Magnezję i zamiast nich podejmie się prowadzić wojnę fokejską. W ogóle między tymi, co z nim kiedykolwiek mieli do czynienia, niema takiego, któregooby on nie oszukał. W taki to sposób przez ciągłe korzystanie z łatwowierności tych, co go nie znali, doszedł Filip do znacznej potęgi. Ale też jak przez nich stał się takim mocarzem, gdy każdy spodziewał się, że on dla niego coś korzystnego robi, tak przez tych samych teraz musi upaść, skoro się przekonali, że Filip robi wszystko na swoją wyłączną korzyść.

W takim oto położeniu znajdują się sprawy Filipa; chyba, że ktoś tu wystąpi i dowiedzie mi, a raczej wam, Ateńczycy, że nieprawdą jest, co mówię, albo że ci, którzy się na nim zawiedli, mimo tego nadal mu ufają, albo że Tessalowie, wbrew swej woli ujarzmieni, nie chcą teraz odzyskać wolności.

Ale może sobie ktoś pomyśleć: «to wszystko prawda, ale Filip przy swej władzy utrzyma się siłą, skoro już przedtem zajął twierdze, porty i tym podobne środki obrony!» Taki człowiek, Ateńczycy, jest w błędzie. Bo kiedy sprawa wspiera się na wzajemnej życzliwości i wszystkim, którzy w wojnie udział biorą, jednakowo korzyść przynosi, to każdy chętnie i działa i trudy znosi i wytrwa do końca. Ale jeżeli kto urośnie w potęgę tak, jak Filip, przez chciwość i przewrotność, pierwsza przyczyna i najmniejsze wstrząśnienie wszystko obala i rozsypuje. Bo niepodobna, Ateńczycy, niepodobna, aby krzywdziciel, krzywoprzysięzca i kłamca trwał miał posiadać potęgę: taka potęga na jeden raz i na czas krótki trzyma się, nawet wśród sprzyjających okoliczności może bujnie zakwitnąć, ale z czasem marnieje i sama w sobie się trawi. Bo jak w domu, w okręcie i w innych podobnych budowlach podwaliny powinny być najsilniejsze, tak samo początki i podstawy

państw muszą być godziwe i sprawiedliwe. A właśnie tego brak w całej działalności Filipa.

Oświadczam więc, że potrzeba Olintyanom śpieszyć z pomocą, a im większą i pędszą kto radzi, tem bardziej mi się podoba. Do Tessalów należy wyprawić posłów, którzyby jednych o całej sprawie uwiadomili, innych do współdziałania zachęcili, bo właśnie w ostatnich czasach postanowili żądać zwrotu Pagaz i rozpocząć układy o Magnezyą. A wobec tego, Ateńczycy, trzeba, aby nasi posłowie nie pojechali do nich z prózną mową, ale abyście wy dodali ich słowom wagi przez czyn jaki, mianowicie przez wyprawę wojenną, odpowiednią godności naszego miasta, i przez poważne zajęcie się temi sprawami. Bo każde słowo, jeżeli mu czyn nie towarzyszy, jest zwodniczą i prózną marą, a przedewszystkiem to, które z naszego miasta wychodzi; im skwapliwiej bowiem i im częściej się niem posługujemy, tem mniej mu wszyscy wierzą. Musicie więc wykonać wielki zwrot i zupełne przeobrażenie, a to: płacąc podatki, wyruszając na wojnę, wszystko ochotnie czyniąc, nie czekając, aż wam kto na to zwróci uwagę. A jeżeli to wykonacie, jak należy, wtedy, Ateńczycy, dowodnie się pokaże, że nie tylko sprzymierzeńcy Filipa trzymają się go słabo i niepewnie, ale także i domowa jego potęga, wewnętrzne stosunki jego państwa, w złym znajdują się stanie.

Potęga państwa makedońskiego znaczną jest w ogólności, jeżeli się łączy z jakim innym państwem. Tak na przykład była ona znaczną dla was pod Timoteosem przeciwko Olintyanom; taką była później w połączeniu z Olintyanami przeciwko Potidai; tak niedawno Tessalom, z sobą się kłócącym i walczącym, pomogła przeciw tyranom; jednym słowem w połączeniu z inną, choćby niewielką siłą, dużo może zdziałać. Wszakże sama w sobie słabą jest i zarodów upadku pełną. Sam Filip wojnami i wyprawami, które go w oczach wielu zrobiły wielkim, potęgę tę jeszcze więcej osłabił, niż była z natury swojej. Nie trzeba bowiem, Ateńczycy, myśleć, że dla Filipa i jego poddanych te same rzeczy powab mają: Filip pragnie sławy, ten cel zawsze mu przyświeca, gotów jest znieść wszystko, cokolwiekby go w jego niebezpiecznych działaniach spotkało, gdyż więcej niż bezpieczne życie woli sławę, że dokonał tego, czego żaden z królów makedońskich nigdy nie dokonał; tymczasem poddani jego w chwale tej nie uczestniczą, lecz nękani ciągle temi wyprawami króla, smutne wiodą życie w biedzie i ucisku, bo oni nie mogą się oddawać swoim zajęciom, ani nie są pewni swej własności, a nawet tego, co przy takich warunkach zdołają zrobić, nie mogą sprzedać, skoro targi w kraju z powodu wojny są zamknięte. Z tego każdy łatwo sobie wywnioskuje, jakie uczucia żywi względem Filipa większa część Makedonów.

Ale wojsko najemne Filipa i jego straż przyboczna mają być nierównane w rzemiośle wojennem? Tak, to prawda. Jednakże ja słyszałem od pewnego człowieka, który tam był na miejscu, a który zgoła niezdolny jest do kłamstwa, ja słyszałem, że oni od innych z pewnością nie są lepsi. Bo jeżeli się między nimi znajdzie mąż, sztuki wojennej i rycerskiego rzemiosła świadomy, takiego Filip zaraz odsuwa, a to przez żądzę sławy, pragnie bowiem, aby się zdawało, że to on wszystko robi

(trzeba dodać, że prócz innych wad góruje u niego nienasycona żądza sławy). Jeżeli zaś trafi się człowiek, pod innym względem roztropny i sprawiedliwy, taki nie mogąc znieść całego nieumiarkowania w jedzeniu i piciu i wybryków, usuwa się od wszystkiego i w niczem nie bierze udziału. Resztę Filipowego otoczenia składają sami hultaje, pochlebcy, i ludzie tego rodzaju, że, upiwszy się wyprawiają orgie, które tu wstydę się nazwać. Ze to jest prawdą, macie dowód w tem, że ludzie, których stąd wszyscy wypędzali jako bezwstydnieszych od kuglarzy, na przykład owego niewolnika Kalliasa i jemu podobnych, mimików i twórców wstrętnych wierszy, które układają na swoich towarzyszy dla rozśmieszenia: takich ludzi Filip miłuje i około siebie zgromadza.

Te wszystkie fakta, które przytoczyłem, na pozór wydają się małe, ale dla ludzi mądrych, dalej wzrokiem sięgających, są to ważne i znaczące objawy słabości makedońskiej potęgi. Dotąd to wszystko nie było widoczne, bo szczęście nie takie plamy może zakryć. Ale niech mu się tylko trochę noga powinie, zaraz wszystko na jaw wyjdzie. A mam nadzieję, Ateńczycy, że na to nie trzeba będzie długo czekać, jeżeli bogowie zezwolą, a wy zechcecie. Jak w ciele zdrowem nie można zauważyć żadnej skazy, a gdy przyjdzie choroba, wszystkie ułomności się pokazują, tak samo wszystkie słabe strony miast wolnych i państw samowładnych zakryte są oku, dopóki wojna toczy się poza ich granicami, ale niech wybuchnie wojna tuż nad granicą, wszystko na światło wyjdzie.

Mógłby ktoś znowu, widząc szczęście Filipa, mniemać, że z tego powodu trudna z nim sprawa. Zdanie takie jest bardzo słuszne, bo szczęście w sprawach ludzkich wielką ma wagę, a raczej jest wszystkim. Mimo to jednak, gdyby mi dano do wyboru los jego i los naszego miasta, wybrałbym ten ostatni, z warunkiem oczywiście, że wy choć trochę robić będziecie to, co do was należy; widzę bowiem, że więcej my mamy powodów do zjedwania sobie życzliwości bogów. Ale cóż, kiedy my siedzimy beczynnienie! a nie może to być, by ktoś, sam nie czyniąc, przyjaciołom za siebie rozkazywał robić, cóż dopiero bogom! Nic więc dziwnego, że Filip, który sam chodzi na wyprawy i sam trudy ponosi, który jest przy wszystkim czynny i nie opuści żadnej stosownej okoliczności ani pory, nie dziwnego, że on zyskuje przewagę nad nami, którzy tylko ciągle się wahamy, wydajemy uchwały, prowadzimy badania. To nic dziwnego; przeciwnie, to byłoby dziwne, gdybyśmy my, nic nie robiąc z tego, co powinien robić walczący, pokonać mieli nieprzyjaciela, który robi wszystko, co potrzeba. Jedna mię wszakże rzecz uderza. Niegdyś, Ateńczycy, powstałiście przeciw Lakedemonom w obronie praw Hellenów, i chociaż nieraz i nie dwa razy mieliście sposobność wiele na swoją korzyść zagarnąć, nigdyście tego nie zrobili, ale sami własne zasoby w podatkach i w krwi łożyliście na to, aby się innym stała sprawiedliwość: teraz czujecie wstręt do wyprawy i wahacie się płacić podatki, kiedy chodzi o obronę waszych własnych posiadłości; innych nieraz ratowaliście i to wszystkich razem i każdego z osobna: wobec własnych, najistotniejszych interesów siedzicie sobie z założonemi rękoma. To mię mocno dziwi. Nadto dziwi mię jeszcze jedna rzecz, że

ani jeden z was, Ateńczycy, nie może obliczyć, jak długo już walczyście z Filipem i coście przez cały ten czas zrobili. Wiecie dobrze, jak wam ten czas upłynął: zapełniły go wahanie się, nadzieje, że kto inny za was robi, wzajemne obwiniania się, sądy, ponowne nadzieje, słowem niemal zupełnie to samo co i teraz. Czy może, Ateńczycy, zdaje wam się, że to samo, co miasto postawiło nad przepaścią, że te same czyny, te same środki, przywrócą mu dawną potęgę? Niemądre to przypuszczenie i żadnej nie ma podstawy; bo łatwiej, mając coś, strzedz tego, aniżeli dopiero zdobywać. A my już żadnej z dawnych posiadłości nie mamy, nie mamy więc czego strzedz, wszystko zdobywać musimy na nowo. Nasza to własna sprawa.

Powtarzam więc: składajmy podatki, do boju sami osobiście z ochotą ruszajmy, nie oskarżajmy nikogo, aż dopiero uzyskamy przewagę, a potem, wykonawszy to, co należy, godnych nagrody będziemy nagradzać, a tych, co źle czynili, karać, precz odrzuciwszy wszelkie wykręty, własnych usterek się pozbywszy. Bo nie można surowo badać i sądzić uczynków drugich, jeśli się przedtem własnej powinności nie wypełni. A jak też, Ateńczycy, sądzicie, dlaczego wszyscy wodzowie, ilu ich tam wysłano, — jeżeli i o nich trzeba słówko prawdy powiedzieć, — od tej wojny się uchylają, a szukają sobie innych, na własną rękę? Powód łatwo znaleźć. W tej wojnie plon zwycięstwa należy do was: jeśli Amfipolis będzie zdobytą, na swój użytek ją zabieriecie; niebezpieczeństwa przypadają w udziale wodzom, a wynagrodzenia za to żadnego. Tam zaś niebezpieczeństwo mniejsze, a zdobycz dostaje się wodzom i żołnierzom, tak np. Lampsakos, Sigeion lub statki, które złupią; każdy więc pragnie własnej korzyści. Wy, gdy spostrzeżecie, że sprawy źle idą, wodzów pociągacie do odpowiedzialności; a gdy udzielicie im głosu i posłuchacie, w jak trudnych byli warunkach, puszczaście ich wolno. Z tego tylko między wami swary i kłótnie, bo jedni są tego zdania, drudzy innego, a sprawy publiczne źle idą. Dawniej, Ateńczycy, płaciliście podatki według symmoryj; teraz rządzącie rzecząpospolitą według symmoryj; retor stoi na czele jednego stronnictwa, pod nim strateg i trzystu krzykaczy, a wszyscy inni stoją po stronie tych, drudzy owych. Tego trzeba się pozbyć, nad sobą — lepiej późno niż nigdy — zapanować i wspólnie mówić, radzić, działać. Jeżeli zaś pozwolicie na to, aby jedni rozkazywali wam, jak gdyby mieli władzę monarszą, a inni byli zmuszeni uzbrajać okręty, płacić podatki, służyć w wojsku, a jeszcze inni jedynie uchwały względem tego wydawali, sami nic nie robiąc, to z pewnością z tego, co potrzeba, nic na czas oprobionem nie będzie, bo część narodu pokrzywdzona zawsze się będzie opuszczać, wskutek czego wy ich będziecie musieli zwalczać w miejsce nieprzyjaciół.

Jeszcze raz więc wszystko powtarzam: niech każdy z tego, co ma, płaci podatek stosownie do majątku; niech wszyscy idą na wojnę, kolejno, póki wszyscy nie wysłużą; niech każdemu, kto chce, wolno będzie mówić, a wy wybierzcie z tego rzeczy najlepsze, nie pierwsze lepsze, co ten lub ów powie. A jeżeli to zrobicie, cześć będzie i mowcy i wam, bo rzeczpospolita lepiej się mieć będzie.

## II.

### TRZECIA MOWA PRZECIWI FILIPOWI.

---

Ateńczycy! Wprawdzie na każdym niemal zgromadzeniu wiele się mówi o szkodach, które Filip od chwili zawarcia pokoju wam i wszystkim innym wyrządza, wprawdzie wszyscy, o tem mówiący, wyrazili zdanie — chociaż tego nie czynią — że należy radzić i działać, aby kres położyć jego zuchwalstwu i ukarać go: jednakże pomimo tego wszystkiego tak z nami jest źle, że boję się, by to, co powiem, nie było bluźnierstwem, lecz prawdą: oto gdyby wszyscy tu obecni chcieli radzić i głosować tak, aby przez to położenie nasze stało się jak najgorszem, przecież, sądzę, nie mogłoby być gorzej niż teraz. Wiele zapewne jest przyczyn tego, i nie jedna ani nie dwie w takim stanie nas postawiły. Jeśli dokładnie badać będziecie, przekonacie się, że winni temu przedewszystkiem mowcy, którzy woleli prawić wam pochlebstwa zamiast dawać dobre rady; jedni z nich strzegą swego wpływu i znaczenia, a rzeczpospolita nie ich nie obchodzi, inni zaś oskarżają tylko i obwiniają tych, co są u steru rządów, czyli nie innego nie robią, jak tylko, aby państwo w sobie szukało winnych i tem było zajęte, Filip zaś aby mógł mówić i czynić, co chce. Podobne rządy weszły u was w zwyczaj i one to są winne złemu.

Proszę was, Ateńczycy, abyście, jeśli wam otwarcie prawdę powiem, za to gniewu do mnie nie czuli. Bo pomyślcie sobie tak: jesteście tego zdania, że wolność słowa we wszystkim powinna być w państwie ogólną, tak że mają ją nawet obcy i niewolnicy, a wyzwolenicy u nas z daleką większą swobodą mogą swe zdanie wypowiadać, niż obywatele w wielu innych państwach; ta swoboda jest we wszystkim, jedynie z obrad waszych zupełnie jest usuniętą. A z tego skutek taki, że na zgromadzeniach słuchacie tylko pochlebstw i rzeczy przyjemnych, a rzeczpospolita stoi już nad przepaścią. Jeśli więc teraz w takim samem jesteście usposobieniu, nie mam co mówić; ale jeżeli chcecie posłuchać nie pochlebstw, ale rzeczy, które wam korzyść przyniosą, gotów jestem., Bo chociaż z nami tak źle, chociaż ponieśliśmy tak wielkie straty

wszystko jeszcze da się naprawić, jeśli tylko wy zechcecie czynić, co należy. I może to, co powiem, wyda się niedorzecznem, a przecież to prawda: to, co było w przeszłości największym złem, może w przyszłości być największym dobrem. Cóż to jest takiego? Gdy wy ani wiele, ani mało, słowem nic nie robicie, z rzeczapołpitią źle się dzieje; gdyby więc tak samo było, choćbyście czynili wszystko, co potrzeba, wtedy ani nadziei polepszenia żywiłby nie można. Ale Filip zwyciężył tylko waszą lekkomyślność i niedbalstwo, miastem jeszcze nie zawładnął, nie pokonał was, ani nawet z miejsca nie ruszył.

Jeżeli wszyscy to przyznajemy, że Filip z nami wojnę prowadzi i pokój narusza, przeto każdy mowca, który tu występuje, niech o niczem innym nie mówi i nie radzi, tylko jakby się mu najbezpieczniej i najłatwiej bronić. Ale są tacy nierozumni, którzy, własnymi oczyma patrząc na to, jak Filip miasta jedno po drugim zajmuje, jak się panoszy naszymi posiadłościami, jak wszystkim ludziom szkody wyrządza, pozwalają, że niektórzy na zgromadzeniach do znudzenia powtarzają, że między nami są sprawcy wojny. Tego dopiero koniecznie wystrzegać się należy i w tym względzie zdanie prostować, bo zachodzi obawa, aby kiedy ten, co poda wniosek i radzić będzie, jak się bronić mamy, nie podpadł zarzutowi, że wojnę sprowadził. Ja więc przedewszystkiem o tem powiem i to rozwinę, czy możemy się naradzać nad wyborem: zachować pokój czy prowadzić wojnę.

Jeżeli miasto nasze — żeby od tego zacząć — może zachować pokój, jeżeli to jest w naszej mocy, to — oświadczam stanowczo — musimy go dotrzymać, a mowca, który w tym kierunku wnioski podaje, niech je poda na piśmie, niech działa, a nie kręci. Ale jeżeli strona przeciwna z bronią w rękę, z ogromnem wojskiem, zasłania się przed wami słowem »pokój«, a sama w istocie wojnę prowadzi, cóż innego pozostaje, jak bronić się? Chyba powiecie, iż przestrzegacie pokoju, tak jak on: w takim razie nie mam nic przeciwko temu. Jeżeli zaś kto słowo »pokój« tak rozumie, że Filip dopiero, gdy się ze wszystkim upora, na nas uderzy, to taki człowiek po pierwsze nie jest przy zdrowych zmysłach, po wtóre sam przyznaje, że on od nas ma pokój, ale nie my od niego. To jest, co sobie Filip kupuje, na co wielkie łoży sumy: on wprawdzie z nami wojnę toczy, ale my z nim nie.

Może tak długo czekać będziemy, aż on nam oświadczy, że wojnę prowadzi? — w takim razie niema na świecie większych głupców. Bo jeżeli sądzić po tem, co innym państwom zrobił, nigdy Filip otwarcie wojny nie wypowie, gdyby nawet uderzał na samą Attykę i port pirejski. Przypatrzmy się, jak z innymi postąpił. Olintyanom, kiedy od miasta był oddalonym zaledwie o czterdzieści stadyów, oświadczył, że jedno z dwojga być musi: albo im nie żyć w Olincie, albo jemu w Makedonii; a jeżeli mu ktoś przedtem podobne zamiary wytykał, oburzał się na to i wysyłał posłów, którzyby go usprawiedliwiali. Zupełnie tak samo wyruszył do Fokejczyków, jako do sprzymierzeńców — a sami posłowie fokejscy towarzyszyli mu w drodze, — a u nas wielu nie dało się przekonać, że ten pochód gorzkie Tebanom przyniesie owoce. Przecież

niedawno temu w taki sam sposób zajął Ferę, wszedłszy do Tessalii jako przyjaciel i sprzymierzeniec, a wkońcu oświadczył nieszczęśliwym Orejtom, że z życzliwości ku nim posłał wojsko, któreby ich odwiedziło; bo słyszy, że są chorzy i w niepokoju, a obowiązkiem jest sprzymierzeńców i prawdziwych przyjaciół w podobnych okolicznościach przybywać z pociechą. Więc jeżeli on tych, którzy wprawdzie mogliby się może obronić, ale sami nigdyby mu nie złego zrobić nie zdołali, wołał zdradą podejść aniżeli otwarcie zgnębić, to czy sądzicie, że walczyć z wami nie będzie bez poprzedniego wypowiedzenia wojny? i to jeszcze kiedy? wtedy, gdy wy sami chętnie dajecie się oszukiwać? Niepodobna; byłby bowiem najgłupszy na świecie, gdyby w czasie, kiedy wy, przezeń krzywdzeni, nie upominacie się o to, tylko siebie nawzajem obwiniaacie, uśmierzał wasze waśnie i spory i przeciwko sobie je zwracał, a przez to także zamykał usta swym jurgielnikom, którzy was oszukują, mówiąc, że Filip z rzeczpospolitą żadnej zgoła wojny nie toczy.

Na Zeusa! czy człowiek rozsądny ze słów czy też z czynów wnosi, czy kto pokój zachowuje albo go przekracza? Chyba niema takiego, ktoby na słowach w tym względzie budował. A Filip zaraz z początku, w pierwszych dniach po zawarciu pokoju, zanim Diopetes mianowany został wodzem i zanim wysłano do Chersonezu wojsko, które tam teraz obozuje, zajął Serreion i Doriskos, z Serreion Teichos i ze Świętej Góry wypędzał załogi, przez naszego wodza tam osadzone. A jeżeli tak postępował, to co robił? Przecież zaprzysiągł pokój! I niechaj mi tu nikt nie mówi »cóż z tego?« albo »co rzeczpospolitej na tem zależy?« Gdyby to były drobnostki, albo gdyby to was nie obchodziło, to co innego. Ale jeśli ktoś gwałci prawo boskie i ludzkie, to na jedno wyjdzie, czy w większej czy w mniejszej mierze. Jeżeli Filip dalej wysyła wojsko do Chersonezu, który i król i wszyscy Hellenowie za nasz uznali, i jeżeli w liście przyrzeka pomoc przeciwko nam, w takim razie coź robi?

Zapewne powiesz, że wojny nie prowadzi? Ja wobec jego postępowania nie mogę mówić, że pokoju przestrzega; przeciwnie, widząc, jak on napada na Megarę, jak na Eubei zaprowadza tyranią, jak obecnie wkracza do Tracyi, jak wicherzy w Peloponezie, a wszystko to wykonywa z pomocą siły zbrojnej, muszę przyznać, że pokój gwałci i wojnę z wami toczy; chyba że powiecie, iż ci, co stawiają tarany, zachowują pokój, dopóki ich nie podsuną pod mury. Ale tak powiedzieć nie możecie. Bo ten, kto gotuje środki i sposoby, którymiby mię pojmał, walczy ze mną, choć jeszcze nie rzuca pocisków i łuku nie napina.

Przez coź więc bylibyście zagrożeni niebezpieczeństwem w danym razie? Przez to, żeście stracili Hellespont, że wasz nieprzyjaciel posiadał Megarę i Eubeę, że państwa Peloponezu stoją po jego stronie. I czyż ja potem mógłbym utrzymywać, że ten, co takie maszyny wnosi przeciw miastu, zachowywa z niem pokój? Broń Boże! Raczej twierdzę, że on prowadzi z wami wojnę od chwili, kiedy Fokejczyków uciemieżył. Was zaś, jeśli już powstaniecie do walki z nim, nazwę roztroprnymi, ale jeżeli teraz zaniechacie, nie będziecie mogli potem tego zrobić, choć-

byście chcieli. I tak mocno się różnię od innych waszych doradców, że według mnie niema co teraz zastanawiać się nad Chersonozem i Bizancyem, lecz posłać im pomoc i starać się, aby krzywdy nie ucierpieli, naradzać się także potrzeba nad losem wszystkich Hellenów, którym wielkie grozi niebezpieczeństwo. Chcę zaś wam wyjaśnić, co wzbudza we mnie taką obawę o rzeczpospolitą, ażebyście, jeżeli rozumowanie moje jest dobre, rady me przyjęli, do nich się zastosowali, i jeżeli już o innych wam nie chodzi, o swoim bezpieczeństwie myśleli; gdyby się zaś wam wydawało, że mówię nie do rzeczy i marzę, abyście ani teraz ani potem na mnie nie zważali, jako na obłąkanego.

Że Filip z małego i nikłego początku doszedł do takiej potęgi, że Hellenowie nawzajem sobie niedowierzają i gryzą się między sobą, że daleko trudniej Filipowi było stać się potężnym ze słabego aniżeli teraz, kiedy już tak wiele zdobył, resztę podbić pod swoje panowanie: to wszystko, o czem mógłbym się rozwodzić, pomnę milczeniem. Ale jedno muszę podnieść. Widzę ja, że wszyscy, począwszy od was, dali mu to, o co przez cały wiek poprzedni toczyły się wszystkie hellenśkie wojny, mianowicie wolność czynienia, co tylko mu się podoba, wolność kolejnego gnębienia i niszczenia Hellenów i ujarzmiania ich miast. Wszakże i wy, Ateńczycy, przodowaliście Hellenom przez lat siedmdziesiąt i trzy, przodowali i Lakedemonowie lat dwadzieścia dziewięć; w ostatnich czasach Tebanie doszli do przewagi po bitwie pod Leuktrą. A przecież ani wy, ani Tebanie, ani Lakedemonowie nigdy nie mogli czynić, coby zechcieli. Przeciwnie, gdy się tylko zdawało, że wy właściwie ówcześni Ateńczycy, samowładnie z kim postępują, wtedy wszyscy, nawet ci, którzy im nic nie mieli do zarzucenia, musieli koniecznie wraz z pokrzywdzonymi chwycić za broń. Tak samo kiedy Lakedemonowie przyszli do hegemonii i objęli to samo przewodnictwo i kiedy chcieli wzbąć się w górę i nadto samowładnie zmieniali istniejący stan rzeczy, wtedy tak samo zerwała się przeciw nim burza; nawet ci powstałi, którzy się na nich o nic zgoła uskarżać nie mogli. Po co o innych mówić? Wszakże my sami, tak jak Lakedemonowie, nie mogliśmy się skarżyć na szkody, wzajemnie sobie wyrządzone, — jednakże, widząc resztę pokrzywdzoną, uznaliśmy za swój obowiązek toczyć wojnę w jej obronie. A przecież wszystkie krzywdy, jakie mogli wyrządzić Lakedemonowie w przeciągu lat trzydziestu i wasi przodkowie przez lat siedmdziesiąt, niezem są, Ateńczycy, wobec tych, których dopuszcza się Filip w niecałych trzynastu latach, odkąd objął władzę.

Pomijam już Olint i Apollonią, pomijam trzydzieści dwa miasta trackie, które wszystkie z taką dzikością zburzył, że przechodzącemu tamtędy trudnoby było poznać, że to kiedykolwiek było mieszkanie ludzkie; nie wspomnę też o zdławieniu Fokejczyków. Ale jakże się obzedeł z Tessalami? Czy nie pozbawił ich wolności i rządów, czy nie poustanawiał tetrarchów, aby już nie pojedyncze miasta, ale cały naród trzymać w niewoli? Czy nie powprowadzał tyranów do miast eubejskich, na wyspę, tak bliską Tebom i Atenom? Czy w listach nie pisze wyraźnie: »Zachowuję pokój z tymi, którzy mi są posłuszni.« A czy tego,



co pisze, nie dowodzi czynem? Wszakże uderza na Hellespont, przedtem pokonał Ambrakią; Elis, tak ważne na Peloponezie miasto, w jego jest rękę; niedawno Megarę zająć usiłował: cała Hellada, wszystkie barbarzyńskie kraje, nie mogą jego cheiwości nasycić! A my, Hellenowie, temu wszystkiemu się przypatrujemy i przysłuchujemy, nie porozumiewamy się z sobą w tej sprawie, nie oburzamy się, lecz względem siebie wrogo stoimy, miasta oddzielają się od siebie jakby rowami, tak że dotąd nic pożytecznego lub potrzebnego nie zdziałaliśmy, aniśmy się nie połączyli dla wspólnej obrony; przypatrujemy się bezczynnie, jak Filip staje się coraz mocniejszy; każdy — zdaje mi się — sądzi, że ten czas, w którym inny ginie, wychodzi na jego korzyść, a bynajmniej nie myśli i nie pracuje nad tem, jakby sprawę helleńską ocalić, chociaż każdy wie, że podobny peryodycznej febrze lub innej jakiej chorobie rzuci się Filip i na tego, który się mniema na długo być bezpiecznym.

Zapewne też wiecie i to, że wszystkie krzywdy, które Hellenom wyrządzili Lakedemonowie, albo i my, pochodziły przynajmniej od rodzonych synów Hellady; i niejeden porównywał to z takim stanem, jak gdyby prawy syn, właścicielem będąc wielkiego majątku, nie zarządzał czem uczciwie i skutkiem tego zasługiwał na naganę, ale nikt nie może powiedzieć, że on nie jest panem majątku, względnie jego prawym dziedzicem. Gdyby jednak syn nieprawy albo niewolnik rozpraszał i marnował majątek, który nie należy do niego, jakżeby się wszyscy na to oburzali! Ale na Filipa nikt się nie oburza! na Filipa, który nie tylko nie jest Hellenem i nic nie ma z Hellenami wspólnego, ale nawet nie jest barbarzyńcą z takiego kraju, któryby zasługiwał na pochlebniejszą wzmiankę! To nizezemy Makedończyk, z kraju, skąd pierwiej nawet dobrego niewolnika trudno było dostać.

Do zupełnej zbrodni czegoż jeszcze nie dostaje? Czy nie urządza on pityjskich uroczystości, igrzysk wspólnych wszystkim Hellenom? czy nie wysyła niewolników na sędziów, gdy sam nie przybywa? Czy nie ma w swych rękach Termopilów i wszystkich dróg, wiodących w głąb Hellady? czy nie zabezpiecza sobie ich posiadania wojskowemi załogami? Czy nie ma pierwszeństwa w zapytywaniu się wyroczni? prawa, którego nawet nie wszyscy Hellenowie mogli dostąpić? Czy Tessalom nie dyktuje praw, któremi się mają rządzić? Czy nie wysyła wojsk, jedne oddziały do Portmos, aby tam zniszczyć stronnictwo ludowe, inne do Oreos, aby wprowadzić tyrana Filistidesa? Na to wszystkie Hellenowie patrzą, a pozwalają na to; patrzą na to, jakby na chmurę gradową: każdy pragnie, aby go ominęła, ale nikt się o to nie stara.

I nie tylko nikt mu nie stawia tamy, kiedy całą Helladę krzywdzi, ale nawet w tem, co każdy pojedynczo od niego wycierpieć musi, nikt mu nie przeszkadza; tak daleko już zaszło. Czyż Filip nie napadł na miasta korynckie, Ambrakią i Leukadę? czy Etolom nie obiecał wydać Naupaktu, miasta, należącego do Achajów? czy Tebanom nie odebrał miasta Echinos? a teraz czy nie idzie przeciw własnym sprzymierzeńcom Bizantynom? Czy — wszystko inne pomijam — nie posiada naszej Kardyi, miasta największego na Chersonezie? To wszystko wszyscy zno-

sząc, wahamy się, zakładamy beczynnie ręce, spoglądamy na sąsiadów, wzajemnie sobie niedowierzając, a nie temu, który nam wszystkim szkodę wyrządza. A przecież, jeżeli ze wszystkimi sobie tak poczyna, to jakże myślicie postąpi wtedy, skoro po jednym nad każdym zawładnie?

Jakaż tego przyczyna? Bo nie bez rozumnej przyczyny i nie bez słuszných powodów dawniejsi Hellenowie miłowali wolność, tak jak dzisiejsi niewolę. Była wtedy, Ateńczycy, w sposobie myślenia wielu rzecz, której teraz niema, a która pokonała perskie pieniądze i do wolności prowadziła Helladę; rzecz, która ani na morzu ani na lądzie nie poniosła klęski; obecnie jednak zginęła ona, a z nią nastał ogólny upadek, rozstrój i przewrót we wszystkich sprawach helleńskich. Cóż więc to było? Oto wszyscy oburzali się, jeśliby ktoś brał pieniądze od ludzi, którzy tylko panowania pragną i zgubą grożą Helladzie; największą hańbą było, być przekonany o przekupstwie, a występki takie najsurowszemi był ścigany karami. Nie można więc było za pieniądze kupić sobie dogodnej pory, którą często los nastęrcza nawet niebacznym przeciwko ludziom uważnym: nie można było kupić ani od wodzów ani od mowców; nie za pieniądze też była wzajemna zgoda i niedowierzanie względem tyranów i barbarzyńców; słowem nie podobnego za pieniądze nie było. Dzisiaj to wszystko, jakby na targowisku wystawione, jest na sprzedaż, a w miejsce tych cnót wprowadzono do Hellady to, co ją zrobiło bezsilną i co ją zgubi. Co to takiego? Zazdrość, jeżeli kto wziął skąd pieniądze; śmiech, jeżeli się do tego przyznał; gniew, jeżeli kto takich ludzi wytyka, i wszystkie inne skutki przekupstwa. Bo zasoby, na których się potęga państwa opiera, a więc okręty wojenne, więc wielką liczbę ludności, więc obfite dochody, to wszystko dzisiaj wszyscy mają i w większej mierze i w daleko większych rozmiarach niż dawniej. Ale to wszystko ludzie przekupni zrobili nieużytecznem, niepotrzebnem, bezowocnem. Że tak się rzeczy w istocie mają, to teraz przecież sami widzicie i nie potrzeba tu mego świadectwa; ale że w dawnych czasach zupełnie było inaczej, to udowodnię nie mojemi własnymi słowami, ale uchwałami waszych przodków, które oni, kazawszy wyręć na spiżowym słupie, postawili na Akropolis. Oto odpis: »Artimios z Zelei, syn Pitonakta, czci niech będzie pozbawion i uważany ma być za wroga ludu ateńskiego i jego sprzymierzeńców, on sam i cały ród jego«. Potem podaną jest także przyczyna tego wyroku: »ponieważ przyniósł pieniądze od Medów do Peloponezu«. Tak brzmi napis. Pomyślcie więc, na bogów, nad tem, jakimi kierowali się wtedy Ateńczycy pobudkami i jaką była ich zasada. Oni jakiegoś tam Artimiosa z Zelei, niewolnika królewskiego — Zelea leży w Azji — ogłosili pozbawionym czci, jego samego i cały ród jego za to, że na rozkaz pana swego przyniósł pieniądze i to nie do samych Aten, ale do Peloponezu. A tego wyroku nie należy rozumieć tak, jak utratę praw obywatelskich, bo cóż mieszkańcowi Zelei zależało na prawach ateńskich? Otóż w prawach, mówiących o krwi, jest co do tych, którzy nie mogą wnosić skargi o morderstwo, ustęp: »i niech umrze, jak pozbawiony czci«. To znaczy, że ktokolwiekby takiego zabił,

jest wolny. A więc widać, że przodkom naszym leżało na sercu dobro całej Hellady, skoro ich to obchodziło, że ktoś na Peloponezie obywateli sobie zyskuje przekupstwem. Tych zaś, którym tego dowiedziono, karali w powyższy sposób, umieszczając ich imiona na słupach. Nie dziw więc, że Hellenowie straszni byli barbarzyńcom, nie barbarzyńcy Hellenom. Ale dzisiaj nie tak! dziś inaczej na to wszystko się zapatrujecie, wiecie dobrze, jak. Nie lepiej też i wśród reszty Hellenów. Toteż obecne położenie wymaga wielkiego starania i dobrej rady. Czy mam mówić, jakiej? Czy chcecie posłuchać i czy się gniewać nie będziecie?

(Tu odczytał Demostenes wniosek, na piśmie podany, jak tego wymagała ustawa. Wniosek ten do nas nie doszedł. Z treści mowy sądząc, wnosić potrzeba, że najprawdopodobniej żądał przymierza z Tebanami lub federacyi wszystkich państw greckich przeciw Filipowi).

Niedorzeczne to więc gadanie tych, którzy nas uspakajają tem, że Filip nie jest jeszcze tak potężnym, jak niegdyś Lakedemonowie, którzy byli panami morza i całej ziemi, którzy z królem byli w przymierzu, i wszystko się przed nimi korzyło; — a przecież miasto nasze przeciw nim powstało i nie uległo. Na to ja odpowiem, że od tego czasu wszystko naprzód postąpiło i świat dzisiejszy zgoła niepodobny do dawnego; ale nie się tak nie zmieniło i nie zostało udoskonalone, jak sztuka wojenna. Najpierw wiadomą jest rzeczą, że Lakedemonowie, tak samo jak wszyscy, walczący w owym czasie, wybrawszy dogodną porę, przez cztery lub pięć miesięcy w roku wyprawiali się na nieprzyjaciół z wojskiem, złożonem z hoplitów i z obywateli, a spustoszywszy kraj nieprzyjacielski, wracali do domu. A tak to było po staremu, nawet w prawach kraju, że nigdy nie walczono złotem ani przekupstwem, ale wojna zawsze była godziwą i jawną. Teraz sami widzicie, że największe szkody ponieśliśmy z łaski zdrajców, i na nie wszelka sztuka i taktyka wojenna. Słyszycie także, że Filip nie przez swych hoplitów toruje sobie drogę wszędzie, dokąd idzie, ale przez to, że wojsko jego składa się z lekkozbrojnych, z konnicy, z łuczników i z najemnych żołnierzy. Gdy więc na czele takiego wojska wtargnie do kraju, rozdartego niezgodą, a nikt nie pospieszy na obronę, to oczywiście, w lot ustawiwszy tarany, dokona oblężenia; pomijam już to, że dla niego lato lub zima nie istnieje, że o każdej porze roku może wojować i wojuje. Skoro o tem wszyscy wiemy, to potrzeba przedewszystkiem starać się o to, aby nie wpuścić wojny w głąb swego kraju, ani też nie oglądać się za takim prowadzeniem wojny, jak dawnymi czasy z Lakedemonami, ale należy działaniem i zbrojeniem się naprzód się zabezpieczyć, nie dopuścić do tego, aby Filip ruszył z Makedonii, wreszcie unikać z nim otwartej, stanowczej bitwy. Bo w razie wojny, Ateńczycy, natura sama daje nam wiele korzyści, jeżeli zrobimy, co potrzeba: położenie Makedonii jest takie, że większą jej część można napadami złupić i spustoszyć i tysiączne inne odnieść korzyści; a do walnej bitwy Filip lepiej jest przygotowany, niż my i lepiej wyćwiczony.

Ale cała wojna, wszystkie działania wojenne, nie wystarczą, jeżeli z całej duszy i z głębokiego przekonania nie znienawidzicie tych z pośród

siebie, którzy przemawiają w obronie Filipa; bo niepodobna pokonać nieprzyjaciół zewnętrznych, jeśli się wprzód nie zdusi wrogów domowych, służących tamtym. Tego wy, przez Zeusa i innych bogów, nie potraficie zrobić, boście już doszli do takiego stopnia głupoty czy szaleństwa, nie wiem już, jak mam to powiedzieć, — bo często mię straszna myśl dławi, czy jaki zły demon nie opętał naszego miasta, — że chcąc usłyszeć potwarz albo żart dowcipny, wzywacie na mownicę ludzi przekupionych, z których wielu nawet się nie zapiera tego, i cieszycie się, jeżeli na kogo brutalnie napadają. Ale to, choć złe, nie jest jeszcze najgorszem; nieszczęściem straszmem jest to, że wy takim ludziom powierzacie ster rzeczypospolitej z daleko większem zaufaniem, aniżeli tym, który chcą waszego dobra. A przecież sami widzicie, jakie klęski sprowadza chęć słuchania takich ludzi. Przytoczę wam przykłady, które wszyscy znacie.

Było w Olinicie pomiędzy kierownikami rzeczypospolitej kilku stronników Filipa, którzy mu we wszystkim służyli, i kilku, stojących przy dobrej sprawie i pragnących tego, aby miasto nie popadło w niewolę. Kto zgubił ojczyznę? kto zdradziecko wydał Filipowi jeźdźców, poczem Olint musiał upaść? Stronicy Filipa! którzy, póki Olint istniał, tak oskarżali i spotwarzali mowców, broniących dobrej sprawy, że lud olintyjski dał się nawet namówić do skazania Apollonidesa na wygnanie.

Nie tylko w Olinicie poszły z tego zwyczaju wszystkie nieszczęścia i klęski. Tak samo stało się w Eretryi. Skoro po wypędzeniu Plutarcha z jego najemnikami lud objął władzę w mieście i w Portmos, utworzyły się dwa stronnictwa: jedno ciążyło ku wam, drugie przechylało się na stronę Filipa. Tak było między rządzącymi. A ponieważ Eretryjczycy słuchali przeważnie tych ostatnich i niemal we wszystkim im wierzyli, dali się ostatecznie namówić do wygnania tych, którzy w ich interesie, dla ich dobra, przemawiali. Toteż ich sprzymierzeniec Filip, posławszy Hipponika z tysiącem wojska, zburzył mury Portmu i ustanowił trzech tyranów: Hipparcha, Automedonta i Klejtarcha. Potem jeszcze wypędził z kraju ludzi, którzy dwa razy próbowali wybić się na wolność.

Lecz poco tu wiele mówić? W Oreos działał na korzyść Filipa Filistides, Menippos, Sokrates, Toas i Agapajos, którzy teraz miastem władają, i o tem wiedzieli wszyscy; jednak zaś Eufrajós, człowiek, który dawniej i u nas przebywał, starał się o to, aby zostali wojnymi i nie popadli w niczyją niewolę. Dużoby o tem mówić, ile ten człowiek zniósł szyderstw i urągania u ludu. W rok wszakże przed zdobyciem, dostrzegłszy, co robią, oskarżył Filistidesa i jego współników o zdradę. Wtedy zgromadził się tłum jurgieltników Filipowych i wtrącił Eufrajosa do więzienia pod pozorem, że on w mieście wznieca niepokoje. Lud Orejtów, patrząc na to, zamiast przyjść mu z pomocą, bynajmniej się na ową gromadę nie oburzył, lecz powiedział, że Eufrajósowi dobrze się stało — i śmiał się. Potem owi, rozzuchwaleni swobodą, jakiej doznawali, wszelkich dokładali starań, aby miasto zostało zajęte,

i zamiar swój coraz więcej do skutku doprowadzali. A chociaż kto z ludu to dostrzegł, milczał, pamiętny losu Eufrajosa. I tak głęboki już panował upadek, że nikt nie miał odwagi wystąpić, chociaż niebezpieczeństwo się zbliżało, aż dopiero wtedy, kiedy wojsko nieprzyjacielskie stanęło pod murami miasta. Wtedy dopiero chwycili jedni za broń, ale zapóźno, bo drudzy zdrady swojej już dokonali. Gdy miasto w tak smutny i haniebny sposób wpadło w ręce Filipa, poczęli jego stronnicy panować z nieograniczoną władzą, i tych samych, którzy dawniej ich występki puszczali im płazem, teraz częścią skazali na wygnanie, częścią wymordowali. Eufrajos zaś zginął z własnej ręki, dowiodłszy czynem, że sprawiedliwie i bezinteresownie bronił dobra współobywateli, stając w poprzek zamiarom Filipa.

Jakaż więc przyczyna tego, że zdziwieniem zapewne zapytacie, że Olintyanie, Eretryjczycy i Orejtowie chętniej szli za głosem tych, co przemawiali na korzyść Filipa, aniżeli za tymi, co chcieli ich własnego dobra? Oto ta sama, co i u was: ci, co przemawiają za najlepszą sprawą, choćby nawet chcieli, w niczem wam schlebiać nie mogą, bo muszą o tem myśleć, jakby Rzeczpospolitą ratować; drudzy, właśnie dlatego, że wam schlebiają, działają na korzyść Filipa. Tamci radzili, aby obywatele płacili podatki, ci mówili, że nie trzeba; tamci radzili wojnę prowadzić i Filipowi nigdy nie dowierzać, ci zachować pokój. Tak szły rzeczy, aż popadli w niewolę. Tak samo działo się we wszystkim, żeby po kolei każdego wypadku nie wymieniać. Jedni mówili tak, że tylko schlebiali i żadnych przez to nie wzniecali niepokojów; drudzy doradzali sposoby, za pomocą których najlepiej złemu zaradzić, a przy tem wybuchwały waśnie i spory. Ostatecznie zaś wiele rzeczy zaniechano, nie tyle z powodu braku woli lub z powodu niewiadomości, ale dlatego, że skoro już wszystko mniemali straconem, upadli zupełnie na duchu.

Trwoga mię ogarnia, abyście i wy nie popadli w takie nieszczęście, abyście po dokładnej rozwadze nie spostrzegli, że już ratunek niemożliwy. Daj Boże, Ateńczycy, abyśmy nigdy się nie znaleźli w takim położeniu. Bo tysiąc razy lepiej jest umrzeć, niż ukorzyć się przed Filipem. Piękną nagrodę zyskali Orejtowie za to, że los swój powierzyli popiecznikom Filipa a Eufrajosa od siebie odepchnęli. Piękną także nagrodę zyskali Eretryjczycy za to, że waszych postów wypędzili a losy swe złożyli w ręce Klejtarcha: niewolnikami są i służą w nędzy i w poniewierce. Pięknie też obszedł się Filip z Olintyanami, którzy Lastenesa zamianowali hipparchem, a Apollonidesa z kraju wygnali. Głupotą i zbrodnią byłoby łączyć się nadziejami, jeżeli się słuca złych rad a nie chce wykonywać tego, co potrzeba, jeżeli się słuca ludzi, którzy przemawiają w interesie nieprzyjaciół, i mniema, że państwo nasze jest tak wielkie i potężne, że nie potrzebuje się lękać choćby nie wiem jakiego niebezpieczeństwa. Hańbą by także było mówić potem: »a któż mógł to przewidzieć? na Zeusa! trzeba było to i owo zrobić, a tego lub owego nie robić«. Olintyanie mieliby teraz dużo do powiedzenia i gdyby to byli onego czasu przewidzieli, nie byłiby tyle stracili. Dużoby też mieli do powiedzenia Orejtowie i Foczejczycy i wszyscy ci, którzy

poupadali. Ale czy się to teraz na co przyda? czy im co pomoże? Dopóki jeszcze jest nadzieja uratowania okrętu, czy on jest większy czy mniejszy, wszyscy, i majtek i sternik i każdy, na nim się znajdujący, muszą kolejno gorliwie i z wysiłkiem pracować, i starać się, aby nie zatonał; ale kiedy się już w falach morza pogrąży, daremny wszelki trud.

A więc my, Ateńczycy, dopóki jeszcze jesteśmy nietknięci, dopóki posiadamy największe miasto, największe zasoby i najzaszczytniejsze stanowisko, co mamy czynić? Zapewne niejeden z was chętnie o toby się zapytał. Ja, na Zeusa, na to pytanie dam odpowiedź i podam ją na piśmie, abyście nad nią, jeżeli zechcecie, głosowali. My sami powinniśmy się zbroić; zaopatrzyć się we flotę, w pieniądze i wojsko; bo gdyby nawet wszyscy inni Hellenowie wzdychali do niewoli, to my przynajmniej winniśmy podnieść oręż za wolność. Kiedy to wszystko skuteczniemy, wyślemy do innych państw posłów, którzyby je o tem uwiadomili, i nakłonili do zawarcia przymierza; jeżeli się to uda, będziecie mieli pomoc w niebezpieczeństwie i zasiłki pieniężne, jeżeli nie, to przynajmniej zyskacie na czasie. Ponieważ zaś macie prowadzić wojnę z człowiekiem a nie z potężnym ustalonym państwem, więc i to nie będzie bez korzyści, podobnie jak nie poszły na marne owe zeszłoroczne poselstwa do Peloponezu, sprawowane przeze mnie, Polieukta, Hegesippa i innych, które tyle dokonały, że Filip się zatrzymał, i ani na Ambrakią nie ruszył, ani na Peloponez.

Ale zgoła nie radzę tego, abyśmy, sami nie dla naszej koniecznej obrony nie robiąc, innym to przykazywali; bo nierozsądną jest rzeczą własne sprawy zaniechywać a troszczyć się rzekomo o cudze, zaniechywać rzeczy bieżące a innych straszyć przyszłością. Takiej ja rady nie podam. Owszem oświadczam, że do Chersonesu trzeba wojsku wysłać pieniądze i wykonać wszystko, czego żądają, a sami powinniśmy się przygotować, poczem innych Hellenów zwołać, zgromadzać, pouczać i zachęcać; to jest zadanie rzeczypospolitej, mającej takie znaczenie, jak wy macie. Ale jeśli myślicie, że mieszkańcy Chalkidy lub Megary Helladę uratują, a wy tymczasem będziecie spoczywali, to źle myślicie; bo jeżeli każde z tych państwek siebie zdoła ocalić, to już będzie rzeczą radosną. Na was ciąży ten obowiązek, dla was go zdobyli i wam przekazali jako dar nieoceniony przodkowie wasi po wielu wielkich niebezpieczeństwach. Jeżeli zaś każdy siedzi beczynnienie i o tem tylko myśli, jakby swą pracę zwalić na barki drugiego, to po pierwsze nigdy się nie znajdzie taki, któryby pracował, a powtóre lękam się, że kiedyś będziemy musieli naraz uczynić wszystko, może nawet to, czego-byśmy nie chcieli.

Taka moja rada, taki wniosek. Mam nadzieję, że jeśli to będzie wykonane, jeszcze i teraz wszystko da się naprawić. Jeżeli zaś kto ma lepszą radę od moich, niech wystąpi i niech powie. A co wy uchwalicie, daj Boże, aby na dobre wyszło.

Tłóm. dla tego dzieła *Stanisław Dobrzycki*.

# PROZA.

## c) Filozofia.

I. Początki. Pierwsi myśliciele usiłowali zbadać tajemnice natury i szukali przyczyny wszechrzeczy (pisząc dzieła o naturze). I w tym kierunku pierwszeństwo należy się Jończykom, a mianowicie Thalesowi z Miletu (ok. r. 600). Założyciel szkoły, jego imieniem nazwanej, Pythagoras z Samos (ok. r. 530) pierwszy nazwał się filozofem t. j. przyjacielem mądrości. Nabywszy w długich i dalekich podróżach szerokie wiadomości, osiadł w Krotonie, gdzie otoczył go zastęp uczniów, uznających go za największą powagę. (»On powiedział« — autos efa —). Słynął także jako matematyk (twierdzenie Pytagorasa).

Eleaci, których siedzibą była Elea (Velia), założona ok. 540 w południowej Italii, ogłosili jako zasadę czysty byt; założycielem tej szkoły był Xenophanes z Kolofonu (ok. 580—480), poeta, wróg materjalizmu, przeciwnik pytagorejskiej nauki o wędrówce dusz i zmysłowego pojmowania bóstw. Świat zmysłowy jest złudny i nieprawdziwy; prawdziwy i niezmienny jest tylko czysty byt, jedno i wszystko (hen kai pan) t. j. bóstwo. Tym sposobem stał się twórcą filozoficznego *panteizmu*. Następca jego Parmenides z Elei (ok. 500) twierdził, że w świecie zmysłów nic się nie tworzy i nie zmienia, że właściwie nic nie istnieje; być a myśleć — to jedno.

Naukę tę rozwinęli Zenon z Elei (ok. 460), który dowodząc, że niema ruchu ani wielości, utorował drogę skeptycyzmowi, i Melissos, dowódca floty samijskiej (Samos) przeciw Peryklesowi (ok. 440). Największy wpływ na filozofów późniejszych, mia-

nowicie na stoików, wywarł Heraklit (Herakleitos) z Efezu (ok. 500), z powodu niejasnego, zaniedbanego i paradoksalnego wyrażenia się nazywany »ciemnym«. Twierdził, że niema bytu, lecz jest tylko ciągle stawanie się; »wszystko mija, płynie« (panta rei), wszystko nawzajem się wypycha w ustawicznej zmianie i wojnie; bój (spór) jest ojcem wszechrzeczy (polemos panton pater). Świat powstał z wody, woda z ognia; potem wszystko staje się znowu ogniem — i tak naokoło. Szkoda, że nie wytłómaczył, jak się to dzieje.

Empedokles z Agrigentu (490—430), polityk, przyrodnik i cudotwórca, który, ażeby oryginalną i niezwykłą śmierć ponieść, wskoczył według podania do krateru Etny, pragnął pogodzić poprzedników i ustanowił cztery wieczyste główne żywioły: wodę, powietrze, ogień i ziemię. Z początku były one połączone, ale potem przez przyciąganie lub odpór, miłość lub odrazę (filia — neikos) połączyły albo odepchnęły się od siebie — i z tego zmieszania powstał wszechświat. W człowieku łączą się wszystkie cztery żywioły.

Leukippos (ok. 500) i Demokritos z Abdery (470—370), uczonej matematyk i medyk, są naczelnikami atomistów. W przestrzeni są nieskończone, niepodzielne drobiny, atomy; przez wzajemne ich potracanie się, uderzanie i ciśnienie powstaje wszystko; dusza składa się z najdelikatniejszych i najokrągłych atomów. W zapatrywaniach na przyrodę dali atomiści początek kierunkowi mechanicznemu, materialistycznemu, w poglądach na życie uważali przyjemność za podstawę szczęścia, dającego się uzyskać niezmiennym spokojem umysłu. (Dlatego Demokritosa nazwano wesołym »śmiejącym się« filozofem). Podkopywał on wiarę ludu. Na lepszej już drodze był przyjaciel Peryklesa Anaxagoras z Klazomenai\*). Przybył około r. 456 do Aten, które przez niego stały się odtąd głównym ogniskiem greckiej filozofii. Był nauczycielem Eurypidesa i Tukidydesa. W r. 431, oskarżony o podkopywanie wiary ludu, opuścił Ateny i żył jeszcze jakiś czas, otoczony szacunkiem, w Lampsakos. Rozumiał on już lepiej i tłómaczył jaśniej tajemnice przyrody. Przypuszcza i on, że materya powstaje z mieszania się nieskończenie małych, ale podzielnych drobinek (spermata), a kieruje tem um, prosty i niezmienny (inteligencya, νοῦς, nus.).

\*) Było to jedno z dwunastu jońskich miast w Małej Azji.



II. Sofiści i retorowie. Wychowaniem chłopca kierowali w Atenach w pierwszych latach rodzice i wykształceni niewolnicy, zwani pedagogami. W 2. połowie V. wieku weszło w zwyczaj, że dla dokończenia wykształcenia słuchali nadto młodzieńcy głośnych nauczycieli, których zwano sofistami, choć nazwa ta oznaczała pierwotnie każdego, który coś umiał i w jakiejś sztuce był biegły (sofoi — mądrzy). Naukę swoją cenili sobie sofisci wysoko i żądali wynagrodzenia hojnego; trwała ona od roku do czterech lat, a opłata dochodziła czasem do 10000 koron t. j. sumy naówczas bardzo wysokiej. Ci sofisci znaleźli wkrótce i inne zatrudnienie, bardzo zyskowne. Ze wzrostem interesów kupieckich, miejskich i handlowych, mnożyły się też niesłychanie spory sądowe a prawo nie dopuszczało adwokatów czyli obrońców w dzisiejszem znaczeniu; każdy musiał czyto wnosić oskarżenie, czy też bronić się osobiście, ale nie każdy umiał. Wyzyskiwali to piniacze t. z. sykofanci i najniewinniejszych ludzi ścigali procesami, będąc pewni wygranej, bo wygrywał ten, kto lepiej mówił, a przeto i przekonać umiał. Na to musiała znaleźć się jakaś rada. Otóż sofisci układali dla oskarżonych obrony, których tamci na pamięć się uczyli — i ciągnęli z tego wielkie zyski. Nie zawsze i to pomogło, nie każdemu z oskarżonych dopisała zdolność należytego wygłoszenia wyuczonej mowy — i z czasem weszło w zwyczaj, że nie adwokata, ale tak zwanego rzecznika przyprowadzać ze sobą pozwalano — i tym sposobem prawo dawało się obejść.

Ponieważ z tych układaczy mów jeden drugiego usiłował prześcignąć, wyćwiczyli się niesłychanie w t. z. dyalektyce t. j. umiejętnem i zręcznem przeprowadzeniu dowodu i rozumowania, choćby na fałszywej opartego podstawie. Zdarzało się, że jeden i ten sam potrafił ułożyć mowę i wywód za i przeciw, dowieść, że coś jest prawdą i nieprawdą. A ponieważ nadto panowie ci wyśmiewali zręcznemi półsłówkami i przycinkami i stare obyczaje i starą wiarę, przeto z czasem poszli w pogardę i nienawiść u ludu, tak że »sofista« znaczyło tyle, co »krętacz«. Przeciw moralności nie występowali oni, lecz po prostu ignorowali ją, nie chcieli jej znać, pomimo, że programem ich było uczyć »piękna i dobra« (kalon k'agaton\*). Wręcz

---

\*) Dobrze pomyslane kłamstwo podobało im się lepiej, niż prosta prawda — a szkodenie nieprzyjacielowi wszelkimi możliwymi sposobami uważali za obowiązek.

przeciwnie Sokrates: jego uczniowie opierali wszystko na cnocie i moralności, a z tego, że z sofistyką tak zawzięcie walczyli, widać najlepiej, jak głębokie zapuściła korzenie w warstwach wykształceńszych, gmin bowiem miał do nich zawsze wstręt i uważał ich za bezbożników. Byli jednak i między nimi bardzo poważni mężowie: — wymienimy tu niektórych.

Protagoras z Abdery, 480—410 przed Ch., przyjaciel Peryklesa, twierdził, że »człowiek jest miarą wszechrzeczy«, i uczył, jak Grek między współobywatelami odznaczyć się może. Teorya podług niego jest niczem bez praktyki, a ta niczem bez teorii. Nauka wymaga talentu i pilności — i wcześniej potrzeba ją zaczynać. Przeciwnicy zarzucali mu, że niejednej złej sprawie pomógł do zwycięstwa i zręczną dyalektyką czarne zamieniał na białe. Napływali doń uczniowie tłumnie — honorarium nie wyznaczał, bo był pewny, że więcej otrzyma, niżby zażądał. Wymowę miał świetną, czarował nią słuchaczy, »jak Orfeusz«; mógł w miarę potrzeby mówić długo lub krótko. Zajmował się także badaniem języka i oznaczał pewne gramatyczne prawidła (orton). Powodzenie jego skończyło się, gdy w książce »o bogach« wygłosił zdanie, że nie może na pewno powiedzieć, czy bogowie są, czy ich niema. Oskarżony, ratował się ucieczką, ale zginął na morzu w drodze do Sycylii. Lud uważał to za słuszną karę boską.

Oprócz niego odznaczyli się najbardziej: Stesimbrotos z Thasos, który objaśniał ukryte myśli poezji Homera (takich objaśniaczy było wielu), Prodikos z Keos, twórca synonimiki i powieści (horai) o bohaterach, a mianowicie o Heraklesie na rozstajnych drogach, powtórzonej przez Xenofonta, mowca znakomity, Hippias z Elis, nauczyciel i autor wszechstronny, który wykładał arytmetykę, geometryę, astronomię, muzykę, rytmikę i harmonię i był pierwszym uczniem w dzisiejszem tego słowa znaczeniu.

Sofiści uważali wymowę tylko za środek do celu, ci zaś którzy nazwali się mowcami, retorami (co oznaczało zarówno i nauczycieli wymowy) uważali ją samą za cel i starali się wydoskonalić sztukę dla sztuki. Arystoteles utrzymuje, że pierwszą pobudkę do tego kierunku dał lekarz sycylijski Empedokles, który słodką wymową leczył chorych, bądź wlewając w nich ożywczą nadzieję, bądź też nakłaniając do zażywania niemiłych lekarstw. Nie bez przyczyny opiewał więc w pieśniach swoich potęgę daru przekonywania, namowy (Peitho). Uczeń jego, Gorgias z Leontinoi,

doprowadził sztukę dźwięcznej i przekonywającej wymowy do wysokiej doskonałości, i otoczony największą sławą i dostatkami, umarł w bardzo późnym wieku około r. 375. Przybył on jako poseł rodzinnego miasta do Aten z prośbą o posiłki i odrazu zasłynął. Potem przenosił się z miejsca na miejsce, wszędzie z najwyższą czcią witany; tłumy młodzieży garnęły się do niego. Wymowę uważał za najwyższą z umiejętności, ponieważ człowiek bez siły i przemocy fizycznej może ludźmi podług swej woli kierować. Mów jego słuchano jak poematów, pomimo że nie wyzyskiwał t. j. nie przytaczał co chwila poetów. Nie wolny był od przesady i górnolotności, ale wady te wówczas nie raziły jeszcze i uchodziły za piękne. Treść (zwykle pochwała lub nagana) była rzeczą podrzędną, głównie chodziło o formę; nie zależało na tem, o czem się mówiło, ale jak się mówiło; były to więc niejako koncerty, popisy (epideikseis) i dlatego nazywano te mowy epideiktycznymi. O stronę moralną także nie dbali retorowie. Gorgias n. p. bronił Heleny i usprawiedliwiał jej postępowanie. Chwalono śmierć, ubóstwo i wygnanie; z czasem doszło do tego, że najbliższe i największe paradoksy, że podagra, komary, psy i myszy, sól i bób budziły zajęcie, gdy o nich retorowie prawili.

III. Sokrates. Największym przeciwnikiem sofistów, choć miał i wspólne z nimi cechy, był Sokrates, pierwszy mędrzec starożytnego świata, uznany za takiego przez wyrocznie i ludzi. Urodził się w r. 469. Ojciec jego Sofroniskos był rzeźbiarzem. Służąc wojskowo pod Potidaią ocalił życie Alkibiadesowi, jako obywatel kilka tylko razy występował z samodzielną opinią i w ucziwej sprawie. Zresztą nie miał udziału w życiu publicznym. Żona jego Xantippe, zwykła kobiecina, nie mogąca podążyć za polotem umysłu męża, może przesadnie zniesławioną została jako złoźnica. Całe dni przepędzał z uczniami, którzy się doń garnęli z miłością, całe życie biedował, obchodząc się z pogodnym umysłem bez najpierwszych nieraz potrzeb. I on chciał wychowywać obywateli podobnie jak sofisci, jednakowoż nie na wpływowych polityków za pomocą wymowy, lecz na cnotliwych ludzi za pomocą dyalektyki. Było to dla sofistów niedogodne, psuło im szyki, patrzyli nań krzywem okiem; zagorzali demokraci znowu szemrali na to, że żył w przyjaźni z uczniami swoimi Alkibiadesem i Kritiasem. Niezlomność charakteru także nie wszystkim się podobała. Znalazło się więc trzech (Meletos, Anytos i Lykon), którzy wnieśli nań w r. 399 oskarżenie, że

nie wierzy w bogów państwowych, lecz nowe bóstwa wprowadza i że psuje młodzież.

Skazany niebacznie na śmierć, wypił podaną czarę trucizny z zupełnym spokojem i pogodą umysłu, pocieszając rozpaczających uczniów obrazem piękniejszego życia zagrobowego.

Uczył on za pomocą zupełnie swobodnej rozmowy, zastosowanej do indywidualności uczniów. Często z łagodną ironią tak rzecz prowadził, że zdawać im się mogło, że on pragnie od nich pouczenia. Przez indukcję od szczegółów dochodził do ogólnej definicyi. Celem życia jest cnota, nie jest ona jednak możliwa bez wiedzy; dlatego cnota, a wiedza to jedno, i można się jej nauczyć. Czynami naszymi kieruje głos wewnętrzny, demon (daimonion), wskazujący co godziwe. Sokrates sam nic nie pisał; naukę jego przekazali nam, najulubieńszy jego uczeń Platon i historyk Xenofon.

IV. Platon, powszechnie »boskim« nazywany, ur. się 428 w Atenach z ojca Aristona; matka Periktione pochodziła z rodu Solona. Wychowanie otrzymał wszechstronne i bardzo gruntowne; pod okiem najdzielniejszych nauczycieli studyował dzieła wszystkich znakomitszych filozofów i badaczy przyrody, matematykę i fizykę. Później w licznych i dalekich podróżach (nawet do Egiptu) rozszerzał zakres swych wiadomości i poglądów na świat i życie. To też dobrze przygotowany, stanął w szeregu takich znakomitości z V. i IV. wieku, jak Tukidydes i Xenofon, Sofokles i Eurypides, Arystofanes, Feidias (Fidiasz) i t. d.

W dwudziestym roku życia przyłączył się do Sokratesa i był odtąd aż do jego śmierci, t. j. dziesięć lat, nieodstępnym jego uczniem i wielbicielem. Gdy mistrza uwięziono, ofiarował znaczny okup; po śmierci tegoż wyjechał do Megary, a stamtąd w szeroki świat. Był kilkakrotnie w Sycylii i łudził się, że przerobi takich tyranów, jak Dionysios starszy i młodszy, którzy go z początku z wielką wystawnością przyjmowali, a potem nastawali na życie, a raz nawet w niewolę go sprzedali. Wróciwszy, nabył śliczny ogród za miastem na wzgórzu, poświęcony herosowi Akademosowi i z daleka od zgiełku świata i miasta założył tam wyższą szkołę, akademią \*) nazwaną, do której śpieszyli z zapałem liczni uczniowie. W swobodnych rozmowach, przechadzając się z nimi, roztrząsał najważniejsze zagadnienia i wznosił się na najwyższe w pogaństwie etyczne sta-

---

\*) Po śmierci Platona były cztery inne akademie.

nowisko, on był bowiem przed Chrystusem pierwszy i jedyny, który wystąpił przeciw pogańskiej zasadzie, że szkodzić nieprzyjacielowi nie tylko wolno, ale nawet potrzeba. Dla dojrzałych uczniów miał nawet dłuższe wykłady, nieprzerywane rozmową. DIALOGI swoje, które są jakby obrazkami dramatycznymi, pełnymi poezji, wdzięku, polotu i głębokich myśli, pisał prawdopodobnie dopiero po śmierci Sokratesa, głównego ich bohatera. Swojej osoby nie wysuwa w nich naprzód i prawie nie wspomina.

Otoczony powszechną miłością i najwyższym szacunkiem, dożył późnego wieku (80 lat). Grecy nazywali go Homerem filozofów, a Cicero filozofów niejako bóstwem (*philosophorum quasi deum* nat. d. 2, 12). W wieku odrodzenia biusty jego były we Włoszech w każdym niemal zamożniejszym domu, zdania jego przytaczali nawet kaznodzieje (co później zakazano) — słowem składano mu nadzwyczajne i serdeczne hołdy.

Dzieła Platona dzielono rozmaicie n. p. na grupy po cztery (tetralogie). Oto najważniejsze :

1. Eutyfron o pobożności. 2. Apologia (obrona) Sokratesa, świetny obraz mistrza. Jest to mowa; — inne dzieła mają formę dialogu. 3. Kriton. Kriton namawia Sokratesa do ucieczki — bez skutku, Sokrates bowiem za pierwszy obowiązek obywatela uważa posłuszeństwo dla praw. 4. Fedon (Faidon), prześliczny obraz ostatnich dni Sokratesa i wykład tegoż o nieśmiertelności duszy. 5. Filebos o rozkoszy. 6. Symposion (uczta) o miłości, która tylko wtedy jest prawdziwa, jeżeli dąży do piękna i dobra. Dzieło to pod względem opracowania najdoskonalsze, charakterystyka osób niezrównana. 7. Fedros (Faidros) o wymowie. Prawdziwa wymowa różni się od sofistycznej, tak jak prawdziwa miłość od zmysłowej. Nie należy uczyć się mechanicznie; książka jest tylko dobra, jako podpora pamięci. Dzieło bardzo poetyczne z wspaniałą sceneryą, pisane w tonie prawie dytyrambicznym. 8. Protagoras o istocie i możliwości nauczania się cnoty. Dialog pełen dramatycznego ruchu i życia, należy do najznakomitszych dzieł Platona. 9. Gorgias zawiera bardzo zajmującą dysputę Sokratesa o życiu pośmiertnym z Gorgiasem i trzema innymi, a kończy się opowiadaniem Sokratesa mitu (*mythos*) o życiu zagrobowym. 10. Politeia (Rzeczpospolita) o ustroju idealnego państwa. Na czele jego stoi filozof, mający pilnować, by doszło do celu t. j. do szczęśliwości, opartej na cnocie. Poezja wygnana, bo zanadto rozdrażnia umysł i rozszerza fałszywe

pojęcia o bogach. Jednostka podporządkować się musi ogółowi, osobistego majątku niema, dzieci wychowuje państwo. Obywatele dzielą się na trzy stany: rządcy, wojownicy, robotnicy, jako przedstawiciele trzech cnót, t. j. mądrości, odwagi i umiarkowania. Jest to oczywiście utopia.

Nicią przewodnią filozofii Platona jest nauka o ideach. Uczył, że pomimo zmienności spraw życia, istnieją pewne wieczne i niezienne pojęcia i obrazy (ideai), które właściwie same tylko naprawdę są (ta ontą), a od nich pochodzą pojęcia piękna, dobra i prawdy. Dusze ludzkie niezawsze zamknięte są w niewoli ciała, a przypominają sobie pierwotny, wolny byt tem żywiej i jaśniej, im więcej rozbudzone jest życie umysłowe człowieka. Wieczne są: materya i bóg. Materya skłonna jest do nieładu i do złego, bóg stworzył świat, oparty na porządku (Kosmos).

V. Najznakomitszym uczniem Platona był Aristoteles, ur. 384 w Stageirze, dlatego Stageirytą zwany. Ojciec jego, nadworny lekarz Filipa Makedońskiego, był człowiekiem uczonym i dał synowi staranne wychowanie. W 17 roku życia przybył Arystoteles do Aten, ale nie zastał Platona, który wtedy podróżował. Dopiero w 3 lata później wszedł w liczbę jego uczniów. Powołany na dwór makedoński, bawił tam 8 lat, a z tego cztery lata był nauczycielem młodego Alexandra. Alexander nauczył się od niego bardzo wiele, nie nauczył się tylko prawdziwej ludzkości, choć dla mistrza zachowywał względy do śmierci, wspierał uczone jego badania, odbudował jego rodzinne miasto. W r. 335 powrócił Ar. do Aten i uczył przez 13 lat nie w akademii, lecz w lykeion (lyceum), t. j. gimnazyum, Apollonowi poświęconem i został założycielem szkoły nazwanej perypatetyczną, dlatego, że uczył, przechadzając się (peripatein — chodzić tam i nazad, albo też od tamtejszej kolumnady — peripatoi). W tym czasie powstała także większa część niezliczonych jego pism, z których tylko okruchy, co prawda olbrzymie, do nas się dostały. Po śmierci Alexandra oskarżony przez Demofila o bezbożność, umknął »by Ateńczykom nie dać możności dokonania powtórnego gwałtu na filozofii«, lecz wkrótce (w r. 322) umarł.

Był to najuczeńszy i najwszechstronniejszy mąż starożytnego świata, prawdziwy geniusz uniwersalny, ogarniający wszystkie gałęzie nauki i wiedzy, którą pierwszy ujął w system, w porządek, że tak powiemy, szkolny. Wszystkich nauk królową jest podług niego filozofia, ponieważ szuka przyczyn wszystkich rzeczy i na

pytanie »dlaczego?« daje odpowiedź. Nie lekceważy wszakże bynajmniej nauk innych, owszem na wszystkich polach jest niestrudzonym, trzeźwym, rzec można, chłodnym badaczem, a przez długie wieki był jakby prawodawcą. Arabowie tłómaczyli jego dzieła i na nich kształcili swoją mądrość; opierała się na nich i teologia i filozofia tak zwana scholastyczna, w średnich wiekach wszechwładnie panująca. Platon, powiada Goethe, jak obelisk, jak płomień, wzbija się w niebo, w stosunku do świata jest jakby błogosławionym duchem, któremu podobało się czas jakiś gościć na ziemi i przyjaźnie obdarzyć ją częścią swoich skarbów; Arystoteles jak budowniczy, szuka gruntu, zakreśla niezmierny obszar pod budowę, zewsząd zwozi materyał, porządkuje go, układa i wznosi budowę prawidłową nakształt piramidy.

Ważniejsze z ocalonych dzieł Arystotelesa są następujące: *a*) Logika (sześć dzieł); *b*) Nauki przyrodnicze (9 dzieł); *c*) Metafizyka; *d*) Etyka (3 dzieła); *e*) Polityka. W ośmiu księgach rozwija Arystoteles podstawy i obowiązki państwa. Państwo ma zadanie udoskonalić życie ludzkie ile możności. Człowiek jest stworzeniem społecznym (zoon politikon), powinien słuchać ustaw i praw, ale powinien także mieć możność samodzielnego rozwoju; *f*) Retoryka; *g*) Poetyka. Ostatnie dzieło o poezji epicznej i dramatycznej, niewykończone, zawiera, jak sądzą uczeni, niejako urywki, podręczne zapiski do wykładów. Pisał także poezye (epigramy, peany, elegie).

VI. Nie wszyscy uczniowie Sokratesa poszli za mistrzem zupełnie; byli i tacy, co odbiegli od niego w różnych kierunkach. Do najwybitniejszych należą.

*a*) Cynicy (Kynikoi) a na ich czele Antisthenes (ok. 400). Podług niego polega cnota na tem, żeby nie mieć żadnych potrzeb i unikać złego; mędrzec sam sobie wystarczyć powinien. Ponieważ życiem, pełnem zaparcia się, stwierdzał swoją naukę, miał wielu zwolenników. Sławny uczeń jego, Diogenes z Sinope (404—324), uczył tego samego. O życiu jego i dowcipie krążyło i krąży po dzień wiele anegdot, powszechnie znanych. Żył dobrowolnie w niesłychanem ubóstwie, często głód cierpiał. Spadkobiercami cyników byli w późniejszym okresie upadku stoicy, nazwani tak od podcieni (stoa), w których uczył założyciel ich Zeno (360—265).

*b*) Hedonicy albo Kyrenaicy, nazwani tak po uczniu Sokratesa Aristipie z Kyrene, który uczył, że najwyższem dobrem jest rozkosz (hedone). Ale dostąpić jej można tylko przez cnotę

i wiedzę; dlatego jest tylko dostępna mędrcom, umiejącym panować nad sobą. W ślady hedoników wstąpili Epikurejczycy. Mistrz ich Epikur (342—270) odznaczał się skromnością i prostotą życia, wyrozumiały był na ludzkie słabości i z łagodną rezygnacją oceniał świat. Rozkoszą jest nie doznawać złego, nie cierpieć bólu. Śmierć nie jest złem. Rozkosz duchowa większa jest od materialnej. Najwyższa cnota prowadzi do odróżnienia prawdziwej rozkoszy od fałszywej i do zupełnej pogody umysłu. Zasady te miały wielu zwolenników, szczególnie u Rzymian, często jednak przekręcano je i tłómaczono fałszywie.

c) Megarejczycy usiłowali połączyć naukę Sokratesa z eleacką. Tylko to, co w sobie jednolite i zgodne, jest dobre, a tylko to, co dobre, jest prawdziwe; na wszystko inne powinien człowiek być obojętny. Ponieważ biegli byli w dyalektyce (sztuce rozprawiania), przeto nazywano ich także dyalektykami albo erystykami (eris = spór). Założyciel ich, Eukleides z Megary, człowiek szlachetny, narażając się na niebezpieczeństwo, w nocy przebrany za kobietę przemykał się do Aten, by słuchać nauk Sokratesa, a po śmierci tegoż Platonowi i innym jego uczniom dawał w swoim domu gościnne schronienie. Następcami Megarejczyków byli Skeptycy (założyciel Pyrrhon z Elidy), zaprzeczający możliwości poznania i zakładający szczęśliwość na niewzruszonej stateczności umysłu.

Byli to niewątpliwie znakomici mężowie, w najlepszej wierze słabym umysłem ludzkim szukający prawdy, ale z powodu, że wielu fałszywie pojmowało ich naukę, wywołali niejedno zgorznienie.

W epoce aleksandryjskiej i bizantyńskiej już nikt nie wznosił się do wysokości filozofii doby klasycznej, choć nie brakło ani uczonych ani miłośników nauki. Z mniejszym lub większym talentem przeżuвано pozostałe z świetnych czasów wielkie myśli i dzieła.

Przekłady polskie: I. Plato, Kozłowski F. Apologia, Kriton, Fedon. A. Bronikowski: Ośm dyalogów, 1858. Rzeczpospolita, 1862—6. Prawa, 1871. St. Siedlecki: Gorgias, 1879. Laches, Apologia, Kriton, 1880. Protagoras i Eutyfron, 1881. Świderski: Menon, 1888. Maszewski: Apologia 1885. Br. Kaśinowski Fileb. II. Arystoteles. Sebastyan Petrycy: Polityka. St. Siedlecki: Poetyka.



# Z DZIEŁ PLATONA.

## I.

### OBRONA SOKRATESA.

(APOLOGIA \*)

---

1. Nie wiem, Ateńczycy, jakie oskarżyciele moi wywarli na was wrażenie, lecz ja sam nawet, pod ich wpływem, o mało, że samemu sobie wierzyć nie przestałem: z tak przekonywującą przemawiali siłą... A jednak w tem, co powiedzieli, prawdy — że się tak wyrażę — ździebełka nawet nie było. Najbardziej przecie z wielu ich kłamstw zdziwiło mnie jedno, mianowicie to, w którym wam dowodzili, że powinniście mieć się na baczności, abym, jako człowiek, dzielnie władający językiem, nie wywiódł was w pole... Nie spłonęli oni rumieńcem wstydu na myśl, iż niebawem czynem samym dowiodę im kłamstwa, skoro się pokaże w rzeczywistości, że za biegłego mówcę bynajmniej

---

\*) Obrona Sokratesa przez Platona, pisze H. Struve, charakteryzuje w sposób dobitny ducha starożytnej mądrości. Pismo to można nazwać wstępem do wspaniałego rozkwitu filozofii greckiej, do innych pism Platona oraz do dzieł Arystotelesa. Odtwarza ono posągową postać owego klasycznego mędrca, który prawdę stawiał nad wszystko, jej badaniu i nauczaniu poświęcał życie swoje, w jej służbie nie oszczędzał ani siebie, ani przyjaciół i dlatego z tem większym prawem, bez wszelkich względów ubocznych, gromił sofistycznych półmędrków, których niestety nie brak w żadnym czasie i żadnym narodzie.

Osobistość Sokratesa. występuje w tem piśmie Platona z całą siłą i wyrazistością prawdy, jako wzór niedościgniony myśliciela, który niczem nie dawał sobie zamącić spokoju i jasności umysłu, a nawet w oczach śmierci z niewzruszoną prostotą ducha zachował godność osobistą i zwyciężał wrogów wzniosłością charakteru i szlachetnością sposobu myślenia. Bez głębokiego przejęcia się tymi wydatnymi rysami osobistości Sokratesa, nie można należycie zrozumieć pism i filozofii jego wielkich uczniów, Platona i Arystotelesa.

uchodzić nie mogę — szczyt to już, doprawdy, ich bezczelności! Chyba, że biegłym mowcą zwie się u nich człowiek, mówiący prawdę: jeśli bowiem w takim słów tych używają znaczeniu, to gotów jestem przyznać, że, acz nie podług ich miary, istotnie mowcą ja jestem...

Oni więc, jak wam mówię, jednego prawdziwego słowa nie wyrzekli przed wami, ale odemnie najszczerzą usłyszycie prawdę. Nie będzie to, Ateńczycy, — Zeusem się świadczę — mowa, jaką ich była, wymuskana, strojna w krasomówcze kwiaty i ozdoby — przeciwnie, usłyszycie opowieść prostą, wygłaszaną słowami, jakie mi na myśl przychodzić będą: bo ja ufność moją pokładam w tem, że sprawiedliwe jest to, co mówię, i — niechaj czego innego nikt z was się nie spodziewa odemnie! I nie wypadaloby przecie, bym ja, w moim wieku, niby młodzieniaszek jaki, z wypracowaną przed wami występował oracją...

Jednej wszakże rzeczy żądam od was, Ateńczycy, o jedno usilnie proszę. Skoro usłyszycie mnie, broniącego się tu w taki sam sposób, w jaki przywykłem mówić i na rynku publicznym, gdzie mnie słyszało wielu z pomiędzy was, i w innych miejscach, nie dziwcie się i nie szemrajcie z tego powodu! Tak się bowiem mają rzeczy, że ja, siedmdziesiąt z górą lat dźwigając na barkach, dziś po raz pierwszy występuję przed sądem; naturalnie więc język tutejszy obcym mi jest zupełnie. Przecież, jeślibym w samej rzeczy był tu człowiekiem obcym, przebaczylibyście mi bez wątpienia, gdybym przemawiał do was w takim narzeczu i w mowie swej takich używał zwrotów, z którymi wyrośłem na człowieka: przeto i dziś słusznej, zdaje mi się, żądam od was rzeczy: nie zważajcie na mój sposób mówienia — może się on gorszym, a może lepszym okaże — a bacząc i uwagę waszą zwracajcie na jedną tylko rzecz, czy mówię słusznie, czy nie; — to bowiem właśnie stanowi zastęgę sędzięgo; obowiązkiem zaś mowcy jest mówić prawdę.

2. Przedewszystkiem więc, Ateńczycy, wypada mi przystąpić do obrony przeciwko dawniejszym, kłamiwym oskarżeniom i pierwszym moim oskarżycielom — a potem dopiero zwalczać następne oskarżenia i późniejszych oskarżycieli. Od dawna to już bowiem, od wielu już lat, liczni oskarżyciele kłamiwie czernili mnie przed wami — a oskarżycieli tych właśnie ja lękam się bardziej, aniżeli Anytosa\*) i jego towarzyszków, aczkolwiek i ci są niebezpieczni. Dla mnie jednak, mężowie, niebezpieczniejsi są owi, którzy, opanowawszy wielu z pomiędzy was jeszcze od dziecinnych lat waszych, fałszywie oskarżali mnie przed wami i dowodzili wam, że istnieje pewien Sokrates, filozof, zajmujący się badaniem zjawisk niebieskich, szperaniem we wszelkich tajnikach podziemnych, który każdy fałsz w prawdę obrócić potrafi. Oni to, Ateńczycy, ci rozsiewacze podobnych baśni, stanowią zastęg groźnych dla mnie oskarżycieli, albowiem słuchacze ich są przekonani, iż ludzie, poświęca-

---

\*) *Anytos*, syn Antemiona, najbardziej wpływowy z trzech oskarżycieli i najzaciętszy wróg Sokratesa. Posiadał on garbarnię w Atenach i prowadził rozległy handel skórami.

jący się tego rodzaju dociekaniom, nawet w bogów nie wierzą. Dalej — oskarżyciele ci, liczną stanowiący rzeszę, obwiniali mnie przed wami przez długie lata, a do tego przemawiali do was wtedy właśnie, gdyście jako pachołęta, lub niektórzy z was, jako młodzieńcy, byli w wieku, najpochopniejszym do ślepej wiary, i skargi swoje, naturalnie, wytaczali zaocześnie, gdyż nikt nie odpierał ich zarzutów.

Najdziwniejszą jednak w tem wszystkim jest ta okoliczność, że nawet o nazwiskach tych ludzi dowiedzieć się, ani też wymienić ich tu niepodobna; — komedyopisarz tylko pewien stanowi wyjątek\*). Ilu zaś tylko było takich, którzy, powodowani zawzięcią, a uzbrojeni w oszczerstwo, spotwarzali mnie przed wami, lub też takich, którzy, uwierzywszy komuś, potem i sami już przekonywali innych, wszyscy ci są dla mnie najzupełniej niedostępni: niemożliwą jest dla mnie rzeczą ani pozwać kogokolwiekbądź z nich tu, na to miejsce, ani zedrzeć z niego maskę, lecz w samej rzeczy, uniewinniając siebie, muszę walczyć niby z jakimiś niepochwytymi cieniami i dowodzić komuś fałszu, choć nikt mi nie odpowiada.

Zaznaczcie sobie zatem i wy, iż, jak wam mówię, oskarżyciele moi na dwa rozdzielają się poczty: jedni są ci, którzy tylko co wystąpili ze skargą, drudzy zaś, którzy, jak wam wyjaśniam, czynią to już od dawna — i zgodzicie się ze mną, że przedewszystkiem przeciwko tym drugim skierować muszę obronę, gdyż i wy przecie i wcześniej i więcej daleko nastuchaliście się oskarżeń z ich ust, aniżeli z ust późniejszych moich oskarżycieli.

Mam się więc usprawiedliwiać, Ateńczycy, mam usiłować, w tak krótkim stosunkowo czasie, wyrwać z korzeniem z umysłów waszych potwarz, której wy wciąż przez długie słuchaliście czasy. Pragnąłbym, aby się to ziściło; pragnąłbym, jeśli to ma na lepsze wyjść i dla was i dla mnie, oczyścić się przed wami. Sądzę jednakże, że to sprawa trudna, i nie tajno mi zgoła, jak ciężkie jest moje zadanie. Niech się wszelako spełnia wola boża: trzeba być posłusznym prawu i przystąpić do obrony.

3. Podejmiemy przeto na nowo wątek naszej mowy; jakże brzmią owe zarzuty, które się stały źródłem krążących o mnie potwarczych wieści, a u Meletosa\*\*) tyle znalazły wiary, iż mi wytoczył proces niniejszy? Cóż właściwie mówili oszczercy moi? Musimy tu powołać się na własne ich słowa, czytamy niby skargę, zaprzysiężoną przez oskarżycieli: „*Sokrates postępuje zdroźnie, zacieka się bo-wiem w badaniach zjawisk niebieskich i tajemnic podziemnych,*

\*) *Arystofanes* w komedyi »*Chmury*«, granej po raz pierwszy na scenie ateńskiej w 423 r. przed Chr. Niżej, w rozdz. 3, Sokrates przypomina przysięgłym komiczną sytuacją, w jakiej go *Arystofanes* przedstawił w »*Chmurach*«.

\*\*) *Meletos* był jeszcze młodym człowiekiem, gdy wystąpił ze skargą przeciw *Sokratesowi*. Sokrates w obronie swojej, nie bez celu, wysuwa go na pierwszy plan, jako najsłabszego ze swych przeciwników. Po śmierci *Sokratesa* *Meletos* skazany został na karę śmierci przez, żałujących surowości swej dla *Sokratesa*, *Ateńczyków*.

*falszowi nadaje pozory prawdy i innych tego uczy*“ . Taka jest mniej więcej treść owych zarzutów. Coś podobnego widzieliście wszakże i na własne oczy na przedstawieniu komedyi Arystofanesa: widzieliście tam, wystawionego na śmiech ludzki, jakiegoś Sokratesa, który baje o sobie chępliwie, iż chadza po powietrzu, i prawi prócz tego mnóstwo bredni o takich przedmiotach, o których ja zgoła żadnego nie mam pojęcia. I mówię ja to nie dlatego, iżbym miał pomiatać podobnego rodzaju wiedzę, jeśli ją kto w istocie posiada, — oby mnie tylko Meletos za ciężkie takie przestępstwo znowu nie pozwał do sądu! — lecz nie, Ateńczycy, takimi rzeczami ja nie zajmuję się zgoła... Za świadków biorę sobie wielu z pomiędzy was samych i proszę, rozjaśnijcie rzecz tę pomiędzy sobą, pomówcie o tem ze sobą, wszyscy, którzykolwiek, kiedybydź słuchaliście rozmów moich, — wielu przecie jest takich pomiędzy wami: — powiedzcież sobie nawzajem, czy kto z was słyszał mnie kiedy, rozprawiającego mało czy wiele o takich przedmiotach? I przekonacie się z tego, że i wszystko inne, co ludzie o mnie mówią, taką samą ma wartość.

4. Zaiste, ani jedna z tych wieści nie jest prawdziwą! Nieprawdą jest również, jeśli wam mówiono, iż ja podejmuję się wychowywać ludzi i biorę za to pieniądze! Zresztą, w mojem przekonaniu, zaszczytna to rzecz czuć się na siłach wychowywać ludzi, jak to czyną Gorgias Leontyńczyk, Prodikos z Keosu, albo Hippias z Elidy. Żaden z nich, o mężowie, nie waha się, chodząc z miasta do miasta, namawiać młodzież, — która przecież, według własnego wyboru, korzystać może darmo z towarzystwa własnych swych spółobywateli, — aby, porzuciwszy obcowanie ze swymi ziomkami, przystawała do nich, płaciła im za to pieniądze i poczuwała się jeszcze, prócz tego, do wdzięczności. Mamy tu jeszcze jednego uczonego męża, rodem z Parosu; o pobycie jego u nas dowiedziałem się, spotkawszy się raz z człowiekiem, który sam jeden zapłacił już sofistom daleko więcej pieniędzy, aniżeli wszyscy inni, razem wzięci, mianowicie z Kalliasem, synem Hipponikosa. Do niego to zwróciłem się z zapytaniem — ma on bowiem dwu synów — i rzekłem:

— Kalliasie! Jeśliby tak twoi dwaj synowie byli żrebakami, albo byczkami, potrafilibyśmy bezwątpienia wybrać im i ugodzić wychowawcę, któryby ich doprowadził do dostępnej dla nich doskonałości: byłby to jaki ujeżdżacz, albo hodowca bydła; skoro jednak synowie twoi są ludźmi, kogo też masz zamiar wziąć dla nich na kierownika? Któż jest mistrzem w takiej doskonałości i czysto ludzkiej i obywatelskiej? Sądzę, iż mając synów, rozważyłeś rzecz tę należycie. Czy masz — rzekę — kogo takiego, czy nie?

— Owszem, mam — odrzekł Kallias.

— Któż to taki — pytam dalej — skąd on rodem i wiele bierze za swoją naukę?

— Euenos — rzecze — Sokratesie, z Parosu, bierze pięć min.

I dla Euenosa tego głębokie poczułem w duszy uwielbienie, jeśli tylko w samej rzeczy posiada on taki talent i za swoją naukę taką skromną bierze zapłatę! Ja sam, zaiste, szczyciłbym się i pysznił, jeśli-

bym posiadał taką umiejętność. Ale, doprawdy, nie posiadam jej, Ateńczycy!

5. Tu może kto z was gotów mi przerwać pytaniem: »Cóż się więc z tobą dzieje, Sokratesie? Skądże się wzięły owe potwarze przeciwko tobie? Oczywiście przecie, jeśli byś się nie zajmował czemś, wręcz przeciwnym zajęciom innych ludzi, jeśli byś nie postępował inaczej, aniżeli drudzy, nie byłoby takiej wrzawy na ciebie i tylu plotek o tobie. Powiedz-że nam, co się to ma znaczyć, abyśmy nie sądzili o tobie, nie zbadawszy należycie sprawy«.

Zupełnie słuszną, mojem zdaniem, byłaby podobna uwaga, dlatego też postaram się wyświecić wam rzeczywistą przyczynę tych o mnie sądów i potwarzy. I może niejednemu z was będzie się zdawało, że ja żarty sobie stroję... Bądźcie jednak przekonani, że wam najszczerzą będę mówił prawdę. Rozgłos ów nieszczęsny, Ateńczycy, spadł na mnie za jakąś moją mądrość. I za jakąż to mądrość? Niezaprzeczenie jest ona mądrością czysto ludzką. Istotnie bowiem mądrość taką ja, zdaje się, posiadam; lecz ci, o których wspominałem niedawno\*), ci prawdopodobnie są mędrkami, posiadającymi mądrość jakąś wyższą od dostępnej dla człowieka, albo też... nie wiem, co mam o niej powiedzieć; sam, zaprawdę, nie znam jej wcale, a ktokolwiek mi ją przypisuje, ten mija się z prawdą i dlatego tylko tak mówi, iż ma oszczerstwo na celu. I nie burzcie się przeciwko mnie, Ateńczycy, choćby wam się i zdawało, iż zbyt zuchwałe prawię wam rzeczy... Słowa, które mam wygłosić, nie będą moje własne: powołam się na tego, od którego one wyszły, a który w oczach waszych godzien jest wiary. W sprawie mej mądrości, czy ona jest mądrością i jaką mianowicie, jako świadka postawię wam boga delfijskiego\*\*). Znacie zapewne Chajrefonta... Od młodości swej był on towarzyszem moim, był towarzyszem i wielu z pomiędzy was, wraz z wami bowiem poszedł na wygnanie i razem z wami wrócił do ojczyzny\*\*\*). I wiecie chyba, co to za człowiek był Chajrefon, z jakim on żarem rzucał się do tego, o co się pokusił. Otóż on to, pewnego razu, przybywszy do Delf, śmiał zapytać się wyroczeni... nie szemrajcie, mężowie, na to, co wam mówię... zapytał się więc, czy jest człowiek mądrzejszy odemnie? I odpowiedziała mu Pitia, że mądrszego niemasz nikogo. Poświadczy to przed wami obecny tu oto brat jego, albowiem sam on już zeszedł z tego świata.

6. Zważcie, w jakim celu wam to mówię: mam wam przecież wykazać, skąd się wzięły, miotane na mnie, potwarze. Usłyszawszy o tem, zacząłem sobie rzecz tę rozważać w następujący sposób: »Co znaczą słowa bóstwa? Co ono chce powiedzieć przez tę zagadkę? Ja przecież wiem to o sobie, że bynajmniej mędrzem nie jestem. Jakież więc zna-

\*) Sofści: Gorgias, Prodikos, Hippias i Euenos.

\*\*\*) Odpowiedź dana Chajrefontowi, według Dyogenesa z Laerty (2, 37), brzmiała: »ze wszystkich mężów najmądrszy jest Sokrates«.

\*\*\*\*) Wygnanie demokratów przez trzydziestu oligarchów i powrót ich do Aten po upadku tyranów.

czenie nadaje ono słowom swoim, nazywając mnie najmędrszym z ludzi? Rozumie się przecież, że nie kłamie... rzecz to niegodna bóstwa«.

Długo chwiałem się w niepewności, co mają znaczyć te słowa. Nareszcie, nie bez wewnętrznej walki ze samym sobą, zwróciłem się do następujących poszukiwań.

Udałem się najpierw do jednego z tych, którzy uchodzili za ludzi mądrych: jeśli już gdzie — myślałem sobie — to tam ja przekonam wyrocznie i wykażę wieszczbie: »wszakże ty twierdzisz, iż ja jestem najmędrszy, a tymczasem ten oto mędrszy jest odemnie!« Badając tego człowieka — nie mam wcale potrzeby przytaczać jego nazwiska, dość, Ateńczycy, że ten którego badanie doprowadziło mnie do mych wniosków, był to jeden z mężów stanu; — z rozmowy z nim nabrałem przekonania, że człowiek ten w oczach wielu ludzi, a przedewszystkiem w swoich własnych, zdawał się być mądrym, lecz nie był nim rzeczywiście. Starąłem się przeto wyświetlić mu, iż on sądził tylko, że jest mądry, a nie jest mądry. Otóż wskutek tego i w nim i w większej części obecnych przy tem wzbudziłem nienawiść przeciwko sobie. Lecz, odchodząc od niego, rozumowałem sobie w myśli tak: »Oto, od tego człowieka ja mędrszy jestem; prawdopodobnie bowiem żaden z nas obu wiedzą swoją nie wkroczył w dziedzinę piękna i dobra; on atoli sądzi, że coś wie, choć nic nie wie — ja zaś, wiedząc, iż nie nie wiem, nawet nie przypuszczam, że coś wiem. Zdaje się przeto, iż o maluczko przynajmniej ja mędrszy jestem, aniżeli on, już przez to samo, że nie myślę wcale, iż wiem to, czego nie wiem«.

Stąd znowu udałem się do jednego z takich ludzi, którzy słynęli, jako jeszcze mędrsi od tamtego, lecz i o nim wkońcu powziąłem zupełnie także samo przekonanie. Znowu tedy i w nim i w wielu innych wywołałem niechęć ku sobie.

7. Potem już po kolei chodziłem od jednego do drugiego: a choć spostrzegałem ze smutkiem i obawą, że budził nienawiść ku sobie, uważałem jednak za rzecz nieuniknioną ponad wszystko postawić rozkaz boży. Zgłębiając istotnie znaczenie wieszczej odpowiedzi, muszę — myślałem sobie — obejść wszystkich, którzy, według ludzkiego zdania, coś wiedzą. I, dalibóg, Ateńczycy, — prawdę bowiem przed wami mówić mi należy — w samej rzeczy, znalazłem się wobec takiego oto zjawiska, iż u tych właśnie, których najbardziej wystawiano za ich rozum, gdy m ich, posłuszny bóstwu, poddawał memu badaniu, znajdowałem największy prawie brak rzeczywistej mądrości; — inni zaś, uważani powszechnie za ostatnich, wydali mi się ludźmi, daleko bardziej zasługującymi na miano rozumnych. I muszę wam wystawić przed oczyma tułaczkę tę moję, pracę, rzecz moję, podejmowaną w pocie czoła, aby mi tylko na niewzruszonej stała podstawie wyrocznia.

Obszedłszy mężów stanu, udawałem się do poetów, tak do pisarzy tragedyi, jak i do twórców dytyrambów i do wszelkich innych pieśniarzy: tam już — sądziłem — znajdę żywe dowody, iż mniej umiem, niż oni. Biorąc tedy do rąk te z ich utworów, które uważałem za najstaranniej przez nich opracowane, wypytywałem się ich, co mają

znaczyć własne ich słowa; pragnąłem bowiem przy sposobności nauczyć się czego. Otóż, wstyd mi powiedzieć wam prawdę, mężowie, — lecz trudno, powiedzieć ją muszę. Powiem wam więc bez ogródki, że prawie wszyscy obecni lepiej, aniżeli oni, objaśniali ich własne utwory. To też nie wiele potrzebowałem czasu, aby i o poetach powziąść przekonanie, że to, co oni tworzą, tworzą nie wskutek mądrości, lecz z przyrodzonego jakiegoś popędu i natchnienia, tak samo, jak zachwyceni prorocy i wieszczkowie, wyśpiewujący wyrocznie: i ci bowiem wygłaszają wiele pięknych rzeczy, z tego jednak, co mówią, nie rozumieją nic zgoła. Że coś podobnego dzieje się i z poetami, stało się dla mnie rzeczą oczywistą. Zauważyłem atoli jednocześnie, że oni, wskutek swego poetycznego daru, wyobrażali sobie, że są najmądrszymi z ludzi i pod każdym innym względem, czego w rzeczywistości nie było. I stąd tedy odszedłem, wynosząc ze sobą przekonanie, że nad poetami mam tę samą co i nad mężami stanu przewagę.

8. Na końcu nareszcie udałem się do rzemieślników: żywiąc bowiem przeświadczenie o samym sobie, że nic, prawdę powiedziawszy, nie umiem, wiedziałem, że tu znajdę ludzi, umiejących wiele pięknych rzeczy. I nie zawiodła mnie moja rachuba; w istocie umieli oni to, czego ja nie umiałem, i pod tym względem mądrzejsi byli odemnie. Pokazało się atoli, Ateńczycy, że poczciwi ci mistrzowie mieli tę samą wadę, co i poeci: każdy z nich przez to, iż dzielnie sztukę swą uprawiał, uważał się już za najmądrzejszego i wobec wszelkich innych, najwyższej doniosłości, zagadnień. Rażąca ta niedorzeczność tak przyćmiewała ową ich umiejętność, iż w imieniu wyroczni zapytywałem samego siebie, cobym wołał: czy pozostać takim, jakim jestem, nie będąc wcale ani mądrym ich mądrością, ani ograniczonym ich ograniczonością, czy też posiadać i jedno i drugie, jak posiadają oni... Otóż odpowiedziałem i sobie i wyroczni, iż korzystniej chyba będzie dla mnie pozostać takim, jakim jestem.

9. Z tego to właśnie badania, Ateńczycy, wybuchła taka moc nienawiści, skierowanej ku mnie, nienawiści, w wysokim stopniu rozgorączkowanej i zawziętej, objawiającej się w licznych, miotanych na mnie, oszczerstwach. Tu także ma źródło i ów rozgłos, że mędrcem jestem. Zwykle bowiem obecni przy moich rozprawach sądzą, że ja sam posiadam tę mądrość, której nie przyznają drugiemu. A tymczasem, Ateńczycy, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że rzeczywiście bóg tylko jest mądry, i że w wieszczbie tej wypowiada on naukę, że mądrość człowieka niewiele co, albo raczej nic zgoła nie jest warta... I prawdopodobnie w wyroczni swojej nie myśli on o Sokratesie, a użył tylko imienia mojego, stawiając mnie, jako przykład, tak właśnie, jakby rzekł: »Ludzie, ten jest najmądrszy pomiędzy wami, kto, jak Sokrates, doszedł do przekonania, że mądrość jego w istocie żadnej nie ma wartości«.

I dziś jeszcze, postuszny bogu, chodzę pomiędzy ludźmi i, jeśli mi kto wygląda na mądrego, czy on należy do współobywateli naszych, czy to człowiek obcy, poddaję go takiemu rozbirowi i badaniu: i jeśli nie widzę w nim mądrości, staję po stronie bożej i wyświetlam mu,

iż nie jest on mądrym. Praca ta nie zostawiła mi czasu do spełnienia w zakresie spraw publicznych, żadnego czynu, godnego wspomnienia, ani też nie pozwoliła mi zająć się losem domowego mego ogniska; ot, poświęciwszy się całkiem służbie bożej, żyję, pogrążony w nędzy ostatecznej...

10. Do tego młodzi ludzie, stanowiący z własnej swojej woli zwykłe moje otoczenie, mający czas najzupełniej wolny, synowie najzamożniejszych obywateli, przysłuchują się z przyjemnością rozprawom z badanymi przezemnie ludźmi i częstokroć sami wstępują w moje ślady: usiłują przeto wybadywać innych i znajdują potem całe tłumy takich, którzy wyobrażają sobie, że coś wiedzą, gdy tymczasem nic nie wiedzą. Skutek z tego taki, że, wybadywani przez nich, oburzają się nie na samych siebie, lecz na mnie, i głoszą, że jakiś Sokrates jest to człowiek bez czci i wiary i psuje młode pokolenie. A gdy ich się kto pyta, co on czyni i czego uczy, nic na to rzec nie mogą, bo i sami nie wiedzą. Aby się jednak nie zdradzić ze swem zakłopotaniem, prawią owe, chwytane z podręczca, wszystkim filozofom zarzucane, baśni o zjawiskach niebieskich, o tajnikach podziemnych, o niewierzeniu w bogów i przerabianiu fałszu na prawdę. Prawdy albowiem, myślę, wyznać nie mają ochoty, iż wychodzi na jaw, że, nic nie wiedząc, nadają sobie pozór wiedzących. A że, o ile mi wiadomo, wszystko to są ludzie wysoko noszący głowę, ludzie gwałtowni, liczenie w zwartych występujący szeregach, a rozprawiają o mnie tonem, usuwającym wszelką wątpliwość, pełne więc macie uszy ich potwarz, któremi oddawna, a namiętnie, szarpiają imię moje. Z ich to grona rzucili się na mnie i Meletos i Aniytos i Lykon\*). Meletos, rozjątrzony o poetów, Anytos — o rzemieślników i mędzów stanu, Lykon — o mówców. Wobec tego dziwiłbym się sam, jak to już rzekłem na początku, jeśliby mi się udało, w niedługim tak czasie, wybić z umysłów waszych tak rozgłośno oszczerstwo.

Oto macie, Ateńczycy, szczerą prawdę; mówię bowiem, nic nie ukrywając przed wami, nic nie osłaniając. A przecież jestem prawie przekonany, że przez tę szczerą jeszcze i teraz zyskuję wrogów... Dowód to właśnie, że mówię prawdę, niemniej, że taki jest istotnie charakter mojej niesławy i takie jej przyczyny. I jeśli, czy teraz, czy kiedyś indziej, dojdziecie tego zechcecie, zobaczycie, że słowa moje sprawdzają się co do joty.

11. Przeciwno temu, o co mnie obwiniali pierwsi moi oskarżyciele, niech to wystarczy na moją przed wami obronę.

Z kolei postaram się rzecz swoją wytoczyć przeciwko Meletosowi, temu, jak sam twierdzi, prawemu człowiekowi i patryocie, tudzież przeciwko późniejszym oskarżycielom.

Znowu-ż tedy, jak gdyby to byli zupełnie inni oskarżyciele, bierzemy do rąk, podaną i zaprzysiężoną przez nich, skargę.

---

\*) *Lykon*, trzeci oskarżyciel Sokratesa.



Brzmi ona mniej więcej tak: »Sokrates postępuje zdroźnie, psuje bowiem młodzież i nie wierzy w bogi, w które ogół wierzy, lecz w bóstwa inne, nieznanne«.

Oskarżenie podobnej jest treści. Zbadajmy-ż każdy punkt tego oskarżenia z osobna.

Powiada tedy Meletos, że ja postępuję zdroźnie, psuję bowiem młodzież. A ja, Ateńczycy, powiadam, że zdroźnie postępuje Meletos, ponieważ w sprawie poważnej żarty sobie stroi, bo lekkomyślnie pociąga ludzi do odpowiedzialności sądowej i udaje, że go wielce obchodzą i troskę o siebie w nim budzą takie rzeczy, na które nigdy żadnej nie zwrócił uwagi. Że tak jest rzeczywiście, postaram się i wam to wykazać.

12. Pójdź-no tu bliżej, Meletosie! Powiedz mi: wszak prawda, że wielce ci na tem zależy, ażeby młodzież była jak najdoskonalszą?

— Bez wątpienia.

— Bądźże teraz łaskaw powiedziec tym oto, kto ją czyni doskonalszą? Oczywiście ty wiesz o tem, przedmiot to przecie, który cię żywo obchodzi. Wyszukawszy, jak mówisz, jej gorszyciela, stawiasz mnie tu, przed sądem, i oskarżasz... Powiedz-że także sędziom i wskaż im, kto ją udoskonala? — Widzisz, Meletosie, milczysz — nie masz na to odpowiedzi. Jak uważasz, nie sromotnie-ż to i nie dostateczny-ż to dowód tego właśnie, co ja utrzymuję, żeś ty się nigdy nie zajmował tym przedmiotem? No, powiedz-że, braciszku, kto uszlachetnia młode pokolenie?

— Prawa!

— Ależ ja, mój poczciwce, nie o to się pytam... Pytam się o człowieka, któryby przedewszystkiem posiadał już i samę tę znajomość praw.

— Ci oto, Sokratesie, sędziowie.

— Jakto, Meletosie? Ci umieją wychowywać i uzacniać młodzież?

— Oczywiście.

— Czy wszyscy bez wyjątku, czy też tylko niektórzy z nich, a inni nie?

— Wszyscy bezwarunkowo.

— Mówisz — klęę się na Herę — znakomicie i ukazujesz mnóstwo pożytecznych ludzi! Lecz jakże będzie dalej? Ci oto widzowie uzacniają młodzież, czy nie?

— I ci także.

— A członkowie rady?

— I członkowie rady.

— A czy czasem, Meletosie, nie psują młodzieży uczestnicy zgromadzenia ludowego? Czy i oni także, wszyscy bez wyjątku, podnoszą jej wartość moralną?

— I oni.

— A więc, jak widać, prócz mnie, wszyscy Ateńczycy uzacniają i uszlachetniają młodzież, a ja sam tylko szerzę wśród niej zepsucie. Czy tak mówisz?

— Stanowczo tak mówię.

— Wielkiej, doprawdy, niedoli dostrzegłeś w moim losie! Lecz odpowiedz mi jednak: jak ci się zdaje, czy i z końmi bywa to samo? Czy wszyscy bez wyjątku ludzie wartość ich podnoszą, a pewna tylko jednostka je psuje? Czy nie wprost przeciwnie mają się rzeczy, że możliwość ulepszenia ich posiada tylko ktoś jeden, albo bardzo niewielu, mianowicie ujeżdżacze, większość zaś przez obchodzenie się swoje z końmi, a zwłaszcza przez zażywanie ich, narowi je tylko? Czy nie tak bywa, Meletosie, i z końmi i ze wszelkimi innymi zwierzętami? Bez wątpienia tak, czy ty i Anytos zgodzicie się na to, czy nie. Wielkie, zaiste, byłoby to szczęście dla młodzieży, jeśliby tylko jednostka jakaś sama ją gorszyła, a wszyscy inni wpływali na nią zbawiennie. Otóż więc, Meletosie, dostarczasz sam przeciwko sobie dostatecznych dowodów, żeś nigdy nie myślał poważnie o młodem pokoleniu, i jawnie odślaniasz nieopatrzność swoją, skoro mnie oskarżasz przed sądem o to, co cię bynajmniej nie obchodzi.

13. A powiedz nam jeszcze, zaklinam cię na Zeusa, Meletosie, czy lepiej jest żyć pośród obywateli zacnych, czy pośród niegodziwych? Odpowiadaj, mój drogi, nie trudne przecież zadaję ci pytanie... Wszak niegodziwi źle się obchodzą z ludźmi, którzy z nimi w najbliższych wcióż pozostają stosunkach, dobrze zaś dobrze?

— Istotnie tak.

— Czy jest człowiek, któryby wolał doznawać raczej krzywd od swojego otoczenia, aniżeli odnosić korzyści? Odpowiadaj kochanku! Wszakże i prawo odpowiadać ci każe! Czy jest człowiek, któryby chciał, aby go krzywdzono?

— Naturalnie, że nie...

— Dalej — czy ty oskarżasz mnie tu o to, że ja z rozmysłem psuję i znikczemiam młodzież, czy też, że bezwiednie?

— O, z rozmysłem!

— Jakto, Meletosie? Tak dalece-ż ty, w twoim wieku, mędrszy jesteś odemnie, sędziwego już starca, że ty wymiarkowałeś, iż ludzie źli zawsze źle postępują względem swego najbliższego otoczenia, a dobrzy dobrze; ja zaś do tego stopnia jestem ograniczony, że nie rozumiem tego, iż, jeśli zepsuję moralnie którego z codziennych mych towarzyszków, to sam się przez to na jaki czyn niegodziwy narażę? I ja, według twego zdania, świadomie popełniam taki potworny występki? Nie wierzę ja temu, Meletosie, a sądzę, że i nikt inny uwierzyć ci nie zechce... Albo tedy nie psuję młodzieży, albo, jeśli ją psuję, to nieumyślnie: czy tak więc, czy owak, ty mijasz się z prawdą.

Lecz jeśli ja psuję młodzież, niechęący — w takim razie obowiązek nakazuje, za mimowolne takie przewiny, nie tu wytaczać sprawę, ale oświecić sam na sam i przemówić do rozumu: bo oczywiście, skoro mi się oczy otworzą, przestanę czynić to, co bezwiednie czynię. Tyś atoli nie chciał, tyś unikał zbliżenia się ku mnie i oświecenia mnie, lecz pociągasz mnie wprost tu, dokąd, według prawa, pociągani być winni ci, w których już uderzyć karą, a nie ci, których tylko oświecić należy.

14. Wszakże, Ateńczycy, jasną już jest rzeczą to, co-m wam mówił, że Meletosa bynajmniej, nigdy, przedmiot ten nie obchodził. Z tem wszystkim jednak, powiedz nam, Meletosie, w jaki to ja sposób, według twego zdania, psują młodych ludzi? Czy też może ma to już być widoczne, że zgodnie ze skargą, którąś podał na piśmie, to jest, że uczę nie wierzyć w bogów, w których ogół wierzy, a w bóstwa inne, nieznane? Czy nie tak twierdzisz, że przez głoszenie takiej mianowicie nauki ja szerzę zepsucie?

— Tak jest! Z całym przekonaniem tak twierdzę!

— A więc, Meletosie, na tych właśnie bogów, o których teraz mowa, zaklinam cię, wyłóż-no to jeszcze zrozumiałej i mnie i tym oto mężom. Ja bowiem nie mogę pojąć, czy ty twierdzisz, że ja głoszę wiarę w istnienie jakichś bogów — a zatem i sam także wierzę, iż są bogi i nie jestem zgoła niedowiarkiem i pod tym względem nie wykraczam przeciw sprawiedliwości — bogi te atoli nie są te, w które wierzy ogół, lecz inne, i to właśnie, że inne, stanowi przestępstwo, o które mnie oskarżasz: czy też utrzymujesz, że ja i sam nie wierzę w bogów i w drugich wpajam niewiarę?

— Podług mnie, ty zupełnie w bogów nie wierzysz!

— Meletosie, osobliwy człowiecze, na licha-ż ty to mówisz?! Więc ja nie uznaję za bóstwa, na równi z innymi ludźmi, ani słońca, ani księżycę?

— Klnę się na Zeusa, sędziowie, że nie! Bo on powiada, że słońce — to kamień, a księżyc — to ziemia!

— Ależ, mój Meletosie, ty, widać, oskarżasz Anaxagorasa! I ty do tego stopnia za nie sobie masz to zgromadzenie i przypuszczasz, że ono się składa z takich nieuków, którzy nie wiedzą, że w dziełach Anaxagorasa Klazomeńczyka roi się od twierdzeń podobnych? A więc młodzież odemnie uczy się tego, co nieraz ma możność najwyżej za drachmę nabyć od chóru z orchestry\*) i śmiać się potem ze Sokratesa, w razie, jeśliby on wydawał za swoją własność takie, zwłaszcza tak nierozważne poglądy! Lecz — na Zeusa! — czy ty rzeczywiście tak myślisz, że ja nie wierzę w istnienie żadnego boga?

— Nie wierzysz! Zeus mi świadkiem! Bezwarunkowo nie wierzysz!

— Nie wzbudzasz wiary do słów swoich, Meletosie, i to, jak mi się zdaje, nawet w sobie samym... Mojem zdaniem, Ateńczycy, człowiek ten — jest to, bez żadnych zastrzeżeń, napastnik i nieukrócony zuchwalec, który skargę tę podał poprostu przez butę, wyuzdanie i nierozwagę młodzieńczą. Wygląda to tak, jak gdyby on zadawał zagadkę i kusił się o jej rozwiązanie: »czy się też pozna na tem Sokrates, ów

---

\*) Orchestra, miejsce między sceną a siedzeniami widzów, gdzie chór wykonywał śpiewy i tańce. Pisarze dramatyczni często wprowadzali na scenę poglądy współczesnych i dawniejszych filozofów. Eurypides pragnął w ten sposób rozpowszechnić naukę swego mistrza, Anaxagorasa; Arystofanes ośmieszał Sokratesa. Płacę za wchód do teatru pierwszy ustanowił Perykles. Zwykła cena za miejsce, dwa obole, czasami dochodziła do drachmy; dlatego też Sokrates mówi tu »najwyżej za drachmę«.

mędrzec, że ja sobie igram i przeczę własnym twierdzeniom, czy też może wywiode w pole i jego i resztę słuchaczy?« Oczywiście to bowiem dla mnie, że w skardze swojej on sam ze sobą jest w sprzeczności tak zupełnie, jak, jeśliby rzekł: »Sokrates wykracza przeciw sprawiedliwości przez to, że nie wierzy w bogów, ale oraz, że w bogów wierzy«. Ależ to jest żart figlarski!

15. Zastanówcie się wraz ze mną, mężowie, dlaczego, mojem zdaniem, tak właśnie na jego słowa zapatrywać się należy. Ty, Meletosie, odpowiadaj nam! Wy zaś, jak was prosiłem o to na początku, pamiętajcie nie wszczynać przeciwko mnie wrzawy, gdy w sposób, do którego przywykłem, toczyć będę rozprawę...

Meletosie! Czy jest na świecie człowiek, który, aczkolwiek wierzy, iż są czyny ludzkie, nie wierzy jednak, iż są ludzie? — Niechże mi odpowiada, mężowie, a nie pokrzykuje tylko na przeróżne tony! — Czy jest człowiek, który, choć nie wierzy, iż są konie, wierzy jednak w istnienie rzeczy, dokonanych przez konie? Albo też, pomimo że nie wierzy, iż są fletniści, wierzy przecież w istnienie gry fletnistów? Nie masz takiego, przezacny człowiecze, ja to mówię i tobie i reszcie obecnych tu, skoro ty odpowiedzi dać nie chcesz. Odpowiedz-że mi przynajmniej na następujące pytanie. Czy jest na świecie człowiek, któryby, wierząc w istnienie rzeczy, tyjących się bóstw, nie wierzył wszakże temu, iż istnieją bóstwa?

— Nie masz takiego.

— Co za łaska, żeś nareszcie odpowiedział... naciskany przez obecnych... Otóż, ty twierdzisz, że ja wierzę w istnienie rzeczy boskich, — wszystko to jedno, czy one są nowe, czy stare, — i uczę o nich... A więc, podług twoich własnych słów, ja wierzę w istnienie spraw boskich, zaprzysiągłeś to przecie sam w skardze swojej. Jeśli ja przeto wierzę w rzeczy boskie, to już, rozumie się, z konieczności samej wierzyć muszę w istnienie bóstw. Czyż nie tak? Naturalnie, że tak; przypuszczam bowiem, że się zgadzasz, skoro nie odpowiadasz. Nie uważamy-ż bóstw za bogów, albo za potomstwo bogów? Tak, czy nie?

— Tak...

— A zatem, jeśli ja, zgodnie z twojem zdaniem, wierzę w bóstwa, to, jeśli bóstwa te są bogami, prawdą jest to, co ja utrzymuję, że ty wymyślasz zagadki i żarty sobie stroisz, twierząc, że ja jednocześnie, nie wierząc w bogów, wierzę przecie w bogów, ponieważ wierzę w bóstwa. Jeśli zaś bóstwa są pobocznem jakim potomstwem bogów, zrodzonym przez nimfy, lub inne jakie istoty, jak o tem głoszą podania, to któż z ludzi zechce utrzymywać, że są, prawda, potomkowie bogów, bogów jednak nie masz zupełnie. Ależ, Meletosie, niepodobna, abyś ty sprawę tej nie wytoczył mi jedynie tylko dlatego, aby nas wystawić na próbę, albo też nie wiedziałeś już chyba, za jakieby też rzeczywiste przestępstwo oskarżyć mnie przed sądem? Abyś bowiem przekonać zdołał kogo, mającego w głowie choć kroplę zdrowego rozsądku, że niekoniecznie jeden i ten sam człowiek z wiarą w rzeczy bóstw i z wiarą

w rzeczy boskie, że ten sam znowu człowiek łączyć musi wiarę w bóstwa, i w bogów, i w półbogów, — czyste to już niepodobieństwo!

16. Zresztą, Ateńczycy, żem ja nie winien zbrodni, o którą mnie oskarża Meletos, na to, zdaje mi się, nie bardzo szerokiej potrzeba obrony, — dość będzie i tego! Com wam wszakże już i poprzednio powiedział, że przeciwko mnie wre zawzięta nienawiść, że ona mnóstwo opanowała ludzi, bądźcie przekonani, że szczerą to jest prawdą. To mnie też właśnie i zgubi, jeśli zgubi istotnie: nie Meletos i nie Anytos, ale potwarze i zawiść licznej rzeszy... Zgubiły one już wielu szlachetnych ludzi i, sądząc, zgubią jeszcze w przyszłości: niemasz obawy, aby się to na mnie skończyło.

Tu mógłby mi może wystąpić kto z zarzutem: »Jakże się ty nie wstydzisz, Sokratesie, żeś się poświęcił takiemu zajęciu, wskutek którego obecnie znajdujesz się w niebezpieczeństwie, grożącym ci śmiercią?»

Dla takiego jednak słuszną miałbym odpowiedź. »Mylisz się — rzekłbym mu — człowiecze, jeśli sądzisz, iż godzi się człowiekowi, choćby nawet maluczko pożytecznemu, ważyć niebezpieczeństwo życia lub śmierci, a nie na to tylko baczyć, ilekroć coś czyni, czy postępuje sprawiedliwie, czy niesprawiedliwie, i czy jego czyny będą czynami prawego, czy nikczemnego człowieka. Podli byłiby, zaiste, według słów twoich, wszyscy ci herosowie, którzy poginęli na ziemi trojańskiej, a między nimi i syn Tetydy, który wobec zgrozy, jaką go przejmowało okrycie się sromotą, do tego stopnia gardził niebezpieczeństwem, iż, gdy się rwał zabić Hektora, a matka jego, bogini, w następujące, o ile pomnę, przemówiła do niego słowa: »Synu, jeśli pomścisz śmierć towarzysza swego, Patrokłosa i zabijesz Hektora, to sam zginiesz: wraz bowiem« rzecze »po Hektorze śmierć ci przeznaczona...« on, usłyszawszy to, za nic sobie ważył niebezpieczeństwo śmierci, a daleko bardziej uląkłszy się tego, iż miałby żyć, jako tchórz, i nie mścił się za swych towarzyszy, rzekł: »Niechaj zginę w tej chwili, wpróż ukarawszy złoczyńcę, abym tu nie marniał bezczynnie przy wygiętych okrętach, wytykany palcami, brzemię dla ziemiicy\*)«. Czy myślisz, że on dbał o śmierć, o niebezpieczeństwo? Bo tak jest rzeczywiście, Ateńczycy. Na jakimkolwiek kto sam postawi się stanowisku, uznawszy je wprawdzie za najodpowiedniejsze dla siebie, lub gdzie mu je wyznaczy jego przełożony, tam, mojem zdaniem, powinien stać niewzruszenie i stawiać czoło niebezpieczeństwu, za nic mając sobie i śmierć i wszystko inne, prócz jedynej sromoty.

17. Skoro więc wtedy, gdy mi wodzowie, wybrani przez was dla rządzenia mną, wyznaczali stanowiska — pod Potydają, pod Amfipolis, pod Delijonem\*\*), stałem, jak mur, na równi z każdym innym, tam,

\*) Iliada, 18, 79 i nast.

\*\*) O nieustraszonem męstwie Sokratesa, który i tu walczył, jako prosty żołnierz. Alkibiades (Platon, Biesiada, p. 221) mówi: »Warto było widzieć Sokratesa wtedy, gdy wojsko nasze w ucieczce cofało się od Delijonu. Ja mia-

gdzie mnie stawiali oni, i narażałem życie swe na niebezpieczeństwo: postąpiłbym oburzająco, Ateńczycy, jeślibym, ułękłszy się śmierci, czy innej jakiej kary, opuścił swoje stanowisko wtedy, gdy mi wedle przypuszczenia i rozumienia mojego rozkazuje bóg, że życie swoje powinienem poświęcić ukochaniu mądrości, oraz badaniu samego siebie i innych. Zaiście, potworneby to było! I, doprawdy, sprawiedliwie wtedy mógłby mnie kto oskarżyć przed sądem, że ja nie wierzę w bogów, ponieważ odmawiam posłuszeństwa wyroczeni, lękam się śmierci i, nie będąc mądrym, sądzę, iż mądry jestem. W samej rzeczy, Ateńczycy, obawianie się śmierci jest to mniemanie, że się jest mądrym, choć się nim nie jest; jest to bowiem przekonanie o sobie, że się wie to, czego się nie wie. Przecież nikt nie wie, czy śmierć nie jest właśnie największym ze wszystkich dobrodziejstw dla człowieka, — a tymczasem boją się jej ludzie, jak gdyby wiedzieli z pewnością, że ona jest największym nieszczęściem! I czyż to nie jest ciemnota, i to haniebna ciemnota, wyobrażać sobie, że się wie to, o czym się nie ma pojęcia?

Ja zaś, mężowie, być może, że i tu, co do tego także, różnię się od wielu ludzi i, jeślibym już przypuszczał, że pod pewnym względem mędrszym jestem od kogoś, to pod tym chyba, że, nie wiedząc dokładnie, co się dzieje w Hadesie, tak też i myślę, że nie wiem. Wiem za to, że złą i haniebną jest rzeczą postępować niesprawiedliwie i okazywać nieposłuszeństwo doskonalszemu od siebie, czy on jest bogiem, czy człowiekiem. Nigdy więc bardziej lękać się, ani unikać nie będę tego, o czym nie wiem, czy ono właśnie nie jest dobrem, aniżeli rzeczy złych, o których wiem już to, że są złe. Otóż, gdybyście nawet obecnie uwolnić mnie chcieli, nie usłuchawszy Anytosa, który dowodził, że albo nie należało wcale wytaczać mi tu sprawy, albo, skoro ją wytoczono, niepodobna nie skazać mnie na śmierć, — i tłumaczył wam, że, jeśliby mnie uniewinniono, wtedy synowie wasi, ćwicząc się w naukach, które im Sokrates wyklada, zepsują się wszyscy doszczętnie, — wobec tego, gdybyście mi rzekli: »Sokratesie, tym razem nie pójdzienny za radą Anytosa; przeciwnie, uwalniamy cię, pod tym jednak warunkiem, abyś nadal już nigdy nie oddawał się takim badaniom i nie zajmował się filozofią; jeśli cię jednak kiedy przydybią na takim uczynku, na śmierć skazany zostaniesz!« Otóż, jeślibyście mnie, powtarzam, pod takim warunkiem uwolnić byli gotowi, rzekłbym wam: »Ateńczycy, ko-

---

łem konia pod sobą. on pieszo. w ciężkiej zbroi, szedł wraz z Lachesem. Około nas wszystko pierzchało w popłochu. Spotkawszy ich, wołam, aby się nie bali: obiecuję, że ich nie opuszczę. Byłem konno, mniej się więc obawiałem o siebie i lepiej jeszcze przyjrzałem się wtedy Sokratesowi, aniżeli pod Potydamą... Szedł, spoglądając spokojnie to na swoich, to na wrogów. — ale już z daleka każdy mógł widzieć, że ten, kto się dotknie tego człowieka, dzielnie będzie odparty«. Laches zaś, o którym tu wspomina Sokrates, stary wódz, osiwił w bojach za trzeszczącą w posadach swych rzeczpospolitą. mówi o Sokratesie do swego przyjaciela: »Zapewniam cię, jeśliby wszyscy byli tacy, jak on, szczęśliwą byłaby dziś ojczyzna nasza i nie spotkałaby nas była wtedy taka straszna klęska!« (Platon, Laches, p. 181, b).

cham was i tulę was do mego serca, ale — posłuszny będę raczej bogu, aniżeli wam, i, póki mego tchnienia, póki sił moich starczy, nie przestanę garnać się ku mądrości i was zagrzewać ku niej i przekładać każdemu, kogo tylko kiedy spotkam, przemawiając, jak zwykle: »Mężu przeznaczony, będąc Ateńczykiem, należąc do rzeczypospolitej potężnej i przesławnej z mądrości i duchowej swej potęgi, czyż się nie wstydzisz troszczyć się o to, abyś miał jak najwięcej pieniędzy, o sławę, o zaszczyty, a nie dbasz i nie troszczysz się o rozum, o prawdę i o duszę swoją, aby się stała jak najdoskonalszą?« I jeśli kto z was przeczyć mi będzie i utrzymywać, iż dba o te rzeczy, nie odrazu ja z rąk go wypuszczę i odejdę sobie od niego, lecz będę go wypytywał, będę go badał i zbił jął... I jeślibym się przekonał, że nie posiada on cnoty, a twierdzi, że ją posiada, karcieć go będę za to, iż rzeczy najwyższej wartości ma za nic, a błahsze ceni wysoko.

Tak postępować będę z każdym, kogo tylko spotkam: z młodszym, czy ze starszym, z obcym, czy ze ziomkiem — tem bardziej nawet z ziomkami, o ile rodem bliżsi mi jesteście. Wiedźcie o tem, że tak postępować rozkazuje mi bóg... I przekonany jestem, że nigdy jeszcze na waszą rzeczpospolitą nie spadło dobrodziejstwo większe od tej mojej służby bożej. Wszak ja, chodząc pomiędzy wami, nie zajmuję się niczem innym, a tylko namawiam i młodszych i starszych, abyście nie wpierw i nie z takim zapałem poświęcali się zabiegom około ciała i majątku, aniżeli troskliwości o duszę, aby się ona stała jak najdoskonalszą... I dowodzę, że cnota nie jest wynikiem bogactwa, lecz i bogactwo i wszystkie inne dobra ludzkie tak dla pojedynczego człowieka, jak i dla narodu, wypływają z cnoty. Jeśli więc ja psuję młode pokolenie przez to, iż przemawiam w ten sposób — szkodliwą być musi taka nauka... Jeśli zaś kto twierdzi, że ja przemawiam nie tak, a inaczej — kłamie. Wobec tego, rzec wam mogę, Ateńczycy, czy słuchacie rady Anytosa, czy nie, czy mnie uniewinnicie, czy nie uniewinnicie — ja już postępować inaczej nie będę, choćbym miał nawet i tysiąc razy umierać!

18. Nie szemrajcie, Ateńczycy! Wytwajcie mi przy ustępstwie, o które was prosiłem: abyście, cobądźbym wam mówił, nie wszczynali wrzawy, a słuchali. Myślę nawet, że z korzyścią będzie to dla was, że mnie słuchać będziecie. Wypadnie mi wprawdzie niejedno wam jeszcze powiedzieć, z powodu czego zapewne hałaśliwą wybuchniecie wrzawą... Nie czyńcie tego bezwarunkowo! Wiedźcie bowiem, że jeśli wydadcie wyrok śmierci na mnie, na człowieka takiego, jakim wam się tu przedstawiam, daleko bardziej zaszkodzicie samym sobie, aniżeli mnie. Bo mnie osobiście, doprawdy, w niczem nie zaszkodzi ani Meletos, ani Anytos. Nię w jego to nawet mocy: nie sądzę bowiem, aby się to zgadzało z prawem bożem, żeby człowiek lepszy mógł doznawać szkody od gorszego. Może on, prawda, spowodować skazanie mnie na śmierć, albo na wygnanie z ojczyzny, albo na pozbawienie praw obywatelstwa... Ależ takie rzeczy on zapewne i ktoś tam może jeszcze za wielkie uważa nieszczęście: ja sądzę inaczej... Ja daleko bardziej poczytuję za nie-

szczyćście dopuszczenie się czynu, jakiego on się obecnie dopuszcza — występne kuszenie się o wydarcie życia człowiekowi. I obecnie, Ateńczycy, daleki ja jestem od myśli bronienia, jakby się to komu wydawać mogło, samego siebie: przeciwnie — ja przemawiam w waszym interesie — abyście, potępiwszy mnie, nie zgrzeszyli przez to przeciwko darrowi, zesłanemu wam przez boga. Jeśli bowiem zgładzicie mnie ze świata, nie łatwo znajdziecie drugiego takiego, któryby — choć to może trochę śmieszne porównanie — siadł z woli bożej na naród, jakby na konia, rosłego, prawda, i rasowego, z powodu jednak rosłości swojej trochę za leniwego i potrzebującego, aby go bąk jaki pobudzał do ruchu. Jestem przekonany, że bóg zesłał mnie rzeczypospolitej, takie właśnie wskazawszy mi postąnnictwo, abym nieustannie, po całych dniach, na każdym miejscu czepiał się każdego z was i budził i przekonywał i karciał... A drugi taki, mężowie, nie łatwo wam się dostanie: otóż, jeśli za moją pójść zechcecie radą, oszczędzicie mnie... Bardzo wszakże być może, iż wy, w przystępie złości — tak samo, jak zasypiający, gdy ich kto budzi — grzotnąwszy mnie, za radą Anytosa, zgładzicie lekomyślnie ze świata i całe życie już potem spać będziecie bez przestanku, jeśli bóg w pieczołowitości swej o was nie ześle wam kogo innego...

A że ja właśnie jestem człowiekiem takim, jaki tylko mógł być przez boga ofiarowany społeczeństwu, zauważyć to możecie i z następującej okoliczności. Nie zgadza się to ze zwykłym usposobieniem ludzkim, że ja porzuciłem wszelkie osobiste widoki i znoszę spokojnie zaniedbanie, w jakim przez tyle już lat pozostają moje sprawy domowe, a pracuję wciąż ku pożytkowi waszemu, podchodzę, jakby rodzony ojciec, albo brat starszy, do każdego z osobna i namawiam każdego, aby się ubiegał o zdobycie cnoty. I jeślibym ja z tego miał własną jaką korzyść i za namowy moje otrzymywał zapłatę, miałbym wtedy jakąś wyrozumowaną przyczynę do takiego postępowania. Tymczasem zaś, widzicie przecie i sami, że oskarżyciele moi, tak bezwstydnie oskarżający mnie o wszystko inne, w tym przynajmniej względzie nie mogli zdobyć się na bezczelność, aby postawić wam świadka, iż ja kiedykolwiek brałem, albo żądałem od kogo zapłaty. Sądzę wreszcie, że wiarogodnego ja dostarczam wam świadka prawdziwości słów moich, — ubóstwo moje.

19. Zapewne niewłaściwą wydałby się mogło rzeczą, że ja oto, chodząc pomiędzy ludźmi i krzającą się z taką skwapliwością, prywatnie tylko rad tych udzielam, a nie ośmielam się występować publicznie na waszych zgromadzeniach ludowych z radami dla rzeczypospolitej. Przyczyna tego leży w tem — o czem zresztą niejednokrotnie, w różnych okolicznościach, słyszeliście już opowieść moją — że objawia się we mnie jakieś od boga, czy od bóstwa pochodzące zjawisko. Na owo to właśnie zjawisko szyderczo w skardze swojej powołał się Meletos... A zdarza się to ze mną, od dzieciństwa począwszy: odzywa się we mnie głos jakiś wewnętrzny, który, ilekroć się odzywa, odwodzi mnie zawsze od tego, cokolwiek w danej chwili zamierzam czynić, sam jednak nie pobudza mnie nigdy do niczego. On to mianowicie sprzeciwia



się temu, abym się oddawał sprawom państwowym. I przedziwnie, mojem zdaniem, czyni, że się sprzeciwia. Bądźcie bowiem przekonani, Ateńczycy, że, jeślibym ja pokusił się był kiedyś o objęcie czynnej roli w sprawach rzeczypospolitej, z pewnością dawno już byłbym zginął i nie przyniósłbym był żadnego pożytku ani wam, ani samemu sobie. I — nie oburzajcie się na mnie, że wam mówię prawdę: lecz w samej rzeczy, niemasz na świecie człowieka, któryby zdołał ocaleć, jeśliby się z prawością opierał czy to wam, czy innemu jakiemu ludowi. Kto zaś istotnie walczy za sprawiedliwość, ten, jeśli choć na czas krótki zachować chce własne istnienie, koniecznie musi działalność swoją ograniczyć do życia prywatnego, a do rządów ludowych nie mieszać się wcale.

20. Potężne ja wam na to przytoczę dowody, nie słowa, lecz to, co wy cenicie, fakta. Posłuchajcież więc, co mnie spotkało, abyście się przeświadczyli, że, jeśliby to być miało z obrazą sprawiedliwości, ja na wół nie ustąpię nikomu ze strachu przed śmiercią, owszem, nie cofając się przed niczem, gotów jestem zginąć na miejscu. Przykre wprowadzić i niemiłe dla was będzie to, co wam powiem, lecz — prawdziwe...

Ja, Ateńczycy, nie piastowałem nigdy w rzeczypospolitej żadnego innego urzędu, prócz tego tylko, że zasiadałem w radzie pięciuset. I zdarzyło się tak, że właśnie nasz oddział, Antyochidzki, przewodniczył wtedy obradom, gdyście wy powzięli postanowienie, aby — bezprawnie, jak sami w późniejszym orzekliście czasie, — sędzić razem wszystkich owych dziesięciu wodzów, którzy po bitwie morskiej nie zajęli się byli pogrzebem poległych. Wtedy ja sam tylko jeden pomiędzy prytanami oparłem się wam, przestrzegając, abyście się nie dopuszczali żadnego czynu, przeciwnego prawom, i głosowałem przeciwnie. A chociaż mowcy wasi gotowi już byli wystąpić z oskarżeniem przeciwko mnie i żądać mego uwięzienia, a wy domagaliście się tego od nich i groźną huczelisście wrzawą, ja wszakże uważałem za obowiązek swój raczej narazić się na niebezpieczeństwo, stojąc po stronie prawa i sprawiedliwości, aniżeli z obawy przed kajdanami, czy śmiercią, przyłączyć się do was, gdyście niesprawiedliwą wydawać chcieli uchwałę. A działo się to jeszcze za swobodnych rządów ludowych w rzeczypospolitej.

Kiedy zaś nastąpiło panowanie oligarchii, trzydziestu tyranów znowuż, zawezwawszy mnie do siebie, wraz z czterema innymi, do okrągłego domu\*), rozkazali nam sprowadzić ze Salaminy Leona Salamińskiego w celu zgładzenia go ze świata. Liczne podobne rozkazy wydawali oni i wielu innym, pragnąc jak największą liczbę obywateli zakuć w przestępstwa. Wtedy to ja dowiodłem znowu nie słowem, lecz czynem, że o śmierć — że się tak, trochę może za rubasznie, wyrażę — nie dbam ani na krztę, a staram się jedynie i przedewszystkiem o to, abym nie popełnił żadnego niegodziwego, ani niemoralnego czynu. Rząd ów,

---

\*) *Tholos*, rotunda, która stała w rynku ateńskim, dom okrągły z dachem, mającym kształt kopuły. W domu okrągłym prythanowie zbierali się codziennie na obiady, które otrzymywali na koszt rzeczypospolitej. Oligarchowie tu, pod opieką tarcz spartańskich, odbywali swoje posiedzenia.

aczkolwiek tak gwałtowny, nie przeraził mnie przecież tak dalece, abym się miał dopuścić jakiej niesprawiedliwości. To też, gdyśmy wyszli z okrągłego domu, owi czterej udali się na Salaminę i przyprowadzili Leona, a ja — poszedłem sobie napowrót do domu. I za to zginąłbym był najniezawodniej, jeśliby rząd ów wkrótce potem nie został był obalony. A liczni poświadczą to przed wami świadkowie.

21. I czyż wy sędziacie, że ja przeżyłbym był tyle lat na świecie, jeślibym przyjmował czynny udział w rządzie, a w czynnościach swoich, jak na prawego człowieka przystało, bronił praw sprawiedliwości i to jedno tylko tak, jak być powinno, cenił nadewszystko? Gdzież tam, Ateńczycy! Ależ bo i żaden żywy człowiek dokazałby tego nie zdołał! A ja właśnie w ciągu całego mego żywota i w działalności publicznej, jeślim tu kiedy występował czynnie, takim się przedstawię każdemu, takim samym też i w życiu prywatnem: nigdy nikomu w niczem nie pofolgowałem z krzywdą dla sprawiedliwości, nikomu bezwarunkowo, a więc i nikomu z tych, których oto oszczercy moi nazywają uczniami moimi. Ja właściwie nigdy nauczycielem niczym nie byłem; jeśli wszakże ktoś, czy to młody, czy stary, pragnął kiedy przysłuchiwać się, gdym przemawiał i spełniał swe powołanie, niechęci mej pod tym względem nigdy nie okazałem nikomu. Nikt mi też nie zarzuci, iż wtedy tylko rozmawiam, gdy biorę za to pieniądze, a, gdy ich nie dostaję, to nie; pozwalam bowiem zarówno biedakowi, jak i bogatemu, aby mi zadawał pytania, i nawzajem, jeśli chce, odpowiadając mi, słucał tego, co mówię. A czy kto z nich staje się człowiekiem uczciwym, czy nie, odpowiedzialność za to niesłusznie brałbym na siebie, skoro nie obiecywałem nigdy nikomu z nich żadnej nauki i nie uczyłem nikogo. Jeśli zaś kto utrzymuje, że kiedykolwiek nauczył się czegoś odemnie, lub słyszał coś sam jeden tylko, czegoby nie słyszeli i wszyscy inni, bądźcie pewni, że nie mówi on prawdy.

22. Dlaczegoż to jednak niektórzy z przyjemnością w towarzystwie mojem sporo przepędzają czasu? Słyszeliście już o tem, Ateńczycy, — powiedziałem wam szczerą prawdę, że ich bawi przysłuchiwanie się badaniu ludzi, którzy wyobrażają sobie, iż są mądrymi, acz nimi nie są. Ma to bowiem i ucieśzną swoją stronę. A mnie, powtarzam, zajęcie takie poruczone zostało przez boga i za pośrednictwem wieszczb wyroczeni i w widzeniach sennych i wszelkim nareszcie sposobem, w jaki tylko kiedykolwiek jakibądź wyrok boży człowiekowi coś czynić rozkazał. Prawda to, Ateńczycy, i dowieść tego nie trudno. Jeśli ja bowiem w samej rzeczy jednych z młodzieży psuję, a drugich już zepsułem, to obecnie, skoro niektórzy z nich, doszedłszy do wieku dojrzałego, przekonali się, że im kiedyś w młodości podłość doradzałem jaką, powinni by występować tu ze skargami i mścić się na mnie. A jeśliby oni sami nie chcieli, to przecie ktoś z ich rodzeństwa, ojcowie, bracia, czy inni członkowie rodziny, powinni by teraz przypomnieć sobie o tem — jeśli istotnie ich krewni krzywdy jakiej doznali odemnie. I rzeczywiście — jest ich tu wielu — widzę ich... Jest najpierw ten oto — Kryton, rówieśnik mój, z tej samej, co i ja, gminy, ojciec tego tu — Krytobu-

losa; następnie Lizanias z gminy Sfettyjskiej, ojciec tego ot — Ajschinesa; wreszcie ten oto — Antyfon, z gminy Kefisyjskiej, ojciec Epigenesa. A dalej są i tacy, których bracia należeli do owego mego towarzystwa: jest Nikostratos, syn Teosotydesa, brat Teodotosa — a Teodotos zgaśł już na wieki, nie mógł więc on uprosić brata; — i Paralos ot, syn Demodokosa, bratem którego był Teages; jest oto i Adejmantos, syn Arystona, bratem którego jest ten, obecny tu, Platon; jest i Ajan-todoros, brat tego oto — Apollodorosa. A mógłbym wam wymienić i wielu innych, z grona których przedewszystkiem Meletos powinien był w mowie swojej podać kogoś na świadka. Jeśli to wtedy przeoczył, niech go poda teraz — ja ustępuję — niechaj mówi, jeśli ma co do powiedzenia.

Tymczasem, mężowie, przekonacie się, że rzecz ta ma się wręcz przeciwnie: wszyscy oni gotowi są śpieszyć na pomoc mnie, który, jak utrzymują Meletos i Anytos, psuję i krzywdzę im krewnych. Jeszcze ci, którzy sami zepsuci zostali przezemnie, prędzej mogliby mieć przyczynę do śpieszenia mi z pomocą, lecz owi niezepsuci, ludzie poważniejsi już wiekiem, owi krewni tamtych, jakież mogą mieć inny powód do stawiania w mojej obronie, jeśli nie ten — słuszny i sprawiedliwy, iż przeświadczeni są głęboko, że Meletos kłamie, a ja mówię prawdę?

23. Dosyć, mężowie! Wyjaśnienia te, a może, prócz tego, jeszcze coś w tym samym już rodzaju, oto prawie i wszystko, co na swoją obronę powiedzieć wam mogę. Łatwo wszakże ktoś pomiędzy wami w duchu oburzyć się może, skoro sobie przypomni, że on sam, broniąc się w procesie mniej nawet ważnym, aniżeli sprawa niniejsza, wśród łez rzęśistych prosił i błagał swych sędziów i, aby wzbudzić ku sobie litość jak największą, przyprowadził ze sobą i dzieci swoje i liczny poczet krewnych i przyjaciół: gdy tymczasem ja nie uczynię nic podobnego, choć najstraszliwsze, jakby się zdawać mogło, grozi mi niebezpieczeństwo. Bardzo więc być może, że ktoś, rozważywszy to sobie, zawiążyby się na mnie w swej pysze i, rozdrażniony takim postępowaniem, podałby głos swój, powodując się gniewem... Jeśli istotnie podobne kim z was miotają uczucia, — nie pragnę ja tego bynajmniej — jeśli wszakże tak jest, to, zdaje mi się, że do takiego słusznie mógłbym przemówić w te słowa: »Mam ci przecie, mój drogi, i ja kilku krewnych... I ja przecie — wedle znanego wyrażenia Homerosa — nie wyskoczyłem ani z dębu, ani ze skały\*), lecz pochodzę od ludzi, mam przeto swoją rodzinę... Mam nawet, Ateńczycy, i trzech synów\*\*): jednego, który już jest młodzieńcem, i dwu małych chłopaczków; żadnego z nich wszakże nie przyprowadziłem tutaj i nie będę was prosił o uniewinnienie. I dlaczegóż to ja nie uczynię nic podobnego? Nie przez zbytnią zarozumiałość, Ateńczycy, i nie przez lekceważenie was sobie, lecz — bo nie o tem już mowa, czy ja w oczy śmierci spoglądam śmiało, czy nie... lecz ze względu na imię uczciwe u ludzi, nie zdaje mi się, aby to przynosiło zaszczyt i mnie i wam i całemu narodowi, jeślibym coś podobnego czynił ja,

\*) Odyseja, 19, 163.

\*\*) Imiona ich: Lamprokles, Sofroniskos i Meneksenos.

człowiek w tak podeszłym już wieku, człowiek, posiadający przydomek ów, nie wchodzi w to, czy on jest prawdą, czy kłamstwem... W każdym jednak razie przyjęto to za pewnik, że Sokrates przewyższa jakimiś zaletami większą część ludzi. Ohydneżby to było, jeśliby ci z was, którzy w powszechnem mniemaniu odznaczają się czy to mądrością, czy męstwem, czy inną jakąkolwiek zaletą, zachowali się tak, jak niektórzy owi, na których sam nieraz patrzałem, gdy, jako podsądni, pomimo to, że mają się za coś wielkiego, dziwne przecież wyprawiali rzeczy, sądząc zapewne, że straszliwe jakieś uderzy w nich nieszczęście, jeśli życie utracą, — jak gdyby na nieśmiertelność liczyć już mogli w razie, jeśli byście wy nie zglądzieli ich ze świata. Hańbą oni, mojem zdaniem, okrywają Rzeczpospolitą; niejedni bowiem cudzoziemiec miałyby prawo przypuścić, że ci z Ateńczyków, którzy pod względem cnoty wybitnie wyróżniają się od innych, którym oni sami oddają pierwszeństwo tak w urzędach, jak i we wszelkich innych zaszczytach, od niewiast nie różnią się niczem.

Prawdziwie, Ateńczycy, ani my, uchodzący, choćby pod jakimkolwiek bądź względem, za jednostki, mające pewne znaczenie, nie powinniśmy wyprawiać takich rzeczy, ani też wy, jeślibyśmy coś podobnego czynili, nie powinniście pozwalać nam na to. Owszem, obowiązkiem jest waszym dawać to do poznania, że daleko prędzej potępicie tego, który urządza takie płacziwe widowiska i ośmiesza naród, aniżeli człowieka, który się zachowuje spokojnie.

24. Oprócz zaś względu na uczciwą sławę — w przekonaniu mojem, mężowie, nie uchodzi to za rzecz sprawiedliwą błagać sędziego i prośbami dobijać się uniewinnienia, ale wyświeślać i przekonywać należy. Nie po to bowiem zasiada sędzia, aby robić uprzejme podarunki ze sprawiedliwości, lecz aby sąd jego był jej wymiarem. I nie na to wykonał przysięgę, że będzie okazywał względy swoje, komuby mu się spodobało, lecz że będzie wyrokował podług praw obowiązujących. Ani więc nam nie godzi się przyzwyczajać was do sprzeniewierzenia się przysiędze, ani wam — przyzwyczajać się do niego: bo w takim razie ani jedna, ani druga strona nie postępowałaby zgodnie z moralnością. Nie sądzicie więc, Ateńczycy, iż wypadaloby mi wobec was czynić to, czego w ogóle, w żadnym razie nie uważam ani za chlubne, ani za sprawiedliwe, ani za moralne, a zwłaszcza też — na Zeusa żywego — teraz, gdy przez Meletosa ot tego oskarżony zostałem o bezbożność. Bo przecież, jeślibym ja was, związanych przysięgą, zjedynwał sobie i prośbami wywierał na was nacisk, oczywiście uczyniłbym was nie wierzyć w istnienie bogów i, broniąc się, wprost oskarżałbym samego siebie, że w bogów nie wierzę. Ale daleko do tego! Ja wierzę, Ateńczycy, w bogów, jak może żaden z moich oskarżycieli, i — bogu i wam pozostawiam osądzić mnie tak, jak ma być najlepiej i dla mnie i dla was...\*)

\* \* \*

\*) Po tych słowach, na których kończy się już właściwa obrona Sokratesa, przysięgli na wezwanie herolda (keryksa) przystąpili do głosowania

25. Nie uledez, Ateńczycy, żadnemu gwałtownemu wzruszeniu z powodu tego wypadku, iż uznaliście mnie za winnego, mam, prócz wielu innych przyczyn, i tę także, iż wcale nie nadspodziewanie dla mnie stało się to, co się stało. Daleko bardziej zato dziwi mnie liczba głosów, jaka wypadła po jednej i po drugiej stronie. Nie sądziłem ja bowiem, że różnica będzie tak nieznaczna, spodziewałem się większej. Tymczasem zaś pokazuje się, że, jeśliby tylko trzydzieści głosów padło było inaczej, ja zostałbym był uniewinniony.

W każdym razie Meletosowi, jak mi się zdaje, i tak obroniłem się szczęśliwie; a nawet nie tylko, że się obronił, lecz dla każdego widoczną jest rzeczą, że, jeśliby nie wystąpili byli ze skargą przeciwko mnie Anytos i Lykon, musiałby był zapłacić tysiąc drachm kary, ponieważ nie uzyskał piątej części głosów.

26. Skazuje mnie więc człowiek ten we wniosku swoim na karę śmierci. Wybornie! A ja, Ateńczycy, jakieżże od was w zamian tego zażądam dla siebie kary? Wszak oczywiście, że słusznej? Cóż więc? Na jakąż pokutę, czy na jakąż pieniężną karę zasługuję ja za to, że przez całe życie nie zaznałem pokoju, lecz, nie troszcząc się o żadną z tych rzeczy, którym większa część ludzi poświęca swoje zabiegi: o bogacenie się własne, o zarząd nad majątkiem, o dowództwa sił zbrojnych, o role mówców ludowych, czy o inne urzędy, o sprzysiężenia i stronictwa polityczne, tworzące się w Rzeczypospolitej — z uwagi, że w samej rzeczy za uczciwy jestem, abym mógł brać w nich udział i własne przytem zabezpieczyć istnienie — nie dobijałem się stanowisk, na których nie miałem ani wam, ani sobie żadnego przynosić pożytku, a postawiłem sobie za cel zbliżać się do każdego oddzielnie i pojedynczo okazywać mu największe, jak śmiem twierdzić, dobrodziejstwo, biorąc przed się zachęcać każdego z was, aby nie oddawał pierwszeństwa troskaniu się o jakąkolwiekby rzecz, która jego jest, przed postaraniem się o to, aby się sam stał jak najdoskonalszym i jak najrozumniejszym człowiekiem, aby staranność jego o sprawy Rzeczypospolitej nie wyprze-

---

pierwszego. W sprawach bowiem karnych sędziowie głosowali albo jednokrotnie, jeśli sprawa była tego rodzaju, iż, w razie uznania podsądnego przez przysięgłych za winnego, prawo samo oznaczało dla niego karę za przestępstwo (*agon atimetos*, sprawa »nieocenialna«), — albo też dwukrotnie, kiedy, po zapadnięciu wyroku potępiającego, potrzeba było dopiero ustanowić karę dla przestępcy (*agon timetos*, sprawa »ocenialna«). Głosowanie zaś potrzebne tu było dlatego, iż według procedury karnej ateńskiej w sprawach takich przysięgli mogli albo skazać przestępcę na taką karę, jakiej dla niego żądał oskarżyciel (ocena powodu), albo poprzestać na tej, na którą skazywał się sam oskarżony (przeciwocena podsądnego), albo nareszcie orzeczeniem własnem złagodzić pierwszą, lub obostrzyć drugą. Głosowanie pierwsze wypadło dla Sokratesa niepomyślnie: nieznaczną większością głosów uznany został za winnego. Trzeba więc było następnie ustanowić karę, której dla przestępstw tego rodzaju nie określał kodeks karny attycki. Skarżący we wniosku swoim zażądali dla oskarżonego kary śmierci; następująca więc, druga część mowy Sokratesa jest owem, dozwolonem przez prawo, przeciwstawieniem ocenie oskarżycieli »przeciwoceny« własnej podsądnego.

działa starań o samą Rzeczpospolitą — w pieczy swej wreszcie i o wszystko inne, aby postępował tak samo, trzymał się takiej samej zasady. Na cóż ja więc zasługuję za to, że takim jestem człowiekiem?...

Na nagrodę jakąś, Ateńczycy, jeśli tylko sposób zadośćuczynienia sprawiedliwości ma być wskazywany prawdziwie, według zasługi — i to na nagrodę taką, któraby odpowiednią była dla mnie. Jakaż tedy nagroda stosowną będzie dla biednego a zasłużonego człowieka, który potrzebuje mieć czas zupełnie swobodny dla dawania wam napomnień? Niemasz, Ateńczycy, nic bardziej odpowiedniego, jak to, aby człowiek taki żywiony był na koszt narodu w Prytaneion i to daleko właściwiej, aniżeli ktoś taki z pomiędzy was, który na igrzyskach olimpijskich otrzymał zwycięstwo na swym wierzchowcu, albo też na parokonnym, czy tam czterokonnym rydwanie. On bowiem przyczynia się do tego, iż wam się wydaje, że jesteście szczęśliwymi, ja — abyście nimi byli rzeczywiście; on nie potrzebuje, aby go żywiono, ja zaś potrzebuję. Jeśli więc sprawiedliwie podać mam wniosek do słusznego na siebie wyroku, to skazuję się — na stołowanie w Prytaneion...

27. Zdaje się wam zapewne, że i te słowa mówię podobnie, jak mówiłem o wzbudzaniu litości i błagalnych prośbach — rozsadzany pychą. Nie, Ateńczycy, nie jest to pycha, a raczej następujące rozumowanie.

Jestem głęboko przeświadczony, że rozmyślnie nie wyrządziłem krzywdy nikomu w świecie. Was ja o tem przekonać nie mogę; nie wiele bowiem czasu porozumiewaliśmy się wzajemnie. Jeśliby wszakże istniało u was takie samo prawo, jak u innych narodów, żeby sprawy gardłowe sądzono nie w ciągu jednego tylko dnia, a w przeciągu dni wielu, sądzę, że z pewnością przekonalibyście się o tem; lecz w obecnych warunkach, nie łatwo to, nie wiele mając na to czasu, olbrzymie rozpraszać oszczerstwa. Przeświadczonym więc będąc, że nie skrzywdziłem nikogo, daleki też jestem od tego, abym miał krzywdę wyrządzić samemu sobie: powiedzieć o samym sobie, że zasługuję na jakąś karę, i podać przeciwko samemu sobie wniosek podobnej treści. I jakaż obawa skłonić mnie miała do tego? Czego się miałem ulać? Czy, aby mnie nie spotkało to, na co mnie skazuje Meletos? Wszak ja wyznaję, że nie wiem, czy to jest dobre, czy złe. Czy natomiast wybrać mam sobie coś z tych rzeczy, które z całą świadomością zaliczam do złych, i skazać się na to? Czy na więzienie? I cóż mi po życiu w więzieniu, w niewoli u kolejno ustanawianej władzy, u jedenastu?...\*). To może na karę pieniężną i na więzy, dopóki bym jej nie zapłacił? Ależ, wracam się do tego, co wam już niedawno mówiłem: ja nie mam pieniędzy, nie mam jej czem zapłacić... A więc wygnanie przeznaczę sobie na karę? Prawdopodobnie skazalibyście mnie na nie... Wielkie, zaiste, przywiązanie do życia ogarniaćby mnie musiało, Ateńczycy, i chyba tak nie-

---

\*) Corocznie losem wybierano dziesięciu obywateli (po jednym z każdego okręgu), na których wkładano obowiązek czuwania nad wykonaniem wyroków sądów karnych, oraz dozoru nad więzieniami. Jedenastym był pisarz. Kolegium to nosiło nazwę »jedenastu«.

rozumny już jestem, że nie mogę zdrowo rozważyć sobie tego, że wy, współobywatele przecie moi, nie byliście w stanie znieść czynności i słów moich, że stały się one dla was do tego stopnia przykre i nienawistne, że aż szukacie teraz sposobu uwolnienia się od nich, — inni wszakże zniosą je z łatwością... Bynajmniej, Ateńczycy, tak nierozumny nie jestem. I piękneźby mi to było życie — człowiekowi w takim wieku opuścić ojczyznę, przenosić się z miasta do miasta i, wyganianym będąc z każdego po kolei, wlec żywot tułaczy! Bo doskonale wiem o tem, że, dokądkolwiekbym przybył, młodzi przysłuchiwać się będą rozmowom moim tak samo, jak i tu. I jeśli ja ich odpędzę, to oni sami wpłyną na starszych, aby mnie z miasta wygnano; a jeśli ich nie odtrącę od siebie, to znowu, z uwagi na nich, wypędzą mnie ich ojcowie i krewni...

28. Mógłby mi wszakże powiedzieć ktoś na to: »A, siedząc cicho i spokojnie, nie będziesz mógł, Sokratesie, żyć, opuściwszy ojczyznę?« Otóż to, przekonać niektórych z was pod tym właśnie względem najtrudniej mi ze wszystkiego. Bo, jeśli powiem, że byłaby to niesforność względem boga i że z tego powodu niepodobna mi siedzieć spokojnie, nie uwierzycie mi, jako szalbierzowi. A jeśli znowu powiem, że jest to nawet największe dobro dla człowieka rozmawiać codziennie o cnocie i innych przedmiotach, o których słyszycie odemnie wtedy, gdy prowadzę rozmowę i badam samego siebie i drugich, że, przeciwnie, życie dla człowieka bez takiego wnikania w głąb siebie i drugich nie warto życia — takiej mej mowie tem mniej jeszcze wierzyć będziecie. Tak przecie jest, Ateńczycy, jak ja mówię, tylko otworzyć wam na to oczy nie łatwo...

A do tego i nie przywykłem też uważać siebie za zasługującego na jakąś karę. Zresztą, jeślibym miał pieniądze, skazałbym się na karę pieniężną taką, którąbym mógł zapłacić; nie przyniosłoby mi to bowiem żadnej szkody. Lecz tak, jak rzeczy stoją... ja przecie nie mam pieniędzy... chyba, że chcecie skazać mnie na taką kwotę, jaką byłbym w stanie zapłacić. A mógłbym może zapłacić wam mniej więcej minę srebrem: na tyle się tedy skazuję. Tymczasem, Ateńczycy, obecny tu Platon, oraz Kryton, Krytobulos i Apollodoros namawiają mnie, abym się skazał na trzydzieści min, sami zaś ręczyć chcą za mnie. Skazuję się więc na tyle — a oni będą wobec was poręczycielami za sumę tę dostatecznie odpowiedzialnymi\*).

\* \* \*

29. Dla niewielkiej na czasie wygranej znosić będziecie, Ateńczycy, przycinki i zarzuty każdego, kto zechce lżyć nasze społeczeństwo, żeście zabili mędrca, Sokratesa; nazywać mnie bowiem będą mędrce, lubo nim w istocie nie jestem, ci, którzy zapragną obrzucać was błotem. Wszak, gdybyście byli poczekali trochę, samo przez się byłoby wam to

---

\*) Tu nastąpiło głosowanie powtórne, wynikiem którego było skazanie Sokratesa, zgodnie z »oceną« oskarżycieli, na karę śmierci.

przypadło. Bo przecież widzicie, że wiek mój daleko wysunął się już naprzód na drodze żywota, że blisko ma już do śmierci...

Mówię to nie do was wszystkich, lecz do tych, którzy wydali na mnie wyrok śmierci. Tym wszakże powiem jeszcze i to. Sądzicie może, mężowie, że ja ginę z braku słów takich, którymi zdołałbym być przekonać was, — zwłaszcza jeślibym był sądził, że należy mi czynić wszystko i mówić wszystko, aby się tylko dobić uniewinnienia. Bynajmniej! Ginę, prawda, z braku — nie słów jednakże, a bezczelności i bezwstydu... ginę wskutek tego, że nie chciałem mówić wam takich rzeczy, które istotnie wielceby były przyjemne dla waszych uszu: gdybym był płakał i biadał, gdybym był nie przebierał w środkach, ani w słowach takich, które ja za niegodne siebie uważam, a które wy przywykliście słyszeć od innych. Wszakże i wtedy daleki byłem od myśli, abym, z uwagi na grożące mi niebezpieczeństwo, dopuścić się miał jakiegoś niewolniczego czynu, ani też teraz nie żałuję tego, że się bronił tak, a nie inaczej; owszem, daleko bardziej wolę, wygłosivszy taką obronę, umierać, aniżeli zapomocą owych środków pozostać przy życiu. Bo tak w rozprawie sądowej, jak i na wojnie nie godzi się ani mnie, ani nikomu w świecie wysilać się na to, aby bądź co bądź uchronić się od śmierci. I w bitwach przecież nieraz oczywiście niejedyn uniknąć mógłby śmierci, jeśli by porzucił broń i ku ścigającym błagalnie wyciągnął dłonie. W każdego rodzaju niebezpieczeństwach są prócz tych liczne sposoby uchylania się od śmierci, jeśli się tylko kto odważy w czynach i słowach swoich nie cofać się przed niczem. Lecz trudność, mężowie, nie na tem podobno polega, aby uciec przed śmiercią: — daleko trudniej, zaiste, jest uciec przed nikczemością, bo ona bieży chyżej od śmierci. To też i obecnie ja, jako ociężały już i stary, pojmany zostałem przez to, co powolniejsze; oskarżyciele zaś moi, jako krzepcy i szybcy, przez to, co chyższe, przez podłość... Ja odejdę stąd, uznany przez was za winnego śmierci, oni — uznani przez prawdę za winnych moralnej zgnilizny i niesprawiedliwości... I ja pozostaję przy swoim wyroku, — mają swój i oni... Widać, że taki obrót sądzony już był tej sprawie i mniemam, że wszystko jest w porządku.

30. A teraz, o wy, którzyście wydali na mnie wyrok potępienia, pragnę wam wygłosić proroctwo o następstwach tego w przyszłości. Bo jestem już wobec chwili, w której ludzie najczęściej wieszczym przemawiają głosem — gdy się mają rozstawać z życiem. Mówię więc wam, mężowie, wam, którzyście uderzyli we mnie karą śmierci, że wkrótce po moim zgonie przyjdzie na was kara, daleko — przysięgam na Zeusa — cięższa, aniżeli ta, przez którą wydzieracie mi życie. Wy bowiem uczyniliście to w nadziei, że się uwolnicie od zdawania rachunku ze swego życia; a ja wam mówię, że otrzymacie skutek wręcz przeciwny. Karący was w większej powstaną liczbie — bo ja wstrzymałem ich dotąd, chociaż wy nie spostrzegliście tego — i surowi będą, bo młodszy — i bardziej jeszcze jątrzyć się będziecie. Jeśli sądzicie, że, skazując ludzi na śmierć, powstrzymacie kogo od czynienia wam wyrzutów, że żyjecie nie tak, jak żyć należy, jesteście w błędzie. Taki



sposób wyzwalania się jest i niezupełnie możliwy i nieszlachetny; a najuczciwszy i najprostszy zarazem jest — nie wycinać innych, a pracować nad samym sobą, aby się doprowadzić do jak największej doskonałości. Wygłosiwszy wieszczbę taką wam, którzyście mnie potępili, rozstaję się z wami.

31. Z tymi wszakże, którzy głosowali za uniewinnieniem mojem, z przyjemnością porozmawiałbym o obecnym wypadku, podczas gdy przełożeni nad więzieniem zajęci są przygotowaniami i dopóki jeszcze nie idę tam, dokąd pójść i gdzie mi umrzeć należy. Pozostańcie więc ze mną, mężowie, tę krótką chwilę; wszak, dopóki wolno, nie nam nie przeskadza szczerze i serdecznie porozmawiać ze sobą.

Wam, jako przyjaciółom moim, pragnę wyświecić, jakie ma znaczenie to, co mnie obecnie spotkało. Otóż, sędziowie, — was bowiem słusznie sędziami nazywać mogę — wydarzyła mi się rzecz osobliwsza. Zwyczajna owa moja wyrocznia, ów głos boży, zawsze, w całym poprzednim mojem życiu, niezmiernie często słyszeć mi się dawał, okazując mi opór nawet w rzeczach niewielkiej wagi, ilekroć zamierzałem uczynić coś nie tak, jakby być powinno. Obecnie — jak widzicie sami — spotkało mnie to, co możnaby przecie uważać i co rzeczywiście uchodzi za najstraszliwsze nieszczęście: a tymczasem znak ów boży nie postawił mi żadnego oporu ani wtedy, gdy zrana wychodziłem z domu, ani gdy szedłem tu, do sądu, ani przed żadnym słowem mowy mojej, gdy coś wypowiedzieć zamierzałem; a przecież w innych mych mowach niejednokrotnie przerywał mi tok rzeczy i osadzał mnie na miejscu. W całej zaś obecnej sprawie nie stawiał żadnej przeszkody żadnemu postępkowi, żadnemu słowu mojemu. A wiecie, co ja uważam za przyczynę tego zjawiska? Ja wam wypowiem me zdanie: oto najprawdopodobniej to, co mnie spotkało, dobrem było dla mnie — i w żaden żywy sposób przypuszczenia tych z pomiędzy nas, którzy poczytują śmierć za nieszczęście, nie mogą być sprawiedliwe. Dowód na to posiadam teraz potężny: niepodobna, aby zwyczajna owa wyrocznia moja nie okazała mi była żadnego wstępu, jeśliby to, co zamierzałem czynić, nie było dobrem.

32. Rozważmy jeszcze i w następujący sposób, jak wielce uzasadnioną jest otucha, że to, co mnie spotkało, dobrem jest dla mnie. Otóż, umrzeć — jest to jedno z dwojga: albo stać się niczem i nie posiadać po śmierci żadnej o niczem świadomości, albo też, zgodnie z tem, co ludzie mówią, śmierć sprowadza jakąś dla duszy przemianę, jest przesiedleniem się jej z tego tu miejsca na inne. Jeśli to jest zupełne znieczulenie, coś podobnego do snu, podczas którego śpiącemu nie roi się nawet żadne marzenie senne, to śmierć cudną byłaby wygraną... Sądzę bowiem, że, jeśliby komu wypadło wybrać jedną noc taką, podczas której spał tak mocno, że mu się nawet żadne nie przyśniło widzenie, porównać potem z nocą tą inne nocy i dni własnego swego życia, a wreszcie rozejrzeć się w nich i orzec, ile też dni i nocy w życiu swoim przeżył lepiej i przyjemniej od jednej tej nocy: sądzą, powtarzam, że nie tylko człowiek zwyczajny, lecz nawet sam wielki król perski

doszedłby do wniosku, że, w porównaniu z innymi dniami i nocami, nocy takie na palcach policzyć może...

Jeśli więc śmierć jest czemś podobnem, to, według mnie, doprawdy jest ona oczywistą wygraną; bo w takim razie cała wieczność, pokazuje się, jest niczem więcej, jak jedną tylko nocą. Jeśli zaś, przeciwnie, śmierć jest niejako wędrówką stąd do innego miejsca, — jeśli prawdą jest to, co mówią podania, że tam przebywają wszyscy zmarli, cóż nad to większem może być szczęściem, sędziowie? Jeśli ktoś, wyrwawszy się tym oto tutaj mniemanym sędziom i przybywszy do Hadesu, znajdzie tam sędziów prawdziwych, którzy, jak głosi podanie, wymierzają tam sprawiedliwość: Minosa, Radamantysa, Ajakosa, Tryptolemosa i wszystkich tych wreszcie z pomiędzy półbogów, którzy za życia swego chodzili ścieżkami sprawiedliwości — czyż na lekceważenie wędrówka taka zasługiwać może?... A dalej — na jakąż niejedną z was nie przysłałby cenę, żeby się tylko znaleźć w towarzystwie Orfeusa, Muzajosa, Hezyoda, Homera?... Jeśli to wszystko prawda, ja, zaiste, gotów jestem tysiąc razy umierać! Bo i dla mnie samego cudowneby tam było życie, gdybym się spotykał z Palamedesem, z Ajasem, synem Telamona i z tymi ze starożytnych, którzy wskutek niesprawiedliwego sądu zeszedli z tego świata. Porównywanie z losami ich własnej mojej doli, jak sądzę, nie byłoby rzeczą nieprzyjemną... A szczyt już wszystkiego — to przepędzanie tam czasu na wypytywaniu i wybadywaniu tamtejszych, tak samo, jak i tutejszych mieszkańców: kto z nich jest mądrym rzeczywiście, kto zaś wyobraża sobie, że jest mądrym, a mądrym nie jest... Ileżby, sędziowie, niejedną dał za to, aby mógł wybadać owego wodza obrzymiej wyprawy na Troję, albo Odysseusa, albo Syzyfosa — tysiące wreszcie mężów i niewiast wymieniłby tu można! Rozmawiać tam z nimi, obcować z nimi, badać ich — ależ niewysłowione byłoby to szczęście! — A bez wątpienia, obywatele owego świata nie skazują tam na śmierć za takie rzeczy... Nietylko bowiem z innych względów szczęśliwsi są mieszkańcy tamtejsi od mieszkańców ziemi, lecz i pod tym także, że już na wieczność całą są nieśmiertelni, — jeśli zresztą prawdą jest to, co o tem głoszą podania.

33. Lecz i wam także, sędziowie, z dobrą otuchą należy oczekiwać śmierci i to jedno poczytywać za prawdę, że człowiek uczciwy nie potrzebuje obawiać się niczego złego ani za życia, ani po śmierci, i że spraw jego bogowie nie wypuszczają ze swojej opieki. To też i to, co mnie obecnie spotkało, nie było dziełem przypadku... przeciwnie, widoczną to dla mnie jest rzeczą, że umrzeć i uwolnić się już od trosk żywota za lepsze dla mnie sądzono... Dlatego to właśnie głos ów wieszczy nie stawiał mi nigdzie oporu — i ja, doprawdy, nie bardzo gniewam się ani na tych, którzy mnie potępili, ani na oskarżycieli moich. Prawda, że nie w tej myśli potępili mnie jedni, a oskarżali drudzy, owszem, sądzili, że mnie zmiażdżą... a za to słusznie im się należy skarcenie...

Ja wszakże żądam od nich jednej tylko rzeczy. Kiedy dorosną synowie moi, zemściejcie się na nich, mężowie, dokuczając im tak samo, jak ja dokuczałem wam, jeżeli zdawać się wam będzie, że bardziej

troszczą się o majątek, albo o cokolwiekbądź innego, aniżeli o cnotę, i jeżeli wyobrażać sobie będą, że są wielkimi ludźmi, a nie będą niczem... Karćcie ich tak samo, jak ja was, że nie dbają o to, o co dbać powinni, i że, bóg wie, co myślą o sobie, choć nie są warci... Jeśli tak postępować będziecie, wymierzycie przez to sprawiedliwość i mnie i synom moim...

Lecz oto i czas już na nas: na mnie — bym poszedł stąd w objęcia śmierci, na was — byście wrócili do życia. A kto z nas ku lepszej podaży doli, niewiadomo nikomu, prócz jednego — boga!

Tłóm. *Adam Maszewski.*

II.  
KRYTON.  
(KRITON).

OSOBY DYALOGU:

KRYTON <sup>1)</sup>. | SOKRATES.

(Scena w więzieniu).

SOKRATES. Czemu tak wczesnie przyszedłeś Krytonie? — czy może już nie jest tak rano?

KRYTON. I owszem, bardzo rano.

SOKRATES. Jakże wczesnie być może?

KRYTON. Pierwszy świt dopiero.

SOKRATES. Dziwi mię, że dozorca nie wzbraniał się otworzyć ci więzienia.

KRYTON. Dobrze mi już jest znany, Sokratesie, z częstych moich tutaj odwiedzin, a do tego i otrzymał coś odemnie.

SOKRATES. Teraz dopiero przyszedłeś, czy już dawno?

KRYTON. Już dosyć dawno.

SOKRATES. Więc czemu nie zbudziłeś mię zaraz, ale tak cicho usiadłeś?

KRYTON. Bo i ja sam, Sokratesie, nie chciałbym w takiej bezsenności i w takim smutku zostawać, a ze zdziwieniem patrzę już dawno na ciebie, że tak śpisz przyjemnie, i umyślnie nie chciałem cię budzić, by ci czas jak najmilej zeszedł. A jeżeli już poprzednio w całym twem

---

<sup>1)</sup> Kryton był jednym z zamożniejszych i ogólnie szanowanych obywateli ateńskich, a znanym nie tylko w Attyce, ale i w Tessalii. Przywiązany szczerze do Sokratesa, nie odstępował go do ostatniej chwili; chociaż głębi duszy mistrza swojego nie rozumiał w pełni.

życiu mieniłem cię szczęśliwym dla twego usposobienia, to teraz tem więcej, że tak spokojnie i lekko znosisz nieszczęście, zawisłe nad tobą.

SOKRATES. Boby też i błędem było, Krytonie, dręczyć się w takiej starości, kiedy już umierać przychodzi.

KRYTON. Ale i innych, Sokratesie, w takim wieku podobne spotykają nieszczęścia, a przecież wiek ten nie uwalnia ich od niepokojącej troski w udręczeniu.

SOKRATES. Jest tak istotnie. — Ale powiedz mi, czemu tak rano przyszedłeś?

KRYTON. Z wieścią, Sokratesie, smutną — nie dla ciebie, jak mi się zdaje, ale dla mnie i dla powinnych twoich wszystkich — ze smutną i bolesną, którą ja, o ile po sobie uważam, bardzo uczuwam dotkliwie.

SOKRATES. Cóżto za wieść taka? — czy nawa przyplęnęła z Delos, z której przybyciem śmierć mię czeka?<sup>1)</sup>

KRYTON. Nie przyplęnęła jeszcze, ale zdaje mi się, że dzisiaj w każdym razie przyplęnie, według tego, co powiadają przybyli z Sunion<sup>2)</sup>, którzy ją tam pozostawili. Tak więc według tych wieści pewnie już dzisiaj przybędzie — a jutro będziesz musiał umrzeć, Sokratesie!

SOKRATES. A więc szczęścia, Krytonie! Jeżeli tak podoba się bogom, niechaj będzie tak. Z tem wszystkiem sędzę, że nawa nie przyplęnie dzisiaj.

KRYTON. Z czegoż tak wnosisz?

SOKRATES. Powiem ci: wszakże podobno następnego dnia po jej przybyciu śmierć mam ponieść?

KRYTON. Tak mówią przynajmniej ci, którzy tem zarządzają.

SOKRATES. Otóż sędzę, że nie dzisiaj przyplęnie, ale jutro — a wnoszę to ze snu jednego, który miałem tej nocy — i może właśnie dobrze zrobiłeś, żeś mię nie obudził.

KRYTON. I jakiż był sen ów?

SOKRATES. Zdało mi się, że przyszła do mnie jakaś niewiasta nadobna i piękna, ubrana biało, i że zawołała na mnie i rzekła: »Sokratesie! dnia trzeciego we Ftyi urodzajnej staniesz«<sup>3)</sup>.

KRYTON. Jakże dziwny ten sen, Sokratesie!

SOKRATES. Jasny, jak mi się zdaje, Krytonie!

KRYTON. I zanadto. Ależ, jedyny Sokratesie, przynajmniej teraz jeszcze posłuchaj mnie i ratuj się. Bo jeżeli ty umrzesz, nie jedno mię czeka cierpienie, ale prócz tego, że pozbawionym zostanę przyjaciela,

---

<sup>1)</sup> Wyprawiano corocznie z Aten uroczyste poselstwo do Delos z ofiarą dla Apollona. Od chwili uwieńczenia przeznaczonego na to okrętu, aż do powrotu nie godziło się w Atenach wykonywać żadnego wyroku śmierci. Tak więc upłynęło Sokratesowi w więzieniu 30 dni od dnia, w którym zapadł na niego wyrok śmierci.

<sup>2)</sup> Na południowym krańcu Attyki.

<sup>3)</sup> Słowa to są Achilleśa w Iliadzie ks. 9. w. 363; Ftya, rodzinne miejsce tego bohatera. Sokrates tłumaczy sobie sen w taki sposób, że trzeciego dnia dostanie się przez śmierć do rzeczywistej swojej ojczyzny.

jakiego w nikim i nigdzie pewnie nie znajdę, obudzę jeszcze podejrzenie w wielu, którzy i mnie i ciebie dobrze nie znają, że, będąc w możności ratowania cię, gdybym tylko był chciał użyć na to pieniędzy, nie dbałem o tę sprawę — a jakież mniemanie może być więcej poniżające nad to, że się pieniądze wyżej od przyjaciół ceni! Bo większa część nie da się przekonać, że mimo naszych zabiegów ty sam uciekać stąd nie chciałeś.

SOKRATES. Lecz czemuż ma nam tak bardzo zależeć na mniemaniu ludzi, drogi Krytonie? Wszakże rozumni, o których więcej dbać nam się godzi, uwierzą, że cała rzecz tak się stała, jak się stanie zapewne.

KRYTON. A jednak widzisz sam, Sokratesie, że i o mniemanie ogółu dbać potrzeba; i samo już to, co się teraz dzieje, pokazuje jasno, że nie najmniejsze złe ludzie wyrządzić potrafią, ale owszem największe, skoro tylko kto przed nimi oczernionym zostanie.

SOKRATES. O gdybyto, Krytonie, ten ogół ludzi zdołał wyrządzić złe największe, uszłoby to jeszcze, bo w takim razie mógłby i dobrodziejstwo największe wyświadczyć! — ale ani jedno ani drugie nie jest w jego mocy; bo on ani do rozumnych ani do bezmyślnych uczynków niezdolny, i działa tylko to, co los ze sobą przyniesie.

KRYTON. Niechże więc tak będzie! — ale wyznaj mi, Sokratesie! przecież nie obawiasz się o mnie ani o innych przyjaciół twoich, aby nam po twojej ucieczce z więzienia zaszkadzili donosiciele, żeśmy cię stąd wykradli, i nie lękasz się, że będziemy zmuszeni cały majątek lub wielką część mienia utracić, albo coś więcej jeszcze nad to ucierpieć? Bo jeżeli o coś podobnego ci chodzi, to porzuć taką obawę: wszakże to rzecz słuszna, abyśmy się na to niebezpieczeństwo narazili i nawet na większe, jeżeli tego potrzeba będzie, skoro tylko ciebie ocalimy. Więc posłuchaj mię i nie czyn inaczej!

SOKRATES. I o to się obawiam, Krytonie, i jeszcze o wiele innych rzeczy.

KRYTON. Nie obawiajże się zatem i o to: bo i nie tak wiele na to potrzeba pieniędzy, za które chcą niektórzy stąd uprowadzić cię i ocalić — a potem, czyż nie widzisz, że ci donosiciele dadzą się łatwo przekupić, i wcale dla nich znacznych sum nie potrzeba? Pieniądze moje leżą gotowe dla ciebie, a jak mi się zdaje, wystarczają. Zresztą — jeżeli z obawy o mnie wahasz się wydawać pieniądze moich, obcy znajomi tutaj gotowi są płacić, i jeden z nich nawet przysposobił już w tym celu sumę dostateczną: Simmias Tebańczyk, a gotów jest do tego i Kebes i innych bardzo wielu. Dlatego, jak mówię, ani dla tej obawy nie szczędź trudu, by się uratować, ani o to się nie trwóż, co w sądzie mówiłeś, że na wygnaniu nie wiedziałbyś, co począć ze sobą: bo i gdzieindziej, w wielu miejscach, dokądkolwiek pójdziesz, kochać cię będą ludzie, i jeżeli do Tessalii chciałybyś się udać, mam w niej przyjaciół, u których wielki znajdziesz dla siebie szacunek i którzy zabezpieczą ci tam pobyt, tak że żaden Tessalczyk przykrości ci nie wyrządzi. — A nadto, Sokratesie, niesprawiedliwym nawet wydaje

mi się zamiar twój, abyś sam siebie na zgubę wydawał, pomimo że ocalić się możesz. Toż gorliwie przyspieszasz sam, coby i nieprzyjaciele twoi przyspieszyć chcieli i co już przyspieszyli, chcąc cię zgubić. Do tego zdaje mi się, jakobyś i własnych synów swoich zdradzał: bo ich opuścisz, umierając, a mógłbyś ich wyżywić i wychować — tak zaś czynić będą z twojej przyczyny, co przypadek zdarzy, i dzieć im się będzie prawdopodobnie to, co się sierotom w sieroctwie dzieje zwykle. Wszakże albo wcale nie należy mieć dzieci, albo wszelkich dołożyć starań, by je wyżywić i wychować — a ty, zdaje się, wybierasz to, co najwygodniej jest wybrać, zamiast wybierać to, coby wybrać każdy człowiek zacny i mężny, taki zwłaszcza, który mawiał, że przez cały przeciąg życia o cnotę starać się należy. Bo co do mnie, to i za ciebie wstydzę się i za nas, którzy przyjaciółmi twymi jesteśmy, by się nie zdawało, że cała ta sprawa dokonała się skutkiem jakby jakiejś tchórzliwości naszej: i zanieśnienie skargi, że przyszła do sądu, chociaż mogła była nie przyjść, i sam proces, że się toczył, i ów koniec taki nareszcie sprawy tej, niby szyderstwa dzieło, że z rąk nam tak wszystko uciekło przez opieszałość jakąś i tchórzliwość, skoro ani my ciebie, ani ty sam siebie nie ocaliłeś, chociaż można było, gdybyśmy tylko cokolwiek warci byli. Na to więc bacz, Sokratesie, by do nieszczęścia nie przyłączyła się razem jeszcze i hańba dla ciebie i dla nas. Rozważ to, a raczej skłoń się stanowczo, bo czas rozważi już minął — i jedna pozostaje rada: tej nocy już wszystko dokonane być musi. A jeżeli zwlekać jeszcze będziemy, już tego potem nie będzie można uczynić i niepodobna. Więc ze wszech miar, Sokratesie, posłuchaj mnie i w żaden sposób nie czynj inaczej!

SOKRATES. Krytonie kochany, zabiegliwość twoja jest ceną bardzo, jeżeli tylko o coś słusznego ci chodzi: w przeciwnym razie, im większą jest, tem gorszą. Zastanowić się nam zatem wypada, czy to uczynić należy, czy nie. I nie tylko teraz, ale zawsze tak myślałem, że nic z tego wszystkiego co na mnie i we mnie jest, powodować mną nie powinno, prócz zasad, które w rozumowaniu najlepszymi mi się wydają: a zasad, które poprzednio wyznawałem, nie mogę się wyrzekać teraz właśnie, kiedy mię los taki spotkał. I owszem — tak prawie tych samych się trzymam i te same szanuję i cenię, jakie i poprzednio ceniłem: a jeżeli lepszych nad nie nie będziemy mogli podać obecnie, bądź przekonany, że ci nie ustąpię, chociażby przemoc groziła nam, jak dzieciom, strachami jeszcze większymi nad zesłanie więzów i śmierci i nad majątku zabór. — Jakżeby nam najstósowniej było rzecz tę roztrząsać? — Weźmy najprzód pod rozważę to, co mówisz o sądach ludzi, czy słusznie zawsze tak utrzymywało się, czy niesłusznie, że jedne sądy uwzględniać należy, a drugie mimo puścić. A może też poprzednio, nim umierać mi przyszło, mówiło się pięknie tak, a teraz oczywiście jasno się pokazało, że dla mowy inaczej się mówiło, w rzeczy zaś samej był to żart i słowa puste? I pragnę też rozebrać to wspólnie z tobą, Krytonie, czy zdanie owo inaczej wyda mi się teraz, gdy w takim położeniu się znalazłem, czy też pozostanie niezmiennem,

i czy porzucimy je, czy pójdziemy za niem. A wszyscy podobno, którzy jakkolwiek wagę przywiązywali do słów swoich, rozumowali tak, jak ja dopiero co mówiłem, że z sądów, jakie ludzie wydają, jedne wysoko należy cenić, a drugich nie uwzględniać. Czyż, na bogów, zdanie to nie wydaje ci się słusznem, Krytonie? Wszakże ty, o ile przynajmniej zwykły przebieg rzeczy ludzkich sądzić dozwala, nie oczekujesz jutro śmierci swojej i nie miesza cię przecież ten wypadek groźny — więc rozważ spokojnie, czy nie wydaje ci się trafnem to zdanie, że nie wszystkie sądy ludzkie uwzględniać należy, ale tylko niektóre, a innych nie? Jakże sądzisz, zdanie takie czyż nie jest słuszne?

KRYTON. Słuszne.

SOKRATES. Więc sądy dobre mieć w cenie, a złych sądów nie?

KRYTON. Tak jest.

SOKRATES. A czy sądy dobre nie pochodzą od rozumnych, a sądy złe od bezrozumnych.

KRYTON. Nie inaczej.

SOKRATES. Dobrze. A jakżeśmy w takim wypadku rozumowali: czy ten, który ćwiczy się w gimnastyce i w tym zawodzie się kształci, uważa na pochwałę lub naganę albo na sąd człowieka pierwszego lepszego, czy też takiego jedynie, który z powołania jest lekarzem albo gimnastykiem?

KRYTON. Na takiego jedynie.

SOKRATES. A więc jego jednego tylko naganę ma się obawiać i jego jednego tylko pochwałę przyjmować, a nie nagany i pochwały ogółu?

KRYTON. Rzecz jasna.

SOKRATES. On zatem tak czynić, i gimnastykować się i jeść i pić powinien, jak się zdawać będzie temu jednemu mistrzowi, rzecz rozumiejącemu, a nie tak, jakby się zdawało innym wszystkim?

KRYTON. Tak jest.

SOKRATES. Dobrze. A gdyby też nie usłuchał tego jednego i lekceważył sobie jego sąd i pochwałę, a cenił natomiast zdania ogółu, nie rozumiejącego się na tem zupełnie, czy niczego nie dozna złego?

KRYTON. Jakżeby nie miał doznać!

SOKRATES. A jakież jest złe to i do czego się odnosi?

KRYTON. Do ciała oczywiście — bo ciało przez to się niszczy.

SOKRATES. Pięknie mówisz. A tak będzie i w innych także sprawach, Krytonie, aby nie rozwodzić się nad wszystkimi z osobna. Toż i co do sprawiedliwości i niesprawiedliwości, brzydoty i piękności, prawości i złości — o czem mówimy właśnie — czyż mamy słuchać i obawiać się sądu ogółu, czy sądu owego jednego tylko, jeżeli jest istotnie ktoś taki, rzecz rozumiejący, którego szanować i obawiać się należy bardziej, niż innych wszystkich? A jeżeli z nim nie pójdziemy, zgubimy i w hańbę podamy to, co przez sprawiedliwość lepszym staje się, a przez niesprawiedliwość gubi się — a może to »coś« niczem nie jest?

KRYTON. Jest, Sokratesie!

SOKRATES. Dobrze. A jeżeli to, co przez zdrowie się wzmacnia, a przez chorobę niszczy, tracimy, słuchając ludzi, nie rozumiejących



się na tem, czyż warto nam żyć, gdy się zniszczy, i czy to ciałem jest, czy nie?

KRYTON. Tak jest.

SOKRATES. Czyż więc warto nam żyć ze zniszczonem i zepsutem ciałem?

KRYTON. W żaden sposób.

SOKRATES. Ale nam może warto żyć, jeżeli zepsute to, czemu hańbę przynosi niesprawiedliwość, a co uszlachetnia się prawością? Czyż za coś gorszego od ciała uważamy ową część jakąś nas samych, którą niszczy niegodziwość i sprawiedliwość?

KRYTON. Bynajmniej.

SOKRATES. Więc za coś cenniejszego?

KRYTON. Z pewnością.

SOKRATES. A zatem wcale nam tak bardzo troszczyć się nie potrzeba, mój najdroższy, co o nas powie ogół, ale co powie ten, który rozumie, co złość, a co sprawiedliwość, ów jedyny tylko sędzia i prawda sama: niesłusznie przeto mówisz naprzód, jeżeli utrzymujesz, że nam baczyć należy na sąd ludzi co do rzeczy sprawiedliwych i pięknych i dobrych, a rzeczy im przeciwnych. Ale ludzie — mógłby kto w takim razie zarzucić — mogą nas zabijać?

KRYTON. I to prawda, Sokratesie, możnaby taki zarzut uczynić.

SOKRATES. Prawdę mówisz — ależ, mój drogi, rozumowanie, któreśmy teraz do końca doprowadzili, wydaje mi się mimo to takim samem, jak dawniejsze. Rozważże jeszcze, czy i przy tem także zdaniu obstawać będziemy, że nie życie, bądź co bądź, cenić nadewszystko powinniśmy, ale życie dobre tylko?

KRYTON. Będziemy.

SOKRATES. A czy godzimy się na to także, że żyć dobrze to to samo, co żyć pięknie i sprawiedliwie?

KRYTON. Zgodzimy.

SOKRATES. Na tej więc, zgodnie przyjętej przez nas, podstawie pod rozwagę wziąć nam trzeba, czy słuszną to jest rzeczą, abym stąd ujsć usiłował wbrew woli Ateńczyków, czy niesłuszną: bo gdyby to słusznem być miało, próbujmy; jeżeli nie, zaniechajmy. Względy zaś owe, o których mówisz, odnoszące się do wydatków pieniężnych i sądu ludzi i wychowania dzieci — może one są, Krytonie, względami owego ogółu, któryby lekkomyślnie i zabijając i życie dawać chciał bez żadnej rozwagi, gdyby to tylko w mocy jego było. Ale nam, skoro tego rozumowanie nasze wymaga obecnie, na nic innego może baczyć nie należy nad to, co właśnie wypowiedzieliśmy: czy mianowicie słuszną uczynimy, dając pieniądze i świadcząc przysługi tym, którzy mię ztąd wyprowadzić mają i sami biorąc w tem czynny udział i wyprowadzać się pozwalając — czy też w rzeczy samej popełnimy niesprawiedliwość, wszystko to czyniąc. A jeżeli niesprawiedliwem okaże się postępowanie nasze, możeby nie należało uwzględnić ani tego, że umrzeć nam przyjdzie, skoro pozostaniemy tutaj i spokojnie się zachowamy, ani, że jakiegokolwiek doznamy cierpienia, byle tylko niesprawiedliwości nie popełnić?

KRYTON. Piękną wydaje mi się mowa twoja, Sokratesie — ale pomyślże, co czynić mamy?

SOKRATES. Rozważajmy wspólnie, mój drogi, i jeżeli będziesz miał co mojej mowie zarzucić, zarzucaj, a nie, to zaprzestań powtarzać ciągle to samo, żem powinien uciekać stąd wbrew woli Ateńczyków: bo wolę postąpić tak, mając za sobą zdanie twoje, skoro cię przekonam, niż bez przyzwolenia ze strony twojej. Uważaj więc zaraz na początku, czy dobry będzie wywód mój, i staraj się na pytania dawać odpowiedzi takie, jakie ci się najlepszemi wydadzą.

KRYTON. Dobrze.

SOKRATES. Czy twierdzimy, że w żadnym wypadku dobrowolnie niesprawiedliwie postępować nie należy, czy też, że raz wolno, a drugi raz nie? — a może niesprawiedliwość pod żadnym warunkiem ani dobrą nie jest, ani piękną, jak już i dawniej częstośmy się na to godzili i jak właśnie teraz także mówiliśmy? Albo może wszystkie owe, poprzednio zgodnie uznane przez nas, zdania wywrócone zostały w dniach tych kilku i dawno już, więc, Krytonie, poważnie rozmawiając ze sobą, mimo wiek nasz nie spostrzegliśmy, że od dzieci wcale się nie różnimy? Albo raczej wszystko pozostanie tak, jak z mów naszych wówczas się pokazało, że, czy sądzą tak ludzie, czy nie sądzą, i czy gorszego coś przypadnie wycierpieć, czy złejszego — mimo to wszystko czyn niesprawiedliwy w popełniającym go i złością i ohydą jest w każdym razie? Utrzymujemy tak, czy nie?

KRYTON. Utrzymujemy.

SOKRATES. Więc pod żadnym warunkiem niesprawiedliwości popełniać nie należy?

KRYTON. Nie.

SOKRATES. A zatem nawet krzywdę czyniącemu nawzajem krzywdy czynić nie należy, jak sądzą pospolicie ludzie, bo pod żadnym warunkiem niesprawiedliwości popełniać się nie godzi?

KRYTON. Oczywiście, że nie.

SOKRATES. A jakże, Krytonie? czy źle czynić należy, czy nie należy?

KRYTON. Nie, Sokratesie.

SOKRATES. Jakże zatem? za złość doznaną złością płacić, jakto ludzie pospolicie sądzą, słusznie jest, czy niesłusznie?

KRYTON. Nigdy.

SOKRATES. Bo przecież wyrządzenie ludziom złego czegoś nie różni się niczem od krzywdzenia ich?

KRYTON. Prawdę mówisz.

SOKRATES. Więc ani krzywdy krzywdą płacić, ani żadnemu człowiekowi źle czynić nie należy, chociażby nam od niego i ucierpieć co przyszło. A uważaj, Krytonie, abyś, przyświadczać to, nie przyświadczał przeciw własnemu przekonaniu: bo wiem, że nie wielu tylko tak sądzi i sądzić będzie. A ci, którzy tak myślą i ci, którzy innego są zdania, już wspólnie porozumieć się nie mogą, ale koniecznie jedni pogardzać muszą drugimi ze względu na wzajemny sposób myślenia i po-

stępowania. Zastanów się zatem dobrze i ty, czy zgadzasz się ze mną i także tak sądzisz, i czy mamy w naszej naradzie oprzeć się na tej zasadzie, że nigdy słusznie nie jest niesprawiedliwie postępować i niesprawiedliwość niesprawiedliwością płacić, i doznawszy krzywdy, wyrządzeniem krzywdy nawzajem się bronić, albo czy odstępujesz i z góry się na to nie zgadzasz. Mnie bowiem i dawniej i teraz jeszcze tak się zdaje — a ty, jeżeli inaczej jako myślisz, mów i pouczaj mnie, a jeżeli pozostajesz przy wyrzeczonem poprzednio zdaniu, słuchaj dalej.

KRYTON. Pozostaję i zgadzam się — mów tylko.

SOKRATES. A zatem prowadzę znowu rzecz dalej, a raczej pytam się: jeżeli ktoś przyzna zgodnie z drugim, co sprawiedliwe jest, czy mu to czynić wypada, czy zawieść tamtego?

KRYTON. Czynić.

SOKRATES. Według tego więc zastanów się: uchodząc ztąd wbrew woli państwa, czy źle czynimy komu i to komuś, co najmniej zasługuje na to, czy nie czynimy? i czy obstawiamy przy tem, cośmy za sprawiedliwe uznali, czy nie?

KRYTON. Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, Sokratesie, bo go nie pojmuję.

SOKRATES. Więc tak uważaj. Gdyby przed nas, którzy stąd chcemy uciec, czy jak inaczej to mam nazwać, wystąpiły prawa i państwo stanęło i spytało się: »Powiedz mi, Sokratesie, co ty uczynić zamysłasz? czyż czynem tym zamierzonym nie usiłujesz zdeptać nas, prawa i państwo całe, o ile to w mocy jest twojej? albo czy ci się zdaje, że istnieć jeszcze może i nie runąć państwo takie, w którym wyroki zapadłe żadnej nie mają mocy, ale przez ludzi prywatnych zniweczone, nieważnymi się stają?« — cóż powiemy, Krytonie, na to i na wiele innych jeszcze zarzutów, boby ich wiele ten i ów mógł przytoczyć a zwłaszcza retor, stając w obronie zagrożonego prawa, które żąda, by zapadłe wyroki moc miały? Może odpowiemy im, że państwo przecież krzywdę nam wyrządza i niesłusznie wydało wyrok? — tak, czy inaczej powiemy?

KRYTON. Tak, na Zeusa, Sokratesie!

SOKRATES. A cóż, jeżeli się odezwą prawa: »Czy i na to także zgoda między nami a tobą stanęła, Sokratesie — czy też na to tylko, aby trzymać się wyroku, jaki państwo wyda?« I gdybyśmy się dziwili tym ich słowom, rzekłyby zapewne: »Nie dziwuj się, Sokratesie, słowom naszym, ale odpowiadaj! wszakże i sam zwykłeś posługiwać się pytaniami i odpowiedziami. Cóż zatem zarzucasz i nam i państwu, że nas niweczyć zamysłasz? A naprzód, czyżto nie my wydałyśmy ciebie i czyż nie przez nas pojął w małżeństwo matkę twoją twój ojciec i do życia powołał ciebie? Więc mów, czyś może na te z pomiędzy nas zagniewany, które o małżeństwach stanowią, i sądzisz, że nie są dobre?« — »Nie« odpowiedziałbym. — »Więc na te, które stanowią o dziecku w żywieniu i wychowaniu, jakie i ty odebrałeś? Może nie pięknie zarządzały ustanowione między nami prawa te, które rozkazywały ojcu two-

jemu ćwiczyć cię w muzyce<sup>1)</sup> i gimnastyce?« — »Pięknie«, odrzekłbym. — »Więc skoroś się urodził i wychował i wykształcił, czyż przedewszystkiem możesz powiedzieć, że nie naszym jesteś synem i sługą, tak ty sam, jak i przodkowie twoi? — A jeżeli tak jest, czy sądzisz, że w równej mierze sprawiedliwym jest dla ciebie to, co sprawiedliwym jest dla nas, i czy sądzisz, że słusznie jest, byś i ty nawzajem czynił nam wszystko to, cokolwiek my tobie czynić zamierzamy? Toż wobec ojca nie byłeś w równym prawie i wobec pana, gdybyś pana był miał jakiego, aby mózł nawzajem wyrządzać im przykrości, jakich sam doznawałeś, i wobec nich nie mogłeś, przykrych słów słuchając, podobnie im odpowiadać, ani chłost chłostami oddawać, ani wiele innych rzeczy takich wzajemnie im czynić: a wobec ojczyzny i praw czyż ma ci to być wolno, tak iż, ile zdołasz, będziesz chciał nawzajem gubić nas, prawa twoje i twoją ojczyznę, ponieważ my chcemy zgubić ciebie, za słuszne to uznając? I powiesz, że, czyniąc tak, postępujesz sprawiedliwie, ty, który w rzeczy samej o cnotę się ubiegasz? I czyżto tak daleko w mądrości swej postąpiłeś, iżśś zapomniał, że ojczyzna jest czemś czcigodniejszym i szanowniejszym i świętszym nad matkę i nad ojca i nad innych wszystkich przodków twoich, i w większej czci i u bogów i u ludzi rozumnych, i że należy ją szanować i rozniewanej ustępować i hołdować bardziej niż ojcu, i albo skłonić ją inaczej, albo czynić, cokolwiek rozkazuje i w milczeniu cierpieć, jeżeli wycierpieć co nakaze, czy to razy, czy więzy — a kiedy do boju prowadzi na rany i na śmierć, to iść, bo tak jest sprawiedliwie, a nie ustępować ani się nie cofać i nie opuszczać stanowiska, ale i w wojnie i przed sądem i wszędzie pełnić, czego żąda państwo i ojczyzna, albo ją nakłaniać ku temu, co sprawiedliwością jest? — a używać gwałtu nie godzi się przeciw ojcu ani przeciw matce, tem mniej zaś jeszcze przeciw własnej ojczyźnie!« — Cóż powiemy na to, Krytonie, czy prawdę mówią prawa czy nie?

KRYTON. Prawdę.

SOKRATES. »Zważ więc, Sokratesie« — rzekłyby zapewne — »że niesprawiedliwie wobec nas postąpić sobie zamýślasz w tem, co czynić chcesz, jeżeli prawdę mówimy. Wszakże my, chociaż zrodziłyśmy cię i wychowały i wykształciły i wszelkiem pięknem, na jakie stać nas było wyposażyły zarówno ciebie jak i innych obywateli, obwieszczamy mimo to przez pozostawienie swobody każdemu z Ateńczyków, skoro obywatelem zostanie i sprawę państwa swego pozna i nas, prawa, że mu wolno jest, jeżeli chce, a my się mu nie podobamy, oddalić się, dokądkolwiek sobie życzy wraz z mieniem swoim. I żadne z nas nie stoi na przeszkodzie i nie zabrania nikomu z was, jeżeli mu się państwo i prawa nie podobają, udać się według woli czy na osadę jaką, czy przesiedlić się gdzieś do obczyzny i iść tam, dokąd sobie życzy z mająt-

---

<sup>1)</sup> Przez muzykę rozumieć tutaj należy nie tylko sztukę samą, ale i wszelkie umiejętności, kształcące duszę, podobnie jak gimnastyka kształci ciało.

kiem swoim. Ale jeżeli który z was pozostanie, widząc, w jaki sposób wydajemy wyroki i jak w rzeczach innych sprawujemy państwo, o takim sądzimy już, że czynem zgodził się z nami na wypełnianie rozkazów naszych; a gdyby był nieposłusznym, potrójnie niesprawiedliwym go mienimy: on nieposłusznym nam jest jako rodzicielom swoim i jako wychowawcom, a zgodziwszy się z nami na posłuszeństwo, ani nie słucha ani nie prostuje nas, jeżeli co niepięknie czynimy, chociaż polecamy tylko, a nie rozkazujemy groźnie wykonywać to, co zarządzamy — owszem jedno z dwojga do wyboru kładziemy: albo prostować nas, albo według nas działać — a on z tych rzeczy żadnej nie pełni. A tak sądzimy, że winę tę i ty, Sokratesie, ściągniesz na siebie, jeżeli uczynisz, co zamýślasz, i to nie w najmniejszym stopniu, ale w największym wśród Ateńczyków«. A gdybym się spytał, czemu? — zapewne słusznie zarzuciłyby mi natychmiast, mówiąc, że między Ateńczykami ja najwyraźniej właśnie zgodę tę z niemi zatwierdziłem. Rzekłyby: »Przecież jasne na to mamy dowody, Sokratesie, że i my i państwo podobałyśmy się tobie. Wszakże nie byłbyś tak wytrwale przebywał w tem państwie, wyróżniając się wśród innych Ateńczyków wszystkich, gdyby się ono nie było podobało tobie nadewszystko: a ty i na uroczystości nigdy nie wychodziłeś z miasta, wyjąwszy raz do Istmu<sup>1)</sup>, ani dokąd indziej, chyba na wyprawę wojenną, i żadnej nigdy nie podjąłeś podróży, jak inni ludzie i nigdy nie wzięła cię ochoła poznać inne państwa i prawa, ale my wystarczałyśmy tobie i państwo nasze: do tego stopnia nam dawałeś pierwszeństwo i zgodziłeś się pod naszym pozostać rządem, jako obywatel, a również i dzieci miałeś w państwie tem, jako w państwie, podobajacem się tobie. A nadto podczas samegoż w sądzie procesu jeszcze wolno ci było, jeżeli chciałeś, na wygnanie się skazać i za wolą państwa uczynić to, co teraz bez jego woli czynić zamierzasz, ty zaś wtenczas ułożyłeś się pięknie, żadnej niby nie objawiając niechęci, gdyby ci umrzeć przyszło, i wolałeś zamiast wygnania śmierć sobie wybrać, jak mówiłeś: a teraz ani wobec słów tamtych się nie wstydzisz, ani się o nas, prawa, nie troszczysz i zniweczyć je chcesz i czynisz tak, jakby niewolnik najnędniejszy uczynił, usiłując umknąć wbrew naszym umowom i ugodzie, przez którą zobowiązałeś się pod naszym w obywatelstwie pozostawać rządem. Naprzód więc na to nam odpowiedz, czy prawdę mówimy, utrzymując, że zgodziłeś się czynem a nie słowem pod rządem naszym żyć w obywatelstwie? Prawda to, czy nieprawda?« — Cóż na to odpowiemy, Krytonie? czyż nie przyznamy, że tak jest?

KRYTON. Koniecznie, Sokratesie!

SOKRATES. »Łamiesz więc właśnie« rzekłyby »układy i ugodę z nami zawartą — a nie przystąpiłeś do niej z musu, ani oszukany, ani przynaglony namyśleć się nad nią w krótkim przeciągu czasu, ale przez lat siedmdziesiąt, podczas których wolno ci było oddalić się, jeżeliś się tobie nie podobały i umowa z nami niesłuszną była zdaniem

<sup>1)</sup> Na igrzyska istmijskie, które co trzy lata się odbywały.

twojem. A ty ani Lakedemonu wyżej nie położyłeś, ani Krety, o których mówisz zawsze, że się dobrze rządzą, ani innego z państw helleńskich lub barbarzyńskich — ale z miasta naszego rzadziej się oddalałeś, niż kulawi i ślepi i inne kaleki: tak ci się państwo to i my, prawa, więcej, niż Ateńczykom innym, podobały widocznie. Bo komużby się mogło podobać państwo bez praw? — I czyż teraz nie pozostaniesz wiernym ugodzie? — Ale ty nie uczynisz tak, jeżeli nas posłuchasz, Sokratesie, i nie wystawisz się na szyderstwo przez ucieczkę z miasta! Bo zastanów się — przekroczywszy te rozporządzenia i występując w czemkolwiek przeciwko nim, cóż dobrego uczynisz dla siebie albo dla powiniętych twoich? Bo że grozić im będzie samym wygnanie i rozbrat z państwem, albo majątku utrata, niewątpliwą jest prawie rzeczą. A ty sam naprzód, jeżeli pójdziesz do którego z miast najbliższych, czy do Teb, czy do Megary — a oba miasta te dobrze się rządzą — to przyjdiesz tam, Sokratesie, jako nieprzyjaciel ich rządu, i wszyscy, którym tylko na państwie zależy, będą na ciebie z niechęcią poglądali jako na praw przestępcę, i na korzyść sędziów swoich utwierdzisz to mniemanie, że wymierzona na ciebie kara sprawiedliwą wydawać się będzie: bo kto praw jest przestępcą, bardzo łatwo wydawać się może młodych także i nieroztropnych ludzi gorszyicielem! — Czyż więc będziesz unikał państw dobrze rządzonych i ludzi najstateczniejszych? czyż i w takim razie warto ci będzie żyć jeszcze? A może udasz się do nich i bezwstydnie będziesz rozprawał — o czem, Sokratesie? — czy o tem, o czem i tutaj mówiłeś, że cnota i sprawiedliwość i słuszność i prawa największą mają dla ludzi wartość? i czyż nie sądzisz, że Sokrates wyda się niktzemnikiem? — trudno inaczej pomyśleć! — Ale ty może te miejsca opuścisz i udasz się do Tessalii do przyjaciół Krytona? Wszakże tam nierząd i wyuzdanie największe i z przyjemnością zapewne słuchaliby cię, jak zabawnie z więzienia uchodziłeś, przebrany ciekawie jakoś, albo jakąś płachtą owinięty albo łachmanami jakimis, jak to zwykle czynią uciekający, zmieniwszy w ten sposób swoją postać. A że starcem będąc, kiedy prawdopodobnie nie wiele ci lat już pozostaje, odważyłeś się tak chciwie zapragnąć życia, prawa przekroczywszy najwyższe — czyż o tem nikt mówić nie będzie? Nikt może, jeżeli nikomu przykrym się nie staniesz — ale w przeciwnym razie usłyszysz o sobie Sokratesie, wiele rzeczy, na które nie zasługujesz! Czołgać się więc będziesz przed ludźmi wszystkimi i będziesz żył, jak ich niewolnik, wśród samych uczt w Tessalii, jak gdybyś dla biesiad tam się przesiedlił?! A owe mowy o sprawiedliwości i innych cnotach gdzież się nam podzieją? — Ale ty dla dzieci żyć chcesz, by je wyżywić i wychować! I cóż, czy do Tessalii je poprowadzisz i tam żywić i wychowywać je będziesz, i cudzoziemców z nich uczynisz, aby i tego dobrodziejstwa zaznały?! Albo nie, to chowając się tutaj, czyż lepiej wychowają się i wykształcą przez to, że żyć będziesz, a razem z niemi nie pozostaniesz? — Jednakże przyjaciele twoi o nie starać się będą! — Więc starać się o nie będą, jeżeli do Tessalii pójdziesz — a jeśli do Hadesu, już starać się nie zechcą? — To niepodobna, jeżeli jaką-

kolwiek mają wartość ci, którzy twoimi przyjaciółmi się mienią! — Więc zostań posłusznym, Sokratesie, nam, twoim żywicielom i nie ceń wyżej dzieci ani życia ani niczego innego nad sprawiedliwość, abys, do Hadesu przyszedłszy, mógł się bronić tem wszystkim przed władcami tam panującymi! — bo ani tutaj postępowanie takie nie zdaje się dla ciebie lepszem i sprawiedliwszem i bogobojniejszym, ani dla żadnego z twoich przyjaciół — i kiedy tam przyjdiesz, lepszem nie będzie! — a jeżeli umierasz teraz, to umierasz pokrzywdzony nie przez nas, prawa, ale przez ludzi. Skoro zaś umrzesz, niesprawiedliwością i złością odpłacisz się tak sromotnie przez przekroczenie ugody i układów z nami i przez dopuszczenie się niegodziwości na tych, którymby się to najmniej należało — bo na sobie samym i na przyjaciółach i na ojczyźnie i na nas — my gniewać się na ciebie będziemy za życia, a tam w Hadesie nie przyjmą cię łaskawie bracia nasi, wiedząc, żeś się targnął na zniweczenie nas także, o ile mógłś. Niechaj cię więc nie namówi Kryton, byś uczynił raczej to, co on radzi, niż to co my radzimy«. Takie słowa, kochany mój Krytonie, zda mi się słyszeć — wież to dobrze — podobnie jak korybantom <sup>1)</sup> szalejącym zdaje się, że słyszą flety; i we mnie słów tych odgłos brzmi i sprawia, że czego innego słuchać nie mogę. Bądź zatem przekonany, że co do zdania mego terażniejszego przynajmniej, jeżeli przeciwko niemu mówić będziesz, słowa twoje próżne będą — a jeżeli sądzisz, że jeszcze sprawisz co, mów!

KRYTON. Nic mi nie pozostaje już, Sokratesie.

SOKRATES. Daj więc pokój, Krytonie, i postąpmy sobie tak, jak bóg nas prowadzi.

Tłóm. *Stanisław Siedlecki.*

---

<sup>1)</sup> Korybantami nazywali się kapłani frygijskiej bogini Kybele, której uroczystości obchodzono wśród szalonych tańców i muzyki najhałaśliwszej.

### III.

## F E D O N.

(O NIEŚMIERTELNOŚCI DUSZY).

---

ECHEKRATES\*). Czy sam byłeś Fedonie przy Sokratesie tego dnia, kiedy wypił truciznę w więzieniu, albo o tem słyście od kogo innego? FEDON\*\*). Sam byłem Echekratesie!

ECHEKRATES. Cóż więc mówił przed zgonem, i jak zakończył życie? Radbym usłyszeć; bo z naszych obywateli Pliazyjskich żaden od dawna nie udaje się do Aten, ani ztamtąd długo już nikt do nas nie przybył, któryby nam dokładnie mógł donieść o tem, prócz, że umarł, wypiwszy truciznę; a o reszcie nie ma co powiedzieć.

FEDON. Czy nie wiecie zatem o sędzie, jakim sposobem się odbył?

ECHEKRATES. Tak, wiemy... doniósł nam jeden, i dziwiliśmy się, że gdy wyrok od dawna zapadł, on daleko później zdaje się śmierć poniósł. Co za przyczyna tego była Fedonie?

FEDON. Zdarzenie szczególne trafiło się. Właśnie na dzień przed sądem uwieczono okręt, który Ateńczykowie corocznie wysyłają do Delos.

ECHEKRATES. Co za okręt?

FEDON. Ten sam, na którym, jak mówią Ateńczykowie, wiózł niegdyś Tezeusz do Krety siedmiu chłopców i siedm dziewcząt, które potem uratował, siebie ratując. Wtenczas, jak powiadają, zrobili Ateńczykowie ślub Apollonowi, że, jeśli ci uratowani zostaną, corocznie wysyłać będą za nich uroczystą procesyą do Delos, i dziś jeszcze od owego czasu rok w rok wysyłają. Kiedy ją rozpoczną, muszą podług

---

\*) Z Pliuutu, miasta Sikyońskiego. Jest to ten sam Pythagorejczyk, o którym Plato mówi w swoim pierwszym liście do Architasa. Diogenes Laert. lib. VIII.

\*\*\*) Założyciel szkoły Eliskiej. Diog. Laer. II.



prawa miasto utrzymywać w czystości, i nikogo publicznie nie tracić, dopóki okręt nie przybędzie do Delos i ztamtąd napowrót. To ciągnie się czasem bardzo długo, kiedy go wstrzymują wiatry przeciwnie. Uroczystość ta zaczyna się, skoro kapłan Apollona uwieńczy przód okrętu. To właśnie, jak mówię, wypadło na dzień przed sądem Sokratesa. Dlatego więc upłynęło wiele czasu od wyroku do śmierci Sokratesa w więzieniu.

ECHEKRATES. Cóż przy niej było Fedonie? co mówiono i robiono? Którzy byli obecni z jego przyjaciół? albo może urzędnicy nie pozwolili nikomu tam się znajdować, i umarł, nie widząc swoich przyjaciół.

FEDON. Nie! byli niektórzy, i nawet w znacznej liczbie.

ECHEKRATES. Chciej nam to wszystko jak najdokładniej opowiedzieć, jeśli nie masz gdzie jakiego pilnego zatrudnienia.

FEDON. Nie! mam czas wolny, i starać się będę wam opowiedzieć; bo mnie samemu najmiej zawsze wspominać o Sokratesie, czyli to gdy sam mówię o nim, czyli kogo innego słyszę.

ECHEKRATES. Właśnie to samo jest i dla twoich tu słuchaczy: staraj się więc jak najdokładniej, ile możesz, wszystko powiedzieć.

FEDON. Będąc tam przytomnym, doświadczyłem szczególniejszego na sobie wrażenia. Nie ogarnął mnie żal, jak zwykle przy zgonie zaufanego przyjaciela, bom uważał Sokratesa z jego mów i stanu duszy za szczęśliwego. Tak umierał bez bojaźni i szlachetnie. Wniósłem ztąd zapewne, że, przechodząc na tamten świat, nie idzie bez opieki bogów i będzie tam szczęśliwym, jeśli nim kiedy kto był; nie ścisnęło mnie dlatego nic żałośnego, jakby się zdawało koniecznem przy tak smutnym wypadku; ale nie było znowu tej wesołości jak zwykle, gdyśmy się filozofią zajmowali, choć teraz o tem samym rozmawialiśmy co dawniej; tylko czułem w sobie coś nadzwyczajnego, szczególne pomieszanie radości ze smutkiem wtenczas, kiedym pomyślił, że on ma teraz umrzeć. Wszyscy przytomni byli prawie w podobnym stanie, raz się śmiejąc, drugi raz płacząc; a najbardziej z nas jeden, Apollodor. Znasz go dobrze i jego naturę!

ECHEKRATES. O! jakżebym nie miał znać?

FEDON. Szczególniej teraz takim się okazał; ale ja byłem równie pomieszany i inni.

ECHEKRATES. Jacyż inni byli tam obecni?

FEDON. Z naszych rodaków był oto ten Apollodor i Krytobul z swoim ojcem Krytonem; potem Hermogenes, Epigenes, Eschines, i Antysthenes\*). Był także Ktezyppus Peańczyk, Menexen, i kilku innych z naszych. Platon jak mi się zdaje, był słaby.

ECHEKRATES. A czy był kto i z obcych?

FEDON. Tak! Simias Tebańczyk, Kebes i Fedondes, oraz Euklides\*\*), Terpsyon z Megary.

\*) Założyciel szkoły Kyników. Diog. Laert. VI.

\*\*) Założyciel szkoły Megarejskiej.

ECHEKRATES. A Arystyp\*) i Kleombrot\*\*) czy byli także?

FEDON. Nie! mówiono, że się znajdowali wtenczas w Eginie.

ECHEKRATES. Któż więcej był obecny?

FEDON. Ci tylko, jak mi się zdaje, tam byli!

ECHEKRATES. O czym więc, powiedz, rozmawialiście?

FEDON. Będę się starał od początku wszystko ci opowiedzieć. Od dawna zwykliśmy byli codzień chodzić do Sokratesa, ja i inni, zbierając się rano w domu sądowym, gdzie się sprawa była odbywała, niedaleko więzienia. Tam czekaliśmy zawsze, dopóki nie otwarto więzienia, rozmawiając między sobą. Otwierano je bowiem późno. Skoro tylko otwarto, szliśmy zaraz do Sokratesa, i przepędzaliśmy z nim większą część dnia. Wtenczas zaś zebraliśmy się wcześniej; bośmy się dowiedzieli dnia poprzedzającego, wychodząc wieczorem z więzienia, że okręt z Delos powrócił. Umówiliśmy się więc między sobą, aby nazajutrz jak najwcześniej zejść się na zwyczajne miejsce; i tośmy zrobili. Odzwierny, który nas zwykł był wpuszczać, wyszedłszy, powiedział, że trzeba czekać i nie wchodzić, aż sam da znać; bo przełożeni więzienia\*\*\*) rozkuwają Sokratesa, i wykonanie wyroku śmierci dziś nakazują. Po niejakiem czasie dopiero przyszedł i kazał nam wejść. Wszedłszy, zastaliśmy Sokratesa świeżo właśnie rozkutego i Ksantypę (którą znasz), siedzącą przy nim, i malutkiego syna na ręku trzymającą. Skoro nas spostrzegła, z żalem się odezwała, w sposób zwykły kobietom, mówiąc: »Sokratesie! ostatni już raz mówić będą z tobą teraz twoi przyjaciele, i ty z nimi«. Sokrates spojrzawszy na Krytona, rzekł: »Krytonie! niech też kto odprowadzi ją do domu«. Zaraz wzięli ją ludzie Krytona i odprowadzili płaczącą i bijącą się w głowę. A Sokrates siedząc na łóżku, zgiął kolano, i pocierając sobie ręką nogę, rzekł: »Jakże szczególnem wydaje się to, co ludzie nazywają przyjemnością, i w jak dziwnym zostaje stosunku z tem, co mu odpowiada przeciwnie, to jest boleścią. Jedno i drugie nie da się razem uczuć człowiekowi; lecz, gdy kto jednego zapragnie i doświadczy, musi doświadczyć i drugiego, tak jakby oboje jednym węzłem połączone było; i sądzę, że gdyby Ezopowi było to na myśl przyszło, byłby niezawodnie ułożył bajkę: »że gdy Bóg chciał te dwie przeciwności między sobą pogodzić, ale tego zrobić nie mógł, połączył je z sobą węzłem tak, że kto teraz jednej doświadczy, doświadczy potem i drugiej«. Poznałem to sam na sobie: po bólu, jaki czułem w nodze od więzów, zdaje się teraz następować przyjemność«. Na to przerwał mowę Kebes, i rzekł: »Przebóg! dobrze Sokratesie, żeś mi o tem wspomniał; bo względem poezji, któreś napisał, przerabiając wierszem bajki Ezopa i hymn do Apollona\*\*\*\*), wielu mnie się pytało, a świeżo między nimi Ewenus, dlaczego dopiero tutaj w więzieniu wzięłeś się do wierszy, a pierwej wcaleś o nich nie myślał. Jeżeli więc idzie ci o to,

\*) Założyciel szkoły Kyrenaickiej.

\*\*) Z Ambrakii.

\*\*\* ) Właściwie tak zwani Jedenastu *oi ἑνδεκα* (hoi hendeka).

\*\*\*\* ) Diogenes Laert. przytacza z niego kilka wierszy, K. 11. 42.

abym dobrze odpowiedział Ewenowi, gdy mnie powtórnie zapyta, a wiem pewno, że to niezawodnie zrobi, powiedz, co mam mówić? — Mów tak, jak jest, Kebesie, rzekł Sokrates, że ja nie w chęci, żebym miał być współzawodnikiem Ezopa i jego poezyi, wziąłem się do wierszy: wiedziałem bowiem, że niełatwo można mu wyrównać; lecz abym doszedł znaczenia snów kilku, które miałem, i zaspokoił moje przekonanie, czy nie poezya jest ową ze sztuk pięknych\*), którą mi często każą się zajmować; albowiem w ciągu mego życia miałem jeden sen zawsze, choć pod różnemi postaciami, toż samo jednak znaczący »Sokratesie! mówił mi, weź się i zajmij jaką ze sztuk pięknych«. Z początku mniemałem, że mnie wzywał i zachęcał do wytrwania w tem, w czem dotąd pracowałem; tak jak się zachęca tych, co biegną do mety, sądziłem, że i mnie podobnie sen zachęca do wytrwania w tem, czem pierwej się zajmowałem, to jest w filozofii; bo filozofia, której się cały oddałem, jest najpierwszą ze sztuk pięknych. Lecz gdy zapadł na mnie wyrok śmierci, i tylko uroczystość Apollona wykonanie jego odwlokła, uznałem, że jeżeli mi jeszcze raz sen każe zajmować się sztukami pięknymi, nie należy mu sprzeciwiać się, lecz być posłusznym; bo bezpieczniej pierwej, nim zejść z tego świata, zadosyć uczynić woli bogów napisaniem wierszy, niż bez zadosyć uczynienia schodzić. Dlatego napisałem naprzód hymn do Apollona, którego właśnie obchodzono uroczystość; potem uważając, że na poetę nie przystoi, jeśli ma być nim, jak powinien, pisać prozy wierszem, lecz przedstawiać obrazy imaginacyi; ponieważ w nie sam nie jestem płodny, wziąłem się do bajek Ezopa, które napamięć umiałem, i najpierw sobie przypominałem. To powiedz Kebesie Ewenowi, życz mu zdrowia, i jeśli ma rozum, niech w ślady moje wstępuje, gdyż podobno już dziś z tego świata schodzę; albowiem tak chcą Ateńczykowie. Na to Simias: — Co każesz Sokratesie powiedzieć Ewenowi? Byłem z nim razem długo, lecz, ile wiem, nie będzie miał ochoty bynajmniej cię posłuchać. — Jakto, rzecze Sokrates, czy Ewenus nie jest filozofem? — Jest! i ja za takiego go uważam, odpowiedział Simias. — A więc on i każdy, kto tylko godnie tak wielkiego dobra jest uczestnikiem, będzie chciał mnie naśladować, tylko gwałtu nie ma sobie zadawać; bo tego, jak powiadają, nie wolno. Mówiąc to spuścił nogi z łóżka na ziemię, i siedząc, tak dalej rozmawiał. Zapytał się go Kebes: Jakto Sokratesie! mówisz, że nie wolno gwałtu sobie zadawać, ale, gdy kto umiera, filozof życzyć sobie powinien być jego towarzyszem? — Czyście o tem nie słyszeli Kebesie i ty Simiaszu, gdyście byli razem z Filolajem?\*\*) — Nic z pewnością Sokratesie! — Ja co wiem, to tylko z powieści od drugich; jednak com słyszał, nie chcę zataić, bo bardzo stosownem jest, aby ten, co ma z tego świata na tamten przechodzić, zastanowił się teraz i pomówił z wami względem tego przejścia, jak o nim sądzimy; coż bowiem innego zrobiłby każdy w tej chwili, która pozostaje do

\*) Tak tłumaczy Cousin μουσικὴν ποίησιν. Schleiermacher: Musik machen, treiben.

\*\*) Z Krotony Pythagorejczykiem.

zachodu\*) słońca? — Dlaczego więc Sokratesie mówią, że nie wolno samemu sobie życia odbierać; gdyż, o co się teraz pytam, słyszałem od Filolaja, gdy u nas bawił, i innych, że nie należy tego się dopuszczać; z dokładnością jednak o tem nic znikąd nie wiem. — Nie trać nadziei, rzekł Sokrates, wkrótce się dowiesz. Może ci się dziwnem wydaje, że z wielu rzeczy to jedno jest bez wyjątku, że nigdy dla człowieka niema chwili, w którejby lepiej było umrzeć niżeli żyć; a jeżeliby dla kogo kiedy było, to znowu szczególne, że niewolno samemu sobie dobrze czynić, lecz czekać w tem należy cudzego dobrodziejstwa.

Uśmiechnąwszy się nieznacznie Kebes, rzekł na to właściwym miejscu swego urodzenia sposobem: — O tem Bóg sam najlepiej wie! — Może zdawać ci się będzie, rzekł Sokrates, mniemanie to zupełnie bezzasadne; ma ono jednak swoją przyczynę. Podana w misteryach stosowna do tego maksyma »że my ludzie na tym świecie jesteśmy, jak pod strażą, i nie wolno nam się samym z niej uwalniać i uchodzić« zdaje się wielką i niełatwą do przeniknienia. Sądzę, że przynajmniej na to się zgodzisz ze mną Kebesie, i uznasz za stosowne, co mówią, że bogowie są naszymi panami, a my ich poddanymi. Czy nie przyznajesz tego? — Przyznaję! odpowiedział Kebes. — A zatem, mówił dalej Sokrates, gdyby który z twoich poddanych, nie pytając się o twoje pozwolenie, chciał sobie życie odebrać, nie gniewałżebyś się na niego, nie użyłżebyś kary, jakąbyś miał na pogotowiu? — I wielkiej! odpowiedział Kebes. — A więc i to nie jest bez zasady, że nie należy wprzód porzucać życia, póki Bóg sam nie ześle tego potrzeby, jak nam teraz zesłał. — To prawda, rzekł Kebes, lecz coś pierwaj mówił, że filozofowie chętnie umierać powinni, zdaje się z tem być niezgodne, jeżeli to, cośmy teraz powiedzieli, jest istotnem, że Bóg jest naszym panem a my jego poddanymi; trudno bowiem pomyśleć, żeby ci, co za najmędrzych uchodzą, nie mieli z niechęcią oddalać się z pod opieki tych, co o wszystkim najlepsze mają staranie, to jest bogów: bo niepodobna, aby kto z nich sądził, że w lepszej będzie pieczy, kiedy bez drugich opieki zostanie; chyba tylko nierozsądny zupełnie człowiek będzie sądził, że dobrze jest oddalać się od swego pana i opiekuna; a nie zastanowi się, że dobrego odstępować nie należy, lecz owszem jak najdłużej trzymać się go potrzeba, i że, nie trzymając, źle się robi. Rozsądny będzie zawsze starał się przy tym pozostać, kogo lepszym od siebie widzi. Tak, Sokratesie! przeciwnie wnieść wypada, niżes ty powiedział; to jest, że filozofowie niechętnie umierać powinni, a ludzie prości, nierozumni tylko, chętnie.

Sokrates, słysząc to, zdawał się być zadowolniony z dowodzenia Kebesa, a, spojrzawszy na nas, rzekł: — Kebes znajdzie zawsze jakieś zarzuty, i nie zaraz przyjmie, co mu kto powie. — Na to rzekł Simias: I mnie zdaje się, Sokratesie, że Kebes dobrze mówi! Dlaczego bowiem ludzie prawdziwie mądry mieliby chcieć odstępować swych dobrych

---

\*) Prawo Ateńskie zabraniało w dzień życie odbierać potępionym.

panów, i oddalać się od nich. Jak widzę, zmierza Kebes swą mowę do siebie, że nas tak łatwo i bogów, dobrych jak sam wyznajesz panów, opuszczasz. — Macie słuszność, rzekł Sokrates. Widzę, że chcecie abym przed wami się usprawiedliwił, jak przed sądem. — Tak, nie inaczej, odpowiedział Simias. — A więc, rzekł Sokrates, chcę to zrobić i skuteczniej niż przed sądem. Gdybym sądził, że po śmierci nie znajdę bogów równie mądrych i dobrych jak tutaj, a ludzi, co pomarli, jeszcze lepszych od tych, co tu żyją, błędziłbym moją względem śmierci obojętnością; lecz wiedziecie, że mam nadzieję, iż znajdę ludzi lepszych; a choćbym o tem nie mógł z pewnością zaręczyć, jednak, że znajdę tam bogów, dobrych dla mnie panów, mogę wam o tem z pewnością powiedzieć, jeżeli kiedy o czem mogłem. Dlatego nie smucę się z mojej śmierci, lecz cieszę się nadzieją, że już zbliża się dla mnie to, co jest przeznaczone dla umarłych, a jak mówią od dawna, lepsze dla cnotliwych, niż dla złych. — Jakże, rzecze Simias, czy chcesz nas Sokratesie opuścić, zostawiając sobie tylko wiadome pobudki twych nadziei, a nam ich wcale nie odkryjesz? Zdaje mi się, że dobro to dla wszystkich nas służy, i że, jeśli je nam dasz poznać, usprawiedliwisz się dostatecznie, kiedy o tem, co mówisz, nas przekonasz. — Dobrze, rzecze Sokrates, zrobię to, lecz naprzód zwróćmy się do tego Krytona, który już dawno zdaje się, że chce nam co powiedzieć. — Oto, mówi Kryton, ten co ci ma dać truciznę, Sokratesie, bezustannie mi powtarza, żeś powinien jak najmniej mówić, bo mówiąc wiele rozpalasz się, i osłabisz przez to moc trucizny. Ci co podobnie robią, muszą czasem dwa i trzy razy ją brać na nowo. — Niech idzie precz! rzecze na to Sokrates. Nie uważaj na niego Krytonie, niech tylko gotów będzie, gdy wypadnie dwa i trzy razy ją podać. — Wiedziałem o tem, rzekł Kryton, że każesz mu to powiedzieć; lecz mi się ciągle naprzykrza. — Niech idzie precz! nie uważaj na niego. Ja zaś chcę wam się teraz usprawiedliwić, jak przed sądem, dlaczego mniemam, że ten, co prawdziwie jak filozof życie swoje spędził, musi z zupełną spokojnością patrzeć na zbliżającą się śmierć swoją, i mieć nadzieję, że gdy umrze, dostąpi na tamtym świecie największego dobra. Jak się to dzieje, pragnę wam Simiaszu i Kebesie wytómaczyć.

---

— Zdaje się, że wielu o tem nie wie, iż ci, co prawdziwymi są filozofami, nie pragną nic więcej jak umrzeć i być bez życia. Kiedy tak, niestosownem byłoby wcale pragnąć śmierci przez całe życie — a gdy przyjdzie, uważać za złe to, czego się pragnęło dawno i żądało. Na to Simias, uśmiechnąwszy się, rzekł: — Zaiste, nie chciałem Sokratesie rozśmiać się, ale zrobiłeś, żem musiał; albowiem sądzę, że gdyby wielu to usłyszało, coś o filozofach powiedział, przyswiadczyłoby ci zaraz,

i wszyscyby u nas\*) na to bardzo się zgodzili, aby filozofowie rzeczywiście pomierali; gdyż wiedzą, że są tego godni. — Dobrzeby powiedzieli, Simiaszu, prócz tego tylko, że wiedzą; bo nie wiedzą, w jaki sposób prawdziwi filozofowie pragną śmierci, i jak jej są godni. Pominąwszy ich zatem, powiedzmy sami sobie, co rozumiemy przez śmierć? — Dobrze, rzekł Simias, przerywając. — Czy nie rozumiemy przez nią nic innego, jak tylko oddzielenie duszy od ciała? Czy umrzeć nie jest to zostawić ciało samo sobie bez duszy, i nawzajem duszę samą sobie bez ciała? Czy nie tem jest śmierć? — Tem, nie czem innym, odpowiedział Simias. — Uważ więc, dobry przyjacielu, czy teraz zgodzisz się ze mną na jedno: bo mi się zdaje, że ztąd lepiej poznamy to, o co nam idzie. Czy sądzisz, że filozof powinien ubiegać się o tak nazwane przyjemności n. p. jedzenia, picia? — Bynajmniej, Sokratesie! rzekł Simias. — O jakież więc? może o przyjemność miłości? — Wcale nie! — To może będzie dbał o wygody ciała, jakoto o piękną odzież, obuwie, i inne ozdoby? Jak sądzisz, czy on je poważa, lub gardzi tem, co niekoniecznie potrzebne? — Sądzę, że prawdziwy filozof tem wszystkim pogardza. — A więc czy nie przyznasz, rzecze Sokrates, że jego staranie nie do ciała, od którego chce się uwolnić, lecz do duszy więcej się ściąga? — Pewno. — Czyliż więc nie w tem naprzód jest filozofem, że więcej, niż inni ludzie, oddala duszę od związku z ciałem? — Tak. — A czy nie mówi wielu, że ten, komu wszystko niemiłe, który o nic nie dba, nie ma żyć po co, i jest jakby umarłym, kiedy nie czuje przyjemności, jakie z ciała pochodzą? — Prawdę mówisz, Sokratesie. — A przy nabywaniu poznania rzeczy, czy ciało nie stoi na przeszkodzie, kiedy należy, do szukania go? to jest, chcę mówić, czy wzrok i słuch przedstawia co prawdziwego ludziom? albo czy niesłusznie powtarzają nam zawsze poeci, że nic nie słyszymy, ani widzimy prawdziwie\*\*). Jeśli więc te zmysły nie są pewne i niezawodne, trudnoby niemi były inne, kiedy wszystkie od tamtych są słabsze. Czy nie zgadzasz się na to? — Zgadzam się bardzo, odpowiedział Simias. — Kiedyż zatem dochodzi dusza prawdy? rzekł Sokrates; bo jeśli z ciałem chce co poznać, widzimy, że od niego zwiedziona bywa. — Tak, rzekł Simias. — A więc czy nie wtenczas ona poznaje istotę rzeczy, kiedy myśli? — Wtenczas! — A czy nie myśli najlepiej wtenczas, kiedy jej nic takiego nie stoi na przeszkodzie, ani słuch, ani wzrok, ani boleść, ani rozkosz, gdy oddalona od ciała, sama w sobie zupełnie zostaje, i odstępując, ile może, od związku z ciałem, zwraca się ku temu, co ma poznać? — Tak. — Czyż więc nie wtenczas to dusza filozofa pogardza najwięcej ciałem, unika go, i sama sobie chce być pozostawiona? — Zapewne! — A o tem, Simiaszu! jakże, czy nie powiemy, że sprawiedliwość jest

\*) To jest w Tebach.

\*\*\*) Parmenides, Empedokles, i Epicharmos.

Duch to widzi, duch to słyszy.

Oko ślepe, ucho głuche.

(Stob. Floril. IV. Plut. de Fortuna).

czemś albo że niczem? — Oczywiście powiemy, że jest czemś. — A o dobroci, piękności, czy nie powiemy tego samego? — Powiemy. — Czyś kiedy je choćby najmniej widział? — Nigdy. — Możeś więc innym jakim zmysłem je poznał? — Toż samo mówię o wszystkim innym, o wielkości, zdrowiu, mocy, słowem, istocie wszystkiego, co tylko samo w sobie jest czemś. — Czy zapomocą ciała poznamy jego rzeczywistość? albo raczej, że im kto lepiej zastanowi się nad tem, o czem pomyśli, tem więcej zbliży się do jego poznania. — Pewno. — A więc czy nie ten najpewniej dokaże wszystkiego, kto samą tylko myślą najwięcej do wszystkiego będzie przystępował; nie polegał ani na wzroku w myśleniu, ani na żadnym innym zmyśle, lecz samą przez się myślą się zastanawiając, istotę wszystkiego przenikał, bez oczu i uszów, słowem mówiąc, bez ciała, jako tego, które duszy w poznaniu przeszkadza i robi jej trudności, kiedy jest z nią razem. Czy nie taki tylko, Simiaszu, istotę rzeczy poznać potrafi? — Niezawodnie, że taki tylko. Prawdę aż nadto mówisz Sokratesie. — Czyli naturalnie z tego wszystkiego, rzekł dalek Sokrates, nie wniosą prawdziwi filozofowie i nie powiedzą do siebie: »Sądźmy, że ta tylko jest prosta droga, która nas prowadzi dobrze do poznania rzeczy; bo, dopóki mamy ciało, dusza nasza zostaje ciągle w złem uwięziona, i my nie osiągniemy nigdy celu naszych życzeń, to jest prawdy«. Przynajmy im w tem słuszność, bo ciało tysiączne daje nam zatrudnienia dla utrzymania go. Gdy przypadną choroby, nie dozwolą wcale myśleć. Z ciała podlegamy namiętnościom, bojaźni, wielu chimerom i głupstwom, tak, że mówiąc prawdę, dla niego nie możemy nie wcale myśleć; bo w istocie cóż sprowadza między nami wojny, kłótnie i bitwy, jeżeli nie ciało i jego żądze; bo nie z czego innego powstają między nami nieprzyjaźnie, jak z żądy dostatków! a o te musimy się starać dla ciała, aby zaspokoić jego potrzeby. Zład nie mamy czasu myśleć o filozofii; a gdy nawet kiedy go znajdziemy i zaczniemy myśleć, sprowadza ciało wśród myślenia nagłe rozartargnienie i pomieszanie, tak, że nie możemy z powodu niego żadnej dostrzedz prawdy. W istocie zdaje mi się, że, jeśli kiedy mamy co poznać dokładnie, trzeba abyśmy od ciała się oderwali, i samą tylko duszą na rzecz patrzyli; a wtenczas dopiero, sądę, że czego pragniemy, dostąpić potrafimy: to jest, będziemy mogli myśleć, kiedy umrzemy: nie zaś, jak każdy to widzi, za życia. Tak więc, gdy z ciałem nie dokładnie poznać nie możemy, musi być jedno z dwojga: albo że nie nigdy znać nie będziemy, albo że aż po śmierci; bo wtenczas dopiero dusza sama w sobie zostanie bez ciała; póki zaś żyjemy, najwięcej wtenczas zbliżymy się do poznania, kiedy, ile można, jak najmniej ciałem zajmować się będziemy, nie przestawać z niem nad konieczną potrzebę, ani przejmować jego natury, lecz owszem strzedz się jak najwięcej od jego wpływu, póki Bóg zupełnie nie uwolni nas od niego. Wolni zatem i oczyszczeni od głupstw ciała, będziemy, jak sądę, żyć i przestawać na tamtym świecie z ludźmi, podobnie jak my oczyszczonymi, poznamy sami przez się istotę wszystkiego. Tak, bo niesłuszną byłoby rzeczą, aby nieoczyszczeni mieli być uczestnikami tego, co jest czyste. Oto masz ko-

chany Simiaszu, co mi się zdaje, i o czem prawdziwi filozofowie myśleć i rozmawiać między sobą powinni. Czy i tobie też samo się zdaje? — Toż samo zupełnie Sokratesie. — A zatem jeśli co mówimy, jest prawdą, czy niema dla mnie, przyjacielu, wielkiej nadziei, że jeśli gdzie, to pewno tam, dokąd teraz odchodzę, znajdę, czegom przez całe życie tak mocno pragnął. Tak przejście moje z tego świata na tamten, które mam na rozkaz drugich zrobić, czyni mi tego nadzieję, równie jak każdemu, kto ma przekonanie, że się starał, aby dusza jego zawsze była czystą. — Pewno! rzekł Simias. — Chcieć ją mieć czystą, jest to, cośmy dawniej powiedzieli, oddalać ją jak najwięcej od ciała, przyzwyczajając, aby sama się we wszystkim od ciała odrywała, w sobie sama jednoczyła, i ile być może teraz i potem sama w sobie wolna była od ciała, tak jakby od więzów. — Pewno! rzekł Simias. — A tego uwolnienia duszy i oddzielenia od ciała czyż nie zowiemy śmiercią? — Nie inaczej, odpowiedział Simias. — Uwolnić zaś ją, jak mówimy, czy nie pragną najwięcej sami tylko prawdziwi filozofowie? Czyż uwolnienie duszy i oddzielenie jej od ciała nie jest ich najgłówniejszym staraniem? — Zdaje się, że tak. — Zatem, jak pierwaj mówiłem, czy nie byłoby śmiesznem, żeby ten, który przez całe życie starał się być jak umarłym, kiedy przyjdzie śmierć, miał ją za coś złego? nie byłoby to śmiesznem? pytam się raz jeszcze. — I jak! rzekł Simias. — A więc Simiaszu! prawdziwi filozofowie dążą do śmierci, i ta im bynajmniej żadnej nie sprawia obawy. Uważ ztąd, kiedy gardzą zawsze ciałem, i chcą mieć duszę w sobie samą, nie popełniliżby wielkiej sprzeczności, gdyby, lekając się śmierci, gdy przyjdzie, i mając ją za coś złego, nie poszli chętnie, gdzie się spodziewają znaleźć to, czego przez całe życie pragnęli. Pragnęli zaś poznania i uwolnienia się od tego, czem gardzili. Wielu ludzi, którym pomarły dzieci albo żony, chciałoby chętnie iść na tamten świat, w nadziei, że się zobaczą z temi, których kochali, i żyć z nimi będą; a człowiek, który pokochał mądrość i który sądzi, że ją tylko na tamtym świecie znajdzie, miałżeby niechcieć umrzeć i iść tam chętnie, gdzie znajdzie to, co polubił?

— Kochany przyjacielu! wypada sądzić, że pójdzie z wielką ochotą, jeśli jest prawdziwym filozofem; bo ma przekonanie, że nigdzie nie znajdzie tej czystej mądrości, której szuka, jak tylko tam. Więc jeżeli jest tak, jak powiedziałem, nie byłaby wielka sprzeczność, aby miał się taki obawiać śmierci? — Byłaby bardzo wielka, rzekł Simias. — Więc czy nie masz ztąd, mówił dalej Sokrates, dostatecznego dowodu, że ten, kogo zobaczysz zasmuconego z powodu zbliżającej się dla niego śmierci, nie jest filozofem, ale więcej przyjacielem ciała swojego, miłośnikiem pieniędzy, honorów, czasem jednego z tego dwojga, albo i razem obojga?! — Pewno, że tak jest, jak mówisz. — A czyli, Simiaszu, rzekł dalej Sokrates, to co zowią męstwem, nie przystoi najwięcej filozofom, równie jak i wstrzemięźliwość, którą zowią panowaniem nad namiętnościami swojemi, i niedaniem się im powodować? Nie przystoiż ono najwięcej tym, którzy gardzą ciałem i żyją w poświęceniu się dla filozofii? — Nie inaczej, odpowiedział Simias. —



Bo jeżeli zastanowisz się nad męstwem i wstrzemięźliwością ludzi innych, zobaczysz, jak jest śmieszne. — Jakto Sokratesie? — Oto, rzekł Sokrates, wiesz, że wszyscy uważają śmierć za największe zło. — Tak, Sokratesie, odpowiedział Simias. — Ci, co się mężnymi okazują, gdy śmierć ponoszą, są jedynie takimi z obawy czegoś gorszego. — Tak. — A więc wszyscy, prócz filozofów, są tylko z obawy i bojaźni mężnymi. Ale jakże to sprzeczne, aby kto z obawy i bojaźni był mężnym! — Pewno Sokratesie. — Podobnie ma się i ze wstrzemięźliwością innych ludzi; są wstrzemięźliwymi przez niewstrzemięźliwość; choć mówimy, że to niepodobna, bywa jednak coś takiego przy ich osobliwszej wstrzemięźliwości; albowiem z obawy, aby nie byli pozbawieni jednych rozkoszy, to jest tych, których najwięcej pragną, wstrzymują się od drugich, pierwszym zawsze hołdując. Nazywają niewstrzemięźliwością, dać się powodować rozkoszom i namiętnościom; a przecież sami kiedy panują nad jednymi, drugich są niewolnikami. Ztąd powstaje coś takiego, jak powiedziałem, że w pewnym względzie przez niewstrzemięźliwość są wstrzemięźliwymi. — Tak i mnie się zdaje Sokratesie. — Uważ zaś kochany Simiaszu, że dla tego, kto chce być wstrzemięźliwym, wcale nie przystoi zamieniać rozkosze na rozkosze, troski na troski, bojaźń na bojaźń, większe na mniejsze, tak jak monetę grubą na drobną, lecz że się starać należy o tę dobrą monetę, za którą wszystko mieć można, to jest o mądrość, czyli poznanie. Za nią dostanie męstwa, wstrzemięźliwości, sprawiedliwości; słowem, prawdziwą cnotę tam tylko znaleźć można, gdzie jest mądrość, czy to obok rozkoszy, bojaźni i innych namiętności, czy też bez nich. Ale gdy jej nie masz, a te jedne na drugie tylko się zamieniają, cnota staje się wtenczas pozornym cieniem; w rzeczy zaś samej jest niewolnictwem, nie mającem w sobie prawdziwości ani czystości; bo prawdziwość i czystość cnoty polega na zachowaniu się od wszelkich namiętności, a do tego prowadzi wstrzemięźliwość, sprawiedliwość, męstwo i mądrość. Zdaje się, że ci, co pierwsi ustanowili misterya, nie byli pospolici ludzie, lecz wyżsi nad innych; bo mówili zaraz, że ten, kto pójdzie na tamten świat nieczysty i niepoświęcony, będzie leżał w błocie; a czysty i poświęcony będzie z bogami mieszkał. Powiadają i ci, którzy na misteryach bywają, że wielu nosi uwieńczone liściami laski, ale mało jest duchem bożym natchnionych. Takimi, sądzę, że są tylko ci, co prawdziwie podług filozofii żyją. Nie zaniedbałem i ja tego przez całe moje życie, lecz owszem starałem się wszelkimi sposobami. Czy zaś niepróżne były moje starania i czy dostąpiłem, czego pragnąłem, sądzę, że się dowiem, gdy, jak się Bogu podoba, wkrótce się na tamten świat przeniosę. Oto macie, Kebesie i Simiaszu, co na moje usprawiedliwienie przed wami mogę powiedzieć, dlaczego się z tego nie smucę, że was opuszczam i panów tego świata, mając nadzieję, że znajdę i na tamtym równie dobrych panów i przyjaciół. Ale mało pewno kto temu uwierzy. Jednak byłem tylko do waszego przekonania więcej powiedział, niż owych sędziów ateńskich, dosyć dla mnie.

Gdy to skończył Sokrates, Kebes, przerywając mu, rzekł: — Sokratesie! wszystko, coś mówił, zdaje mi się prawdziwe, prócz tego, coś powiedział o duszy; bo trudno uwierzyć, aby dusza była, gdy się od ciała oddzieli. Ginie ona zaraz i niknie, skoro człowiek umrze; opuszcza ciało i wychodzi z niego, jak para lub dym, rozchodząc się i nie zostawiając po sobie śladu. Gdyby w istocie istniała sama w sobie, wolna od wszystkiego złego, któreś nam wystawił, byłaby wielka i piękna nadzieja, Sokratesie, że co mówisz spełni się; lecz aby uwierzyć, że po śmierci człowieka dusza nie ginie, ale moc pewną i myśl zachowuje, na to potrzeba niemałych dowodów. — Prawdę mówisz, Kebesie, rzekł Sokrates. Ale cóż zrobimy? czy chcesz abyśmy się zastanowili, czy to prawda lub nie? — Chcę chętnie słyszeć twoje w tym względzie myśli, odpowiedział Kebes. — Sądzę, rzekł Sokrates, że ktokolwiekby mnie tu słyszał, choćby nawet i komik jaki, nie powiedziałby, że od rzeczy gadam i co do mnie nie należy. Jeśli więc tak jest, i jeśli mamy dokładnie nad rzeczą się zastanowić, trzeba, abyśmy zobaczyli, czy dusze umarłych żyją na tamtym świecie lub nie? Dawne to już mniemanie, cośmy powiedzieli, że one ztąd na tamten świat się przenoszą i wracają napowrót niejako z śmierci do życia. Jeśli prawda, że wracają, muszą tam przez niejaki czas zostawać; bo inaczej gdyby nie zostawały, nie miałyby zkąd powracać. Dostatecznym to już jest dowodem zdania, że z umarłych powstają żywi, jeśli nie potrzeba szukać innego. — Tak, rzekł Kebes. — Lecz nie trzeba tego ściągać tylko do ludzi, mówił dalej Sokrates, ale chcąc wszystkiego poznać dokładnie początek, potrzeba i do zwierząt, roślin, w ogólności wszystkiego, co tylko tym sposobem powstaje; to jest z rzeczy sobie przeciwnych, jeżeli je ma, n. p. to co piękne ma za przeciwne, brzydkie, sprawiedliwe ma za przeciwne niesprawiedliwe, i wiele tym podobnych rzeczy. Zobaczymy więc, czy koniecznie to, co ma sobie coś przeciwnego, z niego musi pochodzić; tak jak kiedy się co staje większem, musiało być pierwej mniejsze, nim się stało większem. — Pewno. — A na odwrót, czy to, co się staje mniejszem, nie musiało być naprzód większem, nim się stało mniejszem? — Tak. — Podobnie mocniejsze robi się ze słabszego, prędsze z powolniejszego. — A gorsze czy nie powstaje z lepszego, i sprawiedliwsze z tego, co niesprawiedliwe? — Nie inaczej. — A więc dostatecznie widzimy, że tak powstaje jedno z drugiego na przemian. — Pewno. — Lecz między takimi dwiema przeciwnościami czy niema czego środkującego, coby prowadziło od jednego do drugiego, i na odwrót: od większego do mniejszego, i od mniejszego do większego? — Zapewne zmniejszanie i powiększanie. — Ztąd mówimy: powiększyć co, i zmniejszyć. — Nie inaczej. — A czy nie ma się podobnie i z tem, co zwiemy odłączyć się i złączyć, rozgrzać i oziębic, i z wszystkim innem; choć nie mamy często dość wyrazów na oznaczenie tego, widzimy jednak, że tak jedno musi powstawać z drugiego i nawzajem brać z siebie początek. — Bez wątpienia, rzekł Kebes. — Jakże, mówił dalej Sokrates, czy życie nie ma czego tak sobie przeciwnego, jak czuwanie przeciwne snowi? — Ma, odpowiedział Kebes. —

Cóż takiego? — Śmierć! — Dobrze. — A nie pochodzi tu także jedno z drugiego, ponieważ jest sobie przeciwne? i gdy jest takim, czy nie ma czego pośredniego, coby prowadziło od jednego do drugiego? — Jest. — Ja z mej strony, rzekł Sokrates, powiem ci, co łączy te dwie rzeczy, to jest sen i czuwanie, oraz, co z jednej prowadzi do drugiej; a ty mi powiesz o innych rzeczach. Mówię, że po śnie następuje czuwanie, a po czuwaniu sen; pośrednim zaś, co prowadzi od jednego do drugiego, jest uśnięcie i przebudzenie się. Czy nie dosyć jasno ci powiedziałem? — Bardzo jasno, rzekł Kebes. — Powiedzże mi teraz o życiu: czy nie przyznasz, że śmierć jest przeciwną życiu? — Przyznaję. — A że jedno następuje po drugim? — I to. — Cóż więc następuje po życiu? — Śmierć. — A po śmierci? — Trzeba przyznać, że życie. — A więc z tego, co umarło, powstaje to, co żyje: to jest rozmaite istoty żyjące, ludzie! — Tak. — Zatem nasze dusze żyją na tamtym świecie? — Zdaje się, że tak. — Nie jestże tu widoczne przejście z jednego stanu do drugiego: od życia do śmierci? — Jest i bardzo. — Jakże, a ze śmierci, czy nie powstanie nic przeciwnego? czy tylko w tem natura odstępuje od swych prawideł, lub raczej ze śmierci powstaje także coś przeciwnego? — Pewno, rzekł Kebes. — Cóż takiego? — Nowe życie. — Zatem, jeśli życie nowe następuje po śmierci, jest tylko przejściem ze stanu śmierci do życia. — Tak. — A więc zgadzamy się na to, że życie nie mniej następuje po śmierci, jak śmierć po życiu. Tem samem już wiemy, że dusze zmarłych gdzieś bawią, z kąd znowu do życia wracają. — Z tego, cośmy powiedzieli, Sokratesie, zdaje mi się, że tak koniecznie wypaść musi. — Uważ zaś, żeśmy nie bez słusznego powodu to powiedzieli. Uważ, że gdyby z jednego nie powstało drugie, tak aby się do niego kołem wracało, jednoby natenczas było tylko przejście ze stanu rzeczy do rzeczy, bez powrotu do tej samej, z której wyszło, i jednęby miało postać, jeden stan; wreszcie skończyłoby swoją egzystencję. Jakże ci się zdaje? Nie trudno dojść, czego chcę. Oto, że gdyby było uśnięcie, a nie było obudzenia się, wszystko w końcuby okazywało, że Endymion\*) nie jest wielką rzeczą: bo jak on, tak wszystko pogrążoneby było we śnie wiecznym. I gdyby pomieszane razem nie rozdzieliło się od siebie, byłoby nareszcie, jak powiedział Anaxagoras, wszystko razem z sobą\*\*). Nie wracając po śmierci do życia, i w stanie śmiertelności ciągle zostając, musiałyby nareszcie wszystko, co żyje, wymrzeć i z siebie nic nie zostawić: bo jeśli z tego, co umiera, nic nie powstaje, a co żyjące, umiera, cóż będzie, co nie dopuści, by wreszcie wszystko nie wymarło. — Zdaje mi się, że masz słusność Sokratesie, rzekł Kebes. — Mówię ci Kebesie, odpowiedział Sokrates, że com rzekł, jest niezawodne, i nie zbłądzi-

---

\*) Mówiono, że Endymion uśpiony od księżycy, go odwiedzającego, spał ciągle przez wiele lat w grocie góry Latmos w Karyi (Cicero Tuscul. 1, 38).

\*\*\*) Taki był początek dzieła Anaxagorasa: że wszystkie rzeczy były razem, a rozum je rozłączył i uporządkował. (Diog. Laert. 11, 6).

liśmy, kiedyśmy się na to zgodzili; bo w istocie jest przejście do nowego życia, powstają żywi z umarłych, żyją dusze umarłych, i dobrym jest lepiej, a złym gorzej. — Tak niezawodnie, rzekł przerywając Kebes. Lecz zdaje mi się, że tu także należy, coś zwykł często mawiać, Sokratesie, że nauka niczem innym nie jest, jak tylko przypomnieniem. Jeśli tak, wypada, żeśmy już dawniej musieli to znać, co sobie przypominamy. A toby nie mogło nastąpić, gdyby pierwiej duszy nie było, nim do ciała weszła. Nowy zatem i zład wniosek, że dusza jest nieśmiertelna. Na to odezwał się Simias: Jakież, Kebesie, masz tego dowody? Powiedz, bo ja w tym momencie nie pamiętam. — Jeden ci tylko powiem, odpowiedział Kebes, ale najważniejszy: to jest, że gdy się kto kogo dobrze spyta, odpowie jak należy. Nie mógłby zaś tego zrobić, gdyby nie miał sam w sobie dokładnego rzeczy poznania. Dostatecznym dowodem do przekonania cię, rzekł Sokrates, tedy uważ, czyli, tym sposobem wzięwszy rzecz pod rozwagę, nie zgodzisz się na jedno z nami. — Nie wątpię, odpowiedział Simias, by to, co zowią nauką, nie miało być przypomnieniem; chciałem tylko przypomnieć tu sobie, o czem mowa. Z tego, co Kebes powiedział, mam już dostatecznego przekonania i wierzę; ale jednak radbym mimo tego usłyszeć, jak ty będziesz dowodził. — Oto tak, rzekł Sokrates. Zgodziliśmy się na to, że, aby sobie co przypomnieć, trzeba już pierwiej to wiedzieć, co mamy sobie przypomnieć. — Tak, rzekł Simias. — A czy nie zgodzimy się na to, że poznać co, jest tyle co sobie przypomnieć. To jest, gdy kto słysząc, lub jakimkolwiek innym zmysłem rzecz pojmując, nie tylko tę poznaje, na którą uwagę zwraca, ale razem i inną, której poznanie było wcale oddzielne, nie powiemyż, że człowiek ten przypomina sobie rzecz, którą już dawniej znać musiał. — Jak to? — Oto mówię n. p., że poznać człowieka jest co innego, a poznać lirę co innego. — Oczywiście. — A czy nie wiesz, mówił dalej Sokrates, co się trafia kochankom, gdy zobaczą lirę, suknię, lub inną rzecz jaką, której ich ukochana używała? Oto gdy poznają lirę, przychodzi im zaraz na pamięć sama kochanka, do której ta należała. To właśnie jest przypomnieniem: jak n. p., widząc ktoś Simiasza, przypomni sobie i Kebesa. Mnóstwo podobnych możnaby przytoczyć przykładów. — Pewno. — Czy więc przyznamy, mówił Sokrates, że to jest przypomnienie, szczególnie, gdy się tyczy tego, czegośmy zapomnieli albo przez odległość czasu, albo przez długie niewidzenie? — Nie inaczej. — A widząc n. p. odmalowanego konia lub lirę, czy nie możemy przypomnieć sobie człowieka? lub widząc odmalowanego Simiasa, czy nie możemy przypomnieć sobie Kebesa? — Możemy. — Podług tego zatem, czy nie następuje przypomnienie raz przez podobieństwo, a drugi przez sprzeczność? — Następuje. — Kiedy się zaś co przypomina z podobieństwa, nie musiż umysł poznać od razu, czyli co brakuje, lub nie? — Koniecznie, odpowiedział Simias. — Uważ więc, mówił dalej Sokrates, czy nie powiemy, że jest czemś więcej podobieństwo, niżeli, jakie między kamieniem a kamieniem, drzewem a drzewem, i innymi rzeczami po-

dobnemi? Czy nie powiemy, że samo w sobie jest czemś, lub niczem? — Powiemy, że jest czemś. — A czy znamy, czem jest? — Pewno. — Zkąd więc znamy? Nie z tegoż, cośmy powiedzieli: to jest kiedy zobaczymy drzewa podobne, kamienie, i wiele innych rzeczy, poznajemy podobieństwo, którem jednak nie są ani te drzewa, ani kamienie, lecz coś wcale innego. Czy nie poznasz, że coś innego? Uważ i to: czy nie wydają nam się kamienie i drzewa raz podobne, a drugi niepodobne, choć są między sobą podobne, i prawie jednakowe? — Tak. — Dlaczegoż? Więc to, co jest podobne, zdaje się czasem niepodobne, i podobieństwo będzie razem niepodobieństwem. — Nigdy Sokratesie! — Podobieństwo i to, co podobne, nie jestże to samo, mówił dalej Sokrates. — Wcale nie, Sokratesie, odpowiedział Simias. — A wszak z tego, co podobne i co różne od samego podobieństwa, poznajesz podobieństwo. — Prawda, odpowiedział Simias. — A przy poznawaniu czy nie widzisz zaraz podobieństwa, lub różnicy od tego, z czego poznajesz? — Nie inaczej. — Dobrze, mówił Sokrates, albo powiedzmy tak, co na jedno wychodzi, zobaczywszy rzecz jaką, czy nie pomyślimy zaraz o niej, że do niej jest podobna lub niepodobna; jest to własnością przypomnienia. — Tak. — Powiedz proszę, rzekł Sokrates, czy na widok drzew podobnych, lub innych rzeczy, o którychśmy mówili, nie dzieje się to samo? Czy nie zdają się nam takie, jak samo podobieństwo, albo czy brakuje co do tego, lub nie? — Brakuje i wiele, odpowiedział Simias. — Nie zgodzimyż się więc, że gdy kto na co spojrzy, przyjdzie mu zaraz na myśl, że jest do czego innego podobne, lub mu czegoś brakuje do zupełnego podobieństwa? Dlatego wypada poznać pierwaj to, do czego jest podobne lub niedostaje do zupełnego z niemi podobieństwa. — Koniecznie. — Nie dziejeż się to samo z tem, co podobne, a samem podobieństwem? — To samo. — A więc musimy już pierwaj znać podobieństwo samo w sobie, nim zobaczywszy rzecz jaką podobną, pomyślimy, że się zbliża do podobieństwa, ale do niego nie dochodzi. — Pewno. — Nie zgadzamyż się zaś na to, że myśl tę obudzamy w nas przez zmysł widzenia, lub który inny? A co tu mówię względem jednego, to się rozumie o wszystkim. — Tak Sokratesie! prawdę mówisz, przynajmniej o ile się tego tyczy, o czem mówimy. — A więc przez zmysł obudzamy w nas myśl tę, że wszystko, co podobne, podpada pod zmysły nasze, zbliża się do tego, co zowiemy podobieństwem, ale do niego nie dochodzi. Czy nie przyznamy tego? — Przyznamy. — Wypada więc ztąd, że nim co widzimy lub słyszymy, musimy już mieć w nas poznanie samego podobieństwa, do którego coś zmysłowego i podobnego potem odnosimy, i uważamy, że się zbliża do niego, ale mu zupełnie nie odpowiada. — Tak wypada koniecznie, Sokratesie. — A czy nie od samego zaraz urodzenia mamy wzrok, słuch, i inne zmysły? — Oczywiście, że od samego urodzenia. Musimy więc już pierwaj, nim tych zmysłów dostajemy, mieć poznanie podobieństwa? — Tak. — Przeto nim się rodzimy, musimy już je mieć. — Tak się zdaje. — Jeśli więc, nabywszy go przed urodzeniem, mamy i po urodzeniu, wypada, że musimy przed i po urodzeniu znać nie tylko podo-

bieństwo, większość, mniejszość, lecz i inne tym podobne rzeczy; bo co mówimy, nie tylko rozumie się o samem podobieństwie, lecz i o tem, co zowią pięknnością, dobrocią, sprawiedliwością, świętością, słowem o wszystkim, czemu tylko byt jakiś tu między sobą w naszych rozmowach przyznajemy. Wypada więc, że poznanie musimy już mieć przed naszym urodzeniem. — Tak. — Mając je raz, gdybyśmy potem nie tracili przy urodzeniu przez zapomnienie, rodzilibyśmy się z poznaniem wszystkiego, i posiadali je przez całe życie; gdyż znać co, nie innego nie jest, jak tylko zachować w pamięci poznanie raz nabyte, i nie stracić go nigdy; bo czyż nie mówimy Simiaszu, że zapomnieć, jest stracić poznanie rzeczy jakiej raz nabyte? — Bezwątpienia Sokratesie. — Jeśli przeto mając poznanie przed urodzeniem, tracimy je przy urodzeniu, i dopiero później za pomocą zmysłów odzyskujemy, cośmy pierwiej mieli, zatem czy to, co zwiemy: uczyć się, nie będzie to samo, co odzyskiwać poznanie dawniej nabyte? a o tem słusznie powiedzieć można, że jest przypomnieniem. — Nie inaczej; albowiem jakieśmy powiedzieli, ten, kto czuje co, widzi lub słyszy, może jeszcze w tej samej chwili myśleć co innego, od tego albo różnego, albo mu podobnego.

— Musi zatem być koniecznie jedno z dwojga: albo że się rodzimy z poznaniem wszystkiego i mamy je przez całe życie, albo że, ucząc się, przypominamy sobie tylko, cośmy dawniej wiedzieli. W drugim razie nie będzież poznanie tylko przypomnieniem? — Tak, nie inaczej. — Cóż więc zdaje ci się podobniejszym do prawdy: czy że się rodzimy z poznaniem wszystkiego, czy że przypominamy sobie to, cośmy już wiedzieli? — Nie umiem ci teraz powiedzieć. — A o tem czy nie potrafisz także nie powiedzieć, że każdy z tego, co zna, może się wytlómaczyć. — Powinien móżdż, Sokratesie. — A z tego, o czem teraz mówimy, sądziszże, iż wszyscy potrafią się wytlómaczyć? — Radbym, żeby mogli; lecz się lękam, żeby do jutra już nie było nikogo, coby potrafił, jak należy, to zrobić. — A więc zdaje ci się Simiaszu, że nie wszyscy to rozumieją? — Pewno, że nie wszyscy. — A więc przypominają sobie, co dawniej znali? — Nie inaczej. — Kiedyż zaś dusza nasza nabyła tego poznania? Czy już nie po naszym urodzeniu się? — Nie. — Więc pierwiej? — Tak. — Musi więc już pierwiej dusza istnieć, nim się w kształcie ludzkim okazuje, to jest, że nim wchodzi do ciała, już myśli. — Ale może nabywamy poznania w czasie urodzenia? bo ten nam jeszcze czas do tego zostaje. — Dobrze, mój kochany, lecz powiedz kiedy je znowu tracimy? bo po urodzeniu, jakieśmy niedawno mówili, już go nie mamy. Czy wtenczas zaraz tracimy, kiedy nabywamy? Może wiesz kiedy? powiedz. — Nie wiem, nie postrzegłem się, że, co powiem, będzie niestosowne. — Jeśli więc to, o czem dotąd ciągle mowa, jest czemś w istocie, to jest tak zwana dobroć, piękność, i jeśli do niego jako pierwotnego początku, który w sobie mamy, odnosimy wszystkie nasze wrażenia zmysłów, i jeśli je z niem porównujemy, wypada, że kiedy to wszystko egzystuje, musi i dusza nasza egzystować koniecznie, i egzystować pierwiej, nim się rodzimy; lub jeśli to nie egzystuje, dowodzenie nasze jest próżne. —

Czy nie także równo, jak tamte istnieją, i dusza nasza musi istnieć pierwiej, nim się rodzimy, albo jeśli tamte nie, to i ona nie? — Niezawodnie, rzekł Simias, zdaje mi się, że, jak tamte, koniecznie tak i ona istnieje pierwiej nim się rodzimy; bo co do mnie nie widzę nic pewniejszego, jak że to, co zowiemy pięknnością i dobrocią, samo w sobie istnieje. Dla mnie w tym względzie już dosyć dowodów. — A dla Kebesa? rzekł Sokrates; bo potrzeba, aby i on był o tem przekonany. — I on, rzekł Simias, jest już, jak sądzę, dosyć przekonany, choć do wierzzenia zwykle najtrudniejszy. Zdaje mi się, że teraz dostatecznie się przekonał, iż dusza egzystuje pierwiej, nim się rodzimy. Lecz żeby i po śmierci naszej jeszcze egzystowała, to mnie się nie zdaje Sokratesie jeszcze dowiedzione, i nie widzę, dla czego by, jak Kebes dopiero co powiedział, nie miała ze śmiercią człowieka razem ginąć i mieć końca; bo cóż przeszkadza, by się tak, jak ciało, gdzieś osobno nie rodziła, nie powstała, i pierwiej nią nie była, nim wejdzie do ciała, a po wyjściu i opuszczeniu ciała, nie ginęła i niktęła jak ono? — Tak, pewno Simiaszu, odezwał się Kebes. Zdaje mi się, że Sokrates połowę tylko tego dowiódł, co trzeba dowieść, aby uwierzyć, że dusza nasza egzystuje pierwiej, nim się rodzimy: albowiem wypada jeszcze pokazać, że i po śmierci naszej równie egzystuje, jak przed urodzeniem, jeśli dowodzenie ma być zupełne i cel swój ostateczny osiągnąć. — Wszak wam to dostatecznie już pokazałem, Simiaszu i Kebesie, rzekł Sokrates, i przyznacie to sami, jeśli do tego, coście dopiero słyszeli, dołączycie to, na coście się sami zgodzili: że żyjący powstają z umarłych. Albowiem jeżeli dusza istnieje pierwiej, nim się rodzimy, jeżeli, idąc do życia wychodzi z łona śmierci, jakże nie ma istnieć i po śmierci, kiedy się niejako wraca do życia? Macie zatem dowiedzione, czegoście chcieli, Kebesie i Simiaszu. Ale może chcielibyście się nad tem dłużej jeszcze zastanowić, i boicie się, jak dzieci, żeby, kiedy dusza wychodzi z ciała, wiatr jej nie uniósł i nie rozprószył, osobliwie, kiedy kto na przykład w czasie wielkiego wichru umiera. — Na to Kebes, uśmiechnąwszy się, rzecze: Dobrze, sądzę, że się boimy, albo że, jeśli byśmy się nie bali, jest jakie między nami dziecko, co się boi; pokażmy mu więc, żeby się nie bało śmierci jak strachów. — Musicie zatem, rzekł Sokrates, ciągle mu to wybijać z głowy, póki zupełnie nie wyjdzie. — Ale gdzież znajdziemy takiego, Sokratesie, co tego dokaże, kiedy ty nas opuszczasz! — Rozległa jest Grecya, Kebesie! odpowiedział Sokrates, można w niej znaleźć zdatnych ludzi; a prócz niej jest wiele innych krajów. Do nich więc udać się trzeba i wszędzie szukać, nie żałując ni pieniędzy ni starań; albowiem na nic z większą korzyścią nie będziecie mogli obrócić waszych pieniędzy, jak na to. Trzeba poszukać także i między wami samymi; bo może trudno przyszło by wam znaleźć kogo innego, coby lepiej od was potrafił to zrobić. — Dobrze, rzekł Kebes, nie zapomnimy o tem. Ale teraz wróćmy się, jeśli chcesz, do tego, od czegośmy wyszli podczas naszej rozmowy. — I owszem, chętnie; bo nie wiem, dla czegobym miał nie chcieć. — Dobrze, rzekł Kebes. — Wypada więc najpierw nas samych się zapytać, mówił Sokrates, co może w powietrzu rozejść się

jak para, i względem czego należy się ztąd troszczyć, by się z niem podobnie nie stało; a o co trzeba być spokojnym, i dlaczego? potem zastanowić się, co z tego dwojga ma duszę, i czy należy ztąd się o nią troszczyć, lub być spokojnym. — Dobrze mówisz, odpowiedział Kebes. — Przyznasz zapewne, mówił dalej Sokrates, że tylko to, co jest złożone, i z natury nie egzystuje samo w sobie, może być rozdzielone w częściach, z których się składa; a jeżeli jest co niezłożone, i samo w sobie egzystuje, nie może podlegać tej samej kolei. — Sądzę, że tak, rzekł Kebes. — A czy nie to zdaje się być niezłożone, co zawsze jest jedno i nie odmienia się, a złożonem to, co nie zawsze jedno, i odmienia się? — Pewno. — Więc przejdźmy do rzeczy, o którychśmy dawniej mówili. Czy to, czemuśmy w rozmowie tu między sobą przyznali egzystencją samą w sobie, jest zawsze jedno i nie odmienia się, lub przeciwnie, jak podobieństwo samo w sobie, piękność, dobroć, i tym podobne, czy podlega choć najmniejszej zmianie, lub zostaje zawsze jedno bez zmiany proste, samo w sobie? — Tak, jedno bez zmiany samo w sobie Sokratesie. — A co powiemy o wielu rzeczach, które obudzają mniej lub więcej myśl podobieństwa, piękności samej w sobie: jak n. p. ludzie, konie, suknie, i wiele innych rzeczy, czy są zawsze jedne i te same, lub przeciwne tamtym, nie zawsze jedne, sobie i drugim podobne. — Tak, rzekł Kebes, niezawsze są jedne i sobie podobne. — Te wzrokiem, dotykaniem, lub jakimkolwiek zmysłem możesz pojmwować, ale tamte, które zawsze zostają te same, nie dadzą się inaczej jak tylko myśłą pojmwować; bo nie są materyalne i nie można ich widzieć. — W istocie, wszystko coś powiedział, prawda, rzekł Kebes. — Przyznajmy więc, mówił dalej, jeśli chcesz, że dwa są rodzaje rzeczy: jeden widzialnych, a drugi takich, co zmysłami nie dadzą się pojąć. — Tak. — W pierwszym są takie, co nie zawsze zostają jedne i te same, w drugim te, co zostają zawsze jedne i te same. — Zgadzam się na to, odpowiedział Kebes. — Dobrze, uważ więc, mówił Sokrates, czy do jednego z tych nie należy własne nasze ciało, a do drugiego dusza? — Pewno. — Do którego więc ciało? — Oczywiście, rzekł, że do tego, w którym są rzeczy widzialne. — A dusza nasza czy jest widzialną, lub czy się da pojąć zmysłami naszymi? — Przynajmniej dla ludzi jest niewidzialną. — A mówiąc o rzeczach widzialnych i niewidzialnych, czyśmy je na takie rozdzielili przez wzgląd na ludzi, lub kogo innego? — Przez wzgląd na ludzi. — Jakże więc, czy powiemy o duszy, że jest widzialną lub nie? — Powiemy, że jest niewidzialną. — Więc nie da się pojąć zmysłami? — Tak. — A zatem dusza jest coś niematerialnego, a ciało materyalne i widzialne. — Pewno. — A czy nie mówiliśmy dawniej, że gdy dusza używa ciała do poznania czego wzrokiem, słuchem, lub innym jakim zmysłem (bo ciało tylko poznaje zmysłami), bywa od niego pociągana ku temu, co niestałe i zmienne. I gdy się do niego zbliży, doznaje pewnego obłąkania, pomięszania i zawrotu, tak jakby się upiła? — Tak, mówiliśmy o tem. — Przeciwnie, gdy sama przez się co poznaje, i zbliża się ku temu, co stałe i niezienne, jednej z niem będąc natury, zostaje przy niem dopóty, dopóki jest sama



w sobie i dopóki w takim stanie wytrwać może. Nie doznaje wtenczas obłąkania, i zostając przy tem co niezmiennie, jedno i to samo, sama jest jedną i niezmienną. Stan jej taki wówczas nazywa się mądrością. — Pewno Sokratesie, prawda. — Podług tego zatem, cośmy pierwiej i teraz powiedzieli, do czegoż, zdaje ci się, dusza nasza należy i stosuje się? — Każdy, sądzę, Sokratesie, choćby najupartszy i najniepojętniejszy, przyzna, podług tego, jakieś dowodził, że daleko więcej należy do tego, co zawsze jedno i niezmiennie, niż co zmienne. — A ciało do czego należy? — Oczywiście, że do tego, co zmienne. — Teraz uważ: gdy dusza i ciało zostają razem, natura nakazuje jednemu z nich być podległym i dać się powodować, a drugiemu rządzić i powodować; które więc z tego dwojga zdaje ci się bliższem bóstwa, a które śmierci: bo przyznasz, że jedynie coś boskiego może drugiem rządzić i powodować, a co jest śmiertelne, musi podlegać i dać się powodować. — Tak, pewno. — Do czegoż więc dusza jest podobniejsza? — Oczywiście Sokratesie, że do tego, co boskie, a ciało do tego, co śmiertelne. — Zastanów się więc, Kebesie, rzekł Sokrates, czy z tego wszystkiego, cośmy dotąd powiedzieli, nie wypada, że dusza największe ma podobieństwo do tego, co boskie, co nieśmiertelne, myślą tylko dające się pojąć, w sobie nierozdzielne, niezmiennie, zawsze jednakowe; a ciało do tego, co jest ludzkie, śmiertelne, zmysłowe, złożone, rozdzielne, zmienne, i często niejednakowe. Czy możemy co przeciw temu powiedzieć, kochany Kebesie? — Nie możemy nic powiedzieć. — Kiedy tak, nie będzież własnością ciała, że się zepsuje i zniknie, a duszy, że zostanie zawsze cała? — Tak, nie inaczej. — Widzisz, mówił dalej, że po śmierci człowieka część jego widzialna, to jest ciało, które pod zmysł widzenia podpada, i w takim stanie zowie się trupem, przeznaczone jest na to, by się zepsuło, w proch obróciło, i znikło. Nie następuje to zaraz, lecz długo ono się jeszcze utrzymuje i zachowuje rysy piękności, jakie za życia miało; osobliwie, kiedy jest namaszczone, tak jak u Egipcyan, zostaje bardzo długo w całości; i nawet choć się zepsuje, jeszcze niektóre jego części, jakoto kości, nerwy, i tak dalej, zostają, że tak powiem, nieśmiertelne. Nieprawdaż? — Prawda. — A jakże dusza, która jest niematerialna, idzie na miejsce sobie podobne, święte, czyste, niematerialne i dlatego słusznie innym światem zwane, do Boga dobrego, mądrego, do którego, jeśli mu się podoba i moja dusza wkrótce się uda, jakże mówię dusza człowieka taką będąc, i takiej natury, ma zaraz ginąć i niknąć, jak wielu to utrzymuje? O! bynajmniej Kebesie i Simiaszu, lecz tak jest, jak powiem. Jeśli wychodzi z ciała czysta, nie mając nic na sobie z ciała, z którem w związku za życia dobrowolnie nie zostawała, lecz go unikała, chroniła się i sama w sobie jednoczyła, do tego jedynie zmierzając, aby filozofii jak najwięcej się poświęcać, to jest przywykać do śmierci dobrowolnej (bo w istocie takie do niej przywykanie jest przysposobieniem się do śmierci), wtenczas dusza taka udaje się do tego, co jej jest podobne, niematerialne, boskie, nieśmiertelne, mądre; zostaje z niem szczęśliwą, wolną od błędów, nierozsądku, bojaźni, nieprawej miłości, i wszystkiego złego; słowem, jak

mówią ci, co są obeznani z tajemnicami religii, żyje wiecznie z bogami. Czy nie przyznamy, że tak jest Kebesie? — Przyznamy, pewno. — Lecz gdy skażona, nieczysta wychodzi z ciała, do którego jak najściślej była przywiązana, służyła mu, ulegała, dała się powodować namiętnościom, rozkoszom, tak, że nie znała nic prócz tego, co zmysłowe, cielesne, co można widzieć, namacać, jeść, pić, i co służy do rozkoszy, a reszty, co niewidzialne, niematerialne lecz umysłowe, i tylko przez filozofią dające się poznać, nienawidziła, nie lubiła, unikała; taka, mówię, dusza, czy sądzisz, że może wyjść z ciała czysta i wolna? Nie, bynajmniej. Wychodzi ona skrępowana więzami cielesności, które jej narzucił związek ciągły z ciałem, i zbyt ściśle z niem się połączenie, pochodzące z ustawicznego z niem przestawania, i starania, jakie o niem miała. — Pewno. — Te więzy, przyjacielu, muszą być dolegające, ciężkie, jakby z ziemi zrobione, i zmysłowe. Dusza nimi skrępowana upada pod nimi i wznieść się nie może. Pociągana ku światu zmysłowemu przez wstręt do tego, co niezmysłowe, bojąc się innego świata, błąka się, jak mówią, koło grobów i pomników, gdzie nieraz widziano unoszące się cienie, w których pokazują się dusze, co nie oczyściwszy się przed opuszczeniem ciała, zachowały przy sobie cząstkę jakąś ze świata zmysłowego, i dlatego okiem ludzkim dojrzeć się dają. — Pewno Sokratesie. — Tak niezawodnie, Kebesie, że nie są to dusze dobrych lecz złych, i muszą błąkać się w miejscach, gdzie odnoszą karę za złe dawniej życie, póty, aż pociąg, jaki mają do zmysłowości, nie wciągnie ich znowu do jakiego ciała. Natenczas wracają do dawnego sposobu życia. — Co mówisz Sokratesie? — Oto sądzę, że dusze tych, co się oddali obżarstwu, pijaństwu, rozkoszom, i nie byli wstrzemięźliwymi, wchodzą w ciała osłów, i innych tym podobnych zwierząt. Czy nie tak? — Tak! — A tych, co popełniali ciągle niesprawiedliwości, gwałty, grabieże, wchodzą w ciała wilków, jastrzębi, orłów. Czy nie przyznamy tego? — Przyznamy. — Więc każda z nich wejdzie w to, co stosowne do jej życia. — Oczywiście, że tak, bo jakże mogłoby być inaczej? Najszczęśliwsi będą ci i najlepsze dostaną miejsce, którzy w czasie życia starali się o te cnoty towarzyskie, które my zowiemy sprawiedliwością, wstrzemięźliwością, i które nabywają się przez usilność i nawyknięcie, nie zaś koniecznie przez filozofią i myślenie. — Jakimże sposobem najszczęśliwsi? — Bo zdaje się, że dusze ich wejdą w stosowny do tego rodzaj zwierząt spokojnych, łaskawych, jako pszczoł, mrówek, albo znowu w ciała innych ludzi, którzy będą dobrzy. — Zdaje się. — Ale do bogów nie dostanie się ten, kto nie był filozofem, nie wyszedł z tego życia zupełnie czysty. — To jest zostawione samemu tylko filozofowi. Dlatego też, kochany Simiaszu, prawdziwi filozofowie wstrzymują się od wszelkich namiętności ciała, opierają im się, i nie dają się nimi powodować; nie obawiają się ni utraty majątku, ni ubóstwa, jak ludzie pospolici i ci, co za pieniędzmi się ubiegają, nie dbają o niesławę i cudze mowy, jak ci, co dążą za chwałą i pragną jedynie godności. Unikają wszystkiego. — Boby im też nie przystało inaczej robić, rzekł Kebes. — Bez wątpienia, że nie, odpowiedział Sokrates. Ci, co mają sta-

ranie o swej duszy, i nie dogadzają swemu ciału, nie postępują tak, jak ci, co idą, nie wiedząc sami gdzie. Przekonani, że nie należy nie robić przeciwnego filozofii oraz uwolnieniu się i oczyszczeniu, do którego ona prowadzi, idą za nią tam, gdzie ich wiedzie. — Jakto Sokratesie? — Oto mówię, ci, co lubią myśleć, poznają, że filozofia, gdy wchodzi do ich duszy, zastaje ją zamkniętą i, że tak powiem, uwięzioną w ciele, nie samą przez się, lecz przez jego organy, tak jakby przez mur więzienia, i w ciemnościach, zmuszoną patrzeć na rzeczy, i poznawać, że ścisłość tego więzienia pochodzi od namiętności, przez które ten, co w niem zostaje, sam je powiększa. Dopiero filozofia namawia ją zwolna i usposabia, aby się od tego uwolniła; pokazuje, że podanie wzroku, słuchu, i innych zmysłów jest często bardzo fałszywe; nakłania, aby się od nich oddzielała, i kiedy tylko bez nich obejść się może, w sobie sama jednoczyła i koncentrowała; aby niczemu nie wierzyła prócz samej sobie, kiedy sama przez się pozna myślą, co każda rzecz ma w sobie; a jeśli co pozna nie sama przez się, lecz za pomocą czego innego, aby tego nie uważała za pewne, jako podług różności podających je organów mogące być różne; aby, mówię, powiedziała, że co przez nie widzi, jest zmysłowe, materyalne, a co sama przez się, niezmysłowe, niematerialne. Ztąd dusza prawdziwego filozofa, widząc, że nie trzeba się sprzeciwiać swojemu uwolnieniu, wstrzymuje się ile może od rozkoszy, żądź, zbytecznego smutku, pamiętając o tem, że po zbytecznej przyjemności, bojaźni, albo smutku, nie następuje zwyczajne, jakby kto sądził, złe, choroba lub strata majątku przez zbytek, lecz największe i najwyższe ze wszystkiego złe, a które się nawet czuć nie daje. — Co za złe Sokratesie? — Oto, że dusza w radości lub smutku nabywa przekonania, że to, co je wywołuje, jest czemś pewnem, niezawodnem, choć w istocie niczem nie jest; bo czy nie przyznasz, że to, co nam sprawia radość lub smutek, jest rzeczą pod zmysł widzenia podpadającą? — Tak! — A zatem w cierpieniu dobrego i złego ciało więzi duszę. — Jakto? — Oto, że każda radość, każdy smutek ma, że tak powiem, klucz, którym duszę zamyka w ciele, robi ją ciału podobną, i każe wierzyć, że to jest prawdziwe, co ciało jej powie. A więc kiedy jedno z ciałem wierzy, i jedne ma z niem przyjemności, musi, jak sądzę, ten sam mieć popęd, te same skłonności. Nie może przeto pójść czysta na tamten świat, lecz zarażona od ciała, które opuszcza, do innego wstępuje, i tam, jak ziarno w ziemi, na nowo wschodzi. Tak, pozbawiona czystości i doskonałości boskiej. — Prawdę mówisz i bardzo Sokratesie! — Masz więc, dlaczego starają się prawdziwi filozofowie być skromnymi i wstrzemięźliwymi! A nie dlatego, co wielu fałszywie mówi. Czy i ty jednakowo z nimi myślisz? — Nie bynajmniej! — Dobrze, bo nigdy dusza filozofa takby nie myślała, nie przystała na to, aby filozofia miała ją uwalniać, a po uwolnieniu oddawać znowu więzom rozkoszy, smutku, i tym sposobem wracać do jednego, tak jak Penelopa z swoim prześcieradłem. Owszem, uwalniając się od nich, kierując się rozumem, mając ciąglą uwagę na to, co prawdziwie boskie, niezmienne, niezależne od zdania, nabywa, mówię, wychowana tym sposobem dusza

o sobie przekonania, że żyć musi póty, póki będzie przy tem życiu; a po jego zgonie połączy się z tem, co jej podobne i stosowne do jej natury, uwolni się od nieszczęść ludzkich. Przy takim postępowaniu, jeśli go się ściśle trzyma, niema powodu obawiać się, żeby przy wyjściu z ciała, porwana od wiatru, uniesiona i rozproszona, zniszczoną została.

Gdy to rzekł Sokrates, nastąpiło długie milczenie. Zdawał się być sam równie tem zajęty, co powiedział, jak i wielu z nas. Kebes i Simias mówili coś do siebie. Sokrates spojrzawszy na nich spytał, coby mówili.

— Czy widzicie, rzekł, co niedokładnego w mojej mowie, w której, gdyby ją przyszło rozbierać w szczegółach, znalazłby się powód do wielu wątpliwości i zarzutów? Jeśli o czem innym mówicie, nie przerywam, lecz jeśli względem mojej mowy macie jaką wątpliwość, nie wahajcie się mi jej objawić, odkryć w tem wasze zdanie, i przyjąć mnie do waszej rozmowy, jeśli sądzicie, że wam w czem pomogę. — Powiem prawdę Sokratesie, rzekł Simias; już od dawna obadwa, mając wątpliwości, namawiamy się, aby ci je przełożyć; gdyż pragniemy posłuchać, jak je rozwiązesz, lecz nie chcemy naprzykrzać się w twoim teraz stanie. — Ah Simiaszu! odpowiedział Sokrates, uśmiechnawszy się mile, jakże przekonam innych, że nie uważam stanu, w którym się teraz znajduję, za przykry, kiedy was samych nie mogę tu przekonać, i boicie się, żeby mi nie było teraz przykrzej żyć, niż pierwej?! Jak widzę, to mniej nawet na mnie uważacie, niż na łabędzie, co do przeczcucia. One, kiedy przeczuwają śmierć swoją, śpiewają wtenczas najwięcej, z radości, że pójdą do Boga, któremu służą; a ludzie dlatego, że sami śmierci się boją, ujmują im, mówiąc, że płaczą nad śmiercią swoją i z żalu śpiewają; nie zastanowią się zaś nad tem, że żaden ptak nie śpiewa z głodu, zimna, lub czego podobnego, ani słowik, ani jaskółka, ani dudek, o których przecię mówią, że ze smutku śpiewają, lubo ja nie wierzę temu, żeby podobnie jak łabędzie ze smutku śpiewały, tylko, że będąc ptakami Apollona mają w sobie coś wieszczego, czem przewidując szczęście, jakiego na tamtym świecie mają doznawać, śpiewają i cieszą się najwięcej wtenczas, kiedy mają umierać. Ja mam się za podobnego im, bo jestem, jak one, Apollonowi oddany, i posiadam ducha wieszczego, który nie troszczy się wcale, kiedy mu przychodzi to życie opuścić. Dlatego możecie to do mnie mówić, i pytać się o wszystko, co chcecie, póki przełożeni więzienia pozwolą. — Dobrze, Sokratesie! rzekł Simias; więc ja ci odkryję moje wątpliwości, a Kebes swoje. Zgadzam się z tobą na to, Sokratesie, że w tem życiu niepodobna, a przynajmniej bardzo trudno poznać prawdę; lecz znowu nie starać się poznać dokładnie to, o czem mowa, i puścić je bez należytego roztrząśnienia, sądzę, że jest lekkomyślnością; bo musi być koniecznie jedno z dwojga: albo otrzymać od kogo objaśnienie, albo samemu z siebie dojść prawdy. Jeśli zaś żadnego z tego zrobić nie można, trzeba z rozumowań ludzkich przyjąć to, które się zdaje najlepsze, najpewniejsze, i trzymać się

go, jak łódki w przeprawie przez niebezpieczny odmęt życia, gdy mieć nie można pewniejszego statku, to jest pewniejszego dowodu, lub głosu Boga jakiego. Nie będę więc wstydził się uczynić ci zapytania, gdy na to zezwalasz, abym się nie wystawił na zarzut, jakibym mógł kiedyś sobie zrobić, żem ci teraz nie powiedział, co myślę. Rozważając sam z Kebesem to, o czem dotąd była między nami mowa, sądzę, żeś wszystkiego dokładnie nie dowiódł. — Być może, przyjacielu! może masz słuszność, rzekł Sokrates. Powiedz mi zatem, czegom nie dowiódł dokładnie? — Oto, rzekł Kebes, cośmy przypuścili o duszy, możnaby to samo powiedzieć o harmonii liry i jej strunach. Że harmonia jej jest coś niewidzialnego, niezmysłowego, doskonałego i boskiego, a lira i jej struny ciałem zmysłowym, złożonym, materialnym, śmiertelnym; bo podług ciebie, gdy ją kto stłucze, i struny pozrywa, może powiedzieć, że harmonia liry jeszcze będzie, choć niepodobna, żeby lira była, kiedy struny zerwą, lub żeby struny były, kiedy lirę stłucze, albo wreszcie żeby harmonia, która jest czemś boskiem i nieśmiertelnym, pierwiej ustała niż to, co jest śmiertelne. Owszem trzeba powiedzieć, że harmonia zostanie, a drzewo liry i struny pierwiej się zepsują i istnieć przestaną, nim ona dozna najmniejszej szkazy. Sądzę, Sokratesie, że się postrzegasz, iż wyobrażenie, jakieśmy o duszy sobie zrobili, bardzo się do tego zbliża; bo gdy ciało nasze jest złożone i utrzymywane przez ciepło, zimno, suchość, i wilgoć, duszą więc nie innego nie jest, jak tylko stosunek tych rzeczy między sobą, czyli harmonia, wynikająca z dokładnego ich połączenia między sobą i przyzwoitej proporcji. Więc jeśli prawda, że dusza nasza jest taką harmonią, musi zatem, gdy ciało przez chorobę lub coś podobnego straci równowagę w tem, co ją utrzymywało, sama, jakkolwiek boska, ginąć, podobnie jak inne harmonie, które są w instrumentach muzycznych lub dziełach sztuki. Reszty zaś z tych ciał pozostaną, póki nie będą spalone, lub się nie zepsują same. Cóż więc, Sokratesie, powiemy na to, gdy nam kto zarzuci, że dusza, będąc tylko zbiorem własności ciała, ginie przy tem, co zwiemy śmiercią. Spojrzawszy Sokrates, jak miał często zwyczaj, i uśmiechnąwszy się, rzekł: — Dobrze mówisz Simiaszu! Jeśli zatem jest kto między wami, co lepiej potrafi odpowiedzieć na zarzut, dlaczego się nie odezwie? czemu milczy? bo Simias, jak widać, niemałą rzecz zarzucił. Ale wprzód, nim odpowiem, zdaje mi się, że lepiej będzie usłyszeć, co Kebes zarzuci, bym przez to miał czas do namysłu, jak odpowiedzieć, i albo po wysłuchaniu obydwóch zgodził się na ich zdanie, gdy będzie słuszne, lub w przeciwnym razie bronił mego. Mów przeto Kebesie, dlaczego nie uważasz za dokładne mego dowodzenia. — Powiem, rzekł Kebes: oto widzę, że w niem zawsze jedno zostaje do rozwiązania i te same zarzuty do zbicia, co pierwiej. Że dusza egzystuje pierwiej, nim wejdzie do ciała, na to nie mam co zarzucić, i przeczyć, żeby to nie było od ciebie, dobrze i szczerze mówiąc, dokładnie dowiedzionem; lecz żeby ona miała jeszcze i po śmierci naszej istnieć, to mi się nie zdaje. Nie zgadzam się z Simiasem, który mniema, że nie jest trwalszą i stalszą od ciała; owszem utrzymuję, że jest wyższą

nad wszystko podobne. — Czemuż zatem wątpisz, powie kto, kiedy widzisz, że to, co w człowieku słabsze, po śmierci jego egzystuje? dla czegoż to, co u niego trwalsze, nie zdaje ci się, że musi koniecznie razem egzystować? Na to, proszę, uważ, co powiem. Porównania bowiem pewnego, zdaje mi się, tak jak Simiasz, u siebie tu potrzebuję. Sądzę, że to, o czem mowa, podobne do tego, jak gdyby o starym zmarłym tkaczu powiedziano, że oto żyć nie przestał, ale gdzieś się znajduje; bo suknia jego, którą sam sobie zrobiwszy nosił, cała, niezniszczona, i gdyby ktoś nie wierzył, zapytano, co trwalsze, człowiek czy suknia, którą nosi? i przez odpowiedź, że człowiek, uznano już za dowiedzione, że musi gdzieś się znajdować, kiedy to, co mniej od niego trwałe, zostaje w całości niezniszczone. Lecz nie tak się rzecz ma, sądzą, Simiaszu. Uważ, co powiem. Każdy uznałby mowę taką za niedorzeczną; albowiem tkacz, zdałszy wiele sukni podobnych, które sobie zrobił, nareszcie po wielu z nich, tylko przed ostatnią, sądzą, umarł; dlatego jednak bynajmniej człowiek nie jest słabszy i mniej trwały od sukni. Toż samo porównanie, zdaje mi się, może służyć duszy względem ciała, i stosownieby o nich powiedziano, podobnie utrzymując, że dusza daleko trwalsza, a ciało słabsze i mniej trwałe; bo każda dusza, mówionoby, zdiera ciał wiele, zwłaszcza, gdy wiele lat żyje. Albowiem, gdy ciało się psuje i rozpada jeszcze za życia człowieka, dusza naprawia ciągle część jego zepsutą. Zatem skoro sama przyjdzie do rozstania się ze światem, musi być w ostatniej swej sukni, z której pierwaj, nim ją zedrze, wychodzi; a gdy wyszła, ciało pokazuje zaraz swą naturalną słabość, i prędko się psując niknie. Jednak nie należy podług tego już z pewnością sądzić, że po śmierci naszej dusza gdzieś istnieje. Albowiem każdy, wierząc nie tylko tobie, ale i komukolwiek, coby nawet więcej od ciebie mówił, przyznając, że dusza nie tylko istnieje pierwaj nim się rodzimy, lecz i po śmierci naszej byt swój przedłuża i często odradza się, aby znowu umierała, będąc z natury zdolna do częstego odradzania się: zgadzając się, mówię, na to, nie uwierzy, czy przy tak częstem odradzaniu się, kiedyś nie zmorduje się i na końcu nie zniknie zupełnie, powie, że o takiej śmierci czyli rozwiązaniu się ciała, zgubę duszy przynoszącem, nikt nie wie: bo niepodobna komu z nas przewidzieć. Kiedy tak jest, nie przystoi nikomu, na śmierć nie zważając, lekceważyć ją, skoro niema dowodu, że dusza nieśmiertelna nie ulega zniszczeniu. W takim razie, każdy blizki zgonu obawiać się powinien o duszę, aby przy oddzieleniu się od ciała nie zniknęła na zawsze. Tak usłyszawszy ich mówiących, przykro nam było, jakeśmy to później do siebie rzekli, że gdy temu, cośmy pierwaj słyszeli, mocnośmy uwierzyli, oni teraz znowu nas zachwiali i do niewiary pobudzili, nie tylko względem tego, o czem była mowa, ale i o czem będzie, tak, że mniemamy, że albo my niezdatni do dobrego o rzeczach sądu, albo rzeczy same są wątpliwe. — *Echekrates*. Przebóg, Fedonie! zgadzam się z wami; albowiem słysząc ciebie przychodzi mi coś podobnego do siebie powiedzieć: »czemuż teraz wierzyć będziemy, kiedy to, co Sokrates mówił bardzo do przekonania, nie zasługuje na wiarę?« W istocie zdanie Simiasa, że dusza niczem

innem nie jest jak harmonią, mocno mnie zajęło, i dotąd tkwi w pamięci, tembardziej, gdy mi się przypomniało, że sam dawniej tak sądził. Potrzeba mi więc znowu, jak z początku, dowodu jakiego, abym uwierzył, że dusza nie umiera z ciałem. Powiedz zatem, zaklinam cię na Boga, jak Sokrates dalej rzecz swoją prowadził, czyli i po nim, jak mówisz o was, widać było, że się zasmucił, lub też spokojnie bronił swego zdania, i czy dostatecznie go bronił lub nie? Powiedz wszystko, jak możesz najdokładniej. — *Fedon*. Patrzałem często z podziwieniem na Sokratesa, ale nigdy z takim jak wtenczas; nie dlatego, że miał co powiedzieć, bo to nic nadzwyczajnego; lecz dziwiłem się najwięcej: naprzód z jaką ochotą, uprzejmością i upodobaniem przyjmował od młodych zarzuty; potem jak prędko poznał wrażenie, które na nas zrobiły; jak zręcznie w tem uzdrawiał naszą słabość, i jak nas, podobnych do zwyciężonych i uciekających, zachęcał, i zwracał do dalszego rozumowania. — *Echekrates*. Jakże to? — Powiem. Ja siedziałem na ławeczce po prawej ręce przy łóżku, a on cokolwiek wyżej ode mnie. Położywszy rękę na mej głowie, i bawiąc się moimi w tyle włosami, co zwykł robić, kiedy tylko miał sposobność, rzekł: — Jutro podobno, Fedonie, ostrzyżesz sobie te piękne włosy!\*) — Tak, odpowiedziałem, Sokratesie! — Nie! jeśli zechcesz mi uwierzyć. — Czemu? pytałem. — Nie jutro, rzekł, lecz dziś, ja i ty każemy sobie ostrzyżz włosy, jeśli nasze rozumowanie upadnie i nie potrafimy go wskrzesić. Ja, gdybym był na twojem miejscu i moje rozumowanie zbito, przysiągłbym, jak Argijczykowie, nie pierwej zapuścić włosy, dopóki bym, na nowo rozpoczynszy walkę, nie pokonał twierdzeń Simiasa i Kebesa. — Lecz mówią, odpowiedziałem, że i Herkules dwom nie podoła\*\*). — Więc mnie, rzekł, przyzwij za Jola, póki widno. — Przyzywam zatem, rzekłem, ale nie jak Herkules, lecz jak Jolas Herkulesa. — To wszystko jedno, rzekł; tylko naprzód strzeżmy się, żebyśmy czego złego nie doświadczyli. — Jakiego? zapytałem. — Oto, abyśmy się nie stali mizologami, tak jak są mizantropowie; bo niemasz, rzekł, większego nad to złego, któregooby kto doświadczył, jak, gdy jest mizologiem. Mizologia powstaje podobnie jak mizantropia. Mizantropia przywiązuje się do nas z zawierzenia komu stale, po prostu, i sądenia, że ten we wszystkim szczerzy, uczciwy, i godny wiary, a potem z przekonania się o nim również jak o kim drugim, że zły i niegodzien wiary. Gdy kto tego często doświadczy, i najwięcej od tych, których uważał za najżyczliwszych i najprzejazniejszych dla siebie, nareszcie nienawidzi wszystkich, i sądzi, że niemasz nigdzie uczciwych. Czy nie wiesz, że tak się dzieje? — I bardzo, odpowiedziałem. — Czy to nie jest szpetnem, rzekł, i wyraźnem, że taki chce postępować z ludźmi, nie mając znajomości rzeczy ludzkich; bo gdyby ją miał, sądziłby tak, jak jest, że bardzo dobrych i bardzo złych jest nie wielu, a środek między tymi trzymających najwięcej. — Jakto?

---

\*) Grecy obcinali sobie włosy po śmierci przyjaciół i składali na ich grobach.

\*\*\*) Przysłowie greckie.

zapytałem. — Oto, rzekł, podobnie jak z ludźmi bardzo małymi i wysokimi; przyznasz, że nie rzadszego, jak znaleźć człowieka bardzo małego, lub bardzo wysokiego; niemniej n. p. psa, lub cobądź innego, równie bardzo szybkiego lub powolnego, pięknego lub szpetnego, zupełnie białego lub czarnego. Czy nie wiesz, że w tem wszystkim ostateczności są rzadkie i nieliczne, a środek powszechniejszy i częstszy? — Tak, odpowiedziałem. — Czy nie myślisz, rzekł, że gdyby przyszło popisać się ze złością, bardzo mało by się w niej pokazało pierwszymi? — Pewno! rzekłem. — Niezawodnie, odpowiedział. Lecz nie w tem mowa ludzka podobna do ludzi; tylko, gdy kto weźmie jakie rozumowanie za prawdziwe, nie znając w ogólności sztuki do tego, a potem mu się zdaje fałszywe, bądź, że takie, bądź nie, jednak różne. Dzieje się to najczęściej z takimi, którzy prowadzą sprzeczne z sobą rozumowania, jak wiesz, i na końcu sądzą, że są najmędrsi i jedynie zdolni poznać, że niemasz nic, ani w rzeczach, ani rozumowaniach, zdrowego i stałego, ale wszystko po prostu jak w Eurypie z góry na dół się mać\*), i nigdy przy jednym nie pozostaje. — Wielką prawdę mówisz, odpowiedziałem. — Czyliż Fedonie, rzekł, nie będzie to naganne, kiedy kto, mając rozumowanie prawdziwe, gruntowne, i zdolne do przekonania, dlatego, że się oddał innym, które mu raz prawdziwemi, a drugi nie takimi się zdają, nie siebie w tem będzie obwiniał, ani swoją nieumiejętność, lecz w końcu z gniewu całą winę z siebie na rozumowania zwali, i już przez całe życie ich nie będzie lubił, im złorzeczył i dlatego prawdę i poznanie rzeczy porzucił. — Tak zaiste, odpowiedziałem, będzie to bardzo naganne. — Naprzód więc, rzekł, strzeżmy się tego, abyśmy nie dopuścili tej myśli do duszy naszej przystępu, że w rozumowaniach w końcu niemasz nigdy nic zdrowego, tylko raczej sądźmy, żeśmy słabi; potrzeba nam nabrać sił i postarać się o zdrowie: tobie i innym dla życia dalszego, a mnie dla bliskiej śmierci. Tak może i ja w tem nie filozoficznie postępuję, podobnie jak owi fałszywi mędrcey, zbyt uporni przy swoim. Ci bowiem, gdy o co spór wiodą, nie myślą, jak rzecz stoi, o którą idzie, tylko do tego zmierzają, aby, co powiedzą, wszystkim obecnym, podobnie jak im, się zdawało. Ale ja w tem od nich chcę się teraz różnić, że nie będę się starał, aby, co powiem, wszystkim zdawało się prawdziwe (przynajmniej nie ten mój główny cel), lecz abym sam o tem był przekonany. Tak rozumiem, kochany przyjacielu! patrz jak stale, że jeżeli prawda to, co powiem, dobrze być o tem przekonany; a jeśli nie, i dla umarłego po śmierci nic nie pozostaje, przynajmniej przez ten czas przed śmiercią, mniej będę dla was tu obecnych niemiły, przez moje skargi. Niewiadomość ta nie długo dla mnie trwać będzie (żeby bowiem inaczej było), ale wkrótce ustąpi. Tak zrobiwszy wstęp, Simiaszu i Kebesie, przychodzę do mojego dowodzenia. Wy zaś, jeżeli mi uwierzycie, mniej myśląc o Sokratesie, a więcej o prawdzie, gdy wam się zdawać będzie, że mówię co prawdziwego, przyznajcie, a jeśli nie, całą mocą oprzyjcie się, abym w zapale siebie i was nie

\*) Euripos miał siedm razy w dzień, i tyleż w nocy przepływ i odpływ.



uwiodłszy i zostawiwszy jak pszczoła w ranie żądło, ztąd nie ustąpił. Więc dalej, rzekł, zacznijmy. Naprzód przypomnijcie mi, czegoście dawniej dowodzili, jeśli wam się zdaje, że tego nie pamiętam. Simias, sądzę, nie ufa, i boi się, aby dusza, jakkolwiek jest czemś więcej boskiem i piękniejszym od ciała, przed niem nie zginęła, podobnie jak harmonia przed lirą. Kebes zaś, sądzę, na to się zgadzał, że dusza daleko trwalsza od ciała, ale sądził, że nikomu niewiadomo, czy narazicie wiele ciał zdarłszy, i ostatnie opuszczając, sama także nie zginie; czy śmierć ta jego nie stanie się razem zgubą dla duszy; bo co do ciała, to zawsze ginie. Czy nad tem, Simiaszu i Kebesie, nie należy nam się zastanowić? — Tak, obadwa przyznali. — Jakże, więc wszystkich dawniejszych dowodzeń nie przyjmujecie, czy tylko niektóre, a innych wcale nie? — Tak, niektóre, rzekli, a innych nie. — Cóż więc, rzekł, sądzicie o tem, w którym powiedzieliśmy, że nauka jest tylko przypomnieniem, i że gdy tak jest, musi dusza nasza gdzieś pierwiej znajdować się, nim potem w ciele zamknięta zostanie. — Ja, rzekł Kebes, jak wtenczas byłem o tem mocno przekonany, tak i teraz więcej, jak o czem innym. — Równie i ja podobnie, rzekł Simias, i dziwiłbym się, gdyby mi się kiedy inaczej zdawało. — Przecież musi ci się inaczej zdawać, kochany gościu Tebański, rzekł Sokrates, jeśli trwasz przy tem zdaniu, że harmonia jest rzeczą złożoną, a dusza harmonią pewną, z własności ciał powstającą; bo nie przyznasz sam, choćbyś powiedział, że harmonia jest pierwiej niż to, z czego ma powstać. — Wszak nie przyznasz tego. — Pewno nie, rzekł Sokrates. — Uważ przecię, mówił dalej, że podobnie sądzisz, kiedy, powiedziawszy, że dusza egzystuje, nim wejdzie do kształtu i ciała człowieka, twierdzisz, że jest złożona z tego, czego jeszcze nie masz: albowiem tak się ma z harmonią, do której ją porównałeś. Naprzód jest lira, struny, i tony niezgodne, a potem powstaje z nich harmonia i pierwiej od nich ginie. To więc twierdzenie twoje z tamtem czy się zgodzi? — Bynajmniej, rzekł Simias. — Jednak wypada, aby jeśli z czem, to z tamtem się zgodziło. — Tak koniecznie, rzekł Simias. — Więc, jak sądzisz, nie zgadza się. Uważ zatem, które wolisz z tych twierdzeń: czy że nauka jest przypomnieniem, czy że dusza harmonią? — Tamto pierwsze, rzekł, Sokratesie; to bowiem przyjąłem bez dowodzenia, tylko podług prawdopodobieństwa i pozorów, z czego wielu sądzi. Wiem zaś, że wszelkie twierdzenia, opierające swoje dowody na prawdopodobieństwie, są próżne, i jeśli się ich kto nie strzeże, zwodzą bardzo tak w geometryi jak w innych rzeczach. To zaś o uczeniu się i przypomnieniu oparte jest na zasadzie stałej, godnej przyjęcia; albowiem powiedzieliśmy wyżej, że dusza, nim wejdzie do ciała, posiada własność swoją: pojęcia główne, noszące nazwiska tego wszystkiego, co jest. Tę więc zasadę, o której jestem przekonany, słusznie, jak należy, przyjmawszy, nie mogę ani siebie, ani nikogo słuchać, kto powie, że dusza jest harmonią. — A o tem, Simiaszu, jak sądzisz: czy harmonii, lub jakiejbądź rzeczy złożonej przystoi różnić się od tego, z czego się składa? — Bynajmniej. Ani nic innego robić, ani doznawać, nad to, co tamto czyni i doznaje. Simiasz

na to się zgodził. — Nie może zatem harmonia poprzedzać tego, z czego powstaje, lecz musi raczej po niem następować. — Pewno. — Więc nie może mieć ani innych ruchów, ani brzmienia, ani nie przeciwnego temu, z czego się składa? — Nieinaczej, rzekł. — Jakże, czy każda harmonia nie zależy od zgodności tonów? — Nie rozumiem tego, rzekł. — To jest, gdy będzie miała więcej i w wyższym stopniu tę zgodność, czy nie będzie większą i wyższą, a gdy mniej i w niższym stopniu, mniejszą i niższą? — Pewno. — A czy tak ma się z duszą, że jedna od drugiej choć cokolwiek większa i wyższa, lub mniejsza i niższa być może? — Bynajmniej, rzekł. — Uważ, przebóg! mówił dalej, powiadają o duszy, że jedna posiada rozum, cnotę i jest dobrą, a druga ma nierozum, wady i jest złą. Czy słusznie tak mówią? — Słusznie. — Jakże ci, którzy utrzymują, że dusza jest harmonią, to przyznają, że ma rozum, cnotę i wady? Czy powiedzą, że jest harmonią i dysharmonią? że dobra, będąc sama przez się harmonią, ma w sobie drugą harmonią, a inna, będąc zupełną dysharmonią, nie ma żadnej harmonii? — Nie mogę tego powiedzieć, rzekł Simias. Jednak ci, którzy to zdanie utrzymują, musieliby to przyznać. — Przecież na to zgodziliśmy się, mówił dalej, że dusza jedna od drugiej nie jest niczem większem, ani mniejszem: co na jedno wychodzi, że harmonia jedna od drugiej nie jest ani większą i wyższą, ani mniejszą i niższą. Czy nie tak było? — Pewno. — I że nie będąc ani większą, ani mniejszą harmonią, nie jest ani więcej, ani mniej zgodną w sobie. Czy nie tak? — Tak. — A harmonia, która ani więcej, ani mniej w sobie zgodna, czy może mieć w czem więcej, albo mniej harmonii, lub równo? — Równo. — Czyliż więc i dusza, kiedy niczem więcej ani mniej jest jedna od drugiej, nie jest ani więcej, ani mniej zgodna od drugiej? — Tak. — Zatem nie może mieć żadna więcej od drugiej ani harmonii, ani dysharmonii. — Tak, — nie. — Przeto czy może mieć jedna od drugiej więcej wad, lub cnot, gdy tamte są dysharmonią, a te harmonią? — Nie. — Zatem wprost mówiąc, żadna dusza nie będzie złą, kiedy jest harmonią; albowiem harmonia, jeśli jest rzeczywiście taką, nie może mieć w sobie nigdy dysharmonii. — Nie. — Więc ani dusza, jeśli rzeczywiście jest duszą, nie może w sobie mieć nic złego. — Jakżeby mogła mieć podług tego, co powiedziane? — Przeto dusze wszystkich żyjących istot, podług tego będą jednakowo dobre, jeśli z natury swojej są jednakowo duszami. — I mnie się tak zdaje Sokratesie. — Czy zdaje ci się równie, i podobny byłby wypadek dowodzenia, rzekł, gdyby hipoteza, że dusza jest harmonią, była prawdziwą? — Bynajmniej. — Jakże, mówił dalej, czy przyznasz, żeby ze wszystkiego, co jest w człowieku, co innego, nie dusza rządziła, zwłaszcza gdy rozumna? — Wcale nie. — A czy rządzi, ulegając namiętnościom ciała, lub też im się opierając? Na przykład, gdy ciała gorąco i ma pragnienie, czy dusza nie odwodzi go od picia; albo gdy mu się jeść chce, aby nie jadło, i w tysiącu innych przypadkach, gdzie widzimy, że dusza opiera się żądcom ciała. Czy nie tak? — I bardzo. — A czy nie przyznaliśmy wyżej, że dusza, będąc harmonią, nie może mieć innego tonu nad ten, który jej nadany

zostanie przez natężenie, rozpuszczenie, drganie, lub cobądź innego w tem, z czego się składa? Czy nie musi do tego się stosować, i nigdy tem nie kieruje? — Prawda, przyznaliśmy; bo jakże było nie przyznać? — A dusza czy nie zdaje się nam zupełnie przeciwnie robić, kierując tem wszystkiem, z czego mówią, że się składa, opierając się mu prawie przez całe życie, poskramiając je wszelkimi sposobami; częścią hartując ostrzej i z przykrościami jak w gimnastyce i sztuce lekarskiej; częścią postępując łagodniej; niekiedy znowu gromiąc, czasem łając i przemawiając do żądy, gniewu i strachu, tak jak Homer w *Odyssei* \*), gdzie o *Ulissiesie* mówi:

Uderzywszy się w piersi, gromił serce wyrazem:

Cierp serce, kiedyś co gorszego wycierpiało.

Czyż mniemasz, że byłby to uczynił, gdyby sądził, że dusza jest harmonią, i da się powodować namiętnościom ciała? nie potrafi niemi kierować, władać, i sama nie jest czemś więcej boskiem nad harmonią? — *Przebóg Sokratesie!* tak nie sądzę. — Więc, o najlepszy! nie należy nam twierdzić, że dusza jest pewną harmonią; gdyż jak się zdaje, nie byłibyśmy w zgodzie, ani z *Homerem*, tym poetą boskim, ani sami z sobą. — Tak jest. — Dobrze, rzekł *Sokrates*. *Harmonia Tebańska* \*\*) już jak mi się zdaje nie stoi nam na przeszkodzie, ale tego *Kadmosa*, *Kebesie*, jak zaspokoimy, jakim powodem? — Ja sądzę, rzekł *Kebes*, że go znajdziesz. Co się tyczy wyводу przeciw harmonii, przewyższył on dziwnie moje oczekiwanie; albowiem, gdy *Simias* podał swoje wątpliwości, nie sądziłem, żeby można było na nie tak odpowiedzieć, a jednak zaraz okazało się, że nie potrafił wytrzymać pierwszego twojego natarcia. Równie nie będę się dziwił, jeśli *Kadmos* podobnego losu doświadczy. — O najlepszy! rzekł *Sokrates*, nie mów o mnie zbyt dobrze, aby zazdrość jaka przeciw nam nie zniszczyła zawczasu tego, co mam powiedzieć. Zostawmy to *Bogu*. Sami zaś, jak mówi *Homer*, bliżej do siebie \*\*\*) przystąpiwszy, zobaczymy, czy co słusznie utrzymujesz. Główną treścią tego, czego chcesz, jest: żądasz, aby ci okazać, że dusza nasza nie ulega zgubie i jest nieśmiertelna; ażeby, gdy filozof jaki przy zgonie umiera w zaufaniu, że na tamtym świecie będzie szczęśliwszy dlatego, że na ziemi przepędził życie w szczęściu nie w niedoli, nie karmił się próżną i nierozsądną nadzieją. Pokazać bowiem, że dusza jest czemś trwałem, boskiem i że była wprzód, nimeśmy się urodzili, to wszystko podług ciebie nie dowodzi jej nieśmiertelności, tylko że ona jest czemś długotrwałem, i że już gdzieś pierwej przed nami, była niewiadomo jak długo, wiele znała, działała, nie będąc dlatego bynajmniej nieśmiertelną; i może to jej wstąpienie do ciała ludzkiego jest właśnie początkiem jej zguby, pewnym rodzajem słabości, która się ciągnie przez niejaki czas wśród dolegliwości tego życia, póki się nie skończy na tem,

\*) Ks. XX. IV. w. 17.

\*\*) Porównanie nawiasowe *Simiasa* i *Kebesa*, *Tebańczyków*, z dwoma założycielami *Teb*. *Harmonią* i *Kadmosem*.

\*\*\*) *Iliada*. Ks. IV. w. 496.

co zowią śmiercią. Czy zaś raz lub częściej dusza wejdzie do ciała, to jak mówisz, mało znaczy; bo zawsze musimy się obawiać końca; i słusznie każdemu, jeśli zupełnie nie bezrozumny, należy się tego lękać, skoro nie wie i nie może znaleźć dowodu, że dusza jego nieśmiertelna. Sądzę, że tak utrzymujesz Kebesie, i umyślnie wracam do tego często, aby nam co nie uszło z uwagi, i abys mógł co dodać lub ująć, jeśli zechcesz. — Na to rzekł Kebes: teraz nie mam nic dodać ani ująć. To wszystko jest właśnie, co sądzę. — Sokrates na to, zamilknąwszy i zamyśliwszy się, po niejakiem czasie rzekł: — Nie byle jakiej rzeczy ode mnie żądasz Kebesie; bo dla wytłómaczenia jej potrzeba rozbrać całą materję o powstaniu i śmierci. Zatem, jeśli chcesz, powiem ci, co mnie samemu w tym względzie zdarzyło się, a gdy znajdziesz w niem to, co może służyć do przekonania cię o tem, czego chcesz, użyj go. — Chętnie pragnę, rzekł Kebes. — Słuchaj zatem, co powiem. Będąc młodym, dziwnie pragnąłem poznać naukę, którą zowią fizyką; albowiem uważałem za rzecz wzniosłą wiedzieć przyczyny wszystkiego, przez co każda rzecz powstaje, przez co ginie, i przez co się utrzymuje; i często zwracałem się tu i owdzie, rozważając z sobą, czy n. p. z ciepła i zimna w stanie zgnilizny powstają, jak niektórzy mówili\*), pewne żyjące istoty, i czy przez krew\*\*), powietrze\*\*\*), lub ogień myślimy\*\*\*\*), lub przez żadne z tych, tylko mózg\*\*\*\*\*) podaje nam uczucia słuchu, wzroku i zapachu; a z tych powstaje pamięć i imaginacya, z których nareszcie, gdy są w spoczynku, idzie poznanie. W końcu, gdym rozważał zniszczenie czyli śmierć wszystkiego i zmiany na niebie i ziemi, spostrzegłem, że jestem mniej zdolny do tych badań, niż do czegokolwiek innego. Dowód tego widoczny zaraz ci przytoczę. Oto przez te badania tak ciemny zostałem w tem wszystkim, com pierwaj dokładnie widział, jak mnie i innym się zdawało, że m zapomniał wszystkiego, o czem dawniej sądziłem, że m wiedział: na przykład, z wielu rzeczy, przez co człowiek rośnie? Pierwej sądziłem, że każdemu wiadomo, iż przez to, że je i pije; albowiem gdy przez pokarm przybędzie więcej ciała i kości, i wszystkich innych części, naówczas to, co było małe, staje się wkrótce wielkie, i tak z małego powstaje człowiek dorosły. Tak mniemałem wtenczas. Czy ci się to zdaje słuszne? — Pewno, rzekł Kebes. — Uważ i to jeszcze. Sądziłem, że m stosownie uważałem, iż gdy kto wysoki stanie obok niższego, będzie od niego może o głowę wyższy, tak jak koń od konia; lub co wyraźniejsze, dziesięć uznałem za więcej od ośmiu dlatego, że w nich dwa nad tamto zbywa, i że dwa łokcie większe od jednego, bo o połowę go przewyższają. — A teraz, rzekł Kebes, cóż ci się o tem samem zdaje? — Przebóg! daleko od tego,

---

\*) Filozofowie Jońscy Anaxagoras i jego uczeń Archelaus. (Diog. Laert. 11. 16.).

\*\*) Zdanie Empedoklesa.

\*\*\*) Zdanie Anaximena.

\*\*\*\*) Zdanie Heraklita.

\*\*\*\*\*) Zdanie bardzo powszechne. (Diog. Laer. VIII. 10).

żebym sądził, że wiem tego przyczyny, który nie pojmuję nawet, ażeby, gdy się do jednego doda jedno, albo to, do którego się doda drugie, stało dwoma, albo dodane i to, do którego się dodaje, przez samo dodanie zostało dwoma. Dziwno mi bowiem, że każde z nich oddzielnie było jednym nie dwoma, a w połączeniu zostało dwoma przez to, że umieszczone zostało obok drugiego. Równie, rozdzielwszy jedno, nie mogę uwierzyć, ażeby sam rozdział był przyczyną stania się go dwoma; bo oto przeciwny powód tamtemu, który czyni, że jeden a jeden dwa. Tam, ponieważ się łączy i dodaje jedno do drugiego: tu, że się je rozłącza i rozdziela. Nawet dłączego jedno jest jednym, nie mogę się przekonać; jednym słowem, dłączego co powstaje, lub ginie, lub się utrzymuje, nie pojmuję przynajmniej podług tych fizycznych przyczyn. Więc inne stosowne sam podam; bo te wcale mnie nie zaspokajają. Nareszcie słysząc pewnego razu jednego, który, jak mówił, wyczytał z dzieła Anaxagorasa, ucieszył, jest prawidłem i zasadą wszystkich rzeczy, mocnom się z tego że rozum i zdawało się mi dosyć stosownie uważać rozum za zasadę wszystkiego. Sądziłem więc, że jeżeli tak jest w istocie, rozum jako główne źródło wszelkiego porządku ułożył wszystko, jak należy. Zatem kto chce dojść przyczyny każdej rzeczy, jak powstaje, ginie, lub się utrzymuje, powinien tego szukać, na czem jej stan najdoskonalszy i działanie polega. Podług tego zatem nie należy człowiekowi o nic innego badać we wszystkim, co się jego samego tyczy i innych rzeczy, jak tylko o to, co najlepsze i najdoskonalsze; przy czem poznać musi i to, co gorsze, gdyż poznanie obojga nierozłączne. Tak myśląc, z ukontentowaniem sądziłem, że znalazł w Anaxagorasie nauczyciela, który mi wskaże podług mego rozumienia przyczynę wszystkich rzeczy, i powiedziawszy n. p. czy ziemia płaska, lub okrągła, wytłómaczy przyczynę i konieczność tego, polegając na stosowności czyli doskonałości. Toż samo utrzymując, że leży w środku, wskaże, że jej stosowne takie położenie. Co wszystko gdyby mi był wyjaśnił, gotów byłem już więcej żadnej nie żądać od niego przyczyny. Podobnie względem słońca, księżyca i innych gwiazd, miałem się go zapytać o ich obroty, szybkość ruchu między sobą i inne własności, w czem każdemu z nich co przystoi względem siebie i drugich. Nie sądziłem bowiem nigdy, ażeby wyrzekłszy raz, że rozum wszystko urządził, inną tego podał przyczynę nad doskonałość, i że tak przystoi. Niemniej naznaczywszy każdej rzeczy w szczegółach i w ogólności tę przyczynę, mniemałem, że wytłómaczy, na czem polega dobro każdej pojedynczo i wspólne wszystkim. Nie oddałbym był za nic moich w tem nadziei; owszem wziętem się pilnie do dzieł jego, i jak tylko najspieszniej mogłem, czytałem, ażebym jak najprędzej się dowiedział, co dobre, a co złe. Lecz jakże prędko, przyjacielu! zobaczyłem się zawiedziony w mojej nadziei, gdy postępując dalej w czytaniu, spostrzegłem, że ten człowiek nie czyni żadnego użytku z rozumu i nie uznaje żadnych innych przyczyn powszechnego rzeczy porządku, tylko powietrze, eter, wodę, i wiele innych rzeczy niestosownych! Zdaje mi się, że podobnie z nim jest, jak, gdyby kto powiedziawszy, że Sokrates wszystko rozumnie czyni, potem, chcąc podać

przyczynę wszystkiego, co robię, rzekł n. p., że dlatego tu siedzę teraz, ponieważ ciało moje składa się z kości i nerwów; kości twarde są podzielone stawami; nerwy, które mogą się wyciągać i kurczyć, łączą je z ciałem i skórą, je pokrywającą; nareszcie ponieważ kości ruszają się w stawach, przeto nerwy ściągające się i rozciągające sprawują, że mogą ruszać moimi członkami, i dlatego tu siedzę skurczony. Albo, gdyby względem naszej tu rozmowy podał wam za jej przyczynę n. p. głos, powietrze, słuch i tysiąc innych rzeczy podobnych, zaniechawszy powiedzieć prawdziwą, że ponieważ Ateńczykom podobało się mnie potępić, dlatego i mnie wypada tu siedzieć i czekać kary, jaką mi przeznaczą; bo przysięgam wam\*), że dawnoby już te kości i nerwy znajdowały się koło Megary lub Beoty, gdybym sądził, że tak przystoi i nie uważał za sprawiedliwsze i lepsze, zamiast uciekać i chronić się, jak niewolnik, ponieść karę, na jaką mnie moja ojczyzna skazała. Gdyby kto powiedział, że bez tych kości i nerwów, i wszystkiego co mam, nie mógłbym zrobić, cobym uważał za stosowne, przyznałbym mu słuszność; ale utrzymywać, że one są przyczyną tego, co czynię, i ztąd mego stosownego postępowania, a nie wyboru woli mojej i tego, co lepsze, stosowniejsze, byłoby to wielkim nierozsądkiem; okazywałoby, że nie można odróżnić, że co innego jest przyczyna, a co innego to, bez czego nie byłaby przyczyną. Przecież jest bardzo wielu, którzy, postępując jakby przez macanie w ciemnościach, biorą ten warunek przyczyny za samą przyczynę, i nazywają nazwiskiem, które mu nie przystoi. Dlatego jeden, przypuszczając że ziemia otoczona wirem nieba, uważa ją za stałą i niewzruszoną w środku, a inny wyobraża ją sobie jak szeroką\*\*) dzieję, której za podstawę daje powietrze\*\*\*); a siły, która to wszystko, jak należy, urządziła, nie szukają, ani sądzą, ażeby w tem była moc wyższa. Owszem sądzą, że znalazł się nad nią silniejszy i więcej nieśmiertelny Atlas, który świat utrzymuje, i odrzucają zasadę dobrego i koniecznego, wszystko łączącą i utrzymującą. Ja zaś jak najchętniej zostałbym czymkolwiek uczniem, byłem tylko doszedł przyczyny tej tajemnicy; lecz skoro ani sam, ani od nikogo innego nie mogę tego dostąpić, chcieszże Kebesie, ażebym ci pokazał, jaką sobie obrałem drogę do tego? — Nader pragnę, rzekł. — Oto sądziłem, mówił dalej, przestawszy badać przyczyny wszystkich rzeczy, że należy mi się strzedz, by podobnie ze mną się nie stało, jak z tymi, którzy uważają i przyglądają się zaćmieniu słońca. Niektórzy bowiem tracą wzrok, jeśli nie patrzą na nie w wodzie, lub czem innym. Coś podobnego i ja pomyślałem sobie. Bałem się, abym zupełnie duszy mojej nie ociemnił, patrząc na rzeczy oczyma i usiłując pojąć je zmysłami. Uznałem więc za potrzebne, wróciwszy się do rozumu, szukać w nim prawdziwej istoty rzeczy. Może jednak porównanie, któregom użył, w pewnym względzie nie jest stosownem; bo ja sam nie zgadzam się na to, aby ten, kto dochodzi istoty rzeczy w rozumie,

\*) Po grecku jest: na psa.

\*\*) Empedokles.

\*\*\*) Anaximenes.

szukał jej bardziej w obrazach, niżeli samych rzeczach. Lecz jakkolwiek bądź, oto tak zacząłem: Przypuściwszy jaką zasadę, która się mi zdaje najlepsza, wszystko, co się z nią zgadza, poczytuję za prawdziwe, czyli się to tyczy przyczyny, czyli też innych rzeczy; a to, co jej przeciwnie, odrzucam jako fałszywe. Ale chcę się jeszcze jaśniej wyrazić, bo zdaje mi się, że mnie nie rozumiesz. — Nie bardzo, przebóg! rzekł Kebes. — Przecież, mówił dalej, nie powiadam nic nowego, lecz czego dawniej nie przestałem powtarzać. Aby więc dać ci poznać sposób, którego użył dla dojścia przyczyn, wracam do tego, o czem już tyle razy była mowa, i zaczynam od tego, że jest coś samo przez się piękne, dobre, wielkie, i t. p. Na co jeśli przystaniesz i zgodzisz się, mam nadzieję, że ci pokażę przez to i dowiodę przyczyny nieśmiertelności duszy. — Więc, rzekł Kebes, nie zatrzymuj się i kończ, tak jakbym już był zgodził się dawno. — Uważ zatem, rzekł Sokrates, na to, co z tego wynika, czy ci się podobnie jak mnie zdawać będzie? Mnie się bowiem zdaje, że jeśli jest co pięknego na świecie prócz piękności samej przez się, nie dla czego innego jest pięknem, jak tylko, że ma udział w tamtej samej przez się, i tak z resztą we wszystkim. Czy się zgadzasz na tę zasadę? — Zgadzam, rzekł. — Nie pojmuję więc, mówił dalej, ani nie mogę zrozumieć tych innych mądrych przyczyn, które nam podają. Jeśli zaś mi kto powie, że coś jest dlatego piękne, ponieważ ma kolor powabny, kształt, lub co innego takiego, tedy pomijam wszystkie te przyczyny, które tylko mnie mięszają, i wprost wyraźnie, choć może zbyt po prostu zapewniam, że nie czyni go pięknem, jak tylko byt w niem, czyli uczestnictwo owej piękności, zkażdkolwiek i jakkolwiek to przychodzi; albowiem o tem nie mówię, tylko, że przez tę piękność wszystko, co piękne, takim zostaje. Tę odpowiedź uważam za najpewniejszą i dla siebie i dla każdego innego; i dopóki się tego trzymać będę, sądzę, że się nie omylę, i będę mógł bezpiecznie, ja i każdy inny, powiedzieć, że przez piękność samą przez się wszystkie rzeczy piękne są pięknymi. Czy nie tak sądzisz, jak ja? — Tak. — Więc przez wielkość wszystkie rzeczy wielkie są wielkimi, a przez małość małe małemi. — Pewno. — Nie przystałbyś zatem, gdyby ci kto powiedział, że jeden człowiek większy od drugiego o głowę, a drugi o tyleż mniejszy; lecz utrzymywałbyś, że tego inaczej nie rozumiesz, jak, że wszystko co większe nad drugie, nie przez co innego większe, jak tylko przez wielkość, czyli, że ona przez się jest tego przyczyną. Podobnie co mniejsze, nie jest przez co innego mniejsze, jak przez małość, czyli, że ta jest tego przyczyną. Obawiałbyś się, sądzę, aby ci kto nie zarzucił, gdybyś powiedział, iż kto o głowę większy i mniejszy, że dla jednej przyczyny wielki jest większym, i mały razem mniejszy; potem, ażeby dla głowy, która sama mała, większy miał być większym. Rzeczywiście byłoby to dziwnem, ażeby kto dla czego małego miał być wielki. Czybyś się tego nie obawiał? — Na to Kebes, rozśmiawszy się, rzekł: Tak. — Czyż więc, mówił dalej Sokrates, nie bałbyś się powiedzieć, że jeśli dziesięć jest więcej od ośmiu o dwa, to z powodu dwóch, a nie dla wielości; i podobnie, że jeśli dwa łokcie większe od jednego, to z po-

wodu drugiego łokcia, a nie dla wielkości. — Tak zupełnie, rzekł. — Jakże więc, jeśli do jednego dodamy jedno, lub jedno na dwoje rozdzielimy, nie będziesz się wahał powiedzieć, że w tem przyczyną dwóch będzie dodanie, lub rozdział, czy raczej powiesz, że nie wiesz, ażeby co mogło być przyczyną drugiego inaczej, jak tylko mając udział w istocie mu właściwej, i w tem nie uważałbyś innego powodu dwoistości, jak tylko udział w niej, który mieć musi to, co ma być dwoma, tak jak w jedności to, co ma być jednym; a dzielenie, dodawanie i inne takie subtelności porzuciłbyś zostawując od siebie mędrszym; sam zaś z obawy jak mówią cienia swego i niewiadomości trzymałbyś się tylko zasady, jakąśmy podali. A gdyby kto przeciw niej powstał, nie puściłbyś go bez odpowiedzi, dopóki byś wszystkiego, co z niej wynika razem z nim nie rozważył i nie poznał, czy się z sobą zgadza. Jeślibyś zaś musiał zdać z niej sprawę, czy byś tego nie zrobił, przyjmując znowu inną ogólniejszą i pewniejszą nad powyższą, dopóki byś nie przyszedł do czego zaspokajającego; ale byś nie mięszał wszystkiego, jak ci rozprawiacze pierwszej zasady, i tego, co z niej wynika, abyś doszedł istoty rzeczy. Ci nie mają na to żadnego względu; bo dla nich dosyć, ażeby tylko, wszystko w swojej mądrości mierzając, sami sobie podobać się mogli. Ty zaś, jeśli jesteś filozofem, będziesz tak, jak ja mówię, robił. — Prawdę samą mówisz, rzekł Simias i Kebes. *Echekrates*. — Przebóg Fedonie! słusznie; albowiem zdaje mi się, że Sokrates z dziwną mocą się wyraził, nawet dla tych, coby najmniej pojęcia mieli. *Fedon*. — Tak Echekratesie, i wszystkim obecnym podobnie się zdawało. *Echekrates*. — A nawet i nam, którzyśmy nie byli obecni i teraz tylko od was słyszemy. — O czemże więcej była mowa? — Oto, jak mi się zdaje, gdy się z nim na to zgodzili i przystali, że jest coś samego przez się w pojęciach, i że inne rzeczy od udziału, jaki w tem mają, pozyskują nazwiska, zapytał: — Jeśli ta zasada prawdziwa, więc, utrzymując, że Simias większy od Sokratesa, a mniejszy od Fedona, czy nie twierdzisz, że w Simiasu mieści się razem wielkość i małość. — Tak. — Jednak, mówił dalej, czy nie przyznajesz, że w zdaniu: Simias większy od Sokratesa, nie jest tak, jak się mówi, rzeczywiście? albowiem nie z natury Simiasa to pochodzi, ażeby przez to, że jest Simiasem, był wyższy od niego, lecz z wielkości, którą ma; ani żeby przewyższał Sokratesa dlatego, że Sokrates jest Sokratesem, lecz że Sokratesowi przystoi małość przez się w porównaniu wielkości tamtego. — Prawda! — Ani znowu, żeby dlatego Simias był niższym od Fedona, że Fedon jest Fedonem, lecz że Fedonowi przystoi wielkość w porównaniu małości Simiasa. — Tak jest. — Tym więc sposobem Simias jest razem wielki i mały, będąc w pośrodku między dwoma, przewyższając małość jednego wyższością swojej wielkości, a ustępując drugiemu przez wielkość tego wyższą od jego małości. Potem uśmiechnąwszy się rzekł: zdaje mi się, że mówię z dokładnością pisarza sądowego. Lecz tak się rzecz ma w istocie. Kebes to przyznaje. Mówię ci zaś dlatego, że chcę abyś był podobnego ze mną zdania, albowiem może się zdaje, że nie tylko wielkość nigdy nie może być razem wielką i małą, lecz że nawet



wielkość będąca w nas, nie przypuszcza małości, i nie chce być przewyższoną; lecz z dwojga jedno, albo wielkość ustępuje i uchodzi za zbliżeniem się przeciwnej jej małości, albo, gdy się zbliżyła, znika. Nigdy zaś, pozostając i przyjmując w siebie małość, nie może być czem innym nad to, czem jest. Tak ja n. p. przyjąwszy w siebie małość, jestem ten sam, którym był wprzód, z tą tylko różnicą, że jestem mały. Równie wielkość w nas nie może nigdy być małością wtenczas, kiedy jest wielką, ani małość w nas nie zostaje wielkością. Słowem, żadne z dwojga przeciwności, póki jest tem, czem jest, nie może być jego przeciwnością, lecz albo ustępuje, albo znika, gdy drugie przyjdzie. — Tak zupełnie i mnie się zdaje, rzekł Kebes.

Wtenczas ktoś z obecnych, nie przypominam sobie dokładnie, kto, usłyszawszy to, rzekł: — Sokratesie przebóg! a czy to, na cośmy się poprzednio zgodzili, nie będzie przeciwne temu, o czem teraz mowa? Czy nie mówiłeś, że największe powstaje z mniejszego, i najmniejsze z większego, i że wprost przeciwności rodzą się z przeciwności? a teraz zdaje mi się, mówisz, że to nigdy nastąpić nie może. — Na co Sokrates, schyliwszy głowę dla usłyszenia, rzekł: Dobrze, że nam to przypomniawszy; tylko nie pojmujesz różnicy między tem, o czem teraz mowa, a wtenczas. Wtenczas powiedzieliśmy, że z przeciwnej rzeczy powstaje przeciwna; a teraz, że przeciwność nie może być dla siebie przeciwnością, ani w nas, ani w naturze. Wtenczas, przyjacielu, mówiliśmy o rzeczach zwyczajnych, mających w sobie przeciwność, i mogliśmy je wymieniać każdą podług jej nazwiska, a teraz o istotach rzeczy, od których te mają swe nazwiska; i o tych to utrzymujemy, że jedno z drugich powstać nie mogą. — Potem, spojrzawszy na Kebesa, rzekł: Czy także i ciebie, Kebesie, co ten powiedział, podobnie zmieszalo? — Nie, odpowiedział Kebes, tak nie jest ze mną; lubo nie mówię dlatego, żeby mnie co nie miało zmieszać? — Przystajemy więc wprost na to, rzekł Sokrates, że przeciwność nie może nigdy być dla siebie przeciwnością. — Zupełnie. — Jeszcze uważ, rzekł, czy i na to ze mną się zgodzisz? Czy zowiesz co zimnem lub ciepłem? — Tak. — Może śnieg lub ogień? — Nie zaiste! — Więc ciepłem co innego niż ogień, a zimnem co innego niż śnieg? — Pewno. — Lecz, sędzę, przyznasz, że podług tego, cośmy dopiero powiedzieli, śnieg przyjąwszy ciepło w siebie, nie zostanie tem, czem był pierwaj, śniegiem i razem ciepłem, lecz za przystąpieniem ciepła albo mu ustąpi, albo zniknie. — Pewno. — I ogień nawzajem za przystąpieniem zimna, musi ustąpić lub zniknąć, i nie będzie mógł, przyjąwszy zimno, być, czem był pierwaj, ogniem i razem zimnem. — Prawdę mówisz, rzekł. — Tak więc się ma, mówił dalej, z innymi rzeczami, że nietylko samo ogólne pojęcie (idea) ma zawsze toż samo nazwisko, lecz, że to służy także i dla innych rzeczy, które choć nie są niem, mają jednak jego formę, dopóki tylko egzystują. Przykłady objaśnia to lepiej. — Nieparzystość czy nie musi mieć zawsze to samo nazwisko, o którym teraz mowa, lub nie? — Tak bezwątpienia. — Lecz czy sama tylko? o to się bowiem pytam, lub czy jest co innego, co nieparzyste, a jednak trzeba zwać tem samem nazwiskiem dlatego, że jest takie, iż

nigdy nie zostaje bez nieparzystości, jak bywa z liczbą trzy i wielu innymi? Uważaj względem trzech, czy sądzisz, że ta liczba zawsze musi być wymieniona podług swojego nazwiska i razem nazwiska nieparzystości, choć ta nie jest tem samym, co liczba trzy. Jednak ta jest z natury własność liczby trzech, pięciu, i w ogóle prawie połowy liczb, że każda z nich nie będąc tem samym, co nieparzystość, jednak jest nieparzystą. Podobnie się ma znowu z dwoma, czterema i całą połową liczb, z których każda, nie będąc tem samym, co parzystość, jednak jest parzystą. Czy zgadzasz się, lub nie? — Jakże nie? rzekł. — Patrz więc, mówił dalej, co chcę przez to pokazać. Owóż to, że nietylko owa przeciwność nie zdaje się wzajemnie przypuszczać, lecz nawet wszystko, co choć między sobą właściwie nie przeciwne, jednak ma coś sobie przeciwnego, nie zdaje się przypuszczać istoty (idei) przeciwnej swojej istocie, lecz skoro ta się zbliży, samo ginie, albo ustępuje. Czy o liczbie trzy np. nie powiemy, że musi pierwiej zniknąć, lub cobądź z nią się stać, nim żeby będąc trzema została parzystą? — Prawda, rzekł Kebes. — Jednak dwa, mówił dalej, nie są trzem przeciwne? — Nie. — Zatem nietylko przeciwne pojęcia, lecz także i inne przeciwności nie przypuszczają się do siebie. — Tak, samą prawdę, rzekł, mówisz. — Chceszże, mówił dalej, abyśmy ci je określili, jeśli możemy? — Tak. — Czy więc nie te będą Kebesie, które, w czemkolwiek się znajdują, zmuszają to, nietylko zatrzymać ideę mu właściwą, ale i nie przyjmować innej przeciwnej? — Jak mówisz? — Tak, jakieśmy niedawno powiedzieli. Wiesz bowiem, że wszystko, co idea trzech obejmuje, nietylko musi być koniecznie trzema, lecz także nieparzystem. — Pewno. — Mówię, że do rzeczy takiej nie może wejść nigdy idea przeciwna tej, która ją stanowi. — Tak, nigdy. — A to, co ją stanowi, czy nie jest nieparzystość? — Tak. — A idea przeciwna idei nieparzystości, czy nie jest ideą parzystości? — Tak. — Więc idea parzystości nie znajduje się nigdy w trzech? — Oczywiście, że nie. — Więc trzy nie przyjmuje parzystości? — Nie przyjmuje. — Albowiem trzy nieparzyste? — Pewno. — Oto, co chcieliśmy określić, to jest przeciwności, które choć niczemu nie przeciwne, nie przypuszczają jednak innej, jak trzy, które, choć nie przeciwne parzystości, jednak jej nie przyjmują; ponieważ przynoszą zawsze coś przeciwnego parzystości, jak dwa przeciwnego nieparzystości, podobnie jak ogień zimnu i wiele innych rzeczy. Patrz więc, czy nie tak określisz przeciwności, że nietylko przeciwność nie przyjmuje przeciwności, lecz jeszcze wszystko, co przynosi z sobą przeciwność, łącząc się z drugą rzeczą, nie przypuszcza nie przeciwnego temu, co z sobą przynosi. Rozważ to sobie jeszcze raz. Nie źle bowiem posłuchać tego więcej. Pięć nie przyjmuje nigdy idei parzystości, jak dziesięć, będące dwa razy takie, nieparzystości; i to samo znowu, choć jego przeciwność nie jest nieparzystością, nie przyjmuje jednak idei nieparzystości, tak jak ani trzy czwarte, ani połowa, ani trzecia część, i wszystko podobne nie przyjmuje idei całości, jeśli przystajesz i zgadzasz się ze mną. — Zgadzam się bardzo, rzekł, i przystaję. — Znowu więc, rzekł, zacznijmy z początku: ja cię będę pytał, a ty nie odpowiadaj

wprost na pytania, lecz jak ci pokażę co innego. Oto mówię, że oprócz owej pierwszej danej pewnej odpowiedzi, jeszcze z tego, cośmy teraz powiedzieli, innej pewności oczekuję; albowiem gdybyś mnie spytał, co sprawia w ciele ludzkim, że jest ciepłe, nie dałbym ci tej prostej pewnej odpowiedzi, że ciepło, lecz z tego, o czem teraz była mowa, subtelniejszą, że ogień; a gdybyś spytał, co sprawia, że ciało jest słabe, nie powiedziałbym, że choroba, lecz febra; ani co czyni liczbę nieparzystą, nie mówiłbym, że nieparzystość, lecz jedność i tak z resztą. Uważ więc, czyś dostatecznie zrozumiał, czego chcę. — Zrozumiałem zupełnie, rzekł. — Odpowiedz więc, mówił dalej, co sprawia, że ciało jest żyjące? — Dusza, rzekł. — I czy tak zawsze jest? — Tak, dla czegożby nie? rzekł Kebes. — Dusza więc, gdziekolwiek wejdzie, przynosi z sobą życie? — Tak, gdziekolwiek wejdzie. — Czy więc jest coś przeciwnego życiu, lub nie? — Jest, rzekł. — Cóż więc? — Śmierć. — Więc dusza nie przyjmuje przeciwności tego, co sama z sobą przynosi, jakeśmy się wyżej zgodzili? — Pewno, rzekł Kebes. — Jakże? a co nie przyjmuje idei parzystości, jakże to nazwalibyśmy? — Nieparzystem. — A co nie przyjmuje sprawiedliwości, porządku, niesprawiedliwem, nieporządnem, rzekł. — Dobrze. — A to, co nie przyjmuje śmierci, jak zowiemy? — Nieśmiertelnem. — Więc dusza nie przyjmuje śmierci? — Nie! — Zatem nieśmiertelna? — Nieśmiertelna. — Bardzo dobrze, rzekł. Czy to już uznamy za dowiedzione? lub inaczej ci się zdaje? — Zupełnie za dowiedzione, Sokratesie! — Jakże, mówił dalej, Kebesie. Gdyby nieparzystość miała być koniecznie podległą zniszczeniu, czyby i trzy takim nie było? — Czemu nie. — Więc i to, co jest bez ciepła, gdyby miało być koniecznie niepodległe zniszczeniu, wtenczas, ile razyby kto do śniegu ogień zbliżył, czyby śnieg nie ustąpił, ale w całości pozostał niestopiony, gdyż nie mógłby zginąć, i napróżno wystawianooby go na ogień, bo nie przyjąłby nigdy w siebie ciepła. — Prawdę, rzekł, mówisz. — Podobnie sędzę, że gdyby to, co jest bez zimna, było wolne od zniszczenia, gdyby coś zimnego do ognia się zbliżyło, tenby nie zgasł i nie zniknął, lecz w zupełności ustąpił. — Koniecznie, rzekł. — Zatem tak należy powiedzieć i o nieśmiertelności duszy. Jeśli to, co nieśmiertelne, jest wolne od zniszczenia, dusza nie może wtenczas zginąć, kiedy śmierć do niej się zbliży; gdyż podług tego, cośmy powiedzieli, dusza jej nie przyjmuje i nie umrze, tak jak trzy i każda liczba nieparzysta, mówiliśmy, nie będzie parzystością, ani ogień lub gorącość ognia nie będzie zimnem. Lecz cóż przeszkadza, powie kto, ażeby nieparzystość nie została parzystością, gdy przez przybycie parzystości, jakeśmy się na to zgodzili, nieparzystość zniknie, a nastąpi na jej miejsce parzystość. Ktoby tak mówił, nie moglibyśmy mu zaprzeczyć, że tamta nie zniknie; bo nie jest wolną od zniszczenia. Ale chochyśmy to musieli przyznać, jednak moglibyśmy jeszcze utrzymywać, że gdy parzystość przychodzi, nieparzystość i trzy tylko ustępuje. Toż samo sądzilibyśmy o ogniu, ciepłe i innych rzeczach. Czy nie tak? — I bardzo. — Czy nie tak i względem nieśmiertelności? gdybyśmy się zgodzili, że co nieśmiertelne, wolne od zniszczenia, więc i dusza przez to, że nie-

śmiertelna musi być wolną od tego. Jeśli nie tak, trzeba na to innego dowodu. — Nie potrzeba, rzekł Kebes; bo cóżby innego nie ulegało zniszczeniu, gdyby to co nieśmiertelne i wieczne miało jej ulegać? — Przynajmniej, sądzę, rzekł Sokrates, wszyscy przyznają, że jeśli jest co nieśmiertelne, tedy Bóg, istota, i sama idea życia nigdy nie zginą. Tak zaiste wszyscy ludzie przyznają, a jeszcze więcej, jak sądzę, i bogowie; albowiem jeśli to, co nieśmiertelne, nie ulega zniszczeniu, jakże dusza, będąc nieśmiertelna, nie ma być wolną od niego? — Musi być koniecznie. — Gdy więc śmierć na człowieka przychodzi, wtenczas, co śmiertelne w nim, jak się zdaje, umiera, a co nieśmiertelne i niepodległe zniszczeniu, uchodzi całe bez zniszczenia i ustępuje przed śmiercią. — Zdaje się. — Zatem, Kebesie, jeśli co nieśmiertelne i niepodległe zniszczeniu, tedy dusza musi być taką, i rzeczywiście dusze nasze żyć będą na tamtym świecie. — Nie mam nic Sokratesie, rzekł Kebes, powiedzieć przeciw temu, ani twoim nie wierzyć dowodom; lecz jeśli Simias lub kto inny ma co do zarzucenia, dobrze zrobi, gdy tego nie zamilczy; albowiem nie wiem, czy znajdzie kiedy lepszą sposobność, niż teraz, do pomówienia o tem i objaśnienia się. — Ja sam, rzekł Simias, nie mam powodu do niewiary, jednak przyznam ci się, Sokratesie, że wielkość przedmiotu i uczucie słabości ludzkiej, na którą niewiele liczyć można, przymusza mnie chować jeszcze u siebie mimowolnie pewną niewiarę o tem, cośmy powiedzieli. — Nietylko to Simiaszu, rzekł Sokrates, jest słuszne, lecz jakkolwiek zdają się prawdziwe zasady, z którycheśmy wyszli, trzeba nam je jeszcze raz dokładniej rozważyć; a gdy dokładnie o nich się przekonacie, przyjmiecie, jak mi się zdaje, moje dowodzenie, o tyle, o ile jest w mocy człowieka pojąć tego rodzaju przedmiot. A gdy je wam się okaże pewne, nie będziecie dalej szukać. — Dobrze, rzekł Kebes. — Jednak moi przyjaciele, mówił dalej, jest jeszcze jedna rzecz godna uwagi: że gdy dusza nieśmiertelna, należy mieć o niej staranie nietylko na ten czas, który zwiemy życiem, lecz i na następny; bo może niebezpieczeństwo z zaniedbania tego, na jakiebyśmy się narazili, jest zbyt wielkie; ponieważ gdyby śmierć była zupełnem ustaniem wszelkiego bytu, tedy dla złych umierających byłoby wielką korzyścią zostać przez nią uwolnionym od ciała, a wraz z duszą i od swych niegodziwości; lecz, że jest nieśmiertelna, tedy nie ma dla niej innego ratunku od złego, które ją czeka, ani zbawienia, jak tylko, żeby się starała być jak najlepszą i najenotliwszą; albowiem idzie na tamten świat, nie mając z sobą nic więcej nad swe wychowanie i ukształcenie w tem życiu, które jej, jak mówią, największe dobro lub złe po śmierci zaraz od jej tam przybycia przynosi. Powiadają, że gdy kto umrze, tak się dzieje: duch opiekuńczy każdego człowieka, ten sam który nim za życia kierował, po śmierci prowadzi go na miejsce, gdzie umarli zbierają się dla sądu, nim przejdą na tamten świat pod przewodnictwem tego samego, który ich tam wiedzie. A gdy otrzymają tam, co im się należy, i zabawią czas oznaczony, inny przewodnik po wielu i długich przemianach wieków wraca je znowu do tego życia. Nie jest

to taka droga, jaką podaje Telephos\*) w Eschylosie, mówiąc »że prosta ścieżka na tamten świat wiedzie«. Mnie się zdaje, że nie jest ona ani prosta, ani jedna; bo gdyby taką była, nie potrzebaby było przewodnika, i niktby nigdy nie zbłądził, gdyby tylko była jedna droga. Owszem zdaje się, musi ona wielorako się dzielić i mieć wiele zakrętów, jak to wnoszę z naszych ofiar i ceremonij religijnych. Dusza moralna i rozumna idzie chętnie za swym przewodnikiem, wiedząc o losie, który ją czeka. Każda zaś, namiętnie trzymająca się ciała, jak pierwiej powiedziałem, długo przy niem i na tym świecie widzialnym bawiąc, po wielu dopiero oporach i cierpieniach, nareszcie gwałtem i z trudnością odprowadzona zostaje od przeznaczonego jej na to przewodnika. A gdy przybędzie tam, gdzie są inne, nieczysta i taka, że albo niesprawiedliwem zabójstwem się skaląa, lub co innego popełniła, co dusze jej tylko podobne mogą popełnić, tedy wszystkie przed nią uciekają i uchodzą, i żadna nie chce być ani jej towarzyszką podróży, ani przewodniczką. Sama więc błąka się w zupełnem opuszczeniu przez czas niejaki, dopóki konieczność jej nie powiedzie na miejsce stosowne. Ta zaś, która czysto i umiarkowanie życie swoje przepędziła, mając za towarzyszy podróży i przewodników bogów, udaje się do miejsca, jej na mieszkanie przeznaczonego; albowiem ziemia ma wiele miejsc różnych i szczególnych, i nie jest taką, jak ją przedstawiają ci, którzy zwykli ją opisywać podług tego, jak sły-szałem jednego mówiącego. Na to Simias rzekł: — Jak to Sokratesie? Słyszałem wiele rzeczy o ziemi, ale nie takich, którebys przyjął. Chętnie więc cię posłucham. — Dla opowiedzenia ci, Simiaszu, nie potrzeba jak sądzę sztuki Glauka\*\*), lecz aby dowieść ci prawdy, trudniej się mi zdaje nad sztukę Glauka. Może nawet sam nie będę w stanie tego zrobić, a choćbym potrafił, krótki czas, jaki mi do życia pozostaje, nie wystarczy dla tak długiej rozmowy. Jednak nie mi nie przeszkadza, abym ci podał obraz ziemi i jej różnych miejsc jak sobie przedstawiam. — To dosyć dla nas będzie, rzekł Simias. — Naprzód pewny jestem, mówił dalej, że jeśli ziemia okrągła leży wśród nieba, nie potrzebuje ani powietrza, ani żadnej innej podpory, aby nie upadła, lecz że niebo samo jednakowo ją otaczające i jej własna równowaga wystarcza dla jej utrzymania; albowiem każda rzecz będąca w równowadze w pośród innej, na nią ciężącej jednakowo, nie może w żadną stronę ani mniej ani więcej się nachylić; dlatego jest stałą i niewzruszoną. Oto więc jest, mówił dalej, o czem jestem przekonany. — I słusznie, rzekł Simias. — Potem jeszcze sądzę, że ziemia jest bardzo wielka, i że my tylko małą jej część zamieszkujemy od Phasis aż do słupów Herkulesa, rozproszeni nad morzem jak mrówki lub żaby nad błotem, i wiele innych narodów podobne gdzieindziej zamieszkuje miejsca; albowiem wszędzie na powierzchni ziemi są wklęsłości rozmaitego kształtu i wielkości, w które wchodzą wody, mgły i powietrze gęste; sama zaś ziemia leży wśród

\*) Tytuł tragedyi zaginionej Eurypidesa.

\*\*) Przysłowie na wyrażenie rzeczy trudnej. Glaukos miał być, jak mówiono powszechnie, zdatnym bardzo artystą.

czystego nieba, gdzie są gwiazdy i to, co wielu zwykłych zajmować się temi rzeczami zowią górnem powietrzem, którego wszystko to, co wpływa ciągle w wklęsłości, przez nas zamieszkane, jest właściwie podstawą. Skryci w tych wklęsłościach, niepoznamy tego, i sądzymy, że zamieszkujemy wierzch ziemi, tak jak gdyby kto, przebywający na dnie oceanu, sądził, że się znajduje na wierzchu jego, i patrząc przez wodę na słońce i inne gwiazdy, uważał morze za niebo, i nie wyszedłszy nigdy na powierzchnię morza, ani nie wychyliwszy i nie podniósłszy głowy z wody dla swej ciężkości i słabości, nie zobaczył tego miejsca, gdzie mieszkamy, ile czystsze i piękniejsze od tego, jakie u niego; ani też od kogo innego, który je widział, nie słyszał. Podobnie się ma z nami. Mieszkając w jakiej wklęsłości ziemi, sądzymy, że na jej wierzchu przebywamy, powietrze zowiemy niebem, i utrzymujemy, że ono jest rzeczywiście niebem, pod którym gwiazdy bieg swój odbywają; to jest, że nasza ciężkość i słabość nie dozwala nam się wznieść nad powietrze; albowiem, gdyby kto sam doszedł, lub mógł się tam wznieść za pomocą skrzydeł, wychyliwszy się z tego grubego powietrza, tak jak ryby, które, wychylając się z morza, patrzą na to, co się na niem dzieje, zobaczyłyby, co jest w tem szczęśliwym miejscu, i gdyby jego natura była w stanie wytrzymać długie tego uważanie, poznałby, że to jest prawdziwe niebo, prawdziwe światło, prawdziwa ziemia. Albowiem ta ziemia, którą zamieszkujemy, te skały i te miejsca są zepsute powietrzem i zwapnione, tak jak to, co się na morzu znajduje, jest solą przejęte. W morzu także niemasz nic godnego uwagi, nie doskonałego, tylko wydrążenia, piasek, błoto bez miary, i wszędzie gdzie tylko ziemia, głęboka przestrzeń; w ogóle nie zasługujące na porównanie z tem, co my dobrego mamy. Ale tamto w górze jest znowu wyższe od tego, co u nas. Aby ci dać poznać piękność tej czystej ziemi, położonej wśród nieba, przytoczę ci Simiaszu piękną powieść, która zasługuje na posłuchanie. — Bardzo dobrze Sokratesie, rzekł Simias, chętnie jej posłuchamy. — Mówią więc, rzekł, przyjacielu, naprzód, że ta ziemia, gdyby kto na nią z góry spojrział, wygląda jak piłka skórzana, złożona z dwunastu pasów, upstrzona rozmaitymi kolorami, których nasze, tu przez malarzy używane, są tylko podobieństwem; tam zaś cała ziemia nimi okryta, daleko jaśniejszymi i czystszyimi. Część tej jest purpurowa i dziwnie piękna, druga złocista, inna biała i bielsza nad gips lub śnieg; i tak każda się składa z kolorów daleko liczniejszych i piękniejszych, aniżeliśmy kiedy widzieli. Same nawet wklęsłości ziemi pełne wody i powietrza mają także właściwe sobie kolory, które jaśnieją mieszaniną rozmaitych farb, tak, że ta ziemia w całej swojej przestrzeni przedstawia ciągłą różnorodność. Na niej samej wszystko w stosunku odpowiednim do niej rośnie, drzewa, kwiaty i owoce. Podobnie znowu góry i kamienie mają stosowną doskonałość, przeźroczystość i dziwne farby, których ułamkami są ulubione u nas kamienie, karneole, jaspisy, szmaragdy i inne podobne. Tam zaś niemasz nic, coby nie było takie, lub jeszcze od tych piękniejsze. Przyczyną tego jest, że tamte kamienie są czyste, niestoczone i przejęte jak tu wilgocią, słońścią, oraz wszyst-

kiem, co w ziemię spływa, i kamieniom, ziemi, oraz innym twórcom i roślinom zepsucie i słabości przynosi. Ziemię tę oprócz takich piękności nadto zdobi złoto, srebro i inne kosztowne metale, które tam wszędzie po całej jaśnieją w wielkiej liczbie i masie, tak, że patrzeć na nią jest jednym z najszcześniejszych widoków. Znajdują się także liczne i rozmaite zwierzęta na niej oraz ludzie, jedni mieszkający w środku na łądzie, drudzy nad powietrzem, jak my nad morzem, a inni na wyspach, które powietrze tworzy nad łądem; albowiem czem u nas jest woda i morze dla użytku, tem samem dla nich powietrze, a czem tu powietrze, jest tam eter. Pory zaś roku mają tak umiarkowane, że nie ulegają chorobom i daleko dłużej od nas żyją; a co do wzroku, słuchu, węchu i innych zmysłów, oraz samego nawet rozumu, w tych o tyle nas przewyższają, ile powietrze wodę a eter powietrze w czystości. Posiadają gaje i świątynie bogów, w których rzeczywiście bogowie mieszkają, oraz wyrocznie, przepowiednie, objawienia się odbywają. Słońce, księżyc i gwiazdy widzą oni takimi, jakie są; zresztą inne szczęście jest od nich nieodłączne. Oto taką jest ta ziemia na swej powierzchni. Ma ona wkoło na sobie wklęsłości, wiele miejsc, z których jedne głębsze i otwartzsze niż te, gdzie mieszkamy; drugie znowu głębsze, lecz mniej otwarte od naszych; a inne nareszcie płasksze, ale mniej głębokie. Te wszystkie, wydrążone pod ziemią w wielu miejscach wężej lub szerzej, łączą się między sobą w kanały, którymi wiele wody płynie jak w naczynia, przez wielkie odwieczne podziemne rzeki, oraz źródła wód zimnych i ciepłych, przytem potoki ognia i wiele wilgotnego błota czystsze lub brzydsze, tak jak w Sycylii, gdzie potoki błota i ognia poprzedzają lawę, a po nich płynie sama lawa. Te miejsca są napełnione jednym albo drugim z tego, podług kierunku, jaki każde bierze, rozlewając się. Wszystko nareszcie buja się w górę i na dół, jak kołyska jaka w ziemi, której ruch taki: jeden z otworów ziemi jest największy i przez całą ziemię zupełnie przechodzi, jak to Homer powiedział w słowach \*):

»Tam daleko, gdzie pod ziemią jest najgłębsza przepaść«, a którą on gdzieindziej i wielu innych poetów Tartarem nazwali. Tamto wpadają wszystkie rzeki i ztamtąd znowu wychodzą, mając podobieństwo ziemi, przez którą płyną. Przyczyną tego biegu jest, że płyn ich niema żadnego gruntu i spodu. Ztąd waży się i podnosi raz w górę, drugi na dół. Toż samo wkoło niego robi powietrze i wiatr, które mu towarzyszą w ruchu, gdy się podnosi i opada. I jak w oddechu, gdzie powietrze wchodzi i wychodzi ciągle, tak tu podobnie uniesione z płynem w dwóch ruchach przeciwnych wydaje straszne i dziwne wiatry, wpadając i wypadając. Kiedy więc wody, rzuciwszy się z siłą, dojdą do miejsc, które my niższemi zowiemy, natenczas tworzą potoki, idące wśród ziemi do łożysk rzek, które jak z pompy napełniają. A gdy znowu, wyszedłszy ztamtąd, obróć się ku naszym, napełniają je podobnie; zkąd nareszcie płyną kana-

\*) Iliada ks. VIII. w. 14.

łami podziemnymi do rozmaitych miejsc, podług tego, jak mają bieg wolny, i tworzą przez to morza, jeziora, rzeki, źródła. Potem zanurzając się znowu w ziemi, i przebiegając przestrzeń raz dłuższą i większą, a drugi mniejszą i krótszą, wpadają znowu w Tartar, jedne daleko niżej, drugie tylko trochę, w ogóle wszystkie poniżej ich wypływu. Niektóre wpadają naprzeciw, gdzie wypływały, inne w tej samej stronie, a pewne, obszedłszy w koło raz albo więcej ziemię, kręcąc się naksztalt węża, potem na dół wchodząc jak mogą tylko najgłębiej, wpadają w Tartar. Mogą zaś z obydwóch stron tylko dojść do połowy, a nie dalej, boby już drugą stronę przechodziły. Tworzą one wiele bardzo znacznych potoków, z których cztery główne, a największy z nich i najdalej opływający jest tak zwany Okeanos. Naprzeciw niego i w odwrotnym kierunku płynie Acheront, który, przechodząc przez miejsca puste pod ziemią, wpada do jeziora Acheruzyi, dokąd dusze wielu umarłych przybywają. Te, zabawiwszy tam przez czas niejaki, jedne dłużej, a drugie krócej, wracają znowu na ten świat dla dania życia nowym istotom. Z pośredka między dwoma poprzedniami wypływa trzecia rzeka, która wpada niedaleko swego źródła do miejsca obszerzego, szerokim ogniem płonącego, gdzie tworzy jezioro większe od naszego morza, wrące wodą i błotem. Ztamąd idzie dalej kołem mętna i błotnista. Obiegłszy na około ziemię, przychodzi prócz innych miejsc do ostatnich końców Acheruzyjskiego jeziora, nie mieszając się jednak wcale z jego wodami; a obróciwszy się kilka razy wkoło pod ziemią, wpada nareszcie w najniższą część Tartaru. Tą rzeką jest właśnie tak zwany Pyroflegeton, z którego wulkany wybuchają na ziemię, gdzie tylko miejsce znajdują. Naprzeciw tej rzeki znowu wypływa czwarta: naprzód na miejsce straszne i dzikie, jak mówią, koloru ciemnego, które zowią Stygyjskiem i Styxem jezioro, które tworzy rzeka przy wpadzie. Tam ona wpadłszy i nabrawszy wielkiej mocy w swych wodach, idzie dalej pod ziemią, i, obróciwszy się wkoło, płynie naprzeciw Pyroflegetonu. Nazwisko tej rzeki, jak mówią poeci, ma być Kokytos.

Takie jest miejsce pobytu umarłych. Gdy dusze umarłych staną tam, gdzie każdą duch jej opiekunczy prowadzi, naprzód oddzielone zostają przed sąd te, które żyły sprawiedliwie i pobożnie, od tych, które żyły przeciwnie. Z pierwszych wszystkie, które wiodły życie niezupełnie niewinne, ani występne, idą do Acherontu, gdzie wsiadłszy na łódki, które dla nich gotowe stoją, udają się na nich do jeziora Acheruzyjskiego, w którym oczyszczają się i ponoszą karę za swe przewinienia, dopóki uwolnione nie zostaną. Równie te, które zupełnie dobrze żyły, otrzymują za swe czyny nagrodę, każda podług swej zasługi. Te zaś, które się okażą, że nie mogą być oczyszczone dla wielkości ich licznych przewinień, świętokradztw, lub niesprawiedliwych i nieprawych morderstw, jakich się dopuściły, lub innych podobnych występków, rzuca je przeznaczenie dla nich odpowiednie w Tartar, zkąd już nigdy nie wychodzą. A wszystkie, które popełniły przewinienia, dające się oczyścić, choć wielkie: np. dopuściły się gniewu przeciw ojcu lub matce, albo stały się zabójcami kogo, ale potem przez całe życie tego żałowały, te także



muszą być wrzucone w Tartar; jednak wrzucone, po rocznym tam pobyć, woda wyrzuca znowu, zabójców do Kokytu, a ojcobójców i matkobójców do Pyroflegetonu. Zaniesione, gdy staną u jeziora Acheruzyjskiego, jedne wołają i wzywają tych, których pozabijały, a drugie tych, na których gwałt jaki popełniły. Przyzwawszy, proszą i błagają, aby im do jeziora wejść pozwolili i do siebie je przyjęli. Jeśli ich nakłonią, natenczas wchodzą i zostają wolne od wszystkiego złego; a jeśli nie, wracają znowu do Tartaru, a ztamtąd do rzek, i tak nie przestają cierpieć, póki nie prześlą tych, względem których niesprawiedliwości się dopuściły. Taka bowiem kara zostaje na nie przez sędziów wyrzeczona. Te zaś dusze, które wykażą się, że nader świętobliwie żyły, swobodnie i wolne od tych miejsc podziemnych, jak od więzów jakich, przebywają wysoko nad ziemią na czystem miejscu; a które z nich jeszcze przez zamięłowanie mądrości dostatecznie się oczyściły, żyją potem zupełnie bez ciała, i do piękniejszych jeszcze od tych miejsc przechodzą, które nie łatwo opisać, i nie masz na to teraz dosyć czasu. Dlatego więc, com ci teraz przedstawił, Simiaszu, należy wszystko czynić, aby nabyć cnoty i mądrości w tem życiu; albowiem piękna czeka nas nagroda i wielka jest nadzieja. Jednak tak wszystko, jak opisałem, w zupełności utrzymywać, nie przystoi rozumnemu człowiekowi. Mimo tego, czy tak jest, czy inaczej z naszymi duszami, i ich przyszłym pobytem, skoro tylko te są nieśmiertelne, zdaje mi się, że można tak mniemać i warto odważyć się wierzyć, że tak jest. Chwalebna bowiem będzie w tem odwaga i nadzieja taka, którą należy w siebie niejako wmawiać. Dlatego i ja tak dalece przedłużyłem tę powieść. Niech więc będzie spokojnym o swoją duszę ten, kto porzucił za życia przyjemności ciała i jego ozdoby, jako dla niego obce i jeszcze więcej do złego prowadzące, a starał się tylko o przyjemności poznania, i przystrajał duszę nie w inne, tylko we własne ozdoby, to jest rozum, sprawiedliwość, odwagę, szlachetność i prawdę. Taki powinien czekać spokojnie swojej na tamten świat drogi, gotów do odjazdu, kiedy go przeznaczenie wezwie. Wy także, Simiaszu, Kebesie i inni, udacie się tam, każdy w swoim czasie, kiedy na niego kolej przyjdzie. Mnie zaś dziś przeznaczenie wzywa, tak powiedziałby jaki tragic, i już czas mi iść do kąpieli; albowiem zdaje mi się, że lepiej po kąpieli wypić truciznę i oszczędzić trudów kobietom z obmywaniem umarłego.

Gdy tak skończył, rzekł Kryton: — Dobrze Sokratesie! lecz cóż tym lub mnie polecisz względem swych dzieci, lub kogo innego, w czembyśmy mogli ci się przysłużyć? — To, co zawsze nie przestałem wam zalecać, Krytonie! nie nowego. Miejcie staranie o was samych, a przez to i mnie i mojej familii i wam samym najlepiej się przysłużycie, choćbyście teraz nawet nie przyrzekali. Jeśli zaś o was samych dbać nie będziecie, i nie zechcecie się trzymać, jak śladu, w życiu tego, com teraz powiedział i o czem dawniej ciągle mówiliśmy, wtenczas, choćbyście mi teraz wiele i bardzo przyrzekali, nic więcej dla mnie nie zrobicie. — Będziemy się więc starali tak robić, rzekł Kryton, ale jakże cię pochowamy? — Tak jak wam się podoba, rzekł, jeśli tylko mnie wziąć

potraficie i nie ujdę przed wami. Potem, uśmiechnąwszy się spokojnie i spojrzawszy na nas, rzekł: — Przyjaciele! nie mogę przekonać Krytona, że jestem Sokratesem, który teraz z nim rozmawia i mową swoją kieruje. On sądzi, że jestem ten, którego on zobaczy nie długo umarłym, i pyta się jak mnie ma pochować; i to wszystko o czym tak długo mówię, że, gdy wypiję truciznę, nie zostanę przy was, lecz odejdę do szczęśliwych siedlisk, aby używać przyjemności niewymownych, zdaje się, że napróżno dla niego mówię, tylko, abym was i siebie pocieszył. Dajcie więc Krytonowi za mnie zaręczenie, lecz inne niż on dał sędziom; bo on zaręczył za mnie, że się z miejsca nie oddalę, a wy zaręczcie, że z pewnością, gdy umrę, na niem nie pozostanę, lecz odejdę, aby tem łatwiej mógł znieść, gdy zobaczy ciało moje palone lub grzebane, i nie smucił się, sądząc, że mi się co złego dzieje, ani przy pogrzebie nie mówił, że wystawia, wyprowadza i grzebie Sokratesa. Wiesz dobrze, najlepszy Krytonie! rzekł następnie, że mówić niewłaściwie nietylko jest złem dla rzeczy, ale i dla duszy. Trzeba być spokojniejszym i powiedzieć, że moje ciało grzebiesz, i pogrzeb je, jak ci się podoba, w sposób, który za najstosowniejszy podług praw uznasz.

To rzekłszy wstał i poszedł do innego pokoju do kąpieli. Kryton udał się za nim, a nam kazał pozostać. Pozostaliśmy zatem, już to rozmawiając między sobą o tem, o czym pierwiej była mowa, i jeszcze się nad tem zastanawiając, już to uskarżając się nad nieszczęściem, które nas miało spotkać, że pozbawieni, jak ojca, będziemy musieli resztę życia sierotami przepędzić. Sokrates zaś po odbyciu kąpieli, gdy mu przyprowadzono jego dzieci, których miał troje, dwóch małych synków\*), a jednego starszego\*\*), oraz gdy przyszły jego domownicy\*\*\*), pomówiwszy z nimi w przytomności Krytona i poleciwszy, co chciał, kazał im i dzieciom odejść, a sam do nas wrócił. Było to już blisko zachodu słońca. Wszedłszy usiadł i niewiele już z nami mówił, ponieważ wszedł posługacz Jedenastu i stanąwszy przed nim, rzekł: »Sokratesie! spodziewam się, że nie będę się na ciebie użalał, jak na innych, którzy mnie łąją i przeklinają, kiedy im oznajmię, że mają z rozkazu Archontów wypić truciznę. Ciebie zaś innym w tem tu miejscu poznałem, najsmielszym, najłagodniejszym i najlepszym ze wszystkich, którzy tu kiedykolwiek przebywali; i teraz wiem dobrze, że się na mnie nie gniewasz, ale na tych, którzy są przyczyną twego nieszczęścia i znasz ich dobrze. Teraz wiesz, z jakim oznajmieniem przyszedłem! Bądź zdrow! i staraj się znieść jak najspokojniej, co nieodmienne«. Poczem, załawszy się łzami, odwrócił się i odszedł. Sokrates spojrzawszy na niego, rzekł: Bądź zdrow! zrobię, co mówisz; a do nas tak mówił: Jaki to pocziwy człowiek! Przez cały czas mego tu pobytu przychodził do mnie i rozmawiał często, a teraz

\*) Sophroniska i Menexena.

\*\*) Lamproklesa.

\*\*\*) Rozumie się tu Xantypa i kilka innych kobiet, przyjaciółek domu Sokratesa.

jak szczerze płacze nade mną! Lecz, Krytonie, bądźmy posłuszni! i niech kto przyniesie truciznę, jeśli gotowa; a jeśli nie, niech ją przygotowują. Kryton na to: — Ale, Sokratesie, zdaje mi się, że jeszcze słońce nad górami nie zaszło. Zresztą wiem dobrze, że inni bardzo późno piją truciznę po oznajmieniu im rozkazu, pierwaj najadłszy się i napiwszy dobrze. Więc nie śpiesz się, bo jeszcze czas. Sokrates zaś rzekł: — Słusznie Krytonie ci to robią, o których mówisz, gdyż sądzą, że coś na tem zyskają; ale i ja także mam słusność, że tego nie uczynię, bo mi się zdaje, żebym się na śmiech u siebie wystawił, dbając o życie i żałując tego, co przez się niczem jest. Zatem idź, rzekł, słuchaj mnie i nie czyn inaczej.

Kryton, usłyszawszy to, skinął na chłopca blisko stojącego, a ten wyszedłszy wrócił po jakimś czasie, prowadząc z sobą człowieka, mającego podać truciznę, przygotowaną w kubku. Sokrates, gdy go zobaczył, rzekł: — Dobrze, o najlepszy! ty się na tem znasz, powiedz, co mam z tem zrobić? »Nie innego, rzekł, jak tylko wypićszy przechadzać się, dopóki otrętwienie w nogach nie nastąpi, a potem położyć się, i tak trucizna swój skutek sprawi«. Zarazem podał kubek Sokratesowi, który go wzięwszy, Echekratesie, bardzo spokojnie, bez wzruszenia, nie zmieniając wcale koloru twarzy, lecz jak zwykł był, wprost spojrzawszy na tego człowieka, rzekł: — Co powiesz o tym napoju?... czy można z niego ułać trochę dla zrobienia bogom ofiary lub nie? — My Sokratesie, rzekł, tyle tylko go przygotowujemy, ile sądzą, że potrzeba do wypicia. — Rozumiem, odpowiedział. Przecież można i należy nieść modły do bogów, ażeby nam dali szczęśliwe przejście ztąd na tamten świat, o co i ja ich błagam.

To wyrzekłszy, przysunął kubek do ust i śmiało bez wahania się wypił. Dotąd wielu z nas zdołało wstrzymać się od łez, ale, gdyśmy go zobaczyli pijącego, i gdy już wypił, wtenczas nie byliśmy już panami siebie. Mnie samemu gwałtem rzęsiście łzy się puściły, tak, że, zakrywszy się, płakałem nad sobą nie nad nim, ale nad moim losem, że takiego przyjaciela miałem utracić. Kryton jeszcze wprzód ode mnie, nie mogąc się wstrzymać od łez, podniósł się. Apollodor zaś, który już przedtem ciągle był płakał, teraz jęknął wśród płaczu i narzekania, tak, że nie było nikogo z przytomnych, którego by nie poruszył, wyjąwszy samego Sokratesa. Ten rzekł: »Co robicie, dziwni ludzie? ja dlatego głównie odprawiłem kobiety, ażeby podobnej niestosowności nie popełniły; albowiem słyszałem, że trzeba wśród dobrych mów umierać. Bądźcie więc spokojni i nie traćcie odwagi!«. Co my usłyszawszy, zawstydziliśmy się i przestaliśmy płakać. On zaś, przeszedłszy się wkoło, gdy poczuł, że nogi zaczęły mu trętwieć, położył się wznak: tak bowiem kazał mu być człowiek, który mu podał truciznę. Ten sam potem zbliżywszy się wziął go za nogi i kolana, obejrzał, i ścisnąwszy mocno za nogę, spytał go, czy to czuje. On odpowiedział, że nie. Nareszcie ścisnął mu kolana, i tak dalej idąc coraz wyżej, pokazał nam, jak ciało jego stygło i trętwiało. W końcu dotknąwszy się go raz jeszcze, rzekł, że, gdy zimno dojdzie do serca, wtenczas będzie po nim; bo już doszło do

spodu żołądka. Wtedy Sokrates, odkrywszy się (był bowiem zakryty) rzekł ostatnie słowa, które nam się dały słyszeć: »Krytonie! winniśmy Eskulapowi koguta\*), oddajcie mu go, i nie zaniedbajcie tego dopełnić. — »Zrobimy to, rzekł Kryton, ale uważ, czy niemasz jeszcze co innego nam powiedzieć?« Gdy tak się zapytał, już nie mu nie odpowiedział, tylko zaraz drgnął. Natenczas ów człowiek go odkrył. Wzrok jego już stał kołem. Kryton spojrzawszy zamknął mu usta i oczy. Taki był koniec, Echekratesie, naszego przyjaciela, człowieka, jak możem powiedzieć, ze wszystkich, których wtenczas znaliśmy, najlepszego, najmądrszego i najsprawiedliwszego.

*Tłóm. F. Kozłowski.*

---

\*) Jako wdzięczność za uleczenie go z choroby życia terażniejszego.

## SŁOWNICZEK \*)

Skrócenia: b. brat, s. syn, c. córka, g. góra, m. miasto, r. rzeka, w. wyspa, t. teraz, M. Mniejsza, p. przez, pko. przeciwko.

**Abantowie (Abanci)**, starożytni mieszkańcy w. Eubei (t. *Negroponte*).

**Abiowie**, plemię Scytów, które koczowało na północ od Pontus Euxinus (*Morza Czarne*go).

**Abydos**, m. w Troadzie, nad Hellespontem, przeciwległe m. Sestos, leżącemu na Europejskim brzegu, t. *Avido*.

**Acheloos**, r. dzieląca Etolią od Akarnanii (w środk. Grecyi), t. *Aspropotamo*.

**Acheowie (Achajowie, Achiwi)**, 1) najpotężniejsze za czasów wojny Trojańskiej plemię greckie, które mieszkało w Tessalii i Peloponezie, — 2) wszyscy Grecy.

**Acheron**, r. w świecie podziemnym w państwie Hadesa.

**Achilles**, s. Peleusa i Nereidy, Te-tydy, król Mirmidonów (w Tessalii).

**Admetos**, s. Feresy, władca m. Fer, w Tessalii, mąż Alkesty.

**Adrastea**, m. nad Propontidą (*morze Marmara*) w M. Azji.

**Adrastos**, 1) s. Talaosa. Poróżniwszy się z Amfiaraosem, uciekł z Argosu do Sykyonu, gdzie po swoim teściu, Polibie, nastąpił i zapanował nad Argosem. Wydał córkę, Argeję, za Polinika, s. Edypa i przedsięwziął wyprawę pko Tebom. — 2) s. wróżbity, Meropsa, dowódca związkowych Trojańskich, zabity p. Dyomedesa. — 3) Trojanin, zabity p. Menelaosa. — 4) Trojanin, zabity p. Patrokla.

**Aëdon**, córka Pandareosa, żona Zethosa; zabiwszy przez pomyłkę syna swego, Ityla, nie mogąc znieść cierpienia, litością bogów przemieniona w słowika.

**Afrodyta, Afrodite** (t. j. z piany morskiej zrodzona), u Rzymian *Wenus*.

\*) Głównie do Iliady i Odyssei (podług Szmurły, Siemieńskiego i Lübker).

- Agamemnon**, s. Atreusa, wnuk Pelopsa, król m. Myken i późniejszej Achai aż do Elidy (w Peloponezie), naczelny dowódca Greków w wojnie trojańskiej.
- Agastenes**, s. Augeiasa, króla Elidy.
- Agora**, zgromadzenie, miejsce zgromadzenia ludu.
- Aigi** zob. **Egi**.
- Aigilips** (**Aigilipa**), miejscowość w Akarnanii albo też w Itace; według innych, mała wysepka przy Epirze.
- Ajas**, 1) s. Oileusa, dowódca Lokrów Opuntyjskich (w środk. Grecyi) — 2) s. Telamona, króla w. Salaminii (t. *Koluri*).
- Aïdes** czyli **Hades**, b. Zeusa, u Rzymian *Pluto*.
- Aitykowie**, lud w Tessalii, przy g. Pindus.
- Aisepos**, 1) r. w Myzji, wpadająca do morza Marmara, t. *Salas-Dere*.  
2) Trojanin, zabity p. Euryala.
- Aksios**, r. w Macedonii, wpadająca do zatoki Salonickiej, t. *Vistrizza*.
- Aktor**, 1) dziad Patrokla. — 2) syn Forbasa, ojciec Euryta i Kteata. — 3) Ojciec Astyochoy, matki Askalafa i Jalmena z Orchomenu.
- Alalkomeny**, m. w Beocyi, którego patronką była Atene.
- Alexander** = *Parys*.
- Alfejos** (**Alfej**), r. w Arkadyi i Elidzie (w Peloponezie), t. *Alfeo*.
- Alkinoos**, król Feaków, mąż Arety, ojciec Nausikai.
- Alkiona**, przydomek Kleopatry, żony Meleagra, c. Idasa i Marpessy.
- Altea**, siostra Ledy, żona Oineusa, króla Kalidonu (w Etolii), matka Meleagra.
- Amazonki**, wojownicze niewiasty z nad r. Termodonta (t. *Terma*) w krainie Pontu (północ. wschodnia część M. Azji).
- Amfiaraos**, sławny wieszczek.
- Amfidamas**, 1) bohater ze Skandei na w. Cyterze. — 2) inny bohater z Opuntu.
- Amfimachos**, 1) s. Kteata, wnuk Aktora, wódz Epejów z Elidy, zabity p. Hektora. — 2) Wódz Karyczyków, zabity p. Achillesa.
- Amfitea**, żona Antolika, babka Odysseusa.
- Amfitryta**, bogini morska (w przeobrażeniu morze).
- Anchizyada**, s. Anchizesa = *Eneas*, książę trojański.
- Andromache**, c. Eetiona, króla Kilijskich Teb, żona Hektora.
- Amnisos**, port na północnym brzegu Krety.
- Antikleia**, c. Autolika, matka Odysseusa.
- Antilochos**, s. Nestora, zginął pod Troją.
- Antifatos**, król Lestrygonów.

- Apollon**, bóg poezji i słońca, które działa dobroczynnie, ale czasem i śmiertelnie razi.
- Ares** = *Mars*, bóg wojny.
- Arete**, żona Alkinoosa, wzór matrony (arete = cnota).
- Aretuza**, źródło na Itace.
- Argissa**, m. w Tessalii nad r. Penejem, t. *Argura*.
- Argiwo**, 1) mieszkańcy m. Argosu. — 2) mieszkańcy państwa argińskiego. — 3) wszyscy Grecy.
- Argobójca**, przydomek Hermesa, dany mu z powodu zabicia storkiego Argosa.
- Argos**, 1) stolica Argolidy, krainy w Peloponezie. — 2) posiadłość Agamemnona, który rezydował w Mykenach. — 3) cały Peloponez, stąd, w połączeniu z »Hellas«, bierze się za całą Grecją. — 4) *Pelagijski*, m. w Tessalii, w posiadłościach Achillesa.
- Arkeisios**, ojciec Laertes.
- Aryma** (*Arima*), kraina w Kilikii (Cylicy), gdzie olbrzym Tytan leżał skrzepowany pod ziemią.
- Arymowie**, mieszkańcy Arymy.
- Aryzba** (*Arisbe*), m. w Troadzie, niedaleko Abydosu.
- Artemida** (*Artemis*), c. Zeusa i Latony, siostra Apollona = *Dyana*.
- Asfodelosa łąka**, na której przechadzały się cienie w państwie podziemnym.
- Askania**, kraina w półn. zachodniej M. Azji: 1) w Myzji i Bitynii. — 2) we Frygii.
- Asklepios**, władca m. Tryki, słynny lekarz = *Eskulap*.
- Aspledon**, m. w Beoty nad r. Melas, w posiadłościach Minyów.
- Asteris**, wysepka w cieśninie między Same a Itaką.
- Ate** (wina), c. Zeusa, która wiedzie do grzechu i zguby. (Il. XIX.).
- Atene**, (**Atenea**) = *Minerwa*, c. Zeusa, bogini mądrości i wojny.
- Atlas**, bóg trzymający słupy, na których niebo się wspiera.
- Atryda** t. j. s. Atreusa, 1) Agamemnon. — 2) Menelaos.
- Augeias**, król półn. Elidy, posiadacz olbrzymiej obory, oczyszczonej przez Heraklesa.
- Aulis** (**Aulida**), m. nadmorskie w Beoty, skąd wyruszyła flota grecka przeciwko Troi.
- Autolikos**, ojciec Antikleji, dziad Odysseusa.
- Azop** (**Asopos**), r. w Beoty, t. *Asopo*.
- Azyos** (**Asios**), 1) Frygijczyk, b. He-kaby. — 2) s. Hirtaka z Aryzby.
- Boagrios**, górski potok w Lokrydzie, (w środk. Grecji) przy Tronionie.
- Boibe**, m. w Tessalii Pelasgiotis, t. *Bio*.

**Boibeida**, jezioro przy m. Boibe.

**Bootes**, gwiazda przy konstellacyi Niedźwiedzicy.

**Boreas**, wiatr północny.

**Briareos (Bryarej)**, nazwisko Egeona w języku bogów, zob. Egeon.

**Buprazyon (Buprasion)**, rezydencya królów Epejskich w Elidzie (Peloponez).

**Chalkis (Chalcyda)**, 1) stolica w. Eubei, t. *Egribos (Ewripo)*. — 2) miasto w Etolii, przy ujściu r. Euena, t. *Galata*.

**Centaurowie (Kentaurowie)**, dzikie plemię Tessalskie, między Pelionem i Ossą. Homer wystawia ich jako krzepkich, roślých górali, ale nie wspomina o ich końskim tułowiu i nogach.

**Charybda (Charybdis)**, niebezpieczny wir morski w cieśninie messeńskiej.

**Charyty = Gracye**, bóstwa niewieście, dawczynie wdzięku. Homer nie oznacza ich ilości i wymienia tylko jedną, *Pazyteę* (Il. p. XIV), którą zalicza do młodszych Charyt: znał więc, widać, ich pokolenia. Hezyod wymienia trzy Charyty: *Aglaję, Eufrozynę, Talię*. Charyty są towarzyszkami i słuzebnicami Afrodyty. One utkały też jej płaszcz (Il. p. V).

**Chimera**, groźny potwór boskiego pochodzenia, złożony ze lwa, kozy i węża, ziejący z paszczy ogniem. Allegoryczny obraz wulkanicznego ustroju Likyi, gdzie Chimera miała przebywać.

**Chiron**, s. Kronosa i Filiry, Kentaur głośny, jako lekarz i wieszcz, nauczyciel Asklepiosa.

**Chryza (Chryse)**, m. na brzegach Troady ze świątynią Apollona.

**Chryses**, kapłan Apollona.

**Chryseis (Chryzeida)**, c. Chrysesa.

**Cylicyjski, Cylicya** zob. Kilikowie.

**Cypr (Kypros)**, w. niedaleko Kilikij-skich i Syryjskich brzegów.

**Cytera** zob. Kitera.

**Danaowie**, 1) poddani króla Argosu, Danaosa (1500 lat przed Chr.). — 2) mieszkańcy państwa Argosu. — 3) wszyscy Grecy.

**Dardanides (Dardanida)**, s. albo dalszy potomek Dardana, protoplasty Trojan = a) *Pryam*, b) *Ilos*.

**Delos**, wyspa, miejsce rodzinne Apollona i Artemidy.

**Demetra (Demeter)**, bogini rolnictwa, c. Kronosa i Gai, siostra Zeusa, matka Persefony. Symbol płodności natury = *Ceres*.

**Deukalida**, s. Deukaliona = Idomeneus.

**Dodona**, m. w Epirze z wyrocznią Zeusa.

**Dryady**, nimfy leśne.

**Dulichion**, w. na morzu Jońskim na południe od Itaki, jedna z Echinad.



**Dyomed (Diomedes)**, s. Tydeusa, króla Etolskiego, następcą króla Argosu, Adrasta.

**Dyoniz (Dionysos)**, s. Zeusa i Semeli, symbol wegetacyjnej siły ziemi = *Bakchos*.

**Dyona (Dione)**, c. Okeanosa i Tyti, matka Afrodyty.

**Dyores (Diores)**, 1) s. Amarynkeusa, wódz Epejów, zabity p. Peiroa. — 2) Ojciec Automedonta, woźnicy Achilla.

**Eakida**, 1) s. Eaka = *Peleus*. — 2) wnuk Eaka = *Achilles*.

**Eak (Aiakos)**, s. Zeusa i Eginy, sprawiedliwy król w. Eginy.

**Echetes**, król w Epirze, słynny z okrucieństwa; nazwisko jego służyło za postrach.

**Echinady**, grupa małych wysepek na morzu Jońskim, blisko ujścia Acheloa, t. *Falconata*, *Procati* etc.

**Eea**, wyspa, siedziba czarodziejki, nimfy Kirki.

**Efialtes**, s. Neptuna i Ifidamii, olbrzym niesłychanych rozmiarów, brat Ota.

**Efira**, 1) stare imię Koryntu. — 2) m. w Elidzie, słynne z jadowitych roślin.

**Efirowie**, lud Tessalski.

**Egeon**, (nazwisko Bryarea w języku ludzi), s. Neptuna, sturęczny olbrzym morski, uosobienie wzburzonego morza.

**Egi (Aigi)**, 1) małe m. w Achai ze świątynią Posejdona. — 2) m. na zachodnim brzegu Eubei, także ze świątynią Posejdona.

**Egida**, tarcza Zeusa, wyrobiona p. Hefaista z metalu, ciskająca postrach ciemnością, grzmotami i błyskawicami.

**Egina**, w. w Saronickiej (*Egińskiej*) zatoce, t. *Egina*.

**Eidotea**, boginka morska, córka Proteusa.

**Eileitie (Ilitye)**, córki Zeusa i Hery, patronki chorych niewiast.

**Elida (Elis)**, półn.-zachodnia część Peloponezu.

**Ematia**, stare nazwisko Makedonii.

**Eneasz (Aineias)**, syn Anchizesa i bogini Afrodyty, książę z królewskiego trojańskiego domu, bohater najwaleczniejszy po Hektorze.

**Enyo**, sroga bogini wojennej rzezi = *Bellona*.

**Enyalios = Ares** czyli *Mars*, jako bóstwo bitw.

**Eolia**, w. powyżej Sycylii, siedziba Eola, króla wiatrów.

**Eos**, bogini jutrzeńki.

**Epejowie**, najstarsi mieszkańcy północnej Elidy.

**Epir (Epeiros)**, zachodnia część północnej Grecyi, t. *Albania*.

- Epistrof**, 1) s. Ifikla, wódz Fokeów. — 2) wódz Halizonów, związkowych trojańskich. — 3) s. Euena, b. Mynesa, zabity przez Achilla w Lirnessie.
- Ereb (Erebos)**, otchłań podziemna.
- Erechteus**, s. Ziemi, wychowany p. Atenę w świątyni, czczony z nią w Atenach, jako protoplasta ludu ateńskiego.
- Eretria (Eiretria)**, m. na w. Eubei, t. *Paleo Castro*.
- Eris**, bogini niezgody, waśni, walki (Il. IV., XI.).
- Erychtonios**, s. Dardana, ojciec Trosa, słynny z bogactw.
- Erymantos**, góra w Arkadyi.
- Erynni (Erynie)**, boginie mścicielki, uosobione wyrzuty sumienia = *Furye*. Homer nie podaje ich liczby i postaci.
- Etolowie**, plemię greckie, które zamieszkiwało krainę Środkowej Grecyi, (Hellady), między Akarnanią, Lokrydą i Epirem.
- Etya**, miasto w Tessalii, ojczyzna Achillesa.
- Eubea**, w. na morzu Egejskiem, oddzielona cieśniną Eurypos od Beoty, t. *Negroponte (Egribos)*.
- Euenos**, 1) s. Selepiasa, króla Lirnessu, ojciec Epistrofa i Mynesa. — 2) s. Aresa, król Etolski, ojciec Marpessy (Il. IX.).
- Eumelos**, s. Admeta i Alkesty, wódz Tessalów z m. Fery, Boibe i Jolku.
- Euros**, wiatr południowo-wschodni.
- Euryalos**, s. Mekisteusa z Argosu.
- Eurynome**, nimfa Oceanu, która strąconem z Olimpu Hefajstowi dała w morzu przytułek.
- Eurypylos**, s. Andraimona, władca Ormenionu (m. w Magnezji).
- Eurysteus (Eurystej)**, s. Stenelosa, wnuk Perseusa, króla Mykeny. Przez podstęp Hery, która przyspieszyła jego przyjsięcie na świat, stał się głową potomków Perseusa i władcą Heraklesa.
- Eurytos**, s. Aktora, b. Kteata.
- Feakowie**, lud żeglarski, zamożny i szczęśliwy, mieszkał na wyspie Scheryi (t. *Korfu*?).
- Fenix (Phoinix)**, 1) s. *Agenora*, ojciec Europy. — 2) Wychowawca Achilla. — 3) bajeczny ptak, święty u Egipcyan, odradzający się co kilkaset lat z własnych popiołów.
- Feretiades (Feretiada)**, wnuk Feresa = *Eumelos*.
- Ferowie** = *Kentaurowie*.
- Fery**, m. w Tessalii, stolica Admeta.
- Fileides**, s. Fileusa = *Meges*, wódz Dulichijczyków.
- Fileus (Filej)**, s. Augejasa, króla północ. Elidy. On rozstrzygnął, na korzyść Heraklesa, spór o nagrodę za oczyszczenie obór ojcowskich i za to wypędzony przez ojca z Elidy, udał się do Dulichion.

**Filoktetes**, syn Paiasa, z Melibeji, w Tessalii, słynny łucznik, posiadacz strzał Heraklesa, bez których Troja nie mogła być zdobyta. Ciągnąc pod Troję, został na drodze ukąszony przez jadowitego węża i zostawiony przez Greków na wyspie Lemnosie.

**Flegiowie**, lud wojowniczy i łupieżczy, osiadł w Tessalii, z kąd później przeszedł do Beoty.

**Foibos (Febus)**, przydomek Apollona (= odwracający kłęski).

**Forkis**, bóg morski.

**Frygia**, kraina w M. Azji, częścią nad Hellespontem, częścią w późniejszej Bitynii, nad r. Sangariosem.

**Fteiron**, g. w Karyi (M. Azja).

**Ftia**, m. w Tessalii, nad Sperchiosem, stolica Mirmidonów.

**Fylaka**, m. w Tessalii, u stóp g. Otryś (t. *Goura*).

**Fylakos**, 1) ojciec Ifikla, założyciel m. Fylaki. — 2) szlachetny Trojanin.

**Ge (Gaja)**, 1) ziemia. — 2) bogini Ge, żona Urana, matka Tytanów, Kiklopów i sturęcznych olbrzymów.

**Gereński**, przydomek Nestora od Lakońskiej miejscowości, Gerenii, nad Messeńską zatoką (Pelopon.).

**Gigajskie jezioro** w Lidyi.

**Gorgona**, potwór, którego głowa budziła zgrozę. Homer zna tylko

jedną Gorgonę i nie opisuje jej postaci.

**Hades** zob. *Aides*.

**Halizonowie**, lud nad Pontem (m. Czarne) w północnej Małej Azji — w Bitynii.

**Harpie**, uosobione burze, zarazem geniusze nagłej śmierci. Kto przepadł bez wieści, mówiono, że go Harpie porwały.

**Hebe**, c. Zeusa i Hery, podczaszyni bogów.

**Hefaistos** — *Wulkan*, s. Zeusa i Hery, bóstwo ognia i rękodzieł, które ognia potrzebują, szczególniejszym wyrobów metalowych. On ze swoją siostrą, Ateną, są mistrzami we wszelkim artyzmie.

**Hekabe**, małżonka Pryama = *Hekuba*.

**Hekatomba** zob. Stogłów.

**Hektor**, s. króla trojańskiego, Pryama, naczelný wódz Trojan.

**Helika**, m. w Achai, (Peleponcz) ze świątynią Posejdoną.

**Helios**, 1) bóg słońca, s. Hiperiona. — 2) samo słońce.

**Hellas**, m. w Tessalii. W połączeniu z »Ftią« = posiadłości Peleusa. W połączeniu z »Argos« = cała Grecja

**Hellespont**, morze Helli, c. Atamanta, która w niem utonęła, t. *Cieśnina Dardaneńska*.

- Henetowie**, lud w Paflagonii (w półn. M. Azji).
- Herakles**, s. Zeusa i Alkmeny, żony Amfitryona, króla Tyryntu = *Herkules*.
- Here**, małżonka Zeusa = *Junona*.
- Hermes (Hermejas)**, s. Zeusa i Mai = *Mercury*.
- Hippemolgi**, plemię koczujących Scytów (Skitów), które żyło mlekiem kobylem.
- Hory** (łacińskie *Horae*), boginie, które otwierają i zamykają bramy Olimpu, t. j. zsyłają pogodę i słotę. Ponieważ zaś od prawidłowych zmian atmosferycznych zależą pory roku, przeto Hory są też boginiami pór roku.
- Hyperieia**, źródło w m. Ferach, w Tessalii.
- Hyperion**, 1) s. Uranosa i Gai, ojciec Heliosa, jeden z Tytanów. — 2) przydomek Heliosa: jest to właściwie imię ojca, przeniesione na syna.
- Hyrmina**, m. portowe w półn. Elidzie, które już w starożytności zaginęło.
- Ida**, wysoka i stroma g. we Frygii i Myzji. Najwyższy szczyt — *Gargaron*.
- Idomeneus (Idomenej)**, s. Deukaliona, wnuk Minosa, król na Krecie.
- Ifiklos**, s. Fylaka, z m. Fylaki w Tessalii, ojciec Protezylaa i Podarka, słynny w gonitwach pieszych.
- Ikarios**, ojciec Penelopei.
- Ikaryjskie morze**, część Egejskiego, przy połud. brzegach zachodniej Azji M.
- Ilion** = m. Troja. Zob. *Troja*.
- Imbros**, w. przy brzegu Tracji (t. *Imbro*).
- Ino**, c. Kadmosa, zostawszy boginią morską, zwała się *Leukotea*; niosła pomoc rozbitkom.
- Iris (Iryda)**, posłanniczka bogów.
- Ismaros**, miasto w Tracji, zbudowane przez Odysseusa.
- Itaka**, jedna z wysp Kefaleńskich na morzu Jońskim, ojczyzna Odysseusa, t. *Theaki*.
- Itome (Itoma)**, zamek w Tessalii Hestiaeotis.
- Ixion**, król Tessalii, mąż Dyi, matki *Pirytoa*.
- Jaolkos (Jolkos)**, m. w Magnezji, nad Pagazejską zatoką (t. zatoka *Volo*).
- Jaonowie** = *Jończykowie*, plemię Greckie.
- Jezon (Jazon)**, s. Ezona, króla Iolku, dowódca Argonautów, ojciec Euneusa z Lemnosu.
- Kadmeowie (Kadmejonowie)** = *Tebanie*.
- Kaistros**, r. w Lidyi (M. Azya), t. *Kara-Su*.
- Kallikolona**, wzgórze na równinie trojańskiej, niedaleko Ilionu.

**Kapaneides (Kapaneida)** = *Stenelos*, s. Kapaneusa, towarzysz Dyomeda.

**Karowie**, mieszkańcy Karyi, która zajmowała połud. zachodnią część M. Azji.

**Karpatos**, wyspa między Rodosem i Kreta, t. *Scarpanto*.

**Kassandra**, c. Pryama i Hekaby, branka Agamemnona, z nim zamordowana przez Klitaimnestrę i Aigistosa.

**Kastor**, s. króla Spartańskiego, Tyndara i Ledy, brat Klitaimnestry, a po matce brat Polideuka (*Polluxa*) i Heleny, zrodzonych z Zeusa.

**Kaukonowie**, plemię Pelazgijskie, którego a) część w półn. zachodniej M. Azji, około r. Parteniosu (t. *Bartin*), b) część w Elidzie mieszkała.

**Kefallenowie**, poddani Odysseusa, mieszkańcy Samy (t. j. Kefalonii), Itaki, Zakintu (t. j. Zante), Dulichiu i pobrzeża lądu stałego.

**Kefissis (Kefizyda)**, stare imię jeziora Kopais w Beoty, t. jezioro *Livadia*.

**Kefisos**, rzeka, do jeziora Kopais wpadająca.

**Keneus (Kenej)**, s. Elata, król Lapidów.

**Kentaury (Centaury)**, dziki lud, wojujący z Lapidami.

**Kera**, 1) bogini, która nawiedzała każdego człowieka, mającego umrzeć

nagłą śmiercią. — 2) w ogólności: śmierć, zagłada.

**Keryx** = herold = woźny w naszym dawnym znaczeniu.

**Kikonowie**, plemię trackie, nad Hebrem (t. *Marizza*) osiadłe.

**Kilikowie (Cylicyjęzycy)**, mieszkali za czasów Homera w Wielkiej Frygii, na dwa państwa podzieleni, z których jednego stolicą była *Tebe* u podnóża g. Plaka, drugiego *Lirnessos*. Później przenieśli się do kraju, od nich nazwanego, t. j. na południowo-wschodnie wybrzeże Azji M.

**Kilikia**, zob. *Kilikowie*.

**Killena**, g. na pograniczu Arkadyi, Achai i Sikionu, t. *Ziria*.

**Kinos**, m. Lokrów Opuntyjskich (w wschodniej środkowej Grecji).

**Kiparys**, m. w Fokidzie (środkowa Grecja).

**Kipr**, zob. *Cypr*.

**Kipryda** = *Afrodyta*.

**Kirke (Cyrce)**, czarodziejka, nimfa.

**Kitera**, w. przy Lakońskich brzegach, koło przylądka Malea. Odwieczne miejsce kultu Afrodyty, przyniesionego przez Fenicyan (t. *Cerigo*).

**Knemidy**, nagolenniki, złożone z dwóch płyt, zwykle cynowych, i spięte sprzączkami.

**Kokytos (Kocyt)**, r. w świecie podziemnym.

- Kos**, w. przy połud. zachodnim brzegu M. Azyi, t. *Ko*.
- Kranae**, mała wysepka w zatoce Lakońskiej.
- Krater**, naczynie, w którym mięszano wino z wodą.
- Krokileia**, miejscowość w Akarnanii, albo też w Itace, albo nareszcie mała wysepka przy Itace.
- Kronion** (**Kronides**, **Kronida**), syn Kronosa = *Zeus*.
- Kronos**, s. Urana i Gai, ojciec Zeusa. Odpowiada Italskiemu *Saturnowi*.
- Kteatos**, s. Posejdona, ojciec Amfimacha.
- Kuretowie**, lud Etolski, wyparty później do Akarnanii.
- Laertiades** (**Laertyada**), s. Laertes = *Odysseus*.
- Lampetia**, nimfa, c. Heliosa i Neery.
- Laomedontiades** (**Laemedontyada**), syn Laomedonta = a) *Pryam*, b) *Lampos*.
- Lapitowie**, starożytny lud Tessalii, znany ze swej walki z Kentaurami.
- Larissa**, m. Pelasgów w Eolii (na zachodnim pobrzeżu M. Azyi).
- Lekton**, przylądek na brzegach trojańskich, t. *Baba*.
- Lemnos**, w. na półn. morza Egejskiego, z powodu wulkanu, Mo-
- sychlos, poświęcona Hefajstowi, t. *Stalimene*.
- Lesbos**, w. na morzu Egejskiem, t. *Metelino*.
- Lestrygony**, ludożercy na wybrzeżu Sycylii, albo też na półn. zachodzie.
- Leto**, matka Apollina i Artemidy = *Latona*.
- Leukotea**, zob. *Ino*.
- Likurgos** (**Likurg**), król Edonów w Tracji, przeciwnik kultu Bakcha.
- Likowie** (**Licyjczycy**), mieszkańcy Likii (Licyi), krainy na południowym brzegu Azyi M.
- Linos**, odwieczna pieśń ludowa o Linosie, znakomitym piewcy, zabitym przez Apollona i opłakiwanym przez Muzy.
- Lirnessos**, m. w Myzji (M. Azyi), stolica Mynesa.
- Lotofagi**, mieszkańcy brzegów libijskich, żywiący się lotosem.
- Machaon**, s. Asklepiosa, władca m. Tryki, b. Podaleiriosa.
- Magnetowie**, mieszkańcy krainy Tessalskiej, Magnezji, Pelazgijskiego pochodzenia.
- Makar**, s. Eola, władca w. Lesbosu.
- Meander**, r. w M. Azyi (w Jonii i Frygii), t. *Mainder*.
- Meges**, syn Fileusa, siostrzeniec Odysseusa, wódz mieszkańców Du-

lichia, jednej z wysp Echinadzkich.  
Zob. »Echinady«.

**Mekisteus**. 1) s. Talaosa, b. Adresta, ojciec Euryala. — 2) syn Echiosa, towarzysz Teukra, zabity p. Polidamasa.

**Meleager**, s. Oineusa, króla Kalidonu i Altei.

**Menada**, właściwie *szalejąca*, t. j. niewiasta, obchodząca entuzjastyczne obrzędy na cześć Bakchosa.

**Menelaos (Menelaj)**, król Lakemonu, mąż Heleny, b. Agamemnona.

**Menesteus**, s. Peteosa, wódz Atenczyków.

**Mentor**, przyjaciel Odyssea, który mu porucił opiekę nad domem. *Atene* w postaci Mentora towarzyszy Telemachowi w podróży.

**Meonia**, stare nazwisko Lidyi, krainy w zachodniej Azji M.

**Meonowie** = *Lidyjczycy*.

**Meriones**, s. Molosa z Krety, towarzysz broni Idomeneusa.

**Metona**, m. w Magnezji.

**Milet**, 1) bogate miasto Jończyków w Karyi (M. Azja). — 2) m. na w. Krecie.

**Moira**, bogini doli ludzkiej = *Parka*.

**Molionowie**, synowie Aktora, brata Augeiasa, króla Elidy. *Eurytos* i *Kteatos*, nazwani tak od matki Moliony.

**Mykene (Mykeny, Mycene, Myceny)**, m. w Argolidzie, stolica Agamemnona.

**Mynes**, s. Eueny, król Lirnessu, mąż branki Bryzeidy.

**Myrmidonowie**, plemię Achajskie, osiadłe w Tessalii, podległe Achillesowi.

**Myrsin**, miejscowość w Elidzie (Peloponez).

**Myryna**, imię Amazonki, której grobowiec wznosił się niedaleko Troi.

**Myzowie**, 1) mieszkańcy krainy Myzyi (w M. Azji) nad r. Aizepem (t. *Satas-dere*). — 2) lud, osiadły w Europie, nad dolnym Dunajem.

**Najada**, zob. *Nimfa*.

**Nimfa**, bóstwo niewieście niższego rzędu. Nimfy zamieszkują wyspy, góry, lasy, źródła i t. d. Homer zna nimfę *Najadę*, n. źródlaną, nimfy *Orestyady*, nimfy górskie i nimfy *Agronomy*, nimfy polne, towarzyszkami Artemidy. Są one córkami Zeusa; usługują innym bóstwom; odbierają cześć przez ofiary, składane w świętych grotach.

**Nereus**, s. Morza i Ziemi, bóg morski, władający morzem Egejskim, ojciec nimf morskich, Nereid.

**Nereidy**, zob. *Nereus*.

**Neryton**, lesista góra w półn. części w. Itaki.

**Nestor**, sędziwy król Pylosu, sławny wymową i mądrością.

**Nioba (Niobe)**, c. Tantalą i Dyi, żona Amfiona, króla Tebańskiego.

**Nireus**, król w. Symy.

**Nisyros**, w. na morzu Egejskiem, koło w. Kos, jedna ze Sporad, t. *Nizzaria*.

**Nysa**, g. lesista w Tracyi, gdzie Bakchos był wychowany przez Nimfy.

**Notos**, wiatr zachodnio-południowy.

**Okeanos (Ocean)**, 1) wielka rzeka, opasująca ziemię. Na wschodzie wstają z niej Eos, Helios i gwiazdy; na zachodzie znajdują w niej odpoczynek po skończeniu swej drogi; na południu mieszkają Pygmeowie; na północy jedyna gwiazda, Niedźwiedzica, w niej się nie zanurza. Na zachodzie z tej strony Oceanu, są pola Elizejskie dla wybranych duchów; z tamtej strony — ponury Hades. — 2) bóg ustępujący w potęgę tylko Zeusowi, praojciec wszystkich bogów.

**Odysseus (Odyszej, Odyss)**, król Itaki = *Ulisses*.

**Oichalia**, 1) m. w Tessalii, siedzisko Euryta. — 2) m. w Messenii (Peloponez).

**Oineida**, s. Oineusa = *Tydeus*, ojciec Dyomeda.

**Opunt (Opus)**, stolica Lokrów Opunckich (w środkowej Grecyi), niedaleko morza, ojczyzna Patrokła.

**Orchomenos**, odwieczne miasto w Beoty, przy ujściu Kefizu do jeziora Kopais, stolica państwa Minyów, t. ruiny przy wsi *Skripa*.

**Ormenion**, m. w Magnezji.

**Ortygia**, jedna z Cyklad na Archipelagu.

**Oryon**, s. Hiryeusa z Hiryi w Beoty, sławny z piękności myśliwiec, zabity przez Artemidę, i przeniesiony na niebo, jako konstellacya.

**Ossa**, 1) góra skalista w Tessalii, siedziba Kentaurów, t. *Kissabos*. — 2) wieś, posłanka bogów.

**Otos**, olbrzym, brat Efialtesa.

**Paflagonowie**, mieszkańcy krainy M. Azji, nad Pontem (M. czarne), między r. Halisem (t. *Kizil-Irmak*) i Parteniosesem (t. *Barthu*).

**Pallas (Pallada)**, przydomek *Ateny*, jako ciskającej włócznie.

**Pantoides (Pantoida)**, s. Pantusa, kapłana Apollona w Troi = a) *Polidamas*, b) *Euforbos*.

**Partenios**, r. w Paflagonii (półn. M. Azji), dzieląca ją od Bitynii i Pontu, t. *Bartin*.

**Parys** czyli **Alexander**, syn Pryama, który przez porwanie Heleny, żony Menelausa, wywołał wojnę trojańską.

**Patroklos (Patrokl)**, s. Menoitjosa, przyjaciel Achillesa.

**Pedastos**, 1) m. w Troadzie. — 2) wojownik Trojański, s. Bukoliona. — 3) koń Achillesa.

**Pelasgowie**, pierwotni mieszkańcy Grecyi, którzy w części zlali się ze zwycięskimi Hellenami, w części wysiedlili się; ztąd też w M. Azji są sprzymierzeńcami Trojan.



- Peleion** (**Peleides** — **Pelida**), syn Peleusa = *Achilles*.
- Pelias**, s. Posejdona, władca Iolku, pozbawił brata, Aisona, władzy nad Iolkem i wypędził drugiego brata, Neleusa. Syna Aisonowego, Iasona, zmusił do przedsięwzięcia wyprawy do Kolchidy.
- Pelion**, wysoka lesista góra w Tessalii, t. *Zagora*.
- Peneios**, r. 1) w Tessalii 2) w Elis.
- Peonowie** (**Paiones**), lud tracki, nad Axiosem (t. *Vistritz*) mieszkający.
- Pergamon** (**Pergama**), cytadela Troi.
- Perkota**, m. nad Hellespontem.
- Persefone**, małżonka Aïdesa = *Prozerpina*.
- Peteos**, s. Orneusa, ojciec Menesteusa.
- Pierya**, miejscowość Makedonii, na granicach Tessalii, pod górą Olimpem.
- Pies Oryona**, przeniesiony z panem swoim pomiędzy gwiazdy — konstelacya psa (*Sirios*).
- Pirytoos**, s. Ixiona albo Zeusa i Dyi, z Laryssy w Tessalii, król Lapiatów, przyjaciel Teseusa. Na jego weselu z Hippodameią wynikła wojna Kentaurów z Lapiatami.
- Plejady**, siedm gwiazd, konstelacya.
- Podaleirios**, s. Asklepios, władca m. Tryki, b. Machaona.
- Podarga**, jedna z Harpij, zrodziła dwa konie Achillesa, Xanta i Baliaosa; ojcem był Zefir.
- Podarkes**, s. Ifikla, b. Protezylaosa.
- Polideukes**, b. Heleny, s. Ledy, żony Tyndara, brat Kastora po matce = *Polluks*.
- Polidamas**, s. Pantusa, roztropny i mężny Trojanin.
- Polifem** (**Polyfemos**), 1) kiklop (cyklop), ludożerca, jednooki s. Posejdona i nimfy Toos, którego oślepił Odysseus. — 2) s. Elata, b. Kenea, Lapita.
- Polyneikes**, s. Edypa Tebańskiego.
- Poseidon** (**Pozejdon**), syn Kronosa i Rei, pan mórz, brat Zeusa = *Neptun*.
- Pramnejskie wino**, z góry Pramnena na wyspie Ikaryi.
- Proitos**, król Tyrynusu w Argolidzie.
- Protesilaos**, wojownik z m. Fylaki.
- Pryam** (**Priamos**), s. Laomedonta, król Trojański.
- Pygmaiowie** (**Pygmeowie**), bajeczny lud karłów, których podanie umieszcza na południu, w Etyopii lub Indyi.
- Pylos**, m. w Messenii, (*Peloponez*), stolica króla Nestora, t. *Navarino*.
- Pyto**, okolica nad górnym Parnasem w Fokidzie (środk. Grecya), gdzie była wyrocznia Apollona.

- Radamantys**, s. Zeusa i Europy, b. Minosa, przeniesiony przez ojca na pola Elizejskie.
- Same**, w. na morzu Iońskim, t. *Cefalonia*.
- Samos**, w. przy zachodnich brzegach M. Azji.
- Samos Tracyjski**, w. przy brzegach Tracyjskich, niedaleko ujścia rzeki Hebra (*Marizza*), t. *Samothraki*.
- Sangarios**, r. w Bitynii (półn. zachodnia M. Azja), t. *Sakarya*.
- Satnioeis**, górski potok w Myzji.
- Selepiada**, s. Selepiasa = *Euenos*, król Lirnessu, m. w Myzji.
- Selleis**, 1) r. w Elidzie, t. *Paluki*. — 2) r. w Troadzie, przy mieście Aryzbie.
- Sellowie**, kapłani Zeusa Dodońskiego.
- Sikyon**, główne miasto w krainie Sikyonii (w Peloponezie).
- Simoeis (Simois, Simoent)**, mała rzeka pod Troją, t. *Gumbre*.
- Sintyowie**, starożytni mieszkańcy Lemnosu.
- Sipylos**, odnoga g. Tmolosu, na granicy Lidyi i Frygii, t. *Sipulidagh*.
- Skajska brama**, prowadziła do Troi od strony zachodniej.
- Skamandros (Skamander)**, 1) r. biorąca początek pod Troją, łączy się z Simoisem, i wpada do Hellespontu, t. *Mendere-Su*. W języku bogów zwał się Xantos. — 2) bóg rzeki Xantosa.
- Skandeia**, port na południowym brzegu w. Kitory (*Cerigo*).
- Skiros**, w. na morzu Egejskim, t. *Skyro*.
- Sminthe**, m. w Troadzie ze świątynią Apollona.
- Solimowie**, lud wojowniczy w Likyi (połud. Azja M.).
- Spercheios (Sperchios)**, t. *Agramela*, r. w Tessalii, wpadająca do zatoki Malijskiej (t. zat. *Zeitun*).
- Staruszek morski = Nereus**.
- Stogłów = hekatomba**, właściwie ofiara ze 100 wołów; jednakże Homer, ani pod względem ilości, ani pod względem gatunku bydła ofiarnych, nie trzyma się ściśle tego pierwotnego znaczenia: jakoż II. VI, 93, 115 stogłów składa się z 12 jałowic, II. XXIII, 146 — z 50 tryków, II. I, 315 z wołów i kozłat w nieoznaczonej dokładnej ilości. Jest to więc w ogólności uroczysta ofiara.
- Styx**, r. w kraju zmarłych. Fantazyja Greków przeniosła prawdopodobnie do krainy cieniów górski potok (t. *Mavroneria*), płynący w dzikiej miejscowości Arkadyi.
- Syma**, wysepka między Rodosem i m. Knidos, przy brzegach Karyi, t. *Symi*.

Synowie Urana, zob. *Tytani*.

**Talajonida**, s. Talaosa = *Mekisteus*, ojciec Euryala, jednego z towarzyszy Diomedesa.

**Talpios**, s. Euryta, wnuk Aktora, wódz Epejów.

**Tartaros**, ponura przepaść pod ziemią, leżąca tak głęboko pod Hadesem, jak niebo oddalone jest od ziemi. Tam siedzą Tytani: *Kronos*, *Iapetos* etc.

**Tebe**, 1) = *Teby*, stolica Beoty. — 2) m. w Troadzie, zamieszkane p. Cylicyjczyków, stolica Eetiona, ojca Andromachy.

**Teiresias** (*Tejrezyasz*), wieszczek tebański, który i na tamtym świecie przyszłość przepowiadał.

**Temis** (*Temida*), c. Urana i Gai. Ona u Homera spełnia obowiązki herolda bogów, jest mistrzynią ceremonij na uctach olimpijskich, urzęduje i rozwiązuje publiczne obrady.

**Tenedos**, w. na morzu Egejskiem, niedaleko brzegów Troi, t. *Tenedo*.

**Tesprotowie**, lud w Epirze.

**Tessalos**, s. Heraklesa, ojciec Feidippa i Antyfa.

**Tetys** (*Tetyda*), (*Θέτις*), jedna z córek Nereusza, nimfa morska, matka Achilla.

**Tetys** (*Tetya*) (*Τηθύς*), c. Urana i Gai, małżonka Okeanosa, matka wszystkich bogów.

**Teukros** (*Teucer*), b. Ajasa Telańskiego.

**Teseus** (*Tezeusz*), s. Egeusa (albo też Posejdona), i Etry, król Aten i narodowy heros Attyki.

**Titaresios**, r. w Tessalii, dopływ Peneja, t. *Saranto*.

**Tlepolemos**, 1) s. Heraklesa i Astyochy, zabiwszy niechcący wuja ojcowskiego, Likimniosa, uciekł na Rodos. Pod Troją dowodził Rodyjczykom; zabity przez Sarpedona. — 2) s. Damostora, Trojanin, zabity przez Patrokla.

**Tmolos**, g. pod Sardami w Lidyi (M. Azya).

**Toas**, 1) s. Adraimona, król Kalidonu w Etolii. — 2) s. Bakcha i Aryadny, król w Lemnosu.

**Tritogeneia**, zob. *Zgłowy zrodzona*.

**Troja**, 1) kraj Trojanski czyli Troada, wybrzeże półn. zachodnie M. Azyi, od przylądku Lekton (*Baba*) do Hellespontu. — 2) m. stołeczne tej krainy, inaczej *Ilion*.

**Tryka**, m. w Tessalii, nad Penejem, z świątynią Asklepiosa, t. *Tricala*.

**Trynackia**, dawna nazwa Sycylii.

**Tydydes** (*Tydyda*), s. Tydeusa = *Dyomedes*.

**Tyfon**, olbrzym o stu węzowych głowach, zionących ogniem, syn Tartara i Gai, pokonany przez Zeusa w walce, do której podnieciła go Gaia, chcąc się zemścić

za strącenie Tytanów. On leży pod ziemią w kraju Arymów, w Kilikii. Jest to symbol wulkanicznych objawów ognia.

**Tymbra**, okolica Troady, nad rzeką Tymbriosem, przy ujściu której do Skamandra znajdowała się świątynia Apollona Tymbrejskiego.

**Tyrynt**, odwieczne m. w Argolidzie, otoczone cyklopejskimi murami, w posiadłościach Dyomedesa.

**Tytani (Tytanowie)**, synowie Urana i Gai, dawne plemię bogów, do którego należeli Okeanos, Koios, Kreios, Hyperyon, Iapetos, Kronos. Pod dowództwem Kronosa, strącili oni z tronu Urana i panowali z bratem. Ale z kolei i ich strącił Kronos do Tartaru, czem rozjątrzona Gaia, poduszczyła Zeusa, ażeby ojcu wydarł władzę.

**Tyton**, s. Laomedonta, uprowadzony przez Eos dla swojej piękności, i za małżonka przybrany.

**Uranos**, 1) niebo, sklepienie niebieskie. — 2) syn Ereba i Gai, ojciec Tytanów, Kiklopów i smoków ręcznych olbrzymów.

**Xantos (Xant)**, 1) zob. *Skamandra*. — 2) r. w Likii, wpadająca do morza Śródziemnego, *Essenide*.

**Zabójca Argosa** = Hermes, t. Merkury, który miał zgładzić smoka Argosa, stróża Iony.

**Zakynthos**, wyspa, która z Itaką i Same, tudzież z dwiema innymi wyspami tworzyła królestwo Odysseusa.

**Zeus**, s. Kronosa i Rei, ojciec bogów i ludzi = *Jowisz (Jupiter)*

**Zefir**, wiatr zachodni.

**Z głowy zrodzona**, (= Tritogeneia) przydomek *Ateny*.

**Żona Ixiona** = Dia, c. Deioneusa



INSTITUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 25-68-63







F  
23645